ROBERT HARRIS

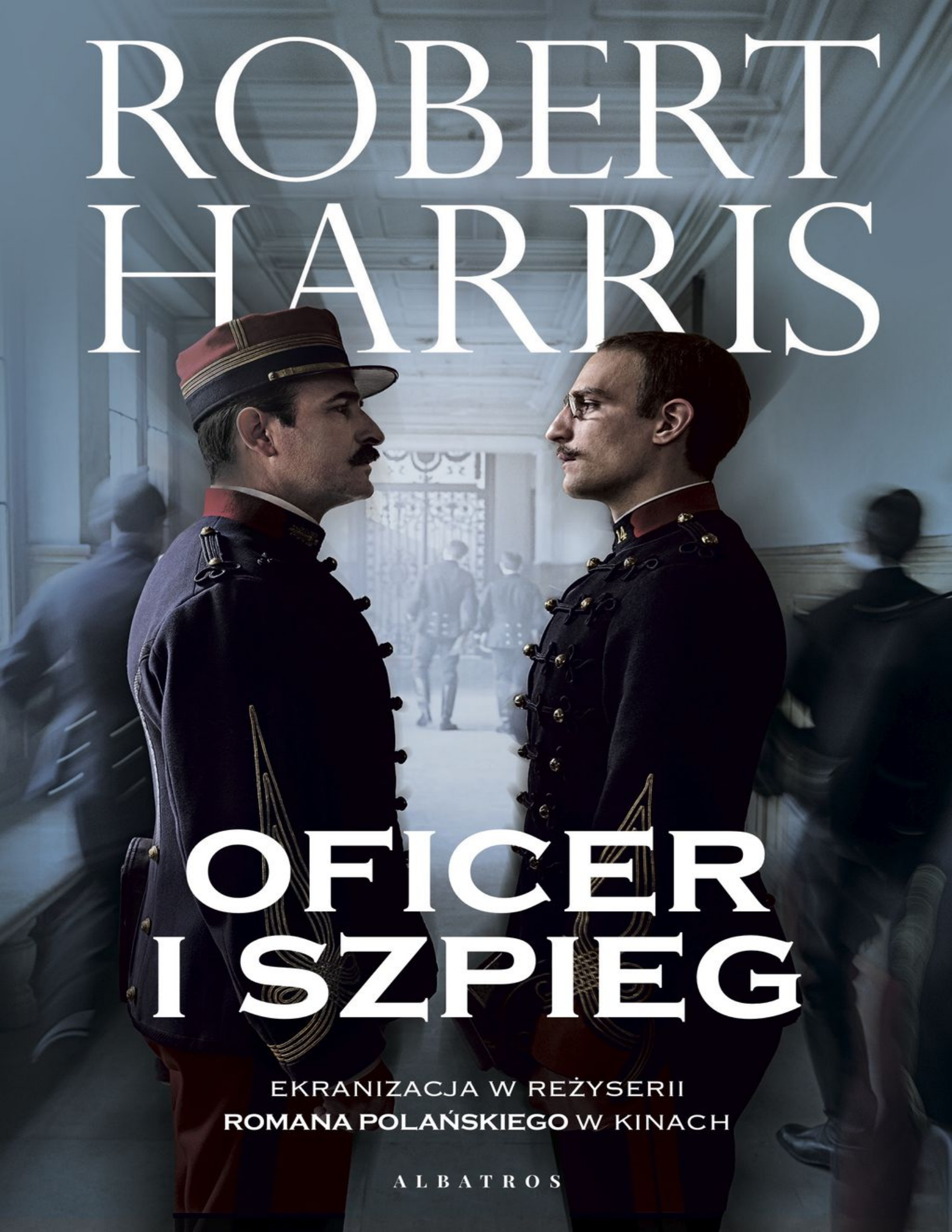

OFICER I SZPIEG

EKRANIZACJA W REŻYSERII
ROMANA POLAŃSKIEGO W KINACH

ALBATROS

EKRANIZACJA KSIĄŻKI ZOSTAŁA NAGRODZONA NA FESTIWALU FILMOWYM W WENECJI **SREBRNYM LWEM** ORAZ PRESTIŻOWĄ NAGRODĄ **FIPRESCI**.

NAJLEPSZY THRILLER SZPIEGOWSKI, JAKI NAPISAŁA HISTORIA

Powieść osnuta wokół afery Dreyfusa, politycznego skandalu, który wstrząsnął Europą końca XIX wieku.

Francuski oficer odkrywa, że najgłośniejszy proces o zdradę ojczyzny opierał się na sfabrykowanych dowodach. Najwyżsi rangą dowódcy wojskowi robią wszystko, żeby zatuszować sprawę.

ONI KŁAMIĄ, BY CHRONIĆ SWÓJ KRAJ.
ON MÓWI PRAWDĘ, BY TEN KRAJ OCALIĆ.

Oficer i szpieg to jednocześnie trzymający w napięciu thriller polityczno-szpiegowski i uniwersalna powieść o wynaturzeniach władzy. To także historia o służbach specjalnych, które wymykają się spod kontroli prawa i uprawiają własną politykę, wedle której w imię „bezpieczeństwa narodowego” można gwałcić prawa jednostki.

ROBERT HARRIS

OFICER I SZPIEG

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ NIEWIADOMSKI

ROBERT HARRIS

Brytyjski pisarz i dziennikarz; pracował m.in. dla BBC i współpracował jako komentator polityczny z „The Observer”. Autor kilku książek popularnonaukowych, ale przede wszystkim dwunastu przetłumaczonych na czterdzieści języków powieści: thrillerów – **Vaterland**, **Enigma**, **Archangielsk**, **Autor widmo**, **Indeks strachu**, **Konklawe**, **Monachium**, **Drugi sen** (pierwsze cztery zostały sfilmowane) – a także powieści historycznych z elementami sensacji – **Pompeje**, **Oficer i szpieg** oraz „Trylogia rzymska”, w której ukazały się **Cycero**, **Spisek** i **Dyktator**.

ROBERT-HARRIS.COM

Tego autora

ARCHANGIELSK
ENIGMA
INDEKS STRACHU
POMPEJE
AUTOR WIDMO
OFICER I SZPIEG
KONKLAWE
MONACHIUM
VATERLAND
DRUGI SEN

Trylogia rzymska

CYCERO
SPISEK
DYKTATOR

Tytuł oryginału:
AN OFFICER AND A SPY

Copyright © Robert Harris 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Andrzej Niewiadomski 2014

Redakcja: Julita Wroniak-Mirkowicz

Opracowanie graficzne okładki: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-917-0

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

SPIS TREŚCI

Od autora
Osoby
Część piersza
- Rozdział pierwszy
- Rozdział drugi
- Rozdział trzeci
- Rozdział czwarty
- Rozdział piąty
- Rozdział szósty
- Rozdział siódmy
- Rozdział ósmy
- Rozdział dziewiąty
- Rozdział dziesiąty
- Rozdział jedenasty
- Rozdział dwunasty
- Rozdział trzynasty
- Rozdział czternasty
- Rozdział piętnasty

Część druga
- Rozdział szesnasty
- Rozdział siedemnasty
- Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Epilog
Rozdział dwudziesty piąty
Podziękowania
Przypisy

Dla Gill

OD AUTORA

Książka ta, choć utrzymana w konwencji powieści, opowiada prawdziwą historię sprawy Dreyfusa – zapewne największego skandalu politycznego oraz największej pomyłki sądowej w historii, którymi w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku najpierw żyła Francja, a w końcu pasjonował się cały świat. Afera wybuchła zaledwie dwadzieścia pięć lat po tym, jak Niemcy rozgromili Francuzów w wojnie z roku 1870 i zajęli terytoria Alzacji oraz Lotaryngii – to trzęsienie ziemi zakłóciło europejską równowagę sił i dało podwaliny zarówno pierwszej, jak i drugiej wojnie światowej.

Żadna z postaci na kartach tej książki, nawet najbardziej epizodyczna, nie jest całkowicie fikcyjna i prawie wszystko, o czym tu piszę, przynajmniej do pewnego stopnia wydarzyło się naprawdę.

Rzecz jasna, chcąc przetworzyć historię w powieść, musiałem całkiem zrezygnować z niektórych postaci, a inne uprościć bądź wyposażyć w wiele zmyślonych szczegółów

natury osobistej, by przydać im dramatyzmu. Dotyczy to zwłaszcza Georges'a Picquarta, który wcale nie spisał tajnej relacji z afery Dreyfusa ani tym bardziej nie umieścił jej w skrytce bankowej w Genewie, z poleceniem, że ma pozostać zamknięta przez sto lat od jego śmierci.

Ale wyobraźnia powieściopisarza ma prawo podpowiadać mu, że było inaczej.

Robert Harris
w rocznicę zburzenia Bastylii, 14 lipca 2013 r.

OSOBY

RODZINA DREYFUSÓW

- Alfred Dreyfus
- Lucie Dreyfus – żona
- Mathieu Dreyfus – brat
- Pierre i Jeanne Dreyfus – dzieci

WOJSKO

- Generał Auguste Mercier – minister wojny, 1893–1895
- Generał Jean-Baptiste Billot – minister wojny, 1896–1898
- Generał Raoul le Mouton de Boisdeffre – szef sztabu generalnego
- Generał Charles-Arthur Gonse – szef Wydziału Drugiego (Wywiadu)
- Generał Georges Gabriel de Pellieux – dowódca armii, Departament Sekwany
- Pułkownik Armand du Paty de Clam
- Pułkownik Foucault – attaché wojskowy w Berlinie
- Major Charles Ferdinand Walsin-Esterházy – 74. Pułk Piechoty

SEKCJA STATYSTYCZNA

Pułkownik Jean Sandherr – szef, 1887–1895
Pułkownik Georges Picquart – szef, 1895–1897
Major Hubert-Joseph Henry
Kapitan Jules-Maximillien Lauth
Kapitan Junck
Kapitan Valdant
Félix Gribelin – archiwista
Madame Marie Bastian – agentka

SÛRETÉ (FRANCUSKA POLICJA KRYMINALNA)

François Guénée
Jean-Alfred Desvernine
Louis Tomps

GRAFOLOG

Alphonse Bertillon

PRAWNICY

Louis Leblois – przyjaciel i adwokat Picquarta
Fernand Labori – adwokat Zoli, Picquarta i Alfreda Dreyfusa
Edgar Demange – adwokat Alfreda Dreyfusa
Paul Bertulus – sędzia pokoju

KRĄG GEORGES'A PICQUARTA

Pauline Monnier
Blanche de Comminges z rodziną
Louis i Martha Leblois – przyjaciele z Alzacji
Edmond i Jeanne Gast – kuzyni
Anna i Jules Gay – siostra i szwagier
Germain Ducasse – przyjaciel i protegowany
Major Albert Curé – stary towarzysz broni

DYPLOMACI
Pułkownik Maximilian von Schwartzkoppen – niemiecki attaché wojskowy
Major Alessandro Panizzardi – włoski attaché wojskowy

„DREYFUSIŚCI”
Emil Zola
Georges Clemenceau – polityk i wydawca gazety
Albert Clemenceau – prawnik
Auguste Scheurer-Kestner – wiceprzewodniczący francuskiego Senatu
Jean Jaurès – przywódca francuskich socjalistów
Joseph Reinach – polityk i pisarz
Arthur Ranc – polityk
Bernard Lazare – pisarz

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Major Picquart do ministra wojny… Wartownik przy rue Saint-Dominique wychodzi z budki, żeby otworzyć mi bramę, a ja w tumanach śniegu przebiegam przez wietrzny dziedziniec do ciepłego holu *hôtel* de Brienne, gdzie z fotela wstaje elegancki młody kapitan Gwardii Republikańskiej i salutuje. Powtarzam mu to samo, niecierpliwie:

– Major Picquart do ministra wojny…!

Maszeruję w nogę za kapitanem – po czarnych i białych marmurowych płytach posadzki tej oficjalnej rezydencji ministra, po krętych schodach, obok srebrnych zbroi z okresu króla Ludwika XIV, obok koszmarnego przykładu kiczu z okresu cesarstwa, *Napoleona przekraczającego przełęcz świętego Bernarda* pędzla Davida, aż docieramy na pierwsze piętro. Tam zatrzymujemy się przy oknie wychodzącym na teren posiadłości, kapitan idzie zapowiedzieć moje przybycie, a ja, zostawszy sam, mogę przez chwilę napawać się rzadkim i pięknym widokiem – ogrodu w samym środku miasta, uciszonego

przez śnieg w zimowy poranek. Nawet żółte elektryczne światła w gmachu Ministerstwa Wojny, migoczące zza zwiewnych drzew, mają w sobie coś magicznego.

– Generał Mercier pana oczekuje, majorze.

Ściany ogromnego gabinetu ministra zdobi bladoniebieska tkanina, długi balkon wychodzi na biały teraz trawnik. Przed rozpalonym kominkiem, grzejąc nogi od tyłu, stoją dwaj starsi mężczyźni, najwyżsi rangą oficerowie w Ministerstwie Wojny. Jeden to generał Raoul le Mouton de Boisdeffre, szef sztabu generalnego, ekspert od Rosji i wszystkiego, co rosyjskie, oraz architekt naszego rodzącego się sojuszu z nowym carem; spędził na carskim dworze tyle czasu, że ze swoimi sztywnymi bokobrodami wygląda niczym rosyjski hrabia. Drugi, ciut starszy, bo liczący sobie sześćdziesiąt lat, to jego przełożony – minister wojny generał Auguste Mercier we własnej osobie.

Pewnym krokiem podchodzę na środek dywanu i salutuję.

Twarz Merciera, dziwnie pomarszczona i nieruchoma, przypomina skórzaną maskę. Czasami miewam przedziwne złudzenie, że przez te wąskie szparki oczu obserwuje mnie zupełnie kto inny.

– No cóż, majorze Picquart, nie zajęło im to dużo czasu – odzywa się tradycyjnie cichym głosem. – O której się skończyło?

– Pół godziny temu, panie generale.

– Czyli to już naprawdę koniec?

Kiwam głową.

– Owszem, już po wszystkim.

I tak to się zaczęło.

* * *

– Proszę podejść i usiąść przy kominku – poleca minister. Jak zawsze, mówi bardzo cicho. Wskazuje mi pozłacany fotel. – Niech pan go przysunie. I zdejmie płaszcz. Proszę nam opowiedzieć ze szczegółami, jak to się odbyło.

Sam przysiada wyczekująco na skraju swojego fotela – pochylony, ze splecionymi dłońmi i łokciami opartymi na kolanach. Względy protokolarne nie pozwoliły mu osobiście uczestniczyć w porannym widowisku. Znalazł się w sytuacji impresaria, który nie zdążył na własny spektakl. Jest więc spragniony szczegółów – wnikliwości, spostrzeżeń, kolorytu.

– Przede wszystkim, jaki nastrój panował na ulicach?

– Powiedziałbym, że nastrój… wyczekiwania.

Opisuję, jak przed świtem wyszedłem po ciemku z mieszkania i pieszo dotarłem do École Militaire, a potem, przechodząc wreszcie do tematu, mówię, że na ulicach panował niezwykły spokój. No ale była przecież sobota – żydowski szabas. Mercier przerywa mi z uśmiechem – nieznacznym, a jednak lodowato zimnym. Prawdę mówiąc, chociaż nie wspominam o tym słowem, kiedy tak maszerowałem mrocznymi chodnikami rue Boissière i avenue du Trocadéro, przyszło mi do głowy, że wielka inscenizacja generała może zrobić kompletną klapę. Ale wtedy dotarłem do Pont de l'Alma, zobaczyłem niewyraźne postacie przechodzące tłumnie nad ciemnymi wodami Sekwany i uświadomiłem sobie coś, o czym Mercier wiedział od zawsze – że pragnienie oglądania upokorzenia innego człowieka każdego rozgrzeje na tyle, by niestraszny mu był największy ziąb.

Wmieszałem się w ciżbę sunącą na południe, za rzekę i dalej, avenue Bosquet… W takie zagęszczenie ludzkości, że aż się wylewała z drewnianych trotuarów na jezdnię. Przypominała mi tłum na wyścigach konnych, złączony wspólnym poczuciem oczekiwania, tą samą pogonią za nieznającą podziałów klasowych rozrywką. Gazeciarze przeciskali się

tam i z powrotem, sprzedając poranne wydania dzienników. Z koksiaków na poboczu unosił się zapach pieczonych kasztanów.

Na końcu alei oderwałem się od reszty i skręciłem w kierunku École Militaire, w której aż do ubiegłego roku byłem wykładowcą topografii. Za moimi plecami tłum ciągnął na oficjalny punkt zborny: Place de Fontenoy. Rozjaśniało się. Z École dobiegały odgłosy werbli i trąbek sygnałowych, tętent kopyt i przekleństwa, wykrzykiwane rozkazy, tupot wojskowych buciorów. Każdy z dziewięciu pułków piechoty stacjonujących w Paryżu dostał rozkaz, by na uroczystość przysłać po dwie kompanie: jedną złożoną z doświadczonych żołnierzy, a drugą z rekrutów, którym – zdaniem Merciera – ten przykład podniesie morale. Kiedy przemierzywszy wspaniałe salony, wyszedłem na cour Morland, zbierali się już tysiącami na zamarzniętym błocie.

Dotychczas nie uczestniczyłem w publicznej egzekucji, nie poznałem więc smaku tej szczególnej atmosfery, lecz wyobrażam sobie, że z pewnością przypominała atmosferę panującą tego ranka w École. Ogrom cour Morland tworzył jakże stosowną oprawę dla tak wspaniałego widowiska. W oddali, za barierkami i kordonem

żandarmów w czarnych mundurach, drgało olbrzymie szemrzące morze różowych twarzy. Każdy centymetr kwadratowy placu był zajęty. Ludzie stali na ławach i na dachach powozów i omnibusów, siedzieli na konarach drzew, a komuś udało się nawet wdrapać na szczyt pomnika ku czci poległych w wojnie francusko-pruskiej z roku 1870.

Mercier, który chłonie każde moje słowo, pyta:

– Na ile ocenia pan liczbę obecnych?

– Policja paryska zapewniła mnie, że dwadzieścia tysięcy.

– Doprawdy? – Spodziewałem się, że minister będzie pod większym wrażeniem. – Wie pan, że pierwotnie chciałem urządzić tę ceremonię w Longchamps? Tamtejszy tor wyścigowy może pomieścić pięćdziesiąt tysięcy widzów.

– I wygląda na to, że zdołałby go pan zapełnić, panie ministrze – wtrąca, podlizując się, Boisdeffre.

– Ma się rozumieć, że byśmy go zapełnili! Ale zdaniem ministra spraw wewnętrznych istniała groźba, że dojdzie do rozruchów. A ja powiadam: im większy tłum, tym skuteczniejsza jest lekcja.

Ja uważałem, że dwadzieścia tysięcy to bardzo dużo. Zgiełk zebranych, choć stłumiony, był

złowróżbny niczym oddech jakiegoś mocarnego zwierza, który wprawdzie chwilowo jest spokojny, lecz w mgnieniu oka może stać się groźny. Tuż przed ósmą pojawiła się eskorta kawalerii. Kiedy jechała kłusem przed tłumem, bestia nagle się rozbudziła, bo między jeźdźcami można było dojrzeć czarny furgon więzienny zaprzężony w cztery konie. Fala gwizdów narastała, przetoczyła się nad kawalkadą. Orszak zwolnił, otwarto bramę i przy wtórze stukotu kopyt o bruk powóz i pilnująca go straż wjechali na teren École.

Gdy patrzyłem, jak znikają na wewnętrznym dziedzińcu, odezwał się stojący obok mnie mężczyzna:

– Zauważcie, majorze Picquart: Rzymianie rzucali lwom na pożarcie chrześcijan, my im rzucamy Żydów. To chyba postęp, co?

Człowiek ten, zakutany w szynel z postawionym kołnierzem, miał gruby szary szal na szyi i nisko opuszczoną na oczy czapkę. Najpierw poznałem go po głosie, a później po tym, jak całe jego ciało dygotało niepohamowanie.

Zasalutowałem.

– Pułkowniku Sandherr – przywitałem się.

– Skąd będziecie obserwowali przedstawienie? – zapytał.

– Nie zastanawiałem się nad tym.

– Zapraszam, dołączcie do mnie i moich żołnierzy.

– To dla mnie zaszczyt. Najpierw jednak muszę sprawdzić, czy wszystko przebiega ściśle według wytycznych ministra.

– Kiedy skończycie wypełniać obowiązki, będziemy tam. – Drżącą ręką wskazał na drugą stronę cour Morland. – Będziecie mieli dobry widok.

Obowiązki! Z perspektywy czasu zastanawiam się, czy z jego strony był to sarkazm. Podszedłem do biura garnizonu, gdzie więźnia pilnował kapitan Lebrun-Renault z Gwardii Republikańskiej. Nie miałem ochoty oglądać znowu skazańca. Zaledwie przed dwoma laty był moim studentem właśnie w tym budynku. Teraz nie miałem mu nic do powiedzenia; nic do niego nie czułem; żałowałem, że w ogóle się urodził, i chciałem, żeby raz na zawsze zniknął… z Paryża, z Francji, z Europy. Kawalerzysta poszedł i sprowadził mi kapitana. Lebrun-Renault okazał się potężnym chłopem o rumianej twarzy i wyglądzie koniarza,

zdecydowanie bardziej w typie policjanta niż żołnierza. Wyszedł do mnie i poinformował:

– Zdrajca jest zdenerwowany, ale spokojny. Nie sądzę, żeby sprawiał kłopoty. Szwy na epoletach jego munduru i guziki poluzowano, a klingę szpady na wpół przecięto, żeby na pewno łatwo się złamała. Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Jeśli spróbuje przemówić, na znak generała Darrasa orkiestra zacznie grać i słowa zdrajcy utoną w muzyce.

– Zastanawiam się, jaką melodię należy zagrać, żeby utopić człowieka? – wtrąca teraz z zadumą Mercier.

– Szantę, panie ministrze? – podsuwa usłużnie Boisdeffre.

– Dobre – chwali Mercier roztropnie, acz bez uśmiechu; on rzadko się uśmiecha. Znów zwraca się do mnie: – A więc obserwował pan przebieg uroczystości z Sandherrem i jego żołnierzami. Co pan o nich sądzi?

Nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć – w końcu Sandherr jest przecież pułkownikiem – mówię ostrożnie:

– Że to grupa oddanych patriotów wykonujących nieocenioną pracę, choć nie czekają ich za to żadne zaszczyty.

To dobra odpowiedź. Na tyle znakomita, że może od niej zależeć cała moja przyszłość, zwłaszcza w obliczu tego, o czym zamierzam opowiedzieć. Tak czy owak, Mercier – albo człowiek za maską udającą Merciera – przygląda mi się badawczo, jakby sprawdzał, czy z niego kpię, po czym z uznaniem kiwa głową.

– Ma pan rację, Picquart – przyznaje. – Francja wiele im zawdzięcza.

Sześciu mężczyzn uosabiających to wcielenie cnót – eufemistycznie nazwana „sekcja statystyczna" sztabu generalnego – stawiło się tego ranka w komplecie, by obejrzeć zwieńczenie swojego dzieła. Odszukałem ich, kiedy już skończyłem rozmowę z kapitanem Lebrunem-Renault. Trzymali się na uboczu, z dala od reszty towarzystwa, w południowo-zachodnim rogu placu apelowego, osłonięci od wiatru jednym z niskich budynków otaczających dziedziniec. Sandherr, z rękami w kieszeniach i ze zwieszoną głową, sprawiał wrażenie, jakby błądził myślami gdzieś daleko…

– Czy pamiętasz – wpada mi w słowo minister wojny, zwracając się do Boisdeffre'a – że Jeana Sandherra nazywali „najprzystojniejszym wojskowym w całej Francji"?

– Pamiętam, panie ministrze – potwierdza szef sztabu generalnego. – Biedak… Dziś trudno w to uwierzyć.

Po jednej ręce pułkownika Sandherra stał jego zastępca, spasiony alkoholik o twarzy w kolorze cegły, i z regularnością metronomu pociągał ze spiżowej piersiówki; po drugiej jedyny znany mi z widzenia jego podwładny – zwalisty major Joseph Henry, który poklepał mnie po ramieniu i tubalnym głosem oświadczył, że ma nadzieję, iż wspomnę o nim w raporcie dla ministra. W porównaniu z nim dwaj młodsi oficerowie z sekcji, obaj w stopniu kapitana, wydawali się zgoła bezbarwni. Był wśród nich również cywil, kościsty urzędas z lornetką teatralną przy oczach, którego wygląd nasuwał wrażenie, że rzadko bywa na świeżym powietrzu. Przesunęli się, żeby zrobić mi miejsce, a alkoholik zaproponował mi nawet łyk swojego obrzydliwego koniaku. Wkrótce dołączyli do nas dwaj inni ludzie z zewnątrz – bystry urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz du Paty de Clam, ten przerażająco durny pułkownik ze sztabu generalnego; w porannym świetle jego monokl błyskał niczym pusty oczodół.

Tymczasem zbliżała się pora rozpoczęcia uroczystości, pod złowrogim bladym niebem

wyczuwało się napięcie. Na widowisko ściągnięto blisko cztery tysiące żołnierzy, żaden z nich jednak nie wydał najcichszego dźwięku. Nawet w tłumie zapanowała cisza. Jedynie na obrzeżach cour Morland coś jeszcze się działo – kilku zaproszonych gości wciąż kierowano na właściwe miejsca, ci zaś śpieszyli się, skruszeni niczym spóźnialscy na pogrzebie. Część widzów przed barierkami rozpoznała drobną, szczupłą kobietę w białym futrze, takiej samej czapce, mufce i z niebieską parasolką z falbankami w ręku, którą eskortował wysoki porucznik dragonów, i naraz nad błotem uniosły się brawa podkreślane okrzykami: „Hura!” i „Brawo!”.

Sandherr uniósł głowę.

– A to co za jedna, do diaska?! – burknął.

Któryś z kapitanów odebrał lornetkę teatralną urzędnikowi i wycelował ją w kobietę w futrze, która tymczasem dziękowała tłumom, kiwając głową i z wdziękiem kręcąc parasolką.

– Niech mnie kule biją, jeśli to nie boska Sarah! – Wyregulował nieco ostrość lornetki. – A prowadzi ją Rochebouet z Dwudziestego Ósmego. Ten to ma szczęście!

Mercier siada prosto w fotelu, skubiąc białego wąsa. Sarah Bernhardt zaszczyciła swoją obecnością jego inscenizację! Właśnie takich

rzeczy ode mnie oczekuje: artystycznego blichtru, towarzyskich plotek. Mimo to udaje, że jest niezadowolony.

– Ciekawe, kto wpadł na pomysł, żeby zaprosić jakąś aktoreczkę…

Za dziesięć dziewiąta dowódca parady, generał Darras, przejechał stępa brukowaną ścieżką na środek placu apelowego. Wierzchowiec generała – klacz – parsknął i zwiesił łeb, kiedy jeździec ściągnął cugle; przestępując z nogi na nogę, obrócił się wkoło, obserwując mrowie gapiów, pogrzebał kopytem po stwardniałym błocie i znieruchomiał.

Gdy zegar zaczął wybijać dziewiątą, rozległa się komenda:

– Kompanie! Baczność!

Jednogłośnie, jak grzmot pioruna, trzasnęły pięty buciorów czterech tysięcy żołnierzy. W tej samej chwili na końcu placu apelowego pojawiła się grupa pięciu osób zmierzających w kierunku generała. Dopiero kiedy te małe niewyraźne postacie się zbliżyły, wszyscy zobaczyli, że są to czterej artylerzyści otaczający skazańca. Maszerowali dziarskim krokiem, tak idealnie zgrani, że co piąty krok prawymi piętami stukali o bruk dokładnie z biciem zegara. Raz więzień się potknął, ale szybko z powrotem wpadł

w rytm. Kiedy ucichło echo ostatniego uderzenia, zatrzymali się i zasalutowali. Potem artylerzyści zrobili w tył zwrot i odmaszerowali, zostawiając skazańca sam na sam z generałem.

Wybito werbel. Zabrzmiała trąbka sygnałowa. Na środek placu wystąpił urzędnik, trzymając wysoko przed twarzą kartkę, niczym herold na deskach teatru. Obwieszczenie trzepotało na lodowatym wietrze, lecz jak na tak małego mężczyznę jego głos był zaskakująco donośny.

– W imieniu narodu francuskiego Pierwszy Stały Sąd Wojskowy Rządu Wojskowego w Paryżu, rozpoznawszy sprawę przy drzwiach zamkniętych, na posiedzeniu jawnym wydał niniejszy wyrok – przemówił. – Sędziom zadano jedno pytanie, następującej treści: czy Alfred Dreyfus, kapitan Czternastego Pułku Artylerii i oficer służący w sztabie generalnym, jest winny tego, że w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym przekazał obcemu mocarstwu lub jego przedstawicielom w Paryżu wiele tajnych bądź poufnych dokumentów dotyczących obrony narodowej? Sąd jednomyślnie orzekł: „Tak, oskarżony jest winny”. Sąd jednomyślnie skazuje Alfreda Dreyfusa na karę dożywotniego zesłania do kolonii karnej oraz degradację i nakazuje, by

pozbawienie go stopnia kapitana odbyło się na oczach pierwszej parady wojskowej garnizonu paryskiego.

Urzędnik wrócił na swoje miejsce. Generał Darras uniósł się w strzemionach i wyciągnął szpadę. Żeby na niego spojrzeć, skazaniec musiał zadrzeć głowę. Odebrano mu pince-nez, więc nosił teraz okulary bez oprawki.

– Alfredzie Dreyfus, jesteście niegodni noszenia broni. W imieniu narodu francuskiego degradujemy was!

– I w tym momencie więzień odezwał się po raz pierwszy – opowiadam Mercierowi.

Minister z zaskoczenia aż podskakuje.

– Odezwał się?! – powtarza z niedowierzaniem.

– Tak. – Z kieszeni spodni wyciągam notes. – Podniósł obie ręce nad głowę i krzyknął… – Tu sprawdzam swoje zapiski, żeby niczego nie pokręcić. – „Żołnierze, oni degradują niewinnego człowieka…! Żołnierze, oni niewinnego człowieka pozbawiają honoru! Niech żyje Francja…! Niech żyje wojsko…!” – Czytam wyraźnie, bez emocji, czyli dokładnie tak, jak skazaniec wykrzykiwał te słowa. Jedyna różnica polega na tym, że Dreyfus, jako Żyd z alzackiej Miluzy, lekko zaprawił je niemieckim akcentem.

– Jak można było do tego dopuścić? – oburza się minister z marsową miną. – Mówił pan, zdaje się, że gdyby więzień chciał wygłosić mowę, mieli zagrać marsz?

– Generał Darras uznał, że kilka okrzyków protestu to jeszcze nie przemówienie, a muzyka kłóciłaby się z powagą sytuacji.

– Czy tłum jakoś zareagował?

– Tak. – Ponownie zaglądam do notatek. – Ludzie zaczęli skandować: „Śmierć… śmierć… śmierć…”.

Słysząc, jak skandują, spojrzeliśmy w stronę barierek.

– Muszą coś zrobić, inaczej to się może wymknąć spod kontroli – rzekł pułkownik Sandherr.

Poprosiłem o pożyczenie lornetki teatralnej. Podniosłem ją do oczu, wyregulowałem ostrość i zobaczyłem, jak olbrzymi starszy sierżant Gwardii Republikańskiej kładzie ręce na Dreyfusie. Kilkoma ruchami mocarnych rąk zdarł epolety z jego ramion, pourywał wszystkie guziki z kurtki mundurowej i złote galony z rękawów, a potem ukląkł i oderwał czerwone lampasy ze spodni. Skupiłem się na minie Dreyfusa. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Patrzył prosto przed siebie, kiedy szarpano nim

raz w tę, raz w tamtą stronę; poddawał się temu upokorzeniu jak dziecko, któremu zirytowany dorosły poprawia ubranie. Na koniec starszy sierżant wyjął szpadę Dreyfusa z pochwy, wbił jej czubek w błoto i złamał klingę kopnięciem buciora. Rzucił jej obie części na kupkę pasmanterii u stóp skazańca, raptownie zrobił dwa kroki w tył, obrócił się twarzą do generała i zasalutował, a tymczasem Dreyfus spoglądał na podarte symbole jego honoru.

– No, Picquart, to wy macie lornetkę – burknął niecierpliwie Sandherr. – Mówcie nam, jak on wygląda.

– Wygląda… – zwróciłem lornetkę urzędnikowi – wygląda jak żydowski krawiec podliczający, ile pieniędzy zmarnowano na te pozdzierane złote galony. Gdyby miał na szyi centymetr krawiecki, mógłby być krojczym w szwalni przy rue Auber.

– Dobre – pochwalił Sandherr. – Podoba mi się.

– Bardzo dobre – przytakuje Mercier, zamykając oczy. – Widzę go jak na dłoni.

– Niech żyje Francja! – krzyknął znów Dreyfus. – Przysięgam, że jestem niewinny!

A potem, pod eskortą, rozpoczął długi marsz wzdłuż czterech stron cour Morland, paradując

w podartym mundurze przed każdym oddziałem wojska, żeby żołnierze na całe życie zapamiętali sobie, jak armia traktuje zdrajców. Co pewien czas wykrzykiwał: „Jestem niewinny!”, a tłum gapiów kwitował te słowa szyderczymi gwizdami i okrzykami „Judasz!” oraz „Żydowski zdrajca!”. Na pozór ciągnęło się to w nieskończoność, chociaż według mojego zegarka trwało nie więcej niż siedem minut.

Gdy Dreyfus ruszył w naszym kierunku, człowiek z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, na którego przypadła kolej obserwacji przez lornetkę, odezwał się tym swoim rozwlekłym głosem:

– Nie rozumiem, jak ten gość może twierdzić, że jest niewinny, skoro pozwala się tak upokarzać. Gdyby rzeczywiście był niewinny, z pewnością spróbowałby walczyć, a nie potulnie dawał się tak prowadzać. A może wszyscy Żydzi tak mają, jak sądzicie?

– Wiadoma rzecz, że to żydowska przypadłość – odparł Sandherr. – Ta rasa jest wyzbyta patriotyzmu, honoru i dumy. Od stuleci nic tylko zdradzają ludzi, wśród których żyją, poczynając od Jezusa Chrystusa.

Kiedy Dreyfus mijał miejsce, gdzie staliśmy, Sandherr na znak pogardy odwrócił się do niego

plecami. Natomiast ja nie mogłem oderwać od skazańca wzroku. Czy to dlatego, że ostatnie trzy miesiące spędził w więzieniu, czy to z powodu przejmującego zimna jego twarz była bladoszara i obrzmiała, o barwie czerwia. Pozbawioną guzików czarną kurtkę od munduru miał rozchełstaną, wystawała spod niej biała koszula. Rzadkie włosy sterczały na głowie kępkami. Dreyfus szedł ze swą wartą, nie gubiąc kroku. Gdy nas mijali, zerknął w naszą stronę. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, a ja zajrzałem w głąb jego duszy, zobaczyłem zwierzęcy strach i rozpaczliwą psychiczną walkę, żeby nie dać się złamać. Odprowadzając go wzrokiem, uświadomiłem sobie, że ten błysk w jego włosach to ślina. A Dreyfus ani chybi zastanawiał się, jaką rolę odegrałem w doprowadzeniu go do upadku.

Pozostał mu już ostatni etap jego drogi krzyżowej, ten najgorszy, tego akurat byłem pewien – przejście wzdłuż barierek przed tłumem. Policjanci wzięli się pod łokcie, próbując utrzymać publikę na dystans. Jednak na widok zbliżającego się więźnia tłum naparł do przodu. Policyjny kordon wybrzuszył się, naprężył, a potem pękł, przepuszczając demonstrantów, którzy rozlali się po chodniku i wzdłuż barierek. Dreyfus zatrzymał się, odwrócił i uniósłszy ręce,

coś powiedział. Stał zwrócony do mnie plecami, więc nie słyszałem jego słów, jedynie znajome wyzwiska: „Judasz!”, „Zdrajca!”, które rzucano mu w twarz, oraz okrzyki: „Śmierć Żydom!”.

W końcu straż odciągnęła go i zaprowadziła do furgonu więziennego, stojącego niedaleko w otoczeniu konnej eskorty. Skazaniec miał ręce skute na plecach. Wsiadł do furgonu. Drzwi zamknięto, zaryglowano, zacięto konie batem i orszak ruszył z kopyta, wyjeżdżając przez bramę na Place de Fontenoy. Przez chwilę wątpiłem, czy zdoła uciec otaczającej go ciżbie i wyciągniętym rękom uderzającym w boki powozu. Ale kawalerzyści odpędzili rozjuszonych, siekąc ich na płask brzeszczotami szabel. Dwukrotnie usłyszałem trzaśnięcie bicza. Woźnica wydał krzykiem rozkaz, wóz przyśpieszył, wyrwał się z tłumu, skręcił w lewo i zniknął.

Prawie natychmiast padła komenda do marszu. Wydawało się, że od tupotu żołnierskich butów trzęsie się ziemia. Zadęto w trąbki. Werble wybijały rytm. W chwili gdy orkiestra zagrała *Sambre-et-Meuse*, zaczął sypać śnieg. Poczułem wielką ulgę. Jak chyba wszyscy. Odwracaliśmy się spontanicznie do siebie, ściskając sobie ręce. Zupełnie jak gdyby zdrowe ciało oczyściło się

z morowego plugastwa i życie mogło się zacząć od nowa.

* * *

Kończę zdawać relację. W pokoju ministra zapada cisza, jeśli nie liczyć trzaskającego ognia w kominku.

– Szkoda tylko, że zdrajca pozostanie przy życiu – odzywa się w końcu Mercier. – I mówię to, mając na względzie głównie jego interes. Bo jakie życie go czeka? Zabijając go, wyświadczylibyśmy mu uprzejmość. Dlatego chciałem, żeby Izba Deputowanych przywróciła karę śmierci za zdradę.

Boisdeffre potakuje głową.

– Starał się pan ze wszystkich sił, panie ministrze – przypochlebia się.

Mercier wstaje, towarzyszy temu trzask stawów kolanowych. Podchodzi do wielkiego globusa osadzonego na stojaku obok biurka i przywołuje mnie skinieniem ręki. Wkłada okulary, po czym spogląda na kulę ziemską niczym krótkowzroczny bóg.

– Muszę go umieścić w takim miejscu, żeby z nikim nie mógł rozmawiać – mówi. – Nie chcę, żeby przemycał kolejne zdradzieckie

wiadomości. I co nie mniej ważne, nie życzę sobie, żeby ktokolwiek mógł się z nim kontaktować.

Minister zaskakująco delikatnie kładzie dłoń na półkuli północnej i łagodnie zakręca światem. Przed nami przesuwa się Atlantyk. Mercier zatrzymuje kulę i wskazuje jakieś miejsce na wybrzeżu Ameryki Południowej, siedem tysięcy kilometrów od Paryża. Patrzy na mnie i unosi brew, zapraszając, żebym sam się domyślił.

– Kolonia karna w Cayenne? – pytam.

– Ciepło, ale mam coś pewniejszego. – Nachyla się i klepie globus. – Diabelska Wyspa, piętnaście kilometrów od wybrzeża. W morzu roi się od rekinów. Przez ogromne fale i silne prądy nawet łodzią trudno tam przybić.

– Myślałem, że tę kolonię zamknięto już lata temu.

– Owszem. Ostatnimi jej mieszkańcami byli trędowaci skazańcy. Będę musiał uzyskać zgodę Izby Deputowanych, ale tym razem ją dostanę. Ponownie otworzymy tam więzienie, specjalnie dla Dreyfusa. No i co pan na to?

Moją pierwszą reakcją jest zaskoczenie. Mercier, ożeniony z Angielką, uchodzi za republikanina i wolnomyśliciela – na przykład nigdy nie chodzi na mszę – a są to przymioty,

które podziwiam. Mimo to ma w sobie coś z fanatycznego jezuity. Diabelska Wyspa? – myślę sobie. Podobno wkraczamy w wiek dwudziesty, a nie w osiemnasty…

– No i? – powtarza. – Co pan o tym sądzi?

– Czy nie trąci to trochę… – Starannie dobieram słowo, pragnę być taktowny. – Dumasem?

– Trąci Dumasem? Co pan chce przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że to wygląda na karę wyjętą z powieści historycznej. Pobrzmiewa w niej echo *Człowieka w żelaznej masce*. A jeśli Dreyfus zyska przydomek Człowieka z Diabelskiej Wyspy? Zostałby najsłynniejszym więźniem na świecie…

– No właśnie! – krzyczy Mercier i w rzadkim przejawie emocji klepie się w udo. – Właśnie to mi się w tym podoba. To zawładnie społeczną wyobraźnią.

Ustępuję wobec wyższości jego oceny sytuacji politycznej, jednocześnie zastanawiając się, co ma do tego społeczeństwo. Dopiero gdy biorę płaszcz i zmierzam do wyjścia, minister podrzuca mi podpowiedź:

– Być może po raz ostatni widzimy się w tym gabinecie.

– Przykro mi to słyszeć, panie generale.

– Jak pan się domyśla, niespecjalnie interesuję się polityką. Jestem zawodowym żołnierzem, nie politykiem. Jednak o ile mi wiadomo, wśród partii panuje wielkie niezadowolenie i rząd może przetrwać najwyżej tydzień czy dwa. Niewykluczone nawet, że będziemy mieli nowego prezydenta. – Mercier wzrusza ramionami. – Tak czy owak, my, żołnierze, służymy tam, gdzie nam każą. – Podaje mi rękę. – Jestem pod wrażeniem inteligencji, jaką zaprezentował pan podczas całej tej nieszczęsnej afery, majorze Picquart. Nie zapomnimy o tym, prawda, generale?

– Oczywiście, że nie, panie ministrze. – Boisdeffre również wstaje, żeby mi podać rękę. – Dziękuję wam, Picquart. To było wielce pouczające. Czułem się, jakbym był przy tym obecny. A swoją drogą, jak wasz rosyjski?

– Wątpię, żebym nauczył się kiedyś mówić w tym języku, generale, ale potrafię już czytać Tołstoja… rzecz jasna, posiłkując się słownikiem.

– Wyśmienicie. Między Francją a Rosją dzieją się wielkie rzeczy. Dobra znajomość rosyjskiego bardzo się przyda młodemu obiecującemu oficerowi.

Już mam otworzyć drzwi, przy których stoję, kiedy Mercier odzywa się znienacka:

– Niech pan mi powie, czy w ogóle padło moje nazwisko?

– Czy padło? – Nie jestem całkiem pewny, o co mu chodzi. – W jakim sensie?

– W trakcie porannej uroczystości.

– Nie sądzę…

– Nieważne. – Mercier lekceważąco macha ręką. – Po prostu byłem ciekawy, czy w tłumie ktoś demonstrował…

– Niczego takiego nie zauważyłem.

– To dobrze. Niczego takiego nie oczekiwałem.

Cicho zamykam za sobą drzwi.

* * *

Wychodząc z powrotem do wietrznego kanionu rue Saint-Dominique, przytrzymuję czapkę, by nie zwiało mi jej z głowy, i przechodzę sto metrów do sąsiedniego gmachu Ministerstwa Wojny. Nikogo tam nie zastaję. Najwidoczniej moi towarzysze broni mają w sobotę lepsze rzeczy do roboty niż zajmowanie się biurokracją francuskiej armii. Równe chłopaki! Napiszę tylko oficjalny raport, uprzątnę biurko i spróbuję przestać myśleć o Dreyfusie. Truchtem wbiegam po schodach i korytarzem docieram do mojego gabinetu.

Od czasów Napoleona Ministerstwo Wojny dzieli się na cztery wydziały. Pierwszy zajmuje się administracją; Drugi – wywiadem; Trzeci – działalnością operacyjną i szkoleniem; a Czwarty – transportem. Ja pracuję w Trzecim, pod dowództwem pułkownika Bouchera, którego również nigdzie nie widać w ten zimowy poranek – ostatecznie to także równy chłop. Jako jego zastępca mam do dyspozycji osobny gabinet: gołą mnisią celę z wychodzącym na ponury dziedziniec oknem. Za całe umeblowanie służą mi dwa krzesła, biurko i szafka na akta. Ogrzewanie nie działa. Panuje taki ziąb, że przy każdym oddechu widzę parę ulatującą z moich ust. Nie zdejmując płaszcza, siadam i wpatruję się w stos papierów, który narósł w ciągu ostatnich kilku dni. Z jękiem sięgam po jedną z teczek.

Może ze dwie godziny później, wczesnym popołudniem, słyszę stukot kroków kogoś nadchodzącego wyludnionym korytarzem. Ten ktoś mija mój gabinet, zatrzymuje się, wraca i przystaje przed drzwiami. Drewno jest na tyle cienkie, że słyszę ciężki oddech. Wstaję, cicho podchodzę do progu, nasłuchuję, po czym gwałtownie otwieram drzwi i stwierdzam, że stoję twarzą w twarz z szefem Wydziału

Drugiego – czyli zwierzchnikiem całego wywiadu wojskowego. Sam nie wiem, który z nas jest bardziej zdenerwowany.

– Generał Gonse – mówię, salutując. – Nie miałem pojęcia, że to pan.

Gonse słynie z tego, że pracuje po czternaście godzin dziennie. Mogłem się domyślić, że jeśli ktokolwiek poza mną przebywa w budynku, to tylko on. Jego wrogowie twierdzą, że jedynie dzięki temu udaje mu się utrzymać na szczycie w tym zawodzie.

– Nic się nie stało, majorze Picquart. To gmaszysko to istny labirynt. Mogę? – Człapie na swoich krótkich nogach w głąb gabinetu, zaciągając się papierosem. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale pułkownik Guérin właśnie przysłał mi wiadomość z Place Vendôme. Twierdzi, że dzisiaj rano Dreyfus się przyznał. Wiedział pan o tym?

Wybałuszam na niego oczy jak jakiś głupek.

– Nie, panie generale, nie wiedziałem.

– Wygląda na to, że na pół godziny przed rozpoczęciem uroczystości wyznał kapitanowi, który go pilnował, że naprawdę przekazywał dokumenty Niemcom. – Gonse wzrusza ramionami. – Pomyślałem, że powinien pan

o tym wiedzieć, skoro miał pan mieć oko na wszystko i zdać relację ministrowi.

– Ale ja już mu przekazałem swój raport… – mówię przerażony. Taki stopień niekompetencji może raz na zawsze zniszczyć człowiekowi karierę. Od października, pomimo przytłaczających dowodów świadczących przeciwko niemu, Dreyfus uparcie odmawiał przyznania się do winy. Tymczasem teraz się dowiaduję, że w końcu się przyznał, na dobrą sprawę pod moim nosem, a ja tego nie zauważyłem! – Chyba pójdę tam i sprawdzę, jak to właściwie było.

– Też tak panu radzę. A kiedy już pan to wyjaśni, proszę wrócić i zdać mi sprawozdanie.

I znów wybiegam w lodowaty, szary półmrok. Łapię dorożkę na postoju przy rogu boulevard Saint-Germain, a po przyjeździe do École Militaire każę woźnicy zaczekać i wbiegam do środka. Cisza na olbrzymim placu apelowym drwi sobie ze mnie. Jedyną oznaką życia są śmieciarze zbierający odpadki z Place de Fontenoy. Wracam do dorożki i każę się jak najszybciej zawieźć do siedziby wojskowego gubernatora Paryża przy Place Vendôme, gdzie w holu tego ponurego, zrujnowanego gmachu czekam na pułkownika Guérina. Ten się nie

śpieszy, a kiedy się w końcu pojawia, sprawia wrażenie kogoś oderwanego od dobrego obiadu, kto czym prędzej pragnie wrócić do stołu.

– Wszystko już wyjaśniłem generałowi Gonse'owi.

– Przepraszam, pułkowniku, ale czy zechciałby pan to wyjaśnić również mnie?

Guérin wzdycha.

– Kapitan Lebrun-Renault został oddelegowany do pilnowania Dreyfusa w wartowni do czasu rozpoczęcia uroczystości. Przekazał go eskorcie, a kiedy zaczęła się ceremonia degradacji, podszedł do naszej grupy i powiedział coś w rodzaju: „A niech mnie kule biją, łajdak właśnie przyznał się do wszystkiego".

Wyjmuję notes.

– Co, według kapitana, powiedział mu Dreyfus? – pytam.

– Nie pamiętam dokładnie co do słowa. Sedno sprowadzało się do tego, że przekazywał Niemcom jakieś tajemnice, ale nic ważnego, minister wiedział o wszystkim, a w ogóle to za kilka lat cała historia i tak wyszłaby na jaw. Coś w tym guście. Musi pan porozmawiać z kapitanem Lebrunem-Renault.

– Tak zrobię. Gdzie go znajdę?

– Nie mam pojęcia. Zszedł ze służby.

– Czy wciąż przebywa w Paryżu?

– Drogi majorze, a skąd ja mam to wiedzieć?

– Czegoś tu nie rozumiem – oświadczam. – Z jakiego powodu Dreyfus miałby nagle przyznawać się do winy nieznajomemu, w takim momencie i nie mając niczego do zyskania, skoro przez trzy miesiące wszystkiego się wypierał?

– W tej kwestii panu nie pomogę. – Pułkownik ogląda się przez ramię w kierunku stygnącego obiadu.

– Poza tym skoro dopiero co przyznał się kapitanowi Lebrunowi-Renault, to dlaczego po wyjściu na dwór w obliczu wielotysięcznego tłumu kilkakrotnie wykrzykiwał, że jest niewinny?

Pułkownik prostuje się.

– Czy zarzuca pan jednemu z moich oficerów kłamstwo?

– Dziękuję, pułkowniku – odpowiadam, chowając notes.

Po powrocie do ministerstwa od razu kieruję się do gabinetu Gonse’a, który ślęczy nad stertą akt. Słuchając mojego raportu, kładzie nogi na biurku i odchyla się na krześle.

– Czyli pańskim zdaniem to opowieść bez pokrycia? – pyta.

– Owszem. Zwłaszcza odkąd poznałem szczegóły. Jest dużo bardziej prawdopodobne, że ten tępy kapitan gwardii źle go zrozumiał. Ewentualnie zmyślił całą bajeczkę, żeby zyskać na znaczeniu w oczach kolegów. Rzecz jasna, zakładam, że Dreyfus nie był podwójnym agentem podesłanym Niemcom – dodaję.

Gonse wybucha śmiechem i zapala następnego papierosa.

– A szkoda! – rzuca.

– Co mi pan teraz zleci, generale?

– Nie sądzę, żeby mógł pan zrobić coś więcej.

Zastanawiam się.

– No cóż, jest tylko jeden sposób, żeby zyskać pewność – mówię z wahaniem.

– Mianowicie jaki?

– Możemy zapytać Dreyfusa.

Gonse kręci głową.

– Wykluczone. Nie ma już z nim żadnego kontaktu. Zresztą, wkrótce zostanie wywieziony z Paryża. – Zdejmuje nogi z biurka i opuszcza na podłogę. Przysuwa sobie stos teczek. Na front jego munduru spada popiół z papierosa. – Proszę zostawić to mnie. Wyjaśnię wszystko szefowi sztabu i ministrowi. – Otwiera jakieś akta, zaczyna je czytać. – Dziękuję, majorze Picquart – mówi, nie podnosząc wzroku. – Może pan odejść.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tego samego dnia wieczorem jadę do Wersalu zobaczyć się z matką. W śniegu i w świetle latarni gazowych pociąg wygląda niesamowicie, kołysząc się podczas jazdy przedmieściami Paryża; w środku hulają przeciągi. Podróż trwa blisko godzinę. Korzystając z tego, że mam cały przedział dla siebie, próbuję czytać *Młodzika* Dostojewskiego, lecz za każdym razem, gdy podskakujemy na zwrotnicach, światło gaśnie i gubię miejsce, w którym skończyłem. W sinawym blasku światła awaryjnego wyglądam przez okno, wyobrażając sobie Dreyfusa w celi więzienia La Santé. Więźniów zwozi się tam koleją, w przystosowanych do tego celu wagonach bydlęcych. Zakładam, że wyślą go stamtąd na zachód, do jakiegoś portu atlantyckiego, gdzie będzie czekał na deportację. Przy tej pogodzie taka podróż będzie jak droga przez piekło. Zamykam oczy, próbuję się zdrzemnąć.

Matka ma niewielkie mieszkanie na nowoczesnej ulicy w pobliżu stacji kolejowej

w Wersalu. Ma siedemdziesiąt siedem lat, mieszka sama i od niemal trzydziestu lat jest wdową. Odwiedzam ją na zmianę z siostrą. Anna jest starsza i w przeciwieństwie do mnie ma dzieci. Mój dyżur przypada zawsze w sobotnie wieczory, bo jedynie wtedy mam pewność, że uda mi się wyrwać z ministerstwa.

Gdy docieram na miejsce, od dawna jest już ciemno; temperatura jak nic spadła do minus dziesięciu.

– Kto tam?! – woła matka zza zamkniętych drzwi.

– To ja, Georges, *maman*.

– Kto?

– Georges, twój syn.

Przekonanie jej, żeby mnie wpuściła, zajmuje mi trochę czasu. Czasami bierze mnie za mojego starszego brata, Paula, który nie żyje od pięciu lat; a czasem – co jest jeszcze gorsze – myli mnie z moim ojcem, który umarł, kiedy miałem jedenaście lat. (Inna siostra zmarła, zanim się urodziłem, a drugi brat przeżył całe jedenaście dni; demencja starcza ma tę niewątpliwą zaletę, że odkąd matka straciła pamięć, nie odczuwa potrzeby towarzystwa).

Chleb i mleko są zmrożone na kość, woda w rurach zamarzła. Pierwsze pół godziny

spędzam na rozpalaniu ognia, próbując sprawić, żeby mieszkanie odtajało, a drugie, leżąc na plecach i naprawiając przeciekającą rurę. Zjadamy boeuf bourguignon, który przychodząca raz dziennie pokojówka kupiła u miejscowego *traiteur*. *Maman* jest w świetnej formie, od czasu do czasu nawet przypomina sobie, kim jestem. Opowiadam jej o tym, co robiłem, ani słowem nie wspominam jednak o Dreyfusie i jego degradacji – zrozumienie, o co chodzi, wymagałoby od niej zbyt wielkiego wysiłku. Później siadamy do fortepianu zajmującego większą część maleńkiego salonu i gramy na cztery ręce rondo Chopina. *Maman* gra bezbłędnie, odpowiadająca za muzykę część jej mózgu pozostała nienaruszona – ta wysiądzie jako ostatnia. A kiedy idzie spać, ja nadal siedzę na stołku, oglądając fotografie na fortepianie: uroczyste zdjęcia grupowe ze Strasburga, ogród domu w Geudertheim, miniaturę, na której matka pobiera lekcję muzyki, piknik w lasku w dzielnicy Neudorf… To okruchy nieistniejącego świata, Atlantydy, którą straciliśmy w wyniku wojny[1].

Miałem szesnaście lat, gdy Niemcy ostrzelali Strasburg, umożliwiając mi – jakże miło z ich strony – naoczne zapoznanie się z rezultatami

tego, co na zajęciach w École Supérieure de Guerre nazywamy „pierwszym zastosowaniem na dużą skalę artylerii dalekiego zasięgu, obliczonym zwłaszcza na wytępienie ludności cywilnej”. Patrzyłem, jak pożar doszczętnie trawi miejskie muzeum sztuki oraz bibliotekę, widziałem całe dzielnice obracane w perzynę, klęczałem obok konających przyjaciół i pomagałem wykopywać nieznajomych z gruzów. Po dziewięciu tygodniach garnizon złożył broń. Dano nam wybór – mogliśmy albo stać się Niemcami (i wówczas nie musielibyśmy się wynosić), albo porzucić cały dobytek i przenieść się do Francji. Przybyliśmy do Paryża bez środków do życia i odarci ze złudzeń na temat bezpieczeństwa w naszym cywilizowanym świecie.

Przed upokorzeniem z roku 1871 mógłbym zostać nauczycielem muzyki albo chirurgiem; po nim każda inna kariera niż wojskowa wydawała się błaha. Ministerstwo Wojny zapłaciło za moje wykształcenie, wojsko stało się moim ojcem, a nigdy żaden syn nie starał się zadowolić wymagającego taty tak jak ja. Niedostatki marzycielskiej i artystycznej duszy nadrabiałem morderczą dyscypliną. Akademię wojskową w Saint-Cyr ukończyłem z piątą lokatą na trzystu

czterech kadetów. Mówię po niemiecku, włosku, angielsku i hiszpańsku. Walki w górach Aurès w północnej Afryce przyniosły mi Medal Kolonialny, za udział w bitwach nad Rzeką Czerwoną w Indochinach dostałem gwiazdę za odwagę – a zatem jestem kawalerem Legii Honorowej. A dzisiaj, po dwudziestu czterech latach noszenia munduru, tak minister wojny, jak i szef sztabu generalnego przedstawili mnie do odznaczenia. Kiedy więc leżę u matki w Wersalu w sypialni dla gości, a piąty stycznia przechodzi w szósty, w głowie nie słyszę Alfreda Dreyfusa, zaklinającego się, że jest niewinny, tylko głos Auguste'a Merciera, dającego mi do zrozumienia, że czeka mnie awans: „Jestem pod wrażeniem inteligencji, jaką zaprezentował pan podczas… Nie zapomnimy o tym…".

* * *

Następnego dnia rano, przy dźwiękach bicia dzwonów, biorę matkę pod kruchą rękę i prowadzę na samą górę oblodzonej ulicy, gdzie skręcamy za róg, do katedry Saint-Louis – moim zdaniem, szczególnie pompatycznego pomnika usankcjonowanych przez państwo zabobonów[2]. Że też Niemcy akurat tego nie rozwalili! Zbiór

wiernych jest monochromatyczny, czarno-biały – składa się z zakonnic i wdów. Przed wejściem puszczam rękę matki.

– Spotkamy się tutaj po mszy – obiecuję.

– Nie wejdziesz? – dziwi się.

– Nigdy nie wchodzę, *maman*. Przerabiamy ten temat co tydzień.

Spogląda na mnie wilgotnymi szarymi oczami.

– A co ja powiem Bogu? – pyta drżącym głosem.

– Powiedz mu, że będę tam, na placu, w Café du Commerce.

Zostawiam matkę pod opieką młodego księdza i kieruję się do kawiarni. Po drodze przystaję, by kupić dwie gazety: „Le Figaro” oraz „Le Petit Journal”. Siadam przy stoliku przy oknie, zamawiam kawę, zapalam papierosa. W obu gazetach degradacja Dreyfusa znalazła się na pierwszych stronach; „Journal” na czołówce właściwie nie pisze o niczym innym. Jego relację ilustrują nieudolne rysunki – Dreyfusa doprowadzanego na plac apelowy, małego pulchnego urzędnika w pelerynie, odczytującego wyrok, zdzieranie z munduru więźnia emblematów, a także portret samego Dreyfusa, który w wieku trzydziestu pięciu lat wygląda jak

siwowłosy starzec. Tytuł brzmi: *Ekspiacja. Żądamy dla zdrajcy Dreyfusa najwyższego wymiaru kary. Nadal uważamy, że jedyną stosowną karą jest kara śmierci…* Zupełnie jakby nienawiść i wzajemne oskarżenia duszone od czasu porażki w roku 1871 znalazły ujście w osobie jednego człowieka.

Popijam kawę, przebiegam wzrokiem sensacyjny opis ceremonii w „Journal", aż nagle trafiam na coś takiego: *Dreyfus odwrócił się do eskorty i powiedział: „Owszem, przekazałem dokumenty, ale tylko po to, żeby dostać inne, o wiele ważniejsze. Za trzy lata prawda wyjdzie na jaw i minister zarządzi wznowienie mojego procesu". To częściowe przyznanie się do winy jest pierwszą wypowiedzią zdrajcy od czasu jego aresztowania…*

Nie odrywając wzroku od artykułu, powoli odstawiam filiżankę i jeszcze raz czytam ten fragment. Potem biorę „Le Figaro". Na pierwszej stronie nie ma ani słowa o przyznaniu się do winy, częściowym czy jakimkolwiek innym – co za ulga. Ale na drugiej znajduję wiadomość z ostatniej chwili: *A teraz relacja świadka, którą otrzymaliśmy w ciągu ostatniej godziny…* I oto czytam inną wersję tej samej historii, z tą różnicą, że jako źródło podany jest z nazwiska

Lebrun-Renault; no i tym razem niewątpliwie zaprezentowano autentyczny głos Dreyfusa. W każdej frazie słyszę jego desperację, pragnienie przekonania wszystkich, nawet pilnującego go oficera.

Panie kapitanie, niech pan posłucha, proszę. W szafie w ambasadzie znaleziono list przewodni do czterech innych dokumentów. Pokazano go kilku ekspertom grafologom. Trzej orzekli, że to ja go napisałem, a dwaj zaprzeczyli. I skazano mnie wyłącznie na tej podstawie! Mając osiemnaście lat, poszedłem na studia w École Polytechnique. Czekała mnie wspaniała kariera wojskowa, miałem majątek wynoszący pięćset tysięcy franków i perspektywę dochodu w wysokości pięćdziesięciu tysięcy rocznie. Nie uganiałem się za spódniczkami. Nigdy w życiu nie miałem w ręku kart. Nie potrzebowałem pieniędzy. Po co więc miałbym się dopuszczać zdrady? Dla zysku? Nie. A zatem dlaczego?

Te szczegóły nie miały się przedostać do wiadomości publicznej, więc w pierwszym odruchu przeklinam pod nosem Lebruna-

Renault, sakramenckiego młodego głupca. W wypadku oficera chlapanie ozorem przed dziennikarzami zawsze jest niewybaczalne… A już w tak drażliwej sprawie jak ta! Widocznie był pijany! Przychodzi mi na myśl, że powinienem natychmiast wracać do Paryża i iść prosto do Ministerstwa Wojny. Myślę jednak o matce, która niewątpliwie modli się właśnie na klęczkach o nieśmiertelność mojej duszy, i dochodzę do wniosku, że lepiej się do tego nie mieszać.

Nic więc nie robię i dzień przebiega zgodnie z planem. Wyrywam matkę ze szponów dwóch zakonnic, wracamy do mieszkania, a w południe mój kuzyn Edmond Gast przysyła po nas powóz, którym jedziemy na obiad do jego domu w pobliskiej wiosce Ville-d'Avray. Jest to miłe, niezobowiązujące spotkanie w gronie rodziny i przyjaciół – przyjaciół znanych od tak dawna, że też czują się jak rodzina. Edmond, choć o dwa lata młodszy ode mnie, jest już merem Ville-d'Avray; to jeden z tych obrotnych szczęśliwców, którzy potrafią sobie radzić w życiu. Uprawia rolę, maluje, poluje, bez trudu zbija majątek, dobrze wydaje pieniądze, no i kocha żonę – ale nic w tym dziwnego, skoro Jeanne jest śliczna jak dziewczyna z płótna Renoira. Nie wiem, co to

zazdrość, ale gdybym miał komuś zazdrościć, to właśnie Edmondowi. Obok Jeanne zasiada w jadalni Louis Leblois, który chodził ze mną do szkoły; przy mnie siedzi jego żona, Martha; naprzeciwko mam Pauline Romazzotti, która – pomimo włoskiego nazwiska – dorastała z nami pod Strasburgiem, a teraz jest żoną urzędnika z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Philippe'a Monniera, starszego od nas o jakieś osiem, dziesięć lat. Specjalnie włożyła prostą szarą sukienkę z białym wykończeniem; wie, że ją lubię, bo przypomina mi tę, którą nosiła, gdy miała osiemnaście lat.

Poza Monnierem wszyscy przy stole są wygnańcami z Alzacji i nikt nie powie dobrego słowa o naszym ziomku Alzatczyku, Dreyfusie, nawet Edmond, który jako polityk jest radykalnym republikaninem. Wszyscy mamy za to coś do powiedzenia o Żydach, zwłaszcza z Miluzy, której mieszkańcy, gdy doszło co do czego i po wojnie trzeba było wybierać obywatelstwo, wykazali lojalność wobec Niemców, a nie Francuzów.

– Są jak chorągiewki na wietrze, idą za tym, kto akurat jest przy władzy – oświadcza Monnier, kiwając kieliszkiem wina. – Dzięki temu ich rasa

zdołała przeżyć ostatnie dwa tysiące lat. W gruncie rzeczy nie można mieć im tego za złe.

Jedynie Leblois ośmiela się zasiać ziarenko wątpliwości.

– Z drugiej strony jako prawnik z zasady jestem przeciwny utajnianiu procesów i przyznaję, że zastanawiam się, czy w ten sam sposób odmówiono by normalnego procesu sądowego oficerowi chrześcijaninowi… zwłaszcza że według „Le Figaro” dowody przeciwko niemu wydają się bardzo słabe.

Odpowiadam mu na to zimno:

– Louisie, jemu „odmówiono normalnego procesu sądowego”, jak to ująłeś, ponieważ dotyczył kwestii bezpieczeństwa narodowego, których nie można było omawiać na posiedzeniu otwartym. Osoba oskarżonego nie miała tu nic do rzeczy. I zapewniam cię z całą mocą, że dowodów świadczących przeciwko niemu było mnóstwo!

Pauline gani mnie wzrokiem; uświadamiam sobie, że podniosłem głos. Zapada cisza. Louis poprawia serwetkę, ale się nie odzywa, nie chce psuć nam posiłku. Pauline, nieodrodna żona dyplomaty, korzystając z okazji, podrzuca przyjemniejszy temat do rozmowy:

– Czy mówiłam wam już, że na rue Marbeuf odkryliśmy z Philippe’em absolutnie cudowną alzacką restaurację…?

* * *

Kiedy docieram do domu, jest już piąta. Mieszkam w Szesnastej Dzielnicy, niedaleko Place Victor Hugo. Z takim adresem sprawiam wrażenie, jakbym należał do wielkiego świata, chociaż to oczywiście bzdura. Naprawdę mam tylko dwa małe pokoiki na czwartym piętrze, a i tak z żołdu majora ledwo mi starcza na czynsz. Nie jestem Dreyfusem, z prywatnymi dochodami dziesięciokrotnie większymi od moich zarobków. Zawsze jednak wolałem mieć choć odrobinę czegoś wybornego niż nadmiar bylejakości; dlatego z trudem, bo z trudem, ale jakoś sobie radzę.

Otwieram drzwi wejściowe od ulicy, ale po kilku krokach ku schodom słyszę za plecami głos konsjerżki:

– Majorze Picquart!

Odwracam się i widzę *madame* Guerault wymachującą kartą wizytową.

– Odwiedził pana oficer – oznajmia, podchodząc do mnie. – Generał!

Biorę wizytówkę: „Generał Charles-Arthur Gonse, minister wojny”. Na odwrocie zapisał swój adres domowy.

Mieszka niedaleko avenue du Bois de Boulogne, bez trudu mogę się tam przespacerować. Pięć minut później dzwonię do jego domu. Człowiek w progu to już nie ten swobodny mężczyzna, z którym rozstałem się w sobotę wieczorem. Jest nieogolony, z wyczerpania ma ciemne wory pod oczami. Spod rozpiętej do pasa kurtki munduru wystaje brudnawy podkoszulek. Generał trzyma kieliszek koniaku.

– Picquart. Dobrze, że pan przyszedł.

– Bardzo przepraszam, że nie w mundurze, panie generale.

– Nie szkodzi. A zresztą jest niedziela.

Idę za nim przez ciemne mieszkanie.

– Żona wyjechała na wieś – wyjaśnia mi przez ramię.

Wchodzimy do jego gabinetu. Nad oknem wiszą dwie skrzyżowane dzidy – zakładam, że to pamiątki z okresu jego służby w północnej Afryce – a na kominku stoi zrobione ćwierć wieku temu zdjęcie, przedstawiające go jako młodszego oficera sztabowego Trzynastego Korpusu. Dolewa sobie z karafki, mnie również nalewa

kieliszek koniaku, po czym z jękiem pada na kanapę i zapala papierosa.

– Przeklęta afera Dreyfusa! – wybucha. – Wszystkich nas niechybnie doprowadzi do zguby.

– Doprawdy? Ja bym wolał umrzeć bardziej bohaterską śmiercią – odpowiadam lekkim tonem, ale Gonse przyszpila mnie śmiertelnie poważnym wzrokiem.

– Drogi Picquart, pan chyba nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji… Stoimy na skraju wojny. Jestem na nogach od pierwszej w nocy, a wszystko przez tego cholernego durnia Lebruna-Renault!

– O Boże! – Zaskoczony, odstawiam nietknięty kieliszek.

– Ja wiem, trudno uwierzyć, że taką katastrofę mogła spowodować plotka wypuszczona przez jednego idiotę, ale to prawda – mówi generał.

Opowiada mi, że godzinę po północy obudził go goniec z Ministerstwa Wojny. Po przybyciu do *hôtel* de Brienne zastał Merciera w bonżurce; był tam też prywatny sekretarz z Pałacu Elizejskiego, który przyniósł poranne wydania paryskich gazet. Sekretarz ów powtórzył Gonse’owi to, co niedawno przekazał Mercierowi: otóż prezydent jest zbulwersowany – zbulwersowany!

zgorszony! – tym, co właśnie przeczytał. Jak to możliwe, żeby oficer Gwardii Republikańskiej rozpowszechniał takie historie… zwłaszcza tę, jak to władze francuskie wykradły dokument z ambasady Niemiec i że cała ta historia miała być czymś w rodzaju szpiegowskiej pułapki zastawionej na Niemców? Czy minister wojny ma świadomość, że niemiecki ambasador po południu wybiera się do Pałacu Elizejskiego z oficjalną notą protestacyjną z Berlina? Że cesarz Niemiec grozi odwołaniem ambasadora z Paryża, jeśli rząd francuski nie oświadczy, że raz na zawsze przyjmuje zapewnienia rządu niemieckiego, iż nigdy nie miał nic wspólnego z kapitanem Alfredem Dreyfusem? Prezydent żąda: znajdźcie go! Znajdźcie tego kapitana Lebruna-Renault i zamknijcie mu gębę!

I tak generał Arthur Gonse, szef francuskiego wywiadu wojskowego, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat znalazł się w upokarzającej sytuacji, w której musiał wsiąść do powozu i objeżdżać całe miasto – koszary pułku, mieszkanie tego Lebruna-Renault, jaskinie rozpusty wokół placu Pigalle – aż w końcu, tuż przed świtem, dopadł swoją zwierzynę w Moulin Rouge, gdzie młody kapitan wciąż perorował przed widownią złożoną z dziennikarzy i prostytutek!

W tym momencie zmuszony jestem przytknąć palec wskazujący do ust, by stłumić uśmiech, ponieważ ten monolog nie jest pozbawiony elementów humorystycznych – tym silniejszych, że podkreślonych ochrypłym, pełnym oburzenia głosem Gonse'a. Mogę sobie tylko wyobrażać, jak się poczuł Lebrun-Renault, kiedy odwróciwszy się, ujrzał nacierającego na niego Gonse'a, oraz jak gorączkowo usiłował wytrzeźwieć, by móc się wytłumaczyć ze swoich poczynań najpierw przed ministrem wojny, a następnie, w trakcie z pewnością niezwykle żenującej rozmowy, przed samym prezydentem Casimirem-Perierem.

– Nie ma w tym nic śmiesznego, majorze! – zganił mnie Gonse, któremu nie umknęło moje rozbawienie. – Nie możemy sobie teraz pozwolić na wojnę z Niemcami! Jeżeli potraktują to jako pretekst, by nas zaatakować, to niech Bóg ma Francję w opiece!

– Tak jest, panie generale.

Gonse, a także Mercier i Boisdeffre należą do pokolenia żyjącego w wiecznym strachu przed Niemcami, odkąd jako młodzi oficerowie przerazili się pogromu z roku 1870. W swoim pesymizmie jak mantrę powtarzają formułę „trzy do dwóch": na każdych dwóch Francuzów przypada trzech Niemców, a tam, gdzie nas stać

na dwa franki na uzbrojenie, Niemcy wydają trzy. Ten defetyzm budzi moją najgłębszą pogardę.

– I jak zareagował Berlin? – pytam.

– W Ministerstwie Spraw Zagranicznych toczą się negocjacje nad takim sformułowaniem, z którego by wynikało, że Niemcy nie są winni temu, że te dokumenty do nich trafiły, podobnie jak my nie ponosimy winy za to, że i do nas trafiają pewne papiery.

– Ci to mają tupet!

– Niezupełnie. Po prostu chronią swojego agenta. My byśmy zrobili tak samo. Ale mówię panu, przez cały dzień wojna wisiała na włosku.

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to niewiarygodne.

– Czy dla ochrony jednego szpiega naprawdę byliby gotowi zerwać stosunki dyplomatyczne i zaryzykować wybuch wojny?

– No cóż, ma się rozumieć, jest im wstyd, że zostali przyłapani. To dla nich upokarzające. Typowo pruska przesada…

Jego ręka się trzęsie. Zapala nowego papierosa od poprzedniego i dusi niedopałek w uciętej łusce pocisku, która służy mu za popielniczkę. Odkleja od języka kilka okruchów tytoniu, po

czym rozsiada się na kanapie i przygląda mi się przez chmurę dymu.

– Widzę, że nie tknął pan koniaku.

– Wolę być trzeźwy, kiedy słowa przeradzają się w wojnę.

– Ha! A ja w takich momentach mam ochotę sobie golnąć! – Opróżnia kieliszek i się nim bawi. Uśmiecha się do mnie. Widząc, jak zerka ku karafce, wiem, że marzy mu się następna dolewka, ale nie chce wyjść przede mną na pijaka. Odchrząknąwszy, ciągnie: – Zaimponował pan ministrowi, Picquart. Pańską postawą podczas całej tej afery. Szef sztabu również jest pod pańskim wrażeniem. W ciągu ostatnich trzech miesięcy niewątpliwie zdobył pan cenne doświadczenie w tajnych operacjach wywiadowczych. Dlatego wpadliśmy na pomysł, żeby pana awansować. Myślimy o powierzeniu panu dowództwa sekcji statystycznej.

Próbuję nie okazać po sobie przerażenia. Szpiegostwo to brudna robota. Wszystko, czego naoglądałem się przy okazji sprawy Dreyfusa, tylko umocniło mnie w tym przekonaniu. Nie po to wstąpiłem do wojska.

– Przecież sekcja ma już bardzo zdolnego dowódcę w osobie pułkownika Sandherra – protestuję.

– Sandherr jest zdolny, owszem. Ale też poważnie chory i, tak między nami, raczej już z tego nie wyjdzie. Poza tym sprawuje tę funkcję od dziesięciu lat i należy mu się odpoczynek. A teraz wybaczy pan, Picquart, ale zważywszy na charakter tajnych informacji, którymi będzie pan dysponował, muszę panu zadać to pytanie… W pańskiej przeszłości ani w życiu prywatnym nie ma niczego takiego, co mogłoby pana narazić na szantaż, prawda?

Z coraz większym przerażeniem uświadamiam sobie, że mój los został przypieczętowany, być może poprzedniego dnia po południu, kiedy to Gonse spotkał się z Mercierem i Boisdeffre'em.

– Nie ma, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo – odpowiadam.

– Zdaje się, że nie jest pan żonaty?

– Nie.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Dobrze mi samemu ze sobą. No i nie stać mnie na żonę.

– Tylko dlatego?

– Tylko.

– Ma pan jakieś problemy z pieniędzmi?

– Nie mam pieniędzy, to i problemów nie mam – kwituję, wzruszając ramionami.

– Świetnie – mówi Gonse z wyraźną ulgą. – A więc załatwione.

Ja jednak wciąż próbuję walczyć z przeznaczeniem.

– Zdaje pan sobie sprawę, generale, że dotychczasowemu personelowi nie spodoba się, że narzucono im kogoś z zewnątrz… Co by pan powiedział na zastępcę pułkownika Sandherra?

– Przechodzi w stan spoczynku.

– A major Henry?

– O, major Henry to doskonały żołnierz. Od razu przysiądzie fałdów i będzie działać dla dobra sekcji.

– Więc może on liczy na ten awans?

– Owszem, liczy, ale brakuje mu wykształcenia i ogłady towarzyskiej, niezbędnych do piastowania tak wysokiego stanowiska. Zdaje się, że ojciec jego żony jest oberżystą.

– Ale ja nie mam bladego pojęcia o szpiegostwie…

– Picquart, a dajże pan spokój! – Gonse w końcu traci cierpliwość. – Ma pan doskonałe kwalifikacje na to stanowisko. W czym problem? Prawdą jest, że ta jednostka oficjalnie nie istnieje. Nie będzie udziału w defiladach ani artykułów w prasie. Nikomu nie będzie pan mógł wyjawić,

czym się zajmuje. Ale wszyscy, którzy się liczą, będą dokładnie wiedzieli, co pan robi. Będzie pan miał bezpośredni dostęp do ministra. No i oczywiście otrzyma pan promocję na pułkownika. – Zerka na mnie chytrze. – Ile pan ma lat?

– Czterdzieści.

– Czterdzieści! W całym wojsku nikt w pańskim wieku nie dosłużył się tego stopnia. Proszę pomyśleć: grubo przed pięćdziesiątką może pan zostać generałem! A potem… Kto wie, pewnego dnia może zostanie pan szefem sztabu?

Gonse doskonale wie, jak mnie podejść. Jestem ambitny, chociaż mam nadzieję, że ambicja mnie nie zżera. Zdaję sobie sprawę, że na wojsku życie się nie kończy… a z drugiej strony chciałbym zajechać na swoich zdolnościach tak daleko, jak tylko się da. Kalkuluję sobie tak: najpierw jakieś dwa lata w pracy, za którą nie przepadam, a potem otworzą się przede mną nieograniczone perspektywy. Mój opór słabnie, poddaję się.

– Kiedy miałoby do tego dojść?

– Nie od razu. Za kilka miesięcy. Będę wdzięczny, jeśli nikomu pan o tym nie piśnie ani słowa.

Potakuję głową.

– Oczywiście zrobię wszystko, czego wojsko ode mnie zażąda. Jestem wdzięczny za pańskie zaufanie. Postaram się go nie zawieść.

– To rozumiem! Jestem pewien, że się nie rozczaruję. A teraz nalegam, żeby pan wypił ten kieliszek, który wciąż stoi obok pana…

A zatem klamka zapadła. Wznosimy toast za moją przyszłość. Pijemy za wojsko. Potem Gonse odprowadza mnie do wyjścia. Przed drzwiami kładzie mi dłoń na ramieniu i ściska ojcowskim gestem. W jego oddechu czuje się słodki zapach koniaku i dymu z papierosów.

– Wiem, że pańskim zdaniem szpiegostwo to zajęcie nie dla żołnierza, Georges, a jednak nim jest, niech mi pan wierzy. W czasach współczesnych to pierwsza linia frontu. Codziennie musimy walczyć z Niemcami. Są od nas silniejsi liczebnie i pod względem uzbrojenia… „trzy do dwóch”, niech pan pamięta! Dlatego my musimy mieć lepszy wywiad. – Mocniej ściska moje ramię. – Zdemaskowanie takiego szpiega jak Dreyfus jest dla Francji równie ważne, jak zwycięstwo na polu walki.

Na dworze znów rozpadał się śnieg. Wzdłuż całej avenue Victor Hugo tysiące płatków śniegu wirują w świetle latarni gazowych. Na ulicy

rozściela się biały dywan. Dziwne. Wkrótce mam zostać najmłodszym pułkownikiem we francuskim wojsku, a jakoś nie odczuwam euforii.

W mieszkaniu czeka na mnie Pauline. Wciąż ma na sobie tę samą prostą szarą sukienkę, którą włożyła do obiadu, bo nie chce mnie pozbawiać przyjemności, kiedy ją będę rozbierał. Odwraca się, bym rozpiął suknię z tyłu, i oburącz podnosi włosy, ułatwiając mi dostęp do górnej haftki. Całuję ją w kark i szepczę do jej skóry:

– Ile mamy czasu?

– Godzinę. On myśli, że jestem w kościele. Masz zimne usta. Gdzie byłeś?

Już mam jej powiedzieć, lecz nagle przypominam sobie instrukcje Gonse'a, więc się powstrzymuję:

– Nigdzie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mija sześć miesięcy. Nadchodzi czerwiec. Robi się ciepło i Paryż zaczyna cuchnąć gównem. Smród wydobywa się z kanałów ściekowych i zawisa nad miastem niczym jakiś obrzydliwy gaz. Ludzie, którzy ryzykują wyjście na ulicę, noszą lniane maski na twarzach albo przyciskają do nosów chusteczki, lecz niewiele to daje. W gazetach eksperci jednogłośnie stwierdzają, że nie jest tak źle jak podczas pierwotnego „wielkiego smrodu" z roku 1880. Ja na ten temat nic nie mogę powiedzieć, przebywałem wówczas w Algierii, ale bez dwóch zdań zabija to urok pierwszych dni lata. *Nie da się wyjść na balkon* – narzeka „Le Figaro". – *Nie sposób usiąść na tarasie jednej z tych gwarnych, wesołych kawiarenek, które stanowią dumę naszych bulwarów, jeśli się nie uważa, żeby stale się trzymać z wiatrem w stosunku do tego nieokrzesanego, niewidzialnego olbrzyma.* Włosy i ubrania przesiąkają tym smrodem, który osiada w nosie, a nawet na języku, i w rezultacie wszystko smakuje zgnilizną. W takiej to

atmosferze przejmuję dowodzenie sekcją statystyczną.

Major Henry, przyjechawszy odebrać mnie z Ministerstwa Wojny, pokpiwa sobie z tego.

– To jeszcze nic. Gdyby tak wychował się pan na wsi, o! Gówna ludzkie czy świńskie… co za różnica?

W upale jego twarz jest gładka i tłuściutka jak buzia wielkiego różowego niemowlaka. Uśmiech nie schodzi mu z ust. Zwraca się do mnie „pułkowniku Picquart!”, ciut za bardzo podkreślając mój stopień, i tym sposobem udaje mu się w tym jednym słowie zawrzeć szacunek, gratulacje i drwinę. Nie obrażam się. Henry ma zostać moim zastępcą – nagroda pocieszenia za to, że nie dostał posady szefa. Od tej pory gramy role tak stare jak świat. Jemu przypisano rolę starego wiarusa, który awansował od samego dołu – starszego sierżanta, dzięki któremu wszystko chodzi jak w zegarku; mnie – młodego oficera, teoretycznie dowódcę, którego należy pilnować, by nie narobił zbyt wiele szkód. Jeśli żaden z nas nie posunie się w stosunku do drugiego za daleko, to myślę, że jakoś się dogadamy.

Henry wstaje.

– To jak, puł-kow-niku… – znów ten nacisk na szarżę. – Możemy jechać?

Dotychczas moja noga nie postała w sekcji statystycznej – nic dziwnego, skoro niewielu w ogóle wie o jej istnieniu – więc proszę Henry'ego, żeby mnie oprowadził. Przypuszczam, że zabierze mnie w jakiś ustronny zakątek gmachu ministerstwa, a tymczasem wychodzimy tylną bramą i po krótkim spacerze docieramy do starego, brudnego budynku na rogu rue de l'Université, który często mijałem, sądząc, że jest opuszczony. Zamknięte grube okiennice nie przepuszczają światła. Przy drzwiach nie ma żadnej tabliczki. W środku mrok korytarza wypełnia ten sam smród nieoczyszczonych ścieków co resztę Paryża, tyle że doprawiony stęchlizną.

Henry przesuwa kciukiem po kolonii czarnych zarodników na ścianie.

– Kilka lat temu chcieli zburzyć ten dom, ale pułkownik Sandherr ich powstrzymał – tłumaczy. – Tutaj nikt nam nie przeszkadza.

– Nie wątpię.

– To jest Bachir. – Henry wskazuje siedzącego w kącie na stołku odźwiernego: podstarzałego Araba w niebieskiej bluzie i spodniach jego

ojczystego algierskiego. – Zna wszystkie nasze sekrety. Może nie, Bachir?

– Tak jest, panie majorze!

– Bachir, to jest puł-kow-nik Picquart…

Wchodzimy do kiepsko oświetlonego wnętrza. Henry otwiera jakieś drzwi i naszym oczom ukazuje się czterech podejrzanych osobników, palących fajki i grających w karty. Odwracają się, gapią na mnie, a ja ledwo mam czas rzucić okiem na burą kanapę, bure krzesła i wytarty dywan, bo Henry bąka: „Panowie wybaczą” i szybko zamyka drzwi.

– Co to za jedni? – pytam.

– Po prostu ludzie, którzy dla nas pracują.

– W jakim charakterze?

– Agentów policji. Informatorów. Oni dysponują bardzo przydatnymi umiejętnościami. Pułkownik Sandherr wyznaje pogląd, że lepiej trzymać ich tutaj, z dala od kłopotów, niż pozwalać im grasować na ulicy.

Trzeszczące schody prowadzą nas do czegoś, co Henry nazywa „azylem”. Ponieważ wszystkie drzwi w korytarzu na pierwszym piętrze są zamknięte, naturalne światło prawie wcale tam nie dociera. Zainstalowano wprawdzie elektryczność, ale tak prymitywnie, że nawet nie starano się zakryć poprowadzonych kabli.

O ścianę opiera się kawał gipsu, który spadł z sufitu.

Henry po kolei przedstawia mi członków zespołu. Każdy z nich ma do dyspozycji osobny pokój i pracuje zawsze przy zamkniętych drzwiach. Jest tu major Cordier, alkoholik wkrótce przechodzący w stan spoczynku, który siedzi bez kurtki, w samej koszuli, i czyta antysemicką prasę, „La Libre Parole” oraz „L’Intransigeant”; nie wnikam, czy w ramach pracy, czy dla przyjemności. Jest kapitan Junck, nowy nabytek, którego kojarzę z wykładów w École Supérieure de Guerre – wysoki, muskularny młody człowiek z ogromnym wąsem, teraz w fartuchu i cienkich rękawiczkach. Korzystając z czajnika stojącego na palniku gazowym, otwiera stertę przechwyconych listów, bo klej kopert rozpuszcza się nad parą. Henry wyjaśnia, że metoda ta zwana jest „otwieraniem na mokro”.

W sąsiednim pokoju inny kapitan, Valdant, posługując się metodą „na sucho”, drapie zaklejony brzeg koperty skalpelem. Przez dwie minuty patrzę, jak robi małe otwory po obu stronach skrzydełka koperty, a następnie wsuwa do środka cienkie szczypce, obraca je kilkanaście razy, by zwinąć list w rurkę, po czym zręcznie

wyciąga go przez otwór, nie pozostawiając ani śladu. Na górze pan Gribelin, pająkowaty archiwista – ten, który podczas degradacji Dreyfusa miał lornetkę – siedzi na środku wielkiego pomieszczenia pełnego zamkniętych szafek. W chwili gdy wchodzę, instynktownie chowa to, co czyta. Pokój kapitana Mattona jest pusty – Henry wyjaśnia mi, że Matton odchodzi, bo ta praca mu nie odpowiada. Na koniec przedstawia mi kapitana Lautha, którego również zapamiętałem z ceremonii degradacji – kolejny przystojny jasnowłosy kawalerzysta z Alzacji, w wieku trzydziestu kilku lat, który włada niemieckim i powinien szaleć konno na oklep na prowincji. Tymczasem on też tkwi tutaj i w fartuchu, zgarbiony nad silnie oświetlonymi elektryczną lampą strzępami jakiejś notatki na biurku, składa pincetą podarte kawałki w całość. Spoglądam na Henry'ego, oczekując wyjaśnienia.

– Powinniśmy o tym porozmawiać – mówi.

Schodzimy na pierwsze piętro.

– To mój gabinet – informuje mnie, wskazując jakieś drzwi, ale ich nie otwierając. – A tam pracuje pułkownik Sandherr – nagle robi zbolałą minę – a raczej pracował, tak chyba powinienem powiedzieć. Przypuszczam, że teraz to będzie pański gabinet.

– No cóż, muszę gdzieś pracować.

Żeby tam dotrzeć, przechodzimy przez poczekalnię z dwoma krzesłami i wieszakiem na kapelusze. Znajdujący się za nią gabinet jest zaskakująco mały i ciemny. Zasłony są zaciągnięte. Zapalam światło. Po prawej ręce mam wielki stół, po lewej potężną stalową szafkę na akta, zamkniętą na solidny zamek. Z przodu widzę biurko, za nim wysokie okno, a nieco z boku drugie drzwi wychodzące na korytarz. Podchodzę do okna, rozsuwam zakurzone zasłony i przede mną nieoczekiwanie rozciąga się widok na wielki ogród francuski. Moją specjalnością jest topografia – rozeznanie w położeniu różnych miejsc względem siebie, precyzyjna znajomość ulic, odległości i terenu – a mimo to dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że spoglądam na tylną elewację *hôtel* de Brienne i ogród ministra. Dziwnie wygląda widziany z tej strony.

– Mój Boże! – wyrywa mi się. – Gdybym miał lunetę, mógłbym stąd zajrzeć do gabinetu ministra!

– Czy mam ją panu załatwić?

– Nie. – Spoglądam na Henry’ego. Nie potrafię się zorientować, czy żartował. Z powrotem odwracam się do okna, próbuję je otworzyć.

Nasadą dłoni dwukrotnie uderzam w zatrzask, lecz zardzewiał. Zdążyłem znienawidzić ten pokój. – No dobrze – mówię, ścierając rdzę z dłoni. – Jak widać, w dużej mierze będę polegał na panu, majorze, przynajmniej przez kilka pierwszych miesięcy. Wszystko to jest dla mnie całkiem nowe.

– Oczywiście, pułkowniku. Przede wszystkim pozwoli pan, że dam panu klucze. – Wyciąga ich do mnie pięć, na żelaznym kółku połączonym cienkim łańcuszkiem, który mogę przypiąć do pasa. – Ten jest do drzwi frontowych. Ten do gabinetu. Ten do sejfu. Ten do biurka.

– A ten?

– A ten pozwala wyjść do ogrodów *hôtel* de Brienne. Jeśli chce się pan widzieć z ministrem, wychodzi pan tędy. Generał Mercier osobiście wręczył ten klucz pułkownikowi Sandherrowi.

– Co złego jest w wyjściu od frontu?

– Tędy jest szybciej. I dyskretniej.

– Czy mamy telefon?

– Tak, przed pokojem kapitana Valdanta.

– A sekretarkę?

– Pułkownik Sandherr nie ufał sekretarkom. Gdy będą panu potrzebne jakieś akta, niech pan się zwraca do Gribelina. Gdyby potrzebował pan kogoś do pomocy w kopiowaniu, może pan wziąć

któregoś z kapitanów. A Valdant pisze na maszynie.

Czuję się, jakbym trafił do jakiejś szemranej sekty religijnej celebrującej nieznane własne rytuały. Gmach Ministerstwa Wojny wzniesiono na terenie, na którym niegdyś stał klasztor żeński, a oficerowie sztabu generalnego z rue Saint-Dominique, ze względu na tajemnicze obyczaje, noszą przezwisko „dominikanów". Ale już teraz widzę, że na sekcję statystyczną nic nie wymyślili.

– Miał mi pan powiedzieć, nad czym pracuje teraz kapitan Lauth – przypominam Henry'emu.

– Mamy agenta w ambasadzie niemieckiej. Ten człowiek regularnie dostarcza nam wyrzucone dokumenty ambasady, które miały trafić do pieca i spłonąć wraz ze śmieciami. Ale one docierają do nas. Większość jest podarta, więc musimy je poskładać. Ta praca wymaga nie lada wprawy. Lauth jest w tym dobry.

– Czy to w ten sposób wpadliście na pierwszy ślad Dreyfusa?

– Tak jest.

– Składając ze strzępków podarty list?

– Nie inaczej.

– Mój Boże, zaczęło się od takiego drobiazgu…! Kim jest ten agent?

– Określamy go wyłącznie kryptonimem Auguste. A dostarczany towar nazywamy „zwykłą drogą”.

Uśmiecham się.

– Dobrze, ujmę to inaczej: kim jest Auguste? – Henry wyraźnie ociąga się z odpowiedzią, ale ja nie zamierzam mu odpuścić. Jeśli mam się wciągnąć do tej roboty, muszę poznać działanie tej służby od podszewki, a im szybciej to nastąpi, tym lepiej. – Dajcie spokój, majorze, jestem dowódcą sekcji. Musicie mi powiedzieć.

– To kobieta, niejaka Marie Bastian – odpowiada w końcu niechętnie. – Jest sprzątaczką w ambasadzie. Do jej obowiązków należy głównie sprzątanie gabinetu niemieckiego attaché wojskowego.

– Od jak dawna dla nas pracuje?

– Od pięciu lat. Jestem jej prowadzącym. Płacę jej dwieście franków miesięcznie. – I nie może się powstrzymać, by nie dorzucić chełpliwie: – To najbardziej okazyjna cena w Europie!

– W jaki sposób dostarcza nam materiały?

– Spotykam się z nią w kościele niedaleko stąd. Czasami co tydzień, a czasem raz na dwa tygodnie… po południu, kiedy jest tam pusto. Nikt nas nie widzi. Potem zabieram materiały prosto do domu.

– Zabiera je pan do domu? – Nie potrafię ukryć zaskoczenia. – Czy to bezpieczne?

– Całkowicie. Ze mną mieszkają tylko żona i malutki syn. Sortuję tam te papiery i pobieżnie przeglądam wszystko to, co jest po francusku… Nie znam niemieckiego, całą niemiecką korespondencją zajmuje się u nas Lauth.

– Rozumiem. Dobrze. – Wprawdzie z uznaniem kiwam głową, a jednak cała ta procedura pachnie mi skrajną amatorszczyzną. Ale pierwszego dnia w nowej pracy nie zamierzam się wdawać w utarczki. – Coś mi mówi, majorze, że nasza współpraca ułoży się znakomicie.

– Mam taką nadzieję, pułkowniku.

Spoglądam na zegarek.

– Pan wybaczy, ale wkrótce muszę wyjść na spotkanie z szefem sztabu.

– Czy mam pójść z panem?

– Nie. – I znów nie jestem pewien, czy on sobie nie żartuje. – Nie ma takiej potrzeby. Zaprosił mnie na obiad.

– Świetnie. W razie czego, gdybym był potrzebny, będę w swoim biurze. – Nasza rozmowa przebiega według sformalizowanego schematu, niczym baletowe *pas de deux*.

Henry salutuje mi i odchodzi. Zamykam drzwi, rozglądam się. Czuję, że przechodzą mnie ciarki; mam wrażenie, że wskoczyłem w strój nieboszczyka. Na ścianach widnieją ślady po obrazach Sandherra; biurko jest przypalone przez niego papierosami; na stole zostały koliste plamy po jego napojach. Wytarty ślad na dywanie świadczy o tym, gdzie pułkownik odsuwał od biurka krzesło. Jego obecność mnie przytłacza. Wybieram właściwy klucz i otwieram sejf. W środku znajduję kilka tuzinów listów, wciąż zaklejonych, zaadresowanych w kilka miejsc w różnych częściach miasta i na cztery czy pięć nazwisk – to pewnie same pseudonimy. Domyślam się, że są w nich raporty od agentów Sandherra, które nadeszły już po jego odejściu. Otwieram jeden list – *W garnizonie w Metzu odnotowano wzmożoną działalność…* – i zaraz go chowam z powrotem do koperty. Szpiegowska robota… Boże, jak ja jej nie znoszę! Nie powinienem obejmować tego stanowiska. Nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedykolwiek poczuję się tu na swoim miejscu.

Pod listami leży cienka brązowa koperta zawierająca jedno zdjęcie w dużym formacie – dwadzieścia pięć centymetrów na dwadzieścia. Natychmiast poznaję coś, co widziałem podczas

procesu Dreyfusa przed sądem wojskowym – kopię listu przewodniego, słynnego *bordereau* dołączanego do dokumentów, które przekazywał Niemcom. Był to koronny dowód przeciwko niemu, który przedstawiono w sądzie. Aż do dzisiejszego ranka nie miałem pojęcia, w jaki sposób trafił w ręce sekcji statystycznej. Nic dziwnego. Podziwiam dzieło Lautha. Patrząc na to zdjęcie, nikt by nie powiedział, że ten dokument kiedyś był w strzępach; wszystkie ślady po rozdarciach starannie wyretuszowano, tak że wygląda to na całą kartkę.

Siadam przy biurku i otwieram je kluczem. Wygląda na to, że choć choroba Sandherra postępowała powoli, kończył zwalnianie swojego gabinetu w pośpiechu. Zostawił po sobie nieco drobiazgów. Teraz turlają się w szufladach, które otwieram. Kawałki kredy. Kulka wosku do pieczętowania listów. Kilka zagranicznych monet. Cztery naboje. A także rozmaite puszki oraz butelki zawierające lekarstwa: rtęć, nalewka gwajakowa, jodek potasu.

* * *

Żeby uczcić mój awans, generał de Boisdeffre stawia mi obiad w Jockey Clubi; bardzo to

przyzwoicie z jego strony. Wszystkie okna są zamknięte, drzwi również, na każdym stole stoją w wazonach frezje i groszek pachnący. Nic jednak nie jest w stanie zabić słodko-kwaśnego smrodu ludzkich odchodów. Boisdeffre udaje, że nic nie czuje. Zamawia dobrego białego burgunda i wypija większą część butelki, a jego wydatne policzki stopniowo przybierają czerwoną barwę dzikiego wina jesienią. Ja piję umiarkowanie i, jak przystało na dobrego oficera sztabowego, przez cały czas trzymam obok talerza otwarty mały notes.

Zasiadający przy sąsiednim stole prezes klubu, Sosthènes de La Rochefoucauld, książę Doudeauville, podchodzi, by się przywitać z generałem. Boisdeffre mnie przedstawia. Nos i kości policzkowe księcia są tak delikatnie zarysowane i tak kruche jak beza, uścisk jego dłoni odbieram jak muśnięcie palców pergaminową skórą.

Przy pstrągu w galarecie Boisdeffre opowiada o nowym carze, Mikołaju II. Generał życzy sobie, żeby natychmiast informować go o wszelkich komórkach rosyjskich anarchistów, które mogą działać w Paryżu.

– Chcę, żeby miał pan oczy i uszy otwarte na takich ludzi; wszystko, co moglibyśmy przekazać

Moskwie, bardzo się nam przyda podczas negocjacji. – Przełyka kawałek ryby i ciągnie: – Sojusz z Rosją jednym dyplomatycznym posunięciem rozwiąże problem przewagi Niemców nad nami. Jest wart co najmniej tyle, ile stutysięczna armia. To dlatego połowę czasu poświęcam sprawom zagranicznym. Na najwyższych szczeblach granica między polityką a wojskowością się zaciera. Nie wolno nam jednak zapominać, że wojsko zawsze należy stawiać ponad zwyczajną politykę partyjną.

Te słowa skłaniają go, żeby wspomnieć Merciera, który nie jest już ministrem wojny, lecz próbuje przetrwać lata do emerytury jako dowódca Czwartego Korpusu w Le Mans.

– Miał rację, przewidując upadek prezydenta, ale mylił się, wierząc, że ma choćby cień szansy na zostanie jego następcą.

Z zaskoczenia przestaję jeść, zastygam z widelcem w pół drogi do ust.

– Generał Mercier sądził, że może zostać prezydentem? – upewniam się.

– W rzeczy samej, żył tym złudzeniem. To jeden z kłopotów, jakie mamy z republiką… Pod rządami monarchii nikomu na serio nie przychodzi do głowy, że mógłby zostać królem. Kiedy w styczniu *monsieur* Casimir-Perier podał

się do dymisji, a Senat i Izba Deputowanych zebrali się w Wersalu, żeby wybrać jego następcę, „przyjaciele” generała Merciera, że użyję wobec nich tego delikatnego określenia, rozprowadzali ulotkę wzywającą do wybrania człowieka, który dopiero co postawił zdrajcę Dreyfusa przed sądem wojennym. W rezultacie na osiemset możliwych głosów Mercier dostał dokładnie trzy.

– Nie wiedziałem.

– Zdaje się, że, jak by to określili nasi przyjaciele Anglicy, porwał się z motyką na słońce. – Boisdeffre uśmiecha się. – Ale teraz, rzecz jasna, politycy już nigdy mu tego nie wybaczą. – Ociera wąsy serwetką. – Od tej pory musi pan myśleć bardziej w kategoriach politycznych, pułkowniku, jeżeli ma pan spełnić wielkie nadzieje, jakie wszyscy w panu pokładamy. – Skłaniam lekko głowę, jakby szef sztabu zawieszał mi medal na szyi. On tymczasem mówi: – Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o całej tej historii z Dreyfusem.

– Niesmaczna – odpowiadam. – Ohydna. Irytująca. Cieszę się, że mamy to już za sobą.

– Tak pan sądzi? Że to już koniec? Myślę teraz jako polityk, nie jako żołnierz. Żydzi to wyjątkowo uparta rasa. Dla nich Dreyfus

w kolonii karnej jest jak ból zęba. Doprowadza ich do szału. Oni tak tego nie zostawią.

– Jest symbolem ich wstydu. Ale co mogą zrobić?

– Nie bardzo wiem. W każdym razie już oni coś wymyślą, tego możemy być pewni. – Boisdeffre obserwuje przez okno ruch na rue Rabelais i na jakiś czas pogrąża się w milczeniu. Jego profil na tle śmierdzących promieni słońca jest niezwykle dystyngowany, wyciosany w ciele przez setki lat kolejnych pokoleń. Przypomina mi wizerunek cierpiącego w milczeniu normańskiego rycerza, klęczącego w jakiejś kaplicy w Bayeux. W końcu generał podejmuje w zadumie: – To, co Dreyfus powiedział temu młodemu kapitanowi, że nie miał powodu do zdrady… Moim zdaniem musimy być w każdej chwili przygotowani do odpowiedzi na to pytanie. Chciałbym, żeby nadal prowadził pan tę sprawę. Niech pan przesłucha rodzinę… „nakarmi akta”, jak mówił pański poprzednik. Może uda się panu znaleźć więcej dowodów na ewentualny motyw, które można by zachować na wszelki wypadek i posłużyć się nimi w razie potrzeby.

– Tak jest, generale. Oczywiście. – Do listy w notesie, tuż pod „Rosyjscy anarchiści?”,

dopisuję: „Dreyfus: motyw?”.

Na stół wjeżdżają *rillettes de canard* i rozmowa schodzi na odbywający się właśnie w Kilonii przegląd niemieckich sił morskich.

* * *

Po południu wyciągam z kasy pancernej w moim nowym gabinecie listy agentów, chowam je do teczki i wybieram się w odwiedziny do pułkownika Sandherra. Adres dał mi Gribelin – to zaledwie dziesięć minut spacerkiem od nas, po drugiej stronie rzeki, przy rue Léonce Reynaud. Drzwi otwiera mi jego żona. Kiedy przedstawiam się jako następca jej męża, odrzuca głowę niczym szykujący się do ataku wąż.

– Ma pan już jego stanowisko, *monsieur*, więc czego jeszcze pan od niego chce?

– Jeśli zjawiłem się nie w porę, mogę przyjść w bardziej dogodnym czasie, *madame*.

– Doprawdy? Cóż za uprzejmość! A skąd pomysł, że mąż chciałby się z panem widzieć w jakimkolwiek czasie?

– Już dobrze, moja droga – dobiega zza jej pleców zmęczony głos Sandherra. – Picquart pochodzi z Alzacji. Wpuść go.

– Ty! – burczy kobieta z goryczą, nie spuszczając ze mnie wzroku, choć zwraca się do męża. – Jesteś dla nich wszystkich za dobry! – Mimo to usuwa się na bok, wpuszczając mnie do środka.

– Jestem w sypialni, Picquart, niech pan wejdzie! – woła Sandherr, więc kierując się głosem, przechodzę do zaciemnionego pokoju, w którym zalatuje mocno środkiem odkażającym. Gospodarz siedzi oparty na łóżku, w koszuli nocnej. Zapala lampę. Gdy odwraca się do mnie, widzę, że jego nieogolona twarz jest pokryta ranami. Niektóre wciąż są otwarte i coś z nich cieknie, inne wyschły, zaskorupiały. Słyszałem, że stan jego zdrowia znacznie się pogorszył, ale nie sądziłem, że jest aż tak źle. – Na pańskim miejscu bardziej już bym się nie zbliżał – ostrzega mnie.

– Przepraszam za najście, pułkowniku, ale potrzebna mi pańska pomoc – mówię, próbując nie zdradzać niesmaku, i podnoszę teczkę, by mógł się jej przyjrzeć.

– Spodziewałem się tego. – Drżącym palcem wskazuje teczkę. – W niej jest wszystko, prawda? Niech pan mi to pokaże.

Wyciągam listy i podchodzę do łóżka.

– Przypuszczam, że są od agentów – mówię, kładąc je na pościeli, w zasięgu jego ręki, i się cofam. – Ale nie wiem, kim oni są ani komu mogę zaufać.

– Moja dewiza brzmi: nie ufaj nikomu, to się nie rozczarujesz. – Obraca się, by sięgnąć po okulary leżące na stoliku nocnym, a ja widzę, że kłębiące się pod szczeciną na jego brodzie rany przechodzą w siwą linię z boku szyi. Pułkownik wkłada okulary i zerka na jeden z listów. – Niech pan siada. Proszę przysunąć sobie tamto krzesło. Ma pan ołówek? Będzie panu potrzebny, żeby to zapisać.

Przez następne dwie godziny, przerywając tylko dla nabrania oddechu, Sandherr oprowadza mnie po swoim sekretnym świecie: ten człowiek pracuje w pralni obsługującej niemiecki garnizon w Metzu; ten tu ma stanowisko na kolei na froncie wschodnim; ona jest kochanką niemieckiego oficera z Miluzy; a to jest drobny złodziejaszek z Lotaryngii, który obrabia domy na zlecenie; ten to pijak; ten to homoseksualista; ta kobieta jest patriotką, która prowadzi dom gubernatorowi wojskowemu, a w wojnie z tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku straciła bratanka; temu i temu możesz ufać; nim ani nią nie zawracaj sobie głowy; on

natychmiast potrzebuje trzystu franków; z tego trzeba całkiem zrezygnować, jest zbędny… Zapisuję to wszystko, w miarę jak opowiada, aż w końcu mamy przerobione wszystkie raporty. Sandherr z pamięci podaje listę innych agentów wraz z ich kryptonimami i dodaje, żebym poprosił Gribelina o adresy. Jest zmęczony.

– Mam sobie już iść? – pytam.

– Za chwilę. – Macha słabo ręką. – W tamtej szyfonierze są dwie rzeczy, które powinien pan mieć. – Patrzy, jak klękam i wyjmuję metalową kasetkę na pieniądze, bardzo ciężką, oraz dużą kopertę. – Proszę je otworzyć – mówi. Kasetka nie jest zamknięta na klucz. W środku znajduje się prawdziwa fortuna w złotych monetach i banknotach, przeważnie franki francuskie, ale także niemieckie marki oraz angielskie funty. – Powinno być tego około czterdziestu ośmiu tysięcy franków – mówi. – Kiedy się panu skończą, niech pan się zwróci do Boisdeffre'a. *Monsieur* Paléologue z Ministerstwa Spraw Zagranicznych też ma polecenie, żeby się do tego dołożyć. Niech pan to wyda na agentów jako specjalne premie. Niech pan zawsze ma tych funduszy pod dostatkiem. Proszę schować kasetkę do swojej teczki.

Robię, co każe, a potem otwieram kopertę. Zawiera ze sto kartek – listy nazwisk i adresów, odręcznie spisane starannym charakterem pisma i ułożone według *département*.

– Trzeba to uzupełniać na bieżąco – oznajmia Sandherr.

– A co to jest?

– Dzieło mojego życia. – Zanosi się suchym śmiechem, który przeradza się w kaszel.

Przewracam kartki. Wykaz obejmuje w sumie ze dwa, trzy tysiące osób.

– Kim oni są? – pytam.

– To podejrzani o zdradę, których w razie wybuchu wojny należy natychmiast aresztować. Policja regionalna ma prawo znać nazwiska jedynie ludzi ze swojego terenu. Oprócz tego egzemplarza istnieje jeszcze oryginał, jest w posiadaniu ministra. Poza tym jest jeszcze dłuższa lista, którą ma Gribelin.

– Dłuższa?

– Zawiera sto tysięcy nazwisk.

– A to ci dopiero! – wykrzykuję. – Ta lista jest pewnie gruba jak Biblia! Kto się na niej znajduje?

– Obcy, których należy internować, gdyby nastąpiły działania wojenne. I to nie licząc Żydów, tych na tej liście nie ma.

– Myśli pan, że w razie wybuchu wojny Żydów trzeba internować?

– A przynajmniej kazać im się rejestrować i nałożyć na nich godzinę policyjną oraz ograniczenia możliwości podróżowania. – Sandherr drżącą ręką zdejmuje okulary i odkłada je na stolik. Kładzie się na wznak na poduszce, zamyka oczy. – Jak pan widział, moja żona jest niezwykle lojalna… o wiele bardziej lojalna, niż byłaby większość żon w takiej sytuacji. Jej zdaniem to hańba, że przeniesiono mnie w stan spoczynku. A ja jej powtarzam, że jestem szczęśliwy, mogąc się wtopić w tło. Kiedy rozglądam się po Paryżu i na każdym kroku widzę tłumy obcych, to biorąc jeszcze pod uwagę degenerację wszelkich zasad moralnych i upadek sztuki, uświadamiam sobie, że nie znam już swojego miasta. Dlatego przegraliśmy w siedemdziesiątym… Naród przestał być czysty.

Zaczynam zbierać listy i chować je do teczki. Takie rozmowy zawsze mnie nudzą: utyskiwania starców, że świat schodzi na psy. To takie banalne. Pragnę jak najszybciej uwolnić się od jego przytłaczającej osobowości. Muszę go jednak spytać o jedną rzecz.

– Wspomniał pan o Żydach – mówię. – Generał Boisdeffre martwi się możliwością

wznowienia zainteresowania sprawą Dreyfusa.

– Generał Boisdeffre to stara baba – ucina Sandherr takim tonem, jakby stwierdzał naukowy fakt.

– Niepokoi go brak wyraźnego motywu…

– Motywu? – mamrocze Sandherr. Kręci głową na poduszce, ale nie potrafię powiedzieć, czy to wyraz niedowierzania, czy rezultat jego choroby. – O czym on bajdurzy? Motyw? Dreyfus to Żyd, jest bardziej Niemcem niż Francuzem! Większość jego rodziny mieszka w Niemczech! Wszystkie jego dochody pochodziły z Niemiec. Ile jeszcze motywów potrzebuje pan generał?

– W każdym razie kazał mi „nakarmić akta”. Tak się wyraził.

– Akta Dreyfusa są dostatecznie grube. Siedmiu sędziów, którzy je widzieli, orzekło o jego winie. W razie kłopotów niech pan o tym pomówi z Henrym.

Co rzekłszy, Sandherr podciąga kołdrę po szyję i odwraca się na bok, plecami do mnie. Czekam jeszcze z minutę. W końcu dziękuję mu za pomoc i się żegnam. Ale nawet jeśli mnie słyszy, to nie odpowiada.

* * *

Stoję na chodniku przed mieszkaniem Sandherra; po mroku panującym w pokoju chorego światło dzienne w pierwszej chwili mnie oślepia. W ręku ciąży mi torba wypchana pieniędzmi oraz nazwiskami zdrajców i szpiegów. Przechodząc na drugą stronę avenue du Trocadéro w poszukiwaniu dorożki, oglądam się w lewo, by sprawdzić, czy nic mnie nie przejedzie, i podświadomie zauważam elegancką kamienicę z dwuskrzydłowymi drzwiami, obok których na niebieskiej tablicy widnieje numer 6. Z początku nic mi to nie mówi, lecz nagle staję jak wryty i spoglądam jeszcze raz: avenue du Trocadéro 6. Poznaję ten adres. Widziałem go wielokrotnie, zapisany na dokumentach. To tutaj mieszkał Dreyfus w chwili aresztowania.

Zerkam za siebie, na rue Léonce Reynaud. To oczywiście przypadek, a jednak dość niezwykły: Dreyfus mieszkał tak blisko swojej nemezis, że mogli się obserwować wzajemnie od frontowych drzwi; a w każdym razie musieli się często mijać na ulicy, codziennie chodząc do Ministerstwa Wojny i z powrotem o tej samej godzinie. Staję na skraju chodnika, zadzieram głowę i osłaniając oczy, obserwuję wspaniały budynek mieszkalny. Przed każdym oknem jest balkon z balustradą z kutego żelaza, dostatecznie szeroki, by można

na nim usiąść i podziwiać Sekwanę – to dużo bardziej wystawna nieruchomość niż dom, w którym mieszka Sandherr, upchnięty na wąskiej brukowanej uliczce.

Mój wzrok przyciąga coś w oknie na pierwszym piętrze – blada twarz małego chłopca, niczym zamkniętego w czterech ścianach inwalidy, który spogląda na mnie. Dołącza do niego ktoś dorosły – kobieta o równie bladej twarzy otoczonej ciemnymi lokami; zapewne to jego matka. Staje za nim, kładzie ręce na jego ramionach i razem gapią się na mnie – umundurowanego pułkownika przyglądającego im się z ulicy – aż w końcu kobieta szepcze coś chłopcu na ucho, delikatnie go odciąga i znikają.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia rano opisuję te dziwne zjawy majorowi Henry’emu, a ten marszczy czoło.

– Okno na pierwszym piętrze pod numerem szóstym? – upewnia się. – To na pewno była żona Dreyfusa i jego syn… Jakże mu było? Już mam, Pierre. Jest jeszcze córka, Jeanne. *Madame* Dreyfus w ogóle nie wypuszcza dzieci z domu, żeby nie słuchały historii o ojcu. Powiedziała im, że wyjechał na specjalną misję za granicę.

– I uwierzyły jej?

– A czemu nie? To małe szkraby.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Proszę się nie martwić, nie tracimy ich z oczu.

– Nigdy?

– Mamy agenta wśród ich służby. Śledzimy ich. Przechwytujemy ich pocztę.

– Nawet teraz, sześć miesięcy po skazaniu Dreyfusa?

– Pułkownik Sandherr wysunął taką teorię, że Dreyfus może się okazać członkiem siatki

szpiegowskiej. Uważał, że obserwując rodzinę, mamy szansę wpaść na trop innych zdrajców.

– Ale na nich nie wpadliśmy?

– Na razie nie.

Odchylam się na krześle, przyglądam się Henry'emu. Wygląda życzliwie i chociaż wyraźnie się zapuścił, to podejrzewam, że mimo zwałów tłuszczu jest silny fizycznie. To gość z gatunku tych, którym w barze wszyscy chcą stawiać i którzy będąc w nastroju, potrafią uraczyć słuchaczy dobrą anegdotą. Różnimy się od siebie pod każdym względem.

– Czy wiedział pan, że mieszkania pułkownika Sandherra i Dreyfusa dzieli nie więcej niż sto metrów? – pytam.

Czasami w oczach Henry'ego miga chytry wyraz – to jedyne pęknięcie w jego zbroi serdeczności.

– Są aż tak blisko? – odpowiada bez namysłu. – Nie miałem pojęcia.

– Tak. Patrząc na tę lokalizację, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że musieli się czasami spotykać, choćby przelotnie mijać się na ulicy.

– Całkiem możliwe. Wiem, że pułkownik starał się go unikać. Nie lubił go… uważał, że Dreyfus zadaje stanowczo za dużo pytań.

Założę się, że go nie lubił, myślę sobie. Żyda w olbrzymim mieszkaniu z widokiem na rzekę…

Wyobrażam sobie, jak o dziewiątej rano Sandherr maszeruje dziarsko rue Saint-Dominique, a młody kapitan próbuje dotrzymać mu kroku i nawiązać rozmowę. Dreyfus, gdy miałem z nim do czynienia, zawsze sprawiał wrażenie kogoś z defektem mózgu: brakowało mu tej ważnej części odpowiadającej za sytuacje towarzyskie, która powinna mu podpowiadać, kiedy zanudza ludzi, a kiedy nie mają ochoty z nim rozmawiać. On jednak nie potrafił rozpoznać, jak wypada w oczach innych, natomiast Sandherr, który w parze motyli siedzących na tym samym kwiatku dopatrywał się spisku, coraz bardziej podejrzliwie traktował wścibskiego żydowskiego sąsiada.

Wysuwam szufladę biurka i wyciągam różne lekarstwa, które odkryłem poprzedniego dnia – dwie puszki oraz dwie małe ciemnogranatowe butelki. Pokazuję je Henry’emu.

– Zostawił je pułkownik Sandherr.

– Widocznie o nich zapomniał. Można? – Henry bierze ode mnie leki roztrzęsionymi rękami. Jest przy tym tak niezdarny, że omal nie upuszcza jednej butelki. – Dopilnuję, żeby mu je zwrócono.

Nie mogę się powstrzymać, by nie zauważyć:

– Rtęć, nalewka gwajakowa, jodek potasu… Wie pan, co zwykle się leczy tymi środkami?

– Nie. Nie jestem lekarzem…

Postanawiam nie drążyć tematu.

– Chcę dostać pełne sprawozdanie o tym, czym się zajmuje rodzina Dreyfusa. Z kim się spotykają, czy w jakikolwiek sposób próbują pomóc więźniowi. Poza tym chcę mieć wgląd w całość korespondencji Dreyfusa, zarówno w tę przychodzącą do niego na Diabelską Wyspę, jak i wychodzącą. Zakładam, że ją cenzurujemy, więc mamy kopie?

– Oczywiście. Powiem Gribelinowi, żeby się tym zajął. – Henry się waha. – Jeśli wolno spytać, pułkowniku, skąd to zainteresowanie Dreyfusem?

– Generał Boisdeffre uważa, że może z tego powstać problem polityczny. Chce, żebyśmy byli przygotowani zawczasu.

– Rozumiem. Zajmę się tym natychmiast.

Odchodzi, niosąc garść lekarstw Sandherra. Oczywiście doskonale zdaje sobie sprawę, na co się przepisuje te środki, bo w swoim czasie obaj wyciągaliśmy dostatecznie wielu żołnierzy z nielegalnych burdeli, by wiedzieć, na czym polega rutynowa kuracja. Kiedy zostaję sam,

zastanawiam się więc nad implikacjami przejęcia tajnej służby wywiadowczej po poprzedniku, który najwyraźniej choruje na syfilis w trzecim stadium, powszechnie znany jako ogólny paraliż chorych umysłowo.

* * *

Tego samego dnia po południu piszę swój pierwszy raport wywiadowczy dla sztabu generalnego – tak zwany *blanc*, jak to się określa przy rue Saint-Dominique. Klecę te wypociny, posługując się lokalnymi niemieckimi gazetami oraz listem jednego z agentów, który objaśnił mi Sandherr: *Korespondent z Metzu donosi, że od kilku dni obserwuje się wzmożoną działalność wojsk z tamtejszego garnizonu. W mieście nie ma rozruchów ani paniki, a jednak władze wojskowe intensywnie dopingują żołnierzy…*

Po skończeniu czytam tekst od początku, zastanawiając się: jakie to ma znaczenie? Czy to w ogóle prawda? Szczerze mówiąc, nie mam bladego pojęcia. Wiem tylko, że co najmniej raz w tygodniu mam przedstawiać *blanc* i że jak na pierwszy raz, zrobiłem, co w mojej mocy. Wysyłam tekst na drugą stronę ulicy, do gabinetu szefa sztabu, nastawiając się na naganę za

dawanie wiary bezwartościowym plotkom. Tymczasem Boisdeffre potwierdza odbiór, dziękuje mi, przesyła kopię dowódcy piechoty (wyobrażam sobie rozmowy w klubie oficerskim: „chodzą słuchy, że szkopy kombinują coś w Metzu…”), a pięćdziesięciu tysiącom żołnierzy na wschodniej granicy kilka dni dodatkowej musztry i forsownych marszów jeszcze bardziej uprzykrza i tak niewesołe życie.

To moja pierwsza lekcja kabalistycznej władzy „tajnego wywiadu”: te dwa słowa potrafią sprawić, że skądinąd zdrowi na umyśle ludzie rozmijają się z rozumem i dokazują niczym idioci.

* * *

Kilka dni później Henry przyprowadza mi do gabinetu agenta, który ma mnie zapoznać ze stanem wiedzy na temat Dreyfusa. Przedstawia go jako François Guénéego z Sûreté. Człowiek ten jest po czterdziestce, ma żółtawą cerę od nikotyny, alkoholu, a może jednego i drugiego, a jego zachowanie zdradza, że swoją postawą próbuje zastraszać, jednocześnie prezentując służalczość, co jest typowe dla pewnego rodzaju policjantów. Kiedy wymieniamy uścisk dłoni,

poznaję w nim mężczyznę, którego widziałem tu pierwszego dnia – był jednym z ludzi palących fajki i grających w karty na dole.

– Guénée nadzoruje inwigilację rodziny Dreyfusa – informuje mnie Henry. – Pomyślałem, że zechce pan posłuchać, jak się sprawy mają.

– Proszę. – Zapraszam ich ruchem ręki i zasiadamy przy okrągłym stole w rogu mojego gabinetu. I policjant, i Henry mają ze sobą teczki na akta.

– Zgodnie z instrukcjami pułkownika Sandherra objąłem śledztwem przede wszystkim starszego brata zdrajcy, Mathieu Dreyfusa – zagaja Guénée. Wyjmuje z teczki wykonane u fotografa zdjęcie i podsuwa mi je po blacie. Mathieu jest przystojny i elegancki. Przychodzi mi do głowy, że to on powinien zostać kapitanem wojska, a nie Alfred, który wygląda na dyrektora banku. – Obiekt ma trzydzieści siedem lat – ciągnie Guénée. – Przeniósł się do Paryża z rodzinnego domu w Miluzie wyłącznie w celu organizowania kampanii na rzecz swojego brata.

– A więc toczy się taka kampania?

– Tak, pułkowniku. On wypisuje listy do znanych osobistości i rozgłasza, że jest skłonny dobrze zapłacić za informacje.

– Pan wie, że oni są bardzo bogaci – wtrąca Henry. – A żona Dreyfusa ma jeszcze więcej pieniędzy. Pochodzi z rodziny Hadamardów… to handlarze diamentów.

– I co udało się osiągnąć temu bratu?

– Jest taki lekarz z Hawru, doktor Gibert, który od dawna przyjaźni się z prezydentem republiki. Już na samym początku zaproponował, że wstawi się w imieniu rodziny u prezydenta Faurégo.

– I zrobił to?

Guénée zagląda do swojej teczki.

– Dwudziestego pierwszego lutego Gibert spotkał się z prezydentem na śniadaniu w Pałacu Elizejskim – odpowiada. – Następnie udał się wprost do *hôtel* de l'Athénée, gdzie czekał na niego Mathieu Dreyfus… Jeden z naszych ludzi śledził go tam w drodze od mieszkania.

Podaje mi raport agenta.

Figuranci usiedli w hotelowym holu, najwyraźniej bardzo przejęci. Zająłem miejsce przy sąsiednim stoliku i usłyszałem, jak B mówi do A: „Tylko powtarzam panu, co mi powiedział prezydent… wyrok zapadł na podstawie dostarczonego sędziom tajnego dowodu, a nie dowodów

przedstawionych w sądzie”. Ten argument, podkreślany z naciskiem, padał jeszcze kilka razy (…) Kiedy B wyszedł, A siedział jeszcze przez chwilę, wyraźnie wzburzony. W końcu uregulował rachunek (kopia w załączeniu) i o dziewiątej dwadzieścia pięć opuścił hotel.

Spoglądam na Henry’ego.

– Prezydent osobiście ujawnił, że sędziom pokazano tajny dowód? – pytam z niedowierzaniem.

Henry wzrusza ramionami.

– Ludzie mają długie języki. Prędzej czy później i tak by się to wydało.

– Zgoda, ale żeby prezydent…? To pana nie martwi?

– Nie. Dlaczego? To tylko fragment prawnej procedury. Niczego to nie zmienia.

Dumam nad tym. Wcale nie jestem tego taki pewny. Zastanawiam się, jak by na taką wiadomość zareagował mój zaprzyjaźniony prawnik Leblois.

– Zgadzam się, że nie umniejsza to winy Dreyfusa – przyznaję. – Gdyby się jednak rozeszło, że skazano go na podstawie tajnego dowodu, którego nie pokazano ani jemu, ani

obrońcom, wówczas niektórzy z pewnością podnieśliby raban, że nie miał uczciwego procesu. – Zaczynam rozumieć, dlaczego Boisdeffre zwietrzył polityczne kłopoty. – Czy wiemy, w jaki sposób rodzina zamierza wykorzystać tę informację?

Henry zerka na Guénéego, a ten kręci głową.

– Z początku wszyscy byli tym bardzo podnieceni. W Bazylei odbyła się narada rodzinna. Sprowadzili dziennikarza, Żyda o nazwisku Lazare. Obraca się on w kręgach anarchistów. Ale to było cztery miesiące temu. Od tej pory niczego nie zrobili.

– Nieprawda, jedno zrobili – wtrąca Henry, puszczając oko. – Opowiedz pułkownikowi o *madame* Léonie… od razu poweseleje!

– Ach tak, *madame* Léonie! – Guénée wybucha śmiechem i grzebie w swoich aktach. – To kolejna osoba zaprzyjaźniona z doktorem Gibertem. – Podaje mi drugą fotografię, przedstawiającą niełądną kobietę w wieku około pięćdziesięciu lat, w normańskim berecie, patrzącą prosto w obiektyw aparatu.

– Kim jest ta *madame* Léonie?

– Lunatyczką.

– Pan żartuje!

– Ależ skąd! Podczas snu nabiera zdolności jasnowidzenia. Opowiada Mathieu fakty dotyczące sprawy jego brata, które jakoby dostaje z zaświatów. Poznał ją w Hawrze, gdzie zrobiła na nim takie wrażenie, że sprowadził ją do Paryża. Oddał jej nawet pokój w swoim mieszkaniu.

– Da pan wiarę? – Henry wybucha gromkim śmiechem. – Oni potykają się tylko w ciemności, dosłownie! Naprawdę, pułkowniku, ze strony tych ludzi nie mamy się czego obawiać.

Kładę zdjęcia Mathieu Dreyfusa i *madame* Léonie jedno obok drugiego, czując, jak ciężar spada mi z serca. Obecnie zjawiska w rodzaju wywoływania duchów, przepowiadania przyszłości czy komunikowania się ze zmarłymi są w Paryżu w modzie. Czasami z powodu ludzkiej głupoty opadają ręce.

– Ma pan rację, Henry. To dowodzi, że zabrnęli w ślepy zaułek. Nawet jeśli odkryli, że istniał jakiś tajny dowód, najwidoczniej zdali sobie sprawę, że samo w sobie o niczym to nie świadczy. Musimy tylko dopilnować, żeby tak już zostało. – Odwracam się do Guénéego i pytam: – W jaki sposób prowadzicie inwigilację?

– Zarzuciliśmy wokół nich ciasną sieć, pułkowniku. Niania dzieci pani Dreyfus co

tydzień zdaje nam raport. Konsjerżka w kamienicy przy rue de Châteaudun, gdzie mieszka Mathieu Dreyfus, to nasza informatorka. Jeszcze inna pracuje jako pokojówka pani Dreyfus. Śledzą ich dla nas jego kucharka i jej narzeczony. Chodzimy za nim krok w krok. Władze poczty przekazują nam tutaj korespondencję całej rodziny, a my ją kopiujemy.

– A to jest korespondencja samego Dreyfusa. – Henry podnosi i podaje mi teczkę, którą przyniósł ze sobą. – Jutro trzeba ją zwrócić.

Teczka, zawiązana czarną wstążką, nosi oficjalną pieczęć Ministerstwa Kolonii. Rozwiązuję kokardkę, przewracam okładkę. Część listów to oryginały – te, których cenzor postanowił nie przepuścić, w związku z czym zatrzymano je w ministerstwie – a reszta to kopie korespondencji przekazanej adresatom. *Kochana Lucie, w gruncie rzeczy zadaję sobie pytanie, jak mam żyć dalej…* Odkładam ten list i biorę następny. *Fred, mój ty biedaku kochany, nawet nie wiesz, jakim bólem napełniło mnie rozstanie z Tobą…* Doznaję wstrząsu. Nie potrafię sobie wyobrazić, by ktokolwiek używał zdrobnienia „Fred” w stosunku do tego sztywnego, niezdarnego i zimnego człowieka.

– Od tej pory chcę dostawać kopie ich korespondencji natychmiast po dostarczeniu jej do Ministerstwa Kolonii – zapowiadam.

– Tak jest, pułkowniku.

– A tymczasem, *monsieur* Guénée, ma pan nadal prowadzić obserwację rodziny. Dopóki jej wzburzenie ogranicza się tylko do kontaktów z jasnowidzami, nie mamy powodu do niepokoju. Jeśli jednak miałoby się przejawiać czymś więcej, trzeba będzie się zastanowić. I przez cały czas szukajmy czegoś, co by nam mogło podsunąć kolejny motyw zdrady Dreyfusa.

– Tak jest, pułkowniku.

I na tym kończy się nasze spotkanie.

* * *

Późnym popołudniem wkładam korespondencję Dreyfusa do teczki, by ją zabrać do domu.

O tej porze dzień jest bezwietrzny, ciepły, przepiękny. Moje mieszkanie znajduje się dostatecznie wysoko nad poziomem ulicy, by skutecznie odciąć się od miejskiego gwaru; resztę załatwiają książki na półkach, zajmujące wszystkie ściany. Na podłodze króluje fortepian – Erard – cudownym sposobem ocalony

z rumowiska w Strasburgu i sprezentowany mi przez matkę. Siadam w fotelu, mozolnie zzuwam buty. Potem zapalam papierosa i zerkam na teczkę leżącą na stołku od fortepianu. Powinienem od razu się przebrać i znów wyjść z domu. A korespondencję zostawić do powrotu. Jednak moja ciekawość jest zbyt silna.

Siadam przy maleńkim sekretarzyku między dwoma oknami i wyjmuję akta. Na wierzchu leży list wysłany z wojskowego więzienia Cherche-Midi, datowany na piątego grudnia 1894 roku, ponad siedem tygodni po aresztowaniu Dreyfusa. Cenzor starannie przepisał go na papierze w linię.

Kochana Lucie

Nareszcie mogę napisać do Ciebie słówko. Właśnie się dowiedziałem, że mój proces rozpocznie się dziewiętnastego tego miesiąca. Nie wolno mi się z Tobą zobaczyć.

Nie będę Ci opisywał wszystkiego, przez co tu przeszedłem. Nie ma na świecie dostatecznie silnych słów, żeby to wyrazić.

Pamiętasz, jak Ci opowiadałem o tym, jacy jesteśmy szczęśliwi? Życie się do nas uśmiechało. I nagle spadł na nas ten straszliwy cios, od którego wciąż kręci mi

się w głowie. Zostałem oskarżony o najbardziej potworną zbrodnię, jaką może popełnić żołnierz! Do tej pory uważam, że padłem ofiarą jakiegoś koszmaru…

Odwracam kartkę i szybko przebiegam ją wzrokiem do końca: *Ściskam Cię po tysiąckroć, bo Cię kocham, uwielbiam. Tysiąc buziaków dla dzieci. Nie śmiem nic więcej Ci o nich mówić. Alfred.*

Następny list, także kopia, został napisany w celi dwa tygodnie później, dzień po wyroku skazującym: *Jestem tak strasznie rozgoryczony, serce mam tak zatrute, że już dawno bym skończył ze sobą i swoim smutnym życiem, gdybym wciąż nie myślał o Tobie i gdyby nie powstrzymywał mnie strach, że przysporzę Ci jeszcze więcej bólu.*

A potem kopia odpowiedzi Lucie, wysłana w dniu Bożego Narodzenia: *Błagam Cię, najdroższy przyjacielu, żyj dla mnie. Zbierz wszystkie siły i walcz… będziemy walczyć razem, dopóki nie znajdziemy winnego. Co się ze mną stanie bez Ciebie? Nic już nie będzie mnie wiązało ze światem…*

Czytając to, czuję się plugawy. Zupełnie jakbym podsłuchiwał kochającą się w sąsiednim pokoju parę. A jednocześnie nie mogę się

oderwać od lektury. Wertuję papiery, aż trafiam na opis ceremonii degradacji pióra Dreyfusa. Gdy pisze o *pogardliwych spojrzeniach* ze strony dawnych towarzyszy broni, zastanawiam się, czy również mnie ma na myśli: *Łatwo jest zrozumieć ich uczucia, na ich miejscu nie potrafiłbym ukryć pogardy dla oficera, który, jak mnie zapewniono, jest zdrajcą. Niestety, szkoda tylko, że owszem, istnieje zdrajca, ale nie ja nim jestem…*

Przerywam czytanie, zapalam następnego papierosa. Czy wierzę w te zapewnienia o niewinności? Ani przez chwilę. Nie spotkałem w życiu łajdaka, który nie obstawałby, z nie mniejszym poziomem szczerości, że stał się ofiarą pomyłki sądowej. Wygląda to na niezbędny element umysłowości przestępcy: żeby przeżyć w niewoli, trzeba przekonać samego siebie o swojej niewinności. Z drugiej strony jest mi żal *madame* Dreyfus. To jasne, że ufa mu całkowicie… Nie, ona go czci niczym jakiegoś świętego męczennika: *Twoja godna postawa wywarła głębokie wrażenie na wielu sercach; więc kiedy nadejdzie godzina rehabilitacji, a nadejdzie na pewno, wspomnienie cierpień, jakie spotkały Cię tego strasznego dnia, wryje się w pamięć ludzkości…*

* * *

W tym momencie niechętnie muszę przerwać czytanie. Zamykam akta na klucz w sekretarzyku, golę się, przebieram w czysty mundur galowy, po czym idę z wizytą do przyjaciół, hrabiego i hrabiny de Comminges.

Znam Aimery'ego de Comminges, barona de Saint-Lary, odkąd ponad dziesięć lat temu stacjonowaliśmy razem w Tonkinie. Jako młody człowiek byłem tam wtedy młodszym oficerem sztabowym, a on ustępował mi nie tylko wiekiem, ale i rangą – był podporucznikiem. Przez dwa lata walczyliśmy z Wietnamczykami w delcie Rzeki Czerwonej, włóczyliśmy się po Sajgonie i Hanoi, a po powrocie do Francji nasza przyjaźń kwitła dalej. Przedstawił mnie swoim rodzicom oraz młodszym siostrom: Daisy, Blanche i Isabelle. Wszystkie trzy były muzykalne, niezamężne, pełne temperamentu i stopniowo powstał salon składający się, oprócz trzech panien, z ich przyjaciół oraz tych towarzyszy broni Aimery'ego, którzy interesowali się muzyką – a raczej udawali, że się nią interesują, byleby móc się spotykać z siostrami.

Sześć lat później salon wciąż działa; tego wieczoru jestem proszony na jeden z tych muzycznych *soirées*. Jak zwykle, dla utrzymania formy, ale i z oszczędności, nie biorę dorożki, tylko idę pieszo, i to dziarskim krokiem, bo grozi mi, że się spóźnię. *Hôtel* rodziny Comminges'ów, stary i potężny, stoi przy boulevard Saint-Germain. Rozpoznaję go już z daleka, po liczbie powozów i dorożek, z których wysiadają goście. W środku Aimery, który teraz już jako kapitan pracuje w Ministerstwie Wojny, salutuje mi przyjaźnie i ciepło oburącz ściska mi dłonie na powitanie. Całuję jego żonę, Mathilde, pochodzącą z Waldner von Freundsteinów, jednej z najstarszych rodzin w Alzacji. Mathilde jest panią tego domu od roku, od czasu śmierci starego hrabiego.

– Idź na górę – szepcze, dotykając mojego ramienia. – Za kilka minut zaczynamy. – Jej wcale niegłupia metoda odgrywania uroczej gospodyni polega na tym, że każdą zwyczajną uwagę rzuca tak, jakby zdradzała intymny sekret. – I oczywiście zostaniesz na kolacji, prawda, mój drogi Georges'u?

– Z największą przyjemnością, dziękuję. – Prawdę mówiąc, liczyłem na to, że uda mi się wyrwać wcześnie, ale ustępuję bez szemrania.

W towarzystwie czterdziestoletni kawalerowie są traktowani jak bezpańskie koty. Wpuszcza się nas pod dach, karmi, dopieszcza, a w zamian za to mamy dostarczać rozrywki, z wdziękiem reagować na zdarzające się przypadki wścibstwa („To kiedy się w końcu ożenisz, Georges, hę?”) i zawsze zgadzać się na uzupełnienie kompletu gości przy kolacji, choćby nawet zaproszenie przyszło w ostatniej chwili.

Gdy wchodzę w głąb domu, Aimery woła za mną:

– Blanche cię szuka! – I niemal w tej samej chwili widzę jego siostrę, lawirującą ku mnie w tłumie wypełniającym hol. Z jej sukni, podobnie jak i z dopasowanej do niej fryzury, sterczy cała masa piór ufarbowanych na ciemną zieleń, szkarłat i złoto.

– Blanche – mówię, kiedy mnie całuje – wyglądasz jak wyjątkowo soczysty bażant.

– A ja mam nadzieję, że dziś będziesz Dobrym Bogiem, a nie Wstrętnym Bogiem, bo przygotowałam dla ciebie miłą niespodziankę – szczebiocze wesoło i biorąc mnie pod rękę, wyprowadza do ogrodu, w przeciwnym kierunku niż podążają pozostali.

Dla zachowania pozorów próbuję się opierać.

– Zdaje się, że Mathilde chce nas wszystkich widzieć na górze…

– Nie bądź głuptasem! Jest dopiero siódma! – Zniża głos. – Jak myślisz, czy to będzie niemiecka impreza?

Prowadzi mnie do szklanych drzwi wychodzących na maleńki ogród, oddzielony od sąsiadów wysokim murem obwieszonym zgaszonymi chińskimi lampionami. Kelnerzy zbierają pozostawione szklanki po oranżadzie i kieliszki po likierach. Pijący je goście poszli już na piętro. Została tylko jedna kobieta, stojąca samotnie tyłem do mnie. Odwraca się, a wtedy widzę, że to Pauline. Uśmiecha się.

– No i widzisz? – rzuca Blanche dziwnym tonem. – Niespodzianka.

* * *

To zawsze Blanche organizuje koncerty. Tego wieczoru przedstawia swoje najnowsze odkrycie, cudowne dziecko z Katalonii – osiemnastoletniego zaledwie *monsieur* Casalsa. Wypatrzyła go, gdy grał jako drugi wiolonczelista w orkiestrze teatru Folies-Marigny. Casals zaczyna od sonaty wiolonczelowej Saint-Saënsa i od pierwszych akordów słychać, że ten chłopak

to prawdziwy cud. Normalnie słuchałbym go jak urzeczony, dziś jednak nie mogę się skupić. Rozglądam się po publiczności – goście stoją pod ścianami okazałego salonu, przodem do instrumentalistów na środku. Pośród mniej więcej sześćdziesięciu słuchaczy doliczam się kilkunastu wojskowych, w większości kawalerzystów jak Aimery. Wiem na pewno, że przynajmniej połowa z nich jest powiązana ze sztabem generalnym. Po chwili odnoszę wrażenie, że ja również ściągam na siebie ukradkowe spojrzenia – najmłodszy pułkownik w wojsku, kawaler do wzięcia, siedzi obok atrakcyjnej żony wyższego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a jej męża nigdzie nie widać. Przyłapanie pułkownika na moim stanowisku na pozamałżeńskim romansie wywołałoby skandal, który mógłby zrujnować karierę. Próbuję o tym nie myśleć, skupić się na muzyce, a jednak czuję się nieswojo.

W przerwie wychodzimy z Pauline do ogrodu. Blanche idzie między nami, trzymając nas pod ręce. Dwóch oficerów, moich starych przyjaciół, przychodzi pogratulować mi awansu, więc przedstawiam im Pauline.

– Major Albert Curé… służyliśmy w Tonkinie razem z Aimerym. To jest *madame* Monnier. A to

kapitan William Lallemand de Marais…

– Zwany również Półbogiem – wpada mi w słowo Blanche.

Pauline uśmiecha się.

– Dlaczego? – pyta.

– Na cześć Loge'a ze *Złota Renu*, oczywiście… Półboga ognia. Na pewno widzisz podobieństwo, moja droga. Spójrz na tę pasję! Kapitan Lallemand jest Półbogiem, a Georges Dobrym Bogiem.

– Niestety, nie znam zbyt dobrze Wagnera.

Lallemand, najbardziej gorliwy badacz muzyki w naszym kręgu, udaje szok i niedowierzanie.

– Nie zna zbyt dobrze Wagnera! Pułkowniku Picquart, musi pan zabrać *madame* Monnier do Bayreuth!

– A czy *monsieur* Monnier lubi operę? – pyta Curé z przekąsem, który bardzo mi się nie podoba.

– To godne ubolewania, ale mój mąż nie lubi muzyki w żadnej postaci.

Gdy wreszcie odchodzą, Pauline pyta mnie spokojnie:

– Czy chcesz, żebym sobie poszła?

– Nie, dlaczego miałbym tego chcieć? – Popijamy oranżadę. W ciągu ostatnich kilku dni

koszmarny smród zniknął i ciepły, kwietny wietrzyk znad Faubourg Saint-Germain niesie zapach letniego wieczoru.

– Dlatego że wydajesz się nieswój, mój drogi.

– Skądże, po prostu nie wiedziałem, że znacie się z Blanche, to wszystko.

– Poznałam ją miesiąc temu, kiedy Isabelle zabrała mnie na herbatę z Alix Tocnaye.

– A gdzie jest Philippe?

– Wieczorem wyjechał z Paryża. Wraca dopiero jutro.

Implikacje są jasne, w powietrzu zawisa niewypowiedziana propozycja.

– A dziewczęta? – Córki Pauline mają dziesięć i siedem lat. – Musisz do nich wracać?

– Zostały na noc u siostry Philippe'a.

– Oho, nareszcie wiem, co Blanche miała na myśli, mówiąc, że ma dla mnie niespodziankę! – Sam nie wiem, czy powinienem się śmiać, czy złościć. – Dlaczego postanowiłaś jej się zwierzyć?

– Nie zwierzałam jej się. Myślałam, że ty to zrobiłeś.

– Ależ skąd!

– Ale ona mówiła tak, że… Dawała mi do zrozumienia, że wie o nas od ciebie. Dlatego zgodziłam się na zaaranżowanie tego dzisiejszego spotkania. – Wybałuszamy na siebie

oczy. I nagle, na skutek intuicji albo dedukcji, za którą nie nadążam, Pauline oświadcza: – Blanche się w tobie kocha.

Przerażony, wybucham śmiechem.

– Nic podobnego!

– Więc przynajmniej musiałeś mieć z nią romans.

Kłamię, bo cóż innego pozostaje dżentelmenowi w takiej sytuacji?

– Pauline, kochanie, ona jest młodsza ode mnie o piętnaście lat. Jestem dla niej kimś w rodzaju starszego brata.

– Ale ona nie spuszcza cię z oka. Ma na twoim punkcie obsesję, a teraz jeszcze domyśliła się, co nas łączy.

– Gdyby Blanche się we mnie podkochiwała, to wątpię, żeby pomagała mi spędzić z tobą noc – zauważam spokojnie.

Pauline z uśmiechem kręci głową.

– Przeciwnie, właśnie tak by zrobiła – mówi. – Skoro nie może cię mieć, to pozostanie jej chociaż satysfakcja z kontrolowania tego, kto z tobą będzie.

Odruchowo oboje sprawdzamy, czy nikt nas nie obserwuje. Lokaj krąży wśród gości, informując ich, że za chwilę zacznie się druga część koncertu. Ogród powoli się wyludnia.

Kapitan w mundurze dragona przystaje w progu i ogląda się na nas.

– Wyjdźmy teraz, zanim zacznie się druga część – proponuje znienacka Pauline. – Darujmy sobie kolację.

– Mamy zostawić dwa wolne miejsca przy stole, żeby wszyscy zwrócili na to uwagę? Równie dobrze moglibyśmy dać ogłoszenie do „Le Figaro”.

Nie, nie mamy wyjścia, jak tylko wytrzymać jakoś ten wieczór – kwartet smyczkowy w drugiej części, dwa bisy, następnie szampan i przeciągające się pożegnania tych, którzy nie zostali zaproszeni na kolację, a mimo to liczą na wstrzymanie egzekucji w ostatniej chwili. W tym czasie starannie unikamy się z Pauline, co oczywiście najlepiej zdradza parę, która ma romans.

Gdy zasiadamy do jedzenia, jest już po dziesiątej. Stół zastawiono na szesnaście osób. Po jednej ręce mam owdowiałą matkę Aimery’ego, hrabinę po mężu – pomarszczony czarny jedwab i trupio blada skóra, niczym duch z *Don Giovanniego* – po drugiej siostrę Blanche, Isabelle, która całkiem niedawno weszła przez małżeństwo do niezwykle bogatej rodziny bankierów, właścicieli jednej z pięciu

największych winnic w Bordeaux. Fachowo rozprawia o apelacjach, z których pochodzą dane wina, i klasach grand cru, ale jak dla mnie, równie dobrze mogłaby mówić w jakimś dialekcie polinezyjskim. Ogarnia mnie dziwaczne, przyprawiające o zawrót głowy poczucie oderwania od rzeczywistości – cała ta wyrafinowana rozmowa to szmer głosek, a muzyka to wyłącznie szuranie i brzdąkanie jelita i drutów. Patrzę na drugi koniec stołu, gdzie Pauline słucha męża Isabelle, bankiera – młodego człowieka, któremu szlachetny rodowód nadał rysy tak wytworne, że niemal płodowe, jakby opuszczenie łona w jego przypadku stanowiło naruszenie dobrego smaku. W blasku świec napotykam oczy Blanche, błyszczące pod upierzeniem łownego ptaka, i uciekam wzrokiem przed spojrzeniem wzgardzonej kobiety. W końcu o północy wstajemy od stołu.

Dla zachowania pozorów dbam o to, żeby opuścić dom przed Pauline.

– Niezłe z ciebie ziółko! – mówię w progu do Blanche, grożąc jej palcem.

– Dobranoc, Georges – odpowiada ze smutkiem.

Ruszam bulwarem, wypatrując białego światła dorożki wracającej do zajezdni przed

Łukiem Triumfalnym. Obok mnie podskakuje mnóstwo niebieskich, czerwonych i żółtych świateł, aż wreszcie pojawia się białe. Kiedy wychodzę na środek jezdni, by zatrzymać powóz, a ten ze stukotem kopyt hamuje i staje, chodnikiem zmierza już do mnie Pauline. Biorę ją pod łokieć, pomagam wsiąść do dorożki.

– Rue Yvon-Villarceau, róg rue Copernic – polecam woźnicy i wskakuję za Pauline. Pozwala mi na przelotny pocałunek, po czym mnie odpycha.

– Nie, najpierw muszę wiedzieć, o co w tym chodziło – mówi.

– Żartujesz. Naprawdę?

– Owszem.

Z westchnieniem ujmuję ją za rękę.

– Biedna Blanche po prostu nie ma szczęścia do romansów – tłumaczę. – Możesz być pewna, że jeśli w pokoju znajduje się mężczyzna nie do wzięcia albo zupełnie nieodpowiedni, to właśnie w nim Blanche się zakocha. Dwa lata temu wybuchł niezły skandal, wyciszony, ale okrył rodzinę wielkim wstydem, a zwłaszcza Aimery'ego.

– Dlaczego zwłaszcza jego?

– Ponieważ chodziło o oficera sztabu generalnego… starszego stopniem, niedawno

owdowiałego i dużo starszego od Blanche. A to Aimery sprowadził go do domu i przedstawił swojej siostrze.

– I co się stało?

Wyjmuję papierośnicę, częstuję Pauline. Odmawia. Zapalam papierosa. Niezręcznie jest mi o tym opowiadać, ale przypuszczam, że Pauline ma prawo wiedzieć, a ufam jej, że nie rozpowie tego dalej.

– Blanche miała romans z tym oficerem. Ciągnęło się to dosyć długo, chyba z rok. Potem poznała kogoś innego, młodego arystokratę w swoim wieku i dużo bardziej odpowiedniego dla niej. Ten młody człowiek jej się oświadczył. Rodzina była zachwycona. Blanche próbowała zerwać z oficerem. On jednak nie przyjmował tego do wiadomości. Wtedy ojciec Aimery'ego, stary hrabia, zaczął dostawać listy od szantażysty, który groził publicznym ujawieniem romansu córki. W końcu hrabia zwrócił się z tym do paryskiej policji.

– Mój Boże, historia jak żywcem wyjęta z Balzaca!

– To jeszcze nic. W pewnym momencie hrabia zapłacił pięćset franków za zwrot szczególnie kompromitującego listu córki do jej owdowiałego kochanka. List rzekomo był w posiadaniu jakiejś

tajemniczej kobiety, która miała przyjść do parku w woalce i go oddać. Policja zbadała sprawę i szantażystą okazał się ów owdowiały oficer.

– No nie! Nie wierzę! I co się z nim stało?

– Nic. Jest bardzo ustosunkowany. Pozwolono mu kontynuować karierę. Wciąż służy w sztabie generalnym… teraz już jako pułkownik.

– A jak się zachował narzeczony Blanche?

– Oświadczył, że nie chce mieć z nią nic do czynienia.

Pauline opiera się na siedzeniu, zastanawiając się nad tym, co usłyszała.

– Wobec tego jest mi jej żal – oznajmia.

– Bywa głupiutka. Ale, o dziwo, ma bardzo dobre serce. I na swój sposób jest utalentowana.

– Jak się nazywa ten pułkownik? Pytam, żeby móc mu dać w twarz, gdybym go kiedyś spotkała.

– Nie zapomnisz jego nazwiska, kiedy już je usłyszysz… to Armand du Paty de Clam. Zawsze nosi monokl. – Już mam dodać taki oto drobiazg, że to on nadzorował śledztwo w sprawie kapitana Dreyfusa, ale w końcu tego nie robię. To tajna informacja, a poza tym Pauline zaczyna się ocierać policzkiem o moje ramię i nagle po głowie chodzi mi zupełnie co innego.

* * *

Moje łóżko jest wąskie, to żołnierska prycza. Żeby nie spaść na podłogę, leżymy spleceni w swoich ramionach, nadzy w ciepłym wieczornym powietrzu. O trzeciej w nocy oddech Pauline jest powolny, regularny, dobywa się z głębi jej snu. Ja nie śpię. Spoglądam ponad jej ramieniem na otwarte okno, próbując sobie wyobrazić nas po ślubie. Czy gdybyśmy się pobrali, moglibyśmy jeszcze zaznać takich rozkoszy jak tej nocy? Czy te chwile nie są tak wyborne dlatego, że mamy świadomość ich ulotności? A poza tym tak strasznie nie znoszę bez przerwy przebywać w czyimś towarzystwie.

Delikatnie wyciągam rękę spod Pauline, opuszczam stopy na dywan i wstaję z łóżka.

Rozgwieżdżone niebo rzuca dostatecznie dużo światła, bym mógł się poruszać po salonie. Wkładam bonżurkę, zapalam stojącą na sekretarzyku lampę gazową. Otwieram kluczykiem szufladę, wyciągam teczkę z listami Dreyfusa i podczas gdy moja kochanka śpi, wracam do lektury w miejscu, w którym ją przerwałem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dzięki dokumentom w teczce, ułożonym przez jakiegoś biurokratę w ściśle chronologicznym porządku, łatwo jest prześledzić, co działo się w ciągu czterech miesięcy od degradacji Dreyfusa. Dwanaście dni po tej ceremonii w środku nocy wywleczono go z celi w paryskim więzieniu, zamknięto w wagonie dla skazańców na gare d'Orleans i wyprawiono w dziesięciogodzinną podróż pociągiem przez zasypany śniegiem kraj na wybrzeże Atlantyku. Na dworcu w La Rochelle czekał już na niego rozjuszony tłum, który przez całe popołudnie łomotał pięściami w boki pociągu, wykrzykując groźby i obelgi: „Żydzi do piachu!", „Judasz!", „Śmierć zdrajcy!". Dopiero po zapadnięciu ciemności strażnicy pilnujący więźnia odważyli się go zabrać. Dreyfus przebiegł przez szpaler opluwających go ludzi.

Więzienie Île de Ré
21 stycznia 1895 r.

Kochana Lucie

Tego dnia, kiedy mnie obrażano w La Rochelle, chciałem się wyrwać strażnikom, pokazać nagi tors wszystkim tym, którzy traktowali mnie jedynie jako obiekt do wyładowania swego oburzenia, i powiedzieć im: „Nie obrażajcie mnie, bo moja dusza, o której nic nie wiecie, jest czysta i bez skazy; ale jeśli sądzicie, że jestem winny, chodźcie, weźcie moje ciało, oddam je wam bez żalu”. A wtedy, kiedy pod wpływem nieznośnego fizycznego bólu krzyknąłbym „Niech żyje Francja!”, może uwierzyliby w moją niewinność!

Wiesz, o co proszę całymi dniami i nocami? O sprawiedliwość! Tylko o sprawiedliwość! Czy żyjemy w dziewiętnastym wieku, czy cofnęliśmy się o sto lat? Czy to możliwe, że w dobie oświecenia i prawdy nie rozpoznaje się niewinności? Niech badają. Nie proszę o żadną łaskę, domagam się tylko sprawiedliwości należnej każdemu człowiekowi. Niech dalej badają sprawę; niech dysponenci potężnych środków śledczych oddadzą je w tym celu; bo jest to ich święty obowiązek wobec ludzkości i sprawiedliwości…

Czytam ponownie ostatni akapit. Jest w nim coś dziwnego. Widzę, do czego zmierza Dreyfus. Na pozór pisze do żony. Ale wiedząc, że po drodze jego słowa przejdą przez wiele rąk, wysyła także wiadomość tym, którzy w Paryżu decydują o jego losie… czyli w gruncie rzeczy mnie, chociaż nigdy by się nie spodziewał, że zasiądę przy biurku Sandherra. *Niech dysponenci potężnych środków śledczych…* Nie zmienia to mojego przekonania o jego winie, ale ta sprytna taktyka daje mi powód do zastanowienia się: ten gość niewątpliwie nie składa broni.

Paryż
Styczeń 1895 r.

Fred, najdroższy

Na szczęście nie czytałam wczoraj porannych gazet – rodzina robiła wszystko, żebym nie dowiedziała się o tej haniebnej scenie w La Rochelle, bo pewnie bym oszalała z rozpaczy…

Następny z kolei jest list Lucie do ministra, w którym prosi go o zgodę na widzenie z mężem na Île de Ré, by mogła się pożegnać. Dostała zezwolenie na odwiedziny trzynastego lutego, jednak obwarowane surowymi restrykcjami

wymienionymi w piśmie. Więzień ma stać między dwoma strażnikami z jednej strony pokoju; *madame* Dreyfus ma siedzieć z drugiej strony, w towarzystwie trzeciego strażnika; pomiędzy nimi ma stać dyrektor więzienia; nie wolno im rozmawiać o niczym, co ma związek z procesem; nie mają prawa nawiązać kontaktu fizycznego. List Lucie, w którym proponuje, żeby skrępowali jej ręce na plecach, byleby mogła podejść nieco bliżej męża, jest opatrzony pieczęcią: „odmowa".

Fred do Lucie: *Te krótkie chwile, które spędziłem z Tobą, sprawiły mi wiele radości, chociaż nie miałem jak Ci powiedzieć wszystkiego, co noszę w sercu* (14 lutego). Lucie do Freda: *Cóż za emocje, cóż za straszny szok przeżyliśmy oboje, widząc się znowu, ale dotyczy to zwłaszcza Ciebie, mój biedny ukochany mężu* (16 lutego). Fred do Lucie: *Pragnąłem wyznać Ci, jak wielkim podziwem przepełnia mnie szlachetność Twojego charakteru i godne podziwu oddanie* (21 lutego). Kilka godzin później Dreyfus znalazł się na pokładzie okrętu wojennego *Saint-Nazaire*, płynącego pełną parą na Atlantyk.

Do tej pory większość listów w teczce stanowiły kopie, prawdopodobnie dlatego, że oryginały dostarczono adresatom. Odtąd jednak

kartki, które przewracam, są w przeważającej mierze napisane ręką Dreyfusa. Jego opisy podróży – w zimnej celi na górnym pokładzie, wystawionej na działanie żywiołów, w gwałtownych zimowych sztormach, kiedy w dzień i noc pilnowany był przez uzbrojonych w rewolwery strażników, którzy nie odzywali się do niego słowem – zostały skonfiskowane przez cenzorów z Ministerstwa Kolonii. Ósmego dnia zaczęło się ocieplać. Ale Dreyfus wciąż nie wiedział, dokąd go wiozą, a nikomu nie wolno było mu tego zdradzić. Przypuszczał, że płyną do Cayenne. Piętnastego dnia rejsu napisał do Lucie, że okręt nareszcie rzucił kotwicę w pobliżu *trzech małych porośniętych roślinnością skał na środku przestworu oceanu*: Wyspy Królewskiej, Wyspy Świętego Józefa oraz (najmniejszej z nich) Diabelskiej Wyspy. Ku swemu zdziwieniu przekonał się, że tę trzecią przeznaczono wyłącznie dla niego.

Najdroższa Lucie (…). Moja kochana Lucie (…). Lucie, najdroższa (…). Ukochana żono (…). Kocham Cię (…). Pragnę Cię (…). Myślę o Tobie (…). Ślę Ci wyrazy mojego głębokiego oddania (…). Poświęcił tak wiele uczucia, czasu i energii w nadziei na nawiązanie kontaktu, a tymczasem wszystko skończyło w czeluściach tej teczki!

Może to i lepiej, myślę sobie, przebiegając wzrokiem coraz bardziej rozpaczliwe skargi, że Lucie tego nie przeczytała i nie ma pojęcia o tym, że kiedy okręt *Saint-Nazaire* rzucił kotwicę w tropiku, jej mąż musiał spędzić cztery dni zamknięty w swoim stalowym pudle, pod palącym słońcem, ani razu nie mogąc wyjść na pokład, albo że kiedy wylądował wreszcie na Wyspie Królewskiej – podczas gdy na Diabelskiej Wyspie wyburzano dawną kolonię trędowatych i szykowano dla niego kwaterę – wtrącono go do celi z zamkniętymi okiennicami i nie wypuszczano przez miesiąc.

Moja droga
Nareszcie, po trzydziestu dniach
w ścisłym zamknięciu, przyszli mnie
przewieźć na Diabelską Wyspę. Za dnia
mogę spacerować po terenie o powierzchni
kilkuset metrów kwadratowych; krok
w krok za mną podążają strażnicy
z karabinami. O zmierzchu (tu zapada
o szóstej) zamykają mnie w chacie
o powierzchni czterech metrów
kwadratowych, z drzwiami z żelaznej kraty,
zza której strażnicy na zmianę obserwują
mnie przez całą noc. Moja racja

żywnościowa to pół bochenka chleba na dzień, jedna trzecia kilograma mięsa trzy razy w tygodniu, a w pozostałe dni bekon z puszki. Do picia mam wodę. Muszę zbierać drewno, rozpalać ognisko, samemu sobie gotować, prać ubranie i próbować je jakoś wysuszyć w tym wilgotnym klimacie.

W ogóle nie jestem w stanie spać. Klatka, przed którą strażnik chodzi tam i nazad jak zjawa z moich snów, atakujące mnie zewsząd robactwo oraz udręka, jaką noszę w sercu – wszystko to sprzysięga się, by nie pozwolić mi odpocząć.

Dzisiaj rano lało jak z cebra. Kiedy na chwilę przestało, obszedłem ten mały kawałek wysepki, który mi przydzielono. To jałowa ziemia; rośnie tu wprawdzie kilka bananowców oraz palm kokosowych, ale poza tym zewsząd wyziera skała bazaltowa, no i ten wzburzony ocean, wiecznie wyjący albo szemrzący u moich stóp!

Dużo o Tobie myślę, kochana żono, i o naszych dzieciach. Ciekaw jestem, czy moje listy w ogóle do Ciebie docierają. Że też oboje, że też wszyscy musimy znosić tę smutną i straszną udrękę! Strażnikom nie wolno się do mnie odzywać. Całymi dniami

nie zamieniam z nikim ani słowa. Ta izolacja jest do tego stopnia całkowita, że często mam wrażenie, jakby mnie pogrzebano żywcem.

Lucie ma prawo pisywać do męża tylko pod warunkiem przestrzegania surowych warunków. Nie wolno jej wspominać o procesie ani o niczym, co się z nim wiąże. Wszystkie listy musi składać w Ministerstwie Kolonii w terminie do dwudziestego piątego dnia każdego miesiąca. Następnie są one starannie kopiowane i czytane przez wydelegowanych do tego urzędników Ministerstwa Kolonii, a także Ministerstwa Wojny. Kopie otrzymuje również major Étienne Bazeries, szef wydziału szyfrów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, który sprawdza, czy listy nie zawierają zaszyfrowanych wiadomości. (Podobnie sprawdza listy Dreyfusa do Lucie). Widzę, że pierwsza transza listów dotarła do Cayenne pod koniec marca, a jednak odesłano ją do Paryża w celu ponownego zbadania. Dopiero dwunastego czerwca, po czterech miesiącach milczenia, Dreyfus dostaje w końcu wiadomości z domu:

Fred, mój kochany

Nie potrafię wyrazić smutku i bólu, jakie napełniają mnie w miarę coraz dłuższej rozłąki z Tobą. Za dnia biję się z niespokojnymi myślami, nocami męczą mnie koszmarne sny. I tylko dzieci, tak czyste i w głębi duszy niewinne, przypominają mi, jak ważny obowiązek muszę wypełnić i że nie mam prawa się poddać. Dlatego zbieram siły i wkładam całe serce w to, by wychować je tak, jak zawsze tego pragnąłeś, idąc za Twoimi radami i robiąc, co w mojej mocy, by miały szlachetne serce i żebyś po powrocie ujrzał dzieci godne swojego ojca, takie jak gdybyś je ulepił na swoje podobieństwo.

Najdroższy mężu, jak zawsze kochająca i oddana Ci
Lucie

Na tym akta się kończą. Odkładam ostatnią kartkę, zapalam papierosa. Pochłonięty lekturą, nawet nie zauważyłem, że nastał świt. Z tyłu słyszę, jak Pauline krząta się w sypialni. Wchodzę do mojej maleńkiej kuchni, by zaparzyć kawę, a kiedy wracam z dwiema filiżankami w rękach, Pauline jest już ubrana. Rozgląda się, szukając czegoś.

– Nie podziękuję ci – bąka z roztargnieniem na widok kawy. – Muszę iść, a nie mogę znaleźć pończochy. Aha!

Dostrzega ją i schyla się po nią z szybkością atakującego sokoła. Opiera podbicie stopy na krześle, rozwija biały jedwab i naciąga go na palce, na piętę, wygładza na łydce.

Przyglądam jej się.

– Wyglądasz jak Nana z obrazu Maneta – mówię.

– Czy Nana to kurwa?

– Tylko w świetle moralności mieszczańskiej.

– No cóż, jestem mieszczanką. A ty mieszczaninem. A co ważniejsze, mieszczańską moralność wyznaje większość naszych sąsiadów. – Wkłada but, wygładza sukienkę. – Jeśli wyjdę od razu, może nikt mnie nie zauważy.

Podnoszę żakiet, pomagam jej go włożyć.

– Zaczekaj chociaż, aż też coś na siebie wrzucę i cię odwiozę do domu – proponuję.

– To by było wbrew temu, o co mi chodzi, nie sądzisz? – Bierze torebkę. Okropny jest ten jej dobry humor. – Do widzenia, kochany – mówi. – Napisz szybko. – Cmoka mnie przelotnie, otwiera drzwi i tyle ją widziałem.

* * *

Przychodzę do pracy tak wcześnie, że spodziewam się mieć cały gmach tylko dla siebie. Ale kiedy potrząsam za ramię i budzę drzemiącego na krześle Bachira, ten informuje mnie, że major Henry jest już u siebie. Idę na górę, skręcam w korytarz, pukam raz do drzwi majora i wchodzę, nie czekając na zaproszenie. Mój zastępca siedzi nachylony nad biurkiem, z pincetą i ze szkłem powiększającym w ręku; przed nim leżą rozłożone rozmaite dokumenty. Ze zdziwieniem podnosi głowę. W okularach zsuniętych na czubek zadartego nosa wygląda zaskakująco staro i bezbronnie. On chyba też zdaje sobie z tego sprawę, bo wstając, szybko je zdejmuje.

– Dzień dobry, pułkowniku. Ranny z pana ptaszek.

– Z pana również, majorze. Zaczynam myśleć, że pan tu mieszka! To musi wrócić do Ministerstwa Kolonii. – Podaję mu teczkę z korespondencją Dreyfusa. – Już z nią skończyłem.

– Dziękuję. I co pan o tym sądzi?

– Stopień ingerencji cenzury jest zdumiewający. Nie sądzę, żeby tak drastyczne ograniczenia ich korespondencji były konieczne.

– A! – Henry, jak to on, znów uśmiecha się z wyższością. – Widocznie my tu nie mamy tak miękkiego serca jak pan.

Nie łapię się na jego przynętę.

– Nie, nie o to chodzi. Gdybyśmy pozwolili *madame* Dreyfus opisywać mężowi, co robi, zaoszczędziłaby nam kłopotu, bo nie musielibyśmy się tego dowiadywać na własną rękę. A gdyby on miał prawo pisać o swojej sprawie, mógłby popełnić błąd i ujawnić coś, o czym nie wiemy. Tak czy owak, skoro i tak ich inwigilujemy, dajmy im chociaż możliwość wypowiedzenia się.

– Przekażę to dalej.

– Niech pan tak zrobi. – Zerkam na biurko. – Co to za szpargały?

– Agentka Auguste dostarczyła nam nowy materiał.

– Kiedy go odebraliście?

– Przedwczoraj wieczorem.

Przyglądam się dwóm podartym notatkom.

– Jest coś ciekawego?

– A i owszem.

Listy podarto na strzępy wielkości paznokcia – jak widać niemiecki attaché wojskowy, pułkownik Maximilian von Schwartzkoppen, jest nader ostrożny, skoro drze swoje pisma na tak

niespotykanie małe kawałeczki. Ale trzeba być głupim, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że jedynym skutecznym sposobem zniszczenia papieru jest spalenie go. Henry i Lauth mają wprawę w składaniu maleńkich fragmentów – sklejają je paskami przezroczystej taśmy. Ta dodatkowa warstwa nadaje dokumentom tajemniczą fakturę i sztywność. Odwracam je na drugą stronę. Te akurat – pisane po francusku, nie niemiecku – pełne są romantycznych zwrotów: *mon cher ami adoré* (…), *mon adorable lieutenant* (…), *mon pioupiou* (…), *mon Maxi* (…), *je suis à toi* (…), *toujours à toi* (…), *toute à toi, mille et mille tendresses* (…), *à toi toujours*.

– Zakładam, że to nie od kajzera – mówię. – Chociaż kto wie?

Henry uśmiecha się szeroko.

– Nasz zachwycający „pułkownik Maxi” ma romans z mężatką, co w przypadku kogoś na jego stanowisku jest wyjątkową głupotą.

Przebiega mi przez myśl, czy nie jest to przytyk pod moim adresem, ale kiedy spoglądam na Henry’ego, ten nie patrzy na mnie, tylko na list; na jego twarzy maluje się wyraz lubieżnej satysfakcji.

– Myślałem, że Schwartzkoppen jest homoseksualistą – mówię.

– Czyjaś żona czy mąż… jemu to bez różnicy.

– Kim ona jest?

– Podpisuje się jako *madame* Cornet, ale to fałszywe nazwisko. Używa adresu siostry jako poste restante. Ale pięć razy śledziliśmy Schwartzkoppena w drodze na ich potajemne randki i ustaliliśmy, że to żona radcy z poselstwa Holandii. Nazywa się Hermance de Weede.

– Ładne imię.

– I ładna kobieta. Trzydzieści dwa lata. Trójka małych dzieci. Mężny pułkownik niewątpliwie nie szczędzi swoich względów.

– Od dawna to trwa?

– Od stycznia. Zauważyliśmy ich, jak jedli obiad w la Tour d'Argent… a potem wzięli pokój w hotelu na górze. Śledziliśmy ich także podczas spacerów po Champs de Mars. On jest nieostrożny.

– A co w tym jest takiego interesującego, że poświęcamy nasze środki na śledzenie romansującej pary?

Henry spogląda na mnie jak na półgłówka.

– To, że w tej sytuacji łatwo można go szantażować – wyjaśnia.

– Na przykład kto miałby to robić?

– My. Ktokolwiek. Raczej nie zależałoby mu na rozgłosie, prawda?

Pomysł, że mielibyśmy szantażować attaché wojskowego Niemiec z powodu pozamałżeńskiego związku z żoną wysokiego rangą holenderskiego dyplomaty, wydaje mi się niedorzeczny, ale zachowuję swoje zdanie dla siebie.

– I powiada pan, że te papiery dotarły do nas przedwczoraj wieczorem?

– Tak, pracowałem nad nimi w domu.

Przez chwilę panuje milczenie, bo ważę słowa, myśląc o tym, co muszę powiedzieć.

– Henry, mój drogi – mówię w końcu ostrożnie. – Nie chciałbym być źle zrozumiany, ale naprawdę uważam, że tak delikatne materiały natychmiast po odebraniu powinny trafiać do biura. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby tak Niemcy odkryli, co robimy!

– Pułkowniku, zapewniam pana, że nie spuściłem tych materiałów z oka.

– Nie o to chodzi. Procedura jest do bani. Od tej pory wszelkie materiały od Auguste mają trafiać bezpośrednio do mnie. Będę je przechowywał w mojej szafie pancernej i to ja będę decydował o tym, które wątki podejmiemy i kto się tym zajmie.

Henry czerwienieje na twarzy. O dziwo, ten wielki rubaszny chłop wygląda, jakby się miał

rozpłakać.

– Pułkownik Sandherr nigdy nie narzekał na moje metody – broni się.

– Pułkownika Sandherra już tu nie ma.

– Z całym szacunkiem, pułkowniku, pan jest nowy w tej grze…

Podnoszę rękę.

– Dość tego, majorze. – Wiem, że muszę mu przerwać. Nie mogę teraz ustąpić. Jeśli od razu go nie okiełznam, nigdy tego nie zrobię. – Przypominam, że to jest jednostka wojskowa, a pańskim zadaniem jest wykonywanie moich rozkazów.

Staje na baczność niczym nakręcany ołowiany żołnierzyk.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Korzystam z impetu jak podczas szarży kawalerii.

– Skoro już o tym mówimy, chciałbym wprowadzić jeszcze kilka innych zmian. Nie życzę sobie, żeby na parterze przesiadywali informatorzy oraz inni podejrzani osobnicy. Mają się tu stawiać na wezwanie, po czym natychmiast opuszczać budynek. Musimy wprowadzić system przepustek, żeby na piętra byli wpuszczani tylko ludzie uprawnieni. A Bachir jest beznadziejny.

– Chce pan się pozbyć Bachira? – pyta z niedowierzaniem.

– Nie, dopóki nie znajdziemy mu jakiejś innej kwatery. Uważam, że należy się troszczyć o dawnych towarzyszy broni. Ale każemy założyć dzwonek elektryczny, żeby sygnalizował każde otwarcie drzwi wejściowych. Wtedy, jeśli Bachir będzie spał tak jak dziś, kiedy się zjawiłem, przynajmniej zorientujemy się, że ktoś wszedł do budynku.

– Tak jest, panie pułkowniku. Czy to wszystko?

– Na razie tak. Niech pan zbierze materiały od Auguste i dostarczy je do mojego gabinetu.

Odwracam się na pięcie i wychodzę, nie zamykając za sobą drzwi. To kolejna z rzeczy, które chciałbym tu zmienić, myślę sobie, maszerując do swojego gabinetu – tę cholerną atmosferę ukradkowości, w której pracownicy siedzą nabzdyczeni, każdy w swoim gabinecie. Próbuję otwierać mijane drzwi po obu stronach korytarza, lecz wszystkie są zamknięte. Dotarłszy do swojego biurka, biorę kartkę i piszę utrzymaną w surowym tonie obiegówkę z nowymi zasadami, która ma być rozdana wszystkim moim oficerom. Potem piszę notatkę służbową do generała Gonse’a, w której

domagam się przydzielenia sekcji statystycznej nowych pomieszczeń biurowych w głównym budynku ministerstwa, a przynajmniej wyremontowania istniejącej siedziby. Gdy mam to już z głowy, od razu czuję się lepiej. Wydaje mi się, że nareszcie przejąłem dowodzenie.

* * *

Jeszcze tego samego ranka Henry, tak jak prosiłem, przychodzi do mnie z najnowszymi materiałami od Auguste. Nastawiam się na dalsze kłopoty z mocnym postanowieniem, by nie ustępować ani na jotę. Nie zważając na to, że jego doświadczenie jest absolutnie niezbędne dla sprawnego działania sekcji, w razie czego jestem gotów przenieść go do innej jednostki. Ale ku mojemu zdziwieniu jest potulny jak owieczka. Pokazuje mi, jaką część korespondencji już zrekonstruował, a co jeszcze należy zrobić, po czym uprzejmie proponuje, że nauczy mnie sklejania fragmentów. Żeby mu sprawić przyjemność, próbuję się tym zająć, ale ta dłubanina wymaga zbyt wiele czasu; poza tym nawet jeśli Auguste jest naszą najważniejszą agentką, mam na głowie prowadzenie całej sekcji. Powtarzam więc swoje stanowisko: to ja

pierwszy mam wstępnie oceniać materiały, a resztę chętnie zostawię jemu i Lauthowi.

Henry dziękuje mi za szczerość i przez kilka miesięcy panuje między nami pokój. Jest wesoły, mądry, przyjacielski i oddany pracy – a przynajmniej tak stara się wypaść przede mną. Czasami, wychodząc z gabinetu na korytarz, przyłapuję go, jak rozmawia cicho z Lauthem i Junckiem – szybkość, z jaką się rozchodzą, mówi mi, że rozprawiali o mnie. Raz, chcąc uporządkować papiery w zwracanej teczce, przystaję przed drzwiami do archiwum Gribelina i słyszę dobiegający ze środka głos Henry'ego: „Nie mogę znieść tego jego poczucia, że jest mądrzejszy od nas wszystkich!". Nie mam jednak pewności, czy mówi o mnie – zresztą jeśli nawet, jestem skłonny puścić to w niepamięć. Którego szefa nie obgadują za plecami, zwłaszcza jeśli próbuje zaprowadzić dyscyplinę i zwiększyć wydajność pracy?

Przez resztę lata, jesień i zimę 1895 roku staram się jak najlepiej zgłębić tajniki mojej pracy. Dowiaduję się, że kiedy agentka Auguste ma nową partię materiałów do przekazania, daje sygnał, z samego rana umieszczając pewien gatunek kwiatu w donicy na balkonie swojego mieszkania przy rue Surcouf. To oznacza, że tego

dnia o dziewiątej wieczorem będzie czekała w bazylice Sainte-Clotilde. Dostrzegam w tym okazję do poszerzenia swojego doświadczenia.

– Dzisiaj wieczorem sam chciałbym odebrać materiały – oznajmiam Henry'emu pewnego dnia w październiku. – Żeby na własnej skórze poczuć, jak działa cała ta procedura.

Patrzę, jak dosłownie połyka swoje obiekcje.

– Dobry pomysł – odpowiada.

Wieczorem przebieram się w cywilne ubranie, biorę teczkę i piechotą idę do pobliskiej bazyliki – olbrzymiej, naśladującej gotyk fabryki przesądów, z dwiema wieżami. Znam ją dobrze z czasów, kiedy chodziłem do niej na recitale organowe Césara Francka. Zjawiam się z dużym zapasem czasu i postępuję zgodnie z instrukcjami Henry'ego. Przechodzę do wyludnionej bocznej kaplicy, w trzecim rzędzie od frontu przeciskam się na trzecie siedzenie po lewej od nawy, klękam, biorę zostawioną tam książeczkę modlitewną i wsadzam między jej kartki dwieście franków. Potem cofam się do ostatniego rzędu i czekam. Nie ma tu nikogo, nikt mnie nie obserwuje, ale gdyby nawet, wyglądałbym na zatroskanego urzędnika, który wracając z pracy do domu, wstąpił do kościoła, by zasięgnąć rady swego Stwórcy.

Mimo że to, co robię, absolutnie nie wiąże się z żadnym zagrożeniem, serce mi wali jak młotem. Absurd! Może to wpływ migotliwego światła świec i zapachu kadzideł albo echa kroków oraz szeptów dochodzących z ogromnej nawy. Cokolwiek to jest – i mimo że już dawno straciłem wiarę – czuję, że przeprowadzanie takiej transakcji na poświęconej ziemi to świętokradztwo. Co chwila spoglądam na zegarek – za dziesięć dziewiąta, punkt dziewiąta, pięć po dziewiątej, dwadzieścia po… Może ona nie przyjdzie? Wyobrażam sobie, jak Henry uprzejmie składa mi wyrazy współczucia, kiedy mu jutro powiem, że agentka się nie zjawiła.

Nagle jednak, tuż przed wpół do dziesiątej, ciszę przerywa szczęk otwieranych drzwi za moimi plecami. Mija mnie przysadzista kobieta w czarnej spódnicy i chuście na głowie. W połowie nawy zatrzymuje się, robi znak krzyża, dyga przed ołtarzem, po czym rusza prosto na ustalone miejsce. Patrzę, jak klęka. Niecałą minutę później wstaje i rusza nawą w moją stronę. Nie spuszczam z niej oczu, jestem ciekawy, jak wygląda ta nasza *madame* Bastian – pospolita sprzątaczka, a jednocześnie zapewne najcenniejsza tajna agentka we Francji czy nawet w całej Europie. Przechodząc obok, obrzuca mnie

przeciągłym twardym spojrzeniem – podejrzewam, że jest zaskoczona, widząc mnie, a nie majora Henry'ego – a ja stwierdzam, że w jej zaciekłych, niemal męskich rysach i wyzywającym spojrzeniu absolutnie nie ma nic pospolitego. Jest dzielna, może nawet zuchwała, ale inaczej przez pięć lat nie wynosiłaby tajnych dokumentów z niemieckiej ambasady, pod nosem strażników.

Gdy kobieta znika, wstaję i przechodzę na miejsce, gdzie zostawiłem pieniądze. Henry bardzo podkreślał, żebym nie tracił czasu. Pod krzesłem jest wetknięta papierowa torba, zwinięta w rożek. Szeleści niepokojąco, kiedy ją wyciągam i chowam do teczki. Pośpiesznie opuszczam bazylikę, za drzwiami schodzę po schodach i maszeruję ciemnymi, wyludnionymi ulicami wokół ministerstwa. Dziesięć minut po przejęciu torby, upojony sukcesem, wysypuję jej zawartość na biurko w swoim gabinecie.

Jest tego więcej, niż się spodziewałem: róg obfitości wszelakiego śmiecia – podarte, zmięte kartki uwalane popiołem z papierosów, papier biały i szary, kremowy i niebieski, bibułka i karton, drobniutkie kawałki i większe fragmenty, zapisane odręcznie ołówkiem bądź atramentem, wystukane na maszynie do pisania

albo wydrukowane, słowa francuskie, niemieckie i włoskie, bilety kolejowe i odcinki biletów teatralnych, koperty, zaproszenia, rachunki z restauracji, pokwitowania od krawców, taksówkarzy i szewców… Przesuwam po całym tym majdanie rękami, podnoszę strzępki, przepuszczam je między palcami… Wiem, że większość okaże się do niczego, ale wśród śmieci może się trafić istna żyła złota. Ogarnia mnie dreszczyk podniecenia właściwy poszukiwaczom tego kruszcu.

Zaczyna mi się podobać ta robota.

* * *

Dwukrotnie piszę do Pauline, ale powściągliwie, na wypadek gdyby Philippe otwierał jej listy. Nie odpisuje mi, a ja nie próbuję jej szukać ani się dowiadywać, czy wszystko w porządku. Głównie z braku czasu – sobotnie i niedzielne wieczory poświęcam matce, której pamięć coraz bardziej szwankuje, a w dni powszednie do późna siedzę w pracy. Muszę mieć oko na tyle rozmaitych spraw. Niemcy układają wzdłuż naszej wschodniej granicy kable telefoniczne. Podejrzewamy, że w naszej ambasadzie w Moskwie działa szpieg. Angielski

agent podobno wystawia na sprzedaż kopię naszych planów mobilizacyjnych i odda je temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. No i regularnie muszę też składać te swoje *blancs*… Mam pełne ręce roboty.

Nadal bywam w salonie Comminges'ów, ale „ta twoja słodka *madame* Monnier", jak z upodobaniem nazywa ją Blanche, nigdy się nie pojawia, mimo że Blanche twierdzi, jakoby nie zdarzało jej się nie zaprosić Pauline. Po jednym z koncertów zapraszam Blanche na kolację do Tour d'Argent, gdzie dostajemy stolik z widokiem na rzekę. Dlaczego wybieram akurat tę restaurację? Choćby dlatego, że z domu Comminges'ów można tam dojść spacerkiem. Ale ciekawi mnie również, czy pułkownik von Schwartzkoppen podejmuje tam swoją kochankę. Rozglądam się po sali jadalnej – dookoła prawie same pary. Boksy ze świecami zapewniają intymność – *je suis à toi, toujours à toi, toute à toi*… Ostatni raport policyjnych agentów opisuje Hermance jako „kobietę niewiele po trzydziestce, blondynkę, drobną, w kremowej spódnicy i wykończonym na czarno żakiecie". „Czasami nie trzymali rąk ponad stołem".

– Dlaczego tak się uśmiechasz? – pyta Blanche.

– Znam pewnego pułkownika, który przychodzi tu z kochanką. Potem biorą pokój na górze – wyjaśniam.

Blanche spogląda na mnie i w tej jednej krótkiej chwili klamka zapada. Zamieniam słowo z maître d'hôtel, który oznajmia: „Drogi panie pułkowniku, oczywiście, że mamy wolny pokój", więc po kolacji prowadzi nas na górę jakiś ponury facet, który nawet nie raczy podziękować za suty napiwek.

Później Blanche pyta:

– Jak myślisz, lepiej jest się kochać przed kolacją czy po?

– Istnieją argumenty przemawiające za każdą z tych wersji. Ja sądzę, że lepiej jest chyba przed. – Całuję ją i wstaję z łóżka.

– Zgadzam się. Wobec tego następnym razem odwrócimy kolejność – oświadcza.

Blanche ma dwadzieścia pięć lat. O ile więc czterdziestoletnia Pauline rozbiera się po ciemku i leniwie zakrywa się pościelą albo ręcznikiem, Blanche kładzie się na wznak przy świetle elektrycznym, paląc papierosa; unosi lewe kolano, opiera na nim prawą stopę i przebierając palcami tej stopy, przygląda się im. Wyciąga rękę na oślep, z grubsza w kierunku popielniczki, i strzepuje popiół.

– Z pewnością obie odpowiedzi są prawidłowe – mówi nagle.

– Obie nie mogą być słuszne, kochanie – prostuję, ani na moment nie wypadając z roli nauczyciela. – Bo to by było nielogiczne.

Staję przy oknie, spowity zasłonami niczym togą, i patrzę za bulwar, na Île Saint-Louis. Pode mną przepływa łódź, zostawiając połyskującą bruzdę na czarnej powierzchni rzeki; jest oświetlona niczym na przyjęcie, a jednak pusta. Próbuję się skupić na tej chwili, wyryć ją na dobre w pamięci, bym, jeśli ktoś mnie zapyta: „Kiedy byłeś zadowolony?", mógł odpowiedzieć: „Był raz taki wieczór z dziewczyną w Tour d'Argent…".

– Czy to prawda, że Armand du Paty maczał palce w sprawie Dreyfusa? – pyta znienacka Blanche z łóżka za moimi plecami.

Ulotna chwila zamiera, znika. Nie muszę się odwracać. Doskonale widzę jej odbicie w szybie. Nadal beztrosko zatacza stopą kręgi w powietrzu.

– Gdzie o tym usłyszałaś? – pytam.

– A, to tylko Aimery wspomniał o tym dzisiaj wieczorem. – Szybko turla się na brzuch i gasi papierosa. – Skoro tak, to oczywiście znaczy, że ten biedny Żyd na pewno okaże się niewinny.

Po raz pierwszy ktoś mi zasugerował, że Dreyfus może być niewinny. Jej nonszalancja przyprawia mnie o szok.

– To nie jest temat do żartów, Blanche – ganię ją.

– Kochanie, ależ ja nie żartuję! Jestem śmiertelnie poważna! – Poprawia sobie poduszkę i kładzie się na wznak, z rękami splecionymi za głową. – Wtedy myślałam, że to dziwne… ten sposób, w jaki publicznie zdarto z niego insygnia, jak zesłano go na bezludną wyspę… Nie wydaje ci się, że trochę tego za dużo? Powinnam była się domyślić, że stał za tym Armand du Paty! Może i ubiera się jak wojskowy, ale pod jego mundurem bije serce autorki romansów.

Wybucham śmiechem.

– No cóż, muszę ustąpić przed wyższością twojej wiedzy o tym, co dzieje się pod jego mundurem, moja droga – mówię. – Tak się jednak składa, że o sprawie Dreyfusa wiem więcej niż ty i wierz mi, dochodzenie prowadziło wielu innych oficerów, nie tylko twój były kochanek!

W szybie widzę, jak posyła mi nadąsaną minkę; nie lubi, gdy się jej przypomina o przejawie braku smaku, jakim był jej romans z du Patym.

– Georges, kiedy tak tam stoisz, wyglądasz dokładnie jak Jowisz. Bądź Dobrym Bogiem i wracaj do łóżka…

* * *

Rozmowa z Blanche lekko wytrąca mnie z równowagi. W mojej głowie kiełkuje odrobina… nie, nie nazwę tego wątpliwością, powiedzmy raczej, że to ciekawość, i dotycząca nie tyle winy Dreyfusa, ile kary. Zadaję sobie pytanie, w jakim celu nadal obstajemy przy tych absurdalnych i kosztownych korowodach związanych z jego więzieniem, wymagających zesłania na tę maleńką wysepkę czterech czy pięciu strażników, którzy siedzą tam z nim bez słowa, odcięci od świata. Na czym polega nasza polityka? Ile jeszcze godzin pracy biurokracji – w tym mojej – będą wymagały zarządzanie, inwigilacja oraz cenzura związane z jego karą?

W miarę jak mijają tygodnie i miesiące, zatrzymuję te myśli dla siebie. Nadal dostaję raporty od Guénéego z rezultatami inwigilacji Lucie i Mathieu Dreyfusów, nic jednak z nich nie wynika. Czytam ich listy do więźnia (*Mój drogi, kochany mężu, ile bezkresnych godzin, ile bolesnych dni przeżyliśmy od wybuchu tej*

katastrofy…) i jego odpowiedzi, przeważnie niedostarczane (*Nic tak nie przygnębia, nic tak bardzo nie pozbawia energii serca i umysłu jak udręka tych długich okresów ciszy, kiedy nie słyszę ludzkiej mowy, nie widzę przyjaznych twarzy czy choćby przejawów sympatii…*). Dostaję także kopie regularnych sprawozdań urzędników Ministerstwa Kolonii w Cayenne, którzy nadzorują stan zdrowia oraz morale skazańca: *Więźniowi zadano pytanie, jak się czuje. „Chwilowo dobrze – odparł. – To tylko moje serce jest chore. Nic…” W tym momencie załamał się i płakał przez kwadrans (2 lipca 1895 r.).*

> *Więzień oświadczył: „Zanim opuściłem Francję, pułkownik du Paty de Clam obiecał mi, że zbada tę sprawę. Nie sądziłem, że zajmie to tyle czasu. Mam nadzieję, że uda się to przyśpieszyć” (15 sierpnia 1895 r.).*

> *Podczas rozmowy o tym, że nie dostaje listów, więzień rozpłakał się i rzekł: „Już od dziesięciu miesięcy przeżywam jakiś koszmar” (31 sierpnia 1895 r.).*

> *Więzień wybuchł nagle płaczem i oznajmił: „Długo już nie wytrzymam – pęknie mi*

serce”. Kiedy dostaje listy, zawsze płacze (2 września 1895 r.).

Dzisiaj więzień przez wiele godzin siedział bez ruchu. Wieczorem uskarżał się na gwałtowne palpitacje serca połączone z częstymi napadami duszności. Poprosił o apteczkę z lekarstwami, by sam mógł ze sobą skończyć, kiedy już dłużej nie będzie mógł tego znieść (13 grudnia 1895 r.).

Zimą stopniowo dostrzegam, że jednak mamy politykę wobec Dreyfusa, tyle że mi jej nie wyjaśniono, ani ustnie, ani na piśmie. Po prostu czekamy, aż umrze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwsza rocznica degradacji Dreyfusa, piątego stycznia 1896 roku, mija bez specjalnego zainteresowania prasy. Nie ma listów protestacyjnych, nikt nie demonstruje w jego obronie ani przeciwko niemu. Wygląda na to, że siedząc na tej swojej skale, popadł w zapomnienie. Nadchodzi wiosna; już od ośmiu miesięcy szefuję sekcji statystycznej i wszystko idzie jak po maśle.

Aż tu nagle w marcu major Henry pyta, czy mógłby wpaść do mojego gabinetu. Oczy ma czerwone i zapuchnięte.

– Henry, mój drogi, dobrze się czujesz? – pytam, odkładając czytane akta. – Co się stało?

Staje przed moim biurkiem.

– Niestety, muszę prosić o natychmiastowy urlop, pułkowniku. Kryzys w rodzinie.

Każę mu zamknąć drzwi i usiąść.

– Czy mogę jakoś pomóc? – pytam.

– Niestety, panie pułkowniku, nic już nie da się zrobić – odpowiada. Wyciera nos w wielką chustkę. – Moja matka umiera.

– No cóż, przykro mi to słyszeć. Czy ktoś się nią opiekuje? Gdzie ona mieszka?

– Nad Marną. W małej wsi o nazwie Pogny.

– Musi pan jechać do niej bez zwłoki, niech pan weźmie tyle urlopu, ile potrzeba. Swoją robotę zlećcie Lauthowi albo Junckowi. To rozkaz. Wiecie, matkę ma się tylko jedną.

– Jest pan niezwykle uprzejmy, pułkowniku. – Wstaje, salutuje. Ciepło wymieniamy uścisk rąk, a ja proszę, żeby pozdrowił ode mnie matkę. Po jego wyjściu przez chwilę zastanawiam się, jaka jest ta żona hodowcy świń na równinie Marny i matka hałaśliwego syna żołnierza. Wyobrażam sobie, że nie miała łatwego życia.

Przez mniej więcej tydzień nie oglądam swojego zastępcy, aż tu nagle pewnego dnia po południu ktoś puka do moich drzwi i do gabinetu wchodzi Henry, niosąc jeden z tych wypchanych rożków z brązowego papieru, które zawierają przesyłki od agentki Auguste.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie pułkowniku. Muszę się śpieszyć, mam przesiadkę na inny pociąg. Chciałem tylko to podrzucić.

Po ciężarze pakunku od razu poznaję, że zawiera więcej materiałów niż zwykle. Henry dostrzega moje zdziwienie.

– Niestety, z powodu matki nie stawiłem się na nasze ostatnie spotkanie – wyznaje. – Dlatego załatwiłem z Auguste, żeby dostawa odbyła się dzisiaj, dla odmiany za dnia. Właśnie stamtąd przychodzę. Muszę wracać nad Marnę.

Już mam na końcu języka reprymendę, kazałem mu przecież przekazać obowiązki Lauthowi albo Junckowi; w każdym razie któryś z naszych agentów z pewnością mógł się zgłosić po przesyłkę jak zwykle, po ciemku, nie narażając się na ryzyko wpadki. Poza tym święta zasada wywiadu głosi – na co major sam wielokrotnie zwracał mi uwagę – że im szybciej przetworzy się uzyskane informacje, tym większy z nich pożytek. Jednak Henry, który od tygodnia mało co spał, wygląda tak mizernie, że powstrzymuję się od komentarza. Życzę mu jedynie *bon voyage* i zamykam przesyłkę w kasie pancernej, gdzie ma czekać do rana, kiedy to zjawi się kapitan Lauth.

Moje relacje z Lauthem nie posunęły się do przodu od dnia, kiedy się poznaliśmy – są profesjonalne i chłodne. Jest ledwie dwa lata młodszy ode mnie, całkiem łebski, zna niemiecki i pochodzi z Alzacji, więc powinniśmy się dogadywać o wiele lepiej. Ale jakoś nie potrafię go polubić, przeszkadzają mi w tym jego typowo

pruska jasnowłosa uroda oraz sztywna postawa. Jest jednak bardzo sprawnym oficerem, a szybkość, z jaką rekonstruuje podarte papiery, jest tak fenomenalna, że niosąc mu do gabinetu nowy nabytek, jak zwykle jestem uprzedzająco grzeczny:

– Czy zechciałby pan zająć się tym natychmiast?

– Oczywiście, panie pułkowniku.

Wkłada fartuch i podczas gdy wyjmuje z szafy skrzynkę z narzędziami, ja wysypuję zawartość papierowej torby na jego biurko. Pośród bieli i szarości mój wzrok natychmiast przyciąga szczypta koloru – kilkadziesiąt fragmentów o barwie jasnoniebieskiej wygląda niczym plamki czystego nieba w pochmurny dzień. Trącam kilka z nich palcem wskazującym. Są nieco grubsze od zwykłego papieru. Lauth bierze jeden kawałek pincetą i obracając go, ogląda w silnym świetle lampy elektrycznej.

– To *petit bleu* – mruczy pod nosem, używając slangowego określenia telegramu wysłanego pocztą pneumatyczną. – Podarto go na mniejsze strzępki niż zwykle.

– Zobaczmy, co się panu uda z tym zrobić.

Cztery czy pięć godzin później Lauth wchodzi do mojego gabinetu. W ręku trzyma cienką

brązową kopertę. Podając mi ją, krzywi się z niezadowolenia. Jego postawa zdradza, że jest nieswój, zdenerwowany.

– Myślę, że powinien pan to obejrzeć – mówi.

Otwieram kopertę. W środku jest *petit bleu*. Składając dokument, Lauth spisał się wyśmienicie. Faktura przywodzi mi na myśl coś, co zostało złożone przez archeologa – na przykład odtworzony fragment stłuczonego szkła albo kafelka z niebieskiego marmuru. Z prawej strony kartka jest postrzępiona – tam gdzie brakuje niektórych kawałków – i wygląda jak pożyłkowana, jednak tekst, po francusku, jest całkowicie czytelny:

Szanowny Panie

Przede wszystkim oczekuję bardziej szczegółowego wyjaśnienia niż to, które od pana dostałem w wiadomej sprawie. Proszę mi je przedstawić na piśmie, bym mógł podjąć decyzję, czy kontynuować związek z domem R.

C

Zaskoczony zerkam na Lautha. Wchodząc, swoją postawą sugerował, że ma coś

sensacyjnego, a to nie usprawiedliwia jego podniecenia.

– „C” oznacza Schwartzkoppena? – upewniam się.

Lauth przytakuje ruchem głowy.

– Tak. To jego ulubiony kryptonim. Ale proszę przeczytać na odwrocie.

Z drugiej strony jest pajęczyna maleńkich kawałeczków przezroczystej taśmy klejącej, która spaja strzępki w całość. Ale i tutaj pismo jest doskonale czytelne. W pustym miejscu pod wydrukowanym słowem TELEGRAM i ponad słowem PARYŻ napisano:

Major Esterházy
Rue de la Bienfaisance 27

Nazwisko nic mi nie mówi. Mimo to przeżywam taki szok, jakbym właśnie zobaczył nekrolog serdecznego przyjaciela.

– Proszę porozmawiać z Gribelinem – zwracam się do Lautha. – Niech go pan poprosi, żeby sprawdził, czy we francuskim wojsku służy jakiś major Esterházy. – A w duchu myślę, że zważywszy na nazwisko, może chodzić o kogoś z armii austro-węgierskiej.

– Już to sprawdziłem – odpowiada Lauth. – Major Charles Ferdinand Walsin-Esterházy służy w Siedemdziesiątym Czwartym Pułku Piechoty.

– W Siedemdziesiątym Czwartym? – Nadal próbuję to zrozumieć. – Mam przyjaciela w tym pułku. Stacjonują w Rouen.

– W Rouen? W „domu R”? – Lauth z przerażeniem wytrzeszcza na mnie jasnoniebieskie oczy, ponieważ teraz wszystko wskazuje w jednym kierunku. Zniża głos do szeptu. – Czy to znaczy, że jest jeszcze jeden zdrajca?

Nie wiem, co mam mu odpowiedzieć. Ponownie przebiegam wzrokiem pięć wierszy telegramu. Po ośmiu miesiącach czytania notatek i brudnopisów Schwartzkoppena doskonale znam jego charakter pisma, a ten, taki regularny i sztywny, ani trochę go nie przypomina. Prawdę mówiąc, jest zbyt regularny i sztywny, by mógł naturalnie wyjść spod czyjejś ręki. Takie pismo widuje się na oficjalnych zaproszeniach, charakter został celowo zmieniony. I nic dziwnego, myślę sobie – oficer zagranicznego mocarstwa kontaktujący się z agentem w obcym kraju za pośrednictwem poczty przynajmniej postarałby się na wszelki wypadek zmienić charakter pisma. Wiadomość, utrzymana

w nieznoszącym sprzeciwu tonie, pełnym irytacji i pośpiechu, świadczy o kryzysie w relacjach obu stron. Biegnąca kanałami sieć rur ze sprężonym powietrzem oplata cały Paryż i jest w stanie dostarczyć telegram tak szybko, że Esterházy miałby go w ręku po godzinie, góra dwóch. Wiąże się z tym jednak pewne ryzyko i być może dlatego Schwartzkoppen, pracowicie napisawszy list – i zmarnowawszy na niego kosztujący pięćdziesiąt centymów specjalny druk na telegram – ostatecznie postanowił go nie wysyłać, podarł go na jak najdrobniejsze kawałeczki i wyrzucił je do kosza na śmieci.

– Nie ulega wątpliwości, że ten telegram jest bardzo ważny – zwracam się do Lautha. – Skoro więc go zachował, to co wysłał zamiast niego?

– Kolejny telegram? – podsuwa Lauth. – List?

– Sprawdził pan resztę materiałów?

– Jeszcze nie. Skupiłem się na *bleu*.

– Dobrze. Niech pan wraca do roboty i sprawdzi, czy nie ma tam jeszcze jednego brudnopisu lub czegoś takiego.

– A co zrobimy w związku z tym telegramem pneumatycznym?

– Zostawi go pan u mnie. Nikomu nie wolno panu o nim wspominać. Czy to jasne?

– Tak jest, panie pułkowniku. – Lauth salutuje.

Odwraca się i wychodzi.

– A swoją drogą, dobra robota! – wołam za nim.

* * *

Po wyjściu Lautha podchodzę do okna i wyglądam na rezydencję ministra po drugiej stronie ogrodu. Widzę światło palące się w jego gabinecie. Bez trudu mógłbym tam pójść i zawiadomić go o tym, co odkryliśmy. Mógłbym też zwrócić się przynajmniej do generała Gonse'a, w końcu to on jest moim bezpośrednim przełożonym. Ale wiem, że jeśli tak zrobię, stracę kontrolę nad śledztwem, jeszcze zanim do niego dojdzie – nie będę mógł wykonać żadnego ruchu, którego wcześniej z nimi nie uzgodnię. Do tego dochodzi ryzyko przecieku. Nasz podejrzany może i jest skromnym majorem z niemodnego pułku w miejskim garnizonie, ale w środkowej Europie Esterházy to wielkie nazwisko i niewykluczone, że któryś z członków sztabu generalnego poczułby się w obowiązku ostrzec rodzinę majora. Dochodzę więc do wniosku, że w tej sprawie lepiej trzymać karty przy orderach.

Wkładam *petit bleu* z powrotem do koperty i zamykam w swoim sejfie.

Nazajutrz Lauth znów do mnie przychodzi. Pracując do późnej nocy, złożył z kawałków szkic następnego listu. Niestety, jak to często bywa, Auguste nie zdołała zebrać wszystkich skrawków papieru i brakuje słów, a może nawet fragmentów zdań. Gdy czytam, Lauth przygląda mi się uważnie.

Doręczyć za pośrednictwem konsjerżki
Szanowny Panie
Żałuję, że nie rozmawiamy osobiście (…) na temat, który (…) Mój ojciec posiada wystarczające (…) fundusze niezbędne do dalszego (…) na warunkach określonych w (…) Wyjaśnię Panu, jakie powody nim kierowały, na początek muszę jednak Panu powiedzieć (…) Pańskie warunki dla mnie za ostre i (…) rezultaty tej (…) wyprawy. Proponuje mi (…) wyjazd, przy okazji którego moglibyśmy (…) do moich związków (…) do tej pory podchodził z dużą przesadą (…) wydałem już na te wyjazdy. Chodzi o to (…) porozmawiać z Panem jak najszybciej.
Przy okazji zwracam Panu szkice, które dostałem od Pana ostatnio – ale jeszcze nie wszystkie.

C

Czytam ten dokument kilkakrotnie. Nawet pomimo braków sens jest całkiem jasny. Esterházy przekazywał informacje Niemcom, w tym rysunki, za pieniądze, które wypłacał mu Schwartzkoppen. Teraz „ojciec” niemieckiego attaché – co zapewne jest eufemistycznym określeniem jakiegoś generała w Berlinie – protestuje, że cena jest zbyt wysoka jak za materiały wywiadowcze, które dostają.

– Oczywiście to może być pułapka – mówi Lauth.

– Owszem. – Już się nad tym zastanawiałem. – Jeżeli Schwartzkoppen odkrył, że czytamy to, co wyrzuca do śmieci, może postanowił wykorzystać tę wiedzę przeciwko nam. Bez trudu mógł podrzucać materiały do własnego kosza, żeby sprowadzić nas na fałszywy trop.

Zamykam oczy, próbuję się postawić na jego miejscu. Wydaje mi się nieprawdopodobne, by człowiek tak lekkomyślnie obnoszący się ze swoimi romansami i tak niedbale traktujący dokumenty nagle wykazał się podobną przebiegłością.

– Czy naprawdę takie działania z jego strony miałyby sens, biorąc pod uwagę gwałtowną

reakcję Niemców, kiedy ujawniliśmy, że to oni opłacali Dreyfusa? – zastanawiam się na głos. – Dlaczego Schwartzkoppen miałby ryzykować, że wywoła kolejny wstydliwy skandal szpiegowski?

– Oczywiście nic z tego nie stanowi dowodu, panie pułkowniku – mówi Lauth. – Nie moglibyśmy potraktować ani tego dokumentu, ani *petit bleu* jako pretekstu do aresztowania Esterházyego, bo żaden z nich nie został do niego wysłany.

– To prawda.

Otwieram kasę pancerną i wyjmuję kartonową teczkę. Wkładam do niej brudnopis listu oraz *petit bleu*. Na okładce piszę „Esterházy". Przychodzi mi na myśl, że oto jest paradoks świata szpiegów. Te dokumenty mają znaczenie wyłącznie wtedy, gdy wiadomo, skąd pochodzą. A skoro nigdy nie będzie można ujawnić źródła ich pochodzenia, ponieważ w ten sposób spalilibyśmy własnego agenta, w sensie prawnym są bezwartościowe. Nie mam ochoty pokazywać ich nawet ministrowi wojny ani szefowi sztabu generalnego, bo gdyby je zobaczył któryś z ich młodszych oficerów, mógłby rozpuścić plotki, że to tylko jakieś odtworzone śmieci. Wyciągam *petit bleu* z powrotem i pytam Lautha:

– Czy dałby pan radę sfotografować go i zakryć jakoś ślady podarcia, tak jak to pan zrobił z dokumentem Dreyfusa, żeby wyglądał na przechwycony w poczcie?

– Możliwe – odpowiada bez przekonania. – Tamten papier składał się jednak z sześciu kawałków, a ten z ponad czterdziestu. Ale nawet jeśli mi się uda, to strona z adresem, czyli najważniejsza w sensie dowodowym, nie jest ostemplowana, więc już na pierwszy rzut oka każdy się zorientuje, że ten list nie został wysłany.

– Może sami ją ostemplujemy? – proponuję.

– Bo ja wiem? – bąka z jeszcze większym powątpiewaniem.

Postanawiam nie drążyć tematu.

– W porządku – mówię. – Chwilowo zatrzymajmy wiedzę na temat tych dokumentów dla siebie. Na razie skupmy się na Esterházym, spróbujmy znaleźć jakieś inne dowody świadczące przeciwko niemu.

Widzę jednak, że Lautha wciąż coś gnębi. Marszczy czoło, zagryza wargę, wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nagle się rozmyśla. Wzdycha.

– Szkoda, że major Henry jest na urlopie, przydałby się tutaj – duka.

– Spokojna głowa. Henry już niedługo wróci – zapewniam go. – A do tej pory będziemy sobie z tym radzić we dwóch.

* * *

Wysyłam telegram do starego towarzysza broni z Tonkinu, Alberta Curé, majora w Siedemdziesiątym Czwartym Pułku Piechoty z Rouen, zawiadamiając go, że nazajutrz będę w okolicy i chętnie wpadłbym się z nim zobaczyć. Odpowiada mi jednym słowem: „Cudownie”.

Następnego dnia rano zjadam coś w barze na gare Saint-Lazare, po czym łapię pociąg do Normandii. Pomimo wagi mojej misji ledwo zostawiamy za sobą przedmieścia i wyjeżdżamy na otwarty teren, ogarnia mnie radosne podniecenie. Po raz pierwszy od wielu tygodni mogę się oderwać od biurka. Jest wiosna. Jadę w siną dal. Obok mnie leży zamknięta teczka, a za oknem, jak diorama, przesuwają się sielskie widoki – brązowo-białe krowy niczym lśniące ołowiane zabawki na bujnych zielonych łąkach, przysadziste szare kościoły i czerwone dachy wiosek Normandii, jaskrawe barki na spokojnych wodach kanału, piaszczyste ścieżki i wysokie krzaki zaczynające wypuszczać liście. To Francja,

o jaką walczę… nawet jeśli tylko składając do kupy śmieci pruskiego pułkownika cierpiącego na nieustającą erekcję.

Niecałe dwie godziny później wjeżdżamy do Rouen i w spacerowym tempie wleczemy się wzdłuż Sekwany ku olbrzymiej katedrze. Nad szeroką rzeką pikują i krzyczą mewy; stale zapominam, jak blisko kanału La Manche leży stolica Normandii. Z dworca idę pieszo do koszar Pélissier, przez typowo garnizonową okolicę z koszmarnymi sklepikami, zakładami szewskimi oraz tym szczególnym rodzajem ponurych barów, zazwyczaj należących do byłych żołnierzy, w których miejscowi cywile nie są mile widziani. Siedemdziesiąty Czwarty zajmuje trzy wielkie dwupiętrowe budynki zbudowane naprzemiennie z pasów czerwonej cegły i szarego kamienia, wystające ponad szczyt wysokiego muru. Z zewnątrz garnizon można by wziąć za fabrykę, zakład dla obłąkanych albo więzienie. Po wylegitymowaniu przy bramie ordynans prowadzi mnie między dwoma budynkami koszar, przez plac apelowy z wciągniętą na maszt trójkolorową flagą, pośród platanów i koryt z wodą w kierunku pomieszczeń administracji po drugiej stronie.

Wchodzę po nabitych ćwiekami schodach na drugie piętro. Curé nie ma w gabinecie. Sierżant informuje mnie, że major akurat wybrał się na inspekcję ekwipunku, i proponuje, bym zaczekał. Pokój jest całkiem pusty, jeśli nie liczyć biurka i dwóch krzeseł. Wysokie okno z małymi szybkami jest lekko uchylone, więc do gabinetu wpadają odgłosy garnizonu i wiosenny wietrzyk. Słyszę stukot końskich kopyt o kocie łby w stajniach, rytmiczny krok kompanii maszerującej od strony drogi i orkiestrę ćwiczącą gdzieś w oddali. Zupełnie jakbym z powrotem się znalazł w Saint-Cyr albo znów służył jako kapitan w kwaterze głównej dywizji w Tuluzie. Nawet zapachy są takie same – końskiego łajna, skóry, żarcia z kantyny i męskiego potu. Moi wytworni znajomi z Paryża nie mogą się nadziwić, że tyle lat to znoszę. Nawet nie próbuję im zdradzać prawdy – że właśnie ta niezmienna monotonność mnie w tym pociąga.

Curé wpada do pokoju, kajając się od progu. Najpierw salutuje, potem ściskam mu rękę, a wreszcie, z mojej inicjatywy, obejmujemy się nieporadnie. Ostatnio widziałem go latem ubiegłego roku na koncercie u de Comminges'ów i odniosłem wówczas wrażenie, że czymś się gryzie. Jest ambitny, o rok czy dwa starszy ode

mnie. To przecież ludzkie, że trochę mi zazdrości awansu.

– No proszę – mówi, odsuwając się i mierząc mnie wzrokiem. – Pan pułkownik!

– Przyznaję, że trudno się do tego przyzwyczaić.

– Od dawna jesteś w mieście?

– Od jakichś dwóch godzin. Wracam wieczornym pociągiem do Paryża.

– Trzeba to opić. – Wysuwa szufladę biurka, wyjmuje z niej butelkę koniaku oraz dwie szklaneczki i napełnia je po brzegi. Wznosimy toast za wojsko. Curé nalewa ponownie i pijemy za mój awans. Czuję jednak, że gdzieś głęboko, ukryta pod gratulacjami, otworzyła się między nami wąska przepaść. Chociaż nikt postronny by tego nie zauważył. Curé nalewa trzecią kolejkę. Rozpinamy kurtki mundurów, odchylamy się na krzesłach i trzymając nogi na biurku, palimy papierosy. Rozmawiamy o starych towarzyszach broni i dawnych czasach. Wybuchamy śmiechem. Na chwilę zapada cisza, po czym Curé pyta: – A właściwie to co konkretnie porabiasz teraz w Paryżu?

Waham się, nie powinienem o tym mówić.

– Przejąłem stanowisko Sandherra, jestem szefem tajnego wywiadu.

– Na Boga, to prawda? – Z marsową miną wpatruje się w szklankę, ale już nie proponuje kolejnego toastu. – Czyli przyjechałeś tu, żeby powęszyć?

– Coś w tym rodzaju.

Na sekundę wraca mu niedawny humor.

– Nie wokół mnie, mam nadzieję! – rzuca.

– Nie tym razem. – Z uśmiechem odstawiam szklaneczkę. – W Siedemdziesiątym Czwartym służy major nazwiskiem Esterházy.

Curé spogląda na mnie. Z jego miny nie sposób niczego wyczytać.

– To prawda – przyznaje.

– Jaki on jest? – pytam.

– A co takiego zrobił?

– Nie mogę ci zdradzić.

Wolno kiwa głową.

– Spodziewałem się, że to powiesz. – Wstaje i zapina mundur. – Nie wiem, jak ty, ale ja muszę się przewietrzyć, żeby wytrzeźwieć.

Na dworze rześki wiatr niesie ostry zapach morza. Spacerujemy wokół placu apelowego. Po jakimś czasie Curé odzywa się:

– Rozumiem, że nie wolno ci wyjawić, o co chodzi, ale jeśli mogę ci coś radzić, uważaj, jak się zabierasz do Esterházyego. Jest niebezpieczny.

– W jakim sensie? Fizycznie?

– W każdym sensie. Ile o nim wiesz?

– Nic. Jesteś pierwszą osobą, do której się zwróciłem.

– Nie zapominaj o tym, że jest bardzo ustosunkowany. Jego ojciec był generałem. On sam każe się tytułować „hrabią Esterházym”, ale według mnie to tylko poza. Tak czy owak, jego żona jest córką markiza de Nettancourt, więc zna mnóstwo ludzi.

– W jakim jest wieku?

– No, moim zdaniem dobiega pięćdziesiątki.

– Pięćdziesiątki? – Rozglądam się. Jest późne popołudnie. Z okien koszar, niczym więźniowie, wyglądają żołnierze o ziemistej cerze i szarych wygolonych głowach.

Curé spogląda w ślad za moim wzrokiem.

– Wiem, o czym myślisz – mówi.

– Naprawdę?

– Jasne. Skoro ma pięćdziesiątkę i jest zięciem markiza, to dlaczego tkwi tutaj, w takim grajdole? Jeśli o mnie chodzi, to z pewnością pierwsza rzecz, jaką chciałbym wiedzieć.

– A więc dlaczego, skoro już poruszyłeś ten temat?

– Dlatego że został bez grosza przy duszy.

– Mimo że jest tak ustosunkowany?

– Wszystko przegrywa. I to nie tylko przy zielonym stoliku. Także na koniach i na giełdzie.

– Jego żona na pewno ma jakiś majątek?

– Ba, tyle że ona go przejrzała. Słyszałem, jak narzekał, że nawet domek na wsi zapisała na swoje nazwisko, żeby się bronić przed jego wierzycielami. Nie da mu ani jednego su.

– Ma także mieszkanie w Paryżu.

– Możesz być pewny, że również jest zapisane na nią.

Spacerujemy w milczeniu. Przypominam sobie list Schwartzkoppena. *Pańskie warunki dla mnie za ostre* (…).

– Powiedz mi, a jaki jest z niego oficer? – proszę.

– Najgorszy z możliwych.

– Zaniedbuje obowiązki?

– Kompletnie. Pułkownik już nawet nic mu nie daje do roboty.

– Czyli że nigdy go tu nie ma?

– Przeciwnie, jest tu bez przerwy.

– I co robi?

– Głównie wchodzi w paradę! Kręci się i zadaje mnóstwo durnych pytań w sprawach, z którymi nie ma nic wspólnego.

– A o co tak pyta?

– O wszystko.

– Na przykład o artylerię?

– Oczywiście.

– A co konkretnie interesuje go w kwestii artylerii?

– Spytaj lepiej, co go nie interesuje! Wiem na pewno, że przyglądał się co najmniej trzem manewrom artylerii. Na ostatnie pułkownik absolutnie nie zgodził się go wysłać, więc ostatecznie pokrył koszty przejazdu z własnych pieniędzy.

– Mówiłeś przecież, że jest bez grosza przy duszy.

– To prawda. Ot, ciekawostka. – Curé staje jak wryty. – Kiedy tak się teraz nad tym zastanawiam, przypomniało mi się, że zapłacił także kapralowi ze swojego batalionu za przepisanie podręczników strzelania… wiesz, nie wolno nam ich trzymać dłużej niż dzień, góra dwa.

– Podał jakiś powód?

– Powiedział, że chciałby zaproponować pewne ulepszenia…

Ruszamy dalej. Słońce skryło się za jednym z budynków koszar, przez co plac apelowy pogrążył się w cieniu. Nagle zrobiło się zimno.

– Wspominałeś wcześniej, że on jest niebezpieczny – przypominam mu.

– Trudno to opisać – wyjaśnia. – Ma w sobie coś… dzikiego, a poza tym to szczwany lis. Potrafi być jednak całkiem uroczy. Ujmę to w ten sposób: pomimo tego, jak się zachowuje, nikt nie śmie mu się postawić. Odznacza się poza tym zgoła niezwykłym wyglądem. Żeby zrozumieć, o czym mówię, musisz go zobaczyć.

– Bardzo bym chciał go poznać. Sęk w tym, że nie mogę ryzykować, że on zobaczy mnie. Macie tu jakieś miejsce, w którym mógłbym mu się przyjrzeć tak, żeby się nie zorientował?

– Niedaleko stąd jest bar, do którego zagląda prawie co wieczór. Nie ma pewności, że się zjawi, ale prawdopodobnie go tam zastaniesz.

– Zabierzesz mnie tam?

– Myślałem, że wyjeżdżasz wieczornym pociągiem.

– Mogę zostać do rana. Jedna noc nie zrobi różnicy. Chodź, przyjacielu! Będzie jak za dawnych lat.

Wygląda jednak na to, że Curé ma dość „dawnych lat”. Przygląda mi się twardym, taksującym wzrokiem.

– No, Georges, teraz już wiem, że to poważna sprawa, skoro jesteś gotów poświęcić dla niej noc w Paryżu – oświadcza.

* * *

Curé nalega, żebym wrócił z nim do koszar, to razem zaczekamy, aż zapadnie wieczór, ale wolę się tam nie szwendać bez potrzeby, bo ktoś mógłby mnie rozpoznać. Pamiętam, że niedaleko dworca mijałem mały hotelik dla podróżujących w interesach, więc idę tam i płacę za pokój. W tym obskurnym przybytku bez elektryczności śmierdzi stęchlizną; materac jest twardy i cienki; kiedy przejeżdża pociąg, ściany się trzęsą. Ale jedną noc da się wytrzymać. Wyciągam się na łóżku – jest za krótkie i nogi wystają mi za skraj ramy. Paląc papierosa, rozmyślam o tajemniczym majorze Esterházym. Zdaje się, że ten człowiek ma aż nazbyt wiele czegoś, czego tak osobliwie brakuje Dreyfusowi – motywów.

W oknie gasną promienie słońca. O siódmej rozdzwaniają się dzwony katedry Notre-Dame de Rouen – donośne, dźwięczne bicie niesie się ponad rzeką niczym ogień zaporowy, a kiedy milknie, wydaje się, że nagła cisza wisi w powietrzu jak dym.

Zanim się zmuszam, by wstać i zejść na parter, zapada ciemność. Curé już na mnie czeka. Radzi mi zarzucić na ramiona pelerynę, żeby ukryć insygnia.

Przez pięć czy dziesięć minut przemierzamy uliczki z zabitymi na głucho okiennicami, mijając kilka spokojnych barów, aż w końcu docieramy do zaułka pełnego cieni ludzi – głównie żołnierzy oraz kilku młodych kobiet. Rozmawiają cicho, śmieją się i wystają przed długim niskim budynkiem bez okien, który wygląda na przebudowany magazyn. Wymalowany szyld obwieszcza: „Folies Bergère”. Daremność tych prowincjonalnych aspiracji jest niemal wzruszająca.

– Zaczekaj tu – mówi Curé. – Zobaczę, czy już przyszedł.

Odchodzi. W otwartych drzwiach jego sylwetka odcina się przez chwilę na tle fioletowawego podłużnego blasku; dobiegają mnie strzępy gwaru oraz dźwięków muzyki, a potem mojego przyjaciela wchłania ciemność. Podchodzi do mnie jakaś kobieta z głęboko odsłoniętym dekoltem, sina i z gęsią skórką z zimna, i wyciągając papierosa, prosi mnie o ogień. Bez namysłu pocieram zapałką o draskę. W żółtym płomyczku widzę, że dziewczyna jest młoda i ładna. Patrzy na mnie wzrokiem krótkowidza.

– Znamy się, kochasiu? – pyta.

Uświadamiam sobie swój błąd.

– Przepraszam, czekam na kogoś. – Dmuchnięciem gaszę zapałkę, po czym odchodzę.

– Skarbie, nie bądź taki! – woła za mną ze śmiechem.

– A w ogóle co to za jeden? – dopytuje się inna kobieta.

– Kawał nadętego fiuta! – odpowiada jej pijackim wrzaskiem jakiś mężczyzna.

Dwaj żołnierze odwracają się i gapią na mnie.

W drzwiach staje Curé. Kiwa głową i macha na mnie ręką. Podchodzę do niego.

– Powinienem się stąd wynosić – mówię.

– Szybki rzut oka i znikamy. – Bierze mnie pod rękę i prowadzi przed sobą. Idziemy krótkim korytarzem, pokonujemy kilka schodków w dół i za grubą kotarą z czarnego atłasu trafiamy do długiego pomieszczenia, w którym zalega dym z papierosów, a ludzie siedzą stłoczeni przy małych okrągłych stolikach. Z drugiej strony sali gra orkiestra, a na estradzie kilka dziewcząt w gorsetach i majtkach z rozcięciem w kroku ospale zadziera spódnice i wymachuje nogami w kierunku klienteli. Ich stopy tupią o gołe deski. W lokalu pachnie absyntem. – To on.

Curé ruchem głowy wskazuje stolik niecałe dwadzieścia kroków od nas, gdzie dwie pary opróżniają butelkę szampana. Jedna z kobiet,

rudowłosa, jest odwrócona do mnie plecami; druga, brunetka, wygina się na krześle, patrząc na scenę. Mężczyźni siedzą naprzeciwko siebie i wymieniają zdawkowe uwagi. Curé nie musi mi wskazywać, gdzie jest ten, dla którego mnie tu sprowadził. Major Esterházy niemal leży rozwalony na krześle odsuniętym daleko od stołu, w rozpiętej kurtce, wypychając do przodu biodra i z rękami zwieszonymi po bokach niemal do podłogi; prawą dłonią trzyma niedbale przechylony, jakby nic dla niego nie znaczył, kieliszek szampana. Z profilu jego czoło jest płaskie i przechodzi w nos przypominający wielki dziób sępa. Ma wielkie, zaczesane do góry wąsy. Wygląda na to, że jest pijany. Kiedy stoimy przy drzwiach, jego towarzysz zwraca na nas uwagę. Mówi coś, na co Esterházy powoli odwraca głowę w naszą stronę. Ma okrągłe, wybałuszone oczy, ale ten jego wytrzeszcz nie jest naturalny – to oczy szaleńca, jak szklane kulki wciśnięte w czaszkę szkieletu w akademii medycznej. Tak jak uprzedzał Curé, ogólny rezultat jest niepokojący. Boże jedyny, przemyka mi przez głowę, on byłby w stanie spalić tę budę wraz ze wszystkimi, którzy w niej siedzą, i nawet nie mrugnąłby okiem. Omiata nas wzrokiem i przez sekundę w przechyleniu głowy

i zmrużeniu oczu dostrzegam przebłysk ciekawości. Na szczęście jest zamroczony alkoholem, więc gdy tylko jedna z kobiet się odzywa, wraca spojrzeniem do niej.

Curé bierze mnie pod łokieć.

– Lepiej się stąd zbierajmy – mówi. Odsuwa kotarę i wypycha mnie na zewnątrz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Do Paryża wracam tuż przed południem następnego dnia, w sobotę, i postanawiam nie iść do biura. Dlatego w sekcji pojawiam się dopiero w poniedziałek, cztery dni po ostatniej rozmowie z Lauthem. Już wchodząc po schodach, słyszę głos majora Henry'ego, a stając na piętrze, widzę go, jak akurat wychodzi z pokoju Lautha. Na ramieniu ma czarną opaskę.

– Pułkowniku Picquart, melduję powrót do pracy – mówi, podchodząc do mnie i salutując.

– Dobrze, że jest pan już z powrotem, majorze – odpowiadam, oddając salut. – Oczywiście bardzo mi przykro, że wraca pan w takiej sytuacji. Mam nadzieję, że pańska matka odeszła tak spokojnie, jak to tylko możliwe.

– Niełatwo jest zejść z tego świata, pułkowniku. Szczerze mówiąc, pod koniec modliłem się, żeby już było po wszystkim. Od tej pory nie zamierzam się rozstawać ze służbowym rewolwerem. Kiedy przyjdzie czas na mnie, chcę móc posłać sobie kulkę w łeb.

– Ja również mam taki zamiar.

– Problem w tym, czy człowiekowi wystarczy siły, żeby pociągnąć za spust.

– O, nie wątpię, że pod ręką znajdzie się wielu takich, którzy chętnie nas w tym wyręczą.

Henry kwituje moje słowa śmiechem.

– Nie jest pan daleki od prawdy, pułkowniku! – przyznaje.

Otwieram kluczem drzwi, zapraszam go do środka. W gabinecie panuje zimny zaduch, charakterystyczny dla pomieszczeń przez jakiś czas nieużywanych. Henry siada. Patykowate drewniane nogi krzesła trzeszczą pod jego ciężarem.

– Słyszałem, że nie próżnował pan pod moją nieobecność – odzywa się, zapalając papierosa.

– Rozmawiał pan z Lauthem? – To oczywiste; mogłem się domyślić, że Lauth wszystko mu wypapla, ci dwaj stale trzymają się razem.

– Tak, powiedział mi, co i jak. Mogę zobaczyć te nowe materiały?

Otwierając sejf i podając majorowi akta, jestem nielicho zirytowany. Z pełną świadomością, że zabrzmi to małostkowo, mówię:

– Zakładałem, że to ja pierwszy wprowadzę pana w temat.

– A co za różnica?

– Taka, że na moją wyraźną prośbę Lauth nikomu miał o tym nie mówić.

Henry, z papierosem w ustach, wkłada okulary i bierze dwa dokumenty. Przygląda im się, mrużąc oczy od dymu.

– No cóż, widocznie nie uważa mnie za „nikogo” – cedzi. Papieros kiwa się w jego ustach, popiół spada mu na kolana.

– Podobnie jak wszyscy.

– Czy zrobił pan już coś w tej sprawie?

– Nie mówiłem o tym nikomu z rue Saint-Dominique, jeśli o to panu chodzi.

– I chyba słusznie. Tylko by zaczęli panikować.

– Też tak uważam. Chcę, żebyśmy najpierw przeprowadzili własne dochodzenie. Byłem już w Rouen…

Henry spogląda na mnie ponad oprawkami okularów.

– Pojechał pan do Rouen? – dziwi się.

– Owszem, w Siedemdziesiątym Czwartym… to pułk Esterházyego… służy mój stary przyjaciel, major. Mógł mi udzielić o nim nieco informacji o charakterze osobistym.

Henry wraca do lektury.

– A wolno spytać, co ten stary przyjaciel panu powiedział? – docieka.

– Powiedział, że Esterházy nieustannie zadaje mnóstwo podejrzanych pytań. Podobno na własny koszt pojechał na manewry artylerii, a potem kazał skopiować podręczniki strzelania. Poza tym na gwałt potrzebuje pieniędzy i ma dosyć paskudny charakter.

– Naprawdę? – Henry odwraca *petit bleu*, by sprawdzić adres. – Kiedy tu służył, sprawiał wrażenie porządnego chłopa.

Muszę przyznać, że ma czelność, zrzucając w ten sposób taką bombę. Przez chwilę gapię się na niego bez słowa.

– Lauth słowem nie wspomniał, że Esterházy pracował w tej sekcji.

– Dlatego że nie wiedział. – Henry odkłada dokumenty na moje biurko i zdejmuje okulary. – To było na długo, zanim tu nastał. Zaraz po tym, jak mnie tu przyjęli.

– Czyli kiedy?

– Najmarniej z piętnaście lat temu.

– Czyli pan znał Esterházyego?

– Tak, kiedyś… ale słabo. Nie zabawił tu długo… Pracował jako tłumacz języka niemieckiego. Nie widziałem go od lat.

Odchylam się na krześle.

– To nadaje sprawie zupełnie nowy wymiar – oświadczam.

– Tak? – Henry wzrusza ramionami. – Chyba nie nadążam. Dlaczego?

– Bardzo chłodno do tego podchodzicie, majorze! – Wystudiowana obojętność Henry'ego zakrawa na kpinę; czuję narastający gniew. – To jasne, że sprawa jest o wiele poważniejsza, jeżeli Esterházy został przeszkolony w naszych technikach wywiadowczych.

Henry uśmiecha się i kręci głową.

– Jeśli można coś panu doradzić, pułkowniku, ja bym nie dramatyzował. Nieważne, w ilu kursach artyleryjskich uczestniczył Esterházy. Skoro utknął w Rouen, nie może mieć dostępu do żadnych ważnych informacji. Zresztą potwierdza to list od Schwartzkoppena, w którym Niemcy grożą zerwaniem stosunków. Nie robiliby tego, gdyby sądzili, że mają w nim cennego szpiega. Nowicjusze w tym interesie łatwo popełniają błąd, uważając pierwszego szemranego gościa, na jakiego się natknęli, za asa wywiadu – wytyka mi Henry. – Ale to się zdarza nadzwyczaj rzadko. Przesadna reakcja może spowodować o wiele więcej szkód niż ten tak zwany zdrajca.

– Nie proponuje pan, mam nadzieję, żebyśmy nic nie robili i pozwolili mu nadal przekazywać informacje obcemu mocarstwu, nawet jeśli są niewiele warte? – odpowiadam sztywno.

– Ależ skąd! Zgadzam się w pełni, że trzeba go mieć na oku. Uważam tylko, że nie należy popadać w przesadę. Może każę Guénéemu powęszyć, zobaczymy, co mu się uda wygrzebać.

– Nie, nie chcę, żeby on się tym zajmował. – Guénée też należy do kliki Henry'ego. – Dla odmiany przydzielę to komuś innemu.

– Jak pan sobie życzy – zgadza się Henry. – Proszę powiedzieć, kogo pan sobie upatrzył, a ja mu to zlecę.

– Nie, dziękuję za dobre chęci, ale to ja wyznaczę zadanie człowiekowi, którego wybiorę. – Uśmiecham się do Henry'ego. – Przyda mi się takie nowe doświadczenie. Jeszcze raz witam z powrotem. A teraz proszę… – Wskazuję drzwi. – Mógłby pan poprosić do mnie Gribelina?

* * *

Najbardziej irytujące w kazaniu Henry'ego jest to, że dostrzegam w nim prawdę. On ma rację – pozwoliłem, żeby Esterházy urósł w mojej wyobraźni do zdrajcy kalibru Dreyfusa, a przecież, na co Henry zwrócił uwagę, wszystkie dowody świadczą o tym, że niezbyt przysłużył się wrogowi. Ja jednak nie sprawię mu satysfakcji i nie dopuszczę, żeby przejął tę operację.

Zachowam ją dla siebie. Dlatego kiedy przychodzi Gribelin, każę mu spisać listę nazwisk wszystkich agentów policyjnych, z których sekcja ostatnio korzystała, wraz z ich adresami i streszczeniem przebiegu służby. Wychodzi i pół godziny później wraca z tuzinem nazwisk.

Gribelin jest dla mnie zagadką, uosobieniem służalczego biurokraty, żywym trupem. To gość w bliżej nieokreślonym wieku między czterdziestką a sześćdziesiątką, chudy jak szczapa i ubiera się wyłącznie na czarno. Przeważnie zamyka się sam na górze w swoim archiwum, a jeśli już stamtąd wychodzi, co zdarza się rzadko, to skrada się pod ścianami, ciemny i cichy jak cień. Potrafię go sobie wyobrazić, jak przenika między zamkniętymi drzwiami a futryną albo pod nimi. Jedyny dźwięk, jaki czasami od niego dobiega, to brzęk pęku kluczy, które nosi u pasa na łańcuchu. Teraz stoi przed moim biurkiem, nieruchomy jak kamień, a ja przeglądam listę. Pytam go, którego agenta by mi polecił. Ale on nie daje się na to złapać: „Wszyscy są dobrzy”. Nie docieka, do czego jest mi potrzebny agent – Gribelin jest dyskretny jak spowiednik papieża.

W końcu wybieram młodego funkcjonariusza Sûreté, Jeana-Alfreda Desvernine’a z komisariatu

policji na gare Saint-Lazare. Ten były porucznik dragonów z Médoc przeszedł wszystkie szczeble kariery, po czym musiał złożyć patent oficerski z powodu długów karcianych, od tej pory jednak prowadził uczciwe życie. Uznałem, że jeśli ktokolwiek zdoła zgłębić tajemnice nałogu Esterházyego, to tylko on.

Gribelin wymyka się chyłkiem, a ja piszę do Desvernine'a notatkę z prośbą, by spotkał się ze mną pojutrze. Nie zapraszam go jednak do biura, gdzie Henry i Lauth mogliby go zobaczyć – proponuję spotkanie o dziewiątej rano przed Luwrem, na Place du Carrousel. Piszę, że będę po cywilnemu, w surducie i meloniku, z czerwonym goździkiem w butonierce i egzemplarzem „Le Figaro" pod pachą. Zaklejając kopertę, uświadamiam sobie, jak łatwo wpadłem w utarte tory szpiegowskiego fachu. To mnie przeraża. Nikomu już nie ufam. Jak długo potrwa, zanim stanę się taki sam jak Sandherr i zacznę wyrzekać na degeneratów i cudzoziemców? To *déformation professionnelle* – prędzej czy później każdy szpieg nadaje się do wariatkowa.

W środę rano, stosownie odziany, stawiam się przed Luwrem. Z rzędu turystów odrywa się mężczyzna o bystrej twarzy, młodzieńczym wyglądzie i przyprószonych siwizną wąsach – jak

sądzę, jest to Desvernine. Witamy się skinieniem głów. Uświadamiam sobie, że na pewno obserwował mnie przez kilka minut.

– Nikt pana nie śledził, pułkowniku, a przynajmniej ja nie zauważyłem – odzywa się cicho. – A jednak, jeśli to panu odpowiada, proponuję, żebyśmy weszli do muzeum, bo gdybym musiał coś notować, tam będzie to wyglądało naturalnie.

– Cokolwiek pan radzi, takie rzeczy to nie moja specjalność.

– Bardzo słusznie, pułkowniku… proszę się zdać na takich jak ja.

Pod marynarką ma sportowy podkoszulek bez rękawów i stawia rozkołysane kroki jak marynarz. Idę za nim do najbliższego pawilonu. O tak wczesnej porze zwiedzających jest niewielu. W holu przy wejściu jest szatnia, na wprost są schody, a z lewej i prawej mieszczą się galerie. Desvernine skręca w prawo.

– Musimy akurat tam? – protestuję. – Tam mają same najgorsze śmieci.

– Naprawdę? Dla mnie wszystko wygląda tak samo.

– Desvernine, pan niech się zajmie robotą policyjną, a kulturę zostawi na mojej głowie. Wejdziemy tu.

Kupuję przewodnik, po czym stajemy obok siebie w Galerie Denon, pachnącej salą lekcyjną, i podziwiamy odlany z brązu posąg Kommodusa jako Herkulesa – kopię renesansowego dzieła z Watykanu. Galeria jest niemal wyludniona.

– To musi pozostać między nami, rozumiemy się? – mówię. – Gdyby pańscy przełożeni próbowali się dopytywać, czym pan się zajmuje, proszę ich odsyłać do mnie.

– Rozumiem. – Desvernine wyjmuje notes i ołówek.

– Chcę, żeby pan się dowiedział wszystkiego na temat majora wojska, który nazywa się Charles Ferdinand Walsin-Esterházy. – Mówię szeptem, a i tak moje słowa odbijają się echem. – Czasami tytułuje siebie hrabią Esterházy. Ma czterdzieści osiem lat, służy w Siedemdziesiątym Czwartym Pułku Piechoty w Rouen. Jest mężem córki markiza de Nettancourt. Uprawia hazard, gra na giełdzie i ogólnie rzecz biorąc, prowadzi hulaszczy tryb życia… Pan lepiej niż ja będzie wiedział, gdzie szukać takiego osobnika.

Desvernine lekko się czerwieni.

– Na kiedy mam się z tym uwinąć? – pyta.

– Jak najszybciej. Czy da pan radę przedstawić mi wstępny raport w przyszłym tygodniu?

– Postaram się.

– I jeszcze jedno: chcę wiedzieć, jak często Esterházy bywa w ambasadzie Niemiec.

Desvernine jest zbyt dobrym fachowcem, żeby cokolwiek po sobie pokazać, nawet jeśli ta ostatnia prośba go zaskoczyła. Niewątpliwie tworzymy dziwną parę – ja, w meloniku i surducie, peroruję, czytając coś z przewodnika; on, w sfatygowanym brązowym garniturze, pisze coś pod moje dyktando. Ale nikt nas nie obserwuje. Przechodzimy do następnego eksponatu. Według przewodnika jest to *Chłopiec wyciągający cierń ze stopy*.

– Następnym razem powinniśmy się spotkać gdzieś indziej, na wszelki wypadek – mówi Desvernine.

– To może w restauracji na gare Saint-Lazare? – proponuję, bo przypomniała mi się wyprawa do Rouen. – To pański rewir.

– Znam ją bardzo dobrze.

– W przyszły czwartek o siódmej wieczorem?

– Zgoda. – Zapisuje to sobie, a potem chowa notes i przygląda się rzeźbie z brązu. Drapie się po głowie. – Naprawdę uważa pan, że to takie dobre, pułkowniku?

– Nie, tego nie powiedziałem. Po prostu, jak to często w życiu bywa, nic lepszego nie mamy do wyboru.

* * *

Nie poświęcam całego czasu na dochodzenie w sprawie Esterházyego. Mam na głowie także inne zmartwienia, wśród których poczesne miejsce zajmuje wywrotowa działalność gołębi pocztowych.

Gribelin przynosi mi akta. Przysłano je z rue Saint-Dominique. Kiedy mi wręcza teczkę, w jego matowych oczach nareszcie dostrzegam przebłysk złośliwej przyjemności. Wygląda na to, że hodowcy gołębi z Anglii przywożą swoje ptaki do Cherbourga i wypuszczają je tam, by same wróciły do domu nad kanałem La Manche. W ten sposób co roku lata ich tamtędy około dziewięciu tysięcy. Pułkownik Sandherr, będąc w ostatnim stadium choroby, uznał, że ta nieszkodliwa, aczkolwiek mało pociągająca rozrywka stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i należy jej zakazać. Bo jeśli ptaki są używane do przenoszenia tajnych wiadomości? Ten obłęd na niemal cały rok zagościł w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, które wysmażyło projekt ustawy. Teraz zaś generał Boisdeffre żąda, żebym – jako szef sekcji statystycznej – w imieniu Ministerstwa Wojny zaopiniował tę zmianę prawa.

Rzecz jasna, nie mam na ten temat żadnej opinii. Po wyjściu Gribelina siedzę przy biurku i jeszcze raz przeglądam akta. Dla mnie równie dobrze mogłyby być napisane w sanskrycie. Przychodzi mi do głowy, że przydałby mi się prawnik. Następnie uświadamiam sobie, że najlepszym prawnikiem, jakiego znam, jest mój najstarszy przyjaciel, Louis Leblois, który przedziwnym zrządzeniem losu mieszka nieco dalej przy rue de l'Université. Wysyłam mu *bleu* z prośbą, żeby wracając do domu, zajrzał do mnie pogadać o interesach, i późnym popołudniem słyszę elektryczny dzwonek, informujący, że ktoś wszedł do budynku. Schodząc, w połowie schodów spotykam Bachira, który niesie mi na górę wizytówkę Louisa.

– W porządku, Bachir. Znam go. Niech wejdzie do mojego gabinetu.

Dwie minuty później stoję z Louisem przy swoim oknie i pokazuję mu ministerialne ogrody.

– Georges, to niesamowity budynek – mówi Louis. – Mijając go, często zastanawiałem się, do kogo należy. Chyba doceniasz, co tu się kiedyś mieściło, prawda?

– Nie.

– Przed rewolucją był to *hôtel* d'Aiguillon, w którym stara księżna Anne-Charlotte de

Crussol Florensac prowadziła swój salon literacki. W tym pokoju siadywali pewnie Monteskiusz i Wolter! – Macha ręką przed nosem. – Trzymacie tu może w piwnicy ich zwłoki? Cóż ty tu porabiasz całymi dniami, na Boga?

– Tego nie mogę ci zdradzić, chociaż Woltera pewnie by to ubawiło. Ale jeśli jesteś zainteresowany, mogę ci podrzucić trochę roboty z twojej dziedziny. – Wciskam mu do rąk teczkę z aktami gołębi pocztowych. – Powiedz mi, czy coś z tego rozumiesz.

– Mam to przejrzeć teraz?

– Jeśli możesz. Niestety, ta teczka nie może opuścić tego budynku.

– Dlaczego? To jakaś tajemnica?

– Nie, inaczej bym ci jej nie pokazywał. Ale nie wolno jej stąd wynosić – tłumaczę. Louis się waha. – Zapłacę ci twoją normalną stawkę – dodaję więc.

– No, jeżeli choć raz w życiu mam okazję wydusić z ciebie pieniądze, to oczywiście nie zmarnuję takiej szansy – odpowiada ze śmiechem, siada przy stole, otwiera teczkę, wyjmuje arkusz papieru i zaczyna czytać akta, a tymczasem ja wracam za swoje biurko.

„Schludny” – to słowo najlepiej opisuje Louisa. Elegancki, dokładnie w moim wieku, nosi starannie przystrzyżoną brodę, a jego wypielęgnowane drobne dłonie przesuwają się szybko po kartce, gdy zapisuje swoje precyzyjnie uporządkowane przemyślenia. Przyglądam mu się czule. Pracuje w całkowitym skupieniu, tak samo jak wtedy, gdy chodziliśmy do jednej klasy w liceum w Strasburgu. Obaj w wieku jedenastu lat straciliśmy rodzica – ja ojca, on matkę – co stworzyło z nas dwuosobowy klub, chociaż ani wtedy, ani później nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co właściwie nas połączyło.

Wyjmuję pióro, zabieram się do pisania raportu. Przez godzinę obaj pracujemy w miłej ciszy, aż nagle rozlega się pukanie do moich drzwi. Wołam: „Wejść!”, na co wchodzi Henry z jakąś teczką. Na widok Louisa jest zaskoczony nie mniej, niż gdyby mnie przyłapał gołego z ulicznicą z Rouen.

– Majorze Henry, to mój serdeczny przyjaciel, *maître* Louis Leblois – dokonuję prezentacji. Louis, w całkowitym skupieniu, podnosi tylko lewą rękę, nie przestając pisać, a tymczasem Henry spogląda to na niego, to na mnie i z powrotem. – *Maître* Leblois sporządza opinię

prawną na temat tej absurdalnej historii z gołębiami pocztowymi – wyjaśniam.

Przez chwilę Henry ze wzburzenia nie może wydobyć głosu.

– Czy możemy zamienić słówko na zewnątrz, pułkowniku? – pyta w końcu, a kiedy wychodzę za nim na korytarz, oświadcza zimno: – Pułkowniku, stanowczo muszę zaprotestować. Nie mamy w zwyczaju wpuszczać obcych do naszych gabinetów.

– Guénée wpada tu bez przerwy.

– *Monsieur* Guénée jest funkcjonariuszem policji!

– A *maître* Leblois jest pracownikiem sądu – odpowiadam bardziej z rozbawieniem niż ze złością. – Znam go od trzydziestu lat. I ręczę za jego absolutną uczciwość. Poza tym on tylko przegląda teczkę gołębi pocztowych. Trudno ją uznać za tajne akta.

– Ale w pańskim gabinecie znajdują się inne ściśle tajne materiały.

– Owszem, i są zamknięte pod kluczem, a nie walają się na widoku.

– Mimo wszystko chcę wyrazić swój gorący sprzeciw…

– Doprawdy, majorze – wpadam mu w słowo. – Bardzo proszę, niechże pan nie będzie taki

nadęty! To ja jestem szefem tej sekcji i będę przyjmował u siebie, kogo mi się podoba!

Okręcam się na pięcie, wracam do gabinetu i zamykam za sobą drzwi.

– Masz przeze mnie jakieś problemy? – pyta Louis, który słyszał każde słowo.

– Skądże znowu. Ale ci ludzie tutaj… Coś strasznego! – Opadam na krzesło i wzdychając, kręcę głową.

– No nic, ja już w każdym razie skończyłem. – Louis wstaje i wręcza mi teczkę. Na wierzchu leży kilka kartek zapisanych jego starannym pismem. – To bardzo proste. Tutaj masz wykaz tego, na co musisz im zwrócić uwagę. – Przygląda mi się z zatroskaniem. – Miło, że robisz tak błyskotliwą karierę, Georges, ale wiesz, my już w ogóle cię nie widujemy. A przyjaźnie należy pielęgnować. Chodź ze mną do domu, zjemy razem kolację.

– Dziękuję ci, ale nie mogę.

– Dlaczego?

Korci mnie, żeby odpowiedzieć: „Bo nie masz pojęcia, co mi chodzi po głowie ani czym się zajmuję całymi dniami, a kiedy nagle w kontaktach z innymi trzeba się mieć na baczności, to życie towarzyskie staje się fałszywe i nużące”. Jednak bąkam tylko beznamiętnie:

– Niestety, ostatnio nie bardzo się nadaję do towarzystwa.

– Sami to osądzimy. Chodź. No, proszę cię.

Jest tak dobry, tak szczery, że nie mam wyboru i muszę się poddać.

– No cóż, byłoby mi bardzo przyjemnie, ale tylko pod warunkiem, że Martha nie będzie miała nic przeciwko temu – mówię.

– Georges, mój drogi, będzie zachwycona!

Mieszkają niemal pod moim nosem, po drugiej stronie boulevard Saint-Germain; Martha rzeczywiście cieszy się na mój widok i od progu zarzuca mi ręce na szyję. Ma dwadzieścia siedem lat, czyli jest od nas o czternaście lat młodsza. Byłem drużbą na ich ślubie. Martha wszędzie chodzi z Louisem, jak przypuszczam dlatego, że nie mają dzieci. Ale jeśli bezdzietność jest dla nich źródłem smutku, to nie pokazują tego po sobie; nie dopytują się też, kiedy ja się ożenię, co przyjmuję z wielką ulgą. Spędzam w ich towarzystwie szczęśliwe trzy godziny, rozmawiając o przeszłości i polityce – Louis jest zastępcą mera swojej dzielnicy, Siódmej, i w większości spraw prezentuje radykalne poglądy – a na koniec wieczoru siadam do fortepianu i gram, a oni śpiewają.

– Powinniśmy to powtarzać co tydzień – mówi Louis, odprowadzając mnie do wyjścia. – Może dzięki temu nie zwariujesz. I pamiętaj, jeśli się zasiedzisz w pracy do późna, zawsze możesz przenocować u nas.

– Lou, przyjacielu, jesteś wielkoduszny. Zawsze taki byłeś. – Całuję go w oba policzki i chwiejnie ruszam w noc, nucąc pod nosem melodię, którą grałem ostatnio… Lekko wstawiony, za to w wybornym humorze.

* * *

W najbliższy czwartek wieczorem, dokładnie o siódmej, siadam w rogu olbrzymiej, spowitej żółtym półmrokiem kawiarni na gare Saint-Lazare i popijam alzackie piwo. W środku panuje tłok, wahadłowe drzwi z piskiem zawiasów bujają się to w jedną, to w drugą stronę. Gwar rozmów i krzątaniny w środku oraz gwizdy, krzyki i rytmiczne buchanie pary lokomotyw na zewnątrz powodują, że jest to idealny lokal, by nie dać się podsłuchać. Udało mi się zająć stolik z dwoma siedzeniami, skąd mam dobry widok na wejście. Desvernine jednak znów mnie zaskakuje i podchodzi od tyłu. Ma ze sobą butelkę wody mineralnej, uprzejmie odmawia, gdy proponuję,

że mu postawię piwo, i już siadając na szkarłatnej ławie, wyciąga swój czarny notesik.

– Nasz major Esterházy to niezłe ziółko, pułkowniku – mówi. – Ma olbrzymie długi w całym Rouen i w Paryżu. Przygotowałem panu ich wykaz.

– Na co trwoni pieniądze?

– Głównie na hazard. Odwiedza taki lokal przy boulevard Poissonnière. Z tej choroby trudno się wyleczyć, przekonałem się o tym na własnej skórze. – Podsuwa mi po blacie wykaz. – Poza tym ma kochankę, niejaką *mademoiselle* Marguerite Pays, lat dwadzieścia sześć, notowaną prostytutkę z okolicy Pigalle, znaną jako Czteropalca Marguerite.

Nie mogę się pohamować i parskam śmiechem.

– Pan żartuje!

Desvernine, poważny były podoficer, a następnie policjant, nie widzi w tym nic zabawnego.

– Ona pochodzi z okolic Rouen, jej ojciec miał gorzelnię, produkował calvados. Już jako dziecko zaczęła pracować w przędzalni, w wypadku straciła tam palec, a wraz z nim pracę. Przeniosła się do Paryża, została *horizontale* na rue Victor-Masse, w ubiegłym roku poznała Esterházyego

albo w pociągu relacji Paryż–Rouen, albo w Moulin Rouge… Krążą na ten temat dwie wersje, zależy, z którą z dziewcząt się rozmawia.

– Czyli że ten ich romans to rzecz powszechnie znana?

– Jak najbardziej. On nawet opłaca jej mieszkanie przy rue de Douai czterdzieści dziewięć, niedaleko Montmartre'u. Kiedy jest w mieście, odwiedza ją co wieczór. Meble kupiła sobie sama, ale to jego nazwisko widnieje na umowie najmu. Dziewczęta z Moulin Rouge nazywają go Dobrodziejem.

– Takie życie kosztuje.

– Ima się wszelkich możliwych przekrętów, żeby jakoś związać koniec z końcem. Próbuje nawet wejść do zarządu brytyjskiej firmy z Londynu… co jeśli się nad tym zastanowić, w przypadku francuskiego oficera jest dość dziwaczne.

– A co przez ten czas porabia jego żona?

– Jeśli akurat nie bawi w swojej posiadłości w Dommartin-la-Planchette w Ardenach, to przebywa w paryskim mieszkaniu. A on wraca do niej, kiedy ma już dość Marguerite.

– Wygląda na to, że zdrada to dla niego chleb powszedni.

– Też tak sądzę.

– A co z Niemcami? Są jakieś powiązania?

– W tej sprawie jeszcze niczego nie ruszyłem.

– Tak się zastanawiam… A może by go śledzić?

– Można by – przyznaje Desvernine z powątpiewaniem. – Ale z tego, co widziałem, to ostrożny ptaszek. Wkrótce by nas wypatrzył.

– W takim razie nie możemy ryzykować. Jeszcze tego brakowało, żeby ustosunkowany major poskarżył się na mnie ministrowi, że go nękam.

– Najlepiej byłoby obserwować ambasadę Niemiec, a nuż uda nam się go tam przyłapać – podsuwa Desvernine.

– Na takie coś nie dostanę zgody.

– Dlaczego nie?

– Bo to by było zbyt oczywiste – mówię. – Ambasador złożyłby skargę.

– Szczerze mówiąc, wiem, jak to zrobić w taki sposób, żeby się nie zorientowali. – Wyciąga portfel i podaje mi mały kwadracik, starannie wycięty z gazety. To ogłoszenie o mieszkaniu do wynajęcia przy rue de Lille, czyli na tej samej ulicy, na której stoi *hôtel* de Beauharnais, obecna siedziba ambasady niemieckiej. – To mieszkanie jest na pierwszym piętrze, niemal dokładnie naprzeciwko Niemców. Moglibyśmy tam założyć punkt obserwacyjny i śledzić wszystkich

wchodzących i wychodzących. – Patrzy na mnie, dumny ze swojej inicjatywy, czekając na zgodę. – A najlepsze jest to, że mieszkanie poniżej, na parterze, jest już wynajęte przez ambasadę. Urządzili tam coś w rodzaju klubu oficerskiego.

Pomysł od razu przypada mi do gustu. Podziwiam zuchwałość planu, ale podoba mi się w nim także to, że ta operacja odbywałaby się całkowicie bez wiedzy Henry'ego.

– Żeby nie wzbudzać podejrzeń, potrzebny byłby lokator z wiarygodną przykrywką – mówię, obmyślając już szczegóły. – Ktoś, kto ma powód, żeby przez cały dzień nie ruszać się z domu.

– Powiedzmy, ktoś, kto pracuje na nocną zmianę – podsuwa Desvernine. – Mógłby wracać do domu codziennie o siódmej rano i wychodzić dopiero o szóstej wieczorem.

– Ile wynosi wynajem za to mieszkanie?

– Dwieście miesięcznie.

Kręcę głową.

– Nikogo, kto pracuje na nocną zmianę, nie stać na taki czynsz – mówię. – To modna ulica. Na lokatora niewątpliwie bardziej nadawałby się jakiś bogaty młody obibok z prywatnymi dochodami… Taki, co to baluje całymi nocami, a w dzień odsypia.

– Ja raczej nie obracam się w takich kręgach, pułkowniku.

– Pan nie. Ale ja tak.

* * *

Wysyłam *bleu* do znanego mi młodego człowieka i umawiam się z nim na spotkanie późnym popołudniem w niedzielę, w kawiarni przy Champs Élysées. Przyglądam mu się, kiedy żarłocznie pałaszuje jedzenie, jakby nic nie miał w ustach od kilku dni, po czym idziemy na spacer do ogrodów Tuileries.

Germain Ducasse jest wrażliwym, kulturalnym, łagodnym mężczyzną po trzydziestce, o ciemnych kręconych włosach i łagodnych piwnych oczach. Ma wzięcie u podstarzałych kawalerów oraz mężatek, które potrzebują kogoś obytego, kto mógłby im towarzyszyć w operze, jednocześnie nie wzbudzając zazdrości ich mężów. Znam go od ponad dziesięciu lat, odkąd ukończył pod moim dowództwem służbę wojskową w Sto Dwudziestym Szóstym Pułku Piechoty w Pamiers w departamencie Ariège. Namówiłem go na studiowanie języków nowożytnych na Sorbonie i od czasu do czasu zabieram go na *soirées* u de

Comminges’ów. Dzisiaj żyje biednie, ale dumnie, z trudem zarabiając jako tłumacz i sekretarz, więc kiedy napomykam, że może miałbym dla niego pracę, jego wdzięczność jest niemal bolesna.

– A to ci dopiero, Georges! Jakże to przyzwoicie z twojej strony. Spójrz tylko. – Chwyta mnie za ramię i unosi nogę, pokazując mi dziurę w podeszwie buta. – Widzisz? Co za wstyd! – Nadal nie puszcza mojego ramienia.

– Wynudzisz się przy tym. – Delikatnie uwalniam się od jego dotyku. – Powinienem zacząć od tego, że praca, o której myślę, jest dosyć niezwykła i nudna. Poza tym to robota na pełny etat, ale zanim powiem coś więcej, musisz mi dać słowo, że nikomu o niej nie wspomnisz.

– Jaki tajemniczy! Oczywiście, że masz moje słowo. Co to za praca?

Nie odpowiadam, dopóki nie siadamy na ławie, którą znalazłem z dala od niedzielnego tłumu klientów.

– Chcę, żebyś jutro rano poszedł wynająć to mieszkanie. – Podaję mu wycinek z gazety z ogłoszeniem. – Zaproponujesz pośrednikowi czynsz za trzy miesiące z góry. Jeśli zażądają referencji, powołaj się na de Comminges’ów… załatwię to z Aimerym. Powiedz, że chcesz się

wprowadzić natychmiast, jeśli to możliwe, jeszcze dzisiaj po południu. Kiedy już tam zamieszkasz, następnego dnia odwiedzi cię mężczyzna. Przedstawi się jako Robert Houdin. Pracuje dla mnie i poinstruuje cię, co masz robić. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o to, żeby przez cały dzień obserwować budynek naprzeciwko. Wieczory będziesz miał dla siebie.

Ducasse wpatruje się w ogłoszenie.

– Muszę powiedzieć, że zapowiada się niezwykle pasjonująco. Czy mam zostać szpiegiem?

– Tu masz sześćset franków na kaucję za mieszkanie – ciągnę, odliczając banknoty, które poprzedniego dnia wieczorem wziąłem z funduszu na wydatki specjalne, trzymanego w szafie pancernej. – A tutaj czterysta dla ciebie. To za dwa tygodnie z góry. Tak, zostaniesz szpiegiem, ale nigdy nikomu nie będziesz mógł się tym pochwalić. Od tej pory nie możemy się pokazywać razem. I, na miłość boską, Germain, zanim pójdziesz do agencji nieruchomości, spraw sobie porządne buty. Masz wyglądać na kogoś, kogo stać na mieszkanie przy rue de Lille.

* * *

Zakładam akta sprawy. Postanawiam nazwać ją Operacją Dobrodziej – Dobrodziejem jest, oczywiście, Esterházy; kryptonim ten zapożyczyłem od dziewcząt z Pigalle. Ducasse bez problemu wynajmuje mieszkanie i się do niego wprowadza z zaledwie garstką rzeczy osobistych, a nazajutrz odwiedza go podający się za Houdina Desvernine, by go wprowadzić w szczegóły tej pracy. Wóz dostawczy przywozi zaklejone taśmą pudła ze sprzętem fotograficznym oraz z odczynnikami używanymi do wywoływania zdjęć w ciemni; wnoszący je na górę mężczyźni w skórzanych fartuchach to pracownicy działu technicznego Sûreté. Kilka dni później osobiście wybieram się tam na inspekcję.

Jest późne popołudnie w ciepły kwietniowy dzień, w ogrodzie ministra kwitną drzewa i śpiewają ptaki; odnoszę wrażenie, że natura naigrawa się z mojego zawodu. Jestem ubrany po cywilnemu, opuszczone rondo kapelusza ukrywa górną część mojej twarzy. Niemiecka ambasada mieści się zaledwie dwieście metrów od naszych drzwi frontowych, więc po wyjściu z biura muszę tylko skręcić w lewo, potem w prawo i natychmiast idę wąską rue de Lille. Z przodu po lewej widzę *hôtel* de Beauharnais, pod numerem 78. Od ulicy odgradza go wysoki mur, ale wielkie

drewniane wrota są otwarte na oścież, umożliwiając wejście na brukowany dziedziniec, na którym parkują dwa automobile. Po jego drugiej stronie stoi imponująca pięciopiętrowa rezydencja ze wspartym na kolumnach portykiem. Do wejścia prowadzą wyłożone czerwonym dywanem schody, a z masztu flagowego zwisa niemiecki orzeł cesarski.

Mieszkanie, które wynajęliśmy, pod numerem 101, jest naprzeciwko. Otwieram bramę od ulicy, idę do schodów. Zza zamkniętych drzwi mieszkania na parterze dobiegają mnie gardłowe głosy mężczyzn mówiących po niemiecku – jeden opowiada coś w tonie narastającej wesołości i naraz wszyscy gruchają śmiechem. Ten męski ryk ściga mnie w drodze po schodach na pierwsze piętro. Pukam cztery razy. Ducasse uchyla drzwi, a widząc mnie przez szparę, otwiera je szerzej, bym mógł wejść do środka.

W mieszkaniu panuje zaduch. Wszystkie okiennice są zamknięte, a elektryczne światła zapalone. Z dołu nadal słychać hałasy Niemców, ale już bardziej stłumione. Ducasse, który porusza się w samych skarpetkach, kładzie palec na ustach i ruchem ręki zaprasza mnie do salonu. Dywan jest zrolowany, przesunięty pod ścianę. Na gołych deskach leży na brzuchu

Desvernine, bez butów i z głową w kominku. Zaczynam coś mówić, lecz policjant ucisza mnie, unosząc rękę. Nagle wyciąga głowę i dźwiga się z podłogi.

– Zdaje się, że skończyli – oznajmia szeptem. – Sakramencko irytujące zajęcie, pułkowniku! Siedzą przy palenisku, więc prawie rozumiem, co mówią, ale jednak nie do końca. Czy zechciałby pan zdjąć buty?

Przysiadam na skraju krzesła, by zzuć buty, i rozglądam się, podziwiając staranność, z jaką przygotował sobie kryjówkę. Zamknięte okiennice w trzech oknach mają wywiercone otwory, przez które doskonale widać ambasadę po drugiej stronie ulicy. Przy jednym stoi zamontowany na statywie najnowszy model aparatu fotograficznego – przerobiony kodak zakupiony w Londynie za osiemnaście funtów szterlingów, z pojemnikiem na film w rolce oraz zestawem różnych obiektywów. Do drugiego otworu jest przystawiona luneta. A przed trzecim stoi biurko, żeby Ducasse miał gdzie zapisywać, o której interesanci wchodzą do ambasady i ją opuszczają. Na ścianach wiszą przypięte portretowe zdjęcia interesujących nas osób, wśród których są: Esterházy, pułkownik von Schwartzkoppen, sędziwy ambasador niemiecki

hrabia Münster oraz włoski attaché wojskowy major Panizzardi.

Desvernine, wyglądający przez trzeci otwór, daje mi znak, żebym do niego dołączył przy oknie, a potem odsuwa się na bok, bym sam mógł wyjrzeć. Poniżej czterech mężczyzn, elegancko odzianych w surduty, przechodzi przez jezdnię. Oddalają się, zwróceni do nas plecami. U wejścia do ambasady przystają i dwaj ściskają rękę trzeciemu, po czym wchodzą na dziedziniec – pewnie to niemieccy dyplomaci. Dwaj, którzy zostali na chodniku, odprowadzają ich wzrokiem, a następnie wracają do przerwanej rozmowy i odchodzą.

Ducasse, nastawiając ostrość lunety, informuje mnie:

– Georges, ten z lewej to Schwartzkoppen, a po prawej idzie Włoch, Panizzardi.

– Niech pan spojrzy przez lunetę, pułkowniku – radzi mi Desvernine.

W obiektywie lunety obaj mężczyźni wydają się być szokująco blisko – zupełnie jakbym stał razem z nimi. Schwartzkoppen jest szczupły, o pięknych rysach twarzy, pociągający w swoim ożywieniu i wystrojony – dandys pełną gębą. Śmiejąc się, odrzuca głowę do tyłu, pokazując równy rząd idealnie białych zębów pod szerokim

wąsem. Panizzardi opiera rękę na jego ramieniu i wygląda na to, że opowiada mu jakąś zabawną anegdotkę. On jest przystojny w inny sposób – okrągła twarz i kręcone ciemne włosy, zaczesane do tyłu, tak że widać szerokie czoło – ale jego twarz zdradza to samo ożywienie i wesołość. Znów wybuchają śmiechem. Włoch nadal trzyma rękę na ramieniu Niemca. Patrzą sobie w oczy, jakby zapomnieli o bożym świecie.

– Jezu! – wołam. – Oni są zakochani!

– Szkoda, że nie słyszał ich pan któregoś dnia w sypialni na parterze – mówi Ducasse, uśmiechając się do mnie zalotnie.

– Cholerne pedały! – burczy Desvernine.

Zastanawiam się, czy *madame* de Weede wie o skłonnościach swojego kochanka. Podejrzewam, że to całkiem możliwe – ostatnio już mało co mnie zaskakuje.

W końcu gromki śmiech na chodniku cichnie, zastępują go uśmieszki. Panizzardi krzywi się lekko, po czym obaj nachylają się i obejmują. Po mojej lewej ręce aparat fotograficzny pstryka kolejne zdjęcia, potem Desvernine przewija film. Widząc tych obejmujących się mężczyzn, przypadkowy przechodzień uznałby pewnie, że to po prostu przyjacielski gest dobrych znajomych, ale bezlitosne powiększenie lunety

pokazuje, jak ci dwaj szepczą sobie coś na ucho. Przestają się obejmować. Odsuwają się od siebie. Panizzardi na pożegnanie unosi rękę, odwraca się i znika mi z pola widzenia. Schwartzkoppen stoi i przez kilka sekund odprowadza go wzrokiem, a na jego ustach igra półuśmieszek; potem zawraca na pięcie i maszeruje na dziedziniec ambasady. Idąc, rozkłada za plecami poły surduta – wspaniały gest, są w nim duma i jurność – po czym chowa ręce głęboko w kieszeniach spodni.

Odrywam wzrok od lunety i cofam się, zdumiony. Attaché wojskowi Niemiec i Włoch!

– Więc powiada pan, że spotykają się w tym mieszkaniu pod nami? – upewniam się.

– „Spotykają” to łagodnie powiedziane! – Desvernine zarzucił na tył aparatu czarny materiał i teraz wyjmuje pojemnik z naświetloną kliszą.

– Jak wychodzą zdjęcia?

– Dobrze, dopóki obiekt nie wykonuje gwałtownego ruchu. Niestety, to ostatnie będzie zamazane.

– Gdzie je pan wywołuje?

– W drugiej sypialni urządziliśmy ciemnię.

– Czy rozkład naszego mieszkania jest taki sam jak tego na parterze?

– O ile wiem, tak – odpowiada Ducasse.

– Co panu chodzi po głowie, pułkowniku? – pyta Desvernine.

– To, że miło byłoby słyszeć, o czym tam sobie mówią. – Podchodzę do kominka, przesuwam rękami po gipsowym gzymsie. – Jeżeli rozkład jest taki sam, to ich przewód kominowy biegnie zapewne obok naszego, prawda?

– Chyba tak – potwierdza Desvernine.

– Skoro tak, to może wyjmiemy kilka cegieł i wpuścimy do niego rurę głosową?

Ducasse parska nerwowym śmiechem.

– Wielkie nieba, Georges, a cóż to za pomysł! – gorszy się.

– Masz coś przeciwko?

– Z pewnością by ją wykryli.

– Dlaczego?

– No… – Na gwałt szuka jakiegoś powodu. – Powiedzmy, że rozpalą ogień…

– Zrobiło się ciepło. Do jesieni nikt nie będzie korzystał z kominka.

– To się może udać – zgadza się ze mną Desvernine, powoli kiwając głową. – Chociaż jakość nie będzie tak dobra, jakby rzeczywiście mówili do rury.

– Może nie, ale i tak usłyszymy o wiele więcej, niż łapiemy teraz.

– Ale przede wszystkim w jaki sposób chciałbyś zainstalować u nich rurę głosową? – Ducasse obstaje przy swoim. – Musiałbyś się jakoś dostać do ich mieszkania. Złamałbyś prawo…

Spoglądam na Desvernine’a, w końcu w tym towarzystwie to on jest policjantem.

– Da się zrobić – zapewnia mnie.

* * *

Mimo całej niechęci do włączania w to sztabu generalnego nawet ja rozumiem, że aby rozpocząć operację obarczoną takim ryzykiem, muszę mieć zgodę Gonse’a. Nazajutrz idę więc do jego gabinetu z notatką przedstawiającą w skrócie mój plan. Siedząc naprzeciwko niego, patrzę, jak czyta z tą doprowadzającą do szału uwagą i nie odrywając wzroku od tekstu, odpala nowego papierosa od poprzedniego. W notatce ani razu nie pada nazwisko Esterházy – chwilowo chcę jeszcze zachować Dobrodzieja wyłącznie dla siebie.

Gonse kończy lekturę i z irytacją podnosi wzrok.

– Przychodzi pan do mnie, żeby uzyskać moją zgodę, chociaż zdążył pan już wynająć i urządzić

to mieszkanie – zarzuca mi.

– Musiałem działać bez zwłoki, dopóki wynajem wciąż był aktualny. Trafiła nam się rzadka okazja.

Gonse kwituje to chrząknięciem.

– A jak pan sądzi, co nam z tego przyjdzie? – pyta.

– Dzięki temu może się dowiemy, czy Schwartzkoppen prowadzi więcej agentów. No i może zdobędziemy dodatkowe dowody przeciwko Dreyfusowi, których domaga się generał Boisdeffre.

– Sądzę, że nie musimy już się przejmować Dreyfusem. – Gonse wraca do lektury. Jego niezdolność do podejmowania decyzji jest wręcz legendarna. Zastanawiam się, jak długo przyjdzie mi tam siedzieć, zanim się na coś zdecyduje. – Picquart, mój drogi, ale czy warto aż tak ryzykować? – odzywa się dużo łagodniejszym tonem. – Właśnie zadaję sobie to pytanie. Taka pułapka pod nosem Niemców to prowokacja co się zowie. Jeśli się dowiedzą, podniosą taki raban, że się nie pozbieramy.

– Przeciwnie, jeśli się o tym dowiedzą, nie pisną ani słowem. Wyszliby tylko na durniów. Poza tym Schwartzkoppen będzie umierał ze strachu, że go zdemaskujemy jako pedzia.

Moglibyśmy to zrobić… a wie pan, że w Niemczech grozi za to pięć lat odsiadki? Odpłacilibyśmy mu za zwerbowanie Dreyfusa.

– Wielkie nieba, na coś takiego za nic nie mógłbym wyrazić zgody! Von Schwartzkoppen jest dżentelmenem. To by było wbrew naszym tradycjom.

Przewidziałem, że będzie robił trudności, więc jestem przygotowany.

– Generale, czy pamięta pan, co pan powiedział, proponując mi to stanowisko? – pytam.

– Co takiego?

– Powiedział pan, że we współczesnych czasach szpiegostwo to pierwsza linia frontu w walce z wrogiem. – Pochylam się i stukam palcem w swój raport. – A tu mamy okazję przesunąć linię frontu w samo serce terytorium Niemiec. W moim przekonaniu tak śmiałe przedsięwzięcie jak najbardziej mieści się w tradycji francuskiego wojska.

– Dobry Boże, Picquart, pan nienawidzi Niemców do szpiku kości, co?

– Nie żywię do nich nienawiści – wyjaśniam. – Po prostu zajęli mój dom rodzinny.

Gonse opiera się wygodnie i przygląda mi się przez obłok dymu z papierosa – przeciągle,

taksująco, jak gdyby korygował swoje wcześniejsze założenia – a mnie przychodzi do głowy, że może jednak się zagalopowałem. W końcu generał się odzywa:

– Tak naprawdę to pamiętam, kiedy pana przyjmowałem, pułkowniku. Pamiętam bardzo dobrze. Martwiła mnie pańska niechęć do objęcia tego stanowiska. Obawiałem się, że jest pan zbyt uczciwy do tej roboty. Wygląda na to, że byłem w błędzie. – Przybija pieczęć na mojej notatce, składa podpis i mi ją podaje. – Nie będę pana powstrzymywał. Ale jeśli coś pójdzie nie tak, cała wina spadnie na pana.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Uzgadniamy, że skoro mamy zainstalować jedną rurę głosową, to równie dobrze możemy zamontować i drugą – w sypialni, gdzie Schwartzkoppen i Panizzardi zapewne częściej rozmawiają o najbardziej intymnych sprawach. Desvernine musi przemycić niezbędny sprzęt: rury, piłę, obcęgi, młotek, dłuto i worki na gruz. Operację włamywania się do przewodów kominowych można prowadzić jedynie wtedy, gdy mieszkanie na parterze jest puste, czyli głównie nocą. Ducasse'a niepokoi małżeństwo mieszkające nad nami, które wypytuje go już o dobiegające ich hałasy i o to, czym on się właściwie zajmuje przez cały dzień. Dlatego praca wlecze się niemiłosiernie: dźwięczne uderzenie młota – i przerwa; kolejne uderzenie – i znów przerwa. Usunięcie jednej cegły czasami zajmuje nam całą noc. Nieustannie wisi nad nami groźba, że utytłamy kominki Niemców sadzą. To brudna robota. I wykańcza nerwowo. Desvernine donosi, że Ducasse zaczął

ostro zaglądać do kieliszka – ot, kolejne ryzyko zawodowe związane ze szpiegowskim fachem.

Do tego dochodzi problem z dostępem do lokum Niemców. Desvernine najpierw proponuje, żebyśmy się zwyczajnie włamali. Odwiedza mnie w moim gabinecie i rozwija na biurku mały skórzany futerał na narzędzia. Zawiera on zestaw stalowych wytrychów, zaprojektowanych przez mistrza ślusarskiego specjalnie dla Sûreté. Wyglądają jak skalpele chirurga. Desvernine objaśnia mi ich działanie: dwustronne wytrychy do rozmaitego typu zamków – kłódek, zamków waflowych, bębenkowych, z zapadkami tarczowymi; haczyki do podważania zatartych zapadek… Niedobrze mi się robi na sam ich widok i na myśl, że któryś z naszych agentów może wpaść podczas włamania do lokalu wynajmowanego przez Niemców.

– Ależ to bardzo proste, pułkowniku – upiera się Desvernine. – Proszę spojrzeć. Niech mi pan tu pokaże coś, co jest zamknięte.

– Proszę bardzo. – Wskazuję górną prawą szufladę mojego biurka.

Desvernine klęka, ogląda zamek i wyjmuje z zestawu dwa narzędzia.

– Potrzebne są dwa, widzi pan? – tłumaczy. – Tego wihajstra używa pan po to, żeby nacisnąć bolec, o tak… A potem wsuwa pan ten wytrych i jak pan wyczuje pierwszą zapadkę, unosi ją pan do pozycji „otwarte”… – Krzywi się w skupieniu. – Następnie powtarza pan to z pozostałymi zapadkami… A wtedy… – Uśmiecha się i wysuwa szufladę. – Gotowe!

– Niech mi je pan zostawi – mówię. – Muszę się nad tym zastanowić.

Po jego wyjściu zamykam wytrychy w moim biurku. Od czasu do czasu wyjmuję je i oglądam. Nie! Uznaję, że to zbyt ryzykowne, że to działalność kryminalna. Zamiast tego wymyślam własny plan, który ma tę zaletę, że jest całkowicie legalny. Dzień czy dwa później przedstawiam go Desvernine’owi.

– Potrzebny nam jest tylko dostęp do ich kominków, zgadza się?

– Tak.

– A dokładnie o tej porze roku przestaje się używać kominków i czyści się przewody, dobrze mówię?

– Tak.

– Wobec tego proszę po prostu przebrać dwóch swoich ludzi za kominiarzy i niech zaproponują Niemcom swoje usługi.

W połowie maja Desvernine odwiedza mnie w moim gabinecie; na jego twarzy gości rzadki uśmiech. Okazuje się, że przyjaciel jego szwagra zna pewnego kominiarza – patriotę, który przypadkiem służył w pułku dragonów w czasie, gdy Desvernine był tam sierżantem. Człowiek ten, któremu w 1870 roku zabito ojca, z przyjemnością pomoże republice, nie zadając żadnych pytań. Tego dnia w porze obiadu, mówi Desvernine, gdy Niemcy pili przed posiłkiem, ten znajomek zapukał do drzwi mieszkania na parterze, przedstawił się jako kominiarz i bez problemu został wpuszczony do środka. Pod samym nosem tych upartych jak osły Prusaków wchodził na pierwsze piętro i schodził, by udając, że czyści przewody kominów, opuścić rury głosowe i przymocować obie tak, by się nie ruszały. Na koniec, kiedy zostawiał im bilet wizytowy, jeden z Niemców wręczył mu napiwek.

– I dużo teraz słyszycie? – pytam.

– Mnóstwo, zwłaszcza jeśli ten, kto mówi, siedzi albo stoi w pobliżu kominka. Ujmę to tak… wyłapujemy cały sens rozmowy.

– Dobrze się sprawiliście. Świetna robota.

– To jeszcze nie wszystko, pułkowniku.

Desvernine wyjmuje z kieszeni kopertę i szkło powiększające. W środku znajduje się zdjęcie o wymiarach dziesięć centymetrów na trzynaście. Biorę je pod okno, do światła.

– Naświetlono je wczoraj po południu, tuż po piętnastej – informuje Desvernine.

Bez lupy trudno rozpoznać wychodzącego z ambasady mężczyznę, a i z nią trzeba nieźle wytężyć wzrok: zrobione w ruchu zdjęcie jest nieco zamazane, ostrzejszy jest cień tego człowieka w jasnym majowym słońcu. Dłuższe oględziny nie zostawiają jednak wątpliwości. Mężczyznę zdradzają wybałuszone okrągłe oczy i zakręcone jak baranie rogi wąsy – to Esterházy.

* * *

W piątek w tym samym tygodniu Bachir, przy akompaniamencie sapania i skrzypienia drewna, wchodzi po schodach do mojego gabinetu, niosąc mi prywatny telegram. Wysłano go jednak na adres ministerstwa, więc nie dotarł do mnie od razu i jeszcze zanim go biorę do rąk, mam przeczucie, że dotyczy mojej matki, a to oznacza złe wieści. Czy od chwili, gdy uświadamiamy sobie, że wszyscy jesteśmy śmiertelni, gdzieś w najgłębszych zakamarkach naszych umysłów

nie czekamy w tajemnicy na śmierć rodziców? A może ten nieustający stan panicznego lęku dotyka wyłącznie tych z nas, którzy już w dzieciństwie zostali osieroceni? Tak czy owak, jest to telegram od mojej siostry Anny, w którym zawiadamia mnie, że nasza matka przewróciła się i złamała biodro. Lekarze postanowili uśpić ją do operacji nastawienia kości, żeby zaoszczędzić jej bólu i cierpienia. *Ale jest oszołomiona i histeryzuje. Jeśli możesz, przyjedź natychmiast*.

Przechodzę korytarzem i zawiadamiam Henry'ego. Ten przekazuje mi przyjacielskie wyrazy współczucia:

– Doskonale wiem, jak pan się czuje, pułkowniku. Proszę nie martwić się o pracę. Dopilnuję, żeby pod pańską nieobecność sekcja działała sprawnie jak zawsze. – Mówi to z niekłamaną serdecznością i nieoczekiwanie czuję przypływ uczucia do tego starego prostaka. Obiecuję, że dam mu znać, jak długo mnie nie będzie, na co życzy mi powodzenia.

Zanim docieram do szpitala w Wersalu, jest już po operacji. Anna siedzi przy łóżku mamy wraz z mężem, Jules'em Gayem. Oboje są o ponad dziesięć lat starsi ode mnie, rodzinni, odpowiedzialni; mają dwoje dorosłych dzieci i dwójkę nastolatków. Jules, nauczyciel

w paryskim liceum, jest rumianym liończykiem o tubalnym głosie, żarliwym katolikiem i konserwatystą, którego zgodnie z wszelkimi zasadami logiki powinienem nie lubić, a tymczasem, wskutek jakiejś dziwnej alchemii, od ponad ćwierć wieku go uwielbiam. Gdy oboje wstają na powitanie, widzę po ich minach, że z matką jest kiepsko.

– Jak ona się czuje? – pytam.

W odpowiedzi Anna przesuwa się na bok, żebym miał widok na łóżko. Matka jest skurczona, maleńka, szara. Leży z twarzą odwróconą ode mnie. Od pasa w dół jest zagipsowana, przez co, o dziwo, wydaje się większa, obfitsza w kształtach. Wygląda niczym słabowite pisklę, które na wpół wydostało się już ze skorupki jaja.

– Kiedy chloroform przestanie działać i się wybudzi? – dopytuję się.

– Ona już się obudziła, Georges.

– Co takiego? – W pierwszej chwili nie rozumiem. Delikatnie wsuwam dłoń pod policzek matki i odwracam jej głowę ku sobie. – Mamo? – Oczy ma otwarte, ale są wodniste i puste. Co z tego, że na mnie patrzy, skoro mnie nie poznaje? Lekarz tłumaczy mi, że po podaniu środków usypiających pacjenci w jej stanie często

pozostają częściowo we śnie. – Dlaczego wcześniej nas pan o tym nie uprzedził?! – wydzieram się na niego, lecz Anna mnie uspokaja: jaki mieliśmy wybór?

Następnego dnia zabieramy matkę do domu. W niedzielę rano dzwony katedry Saint-Louis wzywają na mszę, ale jeżeli ona je słyszy, to nie rozumie już, co znaczą. Wygląda na to, że zapomniała nawet, jak się je.

Wynajmujemy pielęgniarkę, by opiekowała się matką w ciągu dnia, i od tej pory co wieczór wychodzę z pracy wcześniej, by jechać do Wersalu, gdzie sypiam w pokoju gościnnym. Oczywiście nie ja jeden przy niej czuwam. Anna i Jules prawie codziennie przyjeżdżają z Paryża, a mój kuzyn Edmond Gast i jego żona Jeanne – z Ville-d'Avray. Któregoś wieczoru zjawiam się później niż zwykle i zastaję przy łóżku Pauline, która czyta na głos książkę, chociaż nie ma słuchaczki. Gdy odkłada powieść i wstaje, żeby mnie uściskać, nie wypuszczam jej z objęć.

– Tym razem już chyba nigdzie nie pozwolę ci odejść – mówię.

– Georges – szepcze skromnie. – Twoja matka…

Spoglądamy na nią. Leży na wznak, z zamkniętymi oczami. Mięśnie jej twarzy są

rozluźnione, beznamiętna mina jest niemal królewsko obojętna; tak sobie myślę, że matka wymyka się już wszelkim konwencjom, całej tej durnej ograniczonej moralności…

– Nie widzi nas, ale gdyby mogła widzieć, byłaby zachwycona – mówię. – Wiesz, że nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego się nie pobraliśmy?

– Nie ona jedna…

W jej głosie słyszę gorycz. Nigdy nie robiła mi wyrzutów. Razem wychowaliśmy się w Alzacji. Razem przeżyliśmy oblężenie. Trzymaliśmy się siebie, będąc na wygnaniu, kiedy wszystko straciliśmy i nic nam nie pozostało. Byłem jej pierwszym kochankiem. Powinienem był się jej oświadczyć, zanim wyjechałem na powrót do swojego pułku w Algierii. Ale zawsze mi się wydawało, że będę miał na to jeszcze mnóstwo czasu. Tymczasem zanim skończyłem służbę za granicą i wróciłem do kraju z Indochin, ona dawno postawiła na mnie krzyżyk, urodziła córkę i była już w ciąży z drugą. Nie miałem jej tego specjalnie za złe, zwłaszcza że wkrótce podjęliśmy nasz romans od miejsca, w którym go przerwaliśmy. „Mamy coś lepszego niż wspólna przyszłość – powtarzałem jej. – Mamy przeszłość”. Nie sądzę, żebym nadal w to wierzył.

– Zdajesz sobie sprawę, że w ten czy inny sposób jesteśmy ze sobą od ponad dwudziestu lat? – pytam, biorąc ją za rękę. – Na dobrą sprawę jesteśmy małżeństwem.

– Och, Georges, zapewniam cię, że to, co jest między nami, w niczym nie przypomina małżeństwa – odpowiada ze znużeniem.

Otwierają się drzwi frontowe, słyszymy głos jej siostry i Pauline od razu uwalnia dłoń z mojego uścisku.

* * *

Życie tliło się w mojej matce jeszcze przez miesiąc. To niesamowite, jak długo ciało potrafi wytrzymać bez pokarmu. Czasami, jeżdżąc do Wersalu i z powrotem trzęsącym się, zatłoczonym pociągiem, przypominam sobie słowa Henry'ego: „Niełatwo jest zejść z tego świata…". Wygląda jednak na to, że ona postanowiła gładko i łagodnie zapaść się w nicość.

Przez cały ten czas Henry jest nadzwyczaj troskliwy. Pewnego dnia pyta, czy znalazłbym chwilkę, żeby zejść na parter do poczekalni i poznać jego żonę, która coś mi przyniosła. Dotychczas nie zastanawiałem się, z jakiego

rodzaju kobietą ożenił się Henry, więc zakładam, że jest jego damską wersją… wielka, rumiana, głośna, szorstka. Tymczasem czeka na mnie wysoka i szczupła młoda dziewczyna, przynajmniej dwa razy młodsza od niego, o gęstych ciemnych włosach, jasnej cerze i żywych piwnych oczach. Henry przedstawia mi ją jako Berthe. Kobieta mówi z tym samym akcentem znad Marny co mąż. Jedną ręką wręcza mi bukiet kwiatów, żebym przekazał go matce, a drugą trzyma chłopca w wieku dwóch, może trzech lat w marynarskim ubranku. Obecność dziecka w tym ponurym budynku jest co najmniej dziwna.

– To mój smyk, Joseph – przedstawia go Henry.

– Jak się masz, Josephie? – Biorę chłopca na ręce i przez chwilę kręcę nim młynka, a rodzice przyglądają nam się z uśmiechem (my, kawalerowie, umiemy sobie radzić z cudzymi dziećmi). Potem stawiam go na posadzce i dziękuję *madame* Henry za kwiaty, na co zalotnie spuszcza wzrok. Wracając na górę, myślę sobie, że Henry może mieć o wiele bardziej złożoną naturę, niż mi się zdawało. Jego duma z ładnej młodej żony jest zrozumiała, więc chce się nią pochwalić, to jasne; ale w *madame* Henry

wyczuwam ambicję i jestem ciekaw, jak on sobie z tym radzi.

Ostatnie namaszczenie mojej matki odbywa się w piątek po południu, dwunastego czerwca 1896 roku. Na dworze jest upalny letni dzień, wszędzie słychać gwar ulicy. Mimo zasuniętych zasłon palące słońce pada na szyby, jakby się chciało wedrzeć do środka. Patrzę, jak ksiądz namaszcza jej uszy, oczy, nozdrza, usta, dłonie i stopy, przez cały czas recytując jakieś łacińskie zaklęcia. Kiedy się żegna przed wyjściem, jego uścisk dłoni jest wilgotny, odrażający. Tej nocy matka umiera w moich ramionach; całując ją po raz ostatni, czuję smak olejków klechy.

Zdarzyło się coś, co od dawna przewidywaliśmy, więc wszystko jest już zorganizowane; a jednak szok jest tak wielki, jak gdyby matka padła trupem znienacka. Po mszy za zmarłych w katedrze Saint-Louis i pochówku w rogu cmentarza wracamy pieszo do jej mieszkania na stypę. To bardzo przykre wydarzenie. Jest zbyt upalnie, tłok w maleńkich pokojach wywołuje spięcia. Zjawiła się szwagierka Hélène, wdowa po moim bracie Paulu. Nie wiadomo, dlaczego zawsze mnie nie znosiła, więc tak bardzo staramy się unikać siebie nawzajem – co w tej ciasnocie wcale nie

jest łatwe – że w rezultacie ląduję w dawnej sypialni matki i siedząc na materacu, z którego zdjęto już pościel, rozmawiam – jakbym już nie miał z kim! – z mężem Pauline.

Monnier to w gruncie rzeczy porządny facet, na swój sposób oddany żonie i córkom. Gdyby był brutalem, łatwiej byłoby nam go oszukiwać. Ale on jest po prostu nudny. Od strony zawodowej, na ile się mogłem zorientować, jest wyższym urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mającym szukać dziur w genialnych pomysłach młodszych kolegów. Przebywając w towarzystwie, jak przystało na nudziarza, ma zwyczaj udawać, że interesuje go czyjeś zdanie na jakiś temat – tym razem zapytał mnie, co sądzę o zbliżającej się wizycie na szczeblu państwowym rosyjskiego cara – a następnie ze słabo ukrywanym zniecierpliwieniem słucha aż do chwili, gdy może się wstrzelić z zawczasu przygotowanym monologiem. Okazuje się, że powołano go w skład francusko-rosyjskiej komisji organizującej wizytę… i dlatego będzie musiał stanowczo rozmówić się z ambasadorem Rosji, ponieważ oficjalny pociąg Jego Carskiej Mości, ważący czterysta pięćdziesiąt ton, jest o dwieście

ton za ciężki jak na wytrzymałość naszych torów kolejowych…

Nad jego ramieniem widzę, jak Pauline rozmawia z Louisem Leblois. Nasze oczy się spotykają. Monnier ogląda się przez ramię, zirytowany, że nie poświęcam mu całej uwagi, i peroruje dalej:

– Więc jak mówiłem, to nie tyle kwestia protokołu, ile podstaw dobrego wychowania…

Próbuję się skupić na jego dyplomatycznych frazesach – przynajmniej tyle mogę zrobić.

* * *

Przez ten czas Operacja Dobrodziej funkcjonuje jak pozostawiona bez opieki maszyna, masowo produkując informacje, z których niemal wszystkie są bezużyteczne: stosy zamazanych fotografii i wykazy odwiedzających z rue de Lille (*niezidentyfikowany mężczyzna, pięćdziesiąt kilka lat, lekko kuleje: były wojskowy?*) oraz częściowe zapisy rozmów (*Widziałem go na manewrach w Karlsruhe, zaproponował* [nieczytelne], *na co mu powiedziałem, że mamy już* [nieczytelne] *od naszego źródła w Paryżu*). Do lipca zdążyłem wydać tysiące z tajnego funduszu

pozostawionego mi w spadku przez Sandherra, naraziłem kraj na wybuch poważnego kryzysu dyplomatycznego i ukryłem tożsamość potencjalnego zdrajcy przed zwierzchnikami, a nie mam do pokazania żadnych namacalnych dowodów oprócz jedynego zdjęcia Esterházyego – tego, na którym opuszcza ambasadę.

I nagle, całkiem niespodziewanie, sytuacja zmienia się radykalnie, a wraz z nią moje życie, moja kariera i wszystko inne.

Jest skwarny letni wieczór. Nareszcie mogłem się wyrwać z Paryża, towarzyszę generałowi Boisdeffre'owi w objeździe jednostek w regionie Burgundii. Nasi zwiadowcy znaleźli nam dobrą restaurację nieopodal kanału w Venarey-les-Laumes i siadamy do posiłku na dworze, przy odgłosach żab ryczących oraz cykad i w aromacie świec o zapachu cytrynowym, który odgania komary. Przy stole mam miejsce nieco odległe od Boisdeffre'a, obok jego ordynansa, majora Gabriela Pauffina de Saint Morel. Ćmy wpadają w blask lamp i wypadają, nad winnicami na wzgórzach od wschodu właśnie rozbłysły gwiazdy. Czego więcej można chcieć od życia? Pauffin jest niezwykle przystojnym, trochę przygłupim arystokratą, dokładnie w moim wieku – dzieli nas może tydzień czy dwa. Znam

go od czasów, gdy służyliśmy razem jako kadeci w Saint-Cyr. W blasku świec z nadmiaru wina i gorąca jego profil bije czerwienią. Nakładając sobie na talerz miękki i bardzo aromatyczny ser époisses de Bourgogne, znienacka powiada:

– A właśnie, Picquart, przepraszam, ale zapomniałem… szef chce, żeby pan po powrocie do Paryża zamienił słówko z pułkownikiem Foucault.

– Oczywiście, pomówię z nim. Wie pan może, o co chodzi? – Foucault jest naszym attaché wojskowym w Berlinie.

A Pauffin, skupiony na serze, nie zniżając głosu ani nie odwracając się do mnie, odpowiada:

– Zdaje się, że usłyszał w Berlinie historyjkę, jakoby Niemcy mieli w naszym wojsku kolejnego szpiega. Wysłał szefowi list w tej sprawie.

– Słucham? – Odstawiam kieliszek tak gwałtownie, że rozlewam trochę wina. – Rany boskie, kiedy dokładnie to było?

Słysząc ton mojego głosu, odwraca się w końcu do mnie.

– Kilka dni temu. Przepraszam, Georges. Całkiem wyleciało mi z głowy.

Tego wieczoru nic już nie mogę zrobić, ale następnego dnia rano przy śniadaniu w *château*,

w którym się zatrzymaliśmy, podchodzę do Boisdeffre'a i proszę o zgodę na natychmiastowy powrót do Paryża, bym mógł się spotkać z pułkownikiem Foucault.

Boisdeffre rogiem serwetki ociera resztki jajka z wąsów.

– Skąd ten pośpiech? – pyta. – Myśli pan, że coś w tym może być?

– Niewykluczone. Wolę to sprawdzić.

Boisdeffre jest zaskoczony, że tak pilno mi do wyjazdu, ba, jest nawet lekko urażony – zaproszenie na leniwą podróż w ramach inspekcji naszego najświetniejszego regionu kulinarnego uchodzi za przejaw specjalnych względów.

– Jak pan sobie chce – burczy, odprawiając mnie machnięciem serwetki. – Niech mnie pan informuje na bieżąco.

Wczesnym popołudniem jestem z powrotem w Ministerstwie Wojny, siedzę w gabinecie Foucaulta i słucham jego raportu. Nasz attaché wojskowy w Berlinie jest kompetentnym, prostolinijnym zawodowcem, zahartowanym przez lata wysłuchiwania kłamców i fantastów. Ma stalowoszare, obcięte na krótko gęste włosy – leżą na nim jak hełm.

– Byłem ciekaw, kiedy generał Boisdeffre łaskawie zechce zareagować na mój list – mówi. Ze znużeniem wyjmuje z szuflady teczkę i ją otwiera. – Pamięta pan naszego agenta w Tiergarten, Richarda Cuersa?

Tiergarten to dzielnica Berlina, w której ma swoją główną siedzibę niemiecki wywiad wojskowy.

– Oczywiście. Pracował w Paryżu dla wywiadu niemieckiego, dopóki go nie przekabaciliśmy i nie przeszedł na naszą stronę. Sandherr poinformował mnie o nim, kiedy przejmowałem jego stanowisko.

– No cóż, został zwolniony.

– Szkoda. Kiedy to się stało?

– Trzy tygodnie temu. Poznał go pan osobiście?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Cuers, nawet będąc w najlepszej formie, jest kłębkiem nerwów, ale kiedy przyszedł mi opowiedzieć, co się wydarzyło, był w naprawdę opłakanym stanie. Boi się, że niemiecki sztab generalny aresztuje go za zdradę. Uważa, że jego przyjaciel z Brukseli, Lajoux, wydał go dla pieniędzy, co akurat może być zgodne z prawdą. Tak czy owak, chce się upewnić, że będziemy go chronić. Bo jeśli nie, to, jak mówi, z braku

wyboru będzie musiał pójść do Hauptmanna Damego… to szef jego sekcji… i wyśpiewać o nas wszystko, co wie.

– Czyli ile?

– Chyba niemało.

– To znaczy, że próbuje nas szantażować?

– Nie sądzę. Raczej nie. Po prostu chce dostać gwarancje.

– Więc mu je dajmy. Gwarancje nie kosztują ani su… możemy mu zagwarantować, co mu się tylko zamarzy. Niech pan go zapewni, że z naszej strony nie będzie żadnego przecieku.

– Mówiłem mu, że nie ma się czym martwić. Ale to jest trochę bardziej skomplikowane. – Foucault wzdycha, masuje sobie czoło, a do mnie dociera, że ten człowiek żyje w nieustannym napięciu. – Chce to usłyszeć od kogoś z sekcji… podczas osobistego spotkania w cztery oczy.

– Przecież to dla nas obu tylko niepotrzebne ryzyko. A jeśli ktoś będzie go śledził?

– Dokładnie tak mu powiedziałem. Ale on wciąż obstawał przy swoim. I wtedy zdałem sobie sprawę, że nie o wszystkim mi powiedział, że jest w tym coś więcej. No więc wyjąłem butelkę absyntu… on lubi absynt, ponieważ, jak twierdzi, przypomina mu pewną Francuzkę,

w której kiedyś się kochał… i stopniowo wyciągnąłem z niego całą historię.

– Czyli co?

– On się boi i chce się spotkać z kimś z sekcji, bo twierdzi, że Niemcy mają we francuskim wojsku szpiega, o którym nic nie wiemy.

A jednak! Udaję, że podchodzę do tego nonszalancko.

– Czy ten szpieg jakoś się nazywa?

– Nie. Może nam podać tylko trochę szczegółów, które zasłyszał tu i ówdzie. – Foucault zagląda do teczki. – Podobno ten agent jest w randze dowódcy batalionu. W wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką. Mniej więcej od dwóch lat przekazuje informacje Schwartzkoppenowi, głównie na temat artylerii, ale jego informacje są przeważnie mało wartościowe… ostatnio, na przykład, przekazał szczegóły kursu strzeleckiego w Châlons. Zgodnie z hierarchią służbową dane wywiadowcze trafiły aż do samego von Schlieffena[3], któremu coś w tym śmierdzi… uważa, że źródło konfabuluje, a może nawet to prowokator, więc kazał Schwartzkoppenowi zerwać z nim wszelkie kontakty. – Odrywa się od akt. – Wszystko to opisałem w liście do generała Boisdeffre’a. Nic panu w związku z tym nie świta?

Udaję, że się zastanawiam.

– Nie bardzo. – A tak naprawdę mam ochotę skakać z radości. – Czy to już wszystko?

Foucault parska śmiechem.

– Pyta pan, czy znalazła się druga butelka? – Zamyka teczkę i chowa ją do szuflady. – Owszem, pękła i druga. Prawdę mówiąc, na koniec musiałem go umyć i położyć do łóżka. Widzi pan, ile ja się muszę nacierpieć dla dobra kraju!

Wtóruję mu śmiechem.

– Wystąpię o medal dla pana.

Foucault poważnieje.

– Pułkowniku Picquart, prawda jest taka, że nasz przyjaciel Cuers to neurotyk i jak każdy neurotyk jest fantastą. Dlatego bądźmy szczerzy: nie biorę odpowiedzialności za prawdziwość tego, co mi powiedział, rozumiemy się? Są agenci, za których mógłbym dać głowę, ale Cuers do nich nie należy. Właśnie dlatego nie przekazałem reszty jego opowieści na piśmie.

– Doskonale pana rozumiem – mówię, zastanawiając się, co mnie czeka. – Do wszystkiego, co od pana usłyszę, podejdę z należnym sceptycyzmem.

– Świetnie. – Foucault milczy przez chwilę. Z marsową miną wpatruje się w blat biurka, po czym spogląda mi prosto w oczy… szczerze,

spokojnie, jak to między żołnierzami. – A więc tak: Cuers powiada, że wywiad niemiecki nadal jest wściekły z powodu całej tej historii z Dreyfusem.

– Chodzi im o to, że go złapaliśmy?

– Nie. O to, że nigdy o nim nie słyszeli… tak przynajmniej twierdzi Cuers.

Wytrzymuję spojrzenie pułkownika. W jego ciemnych oczach maluje się determinacja.

– A może nadal go kryją? – podsuwam, ostrożnie ważąc słowa.

– Co? Nawet w prywatnych rozmowach? – Foucault krzywi się i kręci głową. – Nie. Rozumiem, że publicznie trzeba zaprzeczać takim rzeczom na wieki wieków… na tym polega dyplomacja. Ale po co mieliby wypierać się tego za zamkniętymi drzwiami, między sobą, i to przez lata?

– Może w Berlinie nikt nie chce się przyznać, że prowadził Dreyfusa? Po tym, jak fatalnie się to skończyło.

– Przecież obaj wiemy, że nie tak to działa, prawda? Według Cuersa sam cesarz we własnej osobie zażądał prawdy od Schlieffena: „Czy Armia Cesarstwa Niemieckiego kiedykolwiek korzystała z usług tego Żyda, czy nie?”. Schlieffen z kolei zapytał o to Damego, który zaklinał się na

wszystkie świętości, że nic nie wie o żadnym żydowskim szpiegu. Na rozkaz Schlieffena Dame wezwał Schwartzkoppena do Berlina na konsultacje… Cuers na własne oczy widział go w Tiergarten… a Schwartzkoppen uparcie twierdził, że z nazwiskiem Dreyfusa zetknął się w gazecie, już po aresztowaniu szpiega. Cuers powiedział mi, że Dame dyskretnie zasięgał języka we wszystkich zaprzyjaźnionych agencjach wywiadowczych w Europie, sprawdzając, czy któraś z nich korzystała kiedyś z Dreyfusa. I znów pudło.

– I o to się wściekają? – pytam.

– Tak, oczywiście… Wie pan, jak drażliwi są nasi nadęci pruscy sąsiedzi. Stale się boją, że wyjdą na durniów. Uważają, że cała ta historia to wyszukana francuska prowokacja mająca oczernić ich w oczach świata.

– Przecież to bzdura!

– Bez dwóch zdań. Ale oni w to wierzą… a przynajmniej tak twierdzi Cuers.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że przez cały czas ściskałem poręcze krzesła niczym pacjent w fotelu dentystycznym. Próbuję się więc rozluźnić. Krzyżuję nogi, poprawiam kant spodni, udaję spokój, którego nie czuję i na który Foucault z pewnością ani przez moment nie daje

się nabrać – jest wszak zawodowym koneserem gry pozorów.

W końcu po dłuższym milczeniu mówię:

– Wszystko po kolei. Wydaje mi się, że w tej sprawie to będzie właściwa metoda. Na początek należy przyjąć propozycję Cuersa, spotkać się z nim i go gruntownie odpytać.

– Zgadzam się.

– A tymczasem zatrzymajmy to wszystko dla siebie.

– Temu przyklaskuję jeszcze bardziej.

– Kiedy najszybciej może pan wrócić do Berlina? – pytam.

– Jutro rano.

– Jeśli wolno, proponuję, żeby skontaktował się pan z Cuersem i mu przekazał, że chcemy z nim porozmawiać tak szybko, jak to możliwe.

– Zajmę się tym natychmiast po powrocie.

– Pytanie, gdzie mamy się z nim spotkać? W każdym razie nie na ziemi niemieckiej.

– Absolutnie nie… to zbyt ryzykowne. – Foucault zastanawia się. – A co pan powie na Szwajcarię?

– Tam byłoby wystarczająco bezpiecznie. Może w Bazylei? O tej porze roku jest tam pełno turystów. Mógłby udawać, że wybrał się na urlop

na piesze wędrówki. Spotkalibyśmy się z nim tam na miejscu.

– Przedstawię mu całą rzecz i dam panu znać. Pokryjecie jego wydatki? Przepraszam, że poruszam ten temat, ale wiem, że to pierwsze, o co mnie zapyta.

Uśmiecham się.

– Ech, z kim my musimy pracować! Oczywiście, że zwrócimy mu poniesione koszty.

Wstaję, salutuję. Foucault robi to samo. Podajemy sobie ręce. Więcej już się nie odzywamy, dalsze słowa są zbędne – obaj doskonale rozumiemy potencjalnie kolosalną wagę tego, o czym tu rozmawialiśmy.

* * *

A więc w końcu znalazłem jednego szpiega. W tej sprawie rozwiały się wszelkie wątpliwości. Major Charles Ferdinand Walsin-Esterházy – „hrabia Esterházy”, jak lubi się tytułować – chadza ulicami Rouen i Paryża, uprawia hazard, żłopie szampana w klubach nocnych, prawie co wieczór chędoży Czteropalcą Marguerite w mieszkaniu w pobliżu Montmartre’u, a za całe to plugawe życie płaci, sprzedając tajemnice

kraju obcemu mocarstwu, co czyni z godnością domokrążcy.

Tak, Esterházy to prosta sprawa, w rzeczywistości już zamknięta, choć może jeszcze nie w świetle prawa. Ale Dreyfus? Boże jedyny, to sprawa o wiele grubszego kalibru – właściwie to jakiś koszmar – więc wracając z Ministerstwa Wojny do sekcji statystycznej, tak gorączkowo rozważam wszelkie implikacje, że znów muszę spróbować się opanować. Sam sobie wydaję rozkaz: wszystko po kolei, Picquart! Podchodź do tej sprawy beznamiętnie, Picquart! Unikaj wyciągania pochopnych wniosków! Nikomu nie ufaj, dopóki nie zdobędziesz niezbitych dowodów!

A jednak docierając do frontowych drzwi, spoglądam tęsknie na rue de l'Université w stronę mieszkania Louisa Leblois. Co ja bym dał za możliwość obgadania z nim tej sprawy…

W gabinecie na piętrze zastaję wiadomość od Desvernine'a, który pyta, czy możemy się spotkać wieczorem – ta sama pora, to samo miejsce. Z powodu podróży z Boisdeffre'em nie widziałem go od dziesięciu dni; kiedy się zjawiam w kawiarni na gare Saint-Lazare, spóźniony o kwadrans, on już czeka – z kuflem piwa dla

mnie i, co niespotykane, z drugim kuflem dla siebie.

– Pierwsza taka okazja – mówię, stukając się z nim naczyniami. – Czy coś świętujemy?

– Być może. – Desvernine ociera wąsy z piany, sięga do wewnętrznej kieszeni, kładzie na stole zakrytą fotografię i podsuwa mi ją po blacie. Biorę ją i odwracam. Tym razem nie potrzebuję lupy. Zdjęcie jest wyraźne jak portret zrobiony w studiu fotograficznym: Esterházy w szarym meloniku wychodzi z niemieckiej ambasady. Widzę nawet półuśmieszek na jego twarzy. Widocznie przystanął, napawając się ciepłym słońcem.

– A więc wrócił – mówię. – To istotny fakt.

– Nie, pułkowniku, istotne jest to, co trzyma w ręku.

Ponownie spoglądam na zdjęcie.

– On nic nie trzyma – protestuję.

Desvernine podsuwa mi kolejną zakrytą fotografię, odchyla się na krześle i popijając piwo, obserwuje moją reakcję. To zdjęcie pokazuje kogoś z półprofilu; postać w ruchu jest zamazana, skręca z ulicy w wejście do ambasady. W prawej ręce trzyma coś białego – może to być koperta albo paczka. Kładę oba zdjęcia obok

siebie. Człowieka na zdjęciu zdradza szary melonik, a także wzrost i budowa ciała.

– Ile czasu minęło między zrobieniem tych zdjęć?

– Dwanaście minut.

– Jest nieostrożny.

– Nieostrożny? On nie ma wstydu, ot co! Niech pan z nim uważa, panie pułkowniku. Miałem już do czynienia z takimi typami. – Upaćkanym kciukiem stuka w twarz na fotografii. – Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

* * *

Dwa dni później, wieczorem, dostaję zaszyfrowany telegram od pułkownika Foucault z Berlina: Cuers jest gotów spotkać się z naszym wysłannikiem w Bazylei, w czwartek, szóstego sierpnia.

W pierwszym odruchu chcę jechać sam. Sprawdzam nawet rozkład jazdy pociągów. Potem jednak ważę ryzyko. Bazylea leży po obu stronach granicy niemieckiej; odwiedzałem ją kilkakrotnie w drodze na festiwal wagnerowski w Bayreuth. Mieszkańcy mówią po niemiecku; budynki w stylu gotyckim, z muru pruskiego i z zamkniętymi okiennicami, stwarzają

poczucie, jakby się było w jakimś mieście w Rzeszy; dokoła będę miał same nieprzyjazne twarze. Muszę też brać pod uwagę, że skoro zajmuję swoje stanowisko już ponad rok, to Berlin pewnie się zorientował, że jestem następcą Sandherra. Nie boję się o siebie, nie mogę się jednak kierować własnymi zachciankami, stawka jest zbyt wysoka. Gdyby mnie zauważono, mogłoby to mieć katastrofalne skutki dla planowanego spotkania.

Dlatego też rankiem trzeciego sierpnia, w poniedziałek, trzy dni przed ustalonym spotkaniem, zapraszam do swojego gabinetu majora Henry'ego i kapitana Lautha. Jak zwykle przychodzą razem. Zajmuję miejsce u szczytu stołu konferencyjnego, Henry siada po mojej lewej, a Lauth po prawej. Przed sobą mam akta Dobrodzieja. Henry spogląda na nie podejrzliwie.

– Panowie – zagajam, otwierając akta – uważam, że nadeszła stosowna chwila, by wprowadzić was w tajniki operacji wywiadowczej, która po kilku miesiącach od wdrożenia nareszcie wydaje owoce.

Relacjonuję im kolejne etapy, zaczynając od podsumowania tego, o czym już wiedzą. Pokazuję *petit bleu* zaadresowany do Esterházyego oraz brudnopis listu od

Schwartzkoppena, w którym narzeka, że to, co dostaje z „domu R”, nie jest warte jego pieniędzy. Przypominam im o swojej wyprawie do Rouen i rozmowie z moim przyjacielem, majorem Curém.

– Po niej podjąłem decyzję o wszczęciu gruntownego śledztwa – mówię.

Czytam na głos raporty Desvernine’a o Esterházym: o jego długach, hazardzie, czteropalcej kochance i całej reszcie. Słuchają w milczeniu, które przeradza się w irytujące napięcie. Gdy opisuję, w jaki sposób wynajęliśmy mieszkanie naprzeciw ambasady Niemiec, dostrzegam, że szybko wymieniają zaskoczone spojrzenia. A potem, niczym prestidigitator, wyciągam zdjęcia z dwóch wizyt Esterházyego w niemieckiej ambasadzie.

Henry wkłada okulary i przygląda im się uważnie.

– Czy generał Gonse o tym wie? – pyta.

– Owszem, wie o prowadzonej inwigilacji.

– Ale nie o tym, że dotyczy konkretnie Esterházyego?

– Jeszcze nie. Wolałem z tym poczekać, aż zdobędziemy wystarczające dowody, żeby móc dokonać aresztowania.

– Rozumiem. – Henry podsuwa zdjęcia Lauthowi i zdejmuje okulary. Ssie jeden z zauszników, z miną naukowca oceniającego badania kolegi. – To bardzo ciekawe, pułkowniku, chociaż oczywiście nic nam jeszcze nie daje. Bez dwóch zdań jest to interesująca poszlaka, ale nic więcej. Gdybyśmy pokazali to wszystko Esterházyemu, powiedziałby po prostu, że składał podanie o wizę. A my nie zdołalibyśmy udowodnić, że było inaczej.

– Zgadzam się. Jednak w ostatnich dniach nastąpił znaczący postęp i właśnie dlatego chcę poszerzyć zakres operacji. – Przerywam. Oto krytyczny moment. Jeśli powiem jeszcze kilka słów, wszystko się zmieni. Henry stuka oprawką okularów o zęby, czeka. – Mamy informatora umieszczonego w niemieckim wywiadzie wojskowym. Twierdzi on, że od kilku lat prowadzą we Francji agenta. Ten agent jest w stopniu majora. Ma między czterdzieści a pięćdziesiąt lat. I brał udział w kursie strzelania w Châlons.

– To musi być Esterházy! – oświadcza Lauth.

– Co do tego raczej nie ma wątpliwości. Nasz informator proponuje spotkanie w czwartek w Bazylei i wtedy powie nam wszystko, co wie.

Henry gwiżdże cicho, z zaskoczeniem, a ja po raz pierwszy dostrzegam, że jego mina wyraża coś na kształt szacunku. W związku z tym mam ochotę brnąć dalej i ujawnić wszystko („I wiecie co? On twierdzi, że Dreyfus nigdy nie szpiegował dla Niemiec!”), na razie jednak nie chcę się posuwać aż tak daleko. Wszystko po kolei, Picquart!

– Kim jest ten informator? – pyta Henry.

– Richard Cuers… Niemcy korzystali z jego usług kilka lat temu, pamięta pan? Zatrudniał go Hauptmann Dame z Berlina. Teraz Dame go zwolnił, chyba dlatego, że go podejrzewa, więc Cuers przybiegł do nas.

– Ufamy mu?

– A czy my ufamy komukolwiek? Ale nie widzę powodu, dla którego miałby kłamać. A pan? W najgorszym wypadku dowiemy się, co ma nam do powiedzenia. – Odwracam się do Lautha. – Kapitanie, chciałbym, żeby zajął się pan przesłuchaniem Cuersa.

– Oczywiście, panie pułkowniku. – Lauth szybko kłania się na swój germański sposób. Sądzę, że gdyby stał, stuknąłby obcasami.

– A dlaczego akurat mój serdeczny przyjaciel Lauth, jeśli wolno spytać? – docieka Henry.

– Dlatego że wie o całej sprawie, odkąd odtworzyliśmy *petit bleu*, ale przede wszystkim dlatego, że mówi po niemiecku.

Henry zgłasza jednak zastrzeżenia:

– Jeśli Cuers pracował tutaj, to musi przyzwoicie władać francuskim. Dlaczego ja nie jadę? Mam większe doświadczenie w obchodzeniu się z takimi draniami.

– Owszem, ale moim zdaniem będzie się wypowiadał swobodniej, jeśli rozmowa będzie się toczyła w jego ojczystym języku. Co pan na to, Lauth? – Kapitan mówi po niemiecku bezbłędnie, prawie bez śladu obcego akcentu.

– Tak. – Zerka na Henry'ego, szukając aprobaty. – Tak, na pewno dam sobie radę.

– Dobrze. Będzie panu potrzebne wsparcie w postaci jednego człowieka, a może nawet dwóch, choćby po to, żeby sprawdzili, czy Cuers nikogo za sobą nie przywlókł i czy to nie pułapka. Proponuję przydzielić do tej misji Louisa Tompsa. Zna Cuersa z jego czasów paryskich. – Tomps jest kolejnym oficerem Sûreté, podobnie jak Guénée i Desvernine, który pracuje dla naszej sekcji. To kompetentny, godny zaufania gość, mający tę dodatkową zaletę, że dobrze mówi po niemiecku; już wcześniej

korzystałem z jego pomocy. – Szczegóły operacji omówimy później. Dziękuję panom.

Lauth zrywa się z miejsca.

– Dziękuję, panie pułkowniku!

Henry siedzi jeszcze przez chwilę, wpatrzony w stół, po czym odsuwa krzesło i dźwiga się ciężko. Obciąga kurtkę munduru na wydatnym brzuchu.

– Tak, pułkowniku, dziękuję – mówi. W jego oczach maluje się smutek, widzę, że jeszcze nie pogodził się z tym, że został wyłączony ze spotkania w Bazylei, ale nie potrafi znaleźć argumentu, który by mnie przekonał, żebym go jednak wysłał. – Ciekawe – powtarza. – Bardzo ciekawe. Jeśli jednak wolno mi coś zaproponować, muszę powiedzieć, że na pańskim miejscu powiadomiłbym o tym generała Gonse'a. To poważna sprawa… Francuski oficer ma się spotkać z niemieckim szpiegiem na obcym terytorium, żeby pomówić o szpiegu w naszych szeregach. Lepiej, żeby generał nie dowiedział się o tym od kogoś innego.

* * *

Po jego wyjściu zastanawiam się, czy to była groźba. Jeśli tak, to w grze w szachy, jaką jest

wojskowa biurokracja, mam doskonały ruch zapewniający kontratak. Idę spacerkiem do ministerstwa, wchodzę po schodach do gabinetu szefa sztabu generalnego i proszę o widzenie z generałem Boisdeffre'em.

Królowa bije gońca!

Niestety, jego ordynans informuje mnie, że generał udał się z Burgundii prosto do Vichy.

Wysyłam Boisdeffre'owi telegram z prośbą o pilną rozmowę.

Następnego dnia rano, we wtorek, dostaję marudną odpowiedź:

Pułkowniku Picquart, mój drogi, czy to aż tak ważna sprawa? Jestem na urlopie, wybrałem się do wód, a potem jadę do domu w Normandii na doroczne wakacje. O co chodzi?

Odpowiadam powściągliwie, że *chodzi o sprawę podobną do tej z roku 1894* – czyli do afery Dreyfusa.

Po godzinie dociera do mnie odpowiedź:

Trudno, skoro pan nalega. Przyjeżdżam pociągiem jutro, w środę, piątego sierpnia, o osiemnastej piętnaście na gare de Lyon. Spotkajmy się tam. Boisdeffre.

* * *

Henry łatwo się nie poddaje.

Tego samego dnia, kiedy dostaję wezwanie Boisdeffre'a na spotkanie, odbywam ostatnią naradę w swoim gabinecie z Lauthem i Tompsem, by omówić przygotowania do rozmowy w Bazylei. Plan jest prosty. Ci dwaj – oraz inspektor Vuillecard, komisarz policji z Vassy, którego Tomps wybrał sobie do pomocy – złapią nazajutrz pociąg sypialny z gare de l'Est, który przyjeżdża do Bazylei w czwartek o szóstej rano. Wszyscy trzej będą uzbrojeni. W Bazylei się rozdzielą. Lauth uda się od razu do prywatnego pokoju w hotelu Schweizerhof, położonym tuż obok dworca, i będzie czekał. Tomps pojedzie na drugi dworzec kolejowy w mieście, Badischer Bahnhof, po drugiej stronie Renu, na którym zatrzymują się pociągi z Niemiec. A Vuillecard ustawi się tymczasem na Münsterplatz, na wprost katedry, gdzie ma się odbyć pierwsze spotkanie o dziewiątej rano. Tomps, który zna Cuersa z widzenia, będzie obserwował, jak Cuers przechodzi kontrolę paszportową pasażerów pociągu z Berlina, by się upewnić, że nikt go nie śledzi, a następnie pójdzie za nim na Münsterplatz, gdzie będzie czekał Vuillecard, trzymający jako sygnał rozpoznawczy białą chusteczkę. Cuers ma podejść do inspektora

i zapytać po francusku: „Czy pan jest *monsieur* Lescure?” (Lescure to nazwisko wieloletniego odźwiernego na rue Saint-Dominique), na co Vuillecard ma odpowiedzieć: „Nie, ale mam pana do niego zaprowadzić”, a potem zabierze niemieckiego agenta na spotkanie z Lauthem w hotelu.

– Chcę, żeby wyciągnął pan z niego wszystko, co wie, po najmniejsze szczegóły – rozkazuję Lauthowi. – Nieważne, ile to potrwa. W razie potrzeby niech pan go magluje jeszcze następnego dnia.

– Tak jest, pułkowniku.

– Interesuje nas głównie Esterházy, ale nie musi pan się ograniczać wyłącznie do niego.

– Rozumiem, panie pułkowniku.

– Jeśli wypłynie jakiś wątek, choćby najbardziej absurdalny, proszę go pociągnąć.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Na koniec spotkania podajemy sobie ręce i życzę im powodzenia. Tomps wychodzi, lecz Lauth się ociąga.

– Panie pułkowniku, jeśli można, miałbym jedną prośbę – mówi.

– Słucham?

– Myślę, że major Henry przydałby mi się na tym wyjeździe jako wsparcie.

W pierwszej chwili przychodzi mi do głowy, że dopadła go trema.

– Ależ, kapitanie! Nie potrzeba panu żadnego wsparcia! Doskonale sam pan sobie poradzi z Cuersem.

On jednak trwa przy swoim.

– Naprawdę uważam, że misja zyskałaby na doświadczeniu majora Henry'ego, panie pułkowniku. On zna się na rzeczach, o których ja nie mam pojęcia. I ma podejście do ludzi. Przy nim przestają się mieć na baczności, a ze mną są raczej… oficjalni.

– Czy to major Henry prosił, żeby pan się za nim wstawił? Nie lubię, jeśli oficerowie podważają moją władzę za moimi plecami.

– Nie, panie pułkowniku. W żadnym razie! – Blada szyja kapitana pokrywa się różem. – Nie mam zwyczaju wtrącać się do spraw przerastających kompetencje wynikające z mojego stopnia. Ale czasami odnoszę wrażenie, że major Henry chciałby się czuć, że tak się wyrażę, doceniony.

– A nie wysyłając go do Bazylei, uraziłem go, tak? Czy to chce mi pan powiedzieć?

Lauth nie odpowiada. Zwiesza głowę. I słusznie, myślę sobie, bo Henry jest śmieszny w tych swoich próbach wkręcania się do

wszystkiego, czym się zajmuje nasza sekcja. Z drugiej strony, pomijając moją irytację – Podchodź do tej sprawy beznamiętnie, Picquart! – dostrzegam potencjalne korzyści z tego, że dam Henry'emu odczuć, jakoby był pełnoprawnym partnerem w śledztwie dotyczącym Esterházyego. Pierwsza zasada przetrwania w gąszczu biurokracji głosi, że w mnogości siła, a mnie nie uśmiecha się rola wołającego na puszczy… zwłaszcza w tej sprawie. Jeśli – Boże uchowaj! – wyjdzie na jaw, że musimy na nowo prześwietlić sprawę Dreyfusa, to będę potrzebował Henry'ego u swojego boku.

Zirytowany, stukam nogą.

– Niech będzie – mówię w końcu. – Skoro obaj jesteście do tego tak silnie przekonani, niech major Henry towarzyszy panu w tym spotkaniu.

– Tak jest, panie pułkowniku. Dziękuję, panie pułkowniku. – Gnąc się w ukłonach, Lauth jest niemal żałosny.

– Ale żeby było jasne, rozmowa z Cuersem ma się toczyć po niemiecku, rozumiemy się? – dodaję, dla podkreślenia wagi swoich słów celując w niego palcem.

Tym razem Lauth naprawdę strzela obcasami.

– Tak będzie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia o piątej po południu ekspedycja do Szwajcarii zbiera się w holu, wyposażona w grube buty do wspinaczki, wysokie getry, sportowe kurtki i plecaki. Przykrywka jest taka, że oto czterej przyjaciele spędzają wakacje na wspinaczkach w Baselbiet. Kurtka Henry'ego ma niezbyt gustowny wzór w szeroką kratę, a jego pilśniowy kapelusz jest ozdobiony piórkiem. Z gorąca major jest czerwony na twarzy i zrzędzi. Nasuwa się nieodparte pytanie, po co tak usilnie starał się dołączyć do pozostałych.

– Drogi majorze Henry, przesadził pan z tym przebraniem! – mówię ze śmiechem. – Wygląda pan jak tyrolski oberżysta! – Tomps, Vuillecard, nawet Lauth śmieją się wraz ze mną, lecz Henry wciąż jest ponury. Lubi nabijać się z innych, ale nie potrafi znieść sytuacji, kiedy to sam staje się obiektem żartów. – Niech pan mi wyśle telegram z Bazylei i przekaże, jak przebiega spotkanie, a także kiedy pan wróci… oczywiście zaszyfrowany – zwracam się do Lautha. –

Powodzenia, panowie! Przyznam, że w takich strojach nie wpuściłbym was do mojego kraju, no ale nie jestem Szwajcarem!

Wychodzę z nimi na dwór i odprowadzam ich do powozu. Czekam, a kiedy lando znika mi z widoku, ruszam pieszo na spotkanie. Mając czasu pod dostatkiem, mogę się napawać ślicznym dniem pod koniec lata, spaceruję więc nabrzeżem. Mijam wielki plac budowy przy quai d'Orsay, gdzie nad rzeką staje nowy terminal kolejowy oraz wspaniały hotel. W Paryżu za niecałe cztery lata odbędzie się pierwsza wielka międzynarodowa impreza dwudziestego wieku – Wystawa Światowa 1900 – więc olbrzymi szkielet budynku roi się od robotników. W atmosferze zdecydowanie wyczuwa się energię, wręcz, ośmielę się rzec, optymizm – coś, czego w ciągu ostatnich kilku dekad nie mieliśmy we Francji w nadmiarze. Nieśpiesznie przechadzam się lewym brzegiem Sekwany aż do Pont de Sully, gdzie przystaję i oparty o balustradę spoglądam nad rzeką na zachód, na Notre Dame. Wciąż się zastanawiam, jak najlepiej rozegrać nadchodzące spotkanie.

Życie publiczne rządzi się swoimi dziwnymi prawami i dlatego generał de Boisdeffre, zaledwie półtora roku wcześniej w głębokim

cieniu Merciera, teraz stał się jednym z najpopularniejszych mężczyzn w kraju. Rzeczywiście, od trzech miesięcy trudno otworzyć gazetę i nie natknąć się na artykuł o nim – a to przewodniczył francuskiej delegacji na uroczystości koronacyjnej cara w Moskwie, a to w imieniu prezydenta składał carycy wyrazy uszanowania, kiedy wypoczywała na Lazurowym Wybrzeżu, bądź oglądał wyścigi konne o Grand Prix Paryża w Longchamps w towarzystwie rosyjskiego ambasadora. Rosja, Rosja, Rosja… nie słychać już nic innego, a strategiczny sojusz Boisdeffre'a uchodzi za triumf dyplomatyczny epoki, chociaż ja akurat mam zastrzeżenia co do zwalczania Niemców ramię w ramię z armią złożoną z chłopów pańszczyźnianych.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że Boisdeffre jest sławny. Prasa drukuje jego rozkład zajęć, więc kiedy docieram na gare de Lyon, pierwsze, co widzę, to tłum wielbicieli czekających na swojego idola, żeby choć przelotnie zobaczyć go, jak wysiada z pociągu z Vichy. A kiedy skład wjeżdża na stację, dziesiątki osób biegają po peronie, próbując go dostrzec. W końcu generał pojawia się w drzwiach wagonu i staje, pozując fotografom. Pomimo cywilnego ubrania nie

sposób go nie rozpoznać, a jego wysoka, prosta jak świeca postać jest jeszcze bardziej strzelista dzięki pięknemu jedwabnemu cylindrowi. Boisdeffre uchyla go uprzejmie przed wiwatującą ciżbą, po czym schodzi na peron, a za nim idą Pauffin de Saint Morel oraz dwóch ordynansów. Powoli zbliża się w kierunku stanowiska kontroli biletów, sunie jak wielki, dostojny okręt podczas parady marynarki wojennej, zdejmując kapelusz i uśmiechając się blado przy okrzykach: *Vive Boisdeffre!* i *Vive l'armée!* Dopiero na mój widok na chwilę rzednie mu mina, gdy przypomina sobie, po co tu jestem, po czym odpowiada na mój salut przyjaznym skinieniem głowy.

– Zapraszam do mojego automobilu, Picquart – mówi. – Niestety, jadę tylko do *hôtel* de Sens, więc mamy mało czasu.

Automobil, marki Panhard Levassor, nie ma dachu. Wraz z generałem siadam na grubo wyścielanej ławie, za kierowcą, i podskakując, toczymy się po kocich łbach rue de Lyon. Obserwująca nas niewielka grupka ludzi czekających w kolejce na powóz rozpoznaje szefa sztabu generalnego – oni także cieszą się, mogąc zgotować mu owację.

– Myślę, że to dla nich wystarczy – mówi Boisdeffre, zdejmując cylinder. Kładzie go na

kolanach i przesuwa ręką po rzednących siwych włosach. – O co chodzi z tym kolejnym rokiem tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym?

Rozmowa nie przebiega wprawdzie tak, jak to sobie przećwiczyłem, ale przynajmniej nie grozi mi, że ktoś nas podsłucha – generał musi odwracać się i krzyczeć mi do ucha, a ja odpowiadam w ten sam sposób.

– Zdaje się, generale, że wykryliśmy w wojsku kolejnego zdrajcę, który przekazuje informacje Niemcom!

– Kolejnego? No nie! Jakiego rodzaju informacje?

– Wygląda na to, że jak dotąd głównie dotyczące artylerii.

– Ważne?

– Nieszczególnie, ale może dochodzą do tego inne, o których nie wiemy.

– Kto to jest?

– Niejaki hrabia Walsin-Esterházy, major z Siedemdziesiątego Czwartego.

Boisdeffre widocznie wytęża pamięć, po czym kręci głową.

– Gdybyśmy się poznali, takie nazwisko na pewno bym zapamiętał – mówi. – Jak wpadliśmy na jego trop?

– Tak samo jak z Dreyfusem, dzięki naszej agentce w niemieckiej ambasadzie.

– Boże, żeby tak moja żona znalazła sprzątaczkę choćby w połowie tak staranną jak tamta kobieta! – Generał śmieje się z własnego żartu. Wygląda na wyjątkowo zrelaksowanego, no ale może to zbawienny wpływ wód. – A co na to generał Gonse? – pyta.

– Jeszcze nic mu nie mówiłem.

– Dlaczego?

– Uznałem, że najpierw powinienem porozmawiać z panem. Za pańskim pozwoleniem, następnie chciałbym poinformować ministra. Za dzień czy dwa będę wiedział o Esterházym coś więcej. Ale do tej pory wolę nie rozmawiać z generałem Gonse'em.

– Jak pan sobie życzy.

Klepie się po kieszeniach, aż w końcu odnajduje tabakierę i mnie częstuje. Dziękuję, nie korzystam. On zażywa dwie szczypty. Okrążamy Place de Bastille. Za kilka minut dojedziemy do celu, a ja muszę znać jego decyzję.

– A zatem zgadza się pan, żebym poinformował ministra? – pytam.

– Tak, uważam, że powinien pan to zrobić, a pan nie? Z drugiej strony za wszelką cenę – dodaje, klepiąc mnie po kolanie, by podkreślić

każde słowo – pragnę uniknąć kolejnego publicznego skandalu! Jeden Dreyfus wystarczy na całe pokolenie. Tę sprawę spróbujmy poprowadzić bardziej dyskretnie.

Podjazd pod *hôtel* de Sens zwalnia mnie z odpowiedzi. Choć raz to ponure średniowieczne gmaszysko tętni życiem, odbywa się tu jakieś oficjalne przyjęcie. Przybywają goście w strojach wieczorowych. A na schodach, paląc papierosa, wita ich nie kto inny, tylko Gonse we własnej osobie. Automobil zatrzymuje się kilka metrów od niego. Gonse rzuca papierosa i rusza w naszą stronę dokładnie w chwili, gdy kierowca wysiada, by opuścić stopnie dla generała Boisdeffre'a. Gonse staje i salutuje.

– Witamy z powrotem w Paryżu, generale! – rzuca, po czym spogląda na mnie, nawet nie próbując ukrywać podejrzliwości. – O, i pułkownik Picquart? – Temu zdaniu nadaje formę pytania.

– Generał Boisdeffre był tak uprzejmy, że podwiózł mnie z dworca – mówię szybko. Nie jest to ani jawne kłamstwo, ani cała prawda, ale powinno pozwolić mi odejść. Salutuję, życząc im miłego wieczoru. Dochodząc do rogu ulicy, oglądam się przez ramię, lecz obaj już weszli do środka.

* * *

Nie chcę jeszcze informować Gonse'a o Esterházym z trzech powodów: po pierwsze, bo zdaję sobie sprawę, że jeśli ten biurokrata do szpiku kości dorwie się do tej sprawy, to nie zechce wypuścić jej z rąk i zaczną się przecieki; po drugie, bo wiem, jak funkcjonuje wojsko, i nie zdziwiłbym się, gdyby Gonse za moimi plecami zwrócił się do Henry'ego; a po trzecie – i najważniejsze – bo jeśli wcześniej uzbroję się w poparcie szefa sztabu generalnego oraz ministra wojny, to Gonse nie będzie miał jak zaprotestować, a ja będę mógł podążać za tropem, dokądkolwiek mnie zawiedzie. Przebiegłość nie jest mi całkiem obca, w końcu jak inaczej zostałbym najmłodszym pułkownikiem we francuskim wojsku?

Dlatego też w czwartek rano, o tej samej porze, kiedy ekipa w Bazylei powinna nawiązywać pierwszy kontakt z podwójnym agentem, Cuersem, biorę akta Dobrodzieja oraz swój prywatny klucz – symbol uprzywilejowanej pozycji – i wychodzę przez drewniane drzwi do ogrodów *hôtel* de Brienne. Ogrody te, które w dniu degradacji Dreyfusa, przysypane śniegiem, wydawały mi się tak magiczne,

w sierpniu mają całkiem inny urok. Listowie drzew jest tak gęste, że ministerstwo jakby nie istniało; odległy gwar Paryża usypia niczym bzyczenie pszczół; a jedyną osobą w okolicy jest wiekowy ogrodnik podlewający klomb kwiatów. Idąc po spalonej brązowej ziemi, obiecuję sobie, że gdybym kiedyś został ministrem, to w lecie będę przenosił swoje biurko tutaj i dowodził armią w cieniu drzewa, tak jak Cezar robił to w Galii.

Docieram do skraju trawnika, przecinam żwir i wbiegam po niskich schodkach z jasnego kamienia, prowadzących do szklanych drzwi rezydencji ministra. Dostawszy się do środka, wchodzę po tych samych marmurowych schodach, po których wchodziłem na początku mojej opowieści, mijam te same zbroje i pompatyczny obraz Napoleona. Zerkam za drzwi prywatnego gabinetu ministra i pytam jednego z ordynansów, kapitana Roberta Calmona-Maisona, czy to dogodny moment, bym mógł zamienić słowo z ministrem. Calmon-Maison ma dość rozumu, żeby nie pytać, o co chodzi, bo to ja jestem stróżem tajemnic jego pana. Idzie zapytać szefa, a po powrocie informuje mnie, że zostanę przyjęty natychmiast.

Jak szybko przywykamy do władzy! Zaledwie przed kilkoma miesiącami drżałbym ze strachu, znalazłszy się w ministerialnej świątyni; teraz to zwykłe miejsce pracy, a minister jest kolejnym wojskowym biurokratą przechodzącym przez drzwi obrotowe rządu. Obecnie gabinet ten zajmuje Jean-Baptiste Billot, mężczyzna dobiegający siedemdziesiątki; to jego druga kadencja, poprzednio piastował to stanowisko przed czternastu laty. Ożenił się z bogatą i wytworną kobietą, w sensie politycznym jest lewicowym radykałem, a jednak wygląda jak generał idiota z opery komicznej – potężny tors, najeżone białe wąsy i wyraz oburzenia w wytrzeszczonych oczach. Nic dziwnego, że rysownicy komiksów go uwielbiają. Wiem o nim coś ciekawego – nie znosi swojego poprzednika, generała Merciera, a niechęć ta datuje się od wielkich manewrów wojskowych z roku 1893, kiedy to ten młodszy dowódca oddziałów przeciwnika go pokonał; Billot nigdy mu nie wybaczył tego upokorzenia.

Gdy wchodzę, stoi przy oknie, zwrócony szerokimi plecami do pokoju. Nie odwracając się do mnie, mówi:

– Kiedy tak się przyglądałem, jak pan idzie przez trawnik, Picquart, pomyślałem: no proszę,

nasz błyskotliwy młody pułkownik znów przynosi mi jakiś kolejny problem! A potem zadałem sobie pytanie: czy w moim wieku naprawdę potrzebne mi takie zgryzoty? W taki dzień powinienem być w moim domku na wsi i bawić się z wnukami, a nie tracić czas na rozmowy z panem!

– Obaj wiemy, panie ministrze, że po pięciu minutach zanudziłby się pan na śmierć i marudził, że pod pańską nieobecność rujnujemy kraj.

Wzruszył potężnymi ramionami.

– Pewnie to prawda. Tym domem wariatów musi zarządzać ktoś zdrowy na umyśle. – Odwraca się na pięcie i człapie ku mnie po dywanie: przerażający widok dla kogoś, kto się z tym nie zetknął, niczym szarża słonia morskiego. – No więc o co znów chodzi? Bardzoś spięty, chłopcze. Siadaj. Napijesz się?

– Nie, dziękuję. – Zajmuję ten sam fotel, na którym siedziałem, opisując przebieg ceremonii degradacji Dreyfusa Mercierowi i Boisdeffre'owi. Billot siada naprzeciwko i wbija we mnie świdrujące spojrzenie. On tylko udaje starego ramola, tak naprawdę jest bystry i ambitny jak ktoś dwa razy młodszy. Otwieram akta Dobrodzieja.

– Obawiam się, że wykryliśmy niemieckiego szpiega działającego we francuskim wojsku…

– O Boże!

Po raz kolejny opisuję działalność Esterházyego, a także operację, jaką zorganizowaliśmy, by móc go inwigilować. Billotowi podaję więcej szczegółów, niż zdradziłem generałowi Boisdeffre'owi – przede wszystkim informuję go o misji w Bazylei, która właśnie jest w toku. Pokazuję mu *petit bleu* oraz zdjęcia z inwigilacji. Nie wspominam jednak o Dreyfusie – wiem, że gdybym to zrobił, ta sprawa przysłoniłaby wszystko inne.

Billot przerywa mi, wtrącając szereg trafnych pytań. Na ile cenny jest ten materiał? Dlaczego dowódca Esterházyego nie zauważył, że z podwładnym jest coś nie tak? Czy jesteśmy pewni, że działa sam? Wciąż wraca do zdjęcia, na którym widać, jak Esterházy wychodzi z ambasady z pustymi rękami. W końcu mówi:

– A nie powinniśmy użyć tego drania, żeby wyciąć jakiś lepszy numer? Nie pakować go po prostu do więzienia, tylko podsyłać za jego pośrednictwem do Berlina fałszywe informacje?

– Rozważałem już taką możliwość. Sęk w tym, że Niemcy również go podejrzewają, więc mało prawdopodobne, żeby, ot tak, połknęli wszystko,

co im podrzuci, zanim sami tego nie sprawdzą. No i oczywiście…

– I oczywiście, żeby zechciał z nami współpracować, musielibyśmy mu zapewnić nietykalność, a przecież miejsce takich jak Esterházy jest za kratkami – dopowiada za mnie Billot. – Nie, pułkowniku, dobrze pan zrobił. – Zamyka akta i mi je oddaje. – Prowadźcie dochodzenie dalej, aż będziemy go mogli przygwoździć raz a dobrze.

– Jest pan gotów doprowadzić sprawę do samego końca i oddać go pod sąd wojskowy?

– Bezwzględnie tak! A jaki mamy wybór? Pozwolić mu odejść wcześniej w stan spoczynku, z częściową emeryturą?

– Generał Boisdeffre wolałby uniknąć skandalu.

– W to nie wątpię. Mnie też nie uśmiecha się taka perspektywa. Jednak gdybyśmy pozwolili, żeby mu to uszło na sucho… To dopiero byłby skandal!

* * *

Wracam do swojego biura bardzo zadowolony. Dwaj najpotężniejsi ludzie w wojsku udzielili mi zgody na dalsze

prowadzenie śledztwa. W gruncie rzeczy wyeliminowałem Gonse'a z hierarchii służbowej. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak czekać na wieści z Bazylei.

Reszta dnia schodzi mi na rutynowych zajęciach. W upale z kanalizacji cuchnie jeszcze bardziej niż zwykle. Zupełnie nie mogę się skupić. O piątej po południu proszę kapitana Juncka, żeby na dziewiętnastą zamówił rozmowę telefoniczną z hotelem Schweizerhof. O ustalonej porze stoję przy aparacie w korytarzu na piętrze, paląc papierosa, a kiedy rozlega się dzwonek, chwytam słuchawkę z widełek. Znam Schweizerhof – wielki nowoczesny budynek przy placu, na którym krzyżują się tory tramwajowe. Podaję w recepcji nazwisko, pod którym ukrywa się Lauth, i proszę o połączenie. Zapada długa cisza, podczas gdy zastępca dyrektora hotelu odchodzi od telefonu. Po powrocie oznajmia, że gość o podanym nazwisku właśnie się wymeldował, nie zostawiając nowego adresu. Rozłączam się, zachodząc w głowę, jak mam to rozumieć. Niewykluczone, że będą kontynuować przesłuchanie następnego dnia i dla ostrożności zmienili hotel, ale równie dobrze mogli już skończyć rozmowy i pędzą na dworzec, by złapać nocny pociąg do Paryża. Jeszcze przez godzinę

siedzę w biurze, licząc na to, że dostanę telegram, aż w końcu postanawiam wracać do domu.

Przydałoby mi się jakieś towarzystwo, żeby się rozerwać, ale wygląda na to, że w sierpniu wszyscy wyjechali. Comminges'owie zamknęli dom na cztery spusty i ulotnili się do swojej letniej posiadłości. Pauline spędza wakacje z Philippe'em i córkami w Biarritz. Louis Leblois pojechał do domu w Alzacji, do ciężko chorego ojca. Dopadł mnie poważny przypadek tego, co dżentelmeni z rue de Lille nazywają *Weltschmerz* – zmęczenie życiem. W rezultacie idę sam na kolację do restauracji niedaleko ministerstwa, po czym wracam do domu z zamiarem poczytania najnowszej powieści Zoli. Jednak jej tematyka – Kościół rzymskokatolicki – mnie nudzi, a poza tym książka ma siedemset pięćdziesiąt stron. Taką rozwlekłość mogę tolerować u Tołstoja, ale nie u Zoli. Odkładam ją więc na długo przed końcem.

Następnego dnia jestem w biurze od wczesnego rana, ale w nocy nie przyszedł żaden telegram. Dopiero wczesnym popołudniem słyszę na schodach kroki Henry'ego i Lautha. Wstaję, przemierzam gabinet. Otworzywszy drzwi, dziwię się, widząc obu w mundurach.

– Jak widzę, rzeczywiście byli panowie w Szwajcarii – witam ich z sarkazmem.

Obaj salutują. Odnoszę wrażenie, że Lauth robi to ciut nerwowo, Henry zaś z nonszalancją graniczącą z bezczelnością.

– Przepraszam, pułkowniku – odpowiada. – Wpadliśmy do domu, żeby się przebrać.

– A jak wam się udał wyjazd?

– Powiedziałbym, że to czysta strata czasu i pieniędzy. Zgodzisz się ze mną, Lauth?

– Tak, niestety, rezultaty nas rozczarowały.

Przenoszę wzrok z jednego na drugiego.

– Cóż, nie spodziewałem się tak przygnębiających wieści. Wchodźcie, opowiecie mi, co tam się wydarzyło – mówię.

Siadam za biurkiem, zakładam ręce na piersi i słucham ich relacji. Mówi głównie Henry. Według niego, prosto z dworca poszli z Lauthem do hotelu na śniadanie, a potem do swojego pokoju, gdzie czekali do dziewiątej trzydzieści. O tej porze inspektor Vuillecard przyprowadził Cuersa.

– Od samego początku nie budził zaufania… był nerwowy, nie potrafił usiedzieć na miejscu. Co chwila podchodził do okna i wyglądał na ten wielki plac przed dworcem. Chciał rozmawiać

głównie o sobie… czy zagwarantujemy mu, że Niemcy nigdy się nie dowiedzą, co dla nas zrobił.

– A co miał wam do powiedzenia o tym niemieckim agencie?

– Same ochłapy. Twierdzi, że na własne oczy widział cztery dokumenty, które przyszły za pośrednictwem Schwartzkoppena… jeden w sprawie armaty, a drugi karabinu. Poza tym gadał coś o rozkładzie obozu wojskowego w Toul i o fortyfikacjach w Nancy.

– Co to były za dokumenty? – dopytuję się. – Napisane ręcznie?

– Tak.

– Po francusku?

– Właśnie.

– Ale nie podał nazwiska tego agenta ani niczego, co mogłoby zdradzić jego tożsamość?

– Nie, tylko tyle, że niemiecki sztab generalny uznał, że dłużej nie wolno mu ufać, i kazał Schwartzkoppenowi zerwać z nim wszelkie kontakty. To nie jest nikt ważny, a zresztą już nie działa.

– Rozmawialiście po francusku czy po niemiecku? – zwracam się do Lautha.

Ten oblewa się rumieńcem.

– Na początek, rano, po francusku, a po południu przeszliśmy na niemiecki.

– Kazałem wam rozmawiać z Cuersem po niemiecku, żeby go ośmielić.

– Z całym szacunkiem, pułkowniku – wtrąca się Henry – Jaki sens miałaby moja obecność, gdybym nie mógł z nim porozmawiać osobiście? Biorę na siebie całą odpowiedzialność. Maglowałem go ze trzy godziny, a potem przekazałem pałeczkę kapitanowi Lauthowi.

– A jak długo rozmawiał pan z nim po niemiecku, Lauth? – dociekam.

– Przez następne sześć godzin, panie pułkowniku.

– I powiedział panu coś ciekawego?

Lauth patrzy mi prosto w oczy.

– Nie. Ciągle wałkowaliśmy jedno i to samo. O szóstej wyszedł, żeby złapać pociąg powrotny do Berlina.

– Wyszedł o szóstej? – Nie potrafię dłużej ukrywać irytacji. – Widzicie, panowie, dla mnie to jest całkiem bez sensu. Dlaczego ktoś miałby ryzykować siedmiusetkilometrową podróż do miasta za granicą, na spotkanie z oficerami wywiadu obcego mocarstwa? Żeby prawie nic im nie powiedzieć? A właściwie powiedzieć mniej, niż zdradził nam już w Berlinie?

– To przecież oczywiste, czyż nie? – odpowiada mi Henry. – Widocznie zmienił

zdanie. Albo wcześniej kłamał. To, co gość bajdurzy po pijaku w nocy do kogoś, kogo zna, a to, co mógłby powiedzieć w biały dzień obcym, to dwie różne rzeczy.

– Więc dlaczego nie wzięliście go do knajpy i nie spiliście? – Walę pięścią w blat biurka. – Dlaczego nie zrobiliście nic, żeby go lepiej poznać? – Żaden z nich nie odpowiada. Lauth wbija wzrok w podłogę, Henry gapi się przed siebie. – Odnoszę wrażenie, że nie mogliście się doczekać, kiedy w końcu wsiądziecie do pociągu do Paryża. – Obaj zaczynają protestować, ale ucinam: – Zachowajcie swoje wymówki na potrzeby raportu. To wszystko, panowie. Dziękuję. Możecie odejść.

Henry zatrzymuje się w progu i drżącym głosem, w duchu urażonej godności, oświadcza:

– Jak dotąd jeszcze nikt nie podważał moich zawodowych kompetencji.

– Bardzo mnie to dziwi – odpalam.

Po ich wyjściu pochylam się, chowam twarz w dłoniach. Zdaję sobie sprawę, że nadszedł krytyczny moment zarówno w moich relacjach z Henrym, jak i w kwestii dowodzenia sekcją. Czy oni mówili prawdę? Z tego, co wiem, nie jest to wykluczone. Może znalazłszy się w ich pokoju hotelowym, Cuers rzeczywiście się zamknął

w sobie? Ale co do jednego nie mam najmniejszych wątpliwości – że Henry pojechał do Szwajcarii wyłącznie po to, by za wszelką cenę sabotować to spotkanie, co mu się zresztą udało, bo skoro Cuers nic im nie powiedział, to tylko dlatego, że tak chciał Henry.

* * *

Wśród akt, którymi powinienem się zająć tego dnia, znajduje się ostatni pakiet ocenzurowanej korespondencji Alfreda Dreyfusa, przysłany, jak zwykle, przez Ministerstwo Kolonii. Minister chciałby wiedzieć, czy mam jakieś uwagi „z punktu widzenia wywiadu". Rozwiązuję wstążkę, otwieram teczkę i czytam:

Ponury dzień, bez przerwy pada. Ciemność jest niemal namacalna. Niebo jest czarne jak atrament. Stosowny dzień na śmierć i pogrzeb. Jakże często przychodzi mi do głowy okrzyk Schopenhauera na myśl o ludzkiej niegodziwości: „Jeżeli Bóg stworzył świat, to ja nie chciałbym być Bogiem". Zdaje się, że dostarczono pocztę z Cayenne, ale do mnie nie przyszły żadne listy! Nic do czytania, brak drogi ucieczki od

własnych myśli. Już mi nie dostarczają książek ani czasopism. Za dnia chodzę aż do wyczerpania sił, by wyciszyć mózg i uspokoić nerwy…

Moją uwagę przyciągnął cytat z Schopenhauera. Znam go, sam często się nim posługiwałem. Dotychczas nie przyszło mi do głowy, że Dreyfus mógł czytać filozofów, a co dopiero hołubić tak bluźnierczą myśl. Schopenhauer! Odnoszę wrażenie, że komuś, kto od dawna starał się przyciągnąć moją uwagę, w końcu się udało. Mój wzrok przykuwają inne fragmenty, na przykład ten:

Dni niczym nie różnią się od nocy. W ogóle się nie odzywam. O nic już nie pytam. Kiedyś moje rozmowy ograniczały się wyłącznie do pytania o to, czy przyszła do mnie poczta. Teraz nie wolno mi pytać nawet o to, a zresztą strażnicy mają zakaz odpowiadania nawet na tak zwyczajne pytania, co w sumie na jedno wychodzi. Chciałbym dożyć dnia, kiedy prawda wyjdzie na jaw, by móc wykrzyczeć na cały świat swój ból z powodu cierpień, jakie mi zadali…

Albo ten:

Rozumiem, że stosują wszelkie środki ostrożności, żeby mi uniemożliwić ucieczkę – to prawo, a nawet święty obowiązek państwa. Ale pochowanie mnie żywcem w grobowcu, odcięcie od jakiegokolwiek kontaktu z rodziną, nawet za pośrednictwem cenzurowanych listów… To nie ma nic wspólnego z prawem. Łatwo można uwierzyć, że cofnęliśmy się w czasie o kilka stuleci…

Na odwrocie jednego z przechwyconych i zatrzymanych listów widnieje cytat z *Otella* Szekspira, zapisany kilkakrotnie, jakby skazaniec chciał utrwalić go sobie w pamięci:

Kto mi kradnie worek,
Kradnie drań marną, coś i nic; rzecz, która
W tysiącznych była rękach wprzód niż
w moich;
Ale kto dobre imię mi wydziera,
Grabi mi dobro, z którego sam nie ma
Korzyści, mnie zaś przyprawia o nędzę[4].

W miarę jak przewracam kartki, coraz bardziej czuję się, jakbym czytał powieść Dostojewskiego. Ściany mojego gabinetu zanikają, słyszę nieustający grzmot i ryk morskich fal uderzających o skały pod więzienną chatą, dziwne krzyki ptaków, głęboką ciszę tropikalnej nocy przerywaną niekończącym się tupotem buciorów strażników o kamienną posadzkę oraz szelestem złośliwych krabów tęczowych łażących po krokwiach; czuję straszliwy skwar i wilgotność powietrza, a także paskudne swędzenie po ugryzieniach komarów i mrówek; zwijam się wpół od skurczów żołądka, głowa mi pęka od nieznośnych migren; czuję stęchliznę jego zapleśniałych ubrań oraz książek zniszczonych przez wilgoć i owady, smród latryny, a także gryzący w oczy blady dym z ogniska do gotowania, skleconego z mokrego zielonego drewna; ale przede wszystkim przejmuje mnie jego samotność. Diabelska Wyspa ma tysiąc dwieście metrów długości i czterysta w najszerszym miejscu; jej powierzchnia wynosi zaledwie jedną szóstą kilometra kwadratowego. Wykonanie jej mapy nie wymaga wiele czasu. Ciekaw jestem, czy zapamiętał coś z tego, czego go nauczyłem.

Przeczytawszy akta, sięgam po pióro i piszę notatkę do ministra kolonii, informując go, że nie mam żadnych uwag.

Kładę pismo na tacy z korespondencją wychodzącą. A potem zapadam się w fotelu i dumam o Dreyfusie.

* * *

Mając trzydzieści pięć lat, zostałem wykładowcą topografii w paryskiej École Supérieure de Guerre. Część znajomych uważała, że postradałem rozum, obejmując to stanowisko – byłem już wtedy dowódcą batalionu w Besançon – ja jednak zwietrzyłem w tym swoją szansę. W końcu Paryż to Paryż, topografia zaś należy do najważniejszych nauk sztuki wojennej. „Czy bateria w punkcie A może ostrzelać N?” „Czy przykościelny cmentarz w wiosce Z znajdzie się w zasięgu ognia baterii ustawionej w punkcie G?” „Czy można rozlokować czujkę na polach na wschód od N, tak żeby nie była widoczna przez konnicę wroga z G?” Tłumaczyłem swoim uczniom, jak odmierzać odległość, licząc kroki (im szybsze, tym bardziej dokładne); jak dokonywać pomiarów terenu za pomocą stolika mierniczego oraz busoli pryzmatycznej; jak

narysować czerwonym ołówkiem kontury wzgórza, korzystając z inklinometru Watkinsa i barometru rtęciowego *monsieur* Fortina; jak ożywić szkic, dodając zielonej lub niebieskiej kredy, zdrapanej z ołówka, tak by przypominał akwarelę; jak używać sekstantu kieszonkowego, teodolitu i kątomierza; jak dokładnie ocenić siły wroga, będąc na koniu pod ostrzałem. Jednym z uczniów, którym wpajałem te umiejętności, był Dreyfus.

Mimo że usilnie się staram, nie potrafię sobie przypomnieć naszego pierwszego spotkania. Co tydzień spoglądałem z mównicy na osiemdziesiąt wciąż tych samych osób i stopniowo uczyłem się rozpoznawać jego oblicze w natłoku innych – szczupłą, bladą, poważną twarz krótkowidza z pince-nez. Miał zaledwie trzydzieści lat, lecz z zachowania i wyglądu wydawał się znacznie starszy od swoich rówieśników. Był żonaty pośród kawalerów, majętny pośród wiecznie spłukanych. Wieczorami, kiedy jego towarzysze wychodzili się upić, on wracał do siebie, do eleganckiego mieszkania i bogatej żony. Był, jak by to określiła moja matka, „typowym Żydem”, przez co rozumiała pojęcia takie jak „nowe pieniądze”, tupet, awans społeczny oraz ostentacyjne obnoszenie się z bogactwem.

Dreyfus dwukrotnie próbował zaprosić mnie na imprezy towarzyskie – najpierw na kolację w swoim mieszkaniu przy avenue du Trocadéro, a potem na coś, co nazwał „pierwszoklaśnym polowaniem” w posiadłości, którą wynajął niedaleko Fontainebleau; w obu wypadkach odmówiłem. Nie przepadałem za nim, zwłaszcza odkąd się dowiedziałem, że reszta jego rodziny postanowiła pozostać w okupowanej Alzacji i że jego pieniądze pochodzą z Niemiec; moim zdaniem były to pieniądze splamione krwią. Gdy na koniec pewnego semestru nie postawiłem mu najwyższej oceny z kartografii, choć w swoim mniemaniu na nią zasługiwał, postawił mi się.

– Czy ja pana czymś obraziłem? – Głos, w którym zgrzytał ślad niemieckiego akcentu z Miluzy, był jego najmniej atrakcyjną cechą: nosowy, monotonny.

– Bynajmniej – odparłem. – Jeśli pan sobie życzy, pokażę panu skalę ocen.

– Sęk w tym, że pan jako jedyny postawił mi niską ocenę.

– No cóż, być może nie podzielam pańskiego wysokiego zdania o pana zdolnościach.

– A zatem to nie dlatego, że jestem Żydem?

Obcesowość, z jaką mi to zarzucił, zbiła mnie z tropu.

– Pilnuję się, żeby osobiste uprzedzenia nie wpływały na mój osąd – oświadczyłem.

– Skoro pan się „pilnuje”, to jednak mógł to być powód. – Był twardszy, niż na to wyglądał. Nie kładł uszu po sobie.

– Jeśli pan pyta, kapitanie, czy jakoś szczególnie lubię Żydów, to szczera odpowiedź pewnie brzmiałaby „nie” – zareplikowałem zimno. – Jeśli jednak sugeruje pan, że z tego powodu mógłbym pana dyskryminować w kwestiach zawodowych, to zapewniam… nigdy w życiu!

Na tym rozmowa się zakończyła. Później już nie zwracał się do mnie w sprawach prywatnych, skończyły się zaproszenia na kolacje czy polowania, pierwszoklaśne czy jakie bądź.

Na zakończenie trzyletniego okresu nauczania moje ryzyko się opłaciło i przeniesiono mnie z École do sztabu generalnego. Już wtedy mówiło się o wysłaniu mnie do sekcji statystycznej – w wywiadzie znajomość topografii jest w cenie. Ja jednak zawzięcie broniłem się przed zostaniem szpiegiem. Wobec tego mianowano mnie zastępcą szefa Wydziału Trzeciego (szkolenie i działalność operacyjna). I tutaj znów natknąłem się na Dreyfusa.

Ci, którzy kończą École Supérieure z najwyższymi ocenami, w nagrodę dostają dwuletni przydział do sztabu generalnego i spędzają po sześć miesięcy w każdym z czterech wydziałów. W ramach mojej pracy miałem nadzorować rozlokowanie tych *stagiaires*, jak ich nazywano. Dreyfus ukończył uczelnię z dziewiątą lokatą na swoim roku. Miał więc pełne prawo służyć w Ministerstwie Wojny. Mnie zaś przypadło wyznaczenie mu odpowiedniego miejsca. Byłby jedynym Żydem w sztabie generalnym.

W tym okresie w łonie wojska narastał antysemityzm, podsycany przez obrzydliwy szmatławiec „La Libre Parole”, który insynuował, jakoby żydowscy oficerowie byli traktowani na ulgowych warunkach. Pomimo całego braku sympatii do Dreyfusa, w pewnym stopniu starałem się go bronić przed najgorszą falą tego zjawiska. Miałem przyjaciela z dawnych czasów, Armanda Merciera-Milona, majora z Wydziału Czwartego (relokacja i koleje), który był całkowicie wyzbyty wszelkich uprzedzeń. Uciąłem sobie z nim pogawędkę i w rezultacie z początkiem 1893 roku Dreyfus najpierw trafił do Czwórki. W lecie przeszedł do Pierwszego (administracja), a potem, na początku 1894 roku,

do Dwójki (wywiad); na koniec w lipcu trafił do mojego wydziału, Trójki, gdzie zakończył swoją służbę w sztabie generalnym.

Latem i jesienią 1894 roku prawie nie widywałem Dreyfusa – często wyjeżdżał z Paryża – ale jeśli mijaliśmy się w korytarzu, pozdrawialiśmy się uprzejmym skinieniem głowy. Z raportów szefów jego sekcji wiedziałem, że uważali go za inteligentnego pracusia, ale też niesympatycznego samotnika. Niektórzy powiadali także, że wobec równych stopniem jest zimny i arogancki, a wobec przełożonych – służalczy. W trakcie wizyty sztabu generalnego w Charmes podczas kolacji zawłaszczył generała Boisdeffre'a i wziął go na stronę, by – ku irytacji obecnych tam starszych rangą oficerów – przez godzinę palić cygara i rozprawiać o ulepszeniach w artylerii. Poza tym nie próbował się kryć ze swoim bogactwem. W mieszkaniu kazał sobie zbudować piwniczkę na wina, miał kilku służących, w stajniach trzymał własne konie, kolekcjonował obrazy i książki, regularnie polował, a w firmie Guinard & Cie przy avenue de l'Opéra kupił dubeltówkę bezkurkową, na którą wydał pięćset pięćdziesiąt franków – równowartość swoich dwumiesięcznych poborów w wojsku.

W jego odmowie odgrywania roli wdzięcznego outsidera było coś niemal heroicznego. Z perspektywy czasu widać jednak, że takie zachowanie było głupie, zwłaszcza w panującym wówczas niesprzyjającym klimacie.

Typowy Żyd…

* * *

W sierpniowym upale Operacja Dobrodziej traci rozmach. Nie ma już nowych doniesień o wizytach Esterházyego na rue de Lille. Wygląda na to, że Schwartzkoppen jest na urlopie. Mieszkanie Niemców zostało zamknięte na lato. Piszę do Boisdeffre'a do jego posiadłości w Normandii z prośbą o zgodę na uzyskanie próbki pisma Esterházyego, bo a nuż pasuje do jakiegoś strzępu dowodów, które zdobywa agentka Auguste. Moja prośba zostaje odrzucona z uzasadnieniem, że to by była „prowokacja". Jeżeli Esterházy ma być wydalony z wojska, Boisdeffre z uporem powtarza, że chce, by to załatwić po cichu, bez wywoływania skandalu. Zgłaszam ten problem ministrowi wojny. Współczuje mi, ale w tej kwestii odmawia uchylenia decyzji szefa sztabu generalnego.

Tymczasem w sekcji statystycznej panuje atmosfera równie obrzydliwa, jak wyziewy z kanalizacji. Kilkakrotnie, wychodząc z gabinetu, słyszę odgłos wielu zamykanych drzwi w korytarzu. Znowu zaczyna się szeptanie za plecami. Piętnastego w poczekalni odbywa się niewielkie przyjęcie z okazji pożegnania Bachira, który jako konsjerż przechodzi na emeryturę, a zarazem powitania jego następcy, Capiaux. Wygłaszam krótkie podziękowanie: „Ten budynek już nigdy nie będzie taki sam bez naszego starego towarzysza, Bachira", co Henry kwituje uwagą rzuconą do swojego kieliszka, ale na tyle głośno, żeby wszyscy go usłyszeli: „Tak? To dlaczegoś pan się go pozbył?". Później inni wybierają się pić dalej do Taverne Royale – ulubionego pobliskiego baru. Nie zapraszają mnie, żebym poszedł z nimi. Siedząc samotnie przy biurku z butelką koniaku, przypominam sobie słowa Henry'ego po powrocie z Bazylei: „To nie jest nikt ważny, a zresztą już nie działa". Czyżbym wzbudził taką jego niechęć, ścigając agenta, który co najwyżej był cwaniakiem i fantastą?

Dwudziestego Henry wyjeżdża na miesięczny urlop do rodzinnego domu nad Marną. Zwykle przed wyjazdem zaglądał do mnie, by się

pożegnać. Tym razem jednak znika bez słowa. Pod jego nieobecność cały gmach popada w jeszcze większe sierpniowe odrętwienie.

Aż nagle, dwudziestego siódmego, w czwartek po południu, dostaję wiadomość od ordynansa Billota, kapitana Calmona-Maisona, który prosi mnie o jak najszybsze spotkanie. Uporałem się już z korespondencją przychodzącą, więc uznaję, że mogę się do niego przejść od razu – przez ogród i schodami do pomieszczenia sekretariatu ministra. Okna są otwarte. Pokój jest przewiewny i widny. Kilku młodych oficerów pracuje tu w miłej atmosferze. Czuję ukłucie zazdrości – o ileż przyjemniej jest tutaj niż w moim zawilgoconym, pełnym uraz labiryncie!

– Mam tu coś, co zdaniem generała Billota powinien pan zobaczyć – mówi Calmon-Maison. Podchodzi do szafki i wyjmuje list. – Przyszedł wczoraj. Od majora Esterházyego.

Odręczny list, zaadresowany do kapitana Calmona-Maisona, napisany przed dwoma dniami w Paryżu. Zawiera prośbę o przeniesienie do sztabu generalnego. Wynikające z tego konsekwencje uderzają mnie jak realny cios.

On się próbuje dostać do ministerstwa! Chce zdobyć dostęp do tajnych materiałów, które mógłby sprzedać…

– Podobną prośbę otrzymał także mój kolega, kapitan Thévenet – mówi Calmon-Maison.

– Mogę ją zobaczyć?

Podaje mi drugi list, sformułowany niemal identycznie jak poprzedni: *Zwracam się z prośbą o natychmiastowe przeniesienie z kwatery głównej Siedemdziesiątego Czwartego Pułku Piechoty w Rouen* (…). *Uważam, że wykazałem się kwalifikacjami niezbędnymi do pracy w sztabie generalnym* (…). *Służyłem w Legii Cudzoziemskiej oraz w wywiadzie jako tłumacz języka niemieckiego* (…). *Będę wdzięczny, jeśli zechce Pan przedłożyć niniejszą prośbę stosownym władzom* (…).

– Odpowiedział mu pan?

– Wysłaliśmy mu na odczepnego list o treści: „minister rozważa pańską prośbę”.

– Czy mogę pożyczyć te dwa listy?

Na co Calmon-Maison odpowiada w taki sposób, jakby recytował prawniczą formułkę:

– Minister kazał mi przekazać, że nie widzi przeszkód, by wykorzystał pan te listy w swoim dochodzeniu.

* * *

Po powrocie do gabinetu siadam przy biurku i kładę listy przed sobą. Pismo jest schludne, regularne, starannie rozplanowane. Jestem niemal pewny, że już je gdzieś widziałem. W pierwszej chwili myślę, że to dlatego, że przypomina charakter pisma Dreyfusa, nad którego korespondencją ostatnio ślęczałem godzinami.

I nagle przypominam sobie *bordereau* – list przewodni znaleziony w koszu na śmieci Schwartzkoppena, który posłużył do skazania Dreyfusa za zdradę stanu.

Jeszcze raz przyglądam się listom.

Nie, to niemożliwe…

Wstaję z fotela jak lunatyk i przechodzę kilka kroków po dywanie do sejfu. Gdy wkładam klucz do zamka, moja dłoń lekko drży. Zawierająca *bordereau* koperta wciąż leży tam, gdzie ją zostawił Sandherr – od miesięcy nie mogłem się zebrać, żeby ją zanieść na górę Gribelinowi, by zamknął ją w swoim archiwum.

Faksymile *bordereau* to wąska kolumna trzydziestu wierszy odręcznego pisma – bez daty, adresu ani podpisu:

Przesyłam Panu kilka ciekawych informacji…

1. *Notatkę o hamulcu hydraulicznym do stodwudziestek wraz z opisem, jak się ta część sprawowała.*
2. *Notatkę o osłonie wojsk (nowy plan wprowadza kilka modyfikacji).*
3. *Notatkę o zmianie formacji artyleryjskich.*
4. *Notatkę w sprawie Madagaskaru.*
5. *Projekt podręcznika strzelania artylerii polowej (14 marca 1894 r.).*

Ostatni akapit wyjaśnia, że Ministerstwo Wojny nie zezwala oficerom na indywidualne przetrzymywanie podręcznika strzelania artylerii polowej, *jeśli więc chce Pan spisać sobie to, co Pana interesuje, a następnie mi go zwrócić, to go wypożyczę. Ewentualnie mogę przepisać całość słowo w słowo i wysłać Panu przepisany tekst. Na razie wyjeżdżam na manewry*.

Najważniejszy paryski grafolog ręczył, że ten tekst wyszedł spod ręki Dreyfusa. Przechodzę z fotografią do biurka i kładę ją między dwoma listami od Esterházyego. Nachylam się, by lepiej widzieć.

Charakter pisma jest identyczny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez kilka minut siedzę bez ruchu, trzymając zdjęcie. Równie dobrze mógłbym być marmurową rzeźbą Rodina *Czytelnik*. Jeszcze bardziej niż taki sam charakter pisma zmroziła mnie treść – to obsesyjne zainteresowanie artylerią, propozycja przepisania podręcznika słowo w słowo, ten służalczy ton handlarza… Esterházy w całej krasie. Przez krótką chwilę, tak jak wtedy, gdy nadszedł *petit bleu*, korci mnie, żeby wmaszerować do gabinetu ministra i cisnąć mu wszystkie dowody pod nos. Ale po raz kolejny zdaję sobie sprawę, że byłaby to czysta głupota. Teraz moje cztery złote zasady nabierają szczególnej wagi: rób wszystko po kolei; podchodź do sprawy beznamiętnie; unikaj wyciągania pochopnych wniosków; nikomu nie ufaj, dopóki nie zdobędziesz niezbitych dowodów.

Biorę dwa listy, wygładzam kurtkę munduru i przechodzę korytarzem do gabinetu Lautha. Przez chwilę waham się, lecz szybko pukam do drzwi i wchodzę, nie czekając na odpowiedź.

Kapitan dragonów spoczywa rozparty na krześle, z wyciągniętymi długimi nogami i zamkniętymi oczami. Podczas spoczynku ta jasnowłosa głowa ma w sobie coś niemal anielskiego. Niewątpliwie kapitan cieszy się powodzeniem u kobiet, chociaż zdaje się, że ma młodą żonę; zastanawiam się, czy romansuje na boku. Chcę wyjść, gdy nagle Lauth otwiera niebieskie oczy. Na mój widok błyska w nich coś więcej niż tylko zaskoczenie – zdradzają przestrach.

– Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać – odzywam się. – Wrócę, jak już będzie pan gotów do pracy.

– Nie, nie. – Zażenowany Lauth gramoli się na nogi. – Pan wybaczy, pułkowniku, ale przez cały dzień tkwię w czterech ścianach w tym piekielnym upale…

– Lauth, mój drogi, niech pan się nie przejmuje. Doskonale wiem, jak pan się czuje. Spędzanie dnia za dniem w biurze to nie jest życie dla żołnierza. Proszę siadać, nalegam. Pozwoli pan, że się przysiądę? – I nie czekając na odpowiedź, przysuwam sobie krzesło z drugiej strony biurka. – Tak się zastanawiam, czy mógłby pan coś dla mnie zrobić. – Podsuwam mu po blacie dwa listy. – Chcę mieć zdjęcia obu tych

dokumentów, ale z wykasowanym podpisem, nazwiskiem i adresem.

Lauth uważnie ogląda listy, po czym zerka na mnie, wstrząśnięty.

– Esterházy! – woła.

– Tak. Wygląda na to, że nasz drugorzędny szpieg ma ambicję, żeby wejść do pierwszej ligi – mówię i nie mogę się powstrzymać, by nie dodać: – Całe szczęście, że mieliśmy na niego oko, inaczej Bóg jeden wie, jakich szkód mógłby narobić.

– To prawda. – Lauth przytakuje mi niechętnie, niespokojnie wiercąc się na krześle. – A po co panu zdjęcia tych listów, pułkowniku, jeśli wolno mi spytać?

– Niech je pan po prostu sfotografuje, kapitanie, jeśli łaska. – Wstaję i uśmiecham się do niego. – Powiedzmy po cztery odbitki każdego listu na jutro z samego rana? I chociaż raz niech to pozostanie wyłącznie między nami.

* * *

Na piętrze Gribelin właśnie wrócił z wakacji – choć patrząc na niego, nikt by się tego nie domyślił. Twarz ma bladą, oczy za zieloną osłoną z celuloidu są podkrążone ze zmęczenia. Jego

jedynym ustępstwem na rzecz letniego upału jest zdjęcie marynarki i podwinięcie rękawów za kościste łokcie, przez co odsłania przedramiona, które wyglądają jak chude białe bulwy. Gdy wchodzę, jest pochylony nad jakąś teczką, którą czym prędzej zamyka. Ściąga osłonę na oczy.

– Nie słyszałem, jak pan wchodził po schodach, pułkowniku.

Podaję mu zdjęcie *bordereau*.

– Sądzę, że to powinno trafić w pańskie ręce – mówię.

Gribelin mruga ze zdziwieniem.

– Gdzie pan to znalazł?

– W sejfie pułkownika Sandherra.

– A tak, no cóż, był z niej bardzo dumny. – Gribelin podnosi fotografię i podziwia ją na odległość wyciągniętej ręki. Oblizuje górną wargę, jakby oglądał zdjęcie pornograficzne. – Powiedział mi, że gdyby przepisy na to pozwalały, oprawiłby ją w ramki i zawiesił u siebie na ścianie.

– Jako trofeum myśliwskie?

– Otóż to.

Gribelin otwiera kluczem dolną lewą szufladę biurka i wyciąga z niej olbrzymi pęk kluczy. Przechodzi z *bordereau* do masywnej ogniotrwałej szafki na akta po drugiej stronie

pokoju, otwiera ją. Ja tymczasem się rozglądam. W zasadzie nigdy się tu nie zapuszczam. Środek pomieszczenia zajmują dwa wielkie, zestawione ze sobą stoły. Na krytym podrapaną brązową skórą blacie jest sześć stosów teczek z aktami, podkładka, silna lampa elektryczna, stojak z gumowymi pieczątkami, mosiężny kałamarz, dziurkacz oraz szereg równiutko ułożonych ołówków. Pod ścianami stoją zamknięte na klucze szafy i sejfy, w których znajdują się tajemnice sekcji. Jest także mapa Francji z zaznaczonymi *départements*. Trzy okna są wąskie, zakratowane i zakurzone, a parapety pokryte skorupą ptasiego łajna – aż tutaj słychać gruchanie gołębi na dachu.

– A swoją drogą, czy ma pan tu oryginał tego *bordereau*? – pytam obojętnym tonem.

– Mam – odpowiada Gribelin, nie odwracając się.

– Chciałbym go zobaczyć.

Zerka na mnie przez ramię.

– Po co?

Wzruszam ramionami.

– Z ciekawości.

Nic nie może na to poradzić. Kolejnym kluczem otwiera następną szufladę w szafie, wyjmuje jedną z wszechobecnych tu szarych

kopert, a z niej z należnym szacunkiem wyciąga *bordereau*. Zupełnie nie tak wyobrażałem sobie ten dokument. Prawie nic nie waży. Cienki papier przebitkowy, zwany pelurem, jest półprzezroczysty, a ponieważ zapisano go z obu stron, atrament z jednej strony prześwituje z drugiej i na odwrót. Jego najmocniejszą częścią jest taśma klejąca, za pomocą której złączono sześć podartych strzępków.

– Patrząc na fotografię, nie sposób się domyślić, że tak to wygląda – zauważam.

– Tak, musieliśmy się nieźle napracować. – Pod wpływem zawodowej dumy uszczypliwy zazwyczaj ton Gribelina łagodnieje. – Trzeba było zrobić fotografie obu stron, potem je wyretuszować, a następnie skleić i na koniec jeszcze raz sfotografować całość. Rezultat wygląda na nietkniętą zapisaną kartkę.

– Ile odbitek zrobiliście?

– Dwanaście. Musieliśmy zatuszować pierwotny stan listu, żeby móc go pokazywać w ministerstwie.

– Tak, oczywiście. Pamiętam. – Obracam *bordereau* w rękach, po raz kolejny podziwiając zdolności Lautha. – Pamiętam to bardzo dobrze.

Pogłoski o tym, jakoby w ministerstwie mógł działać szpieg, zaczęły krążyć w pierwszym

tygodniu października 1894 roku. Wszystkim czterem szefom sekcji nakazano sprawdzić charakter pisma każdego zatrudnionego u nich oficera i porównać z tym na fotografii. Zobowiązano ich do dochowania tajemnicy, mogli poinformować o tym jedynie swoich zastępców. Pułkownik Boucher zlecił to zadanie mnie.

Mimo ograniczonego kręgu wtajemniczonych wiadomość nieuchronnie musiała wyciec i wkrótce miazmaty niepokoju zatruły atmosferę na rue Saint-Dominique. Problem tkwił w pięciopunktowej liście, którą ujawniał dokument, i w rezultacie wszyscy goniliśmy w piętkę. „Notatka o hamulcu hydraulicznym do stodwudziestek” oraz „Projekt podręcznika strzelania artylerii polowej” sugerowały, że szpieg pewnie służy w artylerii. Ale wspomniany w punkcie drugim „nowy plan” był określeniem, jakiego w Wydziale Trzecim używaliśmy na zrewidowany plan mobilizacji. Rzecz jasna, „nowy plan” badali również eksperci od rozkładów jazdy kolei z Czwórki, niewykluczone więc, że szpieg pracował u nich. Z drugiej strony „Notatka o zmianie formacji artyleryjskich” prawie na pewno pochodziła z Jedynki.

Natomiast plan zajęcia Madagaskaru to coś, nad czym pracowali oficerowie wywiadu Dwójki.

Wszyscy podejrzewali wszystkich. Wygrzebywano na światło dzienne i brano pod lupę stare incydenty, pradawne plotki i zatargi. Praca ministerstwa została sparaliżowana podejrzeniami. Sprawdziłem charakter pisma każdego z naszej listy, nawet Bouchera i swój własny. Nie znalazłem żadnych zbieżności.

Aż w końcu ktoś – konkretnie pułkownik d'Aboville, zastępca szefa Czwórki – miał przebłysk natchnienia. Skoro zdrajca czerpie aktualną wiedzę z czterech wydziałów, to chyba rozsądnie można założyć, że niedawno pracował w każdym z nich? I chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, to jednak w sztabie generalnym rzeczywiście służyła grupa oficerów, o których można było to powiedzieć – *stagiaires* z École Supérieure de Guerre, stosunkowo obcy tym, którzy służyli tu od dawna. I nagle wszystko okazało się jasne jak słońce – zdrajca to *stagiaire* mający za sobą służbę w artylerii.

Do tego opisu pasowało ośmiu kapitanów artylerii przyjętych w ramach programu stażystów, lecz tylko jeden z nich był Żydem… w dodatku Żydem, który mówił po francusku z niemieckim akcentem, miał rodzinę

mieszkającą w Rzeszy kajzera i na prawo i lewo szastał pieniędzmi.

– Jestem pewien, że pamięta pan tamten *bordereau*, pułkowniku – mówi Gribelin, obserwując mnie uważnie. Na jego twarzy pojawia się rzadki uśmiech. – Tak samo jak ja pamiętam, że to pan dostarczył nam pasującą do niego próbkę pisma Dreyfusa.

* * *

To pułkownik Boucher przekazał mi prośbę sekcji statystycznej. Zwykle hałaśliwy i wesoło rumiany, tym razem był poważny, wręcz ponury. Działo się to w sobotę rano, dwa dni po rozpoczęciu polowania na zdrajcę. Pułkownik zamknął za sobą drzwi i oświadczył:

– Wygląda na to, że jesteśmy już bardzo blisko tego łotra.

– Naprawdę? Szybko poszło.

– Generał Gonse chce zobaczyć próbkę pisma kapitana Dreyfusa.

– Dreyfusa? – powtórzyłem zaskoczony.

Boucher wyjaśnił mi teorię d'Aboville'a.

– I tym sposobem uznali, że zdrajcą musi być jeden z waszych *stagiaires* – podsumował.

– Moich *stagiaires*? – Zabrzmiało to dosyć złowrogo.

Poprzedniego dnia przejrzałem akta Dreyfusa i wyeliminowałem go z grona ewentualnych podejrzanych. Teraz znów je wyciągnąłem i porównałem charakter pisma na dwóch jego listach z *bordereau*. Po bliższych oględzinach, kiedy przyjrzałem im się uważniej, dostrzegłem, że być może istnieją pewne podobieństwa – tak samo drobne pismo, to samo pochylenie liter w prawo, podobne odstępy między słowami oraz wierszami… Ogarnęło mnie straszliwe wrażenie, że nabieram pewności.

– Sam nie wiem, pułkowniku – powiedziałem. – Co pan o tym sądzi? – I pokazałem listy Boucherowi.

– No cóż, ja też nie jestem ekspertem, ale na mój gust wyglądają bardzo podobnie. Lepiej niech pan je przyniesie.

Dziesięć minut później Dreyfus nie był dla mnie bardziej podejrzany niż ktokolwiek inny. A jednak siła sugestii to podstępna bestia. Gdy razem z pułkownikiem szliśmy korytarzami ministerstwa, moją wyobraźnią zawładnęły myśli związane z Dreyfusem – o tym, że jego rodzina wciąż mieszka w Niemczech, o jego naturze samotnika, sprycie i arogancji, o ambicji

dostania się do sztabu generalnego oraz o jego starannym pielęgnowaniu znajomości z wyższymi rangą oficerami… Obrazy te wciągnęły mnie tak dalece, że zanim dotarliśmy do gabinetu generała Gonse’a, niemal przekonałem samego siebie: Oczywiście, że nas zdradził, bo nas nienawidzi; nienawidzi nas od zawsze, bo nie jest jednym z nas i wie, że pomimo swoich pieniędzy nigdy nim nie będzie; bo jest tylko…

Typowym Żydem!

Oprócz Gonse’a czekali na nas: pułkownik d’Aboville, szef Wydziału Czwartego pułkownik Fabre, szef Jedynki pułkownik Lefort oraz pułkownik Sandherr. Położywszy listy Dreyfusa na biurku Gonse’a, cofnąłem się, a moi przełożeni stłoczyli się wokół biurka, by się przyjrzeć. Z tego skupiska pleców w mundurach rozległy się okrzyki coraz bardziej pełne szoku i przekonania: „Popatrzcie, jak stawia duże »S« tutaj i »J«… A te małe »m« i »r«, widzicie? No i odstępy między wyrazami są dokładnie takie same… Nie jestem ekspertem, ale… Ja również nie jestem ekspertem, a jednak… Powiedziałbym, że są identyczne…”.

Sandherr wyprostował się i nasadą dłoni uderzył się w czoło.

– Powinienem był się zorientować! Ile razy widziałem go, jak szwendał się i rozpytywał.

– Dokładnie taką sytuację przewidziałem w swoim raporcie, pamięta pan, majorze Picquart? – odezwał się Fabre, wskazując na mnie palcem. – „Nieudaczny oficer, pozbawiony przymiotów charakteru niezbędnych do pracy w sztabie generalnym…”. Czyż nie tak brzmiały moje słowa?

– Owszem, pułkowniku – przytaknąłem.

– Gdzie konkretnie jest Dreyfus? – zapytał mnie Gonse.

– Do końca przyszłego tygodnia będzie w obozie piechoty pod Paryżem.

– Dobrze. – Sandherr pokiwał głową. – Wyśmienicie. To nam daje trochę czasu. Musimy pokazać cały ten majdan grafologowi.

– Więc naprawdę pan sądzi, że to on? – spytał Gonse.

– Jeśli nie on, to kto?

Nikt nie odpowiedział. W tym tkwiło sedno sprawy. Jeżeli nie Dreyfus był zdrajcą, to kto? Ty? Ja? Twój towarzysz broni? Mój? A tymczasem gdyby to był Dreyfus, wtedy całe to podważające morale polowanie na wroga dobiegłoby końca. Nie wyrażając tego na głos ani nawet o tym nie

myśląc, pragnęliśmy jak jeden mąż, żeby okazało się to prawdą.

Gonse westchnął.

– Lepiej zawiadomię generała Merciera – powiedział. – Chyba będzie musiał porozmawiać z premierem. – Obrzucił mnie takim wzrokiem, jakbym to ja ponosił winę za sprowadzenie tej zarazy do ministerstwa, po czym zwrócił się do Bouchera: – Moim zdaniem nie ma potrzeby zatrzymywać dłużej majora Picquarta. Jak pan sądzi, pułkowniku?

– Też tak uważam – odparł Boucher. – Dziękuję panu, Picquart.

– Dziękuję, panie generale.

Zasalutowałem i wyszedłem.

* * *

Od dłuższego czasu milczę. Nagle uświadamiam sobie, że Gribelin wciąż tu jest i gapi się na mnie.

– Dziwne – mówię, wymachując *bordereau*. – Jak osobliwie przywołuje wspomnienia.

– O tak, wyobrażam to sobie.

* * *

I na tym mój udział w całej tej sprawie mógł się zakończyć, lecz tydzień później, ku mojemu zdziwieniu, do mieszkania dostarczono mi telegram z wezwaniem, bym stawił się na spotkanie w gabinecie ministra wojny, o szóstej wieczorem w niedzielę, czternastego października.

O wyznaczonej porze stawiłem się w *hôtel* de Brienne. Wchodząc po schodach, słyszałem głosy, a kiedy dotarłem na pierwsze piętro, zobaczyłem małą grupkę czekającą na wejście w korytarzu: generała Boisdeffre'a, generała Gonse'a, pułkownika Sandherra oraz dwóch mężczyzn, których nie poznałem – korpulentnego majora o czerwonej jak wino twarzy, który, podobnie jak ja, nosił szkarłatną wstęgę Legii Honorowej, oraz komisarza z Sûreté. Obecny był jeszcze jeden oficer. Stał nieco dalej przy oknie, z zadufaną miną i monoklem w oku, i wertował jakieś akta; uświadomiłem sobie, że to pułkownik du Paty de Clam, były kochanek Blanche. Zauważył, że na niego patrzę, zamknął teczkę, zdjął monokl i podszedł do mnie dumnym krokiem.

– Picquart – odezwał się, oddając mi salut. – Cóż to za straszna historia!

– Nie wiedziałem, że ma pan z nią coś wspólnego, pułkowniku.

– Coś wspólnego! – Du Paty roześmiał się, kręcąc głową. – Mój drogi majorze, mianowano mnie szefem całego dochodzenia! To z mojego powodu jest pan tutaj!

Du Paty zawsze wydawał mi się denerwujący. Zachowywał się, jakby grał główną rolę w sztuce, której tekstu nikomu innemu nie pokazano. Czasem znienacka wybuchał śmiechem albo drapał się po nosie z miną, jakby posiadł jakąś wielką tajemnicę; zdarzało mu się też bez słowa wyjaśnienia wychodzić z pokoju w środku rozmowy. Uważał się za nowoczesnego śledczego i naukowca, więc zgłębiał grafologię, antropometrię, kryptografię oraz rodzaje atramentów sympatycznych. Ciekaw byłem, jaką rolę przeznaczył mi w tym swoim dramacie.

– Wolno zapytać, jak się posuwa śledztwo? – zainteresowałem się.

– Już wkrótce pan usłyszy. – Poklepał teczkę, ruchem głowy wskazując drzwi ministerialnego gabinetu, właśnie w tym momencie otwierane przez jednego z oficerów sztabowych.

Mercier siedział przy biurku i podpisywał stertę korespondencji.

– Siadajcie, panowie – powiedział tym swoim cichym głosem, nie podnosząc wzroku. – Już kończę.

Usadowiliśmy się przy stole konferencyjnym według rangi, zostawiając honorowe miejsce wolne, dla Merciera; po jego prawej zasiadł Boisdeffre, po lewej Gonse, dalej naprzeciwko siebie Sandherr i du Paty, i wreszcie my, trzej młodsi od nich stopniem oficerowie, na samym końcu.

– Henry – odezwał się krzepki oficer, nachylając się do mnie nad stołem z wyciągniętą ręką.

– Picquart – odparłem.

– Armand Cochefort – przedstawił się na to komisarz z Sûreté.

Przez minutę siedzieliśmy w niezręcznej ciszy, a tymczasem minister dokończył podpisywanie papierów i dał je ordynansowi, który zasalutował i wyszedł.

– A więc do rzeczy – rzekł Mercier, zajmując miejsce przy stole i kładąc przed sobą jakąś kartkę. – Poinformowałem prezydenta oraz premiera, jak się sprawy mają, a to jest nakaz aresztowania Dreyfusa; brakuje tylko mojego podpisu. Czy mamy już opinię grafologa? Jak rozumiem, pierwszy ekspert, ten z Banque de France, doszedł do wniosku, że nie jest to jednak pismo Dreyfusa.

Du Paty otworzył teczkę.

– Mamy, panie ministrze – odparł. – Zasięgnąłem opinii Alphonse'a Bertillona, szefa działu identyfikacji policji paryskiej. Jego zdaniem *bordereau* zawiera wyraźne cechy pisma Dreyfusa, a różnice, tam gdzie występują, są jak najbardziej zamierzone. Jeśli można, oszczędzę panu szczegółów technicznych i odczytam wyłącznie jego wniosek: „Wydaje nam się oczywiste, że dostarczone próbki oraz inkryminowany dokument napisała jedna i ta sama osoba".

– Czyli jeden twierdzi co innego niż drugi? I to są ci pańscy eksperci? – Mercier odwrócił się do Sandherra. – Czy Dreyfus wrócił już do Paryża?

– Jest na kolacji u Hadamardów, rodziców żony – odparł Sandherr. – Jego teść jest handlarzem diamentów… Wie pan, tacy się specjalizują w ruchomościach. Mamy budynek pod obserwacją.

– Skoro wiemy, gdzie przebywa, nie kusi pana, pułkowniku, żeby po prostu aresztować go dzisiaj wieczorem? – wpadł mu w słowo Boisdeffre.

– Nie, panie generale – odparł Sandherr, stanowczo kręcąc głową. – Z całym szacunkiem, jestem temu zdecydowanie przeciwny. Pan nie zna tych ludzi tak dobrze jak ja. Nie wie pan,

w jaki sposób działają. Z chwilą gdy całe to bogate, ustosunkowane żydostwo się dowie, że Dreyfus został zatrzymany, użyje wszelkich środków, by wymusić jego zwolnienie. Koniecznie trzeba to załatwić tak, żeby zniknął, nie wywołując zamieszania, i żebyśmy go mieli tylko dla siebie co najmniej przez tydzień. Myślę, że pułkownik du Paty ma całkiem dobry plan.

Mercier zwrócił beznamiętną, podobną do maski twarz w kierunku du Paty'ego.

– Proszę mówić – polecił.

– Doszedłem do wniosku, że najbezpieczniej jest aresztować Dreyfusa na terenie ministerstwa. Generał Gonse wysłał już telegram, nakazujący mu udział w przeglądzie sztabowców jutro o dziewiątej rano w gabinecie generała Boisdeffre'a…

– W cywilnym ubraniu – wtrącił się Gonse – żeby ci, którzy zobaczą go później, kiedy już trafi do więzienia, nie zorientowali się, że to wojskowy.

– …dlatego aresztujemy go tutaj, na rue Saint-Dominique, w gabinecie szefa sztabu generalnego.

– A jeśli zwietrzy podstęp? – zapytał Mercier.

– No cóż, właśnie tu wchodzi major Picquart – odrzekł du Paty.

Poczułem na sobie wzrok wszystkich obecnych. Próbowałem patrzeć prosto przed siebie, jak gdybym wiedział, czego się spodziewać.

– Major Picquart był jednym z nauczycieli Dreyfusa w École Supérieure – wyjaśnił Mercierowi Gonse. – To on prowadzi program *stagiaires*.

– Wiem o tym. – Mercier przyglądał mi się wąskimi jak szparki oczami; nie sposób było przewidzieć, o czym myśli.

– Proponuję, żeby major Picquart czekał na Dreyfusa o dziewiątej przed głównym wejściem i osobiście zaprowadził go do gabinetu generała Boisdeffre'a. Dreyfus go zna i mu ufa – ciągnął du Paty. – To powinno rozproszyć wszelkie jego podejrzenia.

Zapadła cisza, podczas gdy minister się zastanawiał nad propozycją. W końcu Mercier zwrócił się do mnie:

– A co pan sądzi o tym planie, majorze Picquart?

– Nie jestem pewny, czy akurat ja rozproszę obawy kapitana Dreyfusa, ale skoro pułkownik du Paty uważa, że moja obecność się przyda, to oczywiście odegram swoją rolę – odparłem ostrożnie.

Mercier skierował szparki swoich oczu z powrotem na du Paty’ego.

– A więc ściągamy go do gabinetu generała Boisdeffre’a. I co dalej?

– Generała Boisdeffre’a tam nie będzie…

– Ja myślę! – wtrącił Boisdeffre.

– …zamiast niego ja sam powitam Dreyfusa, wyjaśnię, że szefa sztabu generalnego coś zatrzymało, i poproszę, żeby usiadł. Będę z zabandażowaną prawą dłonią… powiem, że się skaleczyłem… dlatego poproszę Dreyfusa, żeby napisał za mnie list, który mu podyktuję. Wezmę go z zaskoczenia, więc nie będzie mu łatwo zmienić charakter pisma. A kiedy uzyskam ten ostateczny dowód, dam znak i go zatrzymamy.

– „My”, to znaczy kto? – zapytał Mercier.

– Oprócz mnie w gabinecie będą: obecny tu z nami komisarz Cochefort z Sûreté, wraz z jednym ze swoich ludzi, a także *monsieur* Gribelin, archiwista z sekcji statystycznej, który spisze przebieg spotkania słowo w słowo. Do tego za parawanem będzie ukryty major Henry z sekcji statystycznej.

– Czyli że będzie pięciu na jednego?

– Otóż to, panie ministrze. Uważam, że przewaga liczebna oraz element zaskoczenia dają nam znakomitą szansę na to, że Dreyfus

załamie się i przyzna na miejscu. A gdyby tak się stało, to miałbym kolejną propozycję.

– Słuchamy.

– Umożliwić mu wyjście honorowe… Pokażę mu służbowy rewolwer z jedną kulą, żeby mógł od razu położyć temu kres.

Zapadła cisza. Mercier przemyślał tę propozycję, po czym lekko skinął głową.

– Zgoda – powiedział.

– Na Boga! – obruszył się Boisdeffre. – Będę wdzięczny, jeżeli zrobi to z dala od mojego dywanu… To prawdziwy aubusson!

Ogólny śmiech zmniejszył napięcie. Jedynie Mercier się nie roześmiał.

– A jeśli nie zdecyduje się na wyjście honorowe? Co wtedy? – zapytał.

– Wtedy major Henry odstawi go do więzienia Cherche-Midi, a ja i Cochefort udamy się do mieszkania Dreyfusa i poszukamy w nim dowodów – odparł du Paty. – Zapowiem jego żonie, żeby nie ważyła się pisnąć słowem o tym, co się stało z jej mężem, inaczej tylko pogorszy jego sytuację. Naczelnik Cherche-Midi zgodził się trzymać Dreyfusa w izolatce przez dwadzieścia cztery godziny na dobę… bez prawa do listów, wizyt, adwokatów. Nikt się nie dowie, gdzie on jest, nawet dowódca jego paryskiego garnizonu.

Dla świata i ludzi kapitan Alfred Dreyfus zniknie z powierzchni ziemi.

Wygłosiwszy swoje arcydzieło, du Paty zamknął teczkę i rozsiadł się na krześle.

Rozejrzałem się wokół stołu. Mercier i Boisdeffre siedzieli beznamiętnie, Gonse zapalał papierosa, Sandherr ściskał poręcze fotela i nieznacznie dygotał, Henry obserwował go z troską, a Cochefort ze splecionymi na piersi rękami wbijał wzrok w podłogę.

– Czy ktoś ma jakieś pytania? – zapytał Mercier.

Po chwili wahania nieśmiało podniosłem rękę. Nigdy nie potrafiłem się oprzeć pokusie wsadzenia szpili du Paty'emu, gdy tylko nadarzała się okazja.

– Tak, majorze… Picquart, dobrze mówię?

– Tak jest, panie ministrze – powiedziałem. – Dziękuję. Zastanawiam się – odwróciłem się do du Paty'ego – co się stanie, jeżeli Dreyfus się nie przyzna?

Du Paty zmierzył mnie zimnym wzrokiem.

– Przyzna się. Nie ma wyboru – oświadczył.

– Ale jeśli nie…?

– Jeśli nie – wtrącił się Sandherr, patrząc na mnie zza stołu i dygocząc z emocji – to oprócz

charakteru pisma mamy aż nadto dowodów, żeby wykazać jego winę.

Postanowiłem nie drążyć tego dalej. Skinąłem głową.

– Dziękuję – rzuciłem.

Zapadło długie milczenie.

– Ktoś jeszcze? – spytał Mercier, szparkami oczu omiatając każdego z nas po kolei. – Nie? Szef sztabu? Nie? W takim razie, panowie, udzielam wam zgody na przeprowadzenie planu naszkicowanego nam przez pułkownika du Paty'ego, jutro o dziewiątej rano.

Co rzekłszy, podpisał nakaz aresztowania i pchnął go po blacie w stronę du Paty'ego.

* * *

Następnego dnia rano panowała idealna, wymarzona jesienna pogoda – było chłodno, lecz bezchmurne niebo zapowiadało ocieplenie, a promienie wczesnego słońca przedzierały się już przez obłoki mgły wiszącej nad Sekwaną.

Gdy krótko po ósmej przybyłem do ministerstwa, w głównym holu zastałem du Paty'ego, który w stanie nerwowego pobudzenia musztrował swoich ludzi. Trzej byli po cywilnemu – Cochefort, jego zastępca oraz jakiś

trupio blady urzędnik, którego wziąłem za Gribelina, chociaż nikt nas sobie nie przedstawił. Henry i ja włożyliśmy mundury. Henry był wyraźnie rozbawiony, a w pewnym momencie – kiedy du Paty po raz drugi czy trzeci tłumaczył nam, co mamy robić – podchwycił mój wzrok i nieznacznie puścił do mnie oko.

– A więc, Picquart, niech pan dopilnuje, żeby dotrzeć z Dreyfusem do gabinetu szefa sztabu punktualnie o dziewiątej – powtórzył mi du Paty na pożegnanie. – Ani minutę wcześniej, ani później, zrozumiano? Podczas tej akcji wszystko ma chodzić jak w zegarku!

Du Paty i pozostali zniknęli na piętrze, ja zaś usiadłem na jednej z krytych zieloną skórą ław i czekałem. Miałem stamtąd doskonały widok na cały dziedziniec wychodzący na rue Saint-Dominique. Udawałem, że czytam gazetę. Minuty wlokły się niemiłosiernie. Miałem wrażenie, że defiluje przede mną cała armia – szeregi zramolałych generałów z siwymi bokobrodami, pełni galanterii pułkownicy dragonów, zaróżowieni z zimna po porannym cwale w Lasku Bulońskim, nadgorliwi młodzi kapitanowie niosący sterty akt dla swoich panów i władców… aż nagle w samym środku tej parady pojawił się Dreyfus. Zupełnie tu nie pasował –

niepewny, nachmurzony, odziany zamiast munduru w nieskazitelny surdut, sztuczkowe spodnie i w meloniku na głowie już teraz wyglądał jak wyrzutek. Spokojnie mógł uchodzić za maklera. Rzuciłem okiem na zegarek i zakląłem. Przyszedł o kwadrans za wcześnie.

Złożyłem gazetę i wstałem, w chwili gdy wchodził do budynku. Wyraźnie zaskoczył go mój widok. Zasalutował mi, dotykając ronda melonika.

– Dzień dobry, majorze Picquart. – A rozejrzawszy się po zatłoczonym holu, dorzucił: – Obawiam się, że koledzy sobie ze mnie zażartowali. W sobotę dostałem telegram, rzekomo z biura generała Boisdeffre'a, nakazujący mi stawienie się w cywilnym ubraniu na przegląd sztabowców, ale wygląda na to, że nikt inny czegoś takiego nie otrzymał.

– Rzeczywiście dziwne – przytaknąłem. – Mogę go zobaczyć?

Dreyfus podał mi wyjęty z portfela telegram.

Wezwanie. W poniedziałek, piętnastego października generał dywizji, szef sztabu generalnego, przeprowadzi inspekcję oficerów pełniących służbę w sztabie. P. kapitan Dreyfus, obecny przydział Trzydziesty Dziewiąty Pułk Piechoty w Paryżu, proszony jest o stawienie się

tego dnia o dziewiątej rano w gabinecie szefa sztabu generalnego. Strój cywilny…

Udawałem, że czytam uważnie. Grałem na czas.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Zapraszam do mnie. Dojdziemy do tego, co i jak.

– Nie, majorze, proszę się tym nie kłopotać…

– To drobiazg. Nalegam.

– Naprawdę, nie chciałbym sprawiać panu kłopotu…

– Czasu mam w bród.

Marsz do Wydziału Trzeciego ciągnął się w nieskończoność; po drodze nie potrafiłem wykrztusić nic oprócz jakichś banałów na temat pogody i jego rodziny.

– A jak się miewa pańska żona?

– Znakomicie, majorze, dziękuję.

– Ma pan dzieci? Przepraszam, ale nie pamiętam.

– Tak, majorze… dwójkę.

– A konkretnie?

– Syna i córkę.

– W jakim wieku?

– Pierre ma trzy lata, a Jeanne półtora roku…

I tak w kółko… Gdy dotarliśmy do moich drzwi, odczułem ulgę.

– Niech pan zaczeka w środku, a ja tymczasem sprawdzę, o co tu chodzi – powiedziałem.

– Dziękuję, majorze.

Wszedł do gabinetu, a ja zamknąłem za nim drzwi. Znowu spojrzałem na zegarek. Za dziesięć dziewiąta. Przez kilka minut chodziłem po korytarzu tam i z powrotem jak strażnik, co chwila zerkając na zamknięte drzwi mojego gabinetu, w myślach poganiając czas i zastanawiając się, czy Dreyfus nie wyszedł przez okno i nie zsunął się po rynnie albo czy właśnie nie przetrząsa mojego biurka w poszukiwaniu tajnych informacji. W końcu, dwie minuty przed wyznaczoną godziną, poszedłem po niego. Przycupnął na skraju krzesła, z melonikiem na kolanach. Papiery na moim biurku były nietknięte. Nic nie wskazywało na to, żeby przesunął je choćby o centymetr.

– Pański telegram to nie żart – rzuciłem beztrosko. – Rzeczywiście jest inspekcja.

– Co za ulga! – zawołał Dreyfus, wstając. – Naprawdę myślałem, że koledzy sobie ze mnie zażartowali… Wie pan, nie byłby to pierwszy raz.

– Ja również muszę się zobaczyć z generałem. Pójdę z panem.

Znowu ruszyliśmy w drogę.

– Liczę, że nadarzy mi się okazja, żeby zamienić słowo z generałem Boisdeffre'em – wyznał Dreyfus. – W lecie odbyliśmy bardzo udaną rozmowę na temat formacji artyleryjskich. Od tej pory przyszło mi do głowy jeszcze kilka dodatkowych rzeczy. – Nie odpowiedziałem. Po chwili zapytał: – Nie wie pan przypadkiem, majorze, jak długo może potrwać ta inspekcja?

– Niestety, nie.

– Chodzi o to, że obiecałem żonie wrócić do domu na obiad. No trudno, nieważne.

Doszliśmy do szerokiego i wysokiego korytarza prowadzącego do gabinetu szefa sztabu generalnego.

– A to ci dopiero – rzekł Dreyfus. – Skąd taka cisza? Gdzie się podziali pozostali?

Przed sobą mieliśmy dwuskrzydłowe drzwi. Dreyfus szedł coraz wolniej. Siłą woli próbowałem go zmusić do pokonania dystansu dzielącego nas od celu.

– Pewnie wszyscy czekają na pana w środku – odrzekłem. Oparłem dłoń na jego krzyżu i delikatnie go popchnąłem.

Stanęliśmy przed drzwiami. Otworzyłem. Dreyfus odwrócił się do mnie, zdziwiony.

– Pan nie wchodzi, majorze? – zapytał.

– Przepraszam. Właśnie sobie przypomniałem, że mam jeszcze coś do załatwienia. Żegnam.

Odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Z tyłu doleciał mnie szczęk otwieranego zamka. Kiedy się obejrzałem, drzwi znów były zamknięte, a Dreyfus zniknął.

* * *

– Proszę mi opowiedzieć ze szczegółami, co się wydarzyło tego dnia rano, kiedy doprowadziłem Dreyfusa do pana i pułkownika du Paty'ego – zwracam się do Gribelina.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi, pułkowniku.

– Pan miał tam odgrywać rolę świadka?

– Tak.

– A zatem cóż takiego pan tam zobaczył? – Przysuwam sobie krzesło, pod bacznym okiem archiwisty. – Proszę mi wybaczyć wszystkie te pytania, *monsieur* Gribelin. Po prostu próbuję uzupełnić luki w mojej wiedzy. W końcu ta sprawa nie jest jeszcze zamknięta. – Wskazuję krzesło naprzeciwko mnie. – Proszę usiąść ze mną na chwilę.

– Skoro pan sobie życzy, pułkowniku. – Nie spuszczając ze mnie oczu, jakby się bał, że w każdej chwili mogę się na niego rzucić, Gribelin sadza swoje kościste ciało. – Co chce pan wiedzieć?

Zapalam papierosa i teatralnie przysuwam sobie popielniczkę.

– Lepiej nie zaprószyć tu ognia! – mówię z uśmiechem, macham zapałką i zgaszoną ostrożnie umieszczam w popielniczce. – A więc Dreyfus wchodzi z korytarza… I co dalej?

Idzie mi to trudno jak wyrywanie zęba, stopniowo jednak wyciągam z niego całą historię: Dreyfus wszedł, rozejrzał się i zapytał, gdzie jest generał Boisdeffre; du Paty odpowiedział, że szefa coś zatrzymało, wskazał Dreyfusowi krzesło, pokazał mu dłoń w rękawiczce i poprosił o napisanie za niego listu, ponieważ skręcił nadgarstek; Dreyfus spełnił prośbę, obserwowany przez Cocheforta i jego asystenta oraz Gribelina, który siedział naprzeciwko.

– Na pewno zaczął się denerwować – podsuwam. – Musiał zachodzić w głowę, o co w tym wszystkim chodzi.

– To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Widać to po charakterze jego pisma. Właściwie mogę panu pokazać. – Gribelin znowu podchodzi

do szafki na akta i wraca z pękatą teczką, grubą na kilka centymetrów. Otwiera ją. – Ten pierwszy dokument to list napisany przez Dreyfusa pod dyktando du Paty'ego. – Pcha teczkę w moją stronę. – Widać, jak w połowie tekstu charakter pisma się zmienia, kiedy uświadomiwszy sobie, że wpadł w pułapkę, próbował jakoś to zatuszować.

Pismo zaczyna się jak zwyczajny list: *Paryż, piętnasty października 1894 r. Szanowny Panie, ponieważ mam bardzo poważne powody, by na pewien czas odzyskać dokumenty, które przekazałem Panu przed wyjazdem na manewry…*

– Nie dostrzegam tu żadnej zmiany w połowie tekstu – mówię.

– Ależ jest, widać ją jak na dłoni. Tutaj. – Gribelin nachyla się i stuka w list. Słychać, że jest zdenerwowany. – Dokładnie tu, gdzie pułkownik kazał mu napisać „hamulec hydrauliczny do działa sto dwadzieścia milimetrów"… To wtedy się zorientował, co się dzieje. Jego pismo nagle staje się większe i mniej regularne. Widzi pan?

Przyglądam się ponownie. Nadal nic takiego nie dostrzegam.

– Skoro pan tak mówi, to pewnie…

– Proszę mi wierzyć, pułkowniku, wszyscy zauważyliśmy zmianę w jego zachowaniu. Stopa

zaczęła mu dygotać. Pułkownik du Paty zarzucił mu zmianę charakteru pisma. Dreyfus zaprzeczył. Kiedy pułkownik skończył dyktando, powiedział mu, że aresztuje go za zdradę stanu.

– I co było dalej?

– Komisarz Cochefort i jego asystent schwycili go i zrewidowali. Dreyfus wciąż się wszystkiego wypierał. Pułkownik du Paty pokazał mu rewolwer i zaproponował wyjście honorowe.

– A co Dreyfus na to?

– Powiedział: „Zastrzelcie mnie, jeśli chcecie, ale jestem niewinny!”. Zachowywał się niczym aktor grający w sztuce. W tym momencie pułkownik du Paty zawołał majora Henry’ego, który czekał ukryty za parawanem, a major odstawił Dreyfusa do więzienia.

Zaczynam kartkować akta w teczce. Ku mojemu zaskoczeniu wszystkie strony to są *bordereau*. Otwieram teczkę w połowie. Potem przeskakuję na sam koniec.

– Rany boskie! – rzucam pod nosem. – Ile razy kazaliście mu to pisać?

– A, ze sto albo i więcej. Ale to trwało kilka tygodni. Widzi pan, że każda próbka jest opisana: „Lewą ręką”, „Prawą ręką”, „Na stojąco”, „Na siedząco”, „Na leżąco”…

– Zakładam, że zmusiliście go do pisania tego w jego celi, tak?

– Tak. *Monsieur* Bertillon, ekspert w dziedzinie grafologii z policji paryskiej, chciał mieć jak największy materiał porównawczy, żeby wykazać, w jaki sposób podejrzanemu udało się zmienić charakter pisma. Pułkownik du Paty i ja odwiedzaliśmy Dreyfusa w Cherche-Midi, zwykle około północy, i go przesłuchiwaliśmy przez całą noc. Pułkownik wpadł na pomysł, żeby znienacka wyrywać go ze snu… zaskakiwać go i świecić mu w twarz silną latarką.

– A w jakim był stanie psychicznym przez cały ten czas?

Gribelin wygląda jak krętacz czystej wody.

– Jeśli mam być całkiem szczery, panie pułkowniku, on był na skraju załamania. Trzymano go w izolatce. Bez prawa do pisania listów i odwiedzin. Często zalewał się łzami, dopytywał się o rodzinę i tak dalej. Pamiętam, że miał jakieś otarcia na twarzy. – Gribelin lekko dotyka okolic skroni. – Tutaj. Jak nam wyjaśnili strażnicy, ślady powstały od tego, że ciągle tłukł głową o ścianę.

– I wypierał się wszelkiej styczności z działalnością szpiegowską?

– Kategorycznie. Odstawiał pokazówki jak się patrzy, pułkowniku. Ten, kto go wyszkolił, dobrze się sprawił.

Wracam do wertowania akt. *Przesyłam Panu kilka ciekawych informacji* (…). *Przesyłam Panu kilka ciekawych informacji* (…). *Przesyłam Panu kilka ciekawych informacji* (…). Z upływem dni charakter pisma staje się coraz mniej wyraźny. Wygląda to niczym akta z domu obłąkanych. Czuję, że kręci mi się w głowie. Zamykam teczkę i pcham ją na drugą stronę stołu.

– To fascynujące, Gribelin. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

– Czy mogę jeszcze w czymś pomóc, panie pułkowniku?

– Nie, nie sądzę. W każdym razie nie teraz.

Bierze teczkę i tuląc ją czule w ramionach, zanosi do szafki na akta. W progu zatrzymuję się i oglądam przez ramię.

– Czy ma pan dzieci, *monsieur* Gribelin? – pytam.

– Nie, panie pułkowniku.

– A jest pan chociaż żonaty?

– Nie, panie pułkowniku. Nie mógłbym tego pogodzić z pracą.

– Rozumiem. Ze mną jest tak samo. A zatem dobranoc.

– Dobranoc, panie pułkowniku.

Zbiegam schodami na pierwsze piętro, nabierając prędkości, mijam korytarz prowadzący do mojego gabinetu, pędzę na parter, przez hol, aż w końcu wypadam na dwór i napełniam płuca ożywczymi haustami czystego świeżego powietrza.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tej nocy prawie nie śpię. Zlany potem, przewracam się i kotłuję na wąskim łóżku, tak że w zmiętoszonej pościeli odnoszę wrażenie, jakbym spoczywał na kamieniach. Otwarte okna mają zapewnić przewiew powietrza, a tymczasem wpada przez nie wyłącznie hałas miasta. Walcząc z bezsennością, w końcu liczę odległe bicie kościelnych dzwonów, rozbrzmiewające co godzina od północy do szóstej rano. Wreszcie zapadam w sen, tyle że trzydzieści minut później budzą mnie ostre klaksony pierwszych tego dnia tramwajów. Ubieram się, schodzę na parter i udaję się do baru przy tej samej ulicy, na rogu rue Copernic. Nie mam apetytu na nic treściwego, zadowalam się czarną kawą i papierosem. Zaglądam do „Le Figaro”. Obszar wysokiego ciśnienia znad południowo-zachodnich wybrzeży Irlandii przesuwa się nad wyspami brytyjskimi w stronę Holandii oraz Niemiec. Szczegóły zbliżającej się wizyty cara w Paryżu nadal nie zostały ogłoszone. Generał

Billot, minister wojny, przygląda się manewrom kawalerii w Gâtinais. Krótko mówiąc, sierpniowy sezon ogórkowy nie przynosi żadnych wiadomości.

Kiedy docieram do sekcji statystycznej, Lauth urzęduje już w swoim gabinecie, ubrany w skórzany fartuch. Ma rozłożone po cztery odbitki z obu listów Esterházyego – wilgotne i błyszczące, wciąż zalatują utrwalaczem. Jak zwykle, spisał się wyśmienicie. Adresy i podpisy zostały wykasowane, za to odręczne pismo jest ostre i czytelne.

– Dobra robota – chwalę go. – Zabieram je… a także oryginał, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Wkłada wszystko do koperty i mi ją podaje.

– Proszę, panie pułkowniku. Mam nadzieję, że te materiały doprowadzą pana do czegoś ciekawego. – Jego bladoniebieskie oczy mają błagalny wyraz, jak oczy spaniela. Ale już raz mnie pytał, po co mi te zdjęcia, a ja odmówiłem odpowiedzi. Nie ma odwagi zadawać mi tego pytania ponownie.

Z wielką przyjemnością ignoruję niezadane pytanie, wesoło rzucam: „Miłego dnia, Lauth”, po czym nieśpiesznie wracam do swojego gabinetu. Biorę po jednej odbitce z każdego zdjęcia

i wkładam je do teczki; pozostałe trafiają do sejfu. Zamykam za sobą drzwi na klucz. W holu mówię nowemu konsjerżowi, Capiaux, że nie wiadomo, kiedy wrócę. Ten były wojak dobiega pięćdziesiątki. To Henry go skądś wygrzebał, więc nie jestem pewien, czy mogę mu ufać – szklisty wzrok i popękane naczynka krwionośne na twarzy sugerują, że jest on jednym z kumpli od kielicha Henry'ego.

Spacer na Île de la Cité, do komendy głównej policji paryskiej – ponurej fortecy górującej nad brzegiem Sekwany obok Pont Saint-Michel – zajmuje mi dwadzieścia minut. To stare gmaszysko, dawne koszary miejskie, w środku jest równie szpetne i ponure jak z zewnątrz. Daję odźwiernemu swój bilet wizytowy – *Podpułkownik Georges Picquart, Ministerstwo Wojny* – mówiąc, że chcę się zobaczyć z *monsieur* Alphonse'em Bertillonem. Natychmiast nabiera do mnie szacunku. Prosi, żebym się udał z nim. Otwiera kluczem drzwi, wpuszcza mnie do środka, a potem znów zamyka na klucz. Wchodzimy na kolejne piętra wąskimi, krętymi schodami z kamienia, tak stromymi, że idę zgięty wpół. W pewnej chwili musimy się zatrzymać i przycisnąć do ściany, by przepuścić kilkunastu

schodzących gęsiego więźniów, za którymi ciągnie się smród potu i rozpaczy.

– *Monsieur* Bertillon ich mierzył – wyjaśnia mój przewodnik, jakby byli tu na przymiarce u krawca. Podejmujemy wędrówkę w górę. W końcu otwiera kluczem kolejne drzwi i wychodzimy na gorący słoneczny korytarz z podłogą z gołych desek. – Proszę tu zaczekać, panie pułkowniku – mówi odźwierny. – A ja pójdę go poszukać.

Jesteśmy na samym szczycie budynku, po stronie wychodzącej na zachód. Uwięziony w środku upał sprawia, że panuje tu taka duchota jak w cieplarni. Za oknami laboratorium Bertillona, za kominami komendy głównej, wznoszą się i opadają masywne dachy Pałacu Sprawiedliwości – niebieskie morze dachówek przebite delikatną złoto-czarną iglicą Sainte-Chapelle. Ściany laboratorium są wytapetowane setkami zdjęć przestępców, en face i z profilu. Antropometria – lub „Bertillonage”, jak z właściwą sobie skromnością nazywa ją nasz czołowy kryminolog – utrzymuje, że na podstawie jedenastu pomiarów ciała można bezbłędnie zidentyfikować każdego człowieka. W jednym rogu stoi stół z wpuszczoną w blat linijką i regulowaną podziałką do mierzenia

długości przedramion i palców; w drugim jest drewniana rama przypominająca wielkie sztalugi, do mierzenia wzrostu, zarówno w pozycji siedzącej (długość tułowia), jak i stojącej; w trzecim – urządzenie z brązu, służące do pomiarów czaszki. Jest tam też olbrzymi aparat fotograficzny oraz stół z mikroskopem i osadzoną na wsporniku lupą oraz rząd szafek na akta.

Obchodzę pomieszczenie, uważnie oglądając fotografie. Przypominają mi olbrzymią kolekcję eksponatów przyrodniczych – na przykład motyli albo żuków, przyszpilonych i zawieszonych na ścianie. Miny więźniów wyrażają w różnym stopniu strach, wstyd, bezczelność, brak zainteresowania; niektórzy wyglądają na ciężko pobitych, zagłodzonych albo niemal obłąkanych; nikt się nie uśmiecha. I wśród tej zbieraniny ludzkiego nieszczęścia niespodziewanie trafiam na Alfreda Dreyfusa. Jego bezbarwna twarz księgowego spogląda na mnie sponad podartego munduru. Bez tradycyjnych okularów czy pince-nez jego twarz wydaje się naga. Świdruje mnie wzrokiem. Podpis głosi: „Dreyfus, 5.01.95”.

– Pułkownik Picquart?

Na dźwięk głosu odwracam się i widzę Bertillona z moją wizytówką w ręku. To

przysadzisty blady człowiek niewiele po czterdziestce, z gęstą czarną czupryną. Sztywna, kanciasto przystrzyżona broda wygląda jak ostrze siekiery; mam wrażenie, że przesuwając palcem po jej krawędzi, utoczyłbym krew.

– Witam, *monsieur* Bertillon. Właśnie zauważyłem, że wśród swoich okazów ma pan tu także kapitana Dreyfusa.

– A, tak. Sam go mierzyłem – odpowiada Bertillon. Podchodzi, staje obok mnie. – Sfotografowałem go, kiedy przybył do więzienia La Santé, prosto z ceremonii degradacji.

– Wygląda inaczej niż człowiek, którego zapamiętałem.

– On był wtedy w transie… to somnambulik.

– Jak inaczej można by wytrzymać takie doświadczenie? – Otwieram teczkę. – Prawdę mówiąc, to właśnie Dreyfus jest powodem mojej wizyty. Zastąpiłem pułkownika Sandherra na stanowisku szefa sekcji statystycznej.

– Tak, pułkowniku, pamiętam pana z sądu wojskowego. Co tu jeszcze nowego można powiedzieć w sprawie Dreyfusa?

– Czy byłby pan tak dobry i zbadał te dokumenty? – Podaję mu zdjęcia dwóch listów Esterházyego. – Proszę mi powiedzieć, co pan o nich sądzi.

– A wie pan, że nigdy nie wydaję opinii na poczekaniu?

– W tym wypadku może zechce pan odstąpić od swoich zwyczajów.

Wygląda, jakby chciał mi odmówić. Jednak ciekawość zwycięża. Idzie z listami do okna, podnosi je pod światło, trzymając po jednym w każdej ręce, i przygląda im się uważnie. Marszczy czoło, spogląda na mnie ze zdziwieniem. Znów skupia się na fotografiach.

– Tak – bąka. A potem: – No cóż…

Przechodzi do szafki na akta, wysuwa szufladę i wyjmuje grubą teczkę przewiązaną czarną wstążką. Zanosi ją na stół. Rozwiązuje kokardkę, po czym wyjmuje *bordereau* oraz jakieś kartki i wykresy. Kładzie *bordereau* i listy jeden obok drugiego. Następnie bierze trzy identyczne arkusze przezroczystego papieru w kratkę i umieszcza po jednym na każdym z trzech dokumentów. Włącza lampę, ustawia w odpowiedniej pozycji szkło powiększające i zaczyna badanie.

– Aha, tak, tak, aha… – Szybko robi jakieś notatki. – Aha, aha, tak, aha…

Obserwuję go przez kilka minut. W końcu nie mogę się powstrzymać i pytam:

– No i? Czy są takie same?

– Identyczne – odpowiada, z podziwem kręcąc głową. Odwraca się do mnie. – Identyczne w każdym calu!

Nie potrafię uwierzyć, że tak szybko zyskał pewność. Oto właśnie znikł główny rekwizyt w sprawie przeciwko Dreyfusowi; został obalony przez tego samego eksperta, który go przedstawił.

– Czy zgodziłby się pan złożyć na ten temat pisemne oświadczenie?

– Jak najbardziej.

Jak najbardziej? Mam wrażenie, że zdjęcia przestępców na ścianach wirują wokół mnie.

– A gdybym panu powiedział, że tych listów nie napisał Dreyfus, tylko ktoś tutaj, we Francji, tego lata?

Bertillon wzrusza ramionami; zupełnie się tym nie przejmuje.

– Wtedy ja bym panu powiedział, że widocznie Żydzi zdołali nauczyć kogoś, jak podrabiać pismo Dreyfusa.

* * *

Z Île de la Cité udaję się na Lewy Brzeg. Próbuję namierzyć Armanda du Paty'ego w Ministerstwie Wojny. Dowiaduję się, że nie

spodziewają się go tego dnia, ale pewnie można go zastać w domu. Młodszy oficer sztabowy podaje mi adres: avenue Bosquet 17.

I znów ruszam w drogę pieszo. Odnoszę wrażenie, że od jakiegoś czasu nie jestem już oficerem wojska, tylko detektywem. Szlifuję bruki. Przesłuchuję świadków. Zbieram dowody rzeczowe. Może kiedy to się skończy (jeśli w ogóle się skończy), powinienem złożyć papiery do Sûreté?

Avenue Bosquet jest ładna i leży w zamożnej okolicy, tuż nad Sekwaną; przez korony drzew przebijają cętki słońca. Mieszkanie du Paty'ego mieści się na drugim piętrze. Kilkakrotnie pukam, bez odpowiedzi, i już mam odejść, gdy naraz dostrzegam cień przesuwający się w szparze pod drzwiami. Pukam raz jeszcze.

– Pułkownik du Paty? To ja, Georges Picquart.

Po chwili ciszy pada stłumione:

– Jedną chwilkę! – Zgrzyt odsuwanej zasuwy, szczęk zamka i drzwi się uchylają o włos. Zniekształcone oko mruga, patrząc na mnie przez monokl. – Picquart? Jest pan sam?

– Ależ oczywiście. Dlaczego miałbym przyjść z kimś?

– To prawda. – Drzwi otwierają się na oścież i ukazuje się du Paty w długim szlafroku

z czerwonego jedwabiu w chińskie smoki; na stopach ma jasnoniebieskie marokańskie kapcie, a na głowie szkarłatny turecki fez. Jest nieogolony. – Pracowałem nad powieścią – wyjaśnia. – Proszę wejść.

W mieszkaniu unosi się zapach kadzidła i dymu z cygar. Obok szezlonga piętrzy się stos brudnych naczyń. Kartki manuskryptu zalegają w stosach na sekretarzyku i walają się po całym dywanie. Nad kominkiem wisi obraz olejny przedstawiający nagą niewolnicę w haremie, a na stole króluje fotografia du Paty'ego z nową arystokratyczną żoną, Marie de Champlouis. Poślubił ją tuż przed wybuchem afery Dreyfusa. Kobieta na zdjęciu trzyma niemowlę w stroju do chrztu.

– A więc po raz kolejny został pan ojcem? – mówię. – Gratulacje.

– Dziękuję. Tak, syn ma już rok[5]. Spędza lato z matką, w jej rodzinnej posiadłości. Ja zostałem w Paryżu, żeby się zająć pisaniem.

– O czym pan pisze?

– To tajemnica.

Nie jestem pewny, czy chodzi mu o nieujawnianie treści, czy może ma na myśli powieść kryminalną. Tak czy siak, widać, że pilno

mu do niej wrócić; w każdym razie nie proponuje mi, bym usiadł.

– No cóż, mam tu dla pana kolejną tajemniczą sprawę – oświadczam. Otwieram teczkę i podaję mu jeden z listów Esterházyego. – Zapewne poznaje pan ten charakter pisma.

Poznaje go natychmiast – zdradza go sposób, w jaki się wzdryga, oraz wysiłek, z jakim próbuje ukryć zmieszanie.

– Czy ja wiem? – bąka. – Może i jest w nim coś znajomego. Spod czyjej ręki to wyszło?

– Tego nie mogę panu zdradzić. Mogę wyjawić tylko tyle, że z pewnością nie spod ręki naszego przyjaciela z Diabelskiej Wyspy, ponieważ napisano to w ciągu ostatniego miesiąca.

Rzuca mi zdjęcie listu z powrotem – widać, że nie chce mieć z tym nic wspólnego.

– Powinien pan to pokazać Bertillonowi. To on jest grafologiem.

– Już to zrobiłem. Twierdzi, że pismo jest identyczne z *bordereau*… Użył właśnie tego słowa: „identyczne”.

Zapada niezręczna cisza. By zyskać na czasie, du Paty chucha z obu stron na monokl, wyciera go rękawem szlafroka, wciska z powrotem w oko i łypie na mnie.

– Po co pan tu właściwie przyszedł, Georges? – pyta.

– Robię tylko to, co do mnie należy, Armandzie. Mam obowiązek śledzić potencjalnych szpiegów i zdaje się, że znalazłem kolejnego… Zdrajcę, któremu jakimś cudem udało się nie wpaść, kiedy dwa lata temu prowadził pan śledztwo w sprawie Dreyfusa.

Du Paty obronnym ruchem splata ręce w szerokich rękawach szlafroka. Wygląda idiotycznie, jak czarownik z kabaretu w Le Chat Noir.

– Nie jestem nieomylny – mówi. – I nigdy nie udawałem, że jest inaczej. Całkiem możliwe, że także inni byli w to zamieszani. Sandherr zawsze uważał, że Dreyfus miał co najmniej jednego wspólnika.

– Miał pan jakieś nazwiska?

– Osobiście podejrzewałem jego brata, Mathieu. Sandherr też, jeśli o to chodzi.

– Tyle że Mathieu nie służył wówczas w wojsku. Nie było go nawet w Paryżu.

– Racja – przyznaje du Paty i dorzuca z naciskiem: – Ale był wtedy w Niemczech. No i jest Żydem.

Nie mam najmniejszej ochoty dać się wciągnąć w obłąkańcze teorie du Paty’ego. To jak

zgubienie drogi w labiryncie bez wyjścia.

– Nie mogę odrywać pana dłużej od pracy – mówię, stawiając teczkę na sekretarzyku, by schować fotografię. Przy okazji mój wzrok nieuchronnie pada na stronę powieści du Paty'ego.

– *Nie zwiedziesz mnie po raz drugi swoją urodą! – zawołał książę d'Argentin, wymachując zatrutym sztyletem…*

Du Paty mnie obserwuje.

– Ten *bordereau* nie był jedynym dowodem przeciwko Dreyfusowi, sam pan wie. Do skazania go przyczyniły się uzyskane informacje wywiadowcze. Te tajne akta. Przecież pamięta pan! – W ostatnim zdaniu brzmi nieskrywana groźba.

– Pamiętam.

– To dobrze.

– Czy pan próbuje dać mi coś do zrozumienia?

– Nie. A raczej tylko tyle, że w trakcie swojego śledztwa nie zapomni pan, mam nadzieję, że pan również wchodził w skład oskarżycieli. Odprowadzę pana do drzwi.

W progu zgłaszam sprzeciw.

– Pozwoli pan, że sprostuję, ale niezupełnie tak to wyglądało. To pan, Sandherr, Henry

i Gribelin byliście oskarżycielami. Ja odgrywałem jedynie rolę obserwatora.

Du Paty rży ze śmiechu. Przysuwa się do mnie na tyle blisko, że czuję jego oddech; bijąca z niego zgnilizna dobywa się jakby głęboko z wnętrza tego człowieka i przypomina mi ścieki płynące pod sekcją statystyczną.

– Obserwatora! Naprawdę tak pan uważa? Georges, mój drogi, dajże pan spokój! Cały proces w sądzie wojskowym śledził pan bezpośrednio na sali! W trakcie tej sprawy bez przerwy robił pan za chłopca na posyłki Merciera! To pan doradzał mu w kwestii taktyki! Nie może się pan teraz po prostu wypiąć i twierdzić, że nie miał pan z tym nic wspólnego! Jak się panu zdaje, dlaczego został pan szefem sekcji statystycznej, jeśli nie dzięki zaangażowaniu w tę sprawę? – Otwiera drzwi. – A przy okazji, proszę przekazać ode mnie Blanche wyrazy szacunku! – woła za mną. – Nadal nie wyszła za mąż, prawda? Niech pan jej powie, że zadzwoniłbym do niej, ale wie pan, jak to jest… Mojej żonie by się nie spodobało.

Zbyt wściekły, by wymyślić ripostę, odchodzę, a on, zadowolony z tego, że miał ostatnie słowo, i przekonany o swoim dowcipie, ściga mnie od

progu nieznośnym śmiechem, odziany w szlafrok, kapcie i fez.

* * *

Powoli wracam piechotą do biura, rozmyślając o tym, co właśnie usłyszałem.

Czy właśnie tak ludzie o mnie mówią? Że byłem chłopcem na posyłki Merciera? Że zdobyłem obecne stanowisko wyłącznie dzięki temu, że mówiłem mu to, co chciał usłyszeć?

Czuję się, jakbym wszedł do gabinetu krzywych luster i po raz pierwszy zobaczył siebie z nieznanej dotąd strony. Czy ja naprawdę tak wyglądam? Czy właśnie taki jestem?

* * *

Dwa miesiące po aresztowaniu Dreyfusa, w połowie grudnia 1894 roku, generał Mercier wezwał mnie do siebie. Nie powiedziano mi, w jakiej sprawie. Zakładałem, że ma to związek ze sprawą Dreyfusa i że inni też będą obecni. W pierwszej kwestii miałem rację, w drugiej się myliłem. Tym razem Mercier zaprosił tylko mnie.

Siedział przy biurku. Na palenisku kominka tliły się i trzaskały brunatne węgielki. Sześć tygodni wcześniej, na początku listopada, do prasy przeciekły gołe fakty dotyczące aresztowania Dreyfusa – *Zdrada stanu. Żydowski oficer, A. Dreyfus, aresztowany* – więc społeczeństwo nie mogło się doczekać wieści o tym, czego się dopuścił i co władze zamierzają z nim zrobić; sam byłem tego ciekawy. Mercier wskazał mi krzesło, a potem wykonał swój ulubiony numer: kazał mi czekać, podczas gdy pochylony nad jakimś dokumentem, składał na nim podpis; przez ten czas mogłem sobie dobrze obejrzeć czubek jego wąskiej, krótko ostrzyżonej, łysiejącej głowy i zastanawiać się, jakie plany i sekrety się w niej kryją. W końcu odłożył pióro i odezwał się:

– Zanim przejdę do rzeczy, chciałbym się upewnić co do jednego… Nie brał pan udziału w śledztwie dotyczącym Dreyfusa od czasu, kiedy został aresztowany?

– Nie, panie ministrze.

– I nie rozmawiał pan o tej sprawie z pułkownikiem du Patym, pułkownikiem Sandherrem ani majorem Henrym?

– Nie.

Zapadła cisza, podczas gdy Mercier świdrował mnie wąskimi jak szparki oczami.

– Zdaje się, że interesuje się pan literaturą? – powiedział po chwili.

Zawahałem się. Przyznanie się do czegoś takiego mogło zaprzepaścić szanse na awans.

– Do pewnego stopnia, panie generale. Prywatnie, owszem, interesuję się wszystkimi dziedzinami sztuki.

– Nie ma się czego wstydzić, majorze. Po prostu chcę mieć kogoś, kto w raporcie dla mnie potrafi zawrzeć coś więcej niż tylko gołe fakty. Czy czuje się pan na siłach podjąć się tego zadania?

– Mam nadzieję, że tak. Oczywiście, zależy, o co chodzi.

– Pamięta pan, co pan powiedział w tym gabinecie w przeddzień aresztowania Dreyfusa?

– Nie jestem pewien, co ma pan na myśli, generale.

– Zapytał pan pułkownika du Paty'ego: „A co się stanie, jeżeli Dreyfus się nie przyzna?". Od razu to sobie zapisałem. To było trafne pytanie. „Co się stanie, jeśli on się nie przyzna?" Pułkownik du Paty zapewnił nas, że przyzna się na pewno. Teraz jednak okazuje się, że Dreyfus tego nie zrobił, chociaż od dwóch miesięcy

trzymamy go w więzieniu. Wyznam panu w zaufaniu, majorze, że czuję się zawiedziony.

– Doskonale pana rozumiem. – No to się du Paty doigrał, pomyślałem. Z trudem zachowywałem powagę.

– A teraz w przyszłym tygodniu kapitan Dreyfus stanie przed sądem wojskowym i ci sami ludzie, którzy zapewniali mnie, że się przyzna, z równą pewnością siebie obiecują mi, że zostanie skazany. Nauczyłem się jednak, że lepiej dmuchać na zimne, rozumiemy się?

– Jak najbardziej.

– Jeżeli na procesie coś pójdzie nie tak, ludzie zjedzą nasz rząd żywcem. Widział pan, co prasa już wypisuje: „sprawa zostanie zamieciona pod dywan, ponieważ oficer ten jest Żydem…”. Oto więc, czego od pana oczekuję. – Oparł łokcie na biurku i ciągnął cicho, lecz stanowczo: – Chcę, majorze Picquart, żeby w moim imieniu codziennie przysłuchiwał się pan rozprawom w sądzie wojskowym, a wieczorem zdawał mi relację z tego, co tam się działo. Nie zależy mi na: „Ten powiedział to, a tamten owo”… coś takiego potrafi byle sekretarka, która umie stenografować. Mnie jest potrzebne samo sedno sprawy. – Potarł kciuk o palec wskazujący. – Niech mi pan to opisuje jak pisarz. Mów mi pan,

jak brzmiał oskarżyciel. Obserwuj pan sędziów, przyglądaj się świadkom. Ja się nie mogę pokazać w sądzie. Wyszłoby na to, że cała ta rozprawa ma podłoże polityczne. Dlatego pan będzie moimi oczami i uszami. Zrobi pan to dla mnie?

– Tak, panie generale – odparłem. – Będę zaszczycony.

Wychodząc z gabinetu Merciera, zdołałem jeszcze zachować stosownie poważną minę. Ale gdy tylko doszedłem do schodów, zasalutowałem obrazowi Napoleona. Osobiste zlecenie od ministra wojny! Mało tego, miałem być jego „oczami i uszami”! Z szerokim uśmiechem na twarzy zbiegłem marmurowymi schodami.

Proces Dreyfusa przed sądem wojskowym miał się rozpocząć w środę, dziewiętnastego grudnia w gmachu sądu wojskowego – ponurym starym budynku stojącym dokładnie naprzeciwko więzienia Cherche-Midi – i trwać trzy do czterech dni. Bardzo liczyłem na to, że skończy się przed sobotnim wieczorem, bo miałem bilety do Salle d’Harcourt na pierwsze publiczne wykonanie *Prélude à l’après-midi d’un faune* Debussy’ego.

Dopilnowałem, by stawić się w sądzie odpowiednio wcześnie. Kiedy wchodziłem do zatłoczonego holu, na dworze jeszcze się nie

rozjaśniło. Jako pierwszego ujrzałem majora Henry’ego, który na mój widok z zaskoczeniem poderwał głowę.

– Major Picquart! A pan co tu robi?

– Minister prosił, żebym śledził proces jako jego obserwator.

– A to ci dopiero! – Henry zrobił znaczącą minę. – Kopnął nas zaszczyt, co? Więc ma pan być jego kapusiem? Musimy uważać, co mówimy w pańskiej obecności! – Próbował obrócić wszystko w żart, ale widziałem, że jest głęboko urażony, i od tej pory zawsze traktował mnie nieufnie. Życząc mu powodzenia, ruszyłem kamiennymi schodami do sali rozpraw na pierwszym piętrze.

W budynku mieścił się niegdyś klasztor żeński; pozostały po nim niskie, grube łukowate drzwi oraz byle jak bielone wapnem ściany z małymi wnękami na ikony. Pomieszczenie wyznaczone na salę rozpraw było niewiele większe od sali lekcyjnej w szkole i już teraz pełne dziennikarzy, żandarmów, żołnierzy i tych przedziwnych szarych obywateli, którzy chodzą do sądów dla rozrywki. Po drugiej stronie sali, na podwyższeniu wzniesionym pod malowidłem ściennym przedstawiającym Ukrzyżowanie, stał długi stół dla sędziów, zakryty zielonym suknem.

Okna zabito dywanami – nigdy nie udało mi się dowiedzieć, czy była to ochrona przed wścibskimi oczami, czy przed grudniowym zimnem, jednak rezultat okazał się klaustrofobiczny i cokolwiek złowrogi. Na wprost sędziów stało proste drewniane krzesło dla oskarżonego, za nim małe biurko dla jego obrońcy i obok jeszcze jedno dla oskarżyciela. Na mnie czekało krzesło obok stanowiska sędziów, przy bocznej ścianie. Widzowie nie mieli gdzie usiąść; mogli się tylko tłoczyć przyciśnięci do ścian. Wyjąłem notes, ołówek, usiadłem i czekałem. W pewnej chwili na moment do sali wepchnął się du Paty, a za nim generał Gonse. Rozejrzeli się, po czym wyszli.

Wkrótce pojawili się główni aktorzy. A więc *maître* Edgar Demange, adwokat Dreyfusa – egzotyczny w czarnej todze i czarnym cylindrze, choć poza tym był uosobieniem nudnego rolnika w średnim wieku, o szerokiej, gładko ogolonej twarzy i z rozwichrzonymi, potarganymi bokobrodami. Oskarżać miał Brisset, chudy jak szczapa mężczyzna w mundurze z dystynkcjami majora. Na koniec weszło siedmiu sędziów wojskowych, również w mundurach – jeden pułkownik, trzech majorów i dwóch kapitanów. Prowadził ich przewodniczący składu

sędziowskiego, pułkownik Émilien Maurel – pomarszczony starszy pan o niezdrowym wyglądzie; później dowiedziałem się, że cierpiał na hemoroidy. Zajął miejsce pośrodku długiego stołu i cierpkim tonem polecił:

– Wprowadzić oskarżonego!

Oczy wszystkich zwróciły się w głąb sali, otworzyły się drzwi i wszedł podsądny. Był nieco zgięty z braku ćwiczeń fizycznych, szary ze zmęczenia i przesiadywania w ciemności celi, chudy z niedożywienia – w ciągu dziesięciu tygodni postarzał się o dziesięć lat. Mimo to, idąc na środek pomieszczenia pod eskortą porucznika z Gwardii Republikańskiej, trzymał głowę tak prosto, że zakrawało to na bezczelność. W jego chodzie dostrzegłem nawet coś jakby niecierpliwe wyczekiwanie. Niewykluczone, że Mercier słusznie się martwił. *Ma wielkopańskie maniery i nie może się doczekać rozpoczęcia procesu* – zanotowałem. Zatrzymał się przed pułkownikiem Maurelem i zasalutował.

Maurel odkaszlnął, by oczyścić gardło, po czym rzekł:

– Podajcie swoje nazwisko.

– Alfred Dreyfus.

– Miejsce urodzenia?

– Miluza.

– Wiek?

– Trzydzieści pięć lat.

– Możecie usiąść.

Dreyfus zajął miejsce. Zdjął czapkę i położył pod krzesłem. Poprawił na nosie pince-nez, rozejrzał się. Siedziałem na linii jego wzroku. Niemal od razu jego spojrzenie spoczęło na mnie. Wytrzymywałem je przez dobre pół minuty. Co wyrażała jego mina? Nie mogłem się zorientować. Czułem jednak, że jeśli ucieknę wzrokiem, to tym samym przyznam, że zachowałem się w stosunku do niego podle, więc nie odwróciłem oczu.

Ostatecznie to oskarżyciel, Brisset, przerwał nasz pojedynek i sprawił, że jednocześnie spojrzeliśmy w inną stronę. Wstał i oświadczył:

– Panie przewodniczący, ze względu na delikatny charakter tego procesu wnosimy o to, żeby rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych.

Demange natychmiast zerwał się na równe nogi.

– Panie przewodniczący, zgłaszamy stanowczy sprzeciw. Mój klient ma prawo do takiego samego traktowania jak każdy inny oskarżony.

– Panie przewodniczący, w normalnych okolicznościach nikt by z tym nie dyskutował. Ale dowody przeciwko kapitanowi Dreyfusowi siłą rzeczy mają istotny związek z bezpieczeństwem narodowym.

– Z całym szacunkiem, tak naprawdę jedyny dowód przeciwko mojemu klientowi to zaledwie jedna strona dyskusyjnego pisma…

Po sali przeszedł pomruk zdziwienia. Maurel uciszył go, waląc młotkiem w stół.

– *Maître* Demange! Proszę zamilknąć! Jest pan zbyt doświadczonym adwokatem, by się uciekać do takich tanich sztuczek. Zarządzam przerwę w rozprawie, podczas której udamy się na naradę. Odprowadzić oskarżonego do celi.

Dreyfusa wyprowadzono. Za nim gęsiego wyszli sędziowie. Demange wydawał się zadowolony z tej pierwszej potyczki. Jak później ostrzegłem Merciera, bez względu na dalszy rozwój wypadków udało mu się przemycić do wiadomości publicznej informację o tym, że całe to oskarżenie się chwieje.

Sędziowie wrócili piętnaście minut później. Maurel kazał doprowadzić Dreyfusa z celi. Gdy oskarżony znów zasiadł na swoim miejscu, wydawał się jak zwykle nieporuszony.

– Starannie rozważyliśmy wszystkie za i przeciw – oświadczył Maurel. – Ten proces jest wysoce nietypowy w tym sensie, że dotyka poważnych oraz najbardziej drażliwych kwestii związanych z bezpieczeństwem narodowym. W takich sprawach ostrożności nigdy nie za wiele. Postanowiliśmy więc, że publiczność natychmiast zostanie usunięta, a proces będzie się toczył przy drzwiach zamkniętych. – Rozległ się głośny jęk zawodu i rozczarowania. Demange próbował protestować, lecz Maurel znów stuknął młotkiem. – O nie, nic z tego! Podjąłem już decyzję, *maître* Demange! Nie zamierzam z panem dyskutować. Woźny, proszę opróżnić salę!

Demange skulił się na krześle. Miał ponurą minę. Wyprowadzenie dziennikarzy i publiczności zajęło żandarmom raptem dwie minuty. Gdy woźny zamknął drzwi, atmosfera na sali krańcowo się zmieniła. Zapadła cisza. Zabite dywanami okna podkreślały wrażenie odcięcia od świata zewnętrznego. Zostało tylko trzynaście osób: Dreyfus, jego obrońca i oskarżyciel, siedmiu sędziów, woźny o nazwisku Vallecalle, przedstawiciel policji i ja.

– No, to teraz możemy przejść do oceny materiału dowodowego – rzekł Maurel. – Niech

więzień wstanie. *Monsieur* Vallecalle, proszę odczytać akt oskarżenia…

* * *

Przez trzy kolejne popołudnia po zakończeniu sesji sądu zbiegałem schodami, mijając czekających dziennikarzy, których pytania puszczałem mimo uszu, wychodziłem w zimowy mrok i oblodzonym chodnikiem szedłem dokładnie siedemset dwadzieścia metrów – za każdym razem odmierzając je krokami – z rue du Cherche-Midi do *hôtel* de Brienne.

– Major Picquart do ministra wojny…

Moje sprawozdania dla ministra zawsze przebiegały według tego samego wzoru. Mercier słuchał z uwagą. Zadawał kilka zwięzłych i celnych pytań. Potem wysyłał mnie do Boisdeffre'a, żebym powtórzył mu to samo. Boisdeffre, który dopiero co wrócił z Moskwy z pogrzebu cara Aleksandra III, ze szlachetną głową niewątpliwie pełną spraw rosyjskich, grzecznie słuchał mnie do samego końca, przeważnie powstrzymując się od komentarzy. Od Boisdeffre'a powóz należący do Ministerstwa Wojny wiózł mnie do Pałacu Elizejskiego. Tam składałem sprawozdanie samemu prezydentowi

republiki, którym był smętny Jean Casimir-Perier – niewdzięczne zadanie, bo prezydent od dawna podejrzewał, że minister wojny knuje coś za jego plecami. W gruncie rzeczy w tamtym czasie Casimir-Perier sam był kimś w rodzaju więźnia – odcięty od świata w pozłacanych apartamentach i ignorowany przez swoich ministrów, został sprowadzony do czysto dekoracyjnej roli. Demonstracyjnie okazywał swą pogardę dla wojska w ten sposób, że ani razu nie poprosił, bym usiadł. Poza tym wciąż przerywał moją relację sarkastycznymi uwagami i prychał z niedowierzaniem: „To wygląda na spisek żywcem wyjęty z opery komicznej!”.

Prywatnie podzielałem jego złe przeczucia, narastające z upływem tygodnia. Pierwszego dnia zeznawało sześciu głównych architektów sprawy wytoczonej Dreyfusowi: Gonse, Fabre i d’Aboville, Henry, Gribelin i du Paty. Gonse wyjaśnił, że Dreyfus miał łatwy dostęp do tajnych dokumentów, które przekazywano wraz z *bordereau*. Fabre i d’Aboville opisali jego podejrzane zachowanie w czasach, gdy służył w Wydziale Czwartym. Henry potwierdził w zeznaniu autentyczność *bordereau* jako dowodu wyniesionego z ambasady Niemiec. Gribelin – opierając się na raportach policyjnych

zebranych przez Guénéego – odmalował Dreyfusa jako kobieciarza i hazardzistę, w co, szczerze mówiąc, trudno mi było uwierzyć. Jednak du Paty twierdził, że Dreyfusem kierowały „zwierzęce żądze" i że pomimo wymuskanego wyglądu to *canaille* – szumowina – na co Dreyfus pokręcił tylko głową. Poza tym du Paty sugerował, że oskarżony celowo próbował zmienić charakter pisma podczas dyktanda. To oskarżenie Demange w znacznym stopniu podważył, pokazując pułkownikowi próbkę pisma Dreyfusa i prosząc, by wskazał, w których to miejscach Dreyfus dokonał zmian; du Paty nie potrafił na to odpowiedzieć.

W sumie nie wyglądało to imponująco.

Pod koniec mojego pierwszego sprawozdania, kiedy Mercier zapytał, jak według mnie wyglądają szanse oskarżenia, pomrukiwałem, wahając się przed udzieleniem odpowiedzi.

– No już, majorze – przywołał mnie cicho do porządku. – Proszę o pańską szczerą opinię. Przecież po to pana tam wysłałem.

– Cóż, panie ministrze, jeśli mam być całkiem szczery, wszystko opiera się na bardzo słabych poszlakach. Udowodniliśmy ponad wszelką wątpliwość, że Dreyfus mógł być zdrajcą, ale nie

przedstawiliśmy niezbitego dowodu na to, że to był rzeczywiście on.

Mercier odchrząknął, lecz powstrzymał się od komentarza. Jednakże kiedy następnego dnia stawiłem się w gmachu sądu przed rozpoczęciem drugiej rozprawy, czekał na mnie Henry.

– Podobno powiedział pan ministrowi, że nasze oskarżenie wygląda marnie – zaatakował mnie z wyrzutem.

– A nie jest tak?

– Moim zdaniem nie.

– Niechże pan się nie obraża, majorze. Zapali pan? – Podsunąłem mu papierośnicę, a kiedy niechętnie wziął papierosa, potarłem zapałkę o draskę i najpierw przypaliłem jemu. – Właściwie nie powiedziałem, że wygląda marnie, tylko że jest za mało konkretne.

– Mój Boże, łatwo panu tak mówić – odparował Henry, wypuszczając chmurę dymu, gdy westchnął z irytacją. – Gdyby pan wiedział, ile konkretnych dowodów zebraliśmy przeciwko tej świni. Mamy nawet list od funkcjonariusza obcego wywiadu, w którym Dreyfus jest wymieniony jako zdrajca… Dałby pan wiarę?

– Więc go wykorzystajcie.

– Niby jak? Zdradzilibyśmy nasze najtajniejsze źródła osobowe. To by nam

przyniosło jeszcze więcej szkody, niż wyrządził Dreyfus.

– Nawet podczas rozprawy za zamkniętymi drzwiami?

– Niech pan nie będzie naiwny, Picquart! Każde słowo wypowiedziane w tej sali sądowej pewnego dnia wycieknie.

– W takim razie nie wiem, co panu zaproponować.

Henry zaciągnął się głęboko.

– Jak by to przyjęto, gdybym jeszcze raz stanął przed sądem i opisał część dowodów, jakie mamy w aktach? – spytał, rozglądając się i sprawdzając, czy nikt nas nie podsłuchuje.

– Przecież pan już zeznawał.

– A nie można by mnie wezwać ponownie?

– Pod jakim pretekstem?

– Może pan mógłby porozmawiać z pułkownikiem Maurelem i mu to zasugerować?

– I jaki powód miałbym mu podać?

– Nie wiem. Ale jestem pewien, że coś się da wymyślić.

– Henry, mój drogi, kazano mi obserwować ten proces, a nie wpływać na jego przebieg.

– No i dobrze – burknął Henry z goryczą. Zaciągnął się po raz ostatni, po czym rzucił

niedopałek na kamienną posadzkę i przydeptał go czubkiem buta. – Sam to załatwię.

Poranną sesję drugiego dnia procesu przeznaczono na defiladę oficerów ze sztabu generalnego. Tłoczyli się w kolejce, żeby oczerniać swojego byłego kolegę, prosto w oczy. Opisywali człowieka, który myszkował po ich biurkach, z nikim nie chciał się bratać i zawsze zachowywał się w taki sposób, jakby górował nad nimi intelektualnie. Jeden z nich twierdził, jakoby Dreyfus zdradził mu, że ma w nosie, czy Alzacja znajduje się pod okupacją niemiecką, bo jest Żydem, a Żydzi, którzy nie mają własnej ojczyzny, podchodzą do zmiany granic obojętnie. Mina Dreyfusa, kiedy wygadywano te wszystkie bzdury, nie wyrażała żadnych uczuć. Można by pomyśleć, że jest głuchy jak pień albo celowo nie słucha. Co jakiś czas podnosił jednak rękę na znak, że chciałby coś powiedzieć. Potem tym swoim monotonnym głosem spokojnie prostował fakty – to zeznanie jest fałszywe, ponieważ w owym czasie nie pracował w wydziale; to stwierdzenie nie jest zgodne z prawdą, ponieważ nigdy w życiu nie spotkał rzeczonego mężczyzny. Wydawało się, że jest całkowicie wyzbyty gniewu. Był jak maszyna. Kilku oficerów powiedziało parę słów w jego obronie. Mój

przyjaciel od lat, Mercier-Milton, nazwał go „wiernym i uczciwym żołnierzem”. Kapitan Tocanne, który chodził na moje zajęcia z topografii z Dreyfusem, oświadczył, że oskarżony „nie jest zdolny do popełnienia przestępstwa”.

A potem, zaraz po otwarciu sesji popołudniowej, jeden z sędziów, major Gallet, oświadczył, że musi poddać pod rozwagę sądu sprawę wielkiej wagi. O ile mu wiadomo, stwierdził poważnym tonem, podejrzewano istnienie zdrajcy w sztabie generalnym i dochodzenie w tej sprawie prowadzono już wcześniej, zanim jeszcze w październiku wszczęto śledztwo dotyczące Dreyfusa. Jeżeli to prawda, to żałuje, że zatajono tę informację przed sądem. Wnioskuje więc, by natychmiast wyjaśnić, jak to naprawdę było. Pułkownik Maurel przyznał mu rację i nakazał woźnemu ponownie wezwać majora Henry’ego. Henry zjawił się kilka minut później – wyraźnie zawstydzony, kończył zapinać mundur, jakby właśnie wyciągnięto go z baru. Zapisałem godzinę: 2.35.

Demange mógł zgłosić sprzeciw wobec ponownego wezwania majora. Ale Henry z taką wirtuozerią odegrał opornego świadka – stał

przed sędziami z gołą głową, nerwowo miętosząc czapkę w rękach – że obrońca najwyraźniej dał się zwieść i uznał, że cokolwiek się wydarzy, będzie to z korzyścią dla Dreyfusa.

– Majorze Henry – odezwał się Maurel surowo. – Sąd dowiedział się, że wasze wczorajsze zeznania nie były całkiem szczere i że nie poinformowaliście nas o wcześniejszym śledztwie dotyczącym szpiega w sztabie generalnym. Czy to prawda?

– Prawda, panie przewodniczący – wymamrotał Henry.

– Głośniej, majorze! Nie słyszymy was!

– Tak, to prawda – odparł Henry głośno. Powiódł po siedzących rzędem sędziach wyzywającym, acz skruszonym wzrokiem. – Nie chciałem zdradzać więcej tajnych informacji, niż to konieczne.

– Więc proszę powiedzieć nam prawdę teraz, jeśli łaska.

Henry westchnął i przeczesał palcami włosy.

– Trudno – rzucił. – Skoro takie jest życzenie sądu. To było w marcu tego roku. Pewna szacowna… bardzo szacowna… osoba zawiadomiła nas, że w sztabie generalnym działa zdrajca przekazujący tajemnice obcemu mocarstwu. W czerwcu ponowił to ostrzeżenie,

zgłaszając je mnie osobiście, i tym razem dorzucił więcej konkretów. – Zawiesił głos.

– Proszę mówić dalej, majorze.

– Powiedział, że zdrajca pracuje w Wydziale Drugim. – Henry odwrócił się i wskazał palcem Dreyfusa. – Tym zdrajcą jest ten człowiek!

W małym pomieszczeniu oskarżenie wybuchło z siłą granatu. Dreyfus, dotychczas wręcz nieludzko spokojny, zerwał się na równe nogi, by zgłosić sprzeciw wobec takiej pułapki. Jego blada twarz poczerwieniała z gniewu.

– Panie przewodniczący, stanowczo domagam się ujawnienia nazwiska tego informatora! – krzyknął.

Maurel uderzył młotkiem.

– Oskarżony, siadać!

Demange pociągnął swojego klienta od tyłu za kurtkę, próbując usadzić go na miejscu. Usłyszałem jego szept:

– Proszę to zostawić mnie, kapitanie. W końcu za to mi pan płaci. – A kiedy Dreyfus usiadł niechętnie, Demange wstał i zwrócił się do sądu: – Panie przewodniczący, mamy tu do czynienia z dowodem ze słyszenia… a to obraza wymiaru sprawiedliwości. Obrona kategorycznie domaga się wezwania tego informatora, żeby także mogła go przesłuchać. Inaczej nic z tego, co tu zostało

powiedziane, w sensie prawnym nie będzie miało żadnej wagi. Majorze Henry, musi pan przynajmniej wyjawić nam nazwisko tego człowieka.

Henry obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Widać, że nie ma pan bladego pojęcia o wywiadzie, *maître* Demange! – Pomachał mu swoim kepi. – Oficer nosi w głowie takie tajemnice, których nie wolno mu powierzyć nawet własnej czapce!

Na te słowa Dreyfus znów zerwał się z miejsca.

– To oburzające! – krzyknął, na co Maurel znów musiał postukać młotkiem, by zaprowadzić porządek.

– Majorze Henry, nie będziemy domagać się podania nazwiska, ale czy przysięga pan na swój honor, że zdrajcą, o którym była mowa, jest kapitan Dreyfus? – zapytał przewodniczący składu sędziowskiego.

Henry powoli uniósł tłusty i krótki palec wskazujący, wycelował go w obraz Chrystusa wiszący nad głową sędziego i płomiennym głosem kaznodziei oświadczył:

– Przysięgam!

* * *

Wieczorem opisałem to starcie Mercierowi.

– W pańskich ustach brzmi to bardzo dramatycznie – ocenił.

– Moim zdaniem można bezpiecznie założyć, że jeśli major Henry kiedyś odejdzie z wojska, to Comédie-Française przyjmie go z otwartymi rękami.

– Ale czy jego zeznania przyniosą pożądany rezultat?

– W sensie teatralnym były pierwszorzędne. A czy mają znaczenie od strony prawnej, to już inna sprawa.

Minister zagłębił się w fotelu i w zadumie złożył dłonie w daszek.

– Kto ma zeznawać jutro? – zapytał.

– Rano będzie grafolog, Bertillon. Po południu obrona powoła świadków na okoliczność przymiotów charakteru Dreyfusa.

– Kogo?

– Przyjaciół rodziny… Biznesmena, lekarza, naczelnego rabina Paryża…

– Na miłość boską! – zawołał Mercier. Po raz pierwszy widziałem, żeby okazał jakieś emocje. – A cóż to znowu za bzdura? Wyobraża pan sobie, żeby Niemcy urządzili taki cyrk? Kajzer zdrajcę w swoim wojsku zwyczajnie kazałby postawić pod mur i rozstrzelać! – Dźwignął się z fotela

i podszedł do kominka. – To jeden z powodów, dla których przegraliśmy w siedemdziesiątym… Nie mamy za grosz ich bezwzględności! – Wziął pogrzebacz i zaczął wściekle dźgać węgielki, tak że w górę komina wystrzeliły wirujące pomarańczowe iskierki. Milczałem, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Przyznaję, że współczułem mu trochę tego kłopotliwego położenia. Toczył walkę na śmierć i życie, tyle że bez możliwości użycia swoich najlepszych wojsk. Po chwili, nie odrywając wzroku od płomieni, odezwał się cicho: – Pułkownik Sandherr zebrał akta na użytek sądu wojskowego. Widziałem je. Boisdeffre również. Dowodzą ponad wszelką wątpliwość, jak wielkich zbrodni dopuścił się Dreyfus. Co pańskim zdaniem powinienem z nimi zrobić?

– Pokazać je w sądzie – odparłem bez wahania.

– Nie możemy… To by oznaczało, że również Dreyfus je obejrzy. A gdyby tak udało się pokazać je sędziom po kryjomu, żeby mieli pojęcie, z czym mamy tu do czynienia?

– Wtedy bym to zrobił.

Obejrzał się na mnie przez ramię.

– Nawet gdyby wiązało się to ze złamaniem procedury sądowej?

– Powiem tylko tyle, że jeśli pan tego nie zrobi, istnieje ryzyko, że Dreyfus zostanie uniewinniony – odparłem. – Zważywszy na okoliczności, niektórzy uznaliby to za pański obowiązek.

Mówiłem mu to, co chciał usłyszeć. Chociaż nie robiło to najmniejszej różnicy. On i tak by to zrobił. Zostawiłem go, kiedy nadal grzebał w kominku.

Następnego dnia rano Bertillon złożył zeznania. Stawił się objuczony rozmaitymi wykresami i próbkami pisma, które wręczył sędziom, obronie i oskarżeniu. Na sztalugach umieścił skomplikowany diagram ze strzałkami.

– Dwaj grafolodzy twierdzili, że Dreyfus napisał ten *bordereau*, a dwaj inni wykazali rozbieżności i doszli do wniosku, że to nie jego pismo – zagaił. – Ja, panie przewodniczący, pogodzę te dwie sprzeczne opinie.

Śniady i włochaty, chodził tam i z powrotem w ciasnym pomieszczeniu niczym nieduża małpa w klatce. Mówił bardzo szybko. Od czasu do czasu wskazywał na wykres.

– Panowie, jak widzicie, wziąłem *bordereau* i naniosłem na niego siatkę poziomych i pionowych linii w odstępach pięciomilimetrowych. I co nam to mówi?

Widzimy, że wszystkie słowa występujące dwukrotnie… jak *manewry*, *modyfikacje*, *zwrócić*, *przepisać*… zaczynają się, z dokładnością do milimetra, w tym samym miejscu jednego z kwadratów, które wyrysowałem. W pojedynczym przypadku prawdopodobieństwo takiego zdarzenia wynosi jeden do pięciu. Szanse wystąpienia takiej sytuacji we wszystkich przypadkach, które tu mamy, to szesnaście do dziesięciu tysięcy. A prawdopodobieństwo, że nastąpi to w przypadku wszystkich przeanalizowanych przeze mnie słów, jest jak jeden na sto milionów! Wniosek: taka sytuacja nie mogłaby się zdarzyć w przypadku naturalnie pisanego dokumentu. Wniosek: ten *bordereau* został sfałszowany. Pytanie: kto go sfałszował i po co? Odpowiedź: spójrzcie ponownie na wielosylabowe słowa powtarzające się w dokumencie: *manewry*, *modyfikacje*. Jeśli je nałożycie na siebie, przekonacie się, że początek słów się pokrywa, a ich koniec już nie. Jeśli jednak przesuniemy poprzedzające słowa o jeden i ćwierć milimetra na prawo, końce słów również się pokryją. Panowie, próbki pisma Alfreda Dreyfusa dostarczone mi z Ministerstwa Wojny wykazują dokładnie te same osobliwości! Co się zaś tyczy

rozbieżności między charakterem pisma oskarżonego a *bordereau*… najbardziej widocznych w literach „o” i „s”… to proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy dokładnie taki sam rozkład tych liter znalazłem w korespondencji skonfiskowanej żonie i bratu winowajcy. Siatkowanie co pięć milimetrów, rozmiar dwanaście koma pięć centymetra i zachodzenie na siebie co jeden i ćwierć milimetra! Występuje to zawsze… Za każdym razem, bez wyjątku! Wniosek końcowy: żeby uniknąć zdemaskowania, Dreyfus sfałszował własny charakter pisma, wprowadzając modyfikacje wzięte z korespondencji członków rodziny!

– A więc *bordereau* musiał wyjść spod mojej ręki zarówno dlatego, że przypomina mój charakter pisma, jak i dlatego, że jest całkiem inny? – wpadł mu w słowo Dreyfus.

– Otóż to!

– Zatem posługuje się pan argumentacją, której nigdy, w żaden sposób nie da się obalić.

Trafna uwaga. Musiałem zdusić uśmiech. Ale chociaż Dreyfus – a prawdę mówiąc, ja również – uważał Bertillona za oszusta, to jednak widziałem, że na sędziach zrobił duże wrażenie. Oni byli żołnierzami. Lubili fakty, wykresy,

wyrysowane kratki i słowa takie jak „siatkowanie”. Jeden na sto milionów! Oto statystyka, na której mogli się oprzeć.

Podczas przerwy obiadowej w korytarzu zaczepił mnie du Paty. Zacierał ręce.

– Z postawy kilku sędziów wnoszę, że Bertillon dobrze się dzisiaj sprawił – powiedział. – Teraz już wierzę, że nareszcie poślemy tego łotra tam, gdzie jego miejsce. Co pan przekaże ministrowi?

– Że Bertillon, zdaje się, ma nie po kolei w głowie, więc nadal nie jestem pewny, czy szanse na wyrok skazujący są większe niż pół na pół.

– Minister mówił mi o pańskim pesymizmie. Ławo jest krytykować, stojąc z boku. – Podał mi dużą szarą kopertę, którą trzymał pod pachą. – To dla pana od generała Merciera.

Koperta prawie nic nie ważyła. Mogła zawierać góra kilkanaście kartek. W górnym prawym rogu widniała napisana niebieską kredką wielka litera „D”.

– Co mam z tym zrobić? – spytałem.

– Przed końcem posiedzenia ma pan to wręczyć przewodniczącemu składu sędziowskiego, tak dyskretnie, jak to tylko możliwe.

– Co jest w środku?

– Nie musi pan tego wiedzieć. Niech pan mu to po prostu da, Picquart, i tyle. I niech pan się postara nie być aż takim defetystą.

Wziąłem kopertę na popołudniową sesję sądu. Nie wiedziałem, gdzie ją położyć. Pod krzesłem? Obok niego? W końcu siedziałem, z zakłopotaniem trzymając ją na kolanach, kiedy obrońca wzywał świadków mających zeznawać na okoliczność charakteru oskarżonego – garstkę oficerów, przemysłowca, lekarza, naczelnego rabina Paryża w hebrajskim stroju. Pułkownik Maurel, któremu najwyraźniej doskwierały hemoroidy, uporał się z nimi migiem, zwłaszcza z rabinem.

– Pańskie nazwisko?

– Dreyfuss…

– Dreyfus? Jest pan jego krewnym?

– Nie, to inna rodzina. My się piszemy przez dwa „s”. Jestem naczelnym rabinem Paryża.

– Fascynujące. Co panu wiadomo o tej sprawie?

– Nic. Ale od dawna znam rodzinę oskarżonego i moim zdaniem to jest uczciwa rodzina…

W trakcie zeznań rabina Maurel wiercił się nerwowo.

– Dziękuję. Świadek jest wolny. Tym samym zamknęliśmy materiał dowodowy. Jutro wysłuchamy wystąpień końcowych. Ogłaszam przerwę do jutra. Proszę odprowadzić więźnia do celi.

Dreyfus wziął czapkę, wstał, zasalutował, po czym został wyprowadzony z sali. Odczekałem, aż sędziowie zaczną schodzić gęsiego z podwyższenia, i wtedy podszedłem do Maurela.

– Przepraszam, pułkowniku – powiedziałem cicho. – Mam dla pana coś z Ministerstwa Wojny.

Maurel zerknął na mnie z irytacją. Był to mały, zgarbiony człowieczek o szarozielonej cerze.

– Owszem, majorze, spodziewałem się tej przesyłki. – Wsunął kopertę między inne papiery i bez słowa ruszył dalej. Odwróciłem się, patrząc w ślad za nim, i ujrzałem, że przygląda mi się adwokat Dreyfusa. Demange zmarszczył czoło, wydął usta i przez chwilę zdawało mi się, że mnie zaczepi. Skinąłem mu głową i minąłem go, chowając notes do kieszeni.

Gdy relacjonowałem ten epizod Mercierowi, oświadczył:

– Uważam, że postąpiliśmy słusznie.

– Ostatecznie to sędziowie ocenią materiał dowodowy – odparłem. – Pan może jedynie

dostarczyć im wszystkie fakty.

– Zakładam, że nie muszę panu przypominać, że o tej sprawie nie może wiedzieć nikt spoza naszej małej grupy – rzekł. Trochę liczyłem na to, że powie mi, co było w aktach, on jednak wziął pióro i znów zagłębił się w papierach. Na pożegnanie dodał: – I niech pan nie zapomni zawiadomić generała Boisdeffre'a, że zrobiłem tak, jak uzgodniliśmy.

Kiedy następnego dnia rano dotarłem na rue du Cherche-Midi, zebrał się tam już niewielki tłum. Na wypadek rozruchów bramy pilnowali dodatkowi żandarmi. W gmachu sądu kręciło się dwa razy więcej reporterów niż zwykle; jeden z nich powiedział mi, że obiecano im wstęp na salę rozpraw w momencie ogłaszania wyroku. Przecisnąłem się przez ciżbę i wszedłem na piętro.

O dziewiątej rozpoczął się ostatni dzień procesu. Każdy z siedmiu sędziów dostał szkło powiększające, kopię *bordereau* oraz próbkę pisma Dreyfusa. Wydawało się, że wygłaszanie mowy końcowej oskarżenia przez Brisseta trwa wieki.

– Proszę wziąć lupy – instruował sędziów – a nabierzecie pewności, że napisał to Dreyfus.

Sąd udał się na obiad. Po południu woźny zapalił lampy gazowe i w zapadającym zmierzchu Demange przystąpił do podsumowania argumentów obrony.

– Gdzie jest dowód? – pytał kategorycznym tonem. – Nie ma cienia dowodu łączącego mojego klienta z tą zbrodnią.

Maurel dał Dreyfusowi szansę wygłoszenia krótkiego oświadczenia. Ten, patrząc prosto przed siebie, oznajmił:

– Jestem Francuzem, a przede wszystkim Alzatczykiem, a nie zdrajcą.

Na tym rozprawa się zakończyła i Dreyfusa wyprowadzono, by czekał na wyrok w innej części budynku.

Gdy sędziowie udali się na naradę, wyszedłem na dziedziniec, uciekając od przytłaczającej atmosfery. Dochodziła szósta wieczorem, panował dotkliwy ziąb. W cieniu mrocznej latarni gazowej stała grupka żołnierzy z paryskiego garnizonu. Władze zamknęły już bramy od ulicy. Panowała tu atmosfera jak w oblężonej twierdzy. Słyszałem tłum kręcący się i rozmawiający w ciemności za wysokim murem. Zapaliłem papierosa.

– Zauważyliście, jak Dreyfus gubił co drugi krok, kiedy go sprowadzali na parter? – zapytał

któryś z reporterów. – Biedak nie wie, gdzie się znalazł.

– Mam nadzieję, że się uwiną przed zesłaniem pierwszego wydania do druku – powiedział inny.

– Spokojnie, zdążą bez problemu… nie chcą się spóźnić na kolację.

O wpół do siódmej przydzielony sędziom adiutant oznajmił, że otwarto ponownie drzwi sali rozpraw. Reporterzy tłumnie rzucili się, by zająć najlepsze miejsca. Ruszyłem za nimi na górę. Obok drzwi stali w szeregu Gonse, Henry, du Paty i Gribelin. Nerwowe napięcie było tak wielkie, że ich twarze bielą niewiele ustępowały ścianom. Skinęliśmy sobie głowami, ale nie rozmawialiśmy. Po raz ostatni zająłem swoje miejsce i wyciągnąłem notes. W tej ciasnej klitce stłoczyło się pewnie ze sto osób, a jednak panowała cisza jak makiem zasiał. Przypominała ciszę pod wodą… aż się czuło fizyczny ucisk na płuca i uszy. Z całego serca pragnąłem, żeby to się wreszcie skończyło. O siódmej z korytarza dobiegły okrzyki: „Na ramię broń!”, „Prezentuj broń!”, po których doleciał tupot kroków. Sędziowie, w ślad za Maurelem, po kolei weszli na salę.

– Proszę wstać!

Woźny sądowy, Vallecalle, odczytał wyrok:

– W imieniu narodu francuskiego – rozpoczął, na co siedmiu sędziów uniosło ręce do czapek, salutując – Pierwszy Stały Sąd Wojskowy Rządu Wojskowego w Paryżu, rozpoznawszy sprawę przy drzwiach zamkniętych, na posiedzeniu jawnym wydał następujący wyrok… – Kiedy wypowiedział słowo: „Winny”, z tyłu pomieszczenia dobiegł okrzyk: *Vive la patrie!* Reporterzy wybiegli z sali.

– *Maître* Demange, może pan pójść zawiadomić skazańca – oświadczył Maurel.

Prawnik nie ruszył się z miejsca. Siedział z głową ukrytą w rękach. Płakał.

Z zewnątrz doleciał osobliwy dźwięk – dziwne bębnienie i wycie, które w pierwszej chwili wziąłem za deszcz i wicher. Potem uświadomiłem sobie, że to tłum na ulicy przyjął wyrok owacją i brawami. „Precz z Żydami!”, „Śmierć żydowskiemu zdrajcy!”.

* * *

– Major Picquart do ministra wojny…

Obok wartownika. Przez dziedziniec. Do holu. Po schodach na górę.

Mercier stał na środku gabinetu, w mundurze galowym. Na piersi miał istną zbroję z medali

i orderów. Obok niego stała jego angielska żona w sukni z niebieskiego aksamitu i z brylantami na szyi. Oboje wydawali się mali i drobni, jak para manekinów w historycznej scence.

Zasapany po biegu, pomimo zimna byłem zlany potem.

– Winny – zdołałem wykrztusić. – Dożywotnie zesłanie do ustronnej fortecy.

Ręka *madame* Mercier pofrunęła do biustu.

– Biedak – powiedziała.

Minister mrugał, patrząc na mnie, ale nie skomentował tej wiadomości. Powiedział jedynie:

– Dziękuję za informację.

Boisdeffre'a również zastałem w jego gabinecie, podobnie obwieszonego medalami i w mundurze galowym – wraz z Mercierami właśnie wybierał się na uroczysty bankiet w Pałacu Elizejskim. Skwitował tylko:

– Przynajmniej będę mógł zjeść w spokoju.

Spełniwszy obowiązek, wybiegłem na rue Saint-Dominique i cudem złapałem dorożkę. O ósmej trzydzieści siadałem na miejscu obok Blanche de Comminges w Salle d'Harcourt. Rozejrzałem się, szukając Debussy'ego, ale go nie dostrzegłem. Dyrygent postukał batutą, flecista uniósł instrument do ust i pierwsze cudowne, melancholijne takty – zdaniem niektórych

wyznaczające narodziny muzyki współczesnej – sprawiły, że Dreyfus na dobre wywietrzał mi z pamięci.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Specjalnie zwlekam i dopiero pod sam koniec dnia pracy idę na górę do Gribelina. Jest zaskoczony, że staję w jego progach po raz drugi w ciągu dwóch dni. Wstaje, trzeszcząc w stawach.

– Panie pułkowniku? – mówi.

– Dobry wieczór, Gribelin. Chcę obejrzeć te tajne akta z materiałami na Dreyfusa, jeśli łaska.

Czy to wymysł mojej wyobraźni, czy też – tak jak w przypadku Lautha – dostrzegam w jego oczach błysk strachu?

– Niestety, pułkowniku, akurat tej teczki nie mam – odpowiada.

– W takim razie musi ją mieć major Henry.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Stąd, że przejmując dowodzenie tej sekcji, usłyszałem od pułkownika Sandherra, że gdybym miał jakieś pytania w związku z aktami Dreyfusa, mam się poradzić Henry'ego. Zrozumiałem, że Henry zatrzymał tę teczkę u siebie.

– No cóż, skoro tak twierdzi pułkownik Sandherr… – Gribelin zawiesza głos. I zaraz dodaje z nadzieją: – Tak sobie myślę, pułkowniku… Skoro Henry jest na urlopie, może lepiej zaczekać do jego powrotu…?

– Wykluczone. Nie będzie go jeszcze przez kilka tygodni, a ja potrzebuję tej teczki natychmiast. – Przerywam, czekając, aż się ruszy z miejsca. – No już, *monsieur* Gribelin. – Wyciągam do niego rękę. – Jestem pewien, że ma pan klucze do jego gabinetu.

Wyczuwam, że najchętniej by mnie okłamał. To jednak oznaczałoby, że odmówił wykonania wyraźnego rozkazu przełożonego. A w przeciwieństwie do Henry'ego Gribelin jest z gruntu niezdolny do takiego buntu.

– Cóż, pewnie możemy sprawdzić… – bąka. Otwiera kluczem dolną szufladę z prawej strony biurka i wyjmuje z niej pęk kluczy. Razem schodzimy piętro niżej.

Gabinet Henry'ego wychodzi na rue de l'Université. W niewietrzonym pokoju smród kanalizacji jeszcze bardziej urywa nos. Wielka ćma jak obłąkana tłucze się o brudne okno. Stoją tam sprzęty tradycyjnie przydzielane przez Ministerstwo Wojny: biurko, krzesło, sejf, szafka na akta i cienki kwadrat brązowego dywanu.

Jedyny akcent osobisty stanowią rzeźbiona drewniana tabakiera w kształcie psiej głowy na biurku, wyszukanie szkaradny niemiecki kufel do piwa z insygniami pułku, stojący na parapecie, oraz zdjęcie Henry'ego w otoczeniu kompanów w mundurach Drugiego Pułku Żuawów w Hanoi – służył tam w tym samym czasie co ja, chociaż jeśli się spotkaliśmy, wyleciało mi to z pamięci. Gribelin kuca, by otworzyć sejf. Przegląda teczki. Znalazłszy to, czego szukał, zamyka sejf z powrotem. Gdy się prostuje, jego kolana wydają odgłos łamanych gałązek.

– Proszę, panie pułkowniku.

Na pierwszy rzut oka jest to ta sama szara koperta z literą „D" w rogu, którą dwadzieścia miesięcy wcześniej wręczyłem przewodniczącemu sądu wojskowego, z tym że teraz pieczęć jest złamana. Ważę ją w ręku. Pamiętam, że kiedy dał mi ją du Paty, pomyślałem, jaka jest lekka – teraz odnoszę takie samo wrażenie.

– Czy to jest wszystko? – upewniam się.

– Wszystko. Kiedy pan skończy z tymi aktami, proszę dać mi znać, to zamknę je z powrotem.

– To już nie pańskie zmartwienie. Od tej pory sam się nimi zajmę.

* * *

Po powrocie do swojego gabinetu kładę kopertę na biurku i przyglądam jej się przez chwilę. Dziwne, że tak bezbarwny przedmiot może mieć aż takie znaczenie. Czy naprawdę chcę to zrobić? Kiedy się coś przeczyta, nie można już tego cofnąć. Może to grozić niewyobrażalnymi dla mnie konsekwencjami – zarówno natury prawnej, jak i etycznej.

Otwieram kopertę, wyjmuję zawartość. Jest tam pięć dokumentów.

Zaczynam od spisanego ręcznie zeznania Henry'ego, złożonego pod przysięgą, streszczającego jego teatralny występ przed sądem wojskowym.

Panowie

W czerwcu 1893 roku sekcja statystyczna weszła w posiadanie notatki napisanej przez niemieckiego attaché wojskowego, pułkownika Maximiliana von Schwartzkoppena. Treść notatki dowodziła, że otrzymał od nieznanego informatora plany fortyfikacji w Toul, Reims, Langres i Neufchâteau.

W styczniu 1894 roku z kolejnej przechwyconej notatki dowiedzieliśmy się, że zapłacił temu informatorowi zaliczkę w wysokości sześciuset franków za plany Albertville, Briançon, Mézières oraz nowych nabrzeży po obu stronach Mozeli i Meurthe.

Dwa miesiące później, w marcu 1894 roku, agent Sûreté, François Guénée, działając w naszym imieniu, spotkał się z hiszpańskim attaché wojskowym, markizem de Val Carlosem, który jest stałym informatorem sekcji statystycznej. Poza przekazaniem innych informacji wywiadowczych markiz ostrzegł p. Guénéego przed niemieckim agentem zatrudnionym w sztabie generalnym. Oto jego dokładne słowa: „Niech pan nie zapomni przekazać ode mnie majorowi Henry'emu (a on niech to powtórzy pułkownikowi), że istnieją powody do wzmożenia nadzoru w Ministerstwie Wojny, ponieważ z mojej ostatniej rozmowy z attaché Niemiec wynika, że mają oficera ulokowanego w sztabie generalnym, który dostarcza im podziwu godnych informacji. Znajdźcie go, Guénée! Podałbym panu jego nazwisko, gdybym tylko je znał!".

Później, w czerwcu 1894 roku, osobiście spotkałem się z markizem de Val Carlosem. Powiedział mi, że francuski oficer zatrudniony konkretnie w Wydziale Drugim sztabu generalnego – a w każdym razie pracujący tam w marcu i kwietniu – dostarczał informacji attaché niemieckiemu i włoskiemu. Spytałem o nazwisko tego oficera, ale mi go nie podał. Stwierdził: „Jestem pewny tego, co mówię, lecz nie znam jego nazwiska". W ślad za raportem z tej rozmowy, który złożyłem pułkownikowi Sandherrowi, wydano rozkaz wzmożenia ścisłego nadzoru. W tym okresie, dwudziestego piątego września, weszliśmy w posiadanie bordereau, który stanowił podstawę do oskarżenia Dreyfusa.

[Podpis]

Henry, Hubert-Joseph (major)

Następne trzy dokumenty to oryginały – posklejane kawałki kartek, wykradzione z kosza na śmieci Schwartzkoppena; surowe dane wywiadowcze, mające zapewne wzmocnić zeznanie Henry'ego. Pierwszy jest napisany ręką Schwartzkoppena, po niemiecku, i wygląda na brudnopis notatki – albo na jego własny użytek,

albo dla przełożonych w Berlinie – skreślonej zaraz po pierwszym kontakcie z przyszłym zdrajcą. Podarł go na wyjątkowo drobne strzępy i zostały zwodnicze luki:

Wątpliwość (…) Dowód (…) Świadectwo służby (…) Niebezpieczna dla mnie sytuacja z francuskim oficerem (…) Nie wolno mi prowadzić negocjacji osobiście (…) Przyniesie to, co ma (…) Absolutnie (…) Biuro Wywiadu (…) nie ma związku (…) Pułk (…) duże znaczenie (…) Odejdzie z ministerstwa (…) Już jest gdzie indziej (…)

Drugi posklejany dokument to list do Schwartzkoppena od włoskiego attaché wojskowego, majora Alessandro Panizzardiego. Napisany w styczniu 1894 roku, po francusku, zaczyna się od „Kochana paróweczko”:

Znów napisałem do pułkownika Davignona i dlatego, jeżeli trafi Ci się okazja do poruszenia tego tematu z Twoim przyjacielem, proszę, byś zrobił to w taki sposób, żeby Davignon się o tym nie dowiedział (…), bo nigdy nie może wyjść na jaw, że jeden z drugim utrzymuje kontakty.

Do zobaczenia, mój wierny piesku,
Twój A.

Davignon jest zastępcą szefa Wydziału Drugiego – oficerem, do którego obowiązków należy udzielanie informacji rozmaitym attaché wojskowym oraz załatwianie im zaproszeń na manewry, przyjęcia, wykłady i tak dalej. Znam go dobrze. Jego prawość jest, jak to się mówi, bez zarzutu.

Trzecie zrekonstruowane pismo to list Schwartzkoppena do Panizzardiego:

P 16.4.94

Drogi przyjacielu

Niezwykle mi przykro, że nie zobaczyłem się z Tobą przed wyjazdem. Ale wracam już za osiem dni. W załączeniu przesyłam dwanaście planów generalnych Nicei, które dostałem dla Ciebie od tego łotra D. Powiedziałem mu, że nie zamierzasz odnowić kontaktów. On twierdzi, że zaszło jakieś nieporozumienie i że zrobi, co w jego mocy, żeby Cię zadowolić. Mówi, że Cię uprzedzał, żebyś nie miał mu tego za złe. Odparłem, że chyba oszalał i że moim

zdaniem nie odnowisz z nim stosunków. Ale rób, jak uważasz! Ja się śpieszę.

Alexandrine,
nie szlajaj się za bardzo!!!

Ostatni dokument, znów napisany odręcznie, to komentarz do rzekomej kariery Dreyfusa jako szpiega, sygnowany przez du Paty'ego. Usiłuje zebrać w nim wszystkie te strzępy dowodów w spójną całość:

Kapitan Dreyfus zaczął szpiegować na rzecz niemieckiego sztabu generalnego w roku 1890, w wieku trzydziestu lat, podczas nauki w École Centrale de Pyrotechnie Militaire w Bourges, gdzie wykradł dokument, w którym opisano proces napełniania pocisków kwasem pikrynowym.

W drugiej połowie roku 1893, w ramach systemu stażystów, kapitana Dreyfusa przydzielono do Wydziału Pierwszego sztabu generalnego. Miał tam dostęp do sejfu zawierającego plany rozmaitych fortyfikacji, w tym tych w Nicei. Podczas tego stażu zachowywał się podejrzanie. Śledztwo wykazało, że pod nieobecność

pracowników bez trudu mógł wynieść te plany z biura. Przekazano je ambasadzie niemieckiej, skąd później trafiły do włoskiego attaché wojskowego (patrz załącznik: „tego łotra D.”).

Na początku roku 1894 Dreyfus przeszedł do Wydziału Drugiego, a w marcu p. Guénée został poinformowany, że działa tam niemiecki szpieg (patrz załączony raport majora Henry’ego)…

I to wszystko. Podnoszę kopertę i na wszelki wypadek potrząsam nią, sprawdzając, czy niczego więcej w niej nie ma. Czy to w ogóle możliwe? Czuję zawód, a zarazem gniew. Nabrali mnie. W tych tak zwanych tajnych aktach nie ma nic poza poszlakami i insynuacjami. Żaden dokument ani świadek nie stwierdza wprost, że zdrajcą jest Dreyfus. Najbardziej obciąża go ów inicjał: „tego łotra D.”.

Ponownie czytam spisaną przez du Paty’ego kompilację tyleż śmiałych, co błędnych wniosków. Czy to w ogóle ma jakiś sens? Znam rozkład Wydziału Pierwszego i obowiązujące w nim procedury. To wykluczone, by Dreyfus zdołał niepostrzeżenie wynieść stamtąd coś wielkości planów architektonicznych. A gdyby

nawet, to ich brak natychmiast by zauważono. O ile mi jednak wiadomo, nikt nigdy nie zgłaszał zaginięcia dokumentów. Zapewne więc Dreyfus musiał je jakoś skopiować i odłożyć na miejsce… Czy właśnie to sugeruje du Paty? Ale jakim cudem zdołał tak szybko sporządzić tyle kopii? I jak mu się udało niepostrzeżenie przemycić oryginały z powrotem do sejfu? Poza tym nie zgadzają się daty. Dreyfus przeszedł do Jedynki w czerwcu 1893 roku, a jednak według Henry'ego Schwartzkoppen już wcześniej miał rozmaite wykradzione plany. No i słowa niemieckiego attaché, że D. chyba „oszalał" – czy można by użyć takiego słowa w odniesieniu do skrupulatnego Dreyfusa, nie mówiąc już o nazwaniu go „łotrem"?

Zamykam akta na klucz w swoim sejfie.

* * *

Tuż przed powrotem do domu zaglądam do ministerstwa, żeby umówić się na spotkanie z Boisdeffre'em. Oficerem dyżurnym jest Pauffin de Saint Morel. Informuje mnie, że szef wróci dopiero we wtorek.

– Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi? – pyta.

– Lepiej nie.

– Tajna sprawa?

– Bardzo tajna.

– Ani słowa więcej. – Wpisuje moje nazwisko do terminarza na dziesiątą i pyta: – A właśnie, pogadał pan ze starym Foucaultem o tej historii z niemieckim szpiegiem?

– Owszem, dziękuję.

– I co, to jakaś lipa?

– Lipa.

* * *

Sobotę spędzam w pracy, pisząc raport dla Boisdeffre'a: „Notatka Służby Wywiadowczej na temat majora Esterházyego z Siedemdziesiątego Czwartego Pułku Piechoty". Wymaga to przemyślnego opracowania wersji roboczych. Kilka razy popełniam falstart. W powściągliwy sposób opisuję przechwycenie *petit bleu*, śledztwo dotyczące podejrzanego charakteru Esterházyego, informację od Cuersa, że Niemcy (których ukrywam pod mało oryginalnym kryptonimem „X") wciąż mają szpiega we francuskim wojsku, oraz (*uderzające nawet dla zupełnego laika*) podobieństwo charakteru pisma Esterházyego z tym na *bordereau*. Raport

obejmuje bite cztery gęsto zapisane strony. We wniosku stwierdzam:

Przytoczone fakty wydają się na tyle poważne, by uzasadnić bardziej szczegółowe dochodzenie. Przede wszystkim niezbędne jest uzyskanie od majora Esterházyego wyjaśnień na temat jego związków z ambasadą X oraz użytku, jaki zrobił ze skopiowanych dokumentów. Koniecznie jednak należy działać z zaskoczenia, stanowczo, acz ostrożnie, ponieważ major słynie z niezrównanej zuchwałości i podstępnego charakteru.

Palę wszystkie notatki i brudnopisy w kominku, po czym zamykam gotowy raport, wraz z tajnymi aktami, w swoim sejfie. Tak wybuchowego materiału nie można powierzać poczcie. Dostarczę go osobiście.

* * *

Następnego dnia rano wsiadam do pociągu do Ville-d'Avray, gdzie mam niedzielny obiad z moimi kuzynami, Gastami. Kryty czerwoną

dachówką dom, La Ronse, stoi w pięknym miejscu na własnej działce przy głównej drodze do Wersalu. Pogoda jest wspaniała. Jeanne przygotowała piknik patriotycznie przywołujący nasze dziecięce dni spędzone w Alzacji – *rillettes de canard*, *flammekueche* i kiszoną kapustę z serem münster. Teoretycznie wszystko się układa. A jednak nie mogę się otrząsnąć z cienia rue de l'Université. Pośród odprężonych, opalonych przyjaciół jestem blady i wzburzony, chociaż staram się tego nie okazywać. Edmond przywozi ze stajni stary wózek dziecięcy, ładuje do niego wiklinowy kosz, koce i wino, po czym toczy go ścieżką, a my idziemy za nim jak kondukt.

Przez cały czas wypatruję Pauline; od niechcenia pytam siostrę, czy wie przypadkiem coś o jej przyjeździe, lecz Anna mi mówi, że Pauline postanowiła przedłużyć pobyt w Biarritz z Philippe'em i dziewczętami o dodatkowy tydzień. Przygląda się bacznie mojej cerze i kwituje:

– Ty też wyglądasz, jakby ci się przydały wakacje.

– Nic mi nie jest. Zresztą w tej chwili to niemożliwe.

– Ależ, Georges, po prostu musisz się postarać, żeby to było możliwe!

– Tak, wiem. Postaram się, obiecuję.

– Nie harowałbyś tak ciężko, gdybyś miał żonę, a w domu czekałaby na twój powrót rodzina.

– Boże jedyny! – rzucam ze śmiechem. – No nie, znowu?! – Zapalam papierosa, żeby wymigać się od dalszej rozmowy.

Skręcamy z piaszczystego traktu w las, między drzewa. Nagle Anna odzywa się:

– To takie smutne. Chyba rozumiesz, że Pauline nigdy nie odejdzie od Philippe'a? Z powodu dziewczynek.

Spoglądam na nią, zaskoczony.

– O czym ty mówisz? – pytam.

Siostra wlepia we mnie wzrok, a ja uświadamiam sobie, że dalsze udawanie nie ma sensu: ona zawsze potrafiła mnie przejrzeć na wylot.

– Nie sądziłem, że wiesz – mówię.

– Georges, wszyscy o tym wiedzą! Wszyscy wiedzą o tym od lat!

Wszyscy! Od lat! Czuję przypływ irytacji.

– Tak czy siak, skąd ci przyszło do głowy, że chciałbym, żeby zostawiła męża? – pytam cicho.

– Nie, ty wcale tego nie chcesz – odpowiada. – I właśnie to jest smutne.

Wyprzedza mnie i dalej idzie przede mną.

Rozkładamy koce na polanie, na skraju zbocza opadającego do kamienistego strumienia. Zauważyłem, że my, wygnańcy, kochamy lasy. W końcu drzewa to drzewa – łatwiej jest udawać, że się przebywa w ojczyźnie, zbiera grzyby i łapie owady w lasach Neudorfu. Dzieci ześlizgują się po stoku z butelkami wina i lemoniady, żeby schłodzić je w wodzie. Taplają się w błocie. Jest gorąco. Zdejmuję kapelusz i marynarkę. „Patrzcie, pułkownik się rozbiera i szykuje do akcji!” – woła ktoś. Uśmiecham się, salutuję na niby. Już od ponad roku piastuję obecne stanowisko, a nadal nikt nie wie, czym się zajmuję.

Przy obiedzie Edmondowi zebrało się na rozmowę o zbliżającej się wizycie cara. Ma na ten temat radykalne poglądy.

– Moim zdaniem to gruby błąd, że nasza demokratyczna republika rozwija dywan przed monarchą absolutnym, który ludzi o innych poglądach niż on wtrąca do lochów – mówi. – Nie po to istnieje Francja.

– Francja w ogóle może przestać istnieć, jeśli nie zdobędziemy sojusznika, który pomoże nam

pokonać Niemców – zwracam mu uwagę.

– Zgoda, ale co będzie, jeżeli to Rosjanie zaczną wojnę z Niemcami, a my zostaniemy w nią wciągnięci?

– Trudno sobie wyobrazić scenariusz, w którym mogłoby do tego dojść.

– Przykro mi, że muszę to tłumaczyć żołnierzowi, ale sprawy nie zawsze układają się po naszej myśli.

– Ed, skończże z tym wreszcie! – przerywa nam Jeanne. – Georges ma wolny dzień, przyjechał odpocząć, a nie słuchać twoich wykładów.

– Jak sobie chcecie – burczy Edmond. – Ale możesz przekazać ode mnie generałowi Boisdeffre'owi, że sojusze to broń obosieczna.

– Jestem pewny, że szef sztabu generalnego z wypiekami na twarzy wysłucha wykładu ze strategii z ust mera Ville-d'Avray.

Wszyscy wybuchają śmiechem, nawet Edmond.

– Trafiony, zatopiony, pułkowniku – mówi i dolewa mi wina.

Po jedzeniu bawimy się z dziećmi w chowanego. Gdy nadchodzi moja kolej, zagłębiam się sto kroków w las, rozglądając się za idealnym miejscem. Kładę się w niewielkim

zagłębieniu za zwalonym drzewem i zakrywam się zwiędłymi liśćmi oraz gałązkami, tak jak uczyłem moich studentów topografii w École Supérieure de Guerre. To niesamowite, jak można całkowicie zniknąć, jeśli ktoś się postara. Po śmierci ojca latem leżałem tak w lasach godzinami. Teraz słucham, jak dzieci wykrzykują moje imię. Po chwili nudzą się, odchodzą i nie słyszę już ich nawoływania. Dobiega mnie jedynie gruchanie grzywaczy i zapach żyznej suchej ziemi, a na szyi czuję muskanie miękkiego mchu. Przez dziesięć minut napawam się samotnością, a potem otrzepuję się i z uśmiechem wracam do pozostałych. Spakowali już sprzęty piknikowe i są gotowi do powrotu.

– Widzicie, w ten sposób żołnierz uczy się kryć! – mówię. – Chcecie, żebym was też nauczył?

Patrzą na mnie, jakbym postradał zmysły.

– Gdzieś ty się podziewał, na miłość boską?! – pyta Anna z irytacją.

Jedno z dzieci wybucha płaczem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

We wtorek, pierwszego września punktualnie o dziesiątej stawiam się z teczką w ręku w poczekalni gabinetu generała Boisdeffre’a.

– Proszę wejść, pułkowniku – wita mnie Pauffin de Saint Morel. – Czeka na pana.

– Dziękuję. Czy dopilnuje pan, żeby nam nikt nie przeszkadzał?

Zastaję Boisdeffre’a pochylonego nad stołem konferencyjnym – patrzy na plan Paryża i coś notuje. Odpowiada na mój salut uśmiechem, macha mi ręką, po czym wraca do planu.

– Pan wybaczy, Picquart. Za chwilkę kończę.

Zamykam za sobą drzwi. Boisdeffre wytycza trasę uroczystej carskiej parady i zaznacza ją na planie czerwoną kredką. Ze względów bezpieczeństwa Ich Cesarskie Moście mają się poruszać po otwartej przestrzeni – kolejno od Jardin du Ranelagh, przez Lasek Buloński, Champs Élysées po Place de la Concorde – gdzie wszystkie domy stoją cofnięte daleko od drogi i są zasłonięte drzewami. Mimo to odbywa się

sprawdzanie wszystkich mieszkańców, a sekcję statystyczną wzięto w charakterze doradcy – Gribelin ma pełne ręce roboty z naszymi listami obcych i potencjalnych zdrajców. Zważywszy na to, jak bardzo potrzebny nam jest sojusz z Rosjanami, zamordowanie cara na francuskiej ziemi oznaczałoby narodową katastrofę. A zagrożenie zamachem jest całkiem realne – zaledwie piętnaście lat wcześniej dziadek obecnego cara zginął od bomby podłożonej przez socjalistów, a przed dwoma laty naszego prezydenta zabił nożem anarchista.

Boisdeffre stuka palcem w plan miasta.

– Najbardziej mnie martwi ten pierwszy odcinek, od stacji kolejowej Ranelagh do Porte Dauphine – mówi. – Wydział Pierwszy twierdzi, że tylko do utrzymywania tłumów w bezpiecznej odległości będą potrzebne trzydzieści dwa tysiące żołnierzy, w tym kawalerzyści.

– Miejmy nadzieję, że Niemcy nie postanowią akurat wtedy zaatakować nas od wschodu.

– Tego by tylko brakowało! – Boisdeffre kończy pisać i po raz pierwszy spogląda na mnie z uwagą. – A więc, pułkowniku, o czym to musimy porozmawiać? Proszę. – Siada, wskazując mi krzesło naprzeciwko siebie. – Czy chodzi o wizytę Rosjan?

– Nie, generale. Chodzi o to, o czym mówiliśmy w automobilu, kiedy pan wracał z Vichy… że podejrzewamy Esterházyego o zdradę.

Dopiero po chwili udaje mu się wrócić pamięcią do tamtej sytuacji.

– Ach tak, przypominam sobie. I na czym stoimy?

– Czy mogę zrobić na blacie trochę miejsca…?

– Niech pan się nie krępuje.

Zwijam plan miasta. Boisdeffre wyciąga srebrną tabakierę. Posypuje szczyptą tabaki grzbiet dłoni i wciąga ją szybko na dwa niuchy, po jednym do każdej dziurki w nosie. Przygląda się, jak otwieram teczkę i wyjmuję to, co jest mi potrzebne do prezentacji: *petit bleu*, zdjęcie *bordereau*, list Esterházyego z prośbą o przeniesienie do sztabu generalnego, fotografie z inwigilacji, na których uwieczniono Esterházyego przed ambasadą Niemiec, tajne akta Dreyfusa oraz mój czterostronicowy raport podsumowujący dotychczasowe wyniki śledztwa. Mina generała wyraża coraz większe zdumienie.

– Wielkie nieba, Picquart! – mówi. – Czym pan się zajmował?

– Stoimy w obliczu bardzo poważnego problemu, panie generale. Czuję się w obowiązku

poinformować pana o tym bez zwłoki.

Boisdeffre krzywi się i ze smutkiem zerka na zwinięty plan miasta; bez dwóch zdań wolałby nie mieć z tą sprawą nic wspólnego.

– No trudno. – Wzdycha. – Jak pan sobie życzy. Proszę zaczynać.

Wprowadzam go w temat krok po kroku: przechwycenie *petit bleu*, moje wstępne dochodzenie dotyczące Esterházyego, Operacja Dobrodziej. Pokazuję mu zdjęcia zrobione z mieszkania przy rue de Lille.

– Tutaj widać, jak wnosi do ambasady kopertę, a tutaj, jak wychodzi już bez niej.

Boisdeffre wzrokiem krótkowidza przygląda się fotografiom.

– Mój Boże, ależ wy dzisiaj macie możliwości! – rzuca z podziwem.

– Całe szczęście, że Esterházy nie ma dostępu do naprawdę ważnych tajnych materiałów. To, co ma do zaoferowania, jest tak banalne, że nawet Niemcy chcą zerwać z nim kontakt. Jednakże – dorzucam, podsuwając mu dwa listy – Esterházy próbuje teraz stać się o wiele cenniejszym agentem, bo złożył podanie o stanowisko w ministerstwie… A tam miałby łatwy dostęp do tajemnic, rzecz jasna.

– Jak pan zdobył te listy?

– Generał Billot kazał swoim pracownikom, żeby mi je wydali.

– Kiedy to było?

– W ubiegły czwartek. – Przerywam, żeby odchrząknąć. Zaczyna się, przechodzi mi przez głowę. – Niemal natychmiast zauważyłem uderzające podobieństwo charakteru pisma Esterházyego i tego na *bordereau*. Sam pan może się przekonać. Nie jestem grafologiem, dlatego następnego dnia poszedłem z nimi do *monsieur* Bertillona. Pamięta pan…

– Tak, tak – rzuca Boisdeffre słabym głosem, jak porażony. – Tak, oczywiście, że pamiętam.

– Potwierdził on, że charakter pisma jest identyczny. W świetle tego uznałem wówczas, że powinienem powtórnie przeanalizować dowody przeciw Dreyfusowi. W związku z tym zajrzałem do tajnych akt, które okazano sędziom podczas rozprawy przed sądem wojskowym…

– Chwileczkę, pułkowniku. – Boisdeffre przerywa mi, unosząc rękę. – Zaraz. Czy mówiąc, że zajrzał pan do tajnych akt, chce pan powiedzieć, że wciąż istnieją?!

– Jak najbardziej. Oto one. – Pokazuję mu kopertę z wypisaną literą „D” i wysypuję zawartość na blat.

Boisdeffre mierzy mnie takim wzrokiem, jakbym właśnie zwymiotował mu na stół.

– Mój Boże, i co pan tam ma?

– To tajne akta z sądu wojskowego.

– Tak, tak… tyle to sam widzę. Ale co to tu robi?

– Przepraszam, panie generale, ale nie rozumiem…

– Przecież to miało zostać rozparcelowane…

– Nie wiedziałem.

– Ależ oczywiście! Cały ten incydent był wysoce nieregulaminowy. – Długim, szczupłym palcem wskazującym ostrożnie trąca posklejane ze strzępów listy. – Wkrótce po skazaniu Dreyfusa w gabinecie ministra odbyło się spotkanie. Poszedłem na nie z pułkownikiem Sandherrem. Generał Mercier wyraźnie kazał mu rozparcelować te akta. Przechwycone listy miały wrócić do archiwum, a komentarze zostać zniszczone… Postawił tę sprawę absolutnie jasno.

– No cóż, sam nie wiem, co powiedzieć, panie generale. – Teraz to ja jestem osłupiały. – Jak pan widzi, pułkownik Sandherr nie rozparcelował akt. Przeciwnie, sam mi powiedział, gdzie mam ich szukać, gdyby były mi kiedyś potrzebne. Ale jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, to nie

istnienie tych akt jest naszym największym zmartwieniem.

– Co to znaczy?

– No cóż, charakter pisma na *bordereau*… Świadczący o tym, że Dreyfus jest niewinny… – Zawieszam głos.

Przez dłuższą chwilę Boisdeffre, mrugając, mierzy mnie wzrokiem. A potem zbiera na kupę wszystkie rozrzucone na stole papiery i fotografie.

– Myślę, pułkowniku, że powinien pan się wybrać do generała Gonse'a. Nie zapominajmy, że to on jest szefem wywiadu. Naprawdę należało pójść z tym do niego, nie do mnie. Niech panu poradzi, jak dalej postępować.

– Tak zrobię, panie generale, z całą pewnością. Sądzę jednak, że musimy działać szybko i stanowczo… Dla dobra wojska…

– Ja sam doskonale wiem, co jest dobre dla wojska, pułkowniku – ucina Boisdeffre. – To nie jest pańskie zmartwienie. – Podaje mi dowody rzeczowe. – Niech pan porozmawia z generałem Gonse'em. W tej chwili jest na urlopie, ale niedaleko, tuż pod Paryżem.

Biorę papiery, otwieram teczkę.

– Czy mogę panu chociaż zostawić mój raport? – Przerzucam plik papierzysk. – To

podsumowanie stanu rzeczy na chwilę obecną.

Boisdeffre łypie na raport takim wzrokiem, jakby to był wąż.

– Niech będzie – zgadza się niechętnie. – Niech mi pan da dwadzieścia cztery godziny, żebym się z nim zapoznał – dodaje. Wstaję i salutuję. Jestem już przy drzwiach, gdy Boisdeffre woła za mną: – Pamięta pan, co panu wtedy powiedziałem w moim automobilu, pułkowniku Picquart? Powiedziałem, że nie chcę mieć kolejnej sprawy Dreyfusa.

– To nie jest kolejna sprawa Dreyfusa, panie generale – prostuję. – To wciąż ta sama sprawa.

* * *

Następnego dnia rano znów przez chwilę widzę się z Boisdeffre'em, gdy przychodzę odebrać swój raport. Podaje mi go bez słowa. Ma ciemne sińce pod oczami. Wygląda, jakby ktoś mu je podbił.

– Przepraszam, że obarczam pana potencjalnym problemem w czasie, gdy ma pan na głowie sprawy najwyższej wagi – mówię. – Mam nadzieję, że zbytnio pana nie rozproszyłem.

– Że co? – Rozdrażniony szef sztabu generalnego z niedowierzaniem wypuszcza

powietrze z płuc. – Pan naprawdę uważa, że po tym, co mi pan wczoraj powiedział, udało mi się w nocy zmrużyć oko? Niech pan idzie na tę rozmowę z Gonse'em.

* * *

Dom rodzinny Gonse'ów stoi tuż za północno-zachodnią granicą Paryża, w Cormeilles-en-Parisis. Wysyłam generałowi telegram z informacją, że na prośbę Boisdeffre'a chciałem się z nim spotkać w niecierpiącej zwłoki sprawie. Gonse zaprasza mnie na herbatę w czwartek.

Tak więc w czwartek po południu łapię pociąg na gare Saint-Lazare. Pół godziny później wysiadam w mieścinie tak sielskiej, jakby leżała dwieście kilometrów od centrum Paryża, a nie dwadzieścia. Odjeżdżający skład maleje w oddali, a ja zostaję całkiem sam na pustym peronie. Nic nie zakłóca ciszy, poza śpiewem ptaków i stukotem kopyt konia pociągowego ciągnącego gdzieś daleko wóz ze skrzypiącymi kołami. Podchodzę do bagażowego i pytam, jak dojść na rue de Franconville.

– A, pan do generała – mówi, oceniając wzrokiem mój mundur i teczkę.

Idąc za jego wskazówkami, opuszczam bitym traktem wieś, wchodzę na wzgórze, przedzieram się przez las i trafiam na podjazd pod okazały wiejski dom z osiemnastego wieku. Gonse, w koszuli i wyświechtanym słomkowym kapeluszu, pracuje w ogrodzie. Przez trawnik pędzi ku mnie stary retriever. Generał prostuje się i opiera o grabie. Z tym swoim wydatnym brzuchem i krótkimi nogami zdecydowanie bardziej wygląda na ogrodnika niż na generała.

– Picquart, mój drogi – rzuca. – Witam w tej zapadłej dziurze.

– Panie generale. – Salutuję. – Przepraszam, że zakłócam panu urlop.

– Nie ma o czym mówić, mój drogi. Zapraszam na herbatę. – Bierze mnie pod łokieć i prowadzi do domu. W środku wszędzie jest pełno japońskich antyków najwyższej jakości… Starych jedwabnych parawanów, masek, czarek, waz. Moje zdziwienie nie uchodzi uwagi Gonse'a. – Brat jest kolekcjonerem – wyjaśnia. – To on tu mieszka przez większą część roku.

Herbatę podano w pokoju z wyjściem na ogród, pełnym wiklinowych mebli; na niskim stoliku są kruche ciasteczka, na kredensie stoi samowar. Gonse nalewa mi filiżankę lapsang

souchong. Gdy siada, trzcinowe krzesło trzeszczy pod jego ciężarem. Generał zapala papierosa.

– No, teraz już słucham pana.

Niczym wytrawny domokrążca otwieram teczkę i wykładam między porcelanę swój towar. Sytuacja jest dla mnie niezręczna – po raz pierwszy wspominam o swoim śledztwie w sprawie Esterházyego Gonse'owi, szefowi wywiadu. Pokazuję mu *petit bleu* i usiłując zrobić coś, żeby nie wyglądało to na afront, udaję, że dostaliśmy go pod koniec kwietnia, a nie na początku marca. Następnie powtarzam prezentację, jaką urządziłem Boisdeffre'owi. Gonse uważnie, na swój metodyczny sposób, przegląda kolejne dokumenty, które mu podaję. Strząsa popiół z papierosa na fotografie z inwigilacji, po czym obraca to w żart („Tuszuję zbrodnię!") i spokojnie go zdmuchuje. Nie przejmuje się nawet wtedy, gdy wyciągam tajne akta.

Podejrzewam, że Boisdeffre zawczasu go uprzedził, z czym się do niego wybieram.

– Podsumowując, liczyłem na to, że znajdę w tych aktach coś, co ponad wszelką wątpliwość dowiedzie winy Dreyfusa – mówię. – Niestety, niczego takiego tam nie ma. Nawet drugorzędny

adwokacina obaliłby ten materiał po góra dziesięciu minutach pytań do świadków.

Kładę ostatnie dokumenty i upijam łyk herbaty, która do tej pory już całkiem wystygła. Gonse zapala następnego papierosa. Po chwili pyta:

– Czyli że uwięziliśmy nie tego, co trzeba?

Mówi to beznamiętnie, tak jak można by rzucić: „Chyba skręciliśmy w złą ulicę?” albo: „Czyżbym włożył cudzy kapelusz?”.

– Niestety, na to wygląda.

Zastanawiając się nad tym, Gonse bawi się zapałką – zręcznie i z dużą wprawą obraca ją między palcami, a w końcu ją łamie.

– Wobec tego jak pan wyjaśni treść *bordereau*? Nic z tego, co pan mi tu przyniósł, nie zmienia naszej pierwotnej hipotezy, prawda? Musiał go napisać oficer artylerii znający realia pracy we wszystkich czterech wydziałach sztabu generalnego. Czyli nie Esterházy, tylko Dreyfus.

– Przeciwnie, właśnie tutaj popełniliśmy nasz pierwszy, wyjściowy błąd. Jeśli ponownie przyjrzy się pan *bordereau*, zobaczy pan, że mówi wyłącznie o przekazywaniu notatek: notatki o hamulcu hydraulicznym… notatki o osłonie wojsk… notatki o formacjach artyleryjskich… notatki w sprawie Madagaskaru.

– Wskazuję odpowiednie punkty na fotografii. – Innymi słowy, nie chodzi o oryginały dokumentów. Wiemy, że jedyny przekazany dokument, podręcznik strzelania, Esterházy zdobył, uczęszczając na kurs artyleryjski. Obawiam się więc, że *bordereau* dowodzi czegoś wręcz przeciwnego, niż nam się wydawało. Zdrajca nie pracował w sztabie generalnym. Nie miał dostępu do tajemnic. Był człowiekiem z zewnątrz, można by powiedzieć: oszustem, który słuchał plotek, tworzył na ich podstawie jakieś notatki i próbował je sprzedawać za pieniądze. To był Esterházy.

Gonse rozsiada się na krześle.

– Mój drogi Picquart, czy mogę panu coś zasugerować?

– Bardzo proszę, panie generale.

– Niech pan zapomni o *bordereau*.

– Słucham?

– Niech pan zapomni o *bordereau*. Niech pan prowadzi śledztwo w sprawie Esterházyego, skoro pan chce, ale proszę nie mieszać *bordereau* do tej sprawy.

Nie śpieszę się z odpowiedzią. Wiem o tępocie Gonse'a, ale to przecież jakaś bzdura.

– Z całym szacunkiem, panie generale, ale *bordereau*… to, że napisał je Esterházy, który jak

wiemy, interesował się artylerią… otóż właśnie *bordereau* stanowi koronny dowód przeciwko Esterházyemu.

– Trudno, będzie pan musiał znaleźć jakiś inny.

– Ale *bordereau*… – Gryzę się w język. – Wolno zapytać dlaczego?

– Sądziłem, że to oczywiste. Sąd wojskowy ustalił już autora *bordereau*. Sprawa jest zamknięta. Zdaje się, że prawnicy nazywają to *res judicata*, „rzecz osądzona”. – Uśmiecha się do mnie poprzez dym z papierosów, zadowolony z tego, że zapamiętał ten przykład szkolnej łaciny.

– Ale jeśli ustalimy, że to Esterházy był zdrajcą, a nie Dreyfus…?

– To nie ujawnimy tego, prawda? Właśnie w tym tkwi sedno tej sprawy. Dlatego że, jak to panu przed chwilą wyjaśniłem, sprawa Dreyfusa jest zamknięta. Sąd wydał wyrok i na tym koniec.

Gapię się na niego z rozdziawionymi ustami. Przełykam ślinę. Muszę mu jakoś przekazać, w możliwie cyniczny sposób, że to, co proponuje, jest jeszcze gorsze niż przestępstwo: to błąd.

– No cóż – zaczynam ostrożnie – to, że sprawa została zakończona, jest naszym pobożnym życzeniem, a nasi prawnicy mogą nas w nim

utwierdzać. Ale rodzina Dreyfusa ma odmienne zdanie. Zresztą odkładając na bok inne aspekty, szczerze mówiąc, boję się o szkody, jakie poniesie reputacja wojska, jeśli pewnego dnia okaże się, że skazaliśmy człowieka bezprawnie i w żaden sposób nie próbowaliśmy naprawić pomyłki.

– A więc lepiej, żeby nie wyszło to na jaw, prawda? – odpowiada wesoło. Uśmiecha się, lecz w jego oczach czai się groźba. – Wie pan, na czym stoimy. Ja już powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia w tej sprawie. – Poręcze wiklinowego fotela protestują skrzypieniem, gdy Gonse dźwiga się na nogi. – Niech pan nie miesza do tego Dreyfusa, pułkowniku. To rozkaz.

* * *

Wracając pociągiem do Paryża, kurczowo ściskam teczkę na kolanach. Patrzę ponuro na balkony z tyłu domów, na sznury do wieszania bielizny na północnych przedmieściach oraz na pokryte sadzą stacje: Colombes, Asnières, Clichy. Trudno mi uwierzyć w to, co się stało. Wciąż wracam pamięcią do niedawnej rozmowy z Gonse'em. Czy popełniłem jakiś błąd podczas prezentacji? Czy powinienem jaśniej przedstawić sprawę…? Powiedzieć mu bez ogródek, że te tak

zwane dowody z tajnych akt nic nie znaczą i pozostają zaledwie w sferze przypuszczeń w porównaniu z tym, co wiemy na pewno o Esterházym? Im dłużej jednak o tym myślę, tym bardziej nabieram pewności, że taka szczerość byłaby poważnym błędem. Gonse jest całkowicie nieprzejednany i nic, co mógłbym powiedzieć, nie zmieniłoby jego zdania; on za żadne skarby nie dopuści do rewizji procesu i tego, by Dreyfus ponownie stanął przed sądem. Dalsze naciskanie w tej sprawie doprowadziłoby jedynie do całkowitego zerwania naszych stosunków.

Nie wracam do pracy, nie wytrzymałbym tam. Jadę do siebie, kładę się na łóżku i palę papierosa za papierosem tak zawzięcie, że nawet Gonse byłby pod wrażeniem, chociaż niczym innym mu nie imponuję.

Sęk w tym, że nie mam ochoty zaprzepaścić swojej kariery. Dotarcie na tak wysokie stanowisko zajęło mi dwadzieścia cztery lata. Z drugiej strony taka kariera nie ma dla mnie sensu, straci elementy honoru i dumy, które czynią ją atrakcyjną, jeżeli ceną za jej utrzymanie będzie stanie się kolejnym Gonse’em tego świata.

Res judicata!

Gdy się ściemniło i wstaję, by włączyć lampy, mam już przemyślany jedyny możliwy sposób

działania, jaki mi pozostał – pominę Boisdeffre'a i Gonse'a i korzystając z przywileju nieograniczonego dostępu do *hôtel* de Brienne, przedstawię całą sprawę samemu ministrowi wojny.

* * *

Zaczyna się ruch w interesie – pęknięcia tafli lodowej, trzęsienie pod ziemią; delikatne znaki ostrzegawcze świadczące o tym, że do gry weszły potężne siły.

Od miesięcy prasa ani słowem nie wspominała o Dreyfusie. A jednak dzień po mojej wizycie u Gonse'a Ministerstwo Kolonii musiało zaprzeczyć absurdalnym plotkom prasy londyńskiej, jakoby Dreyfus uciekł z Diabelskiej Wyspy. Wówczas nie przywiązuję do tego wagi – ot, po prostu dziennikarstwo, w dodatku dziennikarstwo angielskie.

Aż tu we wtorek tematem dnia w „Le Figaro" jest *Dreyfus w niewoli* – artykuł zajmujący dwie i pół szpalty na pierwszej stronie. Jest to wierny, pełen współczucia i oparty na dobrze poinformowanym źródle reportaż o tym, co Dreyfus musi znosić na Diabelskiej Wyspie (*czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy franków*

rocznie idzie na utrzymywanie przy życiu francuskiego oficera, którego egzystencja od dnia publicznej degradacji jest gorsza od śmierci). Zakładam, że ta informacja wyszła od rodziny Dreyfusa.

W takiej to atmosferze następnego dnia udaję się ze sprawozdaniem do ministra.

Otwieram bramę od ogrodu i niezauważony przez ciekawskich gapiów z ministerstwa, przechodzę przez trawnik na tył oficjalnej rezydencji ministra.

Stary przez tydzień był na urlopie. To jego pierwszy dzień pracy po powrocie. Wygląda na to, że jest w dobrym humorze. Jego nos jak kartofel i czubek łysej głowy łuszczą się, schodzi mu nadmiernie opalona skóra. Siedząc na krześle prosty jak świeca, głaszcze olbrzymie białe wąsy i z rozbawieniem przygląda się, jak po raz kolejny wyciągam wszystkie związane ze sprawą papiery.

– Mój Boże, Picquart! Jestem starcem, czas jest dla mnie cenny. Jak długo to potrwa?

– Obawiam się, że częściowo sam pan jest sobie winny, panie ministrze.

– Hę? Czy mnie uszy mylą? Te młokosy to mają tupet! Moja wina? Niby jaka? Zechce mi pan to wyjaśnić?

– W uprzejmości swojej polecił pan pracownikom, żeby pokazali mi te listy od Esterházyego, którego podejrzewamy o zdradę – mówię, podając mu je. – A ja, niestety, zauważyłem ich uderzające podobieństwo do tego. – Wręczam mu fotografię *bordereau*.

I znów zadziwia mnie szybkością, z jaką chwyta istotę rzeczy. Może i jest starcem – został kapitanem piechoty, zanim się urodziłem – a jednak ledwie rzuca okiem na dokumenty, i natychmiast pojmuje, co z nich wynika.

– Do stu piorunów! – klnie, podkreślając to cmoknięciem. – Domyślam się, że dał pan to pismo do zbadania?

– Owszem, oficjalnemu ekspertowi policji, Bertillonowi. Twierdzi, że jest identyczne. Rzecz jasna, chętnie zasięgnę dodatkowych opinii.

– Pokazał pan to generałowi Boisdeffre'owi?

– Tak.

– I co on na to?

– Odesłał mnie do generała Gonse'a.

– A Gonse?

– Chce, żebym zaprzestał śledztwa.

– A to ci dopiero! Czemu?

– Ponieważ podobnie jak ja uważa, że niemal na pewno uruchomiłoby to łańcuch zdarzeń,

który doprowadziłby do oficjalnej rewizji procesu Dreyfusa.

– Wielkie nieba! To by było trzęsienie ziemi!

– To prawda, panie ministrze, zwłaszcza że musielibyśmy ujawnić istnienie tego…

Podaję mu tajne akta. Patrzy na nie, mrużąc oczy.

– „D”? A to co, u licha?

Nigdy o tym nie słyszał. Muszę to wyjaśnić. Pokazuję mu zawartość koperty, dokument po dokumencie. I znów od razu chwyta sedno sprawy. Bierze list, w którym pada określenie „tego łotra D.”, i przysuwa sobie pod nos. Czytając, porusza ustami. Z grzbietów nakrapianych plamami wątrobowymi dłoni schodzi skóra, tak samo jak z jego głowy – to stary jaszczur, który przeżył więcej lat, niż wydaje się to możliwe

Doczytawszy do końca, pyta:

– Kim jest Alexandrine?

– To list od Schwartzkoppena. On i włoski attaché wojskowy nazywają siebie kobiecymi imionami.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że to pederaści, panie ministrze.

– Dobry Boże! – Billot krzywi się z niesmakiem. Ostrożnie bierze list kciukiem

i palcem wskazującym i mi go oddaje. – W tej robocie musi się pan grzebać w niezłych brudach, Picquart.

– Wiem o tym, panie ministrze. Ale ja o nią nie prosiłem. Jednak skoro już ją dostałem, wydaje mi się, że powinienem ją wykonywać jak należy.

– Jestem tego samego zdania.

– Według mnie to oznacza, że należy przeprowadzić gruntowne śledztwo w sprawie przestępstw, jakie popełnił Esterházy. A jeśli się okaże, że musimy ściągnąć Dreyfusa z powrotem z Diabelskiej Wyspy… No cóż, moim zdaniem lepiej dla wojska, żeby samo naprawiło swój błąd, niż musiało to zrobić później pod wpływem nacisków z zewnątrz.

Billot spogląda w przestrzeń, prawym kciukiem i palcem wskazującym wygładzając wąsy. Myśląc, pochrząkuje.

– Te tajne akta – odzywa się po jakimś czasie. – Z pewnością pokazanie materiału dowodowego sędziom bez umożliwienia obronie ustosunkowania się do niego jest sprzeczne z prawem?

– Jest. Żałuję, że zostałem w to wmieszany.

– A kto podjął decyzję w tej sprawie?

– Koniec końców generał Mercier, minister wojny.

– Ha! Mercier! Doprawdy? Sam mogłem się domyślić, że maczał w tym palce! – Znów to gapienie się w dal, gładzenie wąsa i pochrząkiwanie. W końcu rozlega się długie westchnienie. – Sam nie wiem, Picquart. Mamy tu paskudny pasztet. Niech mi pan da czas, żebym się nad tym zastanowił. Jeśli się wyda, że przez tyle czasu więziliśmy niewinnego człowieka, posypią się głowy, zwłaszcza że zrobiliśmy z tego publiczne widowisko… Konsekwencje będą poważne, zarówno dla wojska, jak i dla kraju. Musiałbym porozmawiać z premierem. A nie mogę tego zrobić co najmniej przez tydzień. W poniedziałek zaczynają się doroczne manewry w Rouillac, w których muszę wziąć udział.

– Rozumiem, panie generale. Ale czy zgodzi się pan, żebym przez ten czas nadal prowadził śledztwo w sprawie Esterházyego?

Potężna głowa kiwa się powoli.

– Owszem, chłopcze, nie rezygnuj z niego.

– Bez względu na to, dokąd mnie zaprowadzi?

Kolejne ciężkie skinienie głowy.

– Tak.

* * *

Naładowany nową energią, wieczorem tego samego dnia spotykam się z Desvernine'em, w naszym stałym miejscu na gare Saint-Lazare. Ostatnio widziałem się z nim w połowie sierpnia. Przychodzę nieco spóźniony. On już na mnie czeka – siedzi w kącie i czyta „Le Vélo". Zwracam uwagę, że nie pije piwa, tylko przerzucił się na wodę mineralną. Siadając na krześle naprzeciwko niego, ruchem głowy wskazuję gazetę.

– Nie wiedziałem, że jest pan cyklistą – mówię na powitanie.

– Nie wie pan o mnie wielu rzeczy, pułkowniku. Od dziesięciu lat mam welocyped. – Kilkakrotnie składa gazetę i chowa ją do kieszeni. Chyba jest nie w humorze.

– Dzisiaj bez notesu? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Nie mam nic do przekazania. Dobrodziej nadal jest na urlopie w domu swojej żony w Ardenach. W ambasadzie panuje spokój… W lecie pracowała na pół gwizdka i od tygodnia żaden z naszych ptaszków się tam nie pokazał. A pański przyjaciel, *monsieur* Ducasse, miał dość, więc wyjechał na wakacje do Bretanii.

– Mam wrażenie, że jest pan sfrustrowany.

– No cóż, pułkowniku, to już pięć miesięcy, odkąd zacząłem śledzić tego, za przeproszeniem, sukinkota, i nie bardzo wiem, co jeszcze możemy zrobić. Albo zwińmy go, przyciśnijmy i przekonajmy się, czy się do czegoś przyzna, albo zawieśmy operację, taka jest moja propozycja. Tak czy siak, pogoda się zmienia, robi się zimno, więc w ciągu kilku dni powinniśmy wyciągnąć te rury głosowe. Jeśli Niemcy postanowią rozpalić w kominku, będziemy mieli kłopot.

– Nareszcie ja coś panu pokażę, nie odwrotnie – odpowiadam, pchając po blacie zakryte fotografie listów Esterházyego. – Dobrodziej próbuje sobie załatwić posadę w sztabie generalnym.

Desvernine rzuca okiem na listy i natychmiast się rozpromienia.

– Sukinkot! – powtarza radośnie pod nosem. – Widocznie ma większe długi, niż sądziliśmy.

Chciałbym mu opowiedzieć o *bordereau*, Dreyfusie i tajnych aktach, ale nie śmiem, jeszcze nie… Dopiero kiedy Billot oficjalnie pozwoli mi na śledztwo w większym zakresie niż dotychczas.

– I co pan proponuje z nim zrobić, pułkowniku? – pyta Desvernine.

– Sądzę, że musimy działać o wiele bardziej aktywnie. Zamierzam zasugerować ministrowi,

żeby zgodził się na prośbę Dobrodzieja i przydzielił mu stanowisko w sztabie generalnym, w takim wydziale, w którym mielibyśmy go na oku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pozwolimy mu uwierzyć, że ma dostęp do tajnych materiałów… podrzucimy mu sfałszowane, na pozór cenne dokumenty… a potem będziemy go śledzić i zobaczymy, co z nimi zrobi.

– Dobry pomysł. Powiem panu, co jeszcze można by zrobić, skoro już się bawimy w fałszywki. Wyślijmy mu wiadomość, rzekomo od Niemców, którzy zapraszają go na spotkanie w celu omówienia dalszej współpracy. Co pan na to? Jeśli Dobrodziej się stawi, już samo to go obciąży. A jeśli przyniesie jakieś tajne materiały, złapiemy go na gorącym uczynku.

Rozważam za i przeciw.

– Z którego fałszerza moglibyśmy skorzystać?

– Proponowałbym Lemerciera-Picarda.

– Czy jest godny zaufania?

– To fałszerz, pułkowniku. Można mu ufać mniej więcej tak jak wężowi. Naprawdę nazywa się Moisés Lehmann. Ale za czasów pułkownika Sandherra często pracował dla sekcji, więc wie, że jeśli wywinie nam jakiś numer, i tak go znajdziemy. Dowiem się, gdzie go szukać.

Desvernine wychodzi bez porównania weselszy, niż był wtedy, gdy się tu zjawiłem. Ja spokojnie dopijam piwo, a potem łapię dorożkę i jadę do domu.

* * *

Następnego dnia zaskakuje nas iście jesienna pogoda – ciemnoszare niebo nie wróży nic dobrego, a wiatr zrywa z drzew pierwsze liście i goni je bulwarami. Desvernine ma rację – jak najszybciej musimy usunąć te rury głosowe z mieszkania przy rue de Lille.

Przychodzę do pracy o zwykłej porze i szybko przeglądam najnowsze wydania gazet, które Capiaux położył mi na stole. Zamieszczony w „Le Figaro" opis warunków, w jakich Dreyfus przebywa na Diabelskiej Wyspie, ponownie wzburzył opinię publiczną i zewsząd sypią się na niego głosy potępienia; zdaje się, że powszechny pogląd brzmi: „zróbcie coś, żeby cierpiał jeszcze bardziej". Ale artykuł z „L'Éclair", zatytułowany *Zdrajca*, wprawia mnie w osłupienie – anonimowy autor utrzymuje, że Dreyfusowi udowodniono winę ponad wszelką wątpliwość dzięki „tajnym aktom" przekazanym sędziom podczas rozprawy przed sądem wojskowym.

Dziennikarz wzywa wojsko, by ujawniło zawartość tych akt, co położyłoby kres „niewytłumaczalnej litości”, jaką darzony jest ów szpieg.

Po raz pierwszy prasa wspomniała o istnieniu tajnych akt. Niepokoi mnie zbieżność w czasie – artykuł ukazał się akurat teraz, kiedy przejąłem to dossier. Maszeruję korytarzem do gabinetu Lautha i rzucam gazetę na biurko.

– Widział pan to?

Lauth czyta artykuł, po czym spogląda na mnie przerażony.

– Ktoś musiał się wygadać.

– Znajdź pan Guénéego – rozkazuję. – Miał obserwować rodzinę Dreyfusa. Każ mu pan tu przyjść, natychmiast.

Wracam do siebie, otwieram sejf, wyjmuję tajne akta. Siadam przy biurku i sporządzam listę wszystkich osób, które o nich wiedziały: Mercier, Boisdeffre, Gonse, Sandherr, du Paty, Henry, Lauth, Gribelin, Guénée; do tej dziewiątki, dzięki mojej wczorajszej rozmowie, mogę dopisać Billota – to już dziesięć osób. Do tego dochodzi siedmiu sędziów, poczynając od pułkownika Maurela – w sumie siedemnastu – oraz prezydent Fauré i prezydencki lekarz, Gibert – dziewiętnastu – który poinformował Mathieu

Dreyfusa – dwudziestu; a kto wie, ilu ludziom powiedział o tych aktach Mathieu?

Coś takiego jak tajemnica nie istnieje – nie w rzeczywistości, nie we współczesnym świecie, nie w epoce fotografii, telegrafu, kolei i gazet. Dawne czasy, w których wąskie grona podobnie myślących ludzi porozumiewały się ze sobą za pomocą pergaminu i gęsich piór, odeszły w niebyt. Prędzej czy później większość faktów wyjdzie na światło dzienne, to kwestia czasu. I właśnie to próbowałem uświadomić Gonse'owi.

Masuję skronie, próbuję to sobie gruntownie przemyśleć. Przeciek powinien potwierdzić słuszność mojego stanowiska. Podejrzewam jednak, że Gonse i Boisdeffre raczej wpadną przez to w panikę i wzmogą wysiłki w celu ograniczenia mojego śledztwa.

Guénée zjawia się w moim gabinecie tuż przed południem, jak zwykle niezdrowo żółty; śmierdzi jak wnętrze cybucha starej fajki. Ma ze sobą teczkę z inwigilacji Dreyfusa.

– Czy jest tu major Henry? – pyta, rozglądając się nerwowo.

– Henry nie wrócił jeszcze z urlopu. Będzie pan rozmawiał ze mną.

Guénée siada, otwiera teczkę.

– Za tym stoi rodzina Dreyfusa, panie pułkowniku. Prawie na pewno – mówi.

– Mimo że wydźwięk artykułu w „L'Éclair" jest wrogi w stosunku do Dreyfusa?

– To tylko po to, żeby zmylić tropy. Dotarli do redaktora naczelnego, Sabatiera… Śledziliśmy go, kiedy spotkał się zarówno z Mathieu, jak i z Lucie. Mieści się to w schemacie wzmożonej ostatnio aktywności rodziny… może pan zauważył. Zaangażowali londyńską agencję detektywistyczną Cooka, żeby im zdobywała informacje.

– I coś im to dało?

– Nic nam o tym nie wiadomo, panie pułkowniku. Może dlatego zmienili taktykę i postanowili wyjść z tym na zewnątrz. Ten fałszywy artykuł o rzekomej ucieczce Dreyfusa zleciła dziennikarzowi agencja detektywistyczna.

– W jakim celu?

– Prawdopodobnie po to, żeby ludzie znów zaczęli o nim mówić.

– Skoro tak, to powiedziałbym, że osiągnęli swój cel, nie sądzi pan?

Guénée zapala papierosa. Trzęsą mu się dłonie.

– Pamięta pan, jak rok temu opowiadałem panu, że rodzina rozmawiała z żydowskim

dziennikarzem… Bernardem Lazare’em? – pyta. – To anarchista, socjalista i działacz żydowski.

– A co on ma do tego?

– Zdaje się, że właśnie pisze broszurę w obronie Dreyfusa.

Szpera w teczce i podaje mi zdjęcie barczystego młodego człowieka w pince-nez, z wysokim, mocno łysiejącym czołem i bujną brodą; do fotografii podpięto wycinki różnych artykułów prasowych autorstwa Lazare’a: *Nowe getto*, *Antysemityzm i antysemici*, cykl niedawnych artykułów z „La Voltaire”, w których atakował Drumonta z „La Libre Parole” (*nie jesteś niezniszczalny, ani ty, ani twoi przyjaciele…*).

– A to ci polemista – kwituję, wertując wycinki. – A teraz pracuje dla Mathieu Dreyfusa?

– To nie ulega wątpliwości.

– Czyli jest kolejną osobą, która na pewno wie o tajnych aktach?

Guénée się waha.

– Tak, zapewne – przyznaje w końcu.

Dopisuję nazwisko Lazare’a do listy; w sumie mam dwadzieścia jeden osób – beznadziejna sprawa.

– Czy wiadomo, kiedy ma się ukazać ta broszura? – pytam.

– Nasi informatorzy w drukarniach francuskich nam nie donieśli. Może wydadzą ją za granicą? Nie wiemy. Oni działają coraz bardziej profesjonalnie.

– Co za bajzel! – Rzucam fotografię Lazare'a nad biurkiem w kierunku Guénéego. – Przez te tajne akta napytamy sobie wstydu. Pan brał udział w ich sporządzaniu, mam rację?

Zadaję to pytanie od niechcenia, nie jak podczas przesłuchania. Ku mojemu zdziwieniu Guénée marszczy czoło i kręci głową, jakby usilnie próbował sobie przypomnieć.

– Ależ nie, panie pułkowniku. To nie ja.

To głupie kłamstwo natychmiast budzi moją czujność.

– Nie? Przecież to chyba pan dostarczył majorowi Henry'emu zeznanie hiszpańskiego attaché wojskowego? To była główna część oskarżenia Dreyfusa.

– Ja? – Nagle traci pewność siebie.

– Więc jak, dał mu je pan czy nie? Major Henry twierdzi, że tak.

– Wobec tego widocznie tak było.

– Mam je zresztą tutaj. To, co według pana powiedział panu Val Carlos.

Z szuflady biurka wyjmuję tajne akta, otwieram kopertę i wyciągam zeznanie, które

Henry złożył pod przysięgą. Na ten widok Guénée wytrzeszcza oczy ze zdumienia.

– *Niech pan nie zapomni przekazać ode mnie majorowi Henry'emu (a on niech to powtórzy pułkownikowi)…* zakładam, że chodzi mu o pułkownika Sandherra… *że istnieją powody do wzmożenia nadzoru w Ministerstwie Wojny, ponieważ z mojej ostatniej rozmowy z attaché Niemiec wynika, że mają oficera ulokowanego w sztabie generalnym, który dostarcza im podziwu godnych informacji. Znajdźcie go, Guénée! Podałbym panu jego nazwisko, gdybym tylko je znał!*

– Tak, z grubsza się zgadza.

– I powiedział to panu mniej więcej sześć miesięcy przed aresztowaniem Dreyfusa?

– Tak, panie pułkowniku… W marcu.

Coś w jego postawie mówi mi, że nadal kłamie. Jeszcze raz spoglądam na zeznanie. Nie wygląda mi to na słowa hiszpańskiego markiza, raczej na tekst zmyślony przez policjanta podrabiającego dowody.

– Chwileczkę – mówię. – Wyjaśnijmy sobie coś. Czy jeśli wybiorę się do markiza de Val Carlosa i powiem mu: „Drogi markizie, tak między nami, czy to prawda, że dzięki temu, co pan powiedział *monsieur* Guénéemu, udało się

zesłać Dreyfusa na Diabelską Wyspę?”, to mi odpowie: „Zgadza się, jak najbardziej, pułkowniku Picquart”?

Przez twarz Guénéego przebiega paniczny strach.

– A tego to już nie wiem, panie pułkowniku. Proszę pamiętać, że on mi to mówił w zaufaniu. Zważywszy na to, co prasa wypisuje teraz o Dreyfusie, skąd mam wiedzieć, co by mi powiedział dzisiaj?

Gapię się na niego. Co też oni kombinują, na miłość boską? – myślę sobie. Jeżeli Val Carlos nie powiedział tego Guénéemu, to logicznie rzecz biorąc, nie powiedział też tego Henry’emu. A przecież Hiszpan nie tylko Guénéego miał ostrzec przed niemieckim szpiegiem w sztabie generalnym – miał też ostrzec Henry’ego. To ich rzekoma rozmowa dała Henry’emu podstawę do teatralnego wygłoszenia w sądzie wojskowym słów: *Tym zdrajcą jest ten człowiek!*

Długą ciszę przerywa pukanie do drzwi. Do pokoju wsuwa się blond czupryna Lautha. Ciekaw jestem, od jak dawna nas podsłuchiwał.

– Generał Boisdeffre chciałby, żeby natychmiast pan do niego przyszedł, panie pułkowniku.

– Dziękuję. Proszę przekazać do jego biura, że już idę. – A kiedy Lauth się wycofuje, zwracam się do Guénéego: – Porozmawiamy o tym innym razem.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Wychodzi, a ja odnoszę wrażenie, że mu wyraźnie ulżyło, iż może uciec przed dalszym przesłuchaniem.

* * *

Boisdeffre siedzi przy swoim wspaniałym biurku, trzymając eleganckie dłonie na blacie; między nimi leży egzemplarz „L'Éclair".

– O ile mi wiadomo, widział się pan wczoraj z ministrem. – Słychać, że z trudem zachowuje spokój w głosie.

– Tak, panie generale, widujemy się prawie codziennie.

Boisdeffre każe mi stać na baczność na swoim dywanie – dotychczas nigdy się to nie zdarzyło.

– I pokazał mu pan tajne akta na temat Dreyfusa?

– Czułem, że powinien się zapoznać z faktami…

– Nie będę tego tolerował! – Unosi rękę i z całej siły wali pięścią w blat biurka. – Kazałem panu porozmawiać z generałem Gonse'em

i z nikim innym! Panu się zdaje, że może ignorować moje rozkazy?

– Przepraszam, generale, ale nie sądziłem, że pański rozkaz dotyczy także ministra. Pamięta pan, że w zeszłym miesiącu dał mi pan zgodę na poinformowanie generała Billota o śledztwie w sprawie Esterházyego?

– W sprawie Esterházyego, owszem! Ale nie w sprawie Dreyfusa! Sądziłem, że generał Gonse jasno dał panu do zrozumienia, żeby nie łączyć tych dwóch spraw.

Wciąż patrzę przed siebie, na wyjątkowo ohydny olej Delacroix wiszący tuż nad resztką siwych włosów szefa sztabu. Tylko od czasu do czasu ryzykuję rzut oka na generała. Wygląda, jakby żył w straszliwym stresie. Zazwyczaj szkarłatna siateczka żyłek na jego policzkach jest teraz karminowa.

– Szczerze mówiąc, generale, nie sądzę, żeby można było nie łączyć tych dwóch spraw.

– Ma pan prawo do własnego zdania, pułkowniku, ale nie wolno panu siać niezgody wśród naczelnego dowództwa. – Bierze gazetę i wymachuje nią w moją stronę. – Skąd to się wzięło?

– Sûreté uważa, że źródłem tego artykułu może być rodzina Dreyfusa.

– A jak jest naprawdę?

– Trudno powiedzieć. O tych aktach wiedziało sporo osób. – Wyjmuję listę. – Jak dotąd naliczyłem ich dwadzieścia jeden.

– Niech no zobaczę. – Boisdeffre wyciąga rękę. Przebiega wzrokiem spis nazwisk. – Czyli twierdzi pan, że za tym przeciekiem musi stać ktoś z nich?

– Nie widzę innych możliwości.

– Jak widzę, siebie pan nie wpisał.

– Wiem, że nie jestem podejrzanym.

– Pan może to wie, ale nie ja. Przypadkowy obserwator mógłby uznać za dziwny zbieg okoliczności, że ledwie zaczął pan naciskać na ponowne otwarcie sprawy Dreyfusa, w prasie zaczęły się ukazywać rewelacje na ten temat.

Zza wysokich okien dobiega głośny trzask. Przywodzi na myśl dźwięk łamanego drzewa. Zacinający deszcz bębni o szyby. Boisdeffre, wciąż patrząc na mnie, sprawia wrażenie, jakby tego nie zauważał.

– Kategorycznie odrzucam takie insynuacje, generale – oświadczam. – Te artykuły bynajmniej nie służą mojemu śledztwu, sam pan to powiedział. One tylko utrudniają mi robotę.

– To jedna strona medalu. Druga jest taka, że ucieka się pan do wszelkich możliwych

sposobów, by wznowić proces Dreyfusa… obojętne, czy chodząc do ministra za moimi plecami, czy wywołując ferment w prasie. Czy pan wie, że członek Izby Deputowanych oznajmił, że szykuje pytania do rządu na temat tej afery?

– Daję słowo, że nie miałem z tym nic wspólnego.

Generał obrzuca mnie wielce podejrzliwym spojrzeniem.

– Miejmy nadzieję, że to już koniec wycieku informacji. Ujawnienie przez prasę istnienia tych akt narobiło wystarczająco dużo szkód. Gdyby tak opisali ich zawartość, mielibyśmy naprawdę poważny kłopot. Zatrzymam tę listę, jeśli można.

– Oczywiście. – Skłaniam głowę w geście, który, mam nadzieję, wyraża skruchę, chociaż ani trochę jej nie czuję.

– To wszystko, pułkowniku. – Pstryka palcami, jakby przywoływał kelnera w Jockey Clubie. – Może pan odejść.

* * *

Wychodzę na rue Saint-Dominique i trafiam na prawdziwy huragan – wybryk natury przetaczający się nad Paryżem od południa do

piętnastej. Muszę się przytrzymywać poręczy, żeby mnie nie przewróciło; zanim docieram do naszego budynku, jestem przemoczony do suchej nitki. Wichura zrywa dachy z Opéra-Comique i z komendy głównej policji. Wybija okna z jednej strony Pałacu Sprawiedliwości. Łodzie, które zerwały się z cum, obijają się o nabrzeże. Niektóre praczki nad brzegiem Sekwany zwiało do wody i trzeba je teraz ratować. Stragany z kwiatami na Place Saint-Sulpice całkiem zmiotło z chodnika. Tego wieczoru, wracając do domu, brnę po kostki w porwanej na strzępy roślinności i potłuczonych dachówkach zalegających ulice. Mimo że spustoszenie jest straszliwe, ogarnia mnie ulga – przez kilka następnych dni prasa będzie się zajmować innymi rzeczami niż kapitan Dreyfus.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wytchnienie nie trwa długo. W poniedziałek „L'Éclair" zamieszcza drugi, dłuższy artykuł pod najgorszym z mojego punktu widzenia tytułem: *Zdrajca. Dossier wykazuje winę Dreyfusa*.

Przechodzę z gazetą do biurka, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Artykuł, choć w dużej części nieścisły, zawiera jednak zdradzieckie szczegóły: to, że tajne dossier przekazano sędziom w pokoju, w którym się naradzali; to, że akta zawierały poufną korespondencję między attaché wojskowymi Niemiec i Włoch; oraz to, że jeden z listów wymienia konkretnie „to zwierzę Dreyfusa" – niezupełnie „tego łotra D.", ale blisko. *Właśnie ten niepodważalny dowód wpłynął na werdykt sędziów* – konkluduje artykuł.

Przebieram palcami. Kto ujawnia wszystkie te szczegóły? Guénée twierdzi, że rodzina Dreyfusa. Ja nie jestem tego taki pewny. Kto zyskuje na tych przeciekach? Z mojego punktu widzenia najbardziej korzystają na tym ci, którzy próbują

zaszczepić w Ministerstwie Wojny syndrom oblężonej twierdzy i położyć kres mojemu śledztwu w sprawie Esterházyego. Zwrot „to zwierzę Dreyfus” porusza jakąś strunę w mojej pamięci. Czyż to nie du Paty mawiał o Dreyfusie, że ma „zwierzęce żądze”?

Biorę z biurka nożyczki i starannie wycinam artykuł. Następnie piszę list do Gonse’a, który wciąż przebywa na urlopie:

> *Niedawno pozwoliłem sobie wyrazić w Pańskiej obecności opinię, że jeśli nie przejmiemy inicjatywy, to będziemy mieli na głowie poważny kłopot. Niestety, załączony artykuł z „L’Éclair” utwierdza mnie w moim przekonaniu. Czuję się zobowiązany powtórzyć, że moim zdaniem kategorycznie musimy bez zwłoki przejść do działania. Dalsze czekanie doprowadzi do tego, że zostaniemy przytłoczeni, uwięzieni w sytuacji bez wyjścia, w której nie będziemy w stanie ani bronić siebie, ani ustalić prawdy.*

Waham się przed wysłaniem listu. Oficjalnie zgłaszam swoje zdanie do protokołu. Gonse jest wytrawnym żołnierzem, choć radzi sobie nie tyle

na polu walki, ile w gąszczu akt. Od razu się zorientuje, czym jest ten list – eskalacją wrogości.

Mimo to go wysyłam.

Nazajutrz Gonse wzywa mnie na dywanik. Skrócił wakacje. Urzęduje w swoim gabinecie. Z odległości dwustu metrów czuję jego paniczny strach.

Na korytarzach ministerstwa panuje większa cisza niż zwykle. Billot i Boisdeffre wyjechali na południowy zachód, towarzysząc prezydentowi Faurému w inspekcji jesiennych manewrów. Większość oficerów w sztabie generalnym, ambitnie marzących o karierze – czyli prawie wszyscy – dopilnowała, żeby się znaleźć w polu. Gdy idę tymi pustymi korytarzami, a wokół rozbrzmiewa echo moich kroków, przypomina mi się atmosfera z okresu polowania na szpiega dwa lata wcześniej.

– Dostałem pański list – oznajmia Gonse, machając nim do mnie, gdy siadam na krześle przed jego biurkiem. – W pewnym sensie popieram pańskie stanowisko. Niech mi pan wierzy, gdyby to było możliwe, cofnąłbym zegar do początku całej tej pioruńskiej sprawy. Papierosa? – Podsuwa mi stojącą na biurku papierośnicę. Odmawiam, unosząc rękę. On bierze papierosa, przypala. Jego głos wręcz

ocieka słodyczą. – Drogi Picquart, spójrzmy prawdzie w oczy. Śledztwa w sprawie Dreyfusa nie prowadzono tak profesjonalnie, jak należało. Sandherr był chory, a du Paty… No cóż, Armand ma wiele zalet, ale wszyscy wiemy, jaki on jest. My jednak musimy iść do przodu, naprawdę nie możemy wciąż wracać do tego, co było. Otworzylibyśmy zbyt wiele ran. Czytał pan gazety? Od kilku dni w sprawie Dreyfusa próbują wywołać histerię. To grozi rozłamem w kraju. Musimy skończyć z tym raz na zawsze. Z pewnością zdaje pan sobie z tego sprawę?

Widząc błagalny wyraz jego twarzy – pragnienie, żebym przyznał mu rację – przez krótką chwilę niemal mam ochotę ustąpić. On nie jest zły, tylko zwyczajnie słaby. Chce mieć święty spokój – zbijać bąki w ministerstwie i krzątać się w swoim ogrodzie.

– Rozumiem to, generale. Ale te przecieki do prasy stanowią dla nas ostrzeżenie z innego powodu. Musimy sobie uzmysłowić, że podczas gdy my tu sobie rozmawiamy, śledztwo w sprawie Dreyfusa i tak już się toczy. Niestety, zorganizowała je rodzina Dreyfusa i jego poplecznicy. Wszystko wymyka nam się z rąk. W swoim liście próbowałem więc zwrócić uwagę na podstawową żołnierską zasadę: że to my

powinniśmy przejąć inicjatywę, dopóki jest jeszcze czas.

– A niby jak mamy to zrobić? Poddając się? Dając im to, czego chcą?

– Nie. Rezygnując z linii obrony, która, szczerze mówiąc, jest nie do utrzymania, i okopując się gdzie indziej, wyżej.

– Tak… Czyli tak jak mówiłem: dając im to, czego chcą! A zresztą nie zgadzam się z panem. Naszą obecną pozycję łatwo da się obronić, dopóki będziemy prezentować jednolity front. A kryje się on za żelaznym murem prawa. Oświadczymy po prostu: „Siedmiu sędziów rozważyło cały materiał dowodowy. Ich werdykt zapadł jednomyślnie. Sprawa jest zamknięta”.

Kręcę na to głową.

– Nie, panie generale. Przykro mi, ale ta linia obrony się nie utrzyma. Sędziowie wydali jednomyślny wyrok wyłącznie na podstawie tajnych akt. A dowody w tych tajnych aktach są, hm… – Przerywam, nie bardzo wiedząc, co dalej. Mam w pamięci minę Guénéego, kiedy zacząłem go wypytywać o rzekomą rozmowę z markizem de Val Carlosem.

– Jakie są te dowody, pułkowniku? – ponagla mnie cicho Gonse.

– Dowody w tych aktach są zwyczajnie – rozkładam ręce – słabe. Gdyby były niezbite, moglibyśmy się jakoś wytłumaczyć z tego, że nie pokazano ich obronie. Ale w tym stanie rzeczy…

– Drogi Picquart, doskonale rozumiem to, co pan mówi, niech pan mi wierzy. Rozumiem! – Pochyla się i ciągnie błagalnym tonem: – Ale właśnie dlatego za wszelką cenę należy chronić tajemnicę tajnych akt. Załóżmy, że idąc za pańską radą, wycofamy się na te wasze nowe pozycje i oznajmimy narodowi francuskiemu: „No tak, okazało się, że to jednak Esterházy napisał *bordereau*, więc ściągnijmy Dreyfusa do kraju i urządźmy nowy proces”… I co dalej? Lud będzie chciał się dowiedzieć, jakim cudem wszyscy sędziowie… a zważ pan, że było ich siedmiu… mogli się aż tak pomylić. To doprowadzi wprost do tajnych akt. Wiele wysoko postawionych osobistości znajdzie się w bardzo krępującej sytuacji. Czy tego pan chce? Wyobraża pan sobie, jak ucierpi na tym reputacja wojska?

– Godzę się z tym, że pewne szkody będą nieuniknione, panie generale. Ale zyskamy uznanie za oczyszczenie własnych stajni. Sądzę natomiast, że jeśli stare kłamstwa przykryjemy nowymi, zwiększymy jedynie poniesione szkody…

– Nikt tu nie mówi o kłamstwie, pułkowniku! Nie proszę pana, żeby pan kłamał! Nigdy bym tego nie zrobił. Wiem, że jest pan człowiekiem honoru. W gruncie rzeczy nie proszę, żeby pan robił cokolwiek. Proszę jedynie o to, żeby pan nie robił jednej rzeczy… nie zbliżał się do sprawy Dreyfusa. Czy to aż tak wygórowane żądanie, Georges? – Ryzykuje nikły uśmiech. – Znam przecież pańskie poglądy na naród wybrany… W gruncie rzeczy, kiedy już wszystko zostanie powiedziane i zrobione, co pana obchodzi, czy jakiś Żyd pozostanie na Diabelskiej Wyspie?

Zupełnie jakby się pochylił nad biurkiem i wymienił ze mną tajemny uścisk dłoni. Ostrożnie dobieram słowa.

– Pewnie obchodzi mnie dlatego, że ten człowiek jest niewinny.

Gonse wybucha śmiechem, w którym pobrzmiewa nutka histerii.

– Cóż za sentymentalizm! – Bije mi brawo. – Piękny pomysł! Nowo narodzone jagniątka i kocięta, a do tego Alfred Dreyfus… same niewiniątka!

– Z całym szacunkiem, generale, przedstawia pan to tak, jakbym był do tego człowieka przywiązany. Zapewniam, że nic do niego nie czuję. Szczerze mówiąc, chciałbym, żeby był

winny… to by mi bardzo ułatwiło życie. I aż do niedawna byłem przekonany o jego winie. Teraz jednak patrzę na dowody i uważam, że jest inaczej. Zdrajcą jest Esterházy.

– Może tak, a może nie. Nie ma pan pewności. Jednak najważniejsze jest to, że jeśli będzie pan milczał, nikt nigdy się o tym nie dowie!

A więc dotarliśmy w końcu do brudnego sedna sprawy. Nagle w pokoju zapada jeszcze większa cisza niż dotychczas. Gonse patrzy mi prosto w oczy. A ja odpowiadam dopiero po dłuższej chwili.

– To obrzydliwa sugestia, generale. Nie może pan wymagać ode mnie, żebym zabrał tę tajemnicę do grobu.

– Ależ mogę, jak najbardziej, i właśnie tego sobie życzę! Zabieranie ze sobą tajemnic do grobu to istota naszego zawodu.

Znów zapada cisza, a potem próbuję jeszcze raz:

– Ja proszę tylko o to, żeby gruntownie zbadać całą tę sprawę…

– Tylko o to pan prosi! – wybucha w końcu Gonse. – Tylko! A to dobre! Nie rozumiem pana, Picquart! Co pan chce powiedzieć? Że całe wojsko… ba, cały naród!… ma się kręcić wokół pańskiego delikatnego sumienia? Muszę

przyznać, że ma pan o sobie nie lada mniemanie! – Jego tłusty kark, teraz mocno zaróżowiony, wygląda jak nadmuchana gumowa rura. Wylewa się z kołnierzyka jego munduru. Uświadamiam sobie, że Gonse jest przerażony. Nagle zmienia postawę i przechodzi na rzeczowy ton. – Gdzie są teraz te tajne akta?

– W moim sejfie.

– I z nikim innym nie rozmawiał pan na temat ich zawartości?

– Oczywiście, że nie.

– Nie sporządził pan kopii?

– Nie.

– I to nie pan jest źródłem przecieków do prasy?

– Gdybym nim był, raczej bym się nie przyznał, nie sądzi pan? – Nie potrafię dłużej ukrywać pogardy w głosie. – Ale cokolwiek pan o mnie sądzi, odpowiedź brzmi: nie.

– Niech pan nie będzie bezczelny! – Gonse wstaje, więc idę w jego ślady. – Jesteśmy w wojsku, pułkowniku, a nie w towarzystwie rozważań nad etyką. Minister wojny wydaje rozkazy szefowi sztabu generalnego, szef sztabu wydaje rozkazy mnie, a ja wydaję je panu. Teraz, po raz ostatni, oficjalnie rozkazuję panu nie badać żadnych tropów związanych ze sprawą

Dreyfusa i nie ujawniać niczego na ten temat nikomu, kto nie jest upoważniony do posiadania takich informacji. Niech Bóg ma pana w opiece, jeśli pan nie posłucha. Zrozumiano?!

Nie potrafię nawet zmusić się do odpowiedzi. Salutuję, robię w tył zwrot i wychodzę z pokoju.

* * *

Gdy wracam do siebie, Capiaux informuje mnie, że w poczekalni czeka Desvernine wraz z fałszerzem, Lemercierem-Picardem. Po starciu z Gonse'em nie uśmiecha mi się rozmowa z taką kreaturą, ale nie chcę go odprawiać.

Już od progu rozpoznaję w nim jednego z członków tej bandy, którzy wraz z Guénéem grali w karty i palili fajki pierwszego dnia, kiedy przyszedłem do pracy. Nazwisko Moisés Lehmann pasuje do niego zdecydowanie bardziej niż Lemercier-Picard. Już z daleka wygląda na Żyda – mały i pulchny, roztacza urok, zapach wody kolońskiej i emanuje pewnością siebie; wyraźnie pragnie mi zaimponować swoim talentem. Namawia mnie, żebym sam napisał kilka zdań („Śmiało, pułkowniku, proszę się nie obawiać"), a potem, po zaledwie dwóch próbach, pokazuje mi swoją całkiem znośną podróbkę.

– Cała sztuka polega na szybkości – wyjaśnia. – Trzeba uchwycić istotę kreski, wczuć się w jej styl, a potem pisać naturalnie. Pański charakter pisma jest bardzo artystyczny, pułkowniku. Bardzo tajemniczy i, że tak się wyrażę, introspektywny.

– Wystarczy, Moisés – przerywa mu Desvernine, udając, że zatyka sobie uszy. – Pułkownik nie ma czasu wysłuchiwać twoich bzdur. Możesz już odejść. Zaczekaj na mnie w holu.

Fałszerz szczerzy do mnie zęby.

– Miło mi było pana poznać, pułkowniku.

– I wzajemnie. Proszę mi oddać kartkę z moim pismem, jeśli łaska.

– A, tak – bąka, wyjmując ją z kieszeni. – Byłbym zapomniał.

Po jego wyjściu Desvernine informuje mnie:

– Chyba powinien pan wiedzieć, że Esterházy dał nogę. Wyprowadził się z żoną z mieszkania przy rue de la Bienfaisance… i wygląda na to, że wynieśli się w pośpiechu.

– Skąd pan wie?

– Zajrzałem tam. Niech pan się nie martwi… nie musiałem zrobić nic nielegalnego. Mieszkanie wystawiono na wynajem. Udawałem, że szukam czegoś takiego. Zabrali większość

mebli, zostało tylko kilka gratów. Esterházy spalił w kominku mnóstwo papierów. Znalazłem to.

Pokazuje mi przypaloną na brzegach wizytówkę:

Édouard Drumont
Redaktor naczelny
„La Libre Parole”

Odwracam ją tam i z powrotem.

– Czyżby Esterházy współpracował z tym antyżydowskim szmatławcem?

– Na to wygląda. A może po prostu dostarczał im informacji… Wielu żołnierzy tak robi. Sęk w tym, pułkowniku, że on się zapadł pod ziemię. Nie ma go w Paryżu. Nie ma go również w Rouen. Wyniósł się gdzieś w Ardeny.

– Myśli pan, że wie, że mamy go na oku?

– Nie jestem pewny. Ale coś mi tu śmierdzi. Uważam, że jeśli mamy zastawić na niego pułapkę, trzeba się śpieszyć.

– Czy zrobiliśmy już coś w sprawie tych rur głosowych?

– Usunęli je wczoraj.

– Dobrze. A kiedy uda się znów wmurować do komina brakujące cegły?

– Dziś wieczór wysyłamy tam murarza.

– W porządku. Sam się tym zajmę.

* * *

Moją ostatnią deską ratunku jest Billot. Billot – szczwany lis, który wyszedł z niejednej opresji, dwukrotny minister wojny – na pewno zrozumie, że polityka sztabu generalnego jest nie tylko niemoralna… Że to polityczne samobójstwo.

W piątek miał wrócić z manewrów na południowym zachodzie. Tego dnia „Le Figaro” zamieszcza na pierwszej stronie tekst petycji złożonej przez Lucie Dreyfus w Izbie Deputowanych, w której dowodzi, że władze nie wyparły się istnienia tajnych akt:

A zatem widocznie to prawda, że sąd wojskowy skazał francuskiego oficera na podstawie zarzutów sprokurowanych przez oskarżenie bez jego wiedzy, przez co ani on, ani jego obrońca nie mogli się do tego odnieść.

To zaprzeczenie wszelkiej sprawiedliwości.

Od blisko dwóch lat jestem ofiarą skrajnie okrutnej udręki… tak samo jak człowiek, w którego niewinność niezłomnie

wierzę. Pomimo ohydnych i absurdalnych oszczerstw rozpuszczanych wśród społeczeństwa i przez prasę jak dotąd milczałam.

Dziś jednak mam obowiązek przerwać to milczenie. Powstrzymując się więc od uwag i wzajemnych oskarżeń, zwracam się do was, panowie – jedynej władzy, do jakiej mogę się odwołać – i żądam sprawiedliwości.

W wąskich, ponurych korytarzach i na schodach w sekcji statystycznej panuje cisza. Moi oficerowie zamykają się w swoich pokojach. Nieustannie spodziewam się wezwania na drugą stronę ulicy od Gonse'a, by wytłumaczyć, skąd zrzucono tę najnowszą bombę, ale telefon milczy jak zaklęty. Ze swojego gabinetu jednym okiem zerkam na tyły *hôtel* de Brienne. Wreszcie, tuż po trzeciej, dostrzegam przechodzących za wysokimi oknami umundurowanych ordynansów z teczkami na dokumenty. Widocznie minister już wrócił. Na moją korzyść działa topografia – Gonse, urzędujący na rue Saint-Dominique, jeszcze nie wie o powrocie ministra. Schodzę na rue de l'Université,

przecinam ulicę i korzystając z własnego klucza, chcę otworzyć furtkę do ministerialnego ogrodu.

I nagle dzieje się coś dziwnego. Klucz nie pasuje. Próbuję kilka razy, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że nic z tego nie będzie. Jednak zamek ma zupełnie inny kształt niż do tej pory. W końcu rezygnuję i jak każdy normalny śmiertelnik, wybieram długą drogę przez Place du Palais Bourbon.

– Major Picquart do ministra wojny…

Wartownik wpuszcza mnie przez bramę, lecz już w holu na parterze kapitan Gwardii Republikańskiej każe mi zaczekać. Po kilku minutach schodzi do mnie kapitan Calmon-Maison.

Pokazuję mu swój klucz.

– Nie pasuje – mówię, próbując obrócić to w żart. – Wygląda na to, że z powodu nadmiernej ciekawości, niczym Adam, zostałem wyrzucony z ogrodu.

– Przykro mi, pułkowniku – odpowiada Calmon-Maison z kamienną twarzą. – Co jakiś czas musimy wymieniać zamki… Rozumie pan, względy bezpieczeństwa.

– Nie musi się pan tłumaczyć, kapitanie. Ale ja wciąż muszę się widzieć z ministrem.

– Niestety, dopiero co wrócił z Châteauneuf. Ma mnóstwo pracy i jest wykończony. Czy mógłby pan przyjść w poniedziałek? – Ma przynajmniej na tyle przyzwoitości, że mówi to z wyraźnym wstydem.

– Nie zajmę mu wiele czasu.

– Mimo to…

– Zaczekam. – Znów siadam na kanapie z czerwonej skóry.

Kapitan spogląda na mnie z powątpiewaniem.

– Będzie lepiej, jeśli jeszcze raz spytam ministra – mówi.

– Chyba rzeczywiście będzie lepiej.

Stukając obcasami, znika na schodach, a wkrótce dobiega mnie z góry jego wołanie, odbijające się echem od kamiennych ścian.

– Pułkowniku Picquart!

Billot siedzi przy biurku.

– Picquart – mówi, ze znużeniem podnosząc rękę na powitanie. – Niestety, jestem bardzo zajęty.

Ale w gabinecie nie widać śladu żadnej działalności, podejrzewam więc, że po prostu gapił się tępo przez okno.

– Proszę o wybaczenie, panie ministrze. Nie zajmę panu wiele czasu. Ale w świetle tego, o czym pisały gazety w tym tygodniu, czuję, że

muszę poprosić pana o ostateczną decyzję w sprawie śledztwa dotyczącego Esterházyego.

Billot przygląda mi się zmęczonym wzrokiem spod krzaczastych siwych brwi.

– O decyzję? A konkretnie dotyczącą jakiego aspektu tego śledztwa?

Zaczynam opisywać pomysł, który opracowaliśmy z Desvernine'em – żeby zwabić Esterházyego na spotkanie, wysyłając mu wiadomość pochodzącą jakoby od Schwartzkoppena – ale minister od razu mi przerywa.

– Nie, nie, wcale mi się to nie podoba… to stanowczo zbyt okrutne. Wie pan, właściwie to tak sobie myślę, że najszybciej uporamy się z tą świnią, jeśli nie będziemy go stawiać przed sądem, tylko przeniesiemy w stan spoczynku. Ewentualnie wyślemy go gdzieś daleko… do Indochin albo Afryki. Sam nie wiem… najlepiej gdzieś, gdzie ma szansę złapać jakieś paskudne miejscowe choróbsko albo ni stąd, ni zowąd zarobić kulkę w plecy.

Nie bardzo wiem, jak odpowiedzieć na taką propozycję, więc puszczam ją mimo uszu.

– A co robimy w sprawie Dreyfusa? – pytam.

– Musi zostać tam, gdzie jest. Prawo wypowiedziało się na jego temat i na tym koniec.

– A zatem podjął pan ostateczną decyzję?

– Podjąłem. Przed defiladą w Châteauneuf miałem okazję omówić to na osobności z generałem Mercierem. Przyjechał automobilem z Le Mans, specjalnie w tym celu.

– Już to widzę!

– Nie pozwalajcie sobie, pułkowniku…! – Billot grozi mi palcem. Do tej pory stale zachęcał mnie do balansowania na granicy niesubordynacji: bawiła go rola pobłażliwego ojca. Najwyraźniej pozbawiono mnie tego przywileju, tak samo jak dostępu do jego ogrodu.

A jednak nie mogę się powstrzymać.

– Te tajne akta… Wie pan, że nie ma w nich żadnego dowodu przeciwko Dreyfusowi? A nawet że zawierają jawne kłamstwa?

Zakrywa uszy rękami.

– O pewnych rzeczach nie powinienem słuchać, pułkowniku.

– Potrafię krzyczeć naprawdę głośno – ostrzegam go.

– Ja nie żartuję, Picquart! Naprawdę nie powinienem tego słuchać! – protestuje ostro. Opuszcza ręce dopiero wtedy, gdy nabiera pewności, że nie skalam jego uszu niczym niestosownym. – Niech pan nie będzie aroganckim młodym durniem i mnie posłucha –

mówi pojednawczym, rozsądnym tonem. – Generał Boisdeffre niedługo podejmuje w Paryżu cara, ten dyplomatyczny majstersztyk zmieni oblicze świata. Ja muszę negocjować z Komisją Finansów preliminarz budżetowy w wysokości około sześciuset milionów franków. Nie stać nas na to, żeby od tak ważnych kwestii odrywała nas paskudna sprawa jednego Żyda zesłanego na jakąś tam wysepkę. To by rozbiło nasze wojsko. A mnie by zaszczuto, zmuszono do dymisji… i skądinąd słusznie. Nie może pan popadać w przesadę. Rozumie pan, co do pana mówię, pułkowniku?

Kiwam głową.

Billot z zaskakującą gracją wstaje, wychodzi zza biurka i zatrzymuje się przede mną.

– Calmon-Maison mówił mi, że musieliśmy wymienić zamki od ogrodu. To straszny nudziarz. Dopilnuję, żeby dostał pan nowy klucz. Niezwykle sobie cenię pańską inteligencję, drogi chłopcze. – Podaje mi rękę. Uścisk jego dłoni jest mocny, suchy, bezduszny. Chwyta moją dłoń drugą ręką, więzi ją. – Nie jest łatwo sprawować władzę, Georges. Podejmowanie trudnych decyzji wymaga żelaznych nerwów. Ale ja już widziałem wszystko. Dziś w prasie jest tylko Dreyfus,

Dreyfus, Dreyfus. Jutro odkryją coś nowego, a o nim zapomną, zobaczy pan.

* * *

Przepowiednia Billota co do prasy i Dreyfusa okazuje się trafna. Gazety, równie znienacka jak podjęły ten temat, straciły zainteresowanie więźniem z Diabelskiej Wyspy. Jego miejsce na czołówkach gazet zajęła rosyjska wizyta państwowa, a zwłaszcza domysły na temat tego, w co będzie ubrany car. Ale ja nie zapominam o Dreyfusie.

Mimo że muszę zawiadomić Desvernine'a, że nie skorzystamy z usług *monsieur* Lemerciera-Picarda oraz że nasza prośba o zgodę na zastawienie pułapki została odrzucona, w miarę możliwości kontynuuję śledztwo w sprawie Esterházyego. Przesłuchuję emerytowanego podoficera Mullota, który pamięta, że kopiował dla majora fragmenty podręcznika strzelania; spotykam się też z nauczycielem Esterházyego w szkole artylerii, kapitanem le Rondem, który nazywa swojego byłego ucznia szubrawcem: „Gdybym go spotkał na ulicy, nie podałbym mu ręki" – zarzeka się. Wszystko to trafia do teczki Dobrodzieja i czasami, przeglądając pod koniec

dnia dotychczas zebrane dowody – *petit bleu*, zdjęcia z inwigilacji, zeznania – powtarzam sobie, że jeszcze zobaczymy go w więzieniu.

Nie dostaję jednak nowego klucza do ogrodów *hôtel* de Brienne; chcąc się zobaczyć z ministrem, muszę się zawczasu umówić. I chociaż przyjmuje mnie serdecznie, to jednak bije od niego wyraźna rezerwa. To samo dotyczy Boisdeffre'a i Gonse'a. Nie ufają mi już bez zastrzeżeń – i mają rację.

* * *

Pewnego dnia pod koniec września z samego rana idę po schodach do swojego gabinetu i nieco dalej w korytarzu spostrzegam majora Henry'ego, pogrążonego w rozmowie z Lauthem i Gribelinem. Stoi zwrócony do mnie plecami, ale te muskularne bary i byczy kark są równie charakterystyczne jak twarz. Lauth zerka ponad jego ramieniem i widząc mnie, posyła majorowi ostrzegawcze spojrzenie. Henry przestaje mówić, odwraca się. Wszyscy trzej mi salutują.

– Panowie – mówię. – Witam z powrotem, majorze Henry. Jak minął urlop?

Zmienił się. Złapał trochę słońca – jak zresztą wszyscy oprócz mnie – ale ma też inną fryzurę; z krótką grzywką nie wygląda już teraz na

szczwanego rolnika, raczej na kutego na cztery nogi mnicha. I jest coś jeszcze: przepełnia go jakaś nowa energia, jak gdyby wszystkie negatywne siły krążące wokół naszej małej jednostki – podejrzenia, niezadowolenie i niepokój – połączyły się w jego pojemnym ciele i naładowały go czymś na kształt elektryczności. To on jest ich przywódcą. Moja zagrożona pozycja to jednocześnie jego szansa. Jest dla mnie niebezpieczny. Wszystkie te myśli przelatują mi przez głowę w ciągu tych kilku sekund, podczas których salutuje mi i z szerokim uśmiechem odpowiada:

– Dziękuję, pułkowniku, mój urlop był bardzo udany.

– Muszę pana wprowadzić w to, co tu się działo.

– Jak pan sobie życzy, pułkowniku.

Już mam go zaprosić do gabinetu, lecz zmieniam zdanie.

– Wie pan co, a może wyskoczymy się napić po pracy?

– Napić się?

– Zaskoczyłem pana.

– To dlatego, że do tej pory nigdy razem nie pijaliśmy.

– No cóż, to był błąd, prawda? Naprawmy go. Wybierzemy się gdzieś? Powiedzmy o piątej?

Punktualnie o piątej po południu Henry puka do moich drzwi, a ja biorę czapkę i wychodzimy na ulicę.

– Gdzie pan chce pójść? – pyta.

– Niech pan wybiera. Ja rzadko zaglądam do okolicznych barów.

– A więc do Royale. Zaoszczędzimy sobie łamania głowy.

Taverne Royale to ulubiony bar pracowników sztabu generalnego. Nie byłem w nim od lat. O tej porze w lokalu panuje spokój – dwóch kapitanów pije coś przy drzwiach, barman czyta gazetę, kelner wyciera stoły. Na ścianach wiszą fotografie z pułku; podłogę z gołych desek zalegają trociny; wszystko jest utrzymane w kolorze brązowym, mosiądzu albo sepii. Henry czuje się tu jak u siebie w domu. Siadamy przy stoliku, a on zamawia koniak. Z braku lepszego pomysłu biorę to samo.

– Zostaw pan całą flaszkę – mówi Henry barmanowi. Częstuje mnie papierosem, ale odmawiam. Kiedy sobie przypala, dociera do mnie, że w głębi duszy brakowało mi trochę tego starego byka… na tej samej zasadzie, na jakiej ludziom zdarza się polubić rzeczy znane, nawet

jeśli są brzydkie. Henry jest kwintesencją wojska w takim sensie, w jakim ja, Lauth czy Boisdeffre nigdy nie będziemy. Gdy żołnierze wyłamują się z szeregu i chcą uciekać z pola walki, to właśnie tacy jak Henry potrafią ich skłonić do powrotu i walczenia dalej.

– To za co pijemy? – pyta, unosząc kieliszek.

– Może za to, co oboje kochamy? Za wojsko?

– Świetnie – zgadza się. Stukamy się kieliszkami. – Za wojsko!

Wychyla koniak jednym haustem, dolewa mi do pełna, a potem sobie. Upija łyczek, przyglądając mi się nad krawędzią kieliszka. Jego małe brunatne oczka są mętne, nie potrafię odczytać ich wyrazu.

– Tak… zdaje się, że w biurze sprawy się nieco pogmatwały, pułkowniku, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie.

– Chyba jednak zapalę – odpowiadam, na co podsuwa mi po blacie papierośnicę. – A jak pan sądzi, czyja to wina?

– Nikogo nie wytykam palcem. Po prostu mówię, jak jest.

Zapalam papierosa i bawię się kieliszkiem, przesuwając go po blacie tak, jakby to była figura szachowa. O dziwo, korci mnie, żeby się wyżalić.

– Tak między nami, nigdy nie chciałem zostać szefem tej sekcji – mówię. – Wiedział pan o tym? Szpiedzy napawali mnie strachem. Objąłem to stanowisko przez czysty przypadek. Gdybym nie znał Dreyfusa, nie brałbym udziału w jego aresztowaniu, a potem nie obserwował procesu w sądzie wojskowym i ceremonii degradacji. Niestety, sądzę, że nasi przełożeni mają całkowicie błędne wyobrażenie na mój temat.

– A jakie wyobrażenie byłoby zgodne z prawdą?

Papierosy Henry'ego są bardzo mocne. Tureckie. Mam wrażenie, że moje nozdrza się palą.

– Ponownie przyjrzałem się sprawie Dreyfusa.

– Tak, Gribelin mi mówił, że zabrał pan akta. Zdaje się, że nieźle pan namieszał.

– Generał Boisdeffre był przekonany, że to dossier już nie istnieje. Twierdzi, że generał Mercier kazał pułkownikowi Sandherrowi się go pozbyć.

– Nie wiedziałem o tym. Pułkownik kazał mi je przechować w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Jak pan myśli, dlaczego Sandherr nie wykonał rozkazu?

– To już pytanie do niego.

– Możliwe, że go o to spytam.

– Może go pan pytać, o co pan tylko chce, pułkowniku, ale nie liczyłbym na odpowiedź. – Henry stuka się w skroń. – Jest na oddziale zamkniętym w Montauban. Przejechałem szmat drogi, żeby się tam z nim zobaczyć. Ale to był obraz nędzy i rozpaczy. – Wygląda na zasmuconego. Nagle unosi kieliszek. – Zdrowie pułkownika Sandherra, jednego z najlepszych!

– Za Sandherra – przytakuję, udając, że piję jego zdrowie. – Ale jak pan sądzi, dlaczego zatrzymał te akta?

– Podejrzewam, że uważał, że mogą się jeszcze kiedyś przydać. W końcu to dzięki nim skazano Dreyfusa.

– Tyle że obaj doskonale wiemy, że Dreyfus jest niewinny.

Henry robi wielkie oczy w geście ostrzeżenia, ale i ze strachu.

– Nie mówiłbym takich rzeczy na głos, pułkowniku, zwłaszcza tutaj. Niektórym może się to nie spodobać.

Rozglądam się. Do baru zaczynają napływać klienci. Nachylam się, zniżam głos. Nie jestem pewny, czy sam chcę się wyspowiadać, czy zamierzam wyspowiadać Henry’ego, wiem tylko, że potrzebne jest rozgrzeszenie.

– To nie Dreyfus napisał *bordereau*, tylko Esterházy – mówię cicho. – Nawet Bertillon przyznał, że charakter pisma jest identyczny. A więc główny zarzut w sprawie przeciwko Dreyfusowi legł w gruzach! A jeśli chodzi o te wasze tajne akta…

Przerywa mi wybuch śmiechu przy sąsiednim stoliku. Z irytacją zerkam w tamtą stronę.

– Co takiego chciał pan powiedzieć na temat tajnych akt? – pyta Henry; śmiertelnie poważny, przygląda mi się z uwagą.

– Drogi Henry, nawet przy najlepszych chęciach można dopatrzyć się w nich tylko jednej rzeczy wskazującej na Dreyfusa… Takiej, że Niemcy i Włosi dostawali plany fortyfikacji od kogoś o inicjale „D”. Nawiasem mówiąc, wcale pana nie winię: kiedy już Dreyfus trafił do aresztu, pańskim obowiązkiem było zgromadzenie jak najbardziej przekonującego materiału dowodowego. Ale teraz, odkąd znamy fakty związane z Esterházym, wszystko się zmieniło. Teraz już wiemy, że skazano niewinnego człowieka. Więc niech pan mi powie: jak w świetle tej wiedzy mamy postąpić? Zignorować ją, i już?

Odchylam się na oparcie krzesła. Po długim milczeniu, wciąż wpatrując się w moją twarz,

Henry upewnia się:

– Pan mnie pyta o radę?

Wzruszam ramionami.

– Ależ oczywiście, jeśli jakąś pan ma.

– Wspominał pan o tym Gonse’owi?

– Tak.

– A Boisdeffre’owi i Billotowi?

– Owszem.

– I co powiedzieli?

– Żebym odpuścił.

– Więc niech pan sobie odpuści, pułkowniku, na miłość boską! – syczy.

– Nie mogę?

– Dlaczego?

– Po prostu jestem ulepiony z innej gliny. Nie po to wstąpiłem do wojska, żeby robić takie rzeczy.

– A więc źle pan sobie wybrał zawód. – Henry z niedowierzaniem kręci głową. – Musi im pan dać to, czego chcą, pułkowniku… To oni są szefami.

– Nawet mimo że Dreyfus jest niewinny?

– A pan znowu swoje! – Rozgląda się. Teraz to on nachyla się nad stołem i ścisza głos. – Niech pan posłucha, pułkowniku, ja nie wiem, czy on jest winny, czy nie, i szczerze mówiąc, gówno mnie to obchodzi, przepraszam za język, i tak

samo nie powinno obchodzić pana. Zrobiłem to, co mi kazano. Każe mi pan zastrzelić człowieka, to strzelam. Jeśli później mi pan mówi, że źle pan zapisał nazwisko i powinienem zastrzelić kogoś innego… cóż, ubolewam nad tym, ale to nie moja wina. – Nalewa nam obu następną lampkę koniaku. – Chce pan mojej rady? To coś panu opowiem. Kiedy mój pułk stacjonował w Hanoi, w koszarach pleniło się złodziejstwo. No więc któregoś dnia major i ja zastawiliśmy pułapkę i złapaliśmy złodzieja na gorącym uczynku. Okazało się, że jest synem pułkownika… Bóg raczy wiedzieć, co mu kazało okradać takich jak my, ale to robił. No i ten mój major… on trochę przypominał pana, był, że tak powiem, typem idealisty… chciał postawić tego złodzieja przed sądem. A na to góra nie dała zgody. Mimo to major zrobił swoje i wysmażył akt oskarżenia. Ale w sądzie wojskowym to on poniósł klęskę. Złodziej wyszedł wolny. To się zdarzyło naprawdę. – Henry unosi kieliszek w moją stronę. – I tak wygląda to wojsko, które kochamy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kiedy następnego dnia rano wchodzę do gabinetu, na moim biurku leżą akta Dreyfusa – nie tajne dossier, tylko raport z Ministerstwa Kolonii. Dostarczają mi je regularnie z prośbą o komentarz.

W ostatnich tygodniach w związku z Dreyfusem odnotowano dwa groźne incydenty. Najpierw angielska gazeta doniosła o ucieczce więźnia. Potem doszedł do tego zaadresowany do niego list, wysłany na rue Cambon i podpisany nazwiskiem przypominającym „Weiler”, z rzekomo napisaną atramentem sympatycznym wiadomością: *Ostatniego przekazu nie da się rozszyfrować. W odpowiedzi wróć do poprzedniej procedury. Wskaż dokładnie, gdzie są dokumenty i jak można otworzyć kredens. Aktor jest gotów natychmiast wejść do gry*. Odkąd Dreyfus otrzymał ten list, jego strażnicy dostali rozkaz niespuszczania go z oka. On jednak skrzywił się tylko i odłożył go na bok. Nazwisko Weiler wyraźnie nic mu nie mówiło. Zarówno my, jak

i Sûreté zgodnie uznaliśmy, że ktoś zrobił mu złośliwy dowcip.

A jednak, wertując akta, spostrzegam, że niektóre epizody posłużyły Ministerstwu Kolonii, by jeszcze bardziej utrudnić Dreyfusowi życie na zesłaniu. Od trzech tygodni na noc zakuwano go w kajdany. Jest nawet ilustracja tego dziwnego sprzętu, przysłanego z kolonii karnej w Cayenne, który stosowano w tym celu. Do łóżka są przytwierdzone na stałe dwa żelaza w kształcie litery „U”. O zachodzie słońca wkładają w nie kostki nóg więźnia. Następnie w otwory w tych dybach wsuwają sztaby i zamykają na kłódkę. Skazaniec przebywa w tej pozycji aż do świtu. Na domiar złego wokół jego chaty buduje się podwójne ogrodzenie z solidnego drewna, wysokie na dwa i pół metra. Wewnętrzne biegnie zaledwie pół metra od jego okna, całkowicie zasłaniając mu widok na morze. A w ciągu dnia nie pozwalają mu już chodzić po wyspie, spacerować może jedynie między pierwszym a drugim ogrodzeniem. Teraz cały jego świat składa się z pasma kamieni i krzewów między dwoma płotami, bez choćby jednego drzewa i cienia.

Jak zwykle do teczki dołączony jest aneks ze skonfiskowanymi listami Dreyfusa.

Wczoraj wieczorem zakuto mnie w kajdany. Nie wiem dlaczego. Od przybycia tutaj zawsze skrupulatnie wykonuję wszystkie rozkazy. Jakim cudem nie zwariowałem podczas tej długiej, koszmarnej nocy? (7 września 1896 r.).

Te noce w żelazach! Nie mówię już nawet o cierpieniu fizycznym, tylko o upokorzeniu moralnym, i to bez słowa wyjaśnienia, bez podania przyczyny – za co i dlaczego?! Od blisko dwóch lat moje życie to nieustający, potworny koszmar! (8 września).

Zakuwanie w kajdany, kiedy i tak już dzień i noc jestem obserwowany jak dzikie zwierzę przez strażnika uzbrojonego w karabin i rewolwer! O nie, trzeba jasno powiedzieć prawdę. Tu nie chodzi o środki bezpieczeństwa. To przejaw nienawiści i tortury nakazane z Paryża przez tych, którzy nie mogąc uderzyć w rodzinę, biją niewinnego człowieka, ponieważ ani on, ani rodzina nie położą po sobie uszu, nie pogodzą się z najbardziej przerażającą pomyłką wymiaru sprawiedliwości (9 września).

Odechciewa mi się dalszej lektury. Widziałem, jak wyglądają po zakuciu w okowy nogi więźniów – ciało jest przecięte do żywej kości. W rojącym się od insektów tropikalnym skwarze udręka jest nie do zniesienia. Przez chwilę moja ręka z piórem zawisa nad aktami. W końcu jednak zaopatruję je w adnotację: „Zwrócić do Ministerstwa Kolonii", a obiegówkę podpisuję bez komentarza.

* * *

Kilka godzin później biorę udział w zebraniu w gabinecie Gonse'a, na którym mamy ustalić ostatnie szczegóły ochrony carskiej wizyty. Ponurzy ludzie z dwóch ministerstw, Spraw Wewnętrznych oraz Zagranicznych, a do tego z Sûreté i z Pałacu Elizejskiego – mężczyźni uważający się za Bóg wie kogo, skoro zajmują się tak istotnymi sprawami – zasiadają wokół okrągłego stołu i omawiają najdrobniejsze detale przebiegu pobytu cara we Francji.

W poniedziałek o pierwszej po południu rosyjska flotylla w asyście dwunastu pancerników wpłynie do portu w Cherbourgu. Prezydent republiki powita cara i carową. O osiemnastej trzydzieści w Arsenale zostanie

wydana kolacja na siedemdziesiąt osób; generał de Boisdeffre zasiądzie przy stole cara. We wtorek o ósmej pięćdziesiąt rano pociąg rosyjskiego imperatora wjedzie do Wersalu. Carska świta przesiądzie się do pociągu prezydenckiego, który o dziesiątej przyjedzie na stację w Ranelagh. Przemierzenie dziesięciu kilometrów do Paryża zajmie paradzie półtorej godziny; trasy będzie strzegło osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Wszyscy podejrzewani o terroryzm zostali albo zatrzymani, albo wygnani z Paryża. Po uroczystym obiedzie w rosyjskiej ambasadzie car z carową zwiedzą cerkiew Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego przy rue Daru. O wpół do siódmej wieczorem w Pałacu Elizejskim rozpocznie się państwowy bankiet na dwieście siedemdziesiąt osób, o ósmej trzydzieści nastąpi pokaz ogni sztucznych w Trocadéro, a następnie odbędzie się przedstawienie galowe w operze. W środę…

Moje myśli co chwila biegną trzynaście tysięcy kilometrów dalej, do skutego kajdanami człowieka na Diabelskiej Wyspie.

Gdy po zakończeniu zebrania wszyscy wychodzą, Gonse prosi mnie o chwilę rozmowy. Jest uprzedzająco grzeczny.

– Tak sobie myślałem, drogi Picquart. Kiedy już skończy się całe to zamieszanie z Rosjanami, chciałbym wysłać pana z misją specjalną do miast garnizonowych na wschodzie kraju.

– W jakim celu, panie generale?

– Inspekcji i złożenia raportu o procedurach bezpieczeństwa. Sugestii zmian na lepsze. To ważne zadanie.

– Jak długo byłbym poza Paryżem?

– Och, raptem kilka dni. Może z tydzień czy dwa.

– Ale kto będzie wtedy kierował sekcją?

– Sam ją przejmę. – Wybucha śmiechem i klepie mnie w ramię. – Jeżeli uzna pan, że uniosę taką odpowiedzialność!

* * *

W niedzielę u Gastów spotykam się z Pauline – nie widziałem jej od tygodni. Ma na sobie suknię, o której wie, że mi się w niej podoba: gładką żółtą, z koronką przy mankietach i kołnierzyku. Są z nią Philippe oraz obie córeczki – Germaine i Marianne. Zazwyczaj całkiem dobrze znoszę widok ich rodziny razem, tego dnia jednak cierpię istne katusze. Na dworze pada i jest zimno. Jesteśmy skazani na pobyt pod

dachem. Nie mam więc gdzie uciec przed widokiem Pauline obracającej się w jej drugim życiu… tym prawdziwym.

Po dwóch godzinach nie potrafię już dłużej udawać. Wychodzę na werandę z tyłu domu, żeby zapalić cygaro. Zimny ulewny deszcz, zmieszany z gradem niczym północnoeuropejski monsun, ogołaca drzewa z resztek liści. Kulki gradu odbijają się od przesiąkniętego wodą trawnika. Przypominają mi się nieustanne tropikalne ulewy opisywane przez Dreyfusa.

Za plecami słyszę cichy szelest jedwabiu, dolatuje mnie zapach perfum i po chwili obok staje Pauline. Nie patrzy na mnie, spogląda przed siebie, na ponury ogród. W prawej dłoni trzymam cygaro, lewą rękę mam zwieszoną. Ona muska ją grzbietem prawej dłoni. Mam wrażenie, jakby zetknęły się tylko nasze włoski. Ktoś nadchodzący z tyłu zobaczyłby po prostu parę przyjaciół, wspólnie patrzących na burzę. Ale jej bliskość mnie obezwładnia. Żadne z nas się nie odzywa. Nagle z trzaskiem otwierają się drzwi od korytarza i rozlega się tubalny głos Monniera:

– Miejmy nadzieję, że nie taka pogoda powita w przyszłym tygodniu Ich Carskie Moście!

Pauline od niechcenia unosi rękę i strząsa z czoła kosmyk włosów.

– Bardzo jesteś w to zaangażowany, Georges? – pyta.

– Niespecjalnie.

– Ależ on skromny, jak zwykle – wtrąca się Monnier. – Wiem, jaką rolę pan i pańscy chłopcy odgrywają, żeby cała ta impreza przebiegła bezpiecznie.

– A będziesz miał okazję osobiście poznać cara? – dopytuje się Pauline.

– Obawiam się, że musiałbym być co najmniej generałem.

– Ale z pewnością może pan obserwować defiladę, prawda, Picquart? – mówi Monnier.

Zaciągam się głęboko cygarem, marząc o tym, żeby sobie wreszcie poszedł.

– Mógłbym, gdyby nie pewien kłopot. Minister wojny przyznał miejsca dla moich oficerów oraz ich żon w Pałacu Burbonów.

– Ale się nie wybierasz?! – woła Pauline, dając mi sójkę w bok. – Ty nędzny republikaninie!

– Nie mam żony – wyjaśniam.

– O, to żaden kłopot – mówi na to Monnier. – Pożyczę panu swoją.

* * *

I tak w czwartek rano Pauline i ja przepychamy się po schodach Pałacu Burbonów na wyznaczone nam miejsca. Przy okazji stwierdzam, że wszyscy oficerowie z sekcji statystycznej przyjęli zaproszenie ministra i stawili się z żonami, a Gribelin z matką. Gdy się zjawiamy, nawet nie próbują ukrywać ciekawości, a ja, zbyt późno, uświadamiam sobie, jak muszą nas postrzegać – oto ich szef, kawaler, z uwieszoną u ramienia zamężną kochanką. Dlatego też przedstawiam ją bardzo oficjalnie, podkreślając jej pozycję towarzyską jako żony mojego serdecznego przyjaciela, *monsieur* Monniera z quai d'Orsay. To tylko wzmaga ich podejrzliwość. Wprawdzie Henry kłania jej się nieznacznie, a Lauth kiwa głową i trzaska obcasami, lecz zauważam, że Berthe Henry, córka oberżysty, z właściwym parweniuszom snobizmem wzdraga się nawet przed uściśnięciem dłoni Pauline, a *madame* Lauth, z zaciśniętymi z dezaprobatą ustami, po prostu się od niej odwraca.

Nie wygląda jednak na to, by Pauline się tym przejęła. Mamy wspaniały widok, prosto na most i za Sekwanę, na sterczący pół kilometra dalej obelisk na Place de la Concorde. Pogoda jest słoneczna, lecz wietrzna. Powiewające na

budynkach trójkolorowe flagi w czerwone, białe i niebieskie pasy – pionowe to Francja, poziome to Rosja – trzepoczą i wydymają się. Gapie na moście tłoczą się w dziesięciu albo i dwunastu rzędach i czekają tak już od świtu. Podobno w całym mieście jest tak samo. Według policji paryskiej na trasie przejazdu cara stoi półtora miliona widzów.

Od Place de la Concorde dobiega cichy ryk tysięcy wiwatujących ludzi, a potem stopniowo, jakby w symfonii, narasta w tle rytmiczny stukot końskich kopyt o kocie łby. W poprzek szerokiego bulwaru pojawia się migotliwy szereg świateł, a za nim kolejne, z których z czasem wyłaniają się lśniące w ostrym słońcu hełmy i napierśniki – to lansjerzy i kirasjerzy, anglezując na koniach, z rozwiniętymi sztandarami, po dwunastu w szeregu jadą mostem. Nadciągają fala za falą, pędzą wprost na nas równym kłusem, aż w końcu wydaje się, że wpadną na schody i nas stratują. W ostatniej chwili jednak skręcają, omijając nas z prawej, i wjeżdżają w boulevard Saint-Germain. Za nimi ciągną tubylcze oddziały kawalerii – *chasseurs d'Afrique*, algierscy spahisi, jazda arabska; ich konie płoszy harmider tłumu. Dalej mamy procesję otwartych państwowych powozów:

prezydenta, rosyjskiego ambasadora, przywódców Senatu oraz Izby Deputowanych, a także wszystkich innych wybitnych postaci republiki, w tym generała Billota. Wyjątkowo donośne owacje zbiera Boisdeffre, kłaniający się na prawo i lewo hełmem z piórami; krążą plotki, że dzięki tej wizycie zostanie ministrem spraw zagranicznych.

Następuje przerwa, a potem zbliża się rosyjski powóz państwowy, pod ochroną otaczającej go konnicy. Pauline gwałtownie łapie powietrze i chwyta mnie za ramię.

Po całym tym gadaniu o sojuszach i wojskach największe wrażenie robi na mnie niski wzrost carskiej pary. Cara Mikołaja II spokojnie można by wziąć za przerażonego jasnowłosego chłopca w mundurze ojca i z przyklejoną sztuczną brodą. Co kilka sekund salutuje machinalnie, szybko dotykając skraju czapki z karakułów. Wygląda to bardziej na nerwowy tik niż na podziękowanie za owację. Siedząca obok niego carowa Aleksandra wydaje się jeszcze młodsza – mała dziewczynka, która dobrała się do kufra ze strojami. Ma na sobie boa z łabędziego puchu, jedną ręką trzyma biały parasol, a drugą olbrzymi bukiet. Kłania się szybko na prawo i lewo. Jestem dostatecznie blisko, by dojrzeć, jak

uśmiecha się przez zaciśnięte zęby. Oboje sprawiają wrażenie wystraszonych. Ich powóz zarzuca ostro w prawo, a oni lekko kiwają się wraz z przechyłem, po czym znikają z widoku, wessani w ten hałaśliwy lej.

Nie puszczając mojego ramienia, Pauline odwraca się i chce mi coś powiedzieć. Rejwach sprawia, że nie słyszę jej głosu.

– Co takiego?! – wołam.

Przyciąga mnie do siebie, tak blisko, że na uchu czuję jej oddech, a ja wytężając słuch, widzę, jak Henry, Lauth i Gribelin wlepiają w nas wzrok.

* * *

Później wlokę się za tą trójką rue de l'Université do biura. Idą jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną. Ulica jest pusta. Większość ludzi, w tym nasze kobiety, postanowiła zostać na miejscu, by przez mgnienie oka zobaczyć carską parę jadącą po obiedzie przez most do cerkwi Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Sposób, w jaki Henry gestykuluje ręką, a pozostali dwaj kiwają głowami, mówi mi, że rozmawiają o mnie. Nie mogę się oprzeć, by nie

przyśpieszyć kroku. A kiedy jestem tuż za ich plecami, odzywam się głośno:

– Panowie, miło widzieć, że nie zaniedbujecie swoich obowiązków!

Spodziewałem się pełnego skruchy śmiechu, może nawet zażenowania. A tymczasem trzy odwracające się do mnie twarze są opryskliwe, wyzywające. Uraziłem ich mieszczańskie uczucia bardziej, niż mi się zdawało. Resztę drogi do sekcji statystycznej pokonujemy w milczeniu, a ja do końca dnia nie ruszam się ze swojego gabinetu.

* * *

Krótko po siódmej nad Paryżem zachodzi słońce. O ósmej jest już za ciemno, by czytać. Ale nie zapalam lampy.

W miarę jak dzień się ochładza i zapada wieczór, stary drewniany budynek kurczy się i trzeszczy. Ptaki w ministerialnym ogrodzie milkną. Cienie nabierają geometrycznych kształtów. Siedzę przy biurku i czekam. Jeśli duchy Woltera i Monteskiusza kiedykolwiek miałyby się zmaterializować, to teraz jest najlepsza okazja. Otwierając drzwi o ósmej trzydzieści, niemal spodziewam się ujrzeć

rokokową perukę i aksamitną pelerynę, frunące w głębi korytarza. Ale wygląda na to, że pradawne gmaszysko opustoszało. Wszyscy, nawet Capiaux, poszli oglądać pokaz ogni sztucznych w Trocadéro.

Wyjmuję z szuflady skórzany futerał z wytrychami, który kilka miesięcy wcześniej zostawił mi Desvernine. Wchodzę po schodach, w pełni świadomy absurdalności sytuacji – oto szef tajnej sekcji wywiadu musi się włamywać do archiwów własnej jednostki. Rozważyłem jednak sytuację z każdej strony i nie widzę lepszego wyjścia. W każdym razie warto spróbować.

Przyklękam w korytarzu przed drzwiami pokoju Gribelina. Na początek stwierdzam, że sforsowanie zamka wytrychem jest łatwiejsze, niż się wydaje. Gdy już pojąłem, którego narzędzia należy użyć, bez trudu znajduję szczelinę w mechanizmie zamka. Potem wystarczy już tylko nacisnąć. Następnie lewą ręką nie zwalniam nacisku, podczas gdy prawą wsuwam wytrych i manipuluję nim, by podnieść zapadki. Najpierw unosi się jedna, później druga i w końcu trzecia – dobrze naoliwiony rygiel przesuwa się z cichym szczękiem i drzwi stają otworem.

Zapalam światło elektryczne. Otwarcie wszystkich zamków w gabinecie Gribelina zajęłoby mi wiele godzin. Pamiętam jednak, że trzyma swoje klucze w dolnej lewej szufladzie biurka. Przez dziesięć minut cierpliwie posługuję się metodą prób i błędów, aż wreszcie zamek ustępuje. Wysuwam szufladę. Leży w niej pęk kluczy.

Nagły stuk powoduje, że serce podchodzi mi do gardła. Wyglądam przez okno. Kilometr dalej reflektory na szczycie wieży Eiffla świecą ponad Sekwaną na Place de la Concorde. Wokół promieni widać wybuchy gwiazd, migających i pulsujących w ciszy, a po sekundzie czy dwóch dobiegają eksplozje, tak głośne, że aż wibrują szyby w starych okiennicach. Patrzę na zegarek. Dziewiąta. Jest więc półgodzinne opóźnienie. Pokaz ogni sztucznych ma trwać trzydzieści minut.

Biorę pęk kluczy Gribelina i próbuję otworzyć najbliższą szafkę na akta.

Gdy już trafiłem na właściwy klucz, otwieram wszystkie szuflady. Mój priorytet to zebranie wszystkich, choćby najmniejszych strzępów materiałów od agentki Auguste, jakie tylko uda mi się znaleźć.

Posklejane z kawałków dokumenty zaczynają już żółknąć ze starości. Gdy je rozdzielam na kilka kupek, szeleszczą jak zwiędnięte liście – telegramy i listy od Hauptmanna Damego z Berlina, podpisane jego *nom de guerre*, Dufour; listy do Schwartzkoppena od niemieckiego ambasadora, hrabiego Münstera; do Panizzardiego od ambasadora Włoch, *signore* Ressmanna; i wreszcie od attaché wojskowego cesarstwa austro-węgierskiego, pułkownika Schneidera. Jest koperta pełna spalonych na popiół papierów, datowana na listopad roku 1890. Są listy do Schwartzkoppena od włoskiego attaché marynarki wojennej, Rosseliniego, oraz brytyjskiego attaché wojskowego, pułkownika Talbota. Jest z czterdzieści, pięćdziesiąt listów miłosnych od Hermance de Weede – *Mój najdroższy ukochany przyjacielu, Mój Maxi* – oraz dwukrotnie mniej od Panizzardiego: *Mój Ty malutki, Mój Ty kocurze, Moja kochana gruba paróweczko…*

Swego czasu, czytając tak intymne materiały, czułbym się niezręcznie – wręcz brudny – ale to już przeszłość.

W środku tego wszystkiego znajduję zaszyfrowany telegram od Panizzardiego do

sztabu generalnego w Rzymie, nadany o trzeciej nad ranem w piątek, drugiego listopada 1894 r.:

Dowództwo Stato Maggiore Rzym

913 44 7836 527 3 88 706 6458 71 18 0288 5715 3716 7567 7943 2107 0018 7606 4891 6165

Panizzardi

Do tego przypięty jest rozszyfrowany tekst, napisany przez generała Gonse'a: *Aresztowano kapitana Dreyfusa. Ministerstwo Wojny ma dowody na jego współpracę z Niemcami. Przedsięwzięliśmy niezbędne środki ostrożności.*

Przepisuję to do swojego notesu. Za oknem wieża Eiffla spływa kaskadami migoczących świateł. Rozlega się ostatni, końcowy, głośny jak piorun wybuch i wieża stopniowo pogrąża się w ciemności. Pokaz dobiegł końca. Oceniam, że przedarcie się przez tłum w ogrodach Trocadéro i powrót do sekcji zajmie około trzydziestu minut.

Wracam do posklejanych dokumentów.

Większość materiałów jest niekompletna albo bez znaczenia, bo nie da się z nich wydobyć sensu. Nagle uderza mnie, że próby przypisania

znaczenia tym śmieciom to kompletne szaleństwo, że nie jesteśmy wiele lepsi od wróżbitów ze starożytnego Rzymu, którzy decydowali o sprawach wagi państwowej, badając wątroby zwierząt. Czuję piasek pod powiekami. Tkwię w pracy od południa, bez jedzenia. Być może dlatego w pierwszej chwili nie zwracam uwagi na zasadniczy dokument i przechodzę do następnego. Utkwił mi jednak w głowie, więc wracam i przeglądam go od nowa.

To krótka notatka, napisana cienkim piórem, czarnym atramentem, na kwadratowej białej kartce, podartej na dwadzieścia kawałków; części z nich brakuje. Jej autor proponuje Schwartzkoppenowi sprzedaż *tajemnicy prochu strzeleckiego niepozostawiającego dymu*. List podpisano *Pański oddany Dubois* i datowano na dwudziestego siódmego października 1894 roku, dwa tygodnie po aresztowaniu Dreyfusa.

Zagłębiam się dalej w te akta. Dwa dni później Dubois znowu pisze do niemieckiego attaché: *Mogę Panu dostarczyć nabój do karabinu Lebela, który umożliwi wam zgłębienie tajemnicy prochu strzeleckiego niepozostawiającego dymu*. Wygląda na to, że Schwartzkoppen nic w tej sprawie nie zrobił. Bo i po co? List sprawia wrażenie, jakby autor był stuknięty –

podejrzewam, że attaché mógłby dostać nabój do lebela za cenę kufla piwa w pierwszym lepszym barze w dowolnym mieście garnizonowym we Francji.

Mnie jednak ciekawi nazwisko w podpisie. Dubois? Jestem pewien, że dopiero co gdzieś je czytałem. Wracam do sterty listów Panizzardiego do Schwartzkoppena. *Moja piękna dziewczynko, Mój zielony pieseczku, Moja Ty cioto nad ciotami, Twoja oddana ciota drugiej klasy…* I wreszcie mam: w notatce z 1893 roku Włoch pisze do Schwartzkoppena: *Widziałem się z panem Dubois*.

Do listu dołączony jest odnośnik do akt. Zorientowanie się w systemie Gribelina i odszukanie ich zajmuje mi kilka minut. W teczce znajduję krótki raport majora Henry'ego, zaadresowany do pułkownika Sandherra i datowany na kwiecień 1894 roku, dotyczący możliwej tożsamości agenta określanego jako „D.", który dostarczył Niemcom i Włochom „dwanaście planów generalnych Nicei". Wniosek Henry'ego jest taki, że chodzi o niejakiego Jacques'a Dubois – drukarza zatrudnionego w zakładzie obsługującym zamówienia z Ministerstwa Wojny. Prawdopodobnie to również on dostarczył Niemcom rysunki w dużej skali przedstawiające

fortyfikacje w Toul, Reims, Langres, Neufchâteau i całej reszcie. Kiedy puszcza maszynę drukarską w ruch, bez trudu może zrobić kilka dodatkowych egzemplarzy na własny użytek. *Przesłuchałem go wczoraj* – donosi Henry – *i stwierdziłem, że to żałosna postać: fantasta o skłonnościach przestępczych, ograniczony intelektualnie i bez dostępu do tajnych materiałów. Przekazane przez niego plany są ogólnie dostępne. Moje zalecenia: nie podejmować dalszych działań, bo nie ma takiej potrzeby*.

A więc jednak! „D.” nie oznacza Dreyfusa – to Dubois.

„Każe mi pan zastrzelić człowieka, to strzelam…”

Starannie zapisałem sobie, gdzie leżały wszystkie teczki i dokumenty, a teraz przystępuję do żmudnego układania ich na swoim miejscu. Przywrócenie wszystkiego do stanu pierwotnego, pozamykanie szafek i wytarcie blatu stołu zajmuje mi jakieś dziesięć minut. Kończę tuż po dziesiątej. Odkładam klucze Gribelina do szuflady biurka, klękam i zaczynam zamykać ją z powrotem, co wcale nie jest łatwe. Manipulując dwoma cienkimi metalowymi narzędziami, mam świadomość upływającego czasu. Ręce mi się plączą ze zmęczenia, są śliskie od potu. Nie

wiedzieć czemu zamknięcie zamka wydaje się o wiele trudniejsze niż otwarcie go, w końcu jednak mi się to udaje. Gaszę za sobą światła.

Pozostaje mi już tylko zamknąć na powrót drzwi do archiwum. Wciąż klęczę w korytarzu, zmagając się z zapadkami, gdy naraz wydaje mi się, że z dołu dobiega trzask drzwi frontowych. Przerywam pracę, nastawiam uszu. Nie słyszę żadnych podejrzanych dźwięków. Widocznie ponosi mnie wyobraźnia. Wracam do irytującej roboty. Nagle jednak rozlega się wyraźne skrzypnięcie kroku na podeście pierwszego piętra i ktoś rusza schodami do archiwum. Już tak niewiele mi brakuje do przesunięcia ostatniej zapadki, że nie mam ochoty przerywać. Dopiero gdy dolatuje mnie znacznie głośniejsze skrzypnięcie, zdaję sobie sprawę, że czas mi się skończył. Pędzę korytarzem, próbuję otworzyć najbliższe drzwi – zamknięte na klucz. Potem kolejne – otwarte. Wślizguję się do środka.

Nasłuchuję nieśpiesznych, miarowych kroków kogoś nadchodzącego korytarzem. W szparze między drzwiami a futryną pojawia się Gribelin. Rany boskie, czy ta nieszczęsna niedojda żyje czymś jeszcze oprócz pracy? Przystaje przed wejściem do archiwum, wyjmuje swój klucz. Wkłada go do zamka i próbuje

przekręcić. Nie widzę jego twarzy, ale dostrzegam, jak sztywnieją jego ramiona. A to co? Naciska klamkę i ostrożnie otwiera drzwi. Nie wchodzi do środka, tylko staje w progu i wytęża słuch. Potem gwałtownie otwiera drzwi na oścież, zapala światło i wchodzi. Słyszę, jak sprawdza szuflady. Po chwili wraca na korytarz i rozgląda się na prawo i lewo. Powinien wyglądać jak cudaczny konus – mały troll w ciemnym garniturze. A jednak wcale tak nie jest. Kiedy tam stoi, czujny i podejrzliwy, bije z niego wrogość – ten człowiek stanowi dla mnie zagrożenie.

W końcu – zapewne doszedłszy do wniosku, że przez zapomnienie nie zamknął drzwi na klucz – wraca do archiwum i zamyka je za sobą. Czekam jakieś dziesięć minut, a potem zzuwam buty i w skarpetkach przemykam się obok jego matecznika.

Wracając do mieszkania, przystaję na środku mostu, by wyrzucić futerał z wytrychami do Sekwany.

* * *

W ciągu następnych kilku dni car zwiedza Notre Dame, nadaje nowemu mostowi imię

swojego ojca, wydaje bankiet w Wersalu.

Podczas gdy on załatwia własne sprawy, ja się zajmuję swoimi.

Idę na drugą stronę ulicy na spotkanie z pułkownikiem Foucault, który wrócił z ambasady w Berlinie, by śledzić wizytę cara. Wymieniamy zwyczajowe uprzejmości, po czym pytam go:

– Czy po spotkaniu, które zorganizowaliśmy w Bazylei, Richard Cuers odezwał się jeszcze do pana?

– Tak, przyszedł do mnie i z goryczą skarżył się na jego przebieg. Z tego, co zrozumiałem, wasi ludzie nieźle go wymaglowali. Kogo pan tam wysłał, na miłość boską?

– Mojego zastępcę, majora Henry'ego; innego z moich ludzi, kapitana Lautha; a do tego dwóch policjantów. A dlaczego pan pyta? Co powiedział Cuers?

– Powiedział, że wybrał się w tę podróż w dobrej wierze, by wyjawić, co wie na temat niemieckiego agenta we Francji, ale od przyjazdu do Szwajcarii miał wrażenie, że jest traktowany jak kłamca i fantasta. Szczególnie zastraszał go pewien francuski oficer… grubas o czerwonej twarzy. Stale mu przerywał i jasno dawał do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno jego

słowo. Zakładam, że specjalnie obraliście taką taktykę?

– Nie, nic podobnego. Nic mi o tym nie wiadomo.

Foucault przygląda mi się skonsternowany.

– No cóż, bez względu na to, czy było to zamierzone, czy nie, Cuers już się do was więcej nie odezwie.

Udaję się na spotkanie z Tompsem w kwaterze głównej Sûreté.

– Chodzi o wyjazd do Bazylei – zapowiadam.

Tomps natychmiast ma się na baczności. Nikogo nie chce wpakować w kłopoty. A jednak widać, że ta historia nie daje mu spokoju.

– Nie zacytuję pana – obiecuję. – Niech mi pan tylko powie, co tam się stało.

Nie muszę go specjalnie namawiać. Odnoszę wrażenie, że z prawdziwą ulgą przyjął możliwość zrzucenia ciężaru z piersi.

– No cóż, pułkowniku, pamięta pan nasz pierwotny plan? – pyta. – Wykonaliśmy go co do joty. Śledziłem Cuersa w drodze z dworca kolejowego w Niemczech do katedry, zobaczyłem, jak nawiązuje kontakt z moim kolegą Vuillecardem, a potem pojechałem za nimi do hotelu Schweizerhof, gdzie na piętrze czekali już na niego major Henry i kapitan Lauth.

Następnie wróciłem na dworzec i czekałem. Minęły pewnie ze trzy godziny, aż nagle wszedł Henry i zamówił kielicha. Spytałem, jak im idzie, na co odparł: „Mam dość sukinsyna”… Wie pan, jak on klnie. „Stawiam miesięczny żołd, że niczego się od niego nie dowiemy”, powiedział. Zapytałem więc: „Skoro tak, to dlaczego wrócił pan tak wcześnie?”. A on na to: „Bo odstawiałem ważniaka, udałem, że się wściekłem, i w końcu się stamtąd zmyłem. Zostawiłem go z Lauthem, niech się młody wykaże!”. Rzecz jasna, byłem rozczarowany postępami, dlatego powiedziałem: „Jestem starym znajomym Cuersa, wie pan? On ma słabość do absyntu. Nie wylewa za kołnierz, naprawdę lubi sobie golnąć. Może lepiej podejść go od tej strony? Czy jeśli kapitan Lauth niczego nie zwojuje, pozwoli mi pan spróbować?”.

– I jak major Henry na to zareagował?

Tomps nadal udatnie naśladuje majora.

– „Nie, szkoda zachodu. Nie ma o czym mówić”, odparł. A potem, o szóstej, kiedy kapitan Lauth skończył swoją zmianę i zjawił się na dworcu, znów zapytałem Henry’ego: „Niech pan posłucha, ja naprawdę dobrze znam Cuersa. Dlaczego nie pozwoli mi pan wyciągnąć go na kielicha?”. Ale on tylko powtórzył to co przedtem: „Nie, to nie ma sensu. Tracimy tu tylko

czas”. Więc złapaliśmy nocny pociąg do Paryża i było po wszystkim.

Po powrocie do gabinetu zakładam teczkę Henry’emu. Nie mam cienia wątpliwości, że to major Henry wrobił Dreyfusa.

* * *

Łamanie szyfrów nie wchodzi w zakres obowiązków sekcji statystycznej ani nawet Ministerstwa Wojny. Zajmuje się tym podległa Ministerstwu Spraw Zagranicznych siedmioosobowa sekcja, której przewodzi geniusz czystej wody, major Étienne Bazeries. Majora rozsławiła prasa jako człowieka, który złamał Wielki Szyfr Ludwika XIV oraz ujawnił tożsamość Człowieka w Żelaznej Masce. Pod każdym względem reprezentuje sztampowy wizerunek ekscentrycznego cudownego dziecka – jest niechlujny, obcesowy, zapominalski – i niełatwo się z nim zobaczyć. Pod pretekstem załatwiania innych spraw dwa razy zaglądam na quai d’Orsay i próbuję go znaleźć, lecz jego pracownicy informują mnie, że nikt nie wie, gdzie jest szef. Dopiero pod koniec miesiąca udaje mi się złapać go w jego gabinecie. Bez marynarki, pochyla się nad biurkiem ze

śrubokrętem w ręku i walającymi się dookoła częściami cylindrycznego urządzenia do łamania szyfrów. Teoretycznie jestem jego przełożonym, lecz Bazeries ani nie salutuje, ani nawet nie wstaje; nie wykazuje szacunku dla szarży, tak samo jak nie widzi powodu, żeby się strzyc, golić, a nawet – sądząc z panującego w jego gabinecie zapaszku – myć.

– Sprawa Dreyfusa – mówię mu. – Telegram od majora Panizzardiego, włoskiego attaché wojskowego, wysłany drugiego listopada tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku do sztabu generalnego w Rzymie.

Zerka na mnie przez zatłuszczone szkła okularów.

– Coś z nim nie tak?

– To pan go rozszyfrował?

– Tak. Zajęło mi to dziewięć dni. – Po czym wraca do majstrowania przy swojej maszynie.

Wyjmuję notes i otwieram go na rozkładówce. Z jednej strony widnieje zaszyfrowany tekst, który przepisałem z akt w archiwum, a z drugiej odczytana wersja napisana ręką Gonse'a: *Aresztowano kapitana Dreyfusa. Ministerstwo Wojny ma dowody jego współpracy z Niemcami. Przedsięwzięliśmy niezbędne środki ostrożności.*

Podaję notes Bazeriesowi. – Czy tak brzmi pańskie rozwiązanie?

Rzuca okiem na tekst i jego twarz natychmiast wykrzywia gniew.

– Rany boskie, wy nigdy nie dajecie za wygraną, co? – Odsuwa krzesło, wielkimi krokami przemierza gabinet, otwiera drzwi i wrzeszczy: – Billecocq! Przynieś mi telegram Panizzardiego! – Odwraca się do mnie. – Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze, pułkowniku. Nie tak brzmiała treść telegramu i pobożne życzenia niczego tu nie zmienią.

– Chwileczkę – przerywam mu, unosząc rękę, żeby go uspokoić. – Jak widać, wiąże się z tym jakaś historia, o której nie mam pojęcia. Żeby nie było wątpliwości: twierdzi pan, że to nie jest wierne tłumaczenie rozszyfrowanego telegramu?

– Odczytanie zajęło nam dziewięć dni właśnie dlatego, że ministerstwo uparcie nie chciało przyjąć faktów do wiadomości!

Młody, wyraźnie zdenerwowany człowiek, zapewne Billecocq, wchodzi z teczką w ręku. Bazeries wyrywa mu ją niecierpliwie i otwiera.

– O, jest. Widzi pan? Oryginalny telegram! – Podnosi go tak, żebym mógł się przyjrzeć. Poznaję charakter pisma włoskiego attaché. – Panizzardi nadał go w urzędzie telegraficznym

przy avenue Montaigne o trzeciej nad ranem. Dzięki naszym układom z operatorem telegrafów o dziesiątej rano tekst trafił tutaj, do naszego wydziału. O jedenastej dokładnie na pańskim miejscu stał pułkownik Sandherr i żądał, żebyśmy rozszyfrowali tekst jak najszybciej. Powiedziałem mu, że to niemożliwe… Ten konkretny szyfr był nadzwyczaj skomplikowany, nigdy wcześniej nie udało nam się go złamać. A on na to: „A gdybym zagwarantował panu, że znajduje się tam konkretne słowo?”. Odparłem, że jeśli tak, to całkiem inna sprawa. Powiedział mi, że to słowo brzmi „Dreyfus”.

– A skąd mógł wiedzieć, że Panizzardi wymieni Dreyfusa?

– No cóż, przyznaję, że bardzo sprytnie to sobie wymyślili. Sandherr wyjaśnił, że poprzedniego dnia załatwił, by nazwisko człowieka zatrzymanego pod zarzutem szpiegostwa wyciekło do prasy. Dowodził, że ten, kto prowadzi Dreyfusa, wpadnie w panikę i nawiąże kontakt z przełożonymi. Skoro więc wyśledzono, że Panizzardi w środku nocy udał się do urzędu telegraficznego, pułkownik Sandherr oczywiście nabrał pewności, że jego taktyka się powiodła. Niestety, kiedy udało mi się

złamać szyfr, tekst wiadomości nie był taki, jak by sobie tego życzył. Niech pan sam przeczyta.

Bazeries pokazuje mi telegram. Pod liczbami tworzącymi zaszyfrowany tekst widnieje starannie zapisane tłumaczenie: *Jeśli kapitan Dreyfus nie miał z wami kontaktów, należy polecić ambasadorowi, by wydał oficjalne dementi w celu uniknięcia komentarzy prasowych.*

Czytam tekst dwukrotnie, by się upewnić, że zrozumiałem wynikające z niego konsekwencje.

– A więc ten telegram dowodzi, że Panizzardi nie miał bladego pojęcia o Dreyfusie… Czyli coś dokładnie przeciwnego od tego, w co wierzył pułkownik Sandherr?

– Otóż to! Ale Sandherr nie zamierzał przyjąć tego do wiadomości. Upierał się, że musieliśmy się pomylić i źle odczytać jakieś słowo. Poruszył tę sprawę na najwyższym szczeblu. Załatwił nawet, żeby jeden z jego agentów podrzucił Panizzardiemu nowe informacje w zupełnie innej sprawie, ale takie, by ten musiał wysłać do Rzymu drugą zaszyfrowaną wiadomość zawierającą pewne terminy techniczne. Rozszyfrowując także ten telegram, wykazaliśmy ponad wszelką wątpliwość, że złamaliśmy szyfr i prawidłowo odczytaliśmy tę pierwszą notatkę.

Dlatego proszę, pułkowniku… nie każcie nam przechodzić przez to po raz drugi.

Przeprowadzam w pamięci obliczenia. Dziewięć dni od drugiego listopada to jedenasty. Sąd wojskowy rozpoczął posiedzenie dziewiętnastego grudnia. Czyli że zanim Dreyfus stanął przed sądem, przez ponad miesiąc sekcja statystyczna wiedziała, że zwrot „tego łotra D.” nie mógł się odnosić do Dreyfusa, skoro Panizzardi nigdy o nim nie słyszał… no, chyba że okłamywał przełożonych, ale po co miałby to robić?

Pytam więc:

– I nie ma najmniejszej wątpliwości, że po zakończeniu całej procedury dostarczyliście Ministerstwu Wojny prawidłową wersję tekstu?

– Najmniejszych wątpliwości. Dałem tekst Billecocqowi, żeby doręczył go osobiście.

– Pamięta pan, komu pan go przekazał? – pytam Billecocqa.

– Tak, panie pułkowniku. Pamiętam doskonale, ponieważ wręczyłem go ministrowi we własnej osobie. Przekazałem tekst generałowi Mercierowi.

* * *

Wróciwszy do sekcji statystycznej, czuję dolatujący z mojego gabinetu zapach dymu z papierosa, a po otwarciu drzwi widzę generała Gonse'a, który siedzi przy moim biurku. Na moim stole spoczywa zaś wielki zad Henry'ego.

– Długo pana nie było – odzywa się Gonse wesoło.

– Nie wiedziałem, że byliśmy umówieni.

– Bo nie byliśmy. Pomyślałem, że do pana wpadnę.

– Dotychczas się to panu nie zdarzyło.

– Naprawdę? Widocznie powinienem robić to częściej. Cóż to za osobną operację prowadzi pan tu na boku? – Wyciąga rękę. – Pozwoli pan, że wezmę te tajne akta Dreyfusa.

– Oczywiście. Wolno zapytać, w jakim celu?

– Nie wolno.

Mam ochotę się kłócić. Zerkam na Henry'ego, który lekko unosi brwi.

„Musi im pan dać to, czego chcą, pułkowniku… To oni są szefami".

Schylam się powoli, żeby otworzyć sejf, szukając w głowie jakiegoś pretekstu, by nie wykonać polecenia. Wyciągam akta oznaczone jako „D". Niechętnie podaję je generałowi. Gonse otwiera teczkę i szybko przegląda jej zawartość.

– Jest wszystko? – pytam uszczypliwie.

– Oby się nic nie zawieruszyło! – Gonse uśmiecha się do mnie, lecz jest to czysto mechaniczny ruch dolnej części twarzy, pozbawiony cienia humoru. – A właśnie, w związku z pańskim rychłym wyjazdem na inspekcję musimy wprowadzić kilka zmian administracyjnych. Dlatego też wszystkie materiały od agentki Auguste major Henry będzie przekazywał bezpośrednio mnie.

– Przecież to nasze najważniejsze źródło informacji!

– Owszem, i właśnie dlatego jej materiały powinny trafiać do mnie, jako do szefa wywiadu. Czy to wam odpowiada, Henry?

– Jak pan sobie życzy, generale.

– Czy jestem zwolniony? – upewniam się.

– Ależ skąd, mój drogi Picquart! To tylko zwyczajne przetasowanie obowiązków w celu zwiększenia skuteczności. Wszystkie inne sprawy zostają u pana. A więc załatwione. – Gonse wstaje, gasi papierosa. – Wkrótce znowu porozmawiamy, pułkowniku. – Skrzyżowanymi rękami przyciska teczkę z aktami Dreyfusa do piersi. – Niech pan się nie martwi, już ja się zaopiekuję naszym cennym dzieciątkiem.

Po jego wyjściu Henry spogląda na mnie. Ze skruchą wzrusza ramionami.

– Należało skorzystać z mojej rady – mówi.

* * *

Słyszałem, jak ludzie uczestniczący w publicznych egzekucjach na rue de la Roquette twierdzili, że zgilotynowane głowy skazańców wciąż wykazują oznaki życia. Ich policzki drgają. Mrugają powieki. Ruszają się usta.

Tak się zastanawiam: czy te ucięte głowy również mają przez chwilę złudzenie, że wciąż żyją? Czy widzą gapiących się na nich ludzi i w mgnieniu oka, zanim pochłonie je ciemność, wyobrażają sobie, że nadal mogą się z nimi porozumiewać?

Bo właśnie tak dzieje się ze mną po wizycie Gonse'a. Wciąż stawiam się w swoim gabinecie o stałej porze, jakbym nadal był żywy. Czytam doniesienia. Prowadzę korespondencję z agentami. Zwołuję zebrania. Co tydzień spisuję *blanc* dla szefa sztabu generalnego: Niemcy planują manewry wojskowe w Alzacji i Mozeli, coraz szerzej korzystają z psów, w Bussang niedaleko granicy kładą kable telefoniczne… Ale to już moje ostatnie podrygi. Prawdziwa władza nad sekcją statystyczną przeniosła się na drugą stronę ulicy, do ministerstwa, gdzie Gonse

regularnie odbywa teraz narady z moimi oficerami – Henrym, Lauthem i Gribelinem. Słyszę ich, jak wychodzą do niego. Słyszę, jak wracają. Coś kombinują, ale nie mogę się zorientować, o co im chodzi.

Wygląda na to, że nie mam wyjścia. To jasne, że nie mogę się zgłosić ze swoją wiedzą do przełożonych, skoro muszę przyjąć, że sami już ją posiadają. Przez kilka dni rozważam, czy nie odwołać się bezpośrednio do prezydenta, ale potem czytam jego ostatnie przemówienie, wygłoszone w obecności generała Billota (*Wojsko to serce i dusza narodu, to lustro, w którym odbija się idealny obraz wyrzeczenia i patriotyzmu narodu francuskiego; wojsko jest oczkiem w głowie rządu i dumą całego kraju*), i uświadamiam sobie, że prezydent za nic nie wziąłby w obronę pogardzanego Żyda przeciwko „sercu i duszy narodu". Równie jasne jest to, że nie mogę podzielić się swoimi odkryciami z nikim spoza rządu – senatorem, sędzią czy naczelnym gazety – nie zdradzając przy tym naszych najtajniejszych źródeł wywiadowczych. To samo dotyczy rodziny Dreyfusa; a zresztą Sûreté obserwuje ich w dzień i w noc.

A przede wszystkim wzdrygam się na samą myśl o zdradzeniu wojska – mojego serca i duszy,

mojego lustra, mojego ideału.

Niczym sparaliżowany, czekam, aż coś się wydarzy.

* * *

Zauważam to w kiosku z gazetami na rogu avenue Kléber pewnego dnia w listopadzie, idąc skoro świt do pracy. Właśnie mam zejść z krawężnika na jezdnię, lecz ten widok sprawia, że zamieram w pół kroku – na samym środku pierwszej strony „Le Matin” widnieje faksymile *bordereau*.

Rozglądam się po ludziach czytających to na ulicy. Instynkt nakazuje mi czym prędzej wyrwać im gazety – czy naprawdę nie zdają sobie sprawy, że to tajemnica państwowa? Kupuję egzemplarz i chowam się w bramie. Naturalnej wielkości ilustracja najwyraźniej przedstawia jedną z fotografii Lautha. Tytuł artykułu brzmi *Dowód*, a cały tekst zieje wrogością wobec Dreyfusa. Od razu odnoszę wrażenie, że wyszedł spod ręki jednego z grafologów powołanych na biegłych przez oskarżenie. Zbieżność w czasie jest oczywista. Przed trzema dniami ukazała się broszura Lazare’a *Pomyłka sądowa: Prawda o sprawie Dreyfusa*, bezpardonowo

rozprawiająca się z grafologami. A im z powodów czysto zawodowych zależy, by ludzie nadal wierzyli, że to Dreyfus jest autorem *bordereau*. Zwłaszcza że kurczowo podtrzymywali twierdzenia o prawdziwości faksymile.

Łapię dorożkę, by jak najszybciej dotrzeć do biura. Atmosfera w pracy jest pogrzebowa. Mimo że artykuł na pozór potwierdza słuszność zarzutów wobec Dreyfusa, dla naszej sekcji to katastrofa. Schwartzkoppen, podobnie jak cały Paryż, przeczyta *bordereau* przy śniadaniu; a kiedy uświadomi sobie, że jego prywatna korespondencja znajduje się w rękach rządu francuskiego, to jeśli się nie zadławi, zacznie się zastanawiać, w jaki sposób tam trafiła. I długa kariera agentki Auguste może dobiec końca. A co z Esterházym? Myśl, w jaki sposób zareaguje, widząc swoje pismo ozdabiające kioski z gazetami, to jedyny aspekt tej sprawy, który mi sprawia przyjemność, zwłaszcza gdy krótko przed południem przychodzi Desvernine, by mnie poinformować, że właśnie widział, jak zdrajca wybiegł z gołą głową na ulewny deszcz z mieszkania Czteropalcej Marguerite i „wyglądał, jakby sam diabeł go gonił”.

* * *

Dostaję wezwanie od generała Billota. Przysłał kapitana z wiadomością, że mam się natychmiast stawić w jego gabinecie.

Chciałbym zyskać na czasie, by się przygotować na to spotkanie. Mówię więc kapitanowi:

– Zaraz tam będę. Proszę mu przekazać, że już idę.

– Przykro mi, pułkowniku. Mam rozkaz doprowadzić pana do niego bez zwłoki.

Biorę czapkę z wieszaka na kapelusze. Wychodząc na korytarz, widzę, że Henry kręci się przed swoim gabinetem razem z Lauthem. Coś w ich postawie – chytrość połączona z ciekawością i triumfem – mówi mi, że już wcześniej wiedzieli o wezwaniu i chcieli popatrzeć, jak wychodzę. Pozdrawiamy się uprzejmym skinieniem głowy.

Idziemy z kapitanem okrężną drogą i wchodzimy do *hôtel* de Brienne od ulicy.

– Major Picquart do ministra wojny…

Kiedy wchodzimy po marmurowych schodach, przypominam sobie, z jakim zapałem szedłem tędy zaraz po degradacji Dreyfusa – cichy, zasypany śniegiem ogród, Mercier

i Boisdeffre grzejący nogi od tyłu przed rozpalonym kominkiem, delikatne palce obracające globus i wskazujące na Diabelską Wyspę…

Także i tym razem Boisdeffre czeka w gabinecie ministra. Siedzi przy stole konferencyjnym, w otoczeniu Billota i Gonse'a. Przed Billotem leży zamknięta teczka. Ramię w ramię trzej generałowie tworzą ponury trybunał – komisję skazującą na szubienicę.

– Siadajcie, pułkowniku – mówi minister, wygładzając sumiaste wąsy.

Zakładam, że obwinią mnie o wyciek *bordereau*, a jednak Billot bierze mnie z zaskoczenia. Bez zbędnych ceregieli od razu przechodzi do rzeczy:

– Dostaliśmy anonimowy list. Nadawca twierdzi, jakoby w najbliższym czasie Izba Deputowanych miała oskarżyć majora Esterházyego jako wspólnika Dreyfusa. Czy ma pan jakiś pomysł, skąd nadawca listu mógł uzyskać wiedzę o tym, że podejrzewamy Esterházyego?

– Nie mam.

– Chyba nie muszę panu tłumaczyć, że jest to poważne naruszenie tajemnicy, jaką objęte jest pańskie śledztwo?

– Oczywiście, że nie. Dowiaduję się o tym z przerażeniem.

– To niedopuszczalne, pułkowniku! – Jego policzki nabiegają krwią, oczy wychodzą z orbit. Nagle generał przeistacza się w cholerycznego starca, ulubieńca karykaturzystów. – Najpierw ujawniono zawartość tajnego dossier! Potem na pierwszej stronie gazety drukują *bordereau*! A teraz to! Doszliśmy do nieuniknionego wniosku, że z obsesyjnym uporem… chociaż właściwie to niebezpieczna fiksacja… usiłuje pan postawić na miejscu Dreyfusa majora Esterházyego i że w tym celu jest pan gotów posunąć się do wszystkiego, nawet do przekazania prasie informacji objętych tajemnicą państwową.

– Kiepska sprawa, Picquart – wtrąca Boisdeffre. – Bardzo kiepska. Pan mnie rozczarował.

– Zapewniam pana, generale, że nigdy nikomu nie powiedziałem o tym, że prowadzę takie śledztwo, a już na pewno nie Esterházyemu. I nigdy nie przekazywałem żadnych informacji do prasy. Moje śledztwo nie wynika z osobistej obsesji. Połączyłem jedynie logiczny ciąg dowodów, wskazujący na Esterházyego.

– Nie, nie, nie! – Billot kręci głową. – Złamaliście wyraźny rozkaz, żeby trzymać się z dala od sprawy Dreyfusa. Obeszliście go, działając niczym szpieg we własnym wydziale. Mógłbym wezwać teraz ordynansa i kazać was wtrącić do Cherche-Midi pod zarzutem niesubordynacji.

Zapada cisza, po czym odzywa się Gonse:

– Skoro to jedynie kwestia logiki, pułkowniku, co by pan powiedział na to, gdybyśmy pokazali panu niezbity dowód, że Dreyfus był szpiegiem?

– Uznałbym go, rzecz jasna, gdyby rzeczywiście był niezbity. Nie wierzę jednak, że taki dowód istnieje.

– I właśnie tu pan się myli.

Gonse zerka na Billota, a ten otwiera teczkę. Jest w niej zaledwie jedna kartka.

– Niedawno dzięki agentce Auguste przechwyciliśmy list od majora Panizzardiego do pułkownika Schwartzkoppena – oznajmia Billot. – A tak brzmi interesujący nas ustęp: *Czytałem, że jeden z deputowanych wystąpi z pytaniami w sprawie Dreyfusa. Gdyby w Rzymie ktoś się domagał nowych wyjaśnień, powiem, że nigdy nie utrzymywałem kontaktów z tym Żydem. Ty również odpowiadaj tak samo, gdyby ktoś cię o to zapytał, bo nikt nigdy nie może się dowiedzieć, co*

się z nim stało. Podpisano: „Alexandrine”. No i co wy na to? – pyta Billot z satysfakcją, zamykając teczkę.

To oczywiste fałszerstwo. Inaczej być nie może. Nie tracę spokoju.

– Wolno spytać, kiedy dokładnie dotarł do nas ten list?

Billot odwraca się do Gonse’a, a ten wyjaśnia mi:

– Major Henry dostał go zwykłym kanałem mniej więcej dwa tygodnie temu. Był napisany po francusku, więc sam go posklejał.

– Czy mogę obejrzeć oryginał?

– A niby w jakim celu? – unosi się Gonse.

– Takim, że chciałbym zobaczyć, jak wygląda.

Na to wtrąca się Boisdeffre, lodowatym tonem:

– Mam szczerą nadzieję, pułkowniku Picquart, że nie ma pan zastrzeżeń co do prawości majora Henry’ego. Wiadomość pozyskano, zrekonstruowano… i tyle. Dzielimy się nią teraz z panem w nadziei, że jej istnienie nie wycieknie do prasy, a pan w końcu przestanie się upierać, ze szkodą dla państwa, jakoby Dreyfus był niewinny. Inaczej czekają pana nader surowe konsekwencje.

Przenoszę wzrok z jednego generała na kolejnych. A więc aż tak nisko upadło francuskie wojsko! Albo mam przed oczami największych durniów w Europie, albo największych zbrodniarzy; sam nie wiem, co dla mojego kraju jest gorsze. Jednakże instynkt samozachowawczy każe mi powstrzymać się i na razie z nimi nie walczyć. Muszę położyć uszy po sobie.

Nieznacznie kiwam głową.

– Skoro panowie nie wątpią, że list jest autentyczny, to oczywiście i ja w to wierzę.

– A zatem siłą rzeczy uznajecie winę Dreyfusa? – naciska Billot.

– Jeżeli ten dokument jest autentyczny, to owszem… musi być winny.

No i po wszystkim. Załatwione. Nie wiem, co jeszcze mógłbym wówczas powiedzieć, by w jakikolwiek sposób ulżyć niedoli Dreyfusa.

– Zważywszy na wasz dotychczasowy przebieg służby, pułkowniku, jesteśmy skłonni, przynajmniej chwilowo, wstrzymać się z wystąpieniem przeciwko wam na drogę prawną – oświadcza Billot. – Oczekujemy jednak, że wszystkie dokumenty dotyczące śledztwa w sprawie majora Esterházyego, w tym także *petit bleu*, przekażecie majorowi Henry’emu. Natychmiast udacie się też do Châlons, by

rozpocząć inspekcję Szóstego i Siódmego Korpusu.

Gonse znów się uśmiecha.

– Jeśli wolno, mój drogi Picquart, wezmę klucze do pańskiego gabinetu – mówi. – Nie ma powodu, żeby wracał pan do sekcji. Major Henry przejmie kierowanie nią na co dzień. Pan może iść prosto do domu i się spakować.

* * *

Wrzucam do walizki ubrania na trzy, cztery dni. Proszę konsjerżkę, żeby przekazywała moją korespondencję do Ministerstwa Wojny. A potem zostaje mi w sam raz czasu, by przed odjazdem pociągu o siódmej wieczorem zajrzeć do kilku przyjaciół i się pożegnać.

Pauline przebywa w rodzinnym mieszkaniu przy rue de la Pompe, gdzie nadzoruje dziewczęta przy herbacie. Na mój widok wpada w popłoch.

– Philippe w każdej chwili może wrócić z pracy – szepcze, przymykając za sobą drzwi.

– Nie martw się, nie wejdę do środka. – Stojąc na podeście, z walizką obok siebie, informuję ją, że wyjeżdżam.

– Na długo?

– Teoretycznie mniej więcej na tydzień, ale gdyby się okazało, że na dłużej, a musiałabyś się ze mną skontaktować, wysyłaj mi listy na adres ministerstwa… Tylko uważaj, co piszesz.

– Dlaczego? Czy coś się stało?

– Nie, ale ostrożność nie zawadzi. – Całuję Pauline w dłoń i przyciskam ją do policzka.

– *Maman!* – dobiega zza jej pleców piskliwy głosik.

– Wracaj do nich – mówię.

Jadę dorożką na boulevard Saint-Germain i każę woźnicy zaczekać. Jest już ciemno, w listopadowym mroku lśni rozświetlony wielki dom. Wyczuwa się atmosferę krzątaniny – późnym wieczorem Blanche urządza jeden ze swoich muzycznych *soirées*.

– Nieznajomy! – rzuca na powitanie. – Przybyłeś o wiele za wcześnie.

– Nie wejdę – mówię. – Niestety, na kilka dni muszę wyjechać z Paryża. – Powtarzam instrukcje, które przekazałem Pauline: gdyby musiała się ze mną skontaktować, może to zrobić za pośrednictwem ministerstwa, ale powinna zachować dyskrecję. – Ucałuj ode mnie Aimery’ego i Mathilde.

– Och, Georges! – woła zachwycona, szczypiąc mnie w policzek i całując w czubek nosa. – Jakiś

ty tajemniczy!

Wsiadając z powrotem do dorożki, widzę przez okno na parterze, jak Blanche pokazuje muzykom, gdzie mają się rozstawić. Zachowuję ostatnie wrażenie żyrandoli oraz zatrzęsienia kwiatów pod dachem, krzeseł z epoki Ludwika XIV, krytych bladoróżowym jedwabiem, a także światła odbijającego się od instrumentów z polerowanego świerku i klonu. Blanche uśmiecha się do jednego ze skrzypków, wskazując mu jego miejsce. Woźnica strzela z bata i ta wizja cywilizacji ginie mi z widoku.

Ostatnią wizytę składam Louisowi Leblois. I znów woźnica czeka; i znów nie wchodzę do środka, tylko się żegnam na klatce schodowej. Louis dopiero co wrócił z sądu. Natychmiast orientuje się, że cierpię katusze.

– Pewnie nie wolni ci o tym mówić? – pyta.

– Obawiam się, że nie.

– Będę tutaj, gdybyś mnie potrzebował.

Wracając do dorożki, zerkam na drugi koniec rue de l’Université, na biura sekcji statystycznej. Nawet po ciemku budynek stanowi mroczną plamę. Zauważam, że jakieś dwadzieścia kroków z tyłu stoi dorożka z żółtą lampką zajezdni Poissonnière-Montmartre. Odrywa się od krawężnika jednocześnie z nami, a gdy

docieramy na gare de l’Est, zatrzymuje się w dyskretnej odległości. Domyślam się, że śledzili mnie, odkąd tylko wyszedłem z mieszkania. Wolą nie ryzykować.

Na słupie ogłoszeniowym przed dworcem, pośród reklam i barwnych afiszy Opéra-Comique oraz Comédie-Française, wisi plakat z faksymile *bordereau* z „Le Matin”, a obok próbka pisma Dreyfusa – zestawione ze sobą, różnią się wyraźnie już na pierwszy rzut oka. Mathieu opłacił już rozwieszenie tych plakatów po całym Paryżu. Szybko się uwinął! *I gdzie jest ten dowód?* – brzmi tytuł. Każdego, kto rozpozna charakter pisma autora oryginału, czeka nagroda pieniężna.

On nie zrezygnuje, dopóki jego brat nie zostanie uwolniony albo nie umrze, myślę sobie. Gdy wrzucam walizkę na półkę pod sufitem i siadam na swoim miejscu w jadącym na południe pociągu, przynajmniej ta myśl napawa mnie odrobiną nadziei.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Klub Wojskowy Susa wychodzi zza parawanu zakurzonych palm na niebrukowany plac, dalej stoi nowoczesna budka celników, a za nią rozciąga się morze. Tego popołudnia blask wód zatoki Hammamet jest szczególnie oślepiający, niczym odbite od blachy światło słoneczne; muszę osłaniać oczy dłonią. Mija mnie chłopiec w długiej brązowej szacie, prowadzący na sznurku kozę. W ostrym świetle ich sylwetki rozpływają się w czarne smoliste kształty.

Wystrój Klubu Wojskowego za grubymi ceglanymi ścianami niczym nie wskazuje na to, że znajdujemy się w północnej Afryce. Drewniana boazeria, rozłożyste fotele oraz standardowe lampy z ozdobionymi frędzlami abażurami są takie same jak w każdym mieście garnizonowym we Francji. Jak zwykle po obiedzie siedzę samotnie przy oknie, a moi towarzysze broni z Czwartego Pułku Strzelców Tunezyjskich grają w karty, drzemią albo czytają francuskie gazety sprzed czterech dni. Nikt do mnie nie podchodzi. Wprawdzie zawsze pilnują

się, żeby traktować mnie z szacunkiem należnym mojej randze, ale trzymają się na dystans… i trudno mieć im to za złe. W końcu coś musi być ze mną nie tak, moją karierę pewnie zrujnowała niewyobrażalna hańba… Bo inaczej dlaczego zesłano by najmłodszego pułkownika w całym wojsku do takiej dziury? Na tle błękitnej jak niebo góry mojego nowego pułku szkarłatna wstęga Legii Honorowej przyciąga ich zafascynowany wzrok niczym rana postrzałowa.

Jak zwykle mniej więcej o trzeciej młody ordynans wchodzi przez wysokie przeszklone drzwi z popołudniową pocztą. Ten przystojny na swój nieokrzesany urwisowski sposób chłopak gra w pułkowej orkiestrze i nazywa się Flavian-Uband Savignaud. Zjawił się w Susie kilka dni przede mną, wysłany – nie mam co do tego wątpliwości – przez sekcję statystyczną, z rozkazami od Henry'ego albo Gonse'a, że ma mnie szpiegować. Nie mam mu jednak za złe szpiegowania, tylko to, że robi to tak niekompetentnie. Korci mnie, żeby mu wygarnąć: „Słuchaj no, jeśli już przeszukujesz moje rzeczy, to odkładaj je na miejsce tak, jak je zastałeś – najpierw postaraj się zapamiętać, co gdzie leżało. A jeśli masz dopilnować, żeby przechwytywano moje listy, to przynajmniej

udawaj, że wkładasz je normalnie do przegródki, a nie wręczaj ich bezpośrednio urzędnikowi poczty… Śledziłem cię dwukrotnie i za każdym razem zwróciłem uwagę na twoją niezdarność”.

Chłopak zatrzymuje się obok mojego krzesła i salutuje.

– Pańska poczta, pułkowniku. Czy ma pan coś do wysłania?

– Dziękuję. Jeszcze nie.

– Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić, pułkowniku? – W jego tonie kryje się wyraźny podtekst.

– Nie. Możecie odejść.

Odchodzi, kołysząc biodrami. Któryś z młodszych kapitanów odkłada gazetę i odprowadza go wzrokiem. To jeszcze jedna rzecz, którą mam im za złe – nie to, że Henry i Gonse sądzą, że mógłbym się dać zaciągnąć do łóżka przez mężczyznę, ale to, że ich zdaniem mógłby mnie skusić ktoś taki jak Savignaud.

Sprawdzam pocztę – list od siostry i drugi od kuzyna Edmonda. Sekcja statystyczna otworzyła oba, a potem zdradziła się, zalepiając koperty na amen przy użyciu kleju. Podobnie jak mój kolega na wygnaniu, Dreyfus, ja również podlegam rygorom kontrolowania poczty… z tą różnicą, że w przeciwieństwie do niego mojej nie cenzurują.

Są także dwa raporty od agentów, z rodzaju tych, które wciąż mi przesyłają w ramach podtrzymywania fikcji, jakobym jedynie czasowo został oddelegowany do innej pracy; te również zostały otwarte. I na koniec jest list od Henry'ego. Poznaję jego charakter pisma uczniaka – odkąd ponad pół roku temu wyjechałem z Paryża, często ze sobą korespondujemy.

Do niedawna nasze listy były utrzymane w przyjaznym tonie (*Niebo jest tu błękitne, a po południu czasem doskwiera upał; w niczym nie przypomina to Paryża*). Jednak w maju naczelne dowództwo w Tunisie rozkazało mi wziąć pułk do Sidi El Hani i przez trzy tygodnie prowadzić ćwiczenia ze strzelania do celu. Wiązało się to z całodziennym marszem na południowy zachód, a także z rozbiciem obozu na pustyni. Tubylców trudno było wyszkolić, co w połączeniu ze skwarem, nudą monotonnego kamiennego krajobrazu rozciągającego się we wszystkie strony, a przede wszystkim z nieustanną obecnością Savignauda sprawiło, że w ostatnim krzyku protestu napisałem: *Drogi Henry, przyznajmy publicznie raz na zawsze, że zostałem zwolniony z obowiązków. Nie wstydzę się z tego powodu; co mnie zawstydza, to te wszystkie*

kłamstwa i tajemnice rozpowszechniane na mój temat w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Zakładam, że teraz Savignaud przyniósł mi odpowiedź Henry'ego. Otwieram kopertę od niechcenia, spodziewając się tradycyjnych słów otuchy i zapewnień, że już wkrótce wrócę do Paryża. Tymczasem odpowiedź utrzymana jest w tonie tak zimnym, jak to tylko możliwe. Major ma zaszczyt zawiadomić mnie, że „dochodzenie" przeprowadzone w łonie sekcji statystycznej wykazało, że jedyne „tajemnice", o których wspominam w swoim liście, to trzy rzeczy popełnione przeze mnie, a mianowicie: 1) prowadzenie potajemnej operacji „niemającej związku ze służbą"; 2) przekupienie oficerów w czynnej służbie, by zeznali, że „w urzędzie pocztowym przechwycono tajny dokument od znanego nadawcy"; i 3) „otwarcie tajnego dossier i zbadanie jego zawartości, w wyniku czego doszło do popełnienia pewnych niedyskrecji". Zakończenie listu Henry'ego ocieka sarkazmem: *Co się zaś tyczy słowa „kłamstwa", śledztwo nie zdołało ustalić, gdzie, w jaki sposób i do kogo można by je odnieść. Z poważaniem, J. Henry*.

I podobno ten człowiek jest moim podwładnym! List został datowany na poniedziałek, trzydziestego pierwszego maja,

tydzień temu. Sprawdzam datę na kopercie: czwartek, trzeci czerwca. Natychmiast domyślam się, co się stało: po napisaniu listu Henry przesłał go na drugą stronę ulicy, by Gonse zatwierdził treść, a dopiero potem nadał go pocztą. A więc ta nieporadna groźba prawie na pewno ma za sobą poparcie sztabu generalnego. Mimo afrykańskiego upału przechodzą mnie zimne ciarki. Ponownie czytam list. I wtedy niepokój powoli mnie opuszcza, a wzbiera we mnie straszliwy gniew (*Z poważaniem*?), osiąga taki poziom, że z najwyższym trudem powstrzymuję się od wrzasków i kopania w meble. Wpycham listy do kieszeni spodni, wciskam czapkę na głowę i tak wściekle maszeruję do drzwi, że w nagłej ciszy uświadamiam sobie, iż wszyscy odwracają głowy i odprowadzają mnie wzrokiem.

Ciężkim krokiem przemierzam drewnianą werandę, omal nie zrzucając z niej dwóch majorów, którzy palą cygara, schodzę po schodkach klubu, mijam oklapłą flagę narodową na maszcie, przecinam szeroki bulwar i wchodzę do ogrodu marynarki, gdzie w każdą niedzielę po południu pułkowa orkiestra, fałszując, wygrywa melodie znane społeczności francuskich ekspatriantów – ot, taka niemuzykalna parodia

domu. Tutaj przystaję, żeby wziąć się w garść. Dwaj majorzy gapią się na mnie z werandy, nie kryjąc zdumienia. Odwracam się, ruszam przez mały park w stronę morza, mijam podium dla orkiestry i popsutą fontannę, po czym wychodzę na portowe nadbrzeże.

Od miesięcy w porze obiadu chodziłem do Klubu Wojskowego, gdzie przeglądałem zwietrzałe gazety w nadziei, że znajdę jakieś nowe rewelacje w sprawie Dreyfusa. Szczególnie liczyłem na to, że prędzej czy później ktoś rozpozna na *bordereau* charakter pisma Esterházyego i zwróci się wprost do rodziny Dreyfusa. Ale na nic nie trafiłem, o tej sprawie w ogóle już przestano pisać. Mijając kutry rybackie, ze zwieszoną głową i splecionymi na plecach rękami, z wściekłością wyrzucam sobie tchórzostwo. Zamiast zrobić, co do mnie należało, zostawiłem to innym. A teraz Henry i Gonse wierzą, że jestem tak załamany zesłaniem, tak zmiażdżony ich bezwzględnością, że uda im się mnie zastraszyć i stanę się całkowicie uległy.

Przy doku na południowym skraju nabrzeża, niedaleko murów starego arabskiego miasta, znajduje się targ rybny. Przystaję i przez chwilę oglądam wyładunek połowu – barweny,

morlesze, morszczuki i makrele lądują na brzegu. Obok w basenie tłoczy się z pół tuzina żółwi ze związanymi sznurkiem szczękami; żyją, chociaż zostały oślepione, żeby nie mogły uciekać. Wdrapują się jeden na drugiego, wydając takie dźwięki, jakby ktoś stukał kostką brukową – za wszelką cenę próbują się dostać z powrotem do morza, które wyczuwają, chociaż go nie widzą.

* * *

Moja kwatera mieści się w obozie wojskowym po drugiej stronie medyny – parterowa ceglana chata na skraju placu apelowego ma dwa pokoje, których okna są zasłonięte moskitierami, oraz werandę z dwoma krzesłami, stołem i lampą naftową. W sennym przedwieczornym skwarze plac apelowy jest wyludniony. Zadowolony, że nikt mnie nie obserwuje, przesuwam stół na skraj werandy, wchodzę na blat, sięgam w górę i odsuwam na bok obluzowaną krokiew. Wielką zaletą bycia śledzonym przez niekompetentnego szpiega – i powodem, dla którego nie prosiłem o zwolnienie Savignauda – jest to, że on wciąż czegoś nie zauważa, na przykład rzeczy takich jak to, co robię teraz. Przesuwam palcami po

pustej przestrzeni, aż dotykam metalu – starej puszki na papierosy.

Wyciągam puszkę, wstawiam krokiew z powrotem, przesuwam stół na swoje miejsce i wchodzę do swojej kwatery. Większy pokój pełni funkcję salonu, a zarazem gabinetu; zaciągnięte zasłony chronią przed słońcem. Przechodzę dalej, do sypialni, przysiadam na skraju wąskiej żelaznej pryczy i otwieram puszkę. Jest w niej fotografia Pauline wykonana przed pięciu laty oraz plik listów od niej: *Georges, kochany… Najdroższy Georges… Tęsknię za Tobą… Brak mi Ciebie…* Ciekaw jestem, przez ile rąk przeszły te listy – na pewno przez ładnych kilka, chociaż nie aż tyle co korespondencja Dreyfusa.

Kilkakrotnie zaglądałam do Twojego mieszkania. Wszystko jest w porządku. P. Guerault powiedziała mi, że wysłano Cię z tajną misją! Czasem kładę się na Twoim łóżku. Poduszka wciąż zachowała Twój zapach, a ja sobie wyobrażam, gdzie jesteś i co porabiasz. Właśnie w takich chwilach pragnę Cię najbardziej. W popołudniowym świetle aż chce mi się wyć, tak bardzo Cię pożądam. To wręcz fizyczny ból…

Nie muszę czytać tych listów jeszcze raz, znam je na pamięć.

Puszka zawiera też zdjęcie mojej matki, siedemset franków w gotówce oraz kopertę, na której napisałem: *W razie śmierci niżej podpisanego proszę przekazać ten list prezydentowi republiki; wyłącznie on może zapoznać się z jego zawartością. G. Picquart*. Znajduje się w niej szesnastostronicowy raport podsumowujący moje śledztwo w sprawie Esterházyego, napisany w kwietniu. Szczegółowo omawia całość materiału dowodowego, opisuje próby zablokowania moich działań przez Boisdeffre'a, Gonse'a i Billota i dochodzi do trzech wniosków:

1. *Że Esterházy jest agentem działającym na rzecz Niemiec.*
2. *Że jedyne namacalne dowody, które posłużyły do oskarżenia Dreyfusa, odnoszą się do Esterházyego.*
3. *Że proces Dreyfusa prowadzono w bezprecedensowo pobieżny sposób, przy z góry powziętym założeniu, że Dreyfus jest winny, i bez poszanowana dla procedur prawnych.*

Z minaretów arabskiego miasta dobiega zawodzenie muezzina wzywającego wiernych na modlitwę. Jest *Asr*, pora dnia, w której cień rzucany przez człowieka dwukrotnie przekracza jego wzrost. Wsuwam list do wewnętrznej kieszeni munduru i wracam w skwar.

* * *

Nazajutrz z samego rana Savignaud jak zwykle przynosi mi do sypialni gorącą wodę, żebym mógł się ogolić. Nagi od pasa, schylam się do lustra i namydlam twarz. Savignaud jednak nie wychodzi, tylko stoi i przygląda mi się od tyłu.

Patrzę na niego w lustrze.

– Tak, żołnierzu? – mówię. – O co chodzi?

– O ile wiem, umówił się pan na spotkanie z generałem Leclerkiem w Tunisie, pułkowniku.

– Czy miałem was prosić o zgodę?

– Tak się zastanawiam, czy nie chciałby pan, żebym panu towarzyszył.

– To nie będzie konieczne.

– Czy wróci pan na kolację?

– Idźcie już sobie, Savignaud.

Po chwili wahania salutuje mi i wymyka się z pokoju. Wracam do golenia, ale teraz już mi się

śpieszy – nie mam wątpliwości, że poszedł nadać telegram do Paryża z wiadomością, że wybieram się do Tunisu.

Godzinę później, z walizką w ręku, czekam obok torów na centralnym placu miasta. Niedawno spółka górnicza położyła tory kolejowe łączące Susę z Tunisem. Nie ma tu stacji – lokomotywa po prostu jedzie ulicami. Pierwszą oznaką, że nadjeżdża, jest słup czarnego dymu – widzę go teraz w oddali, na tle jasnobłękitnego nieba ponad płaskimi dachami. W pobliżu rozlega się pisk gwizdka parowego, na co zza rogu wylewa się morze dzieciaków – rozbiegają się we wszystkie strony, krzycząc z emocji, ścigane przez parowóz ciągnący dwie platformy towarowe i trzy wagony pasażerskie. Pociąg zwalnia powoli i wlecze się, aż w końcu całkiem traci rozpęd, sygnalizując to głośną erupcją pary. Wstawiam walizkę do wagonu i wchodząc za nią po schodkach, oglądam się przez ramię, sprawdzając, czy nikt mnie nie śledzi. Nigdzie jednak nie widać ludzi w mundurach, są tylko Arabowie, Żydzi i rozmaite zwierzęta – kurczaki w klatkach, owca, a także mała koza ze związanymi racicami, którą jej właściciel upycha pod siedzeniem.

Ruszamy, nabieramy prędkości i w końcu zostawiamy za sobą eskortę rozemocjonowanych dzieciaków. Kurz wpada przez otwarte boczne ściany wagonu, a my z turkotem kół przemierzamy monotonny krajobraz – po lewej mamy gaje oliwne i zamglone szare góry, po prawej płaskie, oślepiające Morze Śródziemne. Mniej więcej co kwadrans zatrzymujemy się, by zabrać pasażerów – zawsze w towarzystwie zwierząt – którzy pojawiają się nie wiadomo skąd i drgają w żarze przed nami obok torów. Sięgam pod mundur i dotykam ostrych brzegów mojego pośmiertnego listu do prezydenta.

Kiedy późnym popołudniem docieramy w końcu do Tunisu, toruję sobie drogę przez zatłoczony peron na postój dorożek. Mam wrażenie, że panujący w mieście upał dałoby się kroić. W powietrzu unosi się wilgotna zawiesina sadzy, przypraw – kminu, kolendry, papryki – a także tytoniu i końskiego łajna. Obok dorożek jakiś chłopak sprzedaje „La Dépêche tunisienne”, która za pięć centymów oferuje zestawienie wiadomości z poprzedniego dnia, przesłanych telegraficznie z Paryża. Przeglądam ją pobieżnie w drodze do kwatery głównej armii. I znów ani słowa o Dreyfusie. Ja jednak jestem w stanie zmienić ten stan rzeczy. Po raz dwudziesty

dotykam listu, niczym anarchista sprawdzający ładunek dynamitu.

Leclerc jest zbyt zajęty, żeby mnie przyjąć, więc przez pół godziny pocę się w przedpokoju. Potem podchodzi do mnie ordynans i mówi:

– Generał chciałby wiedzieć, o co chodzi.

– To sprawa osobista.

Odchodzi i wraca po kilku minutach.

– Generał proponuje, żeby wszelkie sprawy osobiste omówił pan z generałem de Chizelle'em.

– De Chizelle jest najstarszym stopniem oficerem Czwartego Pułku Strzelców Tunezyjskich i moim bezpośrednim przełożonym.

– Przykro mi, ale akurat tę sprawę osobistą mogę wyjawić wyłącznie głównodowodzącemu.

Znów odchodzi, ale tym razem wraca niemal natychmiast.

– Generał przyjmie pana teraz.

Zostawiam walizkę i idę za nim.

Jérôme Leclerc jest na werandzie swojego gabinetu; siedzi w samej koszuli przy składanym stoliku do kart, zmagając się ze stosem listów. Krańce kartek, które obciążył rewolwerem, trzepoczą w podmuchach elektrycznego wentylatora nad jego głową. Generał ma sześćdziesiąt kilka lat, wyrazistą twarz i szerokie bary; w Afryce służy od tak dawna, że jego skóra

przybrała niemal ten sam jasnobrązowy odcień co skóra tubylców.

– No proszę, nasz egzotyczny pułkownik Picquart… tajemniczy człowiek, przysłany do nas pod osłoną ciemności! – mówi. Ale w jego sarkazmie nie ma wrogości. – Niech mi pan powie, pułkowniku, cóż to za najnowsza dotycząca pana tajemnica, z którą nie może się pan zwrócić do swojego dowódcy?

– Chciałbym dostać przepustkę na wyjazd do Paryża.

– A dlaczego nie może pan złożyć stosownego podania do generała de Chizelle’a?

– Dlatego, że odrzuciłby moją prośbę.

– Skąd ta pewność?

– Stąd, że mam powody przypuszczać, że Ministerstwo Wojny wydało stałą instrukcję, na mocy której nie wolno pozwolić mi na wyjazd z Tunezji.

– Gdyby tak było… choć bynajmniej nie potwierdzam, że to prawda… to dlaczego przyszedł pan z tym do mnie?

– Bo wierzę, że w przeciwieństwie do generała de Chizelle’a pan jest gotów zignorować rozkaz sztabu generalnego.

Przez chwilę Leclerc przygląda mi się, mrugając, a ja obawiam się, że każe mnie

wyrzucić, lecz nagle wybucha śmiechem.

– Hm, rzeczywiście, ma pan pewnie słuszność – przyznaje. – Przestałem się już przejmować. Ale uważaj pan, muszę mieć diablo dobry powód. Nie taki, że w Paryżu czeka jakaś kobietka, z którą chce się pan zobaczyć.

– Muszę dokończyć tam pewną sprawę.

– Pewną sprawę, a to dobre! – Zakłada ręce na piersi, odchyla się na krześle i kilkakrotnie mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. – Dziwny z pana gość, pułkowniku Picquart. Nie wiem, co o panu sądzić. Słyszałem, że miał pan zostać następnym szefem sztabu generalnego, a tymczasem, ni stąd ni zowąd, ląduje pan tutaj, w tym naszym zaścianku. Proszę mi powiedzieć, co takiego pan zrobił? Zdefraudował pan pieniądze?

– Nie, panie generale.

– Wychędożył pan żonę ministra?

– Ależ skądże znowu.

– Więc co?

– Nie mogę panu powiedzieć.

– Wobec tego ja nie mogę panu pomóc.

Prostuje się na krześle i bierze plik papierów, a mnie nagle ogarnia desperacja.

– Generale, jestem tu niemal jak w więzieniu – tłumaczę. – Czytają moją pocztę. Śledzą mnie. Nie

mam prawa wyjechać. To bardzo skuteczna metoda. Jasno dano mi do zrozumienia, że jeśli spróbuję protestować, czeka mnie kara na podstawie sfingowanych zarzutów. Pomijając dezercję, nie widzę żadnej innej możliwości ucieczki. A jeśli zdezerteruję, rzecz jasna będę skończony.

– Ach, nie… niech pan nie dezerteruje. Gdyby pan to zrobił, musiałbym pana rozstrzelać. – Wstaje, by rozprostować nogi; pomimo swojego wieku i zwalistej postury jest gibki. Ten człowiek jest stworzony do walki, nie do siedzenia za biurkiem, myślę sobie. Z marsową miną krąży po werandzie tam i z powrotem. Nagle zatrzymuje się i spogląda na ogród. Nie znam nazw tych wszystkich kwiatów, poznaję tylko jaśmin, fiołki alpejskie i goździki. Generał zauważa, że im się przyglądam. – Podoba się panu ogród? – pyta.

– Jest bardzo piękny.

– Sam go założyłem. To dziwne, ale teraz już wolę ten kraj od Francji. Po przejściu na emeryturę raczej już tam nie wrócę. – Milknie, a potem wybucha: – Wie pan, czego nie znoszę, pułkowniku? Tego, w jaki sposób sztab generalny traktuje nas jak swoje wysypisko śmieci. Bez obrazy, niech pan tego nie bierze do siebie, ale wojsko przysyła mi tu wszystkich malkontentów,

dewiantów i dobrze urodzonych kretynów, a ja mam tego powyżej uszu! – Zastanawiając się nad moją propozycją, stuka nogą o deski werandy. – Czy da mi pan słowo, że nie popełnił pan żadnego przestępstwa ani czegoś niemoralnego? Że po prostu zadarł pan z tymi generałami zza biurek przy rue Saint-Dominique?

– Daję słowo honoru.

Siada przy biurku i zaczyna pisać.

– Tydzień panu wystarczy? – pyta.

– W zupełności.

– Nie chcę wiedzieć, co pan kombinuje, więc nie rozmawiajmy o tym – mówi, nadal pisząc. – Nie zamierzam informować ministerstwa, że wyjechał pan z Tunezji. Jeśli się kiedyś dowiedzą, oświadczę im, że jestem żołnierzem, a nie strażnikiem więziennym. Ale kłamać nie będę, rozumiemy się? – Kończy pisać, dmucha na atrament, po czym wręcza mi list. Jest to oficjalna zgoda dla podpułkownika Picquarta z Czwartego Pułku Strzelców Tunezyjskich na wyjazd z kraju w ramach urlopu okolicznościowego, podpisana przez dowódcę wojsk stacjonujących w Tunezji.

To pierwsza pomoc, jaką otrzymałem ze strony czynników oficjalnych. Leclerc udaje, że nie widzi napływających mi do oczu łez.

* * *

Prom pasażerski do Marsylii odpływa z Tunisu nazajutrz w południe. Urzędnik w biurze przewoźnika informuje mnie (z ogromną przykrością, panie pułkowniku), że wszystkie miejsca są już zajęte. Dwa razy muszę mu wręczyć łapówkę – najpierw za przydział maleńkiej kajuty z dwiema pryczami jedynie dla mnie, a potem za to, by nie wpisywał mojego nazwiska na listę pasażerów. Noc spędzam w *pension* niedaleko portu i z samego rana, ubrany po cywilnemu, wchodzę na pokład. Mimo że, jak to w środku afrykańskiego lata, można się ugotować, nie mogę wyjść na pokład i ryzykować, że ktoś mnie rozpozna. Idę więc do kajuty, zamykam drzwi na klucz, rozbieram się do rosołu i kładę na dolnej pryczy, ociekając potem. Przypominam sobie Dreyfusa i jego opis, jak to okręt wojenny rzucił kotwicę przed Diabelską Wyspą: *Przez blisko cztery dni musiałem czekać w tym tropikalnym upale, zamknięty w swojej celi, ani razu nie wychodząc na pokład*. Gdy silniki idą wreszcie w ruch, w mojej metalowej puszce jest już gorąco jak w łaźni tureckiej. A kiedy zrzucamy cumy, cały prom wibruje. Patrzę przez bulaj na malejące

w oddali wybrzeże Afryki. Dopiero gdy wypływamy na pełne morze i widzę jedynie błękit Morza Śródziemnego, owijam się w pasie ręcznikiem, wzywam stewarda i każę sobie przynieść coś do jedzenia i picia.

Spakowawszy słownik rosyjsko-francuski oraz egzemplarz *Notatek z podziemia* Dostojewskiego, zabieram się do tłumaczenia. Siedzę wsparty na pryczy, balansując obiema książkami na kolanach, a obok mnie leżą ołówek i papier. Praca pochłania czas, a nawet upał. *Kierowanie się wyłącznie dobrem wydaje mi się ze wszech miar niewłaściwe. Nieważne, czy to dobre, czy złe – czasami miło jest coś roztrzaskać w drobny mak…*

O północy, gdy na statku zapada cisza, ryzykuję wędrówkę żelaznymi schodami i ostrożnie ośmielam się wyjść na pokład. Ruch statku powoduje, że wieje ciepły północny wietrzyk o prędkości trzynastu węzłów. Przechodzę na dziób i wystawiam twarz na podmuch, upajam się nim. Przed sobą, a także po bokach mam tylko ciemność. Jedyne światło jest nade mną – mrowie gwiazd i księżyc, który to niknąc, to wychodząc zza chmur, sprawia wrażenie, jakby nas gonił. Niedaleko mnie stoi inny pasażer – przechylony przez reling, cicho

rozmawia z kimś z załogi. Słysząc kroki za plecami, odwracam się i widzę zbliżający się rozżarzony czerwony czubek papierosa. Szybko przechodzę po drugiej stronie statku na rufę, gdzie przez chwilę obserwuję nasz kilwater, migoczący jak ogon komety. Jednak gdy znów dostrzegam papierosa, w ciemności pozbawionego ciała, schodzę pod pokład, idę do swojej kajuty i zostaję w niej aż do końca podróży.

* * *

Następnego dnia, w strugach letniego deszczu, późnym popołudniem zawijamy do portu w Marsylii. Takie przyjęcie po powrocie do domu nie zapowiada niczego dobrego. Pędzę prosto na gare Saint-Charles i kupuję bilet na pierwszy możliwy pociąg do Paryża, mając świadomość, że w tej chwili jestem najbardziej wystawiony na niebezpieczeństwo. Muszę zakładać, że Savignaud doniósł o moim wyjeździe do Tunisu, a teraz już także o tym, że nie wróciłem do Susy. Możliwe więc, że Henry bądź Gonse wpadli na to, że jestem w drodze do Paryża. Wystarczy, że zapytają Leclerca. Na miejscu Henry'ego wysłałbym telegram do policji marsylskiej

z prośbą, żeby na wszelki wypadek obserwowali dworzec.

Z twarz ukrytą w gazecie, przeczekuję pod dworcowym zegarem prawie do siódmej, gdy dobiega mnie gwizd, a pociąg do Paryża rusza z miejsca. Łapię walizkę, przebiegam za bramkę biletera, uskakuję przed strażnikiem, który próbuje mnie zatrzymać, i pędzę po peronie. Kiedy otwieram drzwi ostatniego wagonu, szarpnięcie niemal wyrywa mi ramię ze stawu – lokomotywa nabiera prędkości. Wrzucam walizkę do środka, przyśpieszam i w ostatniej chwili udaje mi się wskoczyć do środka i zatrzasnąć za sobą drzwi. Wychylam się przez okno, spoglądam do tyłu. Pięćdziesiąt metrów dalej na peronie jakiś zwalisty mężczyzna z gołą głową i w brązowym garniturze spóźnił się na pociąg i pochylony, opierając ręce na kolanach, sapie teraz ciężko, zbierając cięgi od strażnika. Nie mam jednak pojęcia, czy to zwyczajny pasażer, czy może agent Sûreté, który mnie śledził.

W wagonach panuje tłok. Przechodzę niemal przez cały skład pociągu, zanim udaje mi się znaleźć wolne miejsce w rogu przedziału. Większość moich współpasażerów to przedsiębiorcy, a także ksiądz oraz major wojska,

który co rusz zerka w moją stronę, jakby wyczuwając towarzysza broni, mimo że nie mam na sobie munduru. Nie wrzucam walizki na półkę, tylko trzymam ją na kolanach, na wypadek gdyby mnie zmorzył sen.
I rzeczywiście, pomimo nerwowego napięcia, gdy dzień dobiega końca, uśpiony kołysaniem pociągu, zapadam w drzemkę, z której przez całą noc ciągle wyrywa mnie a to wjazd na oświetloną lampami gazowymi stację, a to ktoś wchodzący do przedziału. Na dobre budzi mnie w końcu wczesny, jak przystało na czerwiec, świt; wpadające przez okno światło jest szarobure niczym warstwa popiołu zalegająca nad południowymi peryferiami miasta.

Przechodzę na sam przód pociągu, tak że kiedy o piątej rano wjeżdżamy na gare de Lyon, wysiadam jako pierwszy. Szybko przemierzam wyludnioną halę dworcową, strzelając oczami na wszystkie strony, lecz widzę jedynie kilku obdartusów, *les ramasseux de mégots*, zbierających niedopałki papierosów, by później sprzedać zebrany z nich tytoń. Podaję dorożkarzowi adres – rue Cassette 16 – i zapadam się skulony na siedzisku. Kwadrans później objeżdżamy Ogród Luksemburski

i skręcamy w wąską uliczkę. Płacąc za kurs, rozglądam się dookoła, ale nikogo nie widzę.

Pukam do drzwi mieszkania na drugim piętrze – dostatecznie głośno, by obudzić lokatorów, ale nie na tyle donośnie, żeby ich wystraszyć. Niestety, ludzie wyrwani ze snu o wpół do szóstej rano zawsze odczuwają strach. Teraz widzę go w oczach mojej siostry, gdy ściskając pod szyją szlafrok, otwiera mi drzwi i patrzy, jak stoję w progu, skonany i pokryty kurzem i zapachem Afryki.

* * *

Jules Gay, mój szwagier, nastawia czajnik, by zaparzyć kawę, podczas gdy Anna krząta się w dawnej sypialni dzieci, szykując mi spanie. Teraz, kiedy dobiegają sześćdziesiątki, zostali sami i widzę, że cieszą się z mojej wizyty, z tego, że mogą się kimś zaopiekować.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wolałbym, żeby nikt nie wiedział, że tu jestem – mówię przy kawie.

Wymieniają spojrzenia.

– Oczywiście – odpowiada Jules. – Potrafimy zachować dyskrecję.

– Gdyby przyszedł tu ktoś i wypytywał o mnie, powiedzcie, że nie macie pojęcia, gdzie jestem.

– Dobry Boże! Chyba nie zdezerterowałeś, Georges, co? – pyta Anna półżartem.

– Muszę się zobaczyć wyłącznie z jedną osobą… z Louisem Leblois. Czy bylibyście tak uprzejmi i przekazali mu wiadomość, żeby przyszedł tu do mnie jak najszybciej? Tylko nie zapomnijcie mu powiedzieć, żeby nikomu nie mówił, że jestem w mieście.

– A więc przyjechałeś tylko na rozmowy ze swoim prawnikiem? – Jules parska śmiechem. – To nie wróży nic dobrego. – W tak zawoalowany sposób wyraża swoją ciekawość.

Po śniadaniu wychodzi do pracy, później zaś Anna idzie poszukać Louisa. Krążę po mieszkaniu, oglądając to, co jest w środku – krucyfiks nad małżeńskim łożem, rodzinną Biblię, figurki z miśnieńskiej porcelany należące niegdyś do mojej babki w Strasburgu, które jakimś cudem przetrwały oblężenie… Wyglądam przez frontowe okna wychodzące na rue Cassette, a potem od tyłu, na miejski ogród – gdybym miał obserwować ten dom, właśnie tam bym się ulokował, z małą lunetką w kieszeni, by móc śledzić każdy ruch. Nie mogę usiedzieć na miejscu. Odnoszę wrażenie, że groźba przebija

z nawet najzwyklejszych odgłosów paryskiego życia – krzyków bawiących się w parku dzieci, stukotu końskich kopyt, nawoływania domokrążcy.

Wraca Anna z wiadomością, że Louis przyjdzie natychmiast, jak tylko wyrwie się z sądu. Na obiad smaży mi omlet, a ja opowiadam jej o życiu w Susie, jak gdybym wrócił z jakiejś wspaniałej egzotycznej podróży – o tym, że wąskie kamienne uliczki starego arabskiego miasta nie zmieniły się od czasów Fenicjan, o tym, jak śmierdzą w upale owce czekające na zaszlachtowanie na rogach ulic, o dziwactwach maleńkiej społeczności Francuzów, liczącej ledwie osiemset osób w dziewiętnastotysięcznym mieście.

– Nie ma z kim pogadać. Ani jednej alzackiej potrawy do jedzenia. Boże, jak ja nienawidzę tego kraju!

Anna kwituje to śmiechem.

– I pewnie zaraz mi powiesz, że nikt tam nie słyszał o Wagnerze – mówi. Ale nie pyta, jak to się stało, że tam trafiłem.

O czwartej przychodzi Louis. Drobnymi stopami przemierza dywan i się obejmujemy. Już sam jego widok działa na mnie uspokajająco. Zadbana figura i broda, schludny wygląd,

łagodny głos, oszczędna gestykulacja… wszystko to roztacza atmosferę najwyższej kompetencji. Cała jego postać zdaje się mówić: „Zostaw to mnie. Zbadałem to, co trudne na tym świecie, opanowałem to do perfekcji i w zamian za stosowne honorarium jestem gotów oddać swoją maestrię do twojej dyspozycji”. Mimo to czuję się w obowiązku uprzedzić go, w co się pakuje. Dlatego kiedy Anna podała nam herbatę i dyskretnie zostawiła nas samych, biorę walizkę z sypialni dzieci, siadam z nią na kolanach, trzymam kciuki na zamkach i mówię:

– Posłuchaj, Louis, zanim przejdę dalej, musisz wiedzieć, że już sama ta rozmowa ze mną może narazić cię na niebezpieczeństwo.

– Fizyczne?

– Nie, takie nie… tego akurat jestem pewien. Ale na niebezpieczeństwo zawodowe… polityczne. Możliwe, że nie da się tego powstrzymać. – Louis patrzy na mnie z marsową miną. – Próbuję przez to powiedzieć, że jeśli się do tego weźmiesz, nie obiecuję, czym to się może skończyć. Musisz być tego świadom.

– Georges, przymknij się i opowiedz mi wreszcie, w czym problem.

– No cóż, skoro taka jest twoja decyzja. – Naciskam kciukami zamki i otwieram walizkę. –

Nie bardzo wiem, od czego zacząć. W połowie listopada przyszedłem do ciebie i powiedziałem, że wyjeżdżam, pamiętasz?

– Tak, mówiłeś, że jedziesz na kilka dni.

– To była pułapka. – Ze skrytki w podwójnym dnie walizki wyjmuję plik papierów. – Najpierw sztab generalny wysłał mnie do Châlons na inspekcję procedur wywiadowczych w Szóstym Korpusie. Potem powiedziano mi, że mam natychmiast jechać do Nancy, by sporządzić również raport na temat Siódmego Korpusu. Oczywiście poprosiłem o zgodę na powrót do Paryża, co najmniej na kilka godzin, żeby wziąć czyste ubrania. Odrzucili moją prośbę telegraficznie… rozumiesz? – Podaję mu blankiet telegramu. – Wszystkie te listy, które zachowałem, pochodzą od mojego bezpośredniego przełożonego, generała Charles'a-Arthura Gonse'a. Nakazuje mi w nich kolejne ruchy… w sumie jest ich czternaście. Z Nancy wysłano mnie do Besançon. Stamtąd do Marsylii. Potem do Lyonu. Następnie do Briançon. Potem znów do Lyonu, gdzie zachorowałem. Oto list, który dostałem tam wówczas od Gonse'a: *Przykro mi, że Pan cierpi, mam jednak nadzieję, że wypoczynek w Lyonie*

przywróci Panu siły. A tymczasem proszę się przygotować do wyjazdu do Marsylii i Nicei…

– I przez ten cały czas nie dostałeś zgody na powrót do Paryża, choćby na jeden dzień?

– Sam zobacz.

Louis bierze garść listów i przeglądając je, marszczy czoło.

– Przecież to jakiś absurd…

– Powiedziano mi, że w czasie świąt Bożego Narodzenia spotkam się w Marsylii z ministrem wojny, ale nie przyjechał. Dostałem za to rozkaz, by od razu wypłynąć do Algierii… to było pod koniec ubiegłego roku… gdzie miałem zreorganizować służbę wywiadowczą. Potem, miesiąc po przypłynięciu do Algierii, wysłano mnie do Tunezji. A kiedy już się tam znalazłem, przeniesiono mnie do mojego dawnego pułku i przebrano w strój tubylców. Nagle to już nie był wyjazd na inspekcję, zrobiło się z tego oddelegowanie do kolonii na bliżej nieokreślony czas.

– Zakładam, że składałeś zażalenia?

– Oczywiście. Gonse odpisał mi na to, żebym przestał go zasypywać listami. *Musi Pan pozostawić sprawy własnemu biegowi i czerpać satysfakcję ze służby w pułku w Afryce.* W gruncie rzeczy zostałem wygnany z kraju.

– Podali ci jakiś powód?

– Nie musieli. Wiedziałem, o co chodzi. W ten sposób mnie ukarali.

– Ukarali? Za co?

Oddycham głęboko. Powiedzenie tego na głos wydaje się niemal świętokradztwem.

– Za odkrycie, że kapitan Dreyfus jest niewinny.

– Aha. – Louis spogląda na mnie i choć raz w jego masce zawodowej obojętności pojawia się nieznaczne pęknięcie. – Tak, rozumiem, że to byłby dostateczny powód.

* * *

Daję Louisowi kopertę, którą w razie mojej śmierci należy przekazać prezydentowi. Czytając, co na niej napisałem, krzywi się. Podejrzewam, że uważa to za melodramatyczne, za gest z rodzaju tych, jakie można wyczytać w sensacyjnej literaturze wagonowej. Jeszcze przed rokiem miałbym takie samo wrażenie. Teraz doszedłem już do etapu pozwalającego mi zrozumieć, że w książkach sensacyjnych można czasem znaleźć więcej prawdy niż w całym realnym socjalizmie *monsieur* Zoli razem wziętym.

– Śmiało – mówię. Zapalam papierosa, obserwując minę Louisa, gdy wyciąga list. Pierwszy akapit odczytuje na głos:

– *Ja, niżej podpisany Marie-Georges Picquart, podpułkownik służący w Czwartym Pułku Piechoty Kolonialnej, były szef tajnej służby wywiadowczej przy Ministerstwie Wojny, gwarantuję na swój honor prawdziwość poniższych informacji, których w interesie prawdy i sprawiedliwości nie można – jak już tego próbowano – „wyciszyć”…*

Jego głos zamiera. Louis krzywi się, a potem zerka na mnie.

– Wciąż możesz się wycofać, jeśli nie chcesz się w to mieszać – mówię. – Nie miałbym do ciebie najmniejszych pretensji. Ale ostrzegam: jeśli zaczniesz czytać dalej, znajdziesz się w równie trudnym położeniu co ja.

– Przedstawiasz to w taki sposób, że trudno się temu oprzeć. – Wraca do lektury, teraz jednak czyta już po cichu, szybko przeskakując wzrokiem z lewa na prawo, po kolejnych wierszach. Gdy kończy, nadyma policzki, wzdycha, po czym odchyla się na krześle i zamyka oczy. – Czy istnieje więcej egzemplarzy tego listu? – pyta.

– Tylko ten jeden.

– Boże! Tylko ten?! I jechałeś z nim taki szmat drogi, aż z Tunezji? – Z przerażeniem kręci głową. – Pierwsze, co musisz zrobić, to sporządzić jeszcze co najmniej dwie kopie. Trzy egzemplarze to dla naszych potrzeb absolutne minimum. Co jeszcze masz w tej swojej starej walizie?

– Na przykład to – odpowiadam, podając mu swój pierwotny raport dla Boisdeffre'a: *Notatka Służby Wywiadowczej na temat majora Esterházyego z Siedemdziesiątego Czwartego Pułku Piechoty*. – A także to. – Wyciągam moją wcześniejszą korespondencję z Gonse'em, po tym, jak wybrałem się do niego na wieś, w której zabrania mi rozszerzania zakresu śledztwa z Esterházyego na Dreyfusa. – Jest także i to. – Podaję list od Henry'ego, w którym ujawnia, że w sprawie mojego zachowania jako szefa sekcji statystycznej wszczęto śledztwo.

Louis czyta wszystko szybko, ale w absolutnym skupieniu. Gdy kończy, odkłada papiery na bok i spogląda na mnie z niezwykłą powagą.

– Pytanie, które na wstępie zadaję wszystkim swoim klientom… a tak się składa, że teraz nim jesteś, Georges, chociaż Bóg jeden wie, kto mi zapłaci… otóż pytanie, które zawsze zadaję

swoim klientom, brzmi: co pan czy pani chce dzięki temu uzyskać?

– Chcę, żeby sprawiedliwości stało się zadość… to przede wszystkim. Ale chcę też, żeby wojsko wyszło z tego skandalu, ponosząc jak najmniejsze straty. Ja wciąż je kocham. A z pobudek egoistycznych chciałbym, żeby przywrócono moją zwichniętą karierę.

– Ha! Niewykluczone, że zdołałbyś osiągnąć jeden z tych celów, a jakimś cudem może nawet dwa, ale wszystkie trzy to niemożliwe! Zakładam, że wśród dowództwa wojska nie ma nikogo gotowego podjąć walkę u twojego boku?

– Wojsko nie funkcjonuje w taki sposób. Niestety, mamy przeciwko sobie czterech spośród najwyższych wojskowych: ministra wojny, szefa sztabu generalnego, szefa wywiadu wojskowego oraz dowódcę Czwartego Korpusu… dzisiaj jest nim Mercier… a wszyscy czterej w mniejszym lub większym stopniu są zamieszani w tę aferę, nie mówiąc o całej tajnej sekcji wywiadu. Nie zrozum mnie źle, Louis. Wojsko nie jest do cna przeżarte zgnilizną. W naczelnym dowództwie jest wielu porządnych oficerów, ludzi honoru. Ale w razie czego oni również na pierwszym miejscu postawią interes wojska. Niewątpliwie nikt z nich nie przyłoży

ręki do tego, żeby z armii nie został kamień na kamieniu, tylko z powodu jakiegoś… no… – Urywam.

– Żyda? – podsuwa Louis. Nie odpowiadam. – No cóż – ciągnie – skoro nie możemy przedstawić faktów komuś z grona wojskowych, to co innego nam pozostaje?

Już mam się odezwać, lecz naraz od drzwi dobiega głośne pukanie. Jego siła, ta ukryta sugestia, że ów ktoś ma prawo do takiego zachowania, ostrzega mnie, że to wizyta oficjalna – policja. Louis otwiera usta i chce coś powiedzieć, ale uciszam go, unosząc rękę. Cicho podchodzę do drzwi salonu, przeszklonych i z firankami, i wyglądam za nie w chwili, gdy Anna, wygładzając spódnicę, idzie korytarzem z kuchni. Podchwytuje mój wzrok, kiwa głową na znak, że wie, co ma robić, po czym otwiera drzwi wejściowe.

Nie widzę stojącego w progu mężczyzny, ale go słyszę – tubalny męski głos:

– Przepraszam panią, czy zastałem może pułkownika Picquarta?

– Nie. Co miałby tu robić? To nie jego mieszkanie.

– A nie wie pani przypadkiem, gdzie może teraz być?

– Ostatni list, który od niego dostałam, był nadany w Tunezji. A kim pan jest, jeśli wolno spytać?

– Pani wybaczy, *madame*… Jestem jego starym kolegą z wojska.

– Jakoś pan się nazywa?

– Darujmy sobie nazwiska. Proszę mu przekazać, że szukał go „stary kolega z wojska”. Do widzenia.

Anna zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku. Zerka na mnie. Uśmiecham się. Świetnie się spisała. Wracam do Louisa.

– Wiedzą, że jestem w Paryżu – informuję go.

* * *

Wkrótce Louis wychodzi, zabierając ze sobą wszystkie moje papiery z wyjątkiem listu do prezydenta, który każe mi przepisać dwukrotnie. Gdy Jules i Anna kładą się do łóżka, ja urzęduję do późnej nocy, siedząc przy kuchennym stole z piórem i atramentem – znowu, niczym anarchista, konstruuję swoją bombę. *Proces Dreyfusa prowadzono w bezprecedensowo pobieżny sposób, przy z góry powziętym założeniu, że Dreyfus jest winny, i bez poszanowania dla procedur prawnych…*

Nazajutrz Louis wraca o stałej porze, późnym popołudniem. Anna prowadzi go do salonu. Uściskawszy go, podchodzę do okna i wyglądam na ulicę.

– Sądzisz, że mogli cię śledzić? – pytam.

– Nie mam bladego pojęcia.

Wyciągam szyję, rozglądając się po całej rue Cassette.

– Nie widzę nikogo obserwującego ten dom. Niestety, oni są dobrzy. Moim zdaniem mądrze zrobimy, zakładając, że cię śledzili.

– Zgadzam się. A teraz, przyjacielu, czy zrobiłeś te kopie swojego listu? Znakomicie. – Bierze je ode mnie i chowa do teczki. – Jedną kopię zostawię w swoim sejfie, drugą wyślę do skrytki depozytowej w genewskim banku. – Uśmiecha się do mnie. – Georges, mój drogi, rozchmurz się! Teraz, nawet jeśli cię zabiją, a potem zamordują również mnie, i tak będą musieli najechać Szwajcarię!

Kolejny dzień zamknięcia w mieszkaniu siostry nie nastraja mnie jednak do żartów.

– Czy ja wiem, Louis? A może najbezpieczniej będzie wysłać wszystko do gazet i mieć to z głowy?

– O nie! Nie, nic z tego! – protestuje przerażony Louis. – To by było zgubne

posunięcie… i dla ciebie, i dla Dreyfusa. Gruntownie przemyślałem sobie całą tę sprawę. Patrz, ten list od majora Henry'ego – ciągnie, wyjmując go – jest wyjątkowo ciekawy… to nadzwyczaj przebiegła robota. Oczywiste, że przygotowali plany awaryjne, na wypadek gdybyś ujawnił publicznie to, co wiesz, ale to nie wszystko… Oni chcieli, żebyś dokładnie zrozumiał, na czym te ich plany awaryjne polegają.

– Po to, żebym się przestraszył i zrezygnował?

– Owszem, to brzmi logicznie, jeśli się nad tym zastanowić. Ich główny cel to powstrzymanie cię od wszelkiego działania. Dlatego pragną pokazać, jak dalece mogą ci uprzykrzyć życie, jeżeli spróbujesz cokolwiek zrobić. – Znowu wczytuje się w list. – Tak jak ja to rozumiem, major Henry w praktyce sugeruje tutaj, że spiskowałeś w celu wrobienia Esterházyego, po pierwsze, organizując przeciwko niemu nielegalną operację, po drugie, przekupstwem wydobywając od współpracowników fałszywe zeznania w sprawie najbardziej obciążającego dowodu, i po trzecie, powodując przeciek tajnych informacji, żeby podkopać oskarżenie przeciwko Dreyfusowi. Jeżeli zwrócisz się do prasy,

najwyraźniej taka będzie ich linia obrony: że od samego początku pracowałeś dla Żydów.

– Przecież to bzdura!

– Zgadzam się, bzdura. Ale wielu ludzi chętnie w nią uwierzy.

Dostrzegam prawdę w jego słowach.

– No dobrze, skoro nie mogę jawnie pójść z tym do gazet, to może powinienem się zwrócić bezpośrednio do rodziny Dreyfusa i przynajmniej podać im nazwisko Esterházyego? – mówię.

– Też o tym myślałem. Rodzina najwyraźniej wykazuje godną podziwu lojalność wobec nieszczęsnego kapitana. Zadaję sobie jednak pytanie, czy będą równie lojalni wobec ciebie? Rzecz jasna, znajomość nazwiska Esterházyego miałaby dla ich sprawy niezwykłe znaczenie. Ale najcenniejsze byłoby dla nich to, że dostali je od ciebie… od samego szefa tajnej służby wywiadowczej.

– Myślisz, że ujawniliby, kto był ich źródłem?

– To niemal pewne, jeśli ich celem jest uwolnienie Dreyfusa. Nie miałbym im tego zresztą za złe, a ty? Tak czy owak, nawet gdyby nie podali twojego nazwiska do wiadomości publicznej, i tak jestem pewny, że przeciekłoby w ciągu dnia, góra dwóch. Jesteś śledzony, oni

również. A niestety, gdy tylko ludzie dowiedzą się, że to ty byłeś informatorem, sztab generalny zdobędzie niezbędny dowód, by przekonać większość społeczeństwa, że od samego początku brałeś udział w spisku mającym na celu uwolnienie Dreyfusa. Właśnie dlatego twierdzę, że list Henry'ego to nadzwyczaj przebiegła robota.

– A zatem jestem w pułapce bez wyjścia?

– Niezupełnie. Musimy myśleć taktycznie. Jak wy, wojskowi, nazywacie taką sytuację, kiedy zamiast przypuścić frontalny atak, zachodzicie wroga z boku?

– Manewr oskrzydlający?

– Manewr oskrzydlający, otóż to! My właśnie musimy ich oskrzydlić. Z nikim nie powinieneś rozmawiać, w ten sposób poszedłbyś im tylko na rękę. Takie rzeczy zostaw mnie. Ja sam przekażę twoje informacje, ale nie gazetom czy do obozu stronników Dreyfusa, tylko osobie publicznej o nieposzlakowanej uczciwości.

– A kto miałby być tym wcieleniem cnót?

– Zastanawiałem się nad tym przez większą część ostatniej nocy, jednak odpowiedź nasunęła mi się dziś rano przy goleniu. Jeśli pozwolisz, wybiorę się do wiceprzewodniczącego Senatu, Auguste'a Scheurera-Kestnera.

– Dlaczego akurat do niego?

– Po pierwsze, to stary przyjaciel rodziny… ojciec uczył go matematyki, więc dobrze go znam. Pochodzi z Alzacji, a to zawsze dobry znak. Bogactwo zapewnia mu niezależność. Ale przede wszystkim jest patriotą. Nigdy w życiu nie splamił się jakimś obrzydliwym albo egoistycznym czynem. Niechby tylko twój przyjaciel Henry spróbował obsmarować starego Auguste'a jako zdrajcę!

Rozsiadam się wygodnie, by sobie przemyśleć słowa Louisa. Scheurer-Kestner ma jeszcze jedną zaletę – mimo że należy do umiarkowanej lewicy, ma wielu przyjaciół po prawej stronie sceny politycznej. I chociaż ma pojednawczy charakter, to jest także stanowczy.

– A co senator zrobi z tymi informacjami? – pytam.

– Sam zdecyduje, co będzie najlepsze. Znając jego wrodzone upodobanie do kompromisu, przypuszczam, że na początek zwróci się do władz i spróbuje wyjaśnić to w ten sposób. Do prasy pójdzie dopiero wtedy, gdyby władze nie chciały go słuchać. Ale zanim mu wszystko przedstawię, wymogę na nim, żeby nigdy nie wspomniał, że te informacje wyszły od ciebie. Sztab generalny domyśli się, oczywiście, że to ty

za tym stoisz, tylko że nijak nie będzie mógł tego udowodnić.

– A co ze mną? Co ja będę robił przez ten czas?

– Nic. Wrócisz do Tunezji i będziesz prowadził przykładne życie… Niech cię śledzą do woli, nie przyłapią cię na niczym niestosownym. Już samo to doprowadzi ich do białej gorączki. Krótko mówiąc, mój drogi, będziesz siedział na pustyni i czekał, aż coś się wydarzy.

* * *

Ostatniego dnia mojego urlopu, gdy Jules wyszedł do pracy, a ja miałem już spakowaną walizkę na wieczorny pociąg, znowu rozlega się pukanie do drzwi – ale tym razem ciche, niepewne. Odkładam książkę i słucham, jak Anna wpuszcza gościa do środka. Po chwili otwierają się drzwi salonu i w progu staje Pauline. Spogląda na mnie bez słowa. Za jej plecami Anna wkłada kapelusz.

– Muszę wyjść na godzinkę – wyjaśnia szybko, po czym z czułością, ale i z naganą dorzuca: – Ale nie myślcie sobie, za godzinę jestem z powrotem.

Kochamy się w sypialni dzieci, pod bacznym okiem szeregu ołowianych żołnierzyków mojego

siostrzeńca. Później, leżąc w moich ramionach, Pauline mówi:

– Naprawdę chciałeś wrócić do Afryki, nawet nie próbując się ze mną zobaczyć?

– Nie miałem wyboru.

– I nawet nie wysłałbyś mi liściku?

– Martwię się, że jeśli będziemy to ciągnąć, sprowadzę na ciebie nieszczęście.

– To mnie nie obchodzi.

– Gwarantuję, że będzie cię obchodzić, bo nie tylko ty na tym ucierpisz, ale także dziewczęta.

Raptownie siada na łóżku. Jest tak wściekła, że aż zapomina zasłonić się kołdrą w taki sposób, jak to zwykle robi. Rozpuszczone włosy ma potargane; po raz pierwszy zauważam w jej blond fryzurze kilka pasemek siwizny. Jej poczerwieniała skóra jest ciemnoróżowa. Między piersiami błyszczą kropelki potu. Wygląda wspaniale.

– Po tych wszystkich latach nie masz prawa podejmować decyzji, które dotyczą nas obojga, nie mówiąc mi nawet, co ci chodzi po głowie! – zarzuca mi. – I nie waż się używać dziewcząt jako pretekstu, żeby się wykręcić!

– Kochanie, zaczekaj…

– Nie! Mam tego dość!

Przesuwa się, by zejść z łóżka, lecz chwytam ją za ramiona. Próbuje mi się wyrwać. Przewracam ją na plecy i przytrzymuję. Dyszy, szamocząc się pode mną. Nawet w gniewie jest jednak słabsza, niż się wydaje, więc obezwładniam ją bez trudu.

– Posłuchaj, Pauline – mówię cicho. – Ja nie mówię o plotkach… i tak stanowimy stały temat plotek w naszym kręgu towarzyskim. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że Philippe wiele lat temu domyślił się, co nas łączy… Nawet ktoś, kto pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, nie może być aż tak ślepy, żeby nie dostrzegać tego, co widać jak na dłoni.

– Nie mów o nim! Nic o nim nie wiesz! – Przygwożdżona do łóżka, z bezradności i irytacji tłucze tyłem głowy w poduszkę.

– Plotka to co innego – naciskam dalej. – Jeśli chodzi jedynie o plotki, można je ignorować. Ale ja mówię o zdemaskowaniu i upokorzeniu. Mówię o potędze, jaką państwo posłuży się, żeby nas zniszczyć… Będą nas szargać w prasie i ciągać po sądach, wymyślać na nasz temat niestworzone historie i wciskać je ludziom jako prawdę. Nie mamy nic, żeby się temu przeciwstawić. Czy myślisz, że ostatnie siedem miesięcy spędziłem z dala od domu z własnego

wyboru? A to jedynie maleńki przedsmak tego, co mogą nam zrobić.

Złażę z niej i przysiadam na skraju łóżka, odwrócony plecami. Pauline leży bez ruchu. Po chwili odzywa się:

– Przypuszczam, że nie ma sensu pytać cię, co konkretnie sprawiło, że spotyka nas taka podłość?

– Pomijając Louisa, z nikim nie mogę rozmawiać na ten temat. A z nim rozmawiałem wyłącznie dlatego, że to mój prawnik. Gdyby coś się stało, tylko do niego możesz się zwrócić. Jest mądry.

– A jak długo to potrwa… Do końca naszych dni?

– Nie, jeszcze kilka tygodni… może ze dwa miesiące. Potem rozpęta się burza, a ty nareszcie się dowiesz, o co był cały ten raban.

Pauline milczy przez chwilę, po czym pyta:

– A czy możemy chociaż do siebie pisywać?

– Tak, ale musimy zachowywać ostrożność. – Wstaję z łóżka i nagi przechodzę do salonu po papier i ołówek. Co za ulga robić coś praktycznego! Gdy wracam, Pauline siedzi z podciągniętymi pod brodę kolanami, obejmując nogi. – Załatwiłem z Louisem, że założy poste restante na nazwisko przyjaciela w urzędzie

pocztowym przy avenue de la Motte-Picquet… Tu masz adres. Tam będę wysyłał listy do ciebie. Zorganizuj sobie kogoś, żeby odbierał je w twoim imieniu. Nie napiszę twojego nazwiska na kopercie ani nie podam go w liście, nie będzie też podpisu. Ty również nie podpisuj listów do mnie ani nie pisz o niczym, co mogłoby zdradzić twoją tożsamość.

– Czy ludzie z rządu naprawdę będą czytali nasze listy?

– Tak, to prawie pewne. Będzie ich wielu… ministrowie, oficerowie wojska, policjanci. Możesz zastosować pewien środek ostrożności, aczkolwiek grozi to tym, że list nie dojdzie. Używaj dwóch kopert. Wewnętrzną całą pokryj klejem, żeby przylepiła się do zewnętrznej, kiedy ją do niej włożysz. Dzięki temu nie da się jej otworzyć i zakleić z powrotem. Gdyby więc spróbowali przy niej majstrować, musieliby zatrzymać list, a może nie będą aż tak bezczelnie się z tym afiszować. Sam nie wiem, chyba warto spróbować.

Przekrzywia głowę na bok i patrzy na mnie ze zdziwieniem i podziwem zarazem, jak gdyby widziała mnie po raz pierwszy.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – pyta.

Biorę ją w ramiona.

– Przykro mi, taką miałem pracę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Mijają cztery miesiące.

Klub Wojskowy Susa nadal wychodzi zza parawanu zakurzonych palm na niebrukowany plac i dalej na morze. Blask Morza Śródziemnego wciąż jest tak wściekle metaliczny jak zawsze. Ten sam chłopiec w długiej brązowej szacie mija mnie o stałej popołudniowej porze, prowadząc na sznurku kozę. Jedyna różnica jest taka, że teraz macha do mnie ręką, a ja pozdrawiam go tym samym gestem, bo wrosłem w krajobraz i stałem się jego znajomym elementem. Po obiedzie jak zwykle siedzę samotnie przy oknie, a moi towarzysze broni po staremu grają w karty, drzemią lub czytają francuskie gazety sprzed czterech dni. Nikt do mnie nie podchodzi.

Jest piątek, dwudziesty dziewiąty października 1897 roku. Od powrotu z Paryża codziennie przeglądam te nieaktualne gazety, ale ani razu nie natykam się na słowo „Dreyfus”. Zaczynam się niepokoić, że Louisowi przytrafiło się coś złego.

O uświęconej tradycją porze, czyli mniej więcej o trzeciej, przez wysokie przeszklone drzwi wchodzi młody ordynans z popołudniową pocztą. To już nie Savignaud – ten zniknął: został aresztowany za niemoralne prowadzenie się z miejscowym handlarzem oliwą, skazany na dziewięć dni paki, a następnie wysłany statkiem Bóg wie dokąd. Zastąpił go Arab, Jemel. Jeśli to także szpieg, a moim zdaniem musi nim być, to jest zbyt dobry, by dał mi się przyłapać na gorącym uczynku; w rezultacie brakuje mi Savignauda i jego jakże mi znanej niezdarności.

Jemel zatrzymuje się przy moim krześle i salutuje.

– Ma pan telegram, panie pułkowniku.

Nadano go w kwaterze głównej armii w Tunisie:

W dzisiejszym rozkazie Ministerstwo Wojny poleca, aby pułkownik Picquart natychmiast udał się do El Quatia w celu zbadania i – jeśli to możliwe – zweryfikowania doniesień o koncentracji wrogiej jazdy Beduinów w pobliżu Trypolisu. Przed wyjazdem proszę się zgłosić do mnie, aby omówić szczegóły Pańskiej misji. Szczerze oddany, Leclerc.

– Czy będzie odpowiedź? – pyta Jemel.

Z zaskoczenia przez chwilę nie mogę wydobyć głosu. Ponownie czytam telegram, upewniając się, że to nie halucynacje.

– Tak – mówię w końcu. – Proszę wysłać telegram do generała Leclerca z wiadomością, że zgłoszę się do niego jutro.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Gdy Jemel odchodzi w drgającym żarem popołudniowym powietrzu, jeszcze raz czytam telegram. El Quatia?

* * *

Nazajutrz rano łapię pociąg do Tunisu. W teczce mam akta sprawy zatytułowane: *Raport wywiadu na temat zamordowania markiza de Morèsa*. Dobrze znam ten tekst, sam go napisałem – to jedno z moich nielicznych prawdziwych dokonań podczas służby w Afryce.

Morès, fanatyczny antysemita i najsłynniejszy amator pojedynków swoich czasów, przypłynął do Tunezji dwa lata wcześniej z szalonym planem poprowadzenia arabskiej rewolty przeciwko Imperium Brytyjskiemu, której początkiem miał być przemarsz przez tunezyjską część Sahary – teren, gdzie nie obowiązuje żadne prawo, z dala od cywilizacji. Od czasu do czasu

wciąż można tam spotkać karawany Beduinów, wlokące zastępy spętanych łańcuchami u szyi murzyńskich niewolników. Mimo to, nie zważając na liczne ostrzeżenia, markiz wyruszył z oddziałem trzydziestu ludzi – najpierw wzdłuż wybrzeża, a potem, w Gabès, skierował się na południe, na pustynię.

Jadąc na wielbłądzie pod eskortą sześciu Tuaregów, których postrzegał jako jądro swojej prywatnej armii, rankiem ósmego czerwca ubiegłego roku Morès zwinął obóz. O półtora kilometra wyprzedzał resztę poplecznków, gdy otoczyli go zewsząd beduińscy bojownicy. W tej samej chwili eskorta rzuciła się na niego, próbując odebrać mu karabin Winchestera i rewolwer. Morès z rewolweru zastrzelił dwóch napastników, śmiertelnie ranił trzeciego, po czym pobiegł czterdzieści metrów i schowawszy się za najbliższym drzewem, zabił jeszcze dwóch goniących go Tuaregów. Przyklęknął, ponownie załadował broń i czekał, aż pozostali członkowie ekspedycji przybędą mu na ratunek. Tamci jednak, zbyt przerażeni albo zdradziwszy go, nie ruszyli się, tylko zatrzymali kilometr dalej. Upał stał się nie do wytrzymania. Jeden z Tuaregów poszedł do markiza, rzekomo na pertraktacje, a tak naprawdę chciał sprawdzić, ile kul mu

zostało. Morès, gotowy na wszystko, chwycił go za szyję, wziął jako zakładnika, lecz tamten wkrótce się wyrwał, a wtedy Morès go zastrzelił. Tymczasem reszta zabójców, korzystając z tej chwili nieuwagi, podeszła bliżej. Kula z karabinu trafiła markiza od tyłu w kark. Rozcięto jego pas na pieniądze i skradziono sto osiemdziesiąt sztuk złota. Następnie rozebrano jego zwłoki i je okaleczono.

Wydział Drugi chciał wiedzieć, czy morderstwo markiza zorganizowały brytyjskie tajne służby. Mogłem zapewnić, że nie maczały w tym palców. Ale z tej historii płynęła jasna nauka: że zapuszczanie się tak daleko na południe bez pełnej brygady piechoty wspieranej przez kawalerię i artylerzystów to czyste samobójstwo. Nazwa miejscowości, w której zginął Morès, brzmiała El Quatia.

* * *

Po południu pociąg wjeżdża do Tunisu. Jak zwykle muszę się przecisnąć przez tłum na peronie, by dojść do dorożek; jak zwykle obok nich stoi chłopak sprzedający „La Dépêche tunisienne”. Daję mu pięć centymów, rozsiadam się w dorożce i nagle szybko wciągam

powietrze… bo na samym środku pierwszej strony znajduję wyjaśnienie mojej samobójczej misji. Sam powinienem na to wpaść:

> *SPRAWA DREYFUSA. Paryż, godzina 8.35. Pan Scheurer-Kestner, wiceprzewodniczący Senatu, wczoraj wieczorem wywołał sensację, podając do wiadomości „L'Agence Nationale": „Jestem najgłębiej przekonany o niewinności kapitana Dreyfusa i uczynię, co w mojej mocy, by tego dowieść. Zamierzam nie tylko doprowadzić do powtórnego procesu i uzyskać wyrok uniewinniający, lecz także oddać mu sprawiedliwość do końca i w pełni go zrehabilitować". Godzina 10.15. „Le Matin" podaje kolejne komentarze pana Scheurera-Kestnera: „Jakich metod użyję w celu ujawnienia prawdy? I w jakim czasie się do nich ucieknę? Chwilowo pozostanie to moją tajemnicą. Akt, w których posiadanie wszedłem, nie przekazałem nikomu, nawet – jak mi to sugerowano – prezydentowi republiki".*

Jeden jedyny akapit, nic więcej. *Wczoraj wieczorem wywołał sensację*. Dociera to do mnie

niczym lekka fala uderzeniowa jakiegoś kolosalnego, acz odległego wybuchu. Gdy dorożka ze stukotem kopyt podąża avenue de France, wyglądam na fasady budynków rządowych i kamienic mieszkalnych, lśniących bielą i ochrą w popołudniowym słońcu, dziwiąc się, że wyglądają tak całkiem normalnie. Wciąż nie dociera do mnie, co się stało. Ogarnia mnie przemożne wrażenie oderwania od otoczenia, jakbym śnił.

W kwaterze głównej armii przychodzi po mnie adiutant Leclerca. Idę za nim szerokim korytarzem, mijając pokój, w którym jakiś skulony nad maszyną do pisania sierżant koszmarnie wolno wystukuje listy. Gdy pojawia się Leclerc, sprawia wrażenie, że również nie ma zielonego pojęcia o niezwykłej wadze tego, co się wydarzyło w Paryżu. Najwidoczniej nie czyta „La Dépêche”… albo jeżeli ją czyta, to nie powiązał artykułu ze mną. A z drugiej strony, dlaczego miałby go ze mną skojarzyć?

Wita mnie wesoło. Podaję mu raport na temat zamordowania Morèsa. Przegląda go szybko i unosi brwi.

– Niech pan się nie martwi, Picquart – uspokaja mnie, oddając raport. – Dopilnuję, żeby

miał pan pierwszorzędny pogrzeb. Przed wyjazdem może pan wybrać sobie hymn.

– Dziękuję, panie generale. Doceniam gest.

Podchodzi do wiszącej na ścianie mapy protektoratu kolonialnego Francji.

– Muszę przyznać, że jak na wędrówkę, to kawał drogi. Czy oni nie mają już dziś w Paryżu map? – Wytycza trasę na południe z leżącego na północy Tunisu: obok Susy, Sfaxu i Gabès, przez cały ten olbrzymi pustynny obszar do Trypolisu, gdzie na mapie nie widać ani jednej drogi czy osady. – To będzie z osiemset kilometrów. A na końcu czeka pana rejon w całości opanowany przez wrogie watahy Beduinów.

– Dosyć beznadziejne zadanie. Czy wolno zapytać, kto wydał ten rozkaz?

– Owszem, wolno, jak najbardziej… Wydał go generał Billot we własnej osobie. – Na widok mojej ponurej miny Leclerc jeszcze bardziej weseleje. – Na mój gust musiał pan jednak przespać się z jego żoną! – Ale widząc, że ja się nie śmieję, on także poważnieje. – Mój drogi, niech pan się tym nie przejmuje. To oczywista pomyłka. Wysłałem mu już telegram z przypomnieniem, że właśnie w tym miejscu zaledwie rok temu wpadł w zasadzkę Morès.

– I odpowiedział?

– Nie, jeszcze nie.

– Generale, nie sądzę, żeby to była pomyłka. – Spogląda na mnie i ze zdziwieniem przekrzywia głowę. A ja wyjaśniam dalej: – W Paryżu służyłem jako szef tajnej sekcji wywiadowczej przy sztabie generalnym. W związku z tym dokonałem pewnych odkryć, które wykazały, że w wojsku działa zdrajca i że to on popełnił przestępstwa, za które skazano kapitana Dreyfusa.

– A to ci dopiero!

– Zwróciłem na to uwagę moich przełożonych, w tym generała Billota, z zaleceniem, że powinniśmy aresztować prawdziwego szpiega. A oni odmówili.

– Nawet mimo tego, że miał pan dowody?

– Musieliby przyznać, że Dreyfus jest niewinny. I ujawnić pewne… no, nazwijmy to „nieprawidłowości” w sposobie prowadzenia jego sprawy.

Leclerc przerywa mi, unosząc palec.

– Chwileczkę. Jestem powolny… zbyt wiele lat spędzonych na słońcu. Żeby nie było niedomówień. Sugeruje pan, że minister wysyła pana w tę ryzykowną misję, bo liczy, że w ten sposób się pana pozbędzie?

W odpowiedzi podaję mu egzemplarz „La Dépêche tunisienne”. Leclerc długo wpatruje się w gazetę. W końcu pyta:

– Domyślam się, że to od pana *monsieur* Scheurer-Kestner uzyskał te informacje?

Odpowiadam formułką uzgodnioną z Louisem:

– Osobiście nie podałem mu żadnych faktów, panie generale.

– I zapewne to dlatego latem tak pan się palił do wyjazdu do Paryża?

I znów ratuję się wykrętem.

– Jest mi niezmiernie przykro, jeśli sprawiłem panu kłopoty. Grożono mi środkami dyscyplinarnymi, gdybym ośmielił się poskarżyć na sposób, w jaki mnie traktowano. Czułem, że muszę wrócić do Paryża, żeby porozumieć się z moim adwokatem.

– Takie zachowanie jest absolutnie nie do przyjęcia, pułkowniku.

– Rozumiem, panie generale, i najmocniej przepraszam. Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić.

– Nie, nie mówię o pańskim zachowaniu. To zachowanie Billota jest nie do przyjęcia! I ci ludzie mają czelność uważać się za lepszych od Afrykanów! – Oddaje mi gazetę. – Niestety, nie

mogę zmienić bezpośredniego rozkazu szefa całego wojska, ale mogę go blokować. Niech pan wraca do Susy i udaje, że się pan szykuje do wyprawy na południe. A ja tymczasem zobaczę, co mi się uda zrobić. Tak czy owak, jeśli to, co pan powiedział o Billocie, jest prawdą, to jego dni jako ministra chyba są policzone.

* * *

Nazajutrz, w niedzielę, ordynans prowadzący Klub Wojskowy Susa przynosi gazety krótko po jedenastej. Reszta garnizonu jest w kościele. Mam cały klub tylko dla siebie. Zamawiam koniak, biorę jeden z dwóch klubowych egzemplarzy „La Dépêche tunisienne" i tradycyjnie siadam na swoim miejscu przy oknie.

SPRAWA DREYFUSA. Paryż, godzina 8.35. Gazety podkreślają swoją wiarę w to, że pan Scheurer-Kestner został omamiony przez rodzinę byłego kapitana Dreyfusa, a jednak wzywają teraz do niezwłocznego gruntownego śledztwa. Redaktor naczelny „Le Figaro" przeprowadził wywiad z panem Scheurerem-Kestnerem, który powtórzył, że wierzy, iż Dreyfus jest niewinny. Oświadczył

jednak, że niczego nie ujawni, dopóki nie przedłoży sprawy właściwym kompetencyjnie ministrom. „Le Figaro” twierdzi, że pan Scheurer-Kestner ma się spotkać z prezydentem oraz z ministrami wojny i sprawiedliwości.

Bezczynne siedzenie tutaj, bez wiedzy o tym, co się dzieje, to prawdziwy koszmar. Postanawiam wysłać telegram do Louisa. Dopijam koniak i piechotą idę do nowego urzędu pocztowego obok portu. Nagle nerwy mnie zawodzą i przez dziesięć minut siedzę w Bar de la Poste, paląc papierosa i przyglądając się, jak kilkunastu moich rodaków na emigracji gra w bule na zakurzonym placu. Bo prawda jest taka, że każda wysłana albo otrzymana przeze mnie wiadomość z pewnością będzie przechwycona, a ewentualny szyfr, który mógłbym wymyślić, eksperci złamaliby w ciągu kilku minut.

We wtorek do Susy docierają wreszcie wydania paryskich gazet z poprzedniego piątku. Zawierają pierwsze artykuły o interwencji Scheurera-Kestnera w sprawie Dreyfusa. „Le Figaro”, „Le Matin”, „La Libre Parole”, „Le Petit Parisien” i pozostałe tytuły przechodzą w klubie

z rąk do rąk, wywołując oburzenie moich kolegów po fachu. Ze swojego miejsca pod oknem słyszę, jak mówią: „Myślisz, że ten cały Scheurer-Kestner to też jest Żyd?”. „No, z takim nazwiskiem to albo Żyd, albo Niemiec…” „To niegodziwa potwarz wymierzona w wojsko… Miejmy nadzieję, że ktoś zażąda satysfakcji…” „Tak, możecie sobie gadać o Morèsie co chcecie, ale już on by wiedział, jak się rozprawić z tym łajdakiem…” „A jakie jest pańskie zdanie w tej sprawie, panie pułkowniku, jeśli wolno spytać?”

Tak odwykłem od tego, że w klubie ktoś się do mnie odzywa, że dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że mówią do mnie. Odkładam powieść i odwracam się na krześle. Patrzy na mnie z pół tuzina opalonych i wąsatych twarzy.

– Przepraszam – mówię. – Jakie jest moje zdanie na temat…?

– Tej kaczki dziennikarskiej, że Dreyfus może być niewinny.

– A, o to chodzi. Kiepska sprawa, nie sądzicie? Bardzo kiepska. – Ta gnomiczna wypowiedź najwyraźniej im wystarcza, więc wracam do książki.

Środa upływa spokojnie. Ale w czwartek „La Dépêche” donosi o nowych rewelacjach:

SPRAWA DREYFUSA. Paryż, godzina 8.25. Wygląda na to, że sprawa Dreyfusa wchodzi w decydującą fazę. Wczoraj pan Scheurer-Kestner był w Ministerstwie Wojny, żeby przekazać generałowi Billotowi posiadane przez siebie informacje związane z kapitanem Dreyfusem. Spotkanie to, trzymane w głębokiej tajemnicy, trwało bardzo długo (…). Godzina 9.10. „Le Figaro" podaje, że wczoraj pan Scheurer-Kestner widział się z premierem, panem Méline'em. Tematem rozmowy była sprawa Dreyfusa.

Tej nocy nie śpię – leżę w łóżku przy zamkniętych na klucz drzwiach, z rewolwerem pod poduszką; przed świtem nasłuchuję wezwania do modlitwy z pobliskiego minaretu. Dla rozrywki wyobrażam sobie te spotkania kryzysowe w gabinecie Billota – minister ciska gromy, Gonse nerwowo strzepuje popiół z papierosa na mundur, Boisdeffre siedzi jak skamieniały, a Henry jest pijany; myślę o tym, jak Gribelin grzebie w swoich teczkach, próbując znaleźć jakieś strzępy dowodów obciążających Dreyfusa, i jak Lauth otwiera nad parą moje listy i usiłuje złamać ukryty szyfr, za pomocą którego panuję jakoś nad wydarzeniami. Wyobrażając

sobie, jak mieszam szyki wrogom, nie posiadam się z radości.

Nagle jednak wrogowie zaczynają odpowiadać ogniem.

* * *

Pierwszy strzał ma postać telegramu. Jemel z samego rana przynosi mi go do gabinetu. Nadano go poprzedniego dnia w urzędzie pocztowym przy paryskiej giełdzie: *Mamy dowód, że* bleu *sfałszował Georges. Blanche.*

Blanche?

To jest jak groźba wyszeptana przez nieznajomego w tłumie, który się gdzieś rozpłynął, zanim zdążyliśmy się obejrzeć. Mam świadomość, że Jemel bacznie obserwuje moją reakcję. Treść jest bez znaczenia, a jednak złowieszcza – zwłaszcza użycie imienia Blanche.

– Nic z tego nie rozumiem – mówię Arabowi. – Chyba coś przekręcili podczas transmisji. Czy zechciałbyś pójść do urzędu telegraficznego i kazać im to powtórzyć?

Wraca jeszcze przed południem.

– Nie ma najmniejszych wątpliwości, panie pułkowniku – informuje. – Sprawdzili z Paryżem, tekst się zgadza. A poza tym przyszło do pana

jeszcze to, przeadresowane z Tunisu. – Podaje mi list. Na kopercie, z napisem „Pilne!”, moje nazwisko jest przekręcone: „Piquart”. Charakter pisma wydaje mi się dziwnie znajomy. No i proszę: drugi strzał.

– Dziękuję, Jemel.

Czekam z otwarciem listu, aż Arab odejdzie.

Pułkowniku

Otrzymałem anonimowy list z informacją, że zorganizował Pan ohydny spisek w celu postawienia mnie na miejscu Dreyfusa. Nadawca utrzymuje, między innymi, że przekupił Pan młodszych oficerów, by zdobyć próbkę charakteru mojego pisma; wiem, że to akurat jest prawda. Twierdzi też, że zabrał Pan z Ministerstwa Wojny dokumenty powierzone Panu w zaufaniu, aby stworzyć tajne dossier, które przekazał Pan przyjaciołom zdrajcy. Wiem, że to również jest prawda, ponieważ otrzymałem dzisiaj pewien dokument z tych akt.

Pomimo tak oczywistych dowodów wciąż nie mogę uwierzyć, żeby wysoki oficer francuskiego wojska mógł uczestniczyć

w tak potwornym spisku przeciwko jednemu ze swoich towarzyszy.

Oczekuję od Pana jasnych i szczerych wyjaśnień i nie wyobrażam sobie, że mógłbym ich nie dostać.

Esterházy

List z pretensjami od zdrajcy, napisany tym samym charakterem pisma, którym napisał *bordereau* – bezczelność tego człowieka niemal budzi podziw! Ale zaraz opadają mnie pytania. Skąd on zna moje nazwisko? I wie, że jestem w Tunisie? Albo że zdobyłem próbki jego charakteru pisma? Prawdopodobnie od autora tego rzekomo „anonimowego" listu. A któż mógłby napisać taki list? Henry? Czy do tego doprowadziła ich logika sztabu generalnego – pomóc winnemu uniknąć karzącej ręki sprawiedliwości, byleby utrzymać w więzieniu niewinnego człowieka? Sięgam po telegram. *Mamy dowód, że* bleu *sfałszował Georges. Blanche*. Co oni kombinują?

Nazajutrz Jemel przynosi mi kolejny telegram, z kolejną złowróżbną zagadką: *Powstrzymaj Półboga. Wszystko już odkryli. Sprawa najwyższej wagi. Speranza*. Tę wiadomość nadano z urzędu pocztowego przy rue la Fayette w Paryżu, tego

samego dnia co telegram od Blanche, ale dotarł do mnie z dwudziestoczterogodzinnym opóźnieniem, bo – podobnie jak list od Esterházyego – był błędnie zaadresowany do mnie do Tunisu.

Nigdy nie spotkałem nikogo o nazwisku Speranza – wiem tylko, że po włosku znaczy to „nadzieja” – ale „Półbóg” to przezwisko, jakie Blanche nadała naszemu wspólnemu przyjacielowi i podobnie jak my miłośnikowi Wagnera, kapitanowi Williamowi Lallemandowi. A jedynym człowiekiem związanym z sekcją statystyczną, który mógł wiedzieć o tym mało znanym fakcie z naszego kręgu towarzyskiego, jest były kochanek Blanche, du Paty.

Du Paty… Tak, oczywiście. Gdy tylko to nazwisko przychodzi mi na myśl, wszystko staje się jasne: du Paty’ego ściągnięto, żeby pomógł wymyślić tę złowrogą inscenizację; jego pseudogotycki styl, ni to Dumas, ni to *Kwiaty zła*, jest nie do podrobienia. O ile jednak rok czy dwa lata wcześniej zbyłbym śmiechem wszelkie groźby od tak groteskowej postaci, o tyle teraz wiem swoje. Teraz już przekonałem się, do czego jest zdolny. I w tym momencie zdaję sobie sprawę, że szyją mi te same buty skazańca, które włożyli Dreyfusowi.

* * *

Echo następnego wybuchu, w środę, siedemnastego listopada, jest na tyle potężne, by wstrząsnąć nawet sennymi palmami w Klubie Wojskowym Susa:

BRAT DREYFUSA WSKAZUJE „PRAWDZIWEGO ZDRAJCĘ”. Paryż, godzina 2. Oto treść listu, który brat Dreyfusa wysłał do ministra wojny: „Panie ministrze, jedyną podstawą oskarżeń wobec mojego brata jest list, niepodpisany i bez daty, z którego wynika, że jego autor przekazał agentowi obcego mocarstwa tajne dokumenty. Mam zaszczyt poinformować Pana, że autorem tego pisma jest hrabia Walsin-Esterházy, major piechoty, od wiosny ubiegłego roku czasowo zawieszony w obowiązkach z powodu złego stanu zdrowia. Nie wątpię, panie ministrze, że znając tożsamość tego, kto dopuścił się zdrady, za którą skazano mojego brata, czym prędzej podejmie Pan takie działania, aby sprawiedliwości stało się zadość. Łączę wyrazy najgłębszego szacunku, Mathieu Dreyfus”.

Czytam to po obiedzie, po czym znów siadam pod oknem i udaję, że pochłania mnie powieść. Za moimi plecami „Dépêche” przechodzi z rąk do rąk. „No i macie – mówi jeden z oficerów. – Tacy właśnie są Żydzi… trzymają się razem i nigdy nie odpuszczają”. A inny powiada: „Przyznam, że żal mi tego Esterházyego”. Na to włącza się trzeci, ten, który miał chrapkę na Savignauda: „Tu stoi, że Esterházy napisał do generała Billota, widzicie? *Przeczytałem dziś w porannych gazetach haniebne oskarżenia pod moim adresem. Proszę pana o wszczęcie śledztwa i chętnie odpowiem na wszelkie zarzuty*”. „No i dobrze – odpowiada mu pierwszy – ale co może poradzić, mając przeciwko sobie całe to żydowskie złoto?” A kapitan proponuje: „Co prawda, to prawda. Może trzeba by zrobić ściepę na biednego Esterházyego? Wpiszcie mnie na dwadzieścia franków”.

* * *

Następnego dnia wybieram się na długą przejażdżkę konną wzdłuż wybrzeża, żeby pozbierać myśli. Daleko nad morzem ogromne chmury przetaczają się na północ, ciągnąc za sobą pogrzebowe zasłony deszczu. Jest początek

pory deszczowej. Spinam konia ostrogami i galopuję w kierunku tysiącletniej wieży strażniczej ribatu w Monastyrze, odległej o jakieś piętnaście kilometrów. Gdy się do niej zbliżam, odcina się blada na tle ciemniejącego morza. Zastanawiam się, czy nie wjechać do małego portu rybackiego. Ale niebo jest już tak czarne jak atrament kałamarnicy, więc kiedy skręcam do domu, chmura nade mną, jakżeby inaczej, otwiera się niczym przecięty worek i spada na mnie ulewny zimny deszcz.

Po powrocie do bazy natychmiast idę do swojej kwatery, żeby się przebrać. Drzwi, które z całą pewnością zamknąłem na klucz, są otwarte, a w pokoju zastaję Jemela, który z miną winowajcy stoi na środku mojego salonu. Gdybym wszedł kilka sekund wcześniej, przyłapałbym go na gorącym uczynku, a teraz rozglądam się, lecz wydaje się, że wszystko jest na swoim miejscu.

– Przynieś mi wodę, muszę się wykąpać – polecam szorstko.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Gdy docieram do Klubu Wojskowego, jest już za późno na obiad, ale od samego progu czuję, że wydarzyło się coś doniosłego. Kiedy idę na swoje stałe miejsce, mijani przeze mnie ludzie milkną.

Kilku starszych oficerów szybko dopija to, co tam mają w kieliszkach, i wychodzi. Na oparciu mojego fotela leży starannie umieszczone dzisiejsze wydanie „Dépêche”, specjalnie rozłożone na artykule z pierwszej strony:

> *ESTERHÁZY OSKARŻA PUŁKOWNIKA PICQUARTA. Paryż, godzina 10.35. W wywiadzie dla „Le Matin” Esterházy mówi: „To pułkownik Picquart jest winny wszystkiemu, co się stało. Jest zaprzyjaźniony z rodziną Dreyfusa. Piętnaście miesięcy temu, pracując w Ministerstwie Wojny, wszczął przeciw mnie śledztwo. Chciał mnie zniszczyć. Informacje, którymi dysponuje pan Scheurer-Kestner, przekazał mu prawnik Picquarta, maître Leblois, który odwiedził pułkownika w jego gabinecie, gdzie ten pokazał mu tajne akta. Przełożeni pułkownika uznali jego zachowanie za tak haniebne, że wysłano go w niełasce do Tunezji”.*

Jak dotąd moje nazwisko nigdy nie pojawiło się w prasie. Wyobrażam sobie zaskoczenie wszystkich, których znam – przyjaciół i rodzinę

we Francji. Co sobie pomyślą? Podobno jestem szpiegiem, człowiekiem pracującym w cieniu. A teraz znalazłem się w świetle reflektorów.

Na tym nie koniec:

> *CHEZ MAÎTRE LEBLOIS. Jak podaje „Le Matin”: Po wywiadzie z majorem Esterházym, o północy, stajemy u drzwi maître Leblois, adwokata w sądzie apelacyjnym, zamieszkałego przy rue de l’Université 96, lecz drzwi są zamknięte. Dzwonimy ponownie. Nikt nie otwiera. Z mieszkania dobiega jednak czyjś głos: „Kto tam? Czego chcecie?”. Wyjaśniamy powód naszej wizyty: otóż major Esterházy oficjalnie twierdzi, jakoby on, maître Leblois, przekazał panu Scheurerowi-Kestnerowi dossier oparte na dokumentach sfabrykowanych przez pułkownika Picquarta. Na to ów głos odpowiada groźnie: „I co chcecie ode mnie usłyszeć? Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. Nie mam nic do powiedzenia, absolutnie nic. Radzę jedynie, byście nie wymieniali nazwiska pułkownika Picquarta. A teraz żegnam i nigdy do mnie nie wracajcie!”.*

Gdy skończywszy czytać, rozglądam się po sali, w klubie nie ma już nikogo.

Wieczorem dostaję następny telegram – ktoś wepchnął mi go pod drzwiami. Ale ten jest całkowicie jednoznaczny: *Natychmiast opuścić swoją kwaterę w Susie z założeniem, że już Pan tam nie wróci, i zameldować się u mnie w kwaterze głównej. Podpisano: Leclerc.*

* * *

W Tunisie dostaję mały pokoik na drugim piętrze głównych koszar. Leżąc na łóżku, słucham symfonii życia wśród mężczyzn – krzyków, nagłych zbiorowych gwizdów, trzasku drzwi i ciężkich kroków. Myślę o Pauline. Od kilku tygodni się nie odzywa. Ciekaw jestem, jak reaguje na doniesienia prasowe na mój temat – że jestem na liście płac Żydów; że wysłano mnie do Tunezji „w niełasce”… Piszę do niej list.

Tunis
20 listopada 1897 r.

Ma chérie

Nieustannie krążąc między Tunisem a Susą, dostaję pocztę bardzo nieregularnie. Może zresztą istnieją po temu inne

przyczyny. Tak czy siak, bez wieści od Ciebie jest i nudno, i smutno. Nie bój się pisać do mnie, choćby miały to być dwa słowa.
U mnie wszystko w porządku, ale muszę zadbać o to, żeby nie narazić na szwank Ciebie. Biedna dziewczynko – po raz pierwszy gazety rozmieniają moje życie na drobne! Jestem w o tyle niekorzystnej sytuacji, że nie mam prawa ani ochoty bronić się za pośrednictwem tych samych środków przekazu. Ostatecznie kiedyś to się skończy. Teraz nie będę już pisał, zachowam Cię w sercu, pełen miłości.

Odkładam pióro i czytam list. Wydaje mi się stanowczo zbyt napuszony. Z drugiej strony krępująca świadomość, że nasze listy miłosne będą otwierane nad parą, czytane przez zastępy urzędników, przepisywane i wkładane do akt, nie ułatwia pisania.

PS Jestem absolutnie spokojny i nic mi nie grozi. Jak widzisz, nawet w tak poważnej sytuacji nie dam się zastraszyć. Martwię się jedynie o to, z jakimi uczuciami będziesz czytała ten list.

Nie podpisuję się, nie umieszczam jej nazwiska na kopercie, tylko płacę franka szeregowemu, żeby nadał list w moim imieniu.

* * *

Pod koniec dnia Leclerc przyjmuje mnie w swoim gabinecie. Jego ogród tonie w ciemnościach. Po generale widać zmęczenie. Z jednej strony biurka ma plik telegramów, z drugiej – stertę gazet. Prosi, żebym usiadł.

– Ministerstwo Wojny przysłało mi listę pytań z poleceniem, żebym je panu zadał, pułkowniku. Na przykład takie: czy kiedykolwiek przekazywał pan tajne informacje osobie albo osobom spoza wojska?

– Nie, panie generale.

Zapisuje coś sobie.

– Czy kiedykolwiek sfałszował pan albo w jakikolwiek sposób zmienił treść poufnego dokumentu?

– Nie, panie generale.

– Czy kiedykolwiek prosił pan podwładnego albo podwładnych o sfałszowanie albo zmianę treści poufnych dokumentów?

– Nie, panie generale.

– Czy kiedykolwiek udostępnił pan tajne dokumenty kobiecie?

– Kobiecie?

– Tak. Zdaje się, że ten major Esterházy twierdzi, jakoby dostał tajne informacje od nieznanej damy w woalce.

Dama w woalce! Znów widać rękę du Paty'ego…

– Nie, panie generale, nie pokazywałem dokumentów żadnej kobiecie, w woalce czy bez niej.

– Świetnie. Zawiadomię o tym Paryż telegraficznie. A tymczasem mam pana poinformować, że minister wojny zarządził wewnętrzne śledztwo w tej sprawie, pod nadzorem generała de Pellieux, dowódcy armii z Departamentu Sekwany. Pan ma wrócić do Francji w celu złożenia zeznań. Popłynie pan pod eskortą urzędnika z Ministerstwa Kolonii. – Zamyka teczkę. – Wygląda na to, pułkowniku, że na tym kończy się nasza współpraca.

Wstaje, więc idę w jego ślady.

– Nie powiem, żeby rola pańskiego dowódcy sprawiła mi szczególną przyjemność, ale niewątpliwie było to ciekawe przeżycie – mówi.

Wymieniamy uścisk dłoni. Generał kładzie mi rękę na ramieniu i odprowadza mnie do drzwi.

Bije od niego silny zapach wody kolońskiej.

– Niedawno rozmawiałem z pułkownikiem Dubuchem. Twierdzi, że ten cały Esterházy to ostatnia szuja. Służył tu w osiemdziesiątym drugim i został oskarżony o defraudację w Sfaxie. Powołano komisję dochodzeniową, ale jakoś się wywinął.

– Wcale mnie to nie dziwi, panie generale.

– Zadarł pan z nieźle zdesperowanymi ludźmi, Picquart, skoro chcą się wiązać z tego typu osobnikiem. Można coś panu doradzić?

– Bardzo proszę.

– Podczas rejsu do Francji niech pan się nie zbliża do relingów.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W listopadzie Morze Śródziemne jest dużo bardziej wzburzone niż w czerwcu i rejs nie jest tak przyjemny. W jednej chwili przez bulaj widać szare niebo, w drugiej – szare fale. Moja rosyjska książka ześlizguje się ze stoliczka i spada otwarta na podłogę. Tak jak poprzednio, tym razem też głównie siedzę w kajucie. Od czasu do czasu odwiedza mnie towarzyszący mi *monsieur* Périer z Ministerstwa Kolonii, ale jest okropnie zielony na twarzy i woli nie opuszczać swego lokum. Podczas rzadkich wypraw na pokład za radą Leclerca trzymam się z dala od burt statku. Napawam się rozbryzgami fal uderzającymi mnie w twarz, zapachem dymu węglowego zmieszanego z wonią słonej wody. Czasem zauważam, że jacyś inni pasażerowie się na mnie gapią, nie wiem jednak, czy to agenci policji, czy po prostu ludzie poinformowani o tym, że na pokładzie jest człowiek, o którym piszą w gazetach.

We wtorek wypływamy z Afryki, a w czwartek po południu na widoku pojawia się

wybrzeże Francji – wodnista kreska we mgle. Właśnie skończyłem się pakować, gdy ktoś puka do moich drzwi. Sięgam po rewolwer i wołam:

– Kto tam?

– To ja, panie pułkowniku, kapitan – odpowiada męski głos.

– Chwileczkę. – Wkładam broń do kieszeni i otwieram drzwi.

Kapitan jest posępnym facetem nieco po pięćdziesiątce. Sądząc z siatki filigranowych naczynek krwionośnych w oczach, nie wylewa za kołnierz, no, ale powinienem się domyślić, że kursowanie trzy razy w tygodniu między Marsylią a Tunisem po jakimś czasie staje się męczące. Salutujemy sobie nawzajem.

– Poczyniono już stosowne kroki, żeby zabrać pana i *monsieur* Périera ze statku, zanim zawiniemy do portu – informuje mnie.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Zdaje się, że na nabrzeżu roi się od reporterów, a poza tym jest trochę demonstrantów. Ministerstwo Wojny uważa, że bezpieczniej będzie przenieść was na holownik, kiedy będziemy jeszcze na pełnym morzu, a potem wysadzić na brzegu przed nami, w innej części portu.

– A cóż to za bzdurny pomysł?

– Może i bzdurny, ale takie dostałem rozkazy – odpowiada, wzruszając ramionami.

Pół godziny później dudnienie silników cichnie i stajemy. Z walizką w ręku wchodzę na pokład. Zatrzymaliśmy się jakiś kilometr przed wejściem do portu. Obok nas kołysze się na fali holownik. Ani zimno, ani wysoka fala nie powstrzymują dziesiątków pasażerów od oblegania relingów i obserwowania w ponurym milczeniu, jak odpływam. Po raz pierwszy doświadczam tej nowej sławy i czuję się z tym wyjątkowo nieswojo. Morze jest wzburzone, oba statki ocierają się o siebie, a ich pokłady na przemian to wznoszą się, to opadają. Ktoś bierze moją walizkę i przerzuca na holownik, gdzie ktoś inny ją łapie, a potem ja schodzę w ślad za nią. Silne ręce wyciągają się, by wciągnąć mnie na pokład. Za plecami słyszę, że ktoś wykrzykuje obelgę „Żyd”, którą szybko porywa wiatr. *Monsieur* Périera również podają sobie na dół wraz z bagażem. Przechodzi chwiejnie na drugą stronę holownika i wymiotuje. Zrzucamy cumy i odpływamy.

Mijamy portowe mury, skręcamy na lewą burtę i między strzelistymi kadłubami dwóch pancerników kierujemy się na zachodni skraj portu. Za rufą holownika, tam gdzie przybijają

promy, widzę tłum ludzi – co najmniej ze dwie setki. I w tym momencie uświadamiam sobie, jak wielki wpływ sprawa Dreyfusa wywiera na wyobraźnię moich rodaków. Holownik wpływa do portu wojskowego, gdzie czeka na nas dorożka. Obok niej stoi młody oficer. Gdy załoga zeskakuje na brzeg i cumuje statek, oficer ten podchodzi i bierze ode mnie walizkę. Przekazuje ją dorożkarzowi, po czym wyciąga rękę, by pomóc mi zejść na brzeg.

Salutuje. Zachowuje się chłodno, acz nienagannie. Siedząc w dorożce, naprzeciwko mnie i Périera, mówi:

– Jeśli wolno coś zaproponować, pułkowniku, może lepiej, żeby się pan skulił jak najniżej, przynajmniej dopóki się nie oddalimy od portu.

Idę za jego radą. I tak oto, niczym ścigany przestępca, powracam do Francji.

* * *

Na dworcu kolejowym przekonuję się, że z tyłu składu zarezerwowano wyłącznie dla nas przedział pierwszej klasy. Périer zaciąga zasłony w drzwiach i oknach i nie pozwala mi wyjść na peron, żeby kupić gazetę. Nawet gdy muszę skorzystać z toalety, towarzyszy mi i czeka pod

drzwiami, aż skończę. Czasami zastanawiam się, co by zrobił, gdybym nie wykonał jego poleceń, które wydaje mi nerwowo, ze skrępowaniem, niemal błagalnym tonem. Ale tak naprawdę dotknął mnie przedziwny fatalizm. Poddaję się biegowi wypadków i kołysaniu w trakcie naszej podróży, która zaczyna się w ciemnościach Marsylii o piątej po południu, a kończy w ciemnościach Paryża o piątej rano.

Kiedy wjeżdżamy na gare de Lyon, akurat jeszcze śpię, lecz budzi mnie szarpnięcie wagonu. Otwieram oczy i widzę, jak Périer ukradkiem wygląda zza zasłony w oknie.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pułkowniku, zaczekamy tutaj, aż wysiądą pozostali pasażerowie – mówi. Dziesięć minut później schodzimy na wyludniony peron. Z przodu bagażowy pcha na wózku nasze walizki, a my idziemy wzdłuż całego składu pociągu do bramki kontroli biletów, gdzie czeka na nas kilkunastu mężczyzn z notesami w rękach. – Ani słowa! – ostrzega mnie Périer. Chwytamy za czapki i pochylamy się lekko do przodu, jakbyśmy wychodzili na porywisty wiatr. Z wykrzykiwanych jednocześnie pytań nie da się wyłapać więcej niż kilku słów: „Esterházy…? Dreyfus…? Dama w woalce…? Poszukiwania…?”.

Błyska oślepiający flesz, rozlega się odgłos naświetlania płytki magnezowej, ale pędzimy tak szybko, że z pewnością nie uda im się zrobić porządnego zdjęcia. Przed nami dwaj kolejarze stoją z wyciągniętymi rękami, kierując nas do pustej poczekalni, po czym zamykają za nami drzwi. W środku mój stary przyjaciel, Armand Mercier-Milon, teraz już w stopniu pułkownika, salutuje mi wyjątkowo oficjalnie.

– Armand! Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. – Wyciągam do niego rękę, ale on nie ściska mi dłoni, tylko wskazuje drzwi.

– Czeka na nas automobil – mówi. – Musimy odjechać, zanim tamci zdążą przebiec na drugą stronę dworca.

Na zewnątrz stoi wielki nowoczesny pojazd w barwach firmowych Compagnie Paris–Lyon Méditerranée. Zostaję wciśnięty z tyłu, pomiędzy Périera i Merciera-Milona. Kończą ładować bagaż i odjeżdżamy w chwili, gdy z dworca wylewa się i pędzi ku nam tłum dziennikarzy.

– Mam tu dla pana list od szefa sztabu – mówi Mercier-Milon.

Otwieranie koperty w tej ciasnocie jest niewygodne.

Pułkowniku Picquart, stanowczo zabraniam Panu kontaktować się z kimkolwiek, dopóki nie

złoży Pan zeznań przed komisją generała de Pellieux. Boisdeffre.

Szybko, w milczeniu przemierzamy ciemne, zalane deszczem ulice. O tej porze ruch jest właściwie żaden, prawie nikogo nie widać. Ponieważ jedziemy boulevard Saint-Martin na zachód, przychodzi mi na myśl, że może odwożą mnie do mieszkania, nagle jednak skręcamy na północ i zatrzymujemy się na rue Saint-Lazare, przed kolosalnym hotelem Terminus. Portier otwiera drzwi. Pierwszy wysiada Périer.

– Pójdę i nas zamelduję – oznajmia.

– Mam tu zamieszkać? – dziwię się.

– Tymczasowo.

Znika w hotelu. Gramolę się z pojazdu i podziwiam olbrzymią fasadę. Budynek ciągnie się od przecznicy do przecznicy, ma pięćset pokoi – istna świątynia nowoczesności. W deszczu lśnią elektryczne światła. Obok mnie staje Mercier-Milon. Korzystając z tego, że po raz pierwszy jesteśmy poza zasięgiem słuchu innych ludzi, sztorcuje mnie:

– Jesteś skończonym durniem, Georges. Coś ty sobie myślał? – Mówi cicho, ale stanowczo; widzę, że dusił to w sobie, odkąd odjechaliśmy z dworca. – Mnie też jest żal Dreyfusa… byłem jednym z nielicznych, którzy bronili go podczas

tej farsy przed sądem wojskowym. Ale ty? Przekazać tajne informacje komuś z zewnątrz, żeby mógł je wykorzystać przeciwko twoim dowódcom? Dla mnie to zbrodnia. Wątpię, żebyś w całej Francji znalazł choć jednego żołnierza, który stanie w obronie tego, co zrobiłeś.

Ten gwałtowny wybuch wstrząsa mną, ale i napełnia mnie gniewem.

– I co teraz? – pytam zimno.

– Pójdziesz do swojego pokoju i przebierzesz się w mundur. Z nikim nie rozmawiaj. Do nikogo nie pisz. Nie otwieraj żadnych listów. Zaczekam w holu. Przyjdę o dziewiątej i odstawię cię na Place Vendôme.

W drzwiach staje Périer.

– Pułkowniku Picquart? Nasz pokój jest już gotowy.

– Nasz?! Chce pan powiedzieć, że zamieszkamy razem?

– Niestety, tak.

Próbuję obrócić ten upokarzający układ w żart.

– Wykonuje pan swoje obowiązki z godnym podziwu oddaniem, *monsieur* Périer – mówię, i w tym momencie dociera do mnie, że oczywiście nie jest on urzędnikiem

z Ministerstwa Kolonii, tylko tajnym agentem Sûreté.

* * *

Périer spuszcza mnie z oka jedynie wówczas, gdy biorę kąpiel. Leżąc w wannie, słucham, jak krząta się w sypialni. Gdy rozlega się pukanie do drzwi od korytarza, wpuszcza kogoś do środka. Słysząc przyciszone męskie głosy, myślę sobie, że byłbym całkowicie bezbronny, gdyby wpadło tu szybko dwóch mężczyzn i chwyciło mnie za kostki. Banalne utonięcie w wannie – kilka minut i byłoby po wszystkim, bez pozostawiania śladów.

– Podano pańskie śniadanie, pułkowniku! – woła przez drzwi Périer, jeśli rzeczywiście tak się nazywa.

Wychodzę z wanny, wycieram się i wkładam błękitną jak niebo kurtkę munduru Czwartego Pułku Strzelców Tunezyjskich i czerwone spodnie z szarym lampasem. Przeglądając się w lustrze, dochodzę do wniosku, że zupełnie nie pasuję do otoczenia – w barwach północnej Afryki zimą na północy Europy. Nawet kazali mi się przebrać tak, żebym wyglądał jak błazen. „Wątpię, żebyś w całej Francji znalazł choć

jednego żołnierza, który stanie w obronie tego, co zrobiłeś”. No cóż. Przekonajmy się.

Wypijam czarną kawę. Zjadam *tartine*. Tłumaczę kolejną stronę Dostojewskiego. *Co czyni człowieka bohaterem? Odwaga, siła, moralność, znoszenie przeciwności losu? Czy właśnie te cechy naprawdę pokazują i tworzą bohatera?* O dziewiątej przychodzi po mnie Mercier-Milon; zjeżdżamy windą do holu, nie zamieniając słowa. Na chodniku opada nas zgraja dziennikarzy.

– Psiakrew! – rzuca Mercier-Milon. – Widocznie śledzili nas w drodze z dworca.

– Szkoda, że wasi żołnierze nie są tak pomysłowi.

– To nie jest śmieszne, Georges.

Ten sam chór pytań: „Dreyfus…? Esterházy…? Poszukiwania…? Dama w woalce…?”.

Mercier-Milon rozpycha ich, torując mi drogę, po czym otwiera drzwi naszego powozu.

– Hieny! – syczy przez zęby.

Oglądam się przez ramię i widzę, jak część reporterów wskakuje do dorożki, żeby nas śledzić. Jedziemy niedaleko, raptem pół kilometra. Na miejscu czeka kilkunastu innych dziennikarzy, przyczajonych na skraju Place Vendôme. Blokują olbrzymie, przeżarte przez

korniki stare drzwi prowadzące do siedziby gubernatora wojskowego Paryża. Odsuwają się i pozwalają nam przejść dopiero wtedy, gdy Mercier-Milon ze zgrzytem metalu wyciąga szpadę. Wchodzimy do zimnego, sklepionego pomieszczenia, przypominającego nawę opuszczonego kościoła, i dalej na schody otoczone gipsowymi posągami. W tym pseudoreligijnym domu uświadamiam sobie, że stałem się czymś więcej niż tylko niebezpiecznym utrapieniem dla swoich przełożonych – jestem odszczepieńcem od wiary. Przez kwadrans w milczeniu siedzimy w poczekalni, aż w końcu przychodzi po mnie adiutant generała Pellieux. Kiedy wstaję, na twarzy Merciera-Milona maluje się mieszanina litości i strachu.

– Powodzenia, Georges – szepcze pod nosem.

O Pellieux wiem jedynie tyle, że ma opinię monarchisty i zagorzałego katolika. Podejrzewam, że gardzi mną już na pierwszy rzut oka. W odpowiedzi na mój salut po prostu wskazuje mi krzesło, na którym mam usiąść. Ma ponad pięćdziesiąt lat, jest przystojny i próżny – ciemne włosy, pasujące do czarnej kurtki munduru, starannie zaczesuje do tyłu, by ukryć poważne ubytki; wąsy ma sumiaste, okazałe.

Przewodniczy, siedząc przy stole między majorem i kapitanem, których mi nie przedstawia. Sekretarz przy osobnym biurku ma zapisywać przebieg przesłuchania.

– Celem tego dochodzenia, pułkowniku, jest ustalenie faktów mających związek z waszym śledztwem dotyczącym majora Esterházyego. W tym celu przesłuchałem już samego majora Esterházyego, *monsieur* Mathieu Dreyfusa, a także senatora Auguste'a Scheurera-Kestnera oraz *maître* Louisa Leblois. Na koniec mojego dochodzenia zwrócę się do ministra z pytaniem, czy należy przedsięwziąć środki dyscyplinarne, a jeśli tak, to jakie. Zrozumieliście?

– Tak, panie generale. – Teraz już wiem, dlaczego zastosowali takie środki ostrożności, żebym na pewno z nikim się nie skontaktował: zdążyli przesłuchać Louisa i nie chcieli, żebym się dowiedział, co zeznał.

– Świetnie, wobec tego zacznijmy od początku. – Pellieux mówi zimno, precyzyjnie. – Kiedy po raz pierwszy usłyszeliście o majorze Esterházym?

– Kiedy sekcja statystyczna przechwyciła *petit bleu* zaadresowany do niego z ambasady Niemiec.

– Czyli kiedy?

– Na wiosnę ubiegłego roku.

– Konkretniej, proszę.

– Nie jestem pewny konkretnej daty.

– Powiedzieliście generałowi Gonse’owi, że „pod koniec kwietnia”.

– Wobec tego widocznie tak było.

– Nie, tak naprawdę wydarzyło się to na początku marca.

Waham się.

– Doprawdy?

– Dajcie spokój, pułkowniku. Doskonale wiecie, że było to w marcu. Major Henry spędzał urlop okolicznościowy przy łóżku umierającej matki. Pamięta datę. Wrócił na krótko do Paryża, spotkał się z agentką Auguste i odebrał partię dokumentów, które następnie wam przekazał. Dlaczego więc podaliście w waszym raporcie fałszywą datę?

Zaskakuje mnie jego agresywny sposób bycia oraz tak szczegółowy zakres pytań. Pamiętam tylko, że zanim przedłożyłem swój raport, śledziłem Esterházyego przez blisko pół roku bez wiedzy Gonse’a – być może uznałem, że ta niesubordynacja będzie bardziej do przyjęcia, jeśli udam, że trwało to jedynie cztery miesiące, nie sześć. Wówczas to kłamstewko nie wydawało mi się istotne – wciąż zresztą nie ma

najmniejszego znaczenia – nagle jednak, w tym pomieszczeniu, pod wrogim spojrzeniem Wielkiego Inkwizytora wydaje się w najwyższym stopniu podejrzane.

– Nie ma pośpiechu, pułkowniku, zaczekamy – rzuca sarkastycznie Pellieux.

– Widocznie pomyliły mi się daty – odpowiadam po długiej przerwie.

– Pomyliły się wam daty? – Pellieux odwraca się szyderczo do swoich pomagierów. – Zdawało mi się, że jesteście żołnierzem o precyzji naukowca, pułkowniku… częścią pokolenia o nowoczesnych poglądach, które zastąpi takie reakcyjne żywe skamieniałości jak ja!

– Niestety, panie generale, nawet naukowcom zdarzają się pomyłki. Ale ostatecznie ta data nie ma żadnego znaczenia.

– Wręcz przeciwnie, daty zawsze mają znaczenie. Jak to się mówi, sama zdrada to głównie kwestia dat. Najpierw twierdzicie, że usłyszeliście o majorze Esterházym w kwietniu. Teraz ustaliliśmy, że było to co najmniej w marcu. Ale w pańskiej teczce Esterházyego znajduje się dowód świadczący o tym, że doszło do tego jeszcze wcześniej.

Podaje kapitanowi wycinek prasowy. Kapitan posłusznie wychodzi zza stołu i wręcza go mnie.

Jest to nekrolog zawiadamiający o śmierci markiza de Nettancourta, teścia Esterházyego, datowany na szóstego stycznia 1896 roku.

– Nigdy tego nie widziałem.

Pellieux udaje zdziwienie.

– Tak? A więc skąd to się wzięło?

– Zakładam, że trafiło do teczki już po moim odejściu.

– Ale zgodzicie się, że na pierwszy rzut oka wygląda to tak, jakbyście się interesowali Esterházym dwa miesiące przed nadejściem *petit bleu*?

– Na pierwszy rzut oka, owszem. Sądzę, że właśnie dlatego ktoś to tam umieścił.

Pellieux coś zapisuje.

– Wróćmy do *petit bleu*. Opiszcie, jak do was trafił.

– Któregoś dnia, późnym popołudniem, przyniósł go major Henry jako część ostatniej dostawy dokumentów.

– W jakiej postaci dotarła ta dostawa?

– Materiały zawsze przychodziły w małych stożkowatych torebkach z brązowego papieru. Ta tutka była większa niż zwykle, ponieważ z powodu choroby matki Henry nie stawił się na poprzednie spotkanie z agentką.

– Czy obejrzeliście zawartość w jego obecności?

– Nie. Jak już mówiłem, śpieszył się na pociąg. Schowałem materiały od razu do sejfu i następnego dnia rano przekazałem je kapitanowi Lauthowi.

– Czy to możliwe, że ktoś majstrował przy paczce pomiędzy odebraniem jej przez was od Henry'ego a przekazaniem Lauthowi?

– Nie, była zamknięta na klucz.

– Ale wy mogliście przy niej majstrować. To właśnie wy mogliście dodać do niej fragmenty *petit bleu*.

Czuję, jak krew napływa mi do twarzy.

– To oskarżenie jest oburzające!

– Wasze oburzenie nie ma tu nic do rzeczy. Odpowiedzcie na pytanie.

– A więc dobrze, odpowiedź brzmi: tak. Tak, teoretycznie mogłem dodać *petit bleu* do przesyłki. Ale tego nie zrobiłem.

– Czy to jest ten *petit bleu*? – Pellieux podnosi dokument. – Poznajecie go?

W sali panuje półmrok. Muszę się pochylić i unieść z krzesła, żeby się przyjrzeć. Papier wydaje się bardziej zużyty, niż kiedy go widziałem ostatnio. Zakładam, że w ciągu ostatniego roku przeszedł przez wiele rąk.

– Tak. Wygląda podobnie.

– Macie świadomość, że pod mikroskopem można zobaczyć, że adres oryginalny został wydrapany i zastąpiony adresem majora Esterházyego? A także, że analiza chemiczna wykazała, że atrament na odwrocie telegramu jest inny niż ten od frontu? Jeden to atrament żelazowo-galusowy, a drugi zawiera składnik występujący w drzewach rosnących w Campeche.

Ze zdziwienia przechylam nieco głowę.

– Wobec tego ktoś przy nim majstrował – mówię.

– W rzeczy samej. To falsyfikat.

– Nie, panie generale. Ktoś majstrował przy nim po moim wyjeździe z Paryża. Przysięgam, że dopóki pracowałem w sekcji statystycznej, dokument był autentyczny… miałem go w rękach setki razy. Czy mogę mu się przyjrzeć z bliska? Może jednak czymś się różni…

– Nie, już raz go zidentyfikowaliście. I nie chcę, żeby uległ dalszemu zniszczeniu. Ten *petit bleu* to falsyfikat. I moim zdaniem to wy jesteście tym osobnikiem, który najprawdopodobniej dokonał fałszerstwa.

– Z całym szacunkiem, generale, to oskarżenie jest niedorzeczne.

– Doprawdy? A więc dlaczego prosiliście kapitana Lautha o pomoc w takim spreparowaniu *petit bleu*, żeby jeszcze bardziej wyglądał jak prawdziwy?

– O nic takiego nie prosiłem.

– Owszem, tak. Kazaliście ostemplować go przez kierownictwo poczty tak, żeby wyglądał na dostarczony… Ośmielicie się temu zaprzeczyć?!

Bombarduje mnie kłamstwami i oskarżeniami w takim tempie, że już się w tym wszystkim gubię. Ściskając poręcze krzesła, odpowiadam z takim spokojem, jaki udaje mi się z siebie wykrzesać:

– Pytałem Lautha, czy może sfotografować *petit bleu* w taki sposób, żeby wyglądał na cały dokument, a nie złożony z podartych strzępów… Dokładnie taką samą techniką posłużył się wcześniej przy *bordereau*. I przyświecał mi ten sam motyw: uzyskać wersję, którą można by pokazywać w ministerstwie bez zdradzania naszego źródła. Lauth, całkiem słusznie, zwrócił mi uwagę, że strona blankietu z adresem nie została ostemplowana, więc na jego widok każdy dojdzie do wniosku, że został przechwycony jeszcze przed wysłaniem. Wtedy zastanawiałem się, czyby go jednak nie ostemplować. Ale

skończyło się tylko na pomyśle, od którego odstąpiłem.

– Kapitan Lauth podaje inną wersję.

– Możliwe. Tylko w jakim celu miałbym zadawać sobie tyle fatygi, żeby fałszywie oskarżyć człowieka, którego nawet nie widziałem na oczy?

– Liczymy, że nam to wyjaśnicie.

– Ten pomysł to absurd. Nie musiałem fałszować żadnych dowodów, już tylko *bordereau* jest dostatecznym dowodem winy Esterházyego… A nikt nie śmie sugerować, że ten dokument również zmieniłem!

– A tak, *bordereau* – bąka Pellieux, przerzucając papiery. – Dziękuję, że poruszyliście ten temat. Czy w listopadzie zeszłego roku przekazaliście sami albo za czyimś pośrednictwem faksymile *bordereau* gazecie „Le Matin”?

– Nie, panie generale.

– Czy we wrześniu tego samego roku przekazaliście sami albo za czyimś pośrednictwem szczegóły tak zwanych tajnych akt gazecie „L’Éclair”?

– Nie przekazałem.

– Czy sami albo za czyimś pośrednictwem przekazaliście informacje senatorowi

Scheurerowi-Kestnerowi?

To pytanie nieuchronnie musiało paść, podobnie jak moja odpowiedź:

– Tak, ale nie bezpośrednio.

– Czy pośrednikiem był wasz adwokat, *maître* Leblois?

– Tak.

– I dzieląc się tymi informacjami z Leblois, wiedzieliście, że przekaże je senatorowi?

– Chciałem, żeby fakty trafiły do rąk osoby odpowiedzialnej, która by mogła dyskretnie omówić tę sprawę z władzami. W żadnym wypadku nie zamierzałem ujawniać szczegółów prasie.

– To, co zamierzaliście, pułkowniku, nie ma najmniejszego znaczenia. Faktem jest, że działaliście za plecami swoich przełożonych.

– Dopiero wtedy, kiedy okazało się, że nie mam innego wyjścia… że moi przełożeni nie zechcą wyjaśnić do końca całej tej afery.

– Pokazaliście *maître* Leblois rozmaite listy, które wam wysłał generał Gonse?

– Tak.

– Tak samo jak w ubiegłym roku pokazał pan *maître* Leblois tajne akta, których istnienie wyciekło wówczas do „L’Éclair”?

– Nie.

– Przecież mamy świadka, który widział, jak przekazywaliście tajne akta Leblois.

– Pokazałem mu wyłącznie jeden dokument, który nie był tajny. Odnosił się do gołębi pocztowych, też mi coś! Świadkiem tego był major Henry.

– Pułkownik Henry – poprawia mnie Pellieux z naciskiem. – Właśnie awansował. A mnie nie interesują jakieś gołębie, tylko tajne akta na temat Dreyfusa. We wrześniu ubiegłego roku pokazaliście je swojemu prawnikowi, a on z kolei ujawnił ich istnienie albo rodzinie Dreyfusa, albo gazecie „L'Éclair", byleby postawić wojsko w trudnym położeniu. Oto, jak wygląda wasz sposób działania.

– Stanowczo temu zaprzeczam.

– Kim jest Blanche?

I znów nagły zwrot kierunku ataku wytrąca mnie z równowagi.

– Jedyna Blanche, jaką znam, to *mademoiselle* Blanche de Comminges, siostra hrabiego de Comminges – odpowiadam powoli.

– To wasza przyjaciółka?

– Tak.

– Jesteście w zażyłych stosunkach?

– Znam ją od wielu lat, jeśli to ma pan na myśli. Prowadzi salon muzyczny odwiedzany

przez wielu oficerów.

– Wysłała wam do Tunezji taki telegram: *Mamy dowód, że* bleu *sfałszował Georges. Blanche*. I co mamy o tym sądzić?

– Otrzymałem telegram takiej treści. Ale jestem pewny, że nie pochodził od niej.

– Dlaczego?

– Dlatego że ona nic nie wie o tajnych szczegółach sprawy Dreyfusa ani o tym, że byłem z nią w jakikolwiek sposób związany.

– Mimo że, o ile mi wiadomo, już od lat rozpowiada po całym Paryżu i jawnie prezentuje swoje przekonanie, że Dreyfus jest niewinny?

– Ma własne zdanie. To nie ma nic wspólnego ze mną.

– A ten jej salon… Bywa tam wielu Żydów?

– Zapewne kilku… spośród muzyków.

Pellieux znowu notuje, jakbym właśnie potwierdził coś ogromnej wagi. Przegląda papiery w teczce.

– Mam tu następny zaszyfrowany telegram, wysłany do was do Tunezji: *Powstrzymaj Półboga. Wszystko już odkryli. Sprawa najwyższej wagi. Speranza*. Kim jest Speranza?

– Nie mam pojęcia.

– A mimo to ten ktoś napisał do was rok temu, krótko po waszym odejściu z sekcji statystycznej.

– Nie.

– Owszem, tak. Mam tu ten list. – Pellieux podaje go kapitanowi, który ponownie wychodzi zza stołu i mi go wręcza.

Opuszczam dom. Nasi przyjaciele są zaniepokojeni. Twój nieszczęsny wyjazd pokrzyżował wszystkie plany. Przyśpiesz swój powrót, zrób coś! Dla sprawy najlepszym okresem są wakacje, więc liczymy, że zdążysz wrócić tu dwudziestego. Ona jest gotowa, ale nie może podjąć i nie podejmie żadnych działań, dopóki z Tobą nie porozmawia. Ruszymy, kiedy przemówi Półbóg.

Speranza

Pellieux mierzy mnie wzrokiem.

– I co wy na to?

– Nie wiem, co powiedzieć. Nigdy tego nie widziałem.

– Nie, nie widzieliście tego listu. Sekcja statystyczna przechwyciła go w grudniu ubiegłego roku i podjęto decyzję, żeby go wam nie przekazywać, a to z powodu wysoce podejrzanego słownictwa. Ale nadal twierdzicie, że nic wam to nie mówi?

– Tak jest.

– Wobec tego co powiecie o tym liście, który zezwolono wam przekazać po tym, jak opuściliście Paryż, ale zanim wyjechaliście do Tunezji?

Szanowny Panie

Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym w to nie uwierzył. Począwszy od dziś, arcydzieło jest ukończone; mamy je nazywać Cagliostro Robert Houdin.
Hrabina mówi o Panu bez przerwy i codziennie przekazuje mi, że Półbóg pyta, kiedy będzie możliwe spotkanie się z Dobrym Bogiem.

Jej oddany sługa, który całuje Pańską rękę,
J.

Kopię przepisał Lauth i opatrzył pieczęcią „Tajne”, a Gribelin dołączył numer seryjny. Pamiętam, że oryginał czytałem zeszłej zimy, tkwiąc w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi garnizonie – w mojej szarej kwaterze było to jak otwarcie przesyłki z bukietem z boulevard Saint-Germain.

– To napisał mój agent, Germain Ducasse – wyjaśniam. – Donosi o zamknięciu operacji, którą

prowadziłem przeciwko ambasadzie niemieckiej. Pisząc, że „arcydzieło jest ukończone”, ma na myśli, że wynajmowane przez nas mieszkanie zostało skutecznie wyczyszczone. Pod pseudonimem „Robert Houdin” kryje się agent policji Jean-Alfred Desvernine, który pracował ze mną przy śledztwie dotyczącym Esterházyego.

– Aha – rzuca Pellieux, jakby mnie na czymś przyłapał. – Czyli że „J.” to mężczyzna?

– Tak.

– I mimo to „całuje Pańską rękę”?

Wyobrażam sobie rozbawienie Ducasse’a, gdyby mógł zobaczyć pełną niedowierzania i odrazy minę generała.

– Nie uśmiechajcie mi się tu, pułkowniku! – przywołuje mnie do porządku Pellieux.

– Przepraszam, panie generale. Przyznaję, że to afektowany młody człowiek i pod pewnymi względami dość niemądry. Ale bardzo dobrze się spisał i jest absolutnie godny zaufania. To zwyczajny żart.

– A Cagliostro?

– Kolejny żart.

– Wybaczcie, pułkowniku, jestem prostym człowiekiem. Nie rozumiem tych waszych żarcików.

– Cagliostro był włoskim okultystą… Strauss napisał o nim operetkę, *Cagliostro w Wiedniu*… a nie sposób znaleźć człowieka mniej podatnego na okultyzm niż Desvernine. I właśnie w tym tkwi ironia. Zapewniam, generale, że to zupełnie niewinna zabawa. Ale podejrzliwym umysłom ludzi z sekcji statystycznej wystarczyła, żeby wytoczyć przeciwko mnie oskarżenie. Mam szczerą nadzieję, że w pewnym momencie pańskie śledztwo zbada kolejne z tych fałszerstw, które w oczywisty sposób miały na celu mnie oczernić.

– Wręcz przeciwnie, pułkowniku, uważam, że sami się oczerniliście, już choćby zadając się z kręgiem neurotycznych homoseksualistów i dziwaków, co to wierzą w wywoływanie duchów! Rozumiem więc, że wspomniana „hrabina” to *mademoiselle* Blanche de Comminges?

– Tak. Właściwie to nie jest hrabiną, chociaż czasami tak się zachowuje.

– A Półbóg i Dobry Bóg?

– Te przezwiska wymyśliła *mademoiselle* de Comminges. Nasz wspólny przyjaciel, kapitan Lallemand, jest Półbogiem, a Dobrym Bogiem, aż się boję powiedzieć, jestem ja.

Pellieux spogląda na mnie z pogardą – do moich licznych grzechów może teraz dorzucić jeszcze bluźnierstwo.

– A dlaczegóż to kapitan Lallemand jest Półbogiem?

– Z powodu zamiłowania do Wagnera.

– Czy ten również jest członkiem tego żydowskiego kręgu?

– Wagner? Szczerze wątpię.

To błąd, jakżeby inaczej. W takich okolicznościach nigdy nie należy pozwalać sobie na żarty. Uświadamiam to sobie w chwili, gdy słowa wyrywają mi się z ust. Major, kapitan, a nawet sekretarz się uśmiechają. Natomiast mina Pellieux tężeje.

– W waszej sytuacji nie ma nic zabawnego, pułkowniku. Te listy oraz telegramy są wysoce obciążające. – Zagląda na początek akt. – No to jeszcze raz wróćmy do rozbieżności w waszych zeznaniach. Dlaczego wprowadziliście nas w błąd, niezgodnie z prawdą twierdząc, że weszliście w posiadanie *petit bleu* pod koniec kwietnia ubiegłego roku, skoro faktycznie sklejono go na początku marca…?

* * *

Przesłuchanie trwa przez cały dzień – te same pytania padają raz za razem, wałkowane na okrągło, by przyłapać mnie na kłamstwie. Dobrze znam tę technikę, a Pellieux stosuje ją bez umiaru. Pod koniec popołudniowej sesji spogląda na wiekowy srebrny zegarek kieszonkowy i oznajmia:

– Odraczam przesłuchanie do jutra rano. A tymczasem, pułkowniku, z nikim nie wolno wam się kontaktować ani choćby na chwilę oddalać się spod nadzoru oficera przydzielonego wam przez tę komisję.

Wstaję i salutuję.

Na dworze już zmierzcha. W poczekalni Mercier-Milon odsuwa skraj zasłony i spogląda na tłum dziennikarzy kłębiący się na Place Vendôme.

– Powinniśmy spróbować wyjść z innej strony – proponuje.

Schodzimy do piwnicy i przez pustą kuchnię docieramy do tylnych drzwi, prowadzących na podwórze. Zaczęło padać. W mroku sterty śmieci sprawiają wrażenie, jakby się ruszały, szeleszczą jak coś żywego, a lawirując między nimi, widzimy mokre brunatne grzbiety szczurów grasujących wśród gnijącej żywności. Mercier-Milon znajduje furtkę w murze, prowadzącą do

ogrodu na tyłach Ministerstwa Sprawiedliwości. Przecinamy błotnisty trawnik i wychodzimy na rue Cambon. Dwóch dziennikarzy stojących na świecy spostrzega, jak wychodzimy zza muru obok latarni, więc puszczamy się biegiem i dwieście metrów dalej, na rue Saint-Honoré, dopadamy jedynej dorożki na postoju. Ruszamy w chwili, gdy reporterzy prawie nas doganiają.

Konie szarpią tak, że padamy na oparcie siedzenia, przemoczeni i bez tchu. Mercier-Milon wybucha śmiechem.

– Na Boga, Georges, nie jesteśmy już młodzikami! – Wyciąga dużą białą bawełnianą chustkę i szczerząc do mnie zęby, wyciera twarz. Zupełnie jakby na chwilę zapomniał, że jestem jego więźniem. Otwiera okno, krzyczy do woźnicy: – *Hôtel* Terminus! – po czym zatrzaskuje je z powrotem.

Przez większą część krótkiej podróży siedzi ze splecionymi na piersi rękami, wyglądając na ulicę. Dopiero gdy skręcamy w rue Saint-Lazare, nie odwracając się, rzuca znienacka:

– Wiesz, zabawne, że wczoraj generał Pellieux zapytał mnie, dlaczego zeznawałem w obronie Dreyfusa.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Że zeznając, należy się kierować własnym osądem… A moim zdaniem on zawsze był dobrym i lojalnym żołnierzem.

– I co on na to?

– Powiedział, że również starał się patrzeć na sprawę obiektywnie. Ale kiedy w zeszłym tygodniu poproszono go o kierowanie tym dochodzeniem, generał Gonse pokazał mu w ministerstwie niezbite dowody, które ponad wszelką wątpliwość świadczą o tym, że Dreyfus był zdrajcą. I od tej pory nie ma już wątpliwości, że twoje oskarżenia pod adresem Esterházyego są lipne… Z jego punktu widzenia pozostaje już tylko pytanie, czy żydowski syndykat cię wystawił do wiatru, czy opłacił. – W końcu odwraca się i spogląda na mnie. – Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

W tym momencie dorożka się zatrzymuje i zanim otwierają się drzwi, opadają nas reporterzy. Mercier-Milon wysiada i zagłębia się w ciżbę, torując nam drogę łokciami. Idę za nim. Gdy wchodzimy do holu, konsjerż zagradza rękami wejście, nie pozwalając dziennikarzom śledzić nas dalej. Na podłodze z marmuru, pod żyrandolami ze strasu czeka na nas Périer, by szybko zabrać mnie na górę. Odwracam się,

chcąc podziękować Mercierowi-Milonowi za ostrzeżenie, ale on już odszedł.

* * *

Nie pozwalają mi zjeść na dole, w restauracji. Nie protestuję, zresztą i tak nie mam apetytu. Kolację podają nam do pokoju. Przesuwam widelcem po talerzu kawałek cielęciny, aż w końcu, zniesmaczony, rezygnuję. Krótko po dziewiątej boy hotelowy przynosi list, który zostawiono dla mnie w recepcji. Na kopercie rozpoznaję charakter pisma Louisa. Chciałbym przeczytać, co ma mi do powiedzenia. Przypuszczam, że próbuje mnie przed czymś ostrzec, nim wyjdę na jutrzejsze przesłuchanie. Nie chcąc jednak dawać Pellieux pretekstu do zastosowania wobec mnie nowych środków dyscyplinarnych, nie otwierając listu, palę go w kominku, na oczach Périera.

W nocy nie śpię; leżę, słuchając, jak Périer chrapie na drugim łóżku, i próbuję ocenić, na ile słaba jest moja pozycja. Z którejkolwiek strony by na to patrzeć, nie wygląda to dobrze. Cieniutka siatka setek kłamstw i insynuacji, snuta przez ostatni rok, sprawiła, że dostarczono mnie moim wrogom spętanego jak dziczyzna.

Większość ludzi chętnie uwierzy, że pracowałem dla żydowskiego syndykatu. A dopóki wojsko ma prawo samo osądzać swoje występki, nie widzę dla siebie ucieczki. Henry i Gonse mogą w miarę potrzeby wymyślać kolejne „niezbite dowody", a następnie pokazywać je prywatnie ludziom pokroju Pellieux, ze świadomością, że tak lojalni oficerowie sztabowi zawsze zrobią to, czego się od nich oczekuje.

Na dworze, na rue Saint-Lazare, nawet po północy jeździ takie mnóstwo automobilów, o jakim mi się nie śniło. Odgłos opon pneumatycznych toczących się po mokrym asfalcie jest dla mnie całkowitą nowością, podobnie jak nieustanne darcie papieru, i w końcu pomaga mi zasnąć.

Następnego dnia rano przychodzi po mnie Mercier-Milon. Powrócił do poprzedniego opryskliwego milczenia – odzywa się jedynie po to, by kazać mi zabrać walizkę, bo nie wrócę już do hotelu.

Przy Place Vendôme, w pomieszczeniu wydzielonym na przesłuchanie, Pellieux i pozostali siedzą w dokładnie tych samych pozycjach co poprzedniego dnia, kiedy ich zostawiałem, jak gdyby spędzili tu noc przykryci pokrowcami, a generał zaczyna w miejscu,

w którym skończył, jakby nie było żadnej przerwy.

– Opowiedzcie nam jeszcze raz, z łaski swojej, w jakich okolicznościach weszliście w posiadanie *petit bleu*…

Ciągnie się to mniej więcej przez godzinę, po czym, nie zmieniając tonu, Pellieux pyta znienacka:

– A *madame* Monnier… Jakie szczegóły swojej pracy jej zdradziliście?

Natychmiast ściska mnie w gardle.

– *Madame* Monnier?

– Owszem, żonie *monsieur* Philippe'a Monniera z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Coście jej powiedzieli?

– Generale – odzywam się zduszonym głosem. – Proszę… nalegam… Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie wy będziecie o tym decydować. – Odwraca się do sekretarza. – Poproszę papiery pułkownika Picquarta. – I podczas gdy sekretarz otwiera kasetę na dokumenty, Pellieux znów zwraca się do mnie: – Pewnie nie wiecie o tym, pułkowniku, ponieważ przebywaliście wówczas na morzu, że we wtorek dokonano formalnego przeszukania waszego mieszkania w związku

z zarzutem majora Esterházyego, że przechowujecie tam oficjalne dokumenty.

Przez chwilę wytrzeszczam na niego oczy.

– Nie, generale, z całą pewnością o tym nie wiedziałem. Bo gdybym wiedział, stanowczo bym zaprotestował. Kto zatwierdził to bezprawne najście?

– Ja, na prośbę pułkownika Henry'ego. Major Esterházy twierdzi, że uzyskał tę informację od kobiety, której nazwiska nie zna, ale która utrzymuje, że jest waszą znajomą. Według tej kobiety, którą widział jedynie w grubej woalce, w swoim prywatnym mieszkaniu przetrzymywaliście tajne dokumenty związane z tą sprawą.

Pauline razem z Esterházym to pomysł tak absurdalny, że mimowolnie parskam śmiechem. Nagle jednak w kilku plikach listów, które sekretarz kładzie przed Pellieux, rozpoznaję moją prywatną korespondencję: stare listy od matki i zmarłego już brata; korespondencję od rodziny i przyjaciół; listy w interesach i listy miłosne; zaproszenia i telegramy przechowywane z powodów sentymentalnych.

– To oburzające!

– Spokojnie, pułkowniku… Coście tacy wrażliwi? Nie sądzę, żebyśmy podjęli przeciwko

wam jakiekolwiek działania, których nie podjęliście wobec majora Esterházyego. A więc – mówi dalej, biorąc zbiór listów od Pauline, przewiązanych niebieską wstążką – treść korespondencji z *madame* Monnier niezbicie dowodzi, że utrzymywaliście z nią stosunki intymne… Domyślam się, że jej mąż nie ma o nich pojęcia?

Teraz już twarz pali mnie żywym ogniem.

– Kategorycznie odmawiam odpowiedzi na to pytanie.

– Na jakiej podstawie?

– Takiej, że moja znajomość z *madame* Monnier w żaden sposób nie wiąże się z tym dochodzeniem.

– Ależ wiąże się, jeżeli ujawniliście jej tajne informacje albo jeśli to ona jest tak zwaną damą w woalce, która kontaktowała się z majorem Esterházym. I z całą pewnością wiąże się ze sprawą, jeśli na skutek tych stosunków staliście się podatni na szantaż.

– Przecież nic z tego nie odpowiada prawdzie! – Teraz już wiem, przed czym Louis próbował mnie ostrzec w swoim liście z poprzedniego wieczoru. – Proszę mi powiedzieć, generale, czy na jakimś etapie tego przesłuchania będę w ogóle pytany o główne fakty związane z tą sprawą?

– Nie ma powodu do impertynencji, pułkowniku.

– Na przykład o to, że *bordereau* bez cienia wątpliwości napisał sam Esterházy…? Nawet główny ekspert strony rządowej przyznał, że z pewnością jest to jego charakter pisma.

– To wykracza poza zakres niniejszego dochodzenia.

– Albo o skazanie Dreyfusa na podstawie sfałszowanych materiałów z tajnego dossier?

– Sprawa Dreyfusa to już *res judicata*.

– Albo o spisek w łonie sztabu generalnego, mający zatrzymać mnie w północnej Afryce… a nawet wysłać na śmierć… bylebym nie ujawnił tego, co wiem?

– To wykracza poza zakres niniejszego dochodzenia.

– Skoro tak, to wybaczy pan, generale, ale uważam całe to pańskie dochodzenie za jeden wielki cyrk, w którym wnioski zostały napisane, zanim jeszcze zacząłem składać zeznania, w związku z czym odmawiam dalszego udziału w tej farsie.

Co rzekłszy, wstaję, salutuję, odwracam się na pięcie i zamaszystym krokiem wychodzę z pomieszczenia. Spodziewam się usłyszeć ryk Pellieux, nakazujący mi powrót na miejsce. Ale

generał się nie odzywa – albo jest zbyt zaskoczony, by zdobyć się na reakcję, albo uważa, że dopiął swego, i z zadowoleniem ogląda moje plecy. Nie wiem, i w tym momencie mam to gdzieś. Biorę z pustej poczekalni walizkę i schodzę po schodach. Mijam kilku oficerów, a ci zerkają na mnie z ukosa. Nikt nie próbuje mnie zatrzymać. Wychodzę przez godne katedry drzwi na Place Vendôme. Pojawiam się tak niespodziewanie, że większość dziennikarzy nie zauważa, jak przemykam obok nich, i dopiero gdy docieram do rogu ulicy, słyszę zza pleców ich krzyk: „Tam idzie!”, a potem tupot nóg ścigających mnie mężczyzn. Zwieszam głowę i wydłużam krok, nie reagując na ich pytania. Kilku próbuje mnie wyprzedzić i zastawić mi drogę, ale odpycham ich i na rue Rivoli zatrzymuję dorożkę. Dziennikarze rozbiegają się po ulicy w poszukiwaniu innych dorożek, a jeden wysportowany reporter próbuje nawet gonić mnie pieszo. Ale woźnica strzela z bata i kiedy oglądam się za siebie, widzę, że tamten zrezygnował.

* * *

Rue Yvon-Villarceau biegnie z północy na południe pomiędzy rue Copernic a rue Boissière. Dokładnie naprzeciw mojej kamienicy, od północy, wylewają fundamenty pod nowy budynek. Mijając bramę, wypatruję na ulicy reporterów i policjantów, ale widzę jedynie robotników. Każę woźnicy stanąć za rogiem, płacę za przejazd i pieszo wracam pod swój dom.

Dwuskrzydłowe drzwi są oblodzone i zaryglowane. Osłaniając oczy rękami, zaglądam przez zakurzone szyby do pustego holu. Błoto i gruz pod moimi stopami sprawiają, że brukowana ulica zmieniła się w wiejski bity trakt; w zimnym deszczu unosi się zapach świeżo skopanej ziemi. Czuję się jak gość powracający po długiej przerwie na miejsce poprzedniego życia. Otwieram drzwi i jestem już w połowie schodów na górę, gdy naraz słyszę znajomy trzask zamka. O ile jednak wcześniej konsjerżka zawsze wybiegała ze swojego matecznika, by wdać się ze mną w rozmowę, o tyle teraz trzyma się z daleka i tylko obserwuje mnie przez szparę w drzwiach. Udaję, że jej nie dostrzegam, i taszczę walizkę po schodach na czwarte piętro. W drzwiach nie ma ani śladu włamania – widocznie konsjerżka dała im klucz.

Już od progu jestem zaszokowany tym, jak gruntownie przeszukano mieszkanie. Zrolowano dywan. Wszystkie książki zdjęto z półek, wytrząśnięto, a następnie poukładano z powrotem na chybił trafił; na podłodze walają się zakładki. Kufer, w którym trzymam stare listy, opróżniono po wyłamaniu zamka; szuflady w biurku również otwarto na siłę; nawet moje nuty zabrano z fortepianu i przejrzano, szukając tropów; pokrywę fortepianu zdjęto, stoi teraz pod ścianą. Zapalam lampę na biurku, podnoszę z podłogi oprawioną w ramkę fotografię mojej matki – szkło jest popękane. Nagle wyobrażam sobie, że dokładnie w tym samym miejscu stoi Henry – pułkownik Henry, bo muszę się nauczyć, by teraz tak go tytułować – i śliniąc niezdarne paluchy rzeźnika, przewraca kartki moich listów, czytając na głos intymne wyznania ku uciesze gawiedzi z Sûreté.

Ten obraz jest nie do wytrzymania.

Z sąsiedniego pokoju dobiega lekki dźwięk – skrzypnięcie, oddech, jęk. Powoli wyjmuję rewolwer. Przechodzę kilka kroków po gołych deskach i ostrożnie pcham drzwi. Na łóżku, patrząc na mnie podbitymi, zapuchniętymi od płaczu oczami, siedzi skulona Pauline; wciąż jest w płaszczu, a potargane włosy i biała jak ściana

twarz sprawiają wrażenie, jakby zemdlała albo miała wypadek.

– Powiedzieli Philippe'owi – mówi.

* * *

Przesiedziała u mnie całą noc. Przeczytała w prasie, że sprowadzono mnie do Paryża, więc przyszła około północy, zakładając, że mnie zastanie. Weszła i czekała. Nie miała się gdzie podziać.

Klękam obok łóżka i ujmuję jej dłoń.

– Co dokładnie się stało?

– Philippe wyrzucił mnie z domu. Nie pozwoli mi widywać dziewczynek.

Ściskam jej palce, przez chwilę brak mi słów.

– Spałaś choć trochę?

– Nie.

– Przynajmniej zdejmij płaszcz, kochanie.

Wstaję, brnę przez pobojowisko w salonie. W kuchni podgrzewam na palniku gazowym rondel i przygotowuję jej napój z koniaku, gorącej wody i miodu, przez cały czas usiłując ogarnąć rozumem, co tu się dzieje. Ich metody wprawiają mnie w osłupienie – ta bezwzględność, ta szybkość. Gdy zanoszę jej szklankę, jest już rozebrana do sukienki

i wsparta na poduszkach, leży w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod samą szyję. Spogląda na mnie nieufnie.

– Proszę. Wypij.

– Boże, jakież to obrzydliwe. Co to jest?

– Koniak. Wojskowe lekarstwo na wszystko. Pij do dna.

Siadam u stóp łóżka i paląc papierosa, czekam, aż Pauline dojdzie do siebie na tyle, by opowiedzieć mi, co się wydarzyło. Gdy w piątek po południu wychodziła na herbatę z przyjaciółką, wszystko było normalnie. Kiedy wróciła, okazało się, że Philippe przyszedł z pracy wcześniej niż zwykle. Dziewczynek nigdzie nie było.

– Wyglądał dziwnie, był wściekły… I wtedy domyśliłam się, co się stało. Ze zmartwienia odchodziłam od zmysłów. – Spokojnie zapytała go, gdzie są córki. Powiedział, że je odesłał. – Oświadczył, że nie mam kwalifikacji moralnych, by być matką jego dzieci… I że nie powie mi, gdzie są, dopóki nie wyznam mu prawdy o romansie z tobą. Nie miałam wyboru. Przepraszam.

– Czy są bezpieczne?

Kiwa głową, obejmując rękami szklankę, żeby się rozgrzać.

– Są u jego siostry. Ale nie pozwoli mi się z nimi zobaczyć. – Zanosi się płaczem. – Twierdzi, że po rozwodzie pozbawi mnie praw rodzicielskich.

– Bzdura. Nic się nie martw, nie może tego zrobić. Przejdzie mu. Teraz jest w szoku i wściekły, skoro dowiedział się, że miałaś romans.

– Nie, on o tym wiedział od dawna – odpowiada Pauline z goryczą. – Zawsze nas podejrzewał. Wyjaśnił, że tolerował to, dopóki inni o tym nie wiedzieli. Nie może znieść tego, że to przełożeni wezwali go, żeby mu o tym powiedzieć.

– A nie mówił, kto o tym doniósł Ministerstwu Spraw Zagranicznych?

– Wojsko.

– Nie do wiary!

– Powiedział, że wojskowi są przekonani, że to ja jestem tą „damą w woalce", o której się rozpisują gazety. Według niego małżeństwo z kobietą zamieszaną w tę aferę zrujnuje mu karierę. Mówi, że dziewczęta… – Znowu wybucha płaczem.

– Boże jedyny, ale bajzel! – Chowam twarz w rękach. – Tak strasznie mi przykro, że cię w to wciągnąłem.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa, a potem, jak zawsze gdy mam emocjonalny mętlik, uciekam się do spraw praktycznych.

– Przede wszystkim musimy ci znaleźć przyzwoitego adwokata. Jestem pewny, że Louis się tego podejmie, ewentualnie poleci kogoś dobrego. Prawnik będzie ci potrzebny, żeby rozmawiać w twoim imieniu z wojskiem, a także żeby trzymać pismaków z dala od ciebie. No i żeby przeprowadzić rozwód… Jesteś pewna, że Philippe będzie chciał się rozwieść?

– O, tak… Nie mam najmniejszych wątpliwości, skoro od tego zależy jego kariera.

Nawet ten aspekt staram się przedstawić z dobrej strony.

– Wobec tego w jego interesie będzie leżało nienagłaśnianie tej sprawy. Może uda ci się to wykorzystać jako argument w negocjacjach o opiekę nad dziećmi… – Urywam, nie bardzo wiem, co by tu jeszcze powiedzieć, więc tylko powtarzam: – Tak strasznie mi przykro…

Wyciąga do mnie ręce. Tulimy się do siebie na moim wąskim łóżku jak rozbitkowie ze statku, a ja właśnie wtedy poprzysięgam sobie, że się zemszczę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kilka dni później, tuż przed północą, ktoś wsuwa pod moimi drzwiami liścik. Wychodzę i sprawdzam klatkę schodową, ale ktokolwiek przyniósł mi tę wiadomość, już odszedł. Tekst brzmi: *Rue de Grenelle 11… Jeśli jesteś pewny*.

Trzymając kartkę nad kominkiem, patrzę, jak zajmuje się ogniem, i rzucam ją na palenisko. Następnie biorę pogrzebacz i rozgniatam spopielały papier na proch. Jeśli – jak podejrzewam – moja pokojówka jest donosicielką, byłoby szczytem ironii, gdyby wynosiła podarte śmieci do sekcji statystycznej, żeby je mogli poskładać. Próbowałem przekonywać Louisa, że należy stosować takie środki ostrożności.

– Kiedy tylko możesz, korzystaj z pośredników – powtarzam mu. – Płać nieznajomym, żeby dostarczali wiadomości za ciebie. Niczego nie powierzaj poczcie. Unikaj wszelkiej regularności w zachowaniu. Jeśli możesz, podrzucaj fałszywe tropy… Spotykaj się z ludźmi o podejrzanych

poglądach jedynie po to, by zbić z tropu tych, którzy cię śledzą. Nie wybieraj najkrótszych tras. Zmieniaj dorożki. Pamiętaj, że choć dysponują wieloma ludźmi, ich zasoby bynajmniej nie są niewyczerpane: jeśli się postaramy, możemy ich zagonić na śmierć…

Przed pójściem do łóżka upewniam się, że mam rewolwer pod ręką.

Konsjerżka przynosi mi poranne gazety, ale zostawia je przed drzwiami. Czekam, aż sobie pójdzie, i dopiero wtedy po nie idę; czytam je, leżąc na łóżku w szlafroku. Nie mam nic lepszego do roboty. Jak zwykle głównym tematem jest sprawa Dreyfusa. Rozwija się z dnia na dzień niczym powieść w odcinkach z egzotycznymi postaciami, których nie rozpoznaję, włącznie ze mną (*czterdziestotrzyletni ambitny kawaler, szef siatki szpiegowskiej, który zdradził poprzednich szefów*). Wśród najnowszych zwrotów akcji są listy, które Esterházy wysyłał swojej ówczesnej kochance, *madame* de Boulancy, przed trzynastu laty, teraz zaś znalazły się na łamach „Le Figaro” (*Gdyby dzisiaj wieczorem powiedziano mi, że jutro zginę jako kapitan ułanów, przebijając mieczem Francuza, tylko bym się ucieszył. Nie potrafiłbym skrzywdzić szczeniaka, ale z przyjemnością zabiłbym sto tysięcy Francuzów*). Esterházy

stwierdził, że to fałszywki, o które oskarżył Żydów, i za pośrednictwem swojego adwokata zażądał procesu przed sądem wojskowym, by oczyścić swe imię – a wojsko przystało na jego prośbę. Emil Zola napisał kolejny płomienny tekst, w którym odmalowywał wizję niedoli Dreyfusa: *istota odcięta od wszystkich innych, odizolowana nie tylko przez ocean, lecz także przez jedenastu strażników otaczających go w dzień i w noc niczym ludzki mur…* Tymczasem w Izbie Deputowanych odbyła się szeroka debata poświęcona tej sprawie. Otwierający ją premier schował się w szańcach *res judicata: Pozwólcie, że na wstępie jasno przedstawię swoje stanowisko. Nie ma żadnej sprawy Dreyfusa!* [Brawa]. *Nie ma sprawy Dreyfusa i nie może być!* [Długotrwałe owacje]. A żeby rozwiać wszelkie ewentualne wątpliwości na ten temat, generał Billot, wezwany na mównicę przez ministra wojny, jeszcze mocniej przedstawił stanowisko rządu: *Dreyfus został sprawiedliwie osądzony i skazany jednomyślnie. Jako żołnierz i głównodowodzący wojska z czystą duszą i sumieniem stwierdzam, że wyrok wydano prawidłowo i Dreyfus jest winny.*

Odkładam gazety na bok. Naprawdę, to już wykracza poza hipokryzję; to nawet nie jest kłamstwo, tylko jakaś psychoza.

W szafie wisi mój mundur niczym skóra zrzucona w poprzednim życiu. Oficjalnie nie zostałem wydalony z wojska. Formalnie jestem bezterminowo na urlopie, do czasu wydania wyroku w dochodzeniu Pellieux i reakcji ministra. A jednak wolę nosić cywilne ubrania, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Krótko przed południem wkładam porządny gruby płaszcz i melonik, biorę parasol ze stojaka i wychodzę na dwór.

Mam nadzieję, że na zewnątrz noszę swoją zwykłą maskę obojętności, a nawet ironii, ponieważ znajdując się w tragicznej sytuacji, nawet takiej jak ta, zawsze dostrzegam w niej jakiś element ludzkiej komedii. Nagle jednak myślę o Pauline, o tym, że kiedy ją zastałem na swoim łóżku, potrafiła powtarzać na okrągło tylko jedno zdanie: „Nie pozwoli mi widywać dziewczynek…”. Złożyła Pellieux zeznanie pod przysięgą, uciekła dziennikarzom i wyjechała do swojego brata, oficera marynarki wojennej, oraz szwagierki, mieszkających niedaleko Tulonu. Louis zgodził się reprezentować ją w kwestiach prawnych. Poradził nam, żebyśmy nie kontaktowali się ze sobą do czasu sfinalizowania rozwodu. Pożegnaliśmy się w strugach ulewnego deszczu w Lasku Bulońskim, śledzeni przez

agenta Sûreté. Nigdy nie wybaczę sztabowi generalnemu nawet nie tyle tego, co zrobili Dreyfusowi, ile tego, co zrobili jej. Po raz pierwszy w życiu noszę w sobie nienawiść. Jest niemal fizyczna, jak ukryty sztylet. Czasami, kiedy jestem sam, wyciągam ją i przesuwam kciukiem po jej zimnej ostrej klindze.

Obserwator czeka na mnie, jak zwykle, po drugiej stronie ulicy. Oparty o drewniany parkan otaczający plac budowy, pali papierosa; bez dwóch zdań ma gdzieś wspólnika. Tego akurat widywałem już wcześniej – chudego rudzielca z brodą, w grubej brązowej kurtce i czapce z daszkiem. Zrezygnował już nawet z udawania, że jest normalnym człowiekiem, a nie tajniakiem. Pstryknięciem odrzuca papierosa i snuje się jakieś dwadzieścia kroków za mną, z rękami w kieszeniach. Niczym dowódca kompanii w kiepskim humorze dochodzę do wniosku, że temu obibokowi przyda się solidny trening, więc przyśpieszam i niemal biegiem przemierzam avenue Montaigne, dochodzę do Place de la Concorde, po czym skręcam i przechodzę na drugą stronę rzeki, na boulevard Saint-Germain. Oglądam się przez ramię. Panuje grudniowy ziąb, lecz spływam potem, ale sądząc z wyglądu, nie jestem nawet w połowie tak zmachany jak mój

„ogon”, który ma twarz równie czerwoną jak włosy.

Potrzebuję teraz stróża porządku publicznego i doskonale wiem, gdzie go znaleźć – w pobliżu komisariatu policji Świętego Tomasza z Akwinu; to tam, na rogu boulevard Raspail, stoi posterunkowy z patrolu.

– *Monsieur!* – wołam, zbliżając się do niego. – Jestem pułkownikiem francuskiego wojska, a ten człowiek mnie śledzi. Proszę go aresztować i zabrać nas obu do swojego dowódcy, żebym mógł złożyć formalną skargę.

Policjant nader skwapliwie reaguje na moją prośbę.

– Chodzi panu o tego mężczyznę, pułkowniku? – upewnia się, łapiąc zdyszanego agenta pod łokieć.

– Puszczaj… mnie… ty skończony… idioto! – Brodaty rudzielec dyszy z wysiłku.

Widząc, co się dzieje, drugi agent Sûreté – przebrany za komiwojażera tajniak z tekturową teczką w ręku – postanawia się zdemaskować, przechodzi przez jezdnię i wykłóca się o swojego partnera. On również jest zlany potem, też jest zirytowany i też pozwala sobie na obraźliwą uwagę skierowaną ogólnie pod adresem mundurowych, na co stróż porządku traci

cierpliwość i po kilku minutach obaj są już w areszcie.

Dziesięć minut później, zostawiwszy swoje nazwisko i adres sierżantowi dyżurnemu, wymykam się, już bez obstawy, z komisariatu.

Na rue de Grenelle muszę tylko skręcić za róg. Pod numerem 11 mieści się imponująca wiekowa posiadłość. Rozglądam się po ulicy, sprawdzając, czy nikt mnie nie śledzi, po czym naciskam dzwonek. Drzwi frontowe otwierają się niemal natychmiast i pokojówka wpuszcza mnie do środka. W korytarzu za jej plecami niecierpliwie czeka na mnie Louis. Spogląda nad moim ramieniem.

– Nikt cię nie śledził?

– Już nie. – Daję pokojówce parasol i kapelusz. Zza zamkniętych drzwi dobiega szmer męskich głosów.

Louis pomaga mi zdjąć płaszcz.

– Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? – pyta.

– Gdzie oni są? Tędy?

Sam otwieram sobie drzwi. Przy trzaskającym na kominku ogniu stoi sześciu mężczyzn w średnim wieku; wszyscy mają na sobie surduty. Przerywają rozmowę i odwracają się, a mnie przychodzi na myśl portret zbiorowy Fantina-Latoura, bodajże *W hołdzie Delacroix*.

– Panowie, oto pułkownik Picquart – przedstawia mnie Louis.

Przez chwilę panuje cisza, po czym jeden z obecnych – łysy mężczyzna z sumiastym obwisłym wąsem, w którym rozpoznaję Georges'a Clemenceau, lewicowego polityka i wydawcę radykalnej gazety „L'Aurore" – zaczyna bić brawo, a pozostali przyłączają się do niego. Gdy Louis wprowadza mnie w głąb pokoju, ktoś inny – elegancki i przystojny mężczyzna – woła gromko: „Brawo, Picquart! *Vive Picquart!*". Jego również poznaję, pamiętam go ze zdjęć z inwigilacji, które przewijały się przez moje biurko: to Mathieu Dreyfus. Kiedy przechodzę od jednego do drugiego, ściskając im ręce, okazuje się, że ich także znam z widzenia albo ze słyszenia. Są tam: wydawca Georges Charpentier, do którego należy ten dom; najstarszy z obecnych, wyróżniający się krzaczastą brodą senator z Departamentu Sekwany, Arthur Ranc; lewicowy członek Izby Deputowanych, Żyd Joseph Reinach; a pękaty człowiek z pince-nez na nosie, którego przedstawiają mi na samym końcu, to nikt inny, tylko Emil Zola.

* * *

W jadalni podano przepyszny obiad, lecz zajęty opowiadaniem, nie bardzo mam czas na jedzenie. Tłumaczę moim współbiesiadnikom, że muszę powiedzieć, co mam do powiedzenia, i znikać; że z każdą chwilą przebywania razem wzrasta ryzyko, że odkryją nasze spotkanie.

– *Monsieur* Charpentier może i wierzy, że jego służący nie zniżyliby się do roli donosicieli Sûreté, niestety jednak doświadczenie nauczyło mnie, że jest inaczej – wyjaśniam.

– Mnie również nauczyło, jeszcze jak – przychodzi mi w sukurs Mathieu Dreyfus.

– Najmocniej przepraszam – mówię, kłaniając mu się.

Naprzeciwko mojego miejsca przy stole wisi wielki portret żony i dzieci Charpentiera pędzla Renoira; w miarę opowiadania mojej historii co pewien czas rzucam na niego okiem, a wtedy ogarnia mnie to dziwne uczucie, jakbym się wyłączył, które dopada mnie czasem, kiedy przemawiam do grupy ludzi. Tłumaczę im, że powinni zwrócić baczną uwagę na niejakiego pułkownika Armanda du Paty'ego de Clam – pierwszego oficera, który przesłuchiwał Dreyfusa i którego chora wyobraźnia stworzyła większość tej afery. Opisuję stosowane przez niego metody przesłuchania, w gruncie rzeczy pokrewne

z torturami. Poza tym był mój poprzednik, pułkownik Sandherr – schorowany człowiek, który dał się wprowadzić w błąd i przekonać, że szpieg musi służyć w sztabie generalnym. Mówię, że najbardziej mylne przekonanie rozpowszechnione w społeczeństwie polega na tym, że to, co przekazano Niemcom, miało dla wojska ogromne znaczenie, a tymczasem tak naprawdę chodziło o zupełne błahostki. Jednakże sposób potraktowania Dreyfusa – potajemny proces, degradacja, uwięzienie na Diabelskiej Wyspie – był tak niesłychany, że cały świat dał się przekonać, że gra szła o być albo nie być Francji.

– Ludzie przekonują się nawzajem, że „w tym musi chodzić o coś więcej, niż się na pozór wydaje", podczas gdy tak naprawdę chodzi o mniej. Jednak im dłużej trwa ten skandal, tym większy i bardziej absurdalny jest rozdźwięk między pierwotną zbrodnią a kolosalnymi wysiłkami zmierzającymi do ukrycia pomyłki sądowej.

Widzę, że po drugiej stronie stołu Zola robi notatki. Przerywam, by upić łyk wina. Jedno z dzieci na płótnie Renoira siedzi na wielkim psisku. Wzór na psiej sierści jest odbiciem wzoru na sukni *madame* Charpentier, dzięki czemu to,

co wygląda na naturalną pozę, jest naciągane, tyle że artystycznie.

Mówię dalej. Nie zdradzając tajnych informacji, opowiadam, jak ponad dwadzieścia miesięcy temu odkryłem, że prawdziwym zdrajcą jest Esterházy, i jak Boisdeffre, a zwłaszcza Billot początkowo wspierali moje śledztwo, nagle jednak całkiem zmienili poglądy, kiedy się zorientowali, że to by oznaczało rewizję procesu Dreyfusa. Wspominam o wygnaniu mnie do Tunezji, o próbie wysłania mnie przez sztab generalny z samobójczą misją, a także o tym, jak za pomocą fałszywek i nieprawdziwych zeznań złożonych generałowi Pellieux próbują mnie wrobić tak samo, jak wrobili Dreyfusa.

– Znaleźliśmy się w absurdalnej sytuacji, panowie, w której wojsko tak się zawzięło, by nie wypuścić z więzienia niewinnego człowieka, że w rezultacie robią wszystko, by prawdziwy winowajca uniknął kary, i są w tym celu gotowi usunąć mnie z drogi… w razie konieczności raz na zawsze.

– Fantastyczne! – emocjonuje się Zola. – To najbardziej zdumiewająca historia, o jakiej słyszałem.

– W rezultacie wstydzę się, że jestem Francuzem – dodaje Ranc.

Clemenceau, który również robi notatki, nie podnosząc wzroku, pyta mnie:

– A zatem, pułkowniku, którzy wysocy członkowie wojskowej hierarchii są najbardziej winni, pańskim zdaniem?

– Z najwyższych stopniem wybrałbym pięciu generałów. Są to: Mercier, Boisdeffre, Gonse, Billot i teraz jeszcze Pellieux, który pod pretekstem swojego śledztwa ma zatuszować całą tę historię.

– A jak pan sądzi, co teraz będzie z panem, pułkowniku? – wtrąca się Mathieu Dreyfus.

Zapalam papierosa.

– Wyobrażam sobie – odpowiadam, obracając zapałkę i gasząc ją z maksymalną nonszalancją, na jaką potrafię się zdobyć – że kiedy Esterházy zostanie oficjalnie uwolniony od wszelkich zarzutów, wydalą mnie z wojska i wtrącą do więzienia.

Wokół stołu przebiega szmer niedowierzania.

– Przecież chyba nawet sztab generalny nie jest aż tak głupi? – mówi Clemenceau.

– Obawiam się, że sami wpakowali się w pułapkę, w której ich logika nie zostawia im specjalnego wyboru. Skoro Esterházy jest niewinny… co usiłują za wszelką cenę udowodnić, byleby uniknąć rewizji procesu

Dreyfusa… to znaczy, że kampania przeciwko niemu jest niczym innym jak nikczemnym spiskiem, a ostatecznie to ja za nią stoję. Muszę więc ponieść karę.

– A czego oczekuje pan od nas, pułkowniku? – pyta Reinach.

– Nie mnie o tym decydować. Powiedziałem wam tyle, ile mogłem bez ujawniania tajemnic państwowych. Ja nie mogę napisać artykułu ani wydać książki… wciąż obowiązuje mnie dyscyplina wojskowa. Uważam jednak, że w ten czy inny sposób należy koniecznie wyjąć tę sprawę spod jurysdykcji wojska i przenieść na wyższy szczebel… Szczegóły należy zebrać w spójną narrację, by po raz pierwszy można było zobaczyć całość we właściwych proporcjach. – Ruchem głowy wskazuję Renoira, po czym zerkam na Zolę. – Innymi słowy, rzeczywistość należy przetworzyć w dzieło sztuki.

– To już jest dzieło sztuki, pułkowniku – odpowiada mi pisarz. – Trzeba jedynie znaleźć kąt natarcia.

* * *

Nie mija nawet godzina, a gaszę papierosa i wstaję.

– Przepraszam, panowie, ale powinienem wyjść stąd pierwszy – mówię. – Najlepiej, gdyby wszyscy wychodzili osobno, powiedzmy w odstępach co dziesięć minut. Proszę nie wstawać. – I zwracam się do Charpentiera: – Czy z domu jest jakieś tylne wyjście?

– Tak, przez furtkę od ogrodu – odpowiada. – Można się do niej dostać przez kuchnię. Zaprowadzę pana.

– Pójdę po twoje rzeczy – mówi Louis.

Obchodzę jadalnię, ściskając kolejno ręce wszystkim obecnym. Mathieu chwyta moją dłoń oburącz.

– Moja rodzina i ja nigdy nie będziemy w stanie odwdzięczyć się panu jak należy, pułkowniku.

Z jego serdeczności przebija jakaś taka nuta posiadacza, powodująca, że jest mi niezręcznie, czuję lodowaty chłód.

– Nie ma pan za co mi dziękować – odpowiadam. – Postępowałem tylko zgodnie z własnym sumieniem.

Ulica za ogrodem jest pusta, więc korzystając z tego, że chwilowo pozbyłem się policyjnego ogona, idę szybko boulevard Saint-Germain do domu de Comminges'ów. Daję lokajowi wizytówkę, a ten prowadzi mnie do biblioteki

i każe zaczekać, po czym idzie na górę mnie zapowiedzieć. Po chwili otwierają się drzwi, do biblioteki wpada Blanche i zarzuca mi ręce na szyję.

– Georges, kochany! – woła. – Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś teraz najsłynniejszym z moich znajomych? Siedzimy akurat w salonie przy herbacie. Chodź szybko… chcę się tobą pochwalić!

Próbuje mnie ciągnąć za sobą, lecz się opieram.

– Czy jest Aimery? – pytam.

– Tak, będzie zachwycony, kiedy cię zobaczy. Chodź na górę, nalegam. – Znowu szarpie mnie za rękę. – Musisz nam wszystko opowiedzieć!

– Blanche, musimy porozmawiać na osobności i dobrze by było, żeby Aimery przy tym był – mówię, delikatnie uwalniając rękę. – Czy mogłabyś go tu ściągnąć?

Po raz pierwszy orientuje się, że mówię poważnie. Zanosi się nerwowym śmiechem.

– Och, Georges, to nie wróży nic dobrego! – Ale idzie po brata.

Wchodzi Aimery, w świetnie skrojonym szarym garniturze i z dwiema filiżankami herbaty; wygląda młodo jak zwykle.

– Witaj, Georges. Skoro nie chcesz przyjść do samowara, herbata musi przyjść do ciebie.

Siadamy we trójkę przy kominku. Aimery popija herbatę, Blanche pali jednego z tych swoich wściekle kolorowych tureckich papierosów, a ja mówię im, w jaki sposób użyto jej imienia na wysłanym mi do Tunezji sfałszowanym telegramie, niemal na pewno wymyślonym przez du Paty'ego. Oczy Blanche błyszczą. Najwyraźniej uważa to za wspaniałą przygodę. Za to Aimery od razu wietrzy niebezpieczeństwo.

– Po co du Paty miałby posłużyć się imieniem Blanche?

– Bo wie, że ona zna Germaina Ducasse'a, a Ducasse pracował dla mnie przy operacji wywiadowczej przeciwko Esterházyemu. Dzięki temu wychodzi na to, że razem jesteśmy członkami tego urojonego „żydowskiego syndykatu", który działa na rzecz uwolnienia Dreyfusa.

– To kompletna bzdura – mówi Blanche poprzez kłęby dymu. – Nikt w to nie uwierzy ani przez chwilę.

– Ale dlaczego użyli imienia Blanche? – drąży Aimery. – Ja też znam Ducasse'a. Dlaczego nie posłużyli się mną? – Wydaje się autentycznie

zdziwiony. Zerka na mnie, a potem na siostrę. Oboje unikamy jego wzroku. Mija kilka niezręcznych sekund. Aimery nie jest głupi. – Aha – mówi cicho, powoli kiwając głową. – Rozumiem.

– Na litość boską! – krzyczy zirytowana Blanche. – Jesteś gorszy od ojca! Czy to ważne?

Aimery, nagle bardzo spięty i milczący, splata ręce na piersi i gapi się na dywan, pozostawiając odpowiedź mnie.

– Obawiam się, Blanche, że to bardzo ważne, ponieważ na pewno cię przesłuchają w sprawie telegramu, a kiedy to trafi do gazet, wybuchnie skandal.

– A niech sobie…

– Chociaż raz, Blanche, bądźże cicho! – przerywa jej wściekły Aimery. – To nie dotyczy wyłącznie ciebie. Cała rodzina będzie wplątana w tę aferę! Pomyśl o matce. I nie zapominaj, że jestem oficerem w czynnej służbie! – Odwraca się do mnie. – Musimy porozmawiać z prawnikami.

– Oczywiście.

– A tymczasem uważam, że nie powinieneś przychodzić do tego domu ani kontaktować się z moją siostrą.

– Aimery… – próbuje go ubłagać Blanche.

Wstaję i zbieram się do wyjścia.

– Rozumiem.

– Przykro mi, Georges – mówi Aimery. – Po prostu musi tak być.

* * *

Mijają Boże Narodzenie i Nowy Rok. Święta spędzam z Gastami w Ville-d'Avray, nowy rok witam z Anną i Jules'em przy rue Cassette. Pauline została na południu. Za pięć tysięcy franków sprzedaję handlarzowi fortepian Erarda i wysyłam jej pieniądze.

Rozprawę Esterházyego przed sądem wojskowym wyznaczono na dziesiątego stycznia 1898 roku. Dostaję wezwanie w charakterze świadka, tak samo jak Louis. Jednak w piątek poprzedzający rozprawę jego ojciec poddaje się w końcu długiej chorobie i umiera w Strasburgu, a Louis dostaje zgodę na wyjazd.

– Sam nie wiem, co powinienem zrobić – mówi.

– Kochany przyjacielu, przecież to oczywiste – odpowiadam. – Jedź do rodziny, musisz być teraz z nimi.

– Ale proces… Zostaniesz sam…

– Szczerze mówiąc, twoja obecność i tak w niczym nie zmieni rezultatu. Jedź.

W poniedziałek wstaję wcześnie, w ciemności przed świtem. Wkładam jasnoniebieską kurtkę munduru Czwartego Pułku Strzelców Tunezyjskich, przypinam wstęgę Legii Honorowej i śledzony przez ubranych po cywilnemu dwóch agentów policji, wyruszam w wędrówkę po Paryżu, znajomą trasą do gmachu sądu wojskowego przy rue Cherche-Midi.

Dzień jest wrogi już od samego początku: zimny, szary, deszczowy. Na ulicy między więzieniem a budynkiem sądu stoi kilkunastu żandarmów, w ociekających wodą czapkach i pelerynach, ale nie ma tłumów, które musieliby powstrzymywać. Śliskim brukowanym dziedzińcem przechodzę do tego samego ponurego klasztoru żeńskiego, w którym ponad trzy lata temu sądzono Dreyfusa. Kapitan Gwardii Republikańskiej wprowadza mnie do poczekalni dla świadków. Zjawiłem się jako pierwszy. Pomieszczenie jest małe, bielone wapnem, z jedynym okratowanym oknem powyżej poziomu głowy, posadzką z kamiennych płyt i twardymi drewnianymi krzesłami po bokach. Koksownik w kącie z trudem łagodzi ziąb. Nad nim wisi obraz Chrystusa z uniesionym w geście błogosławieństwa jarzącym się palcem.

Kilka minut później otwierają się drzwi i do środka zagląda jasnowłosy Lauth. Po jego mundurze widzę, że awansował na majora. Rzuca na mnie okiem i czym prędzej się wycofuje. Pięć minut później wraca w towarzystwie Gribelina; siadają w kącie, jak najdalej ode mnie. Ani razu nie spoglądają w moją stronę. Co oni tu robią? – zastanawiam się. Potem przychodzi jeszcze dwóch moich byłych oficerów. Ta sama procedura – mijają mnie i kulą się w kącie. Du Paty wkracza tak, jakby spodziewał się, że orkiestra zagra fanfary na jego cześć, a Gonse przemyka chyłkiem, paląc nieodłącznego papierosa. Każdy z nich przechodzi zwrócony do mnie plecami, z wyjątkiem Henry'ego, który wchodzi głośno, trzaska drzwiami i pozdrawia mnie po drodze skinieniem głowy.

– Nabrał pan zdrowego koloru, pułkowniku – komentuje wesoło. – To pewnie od tego afrykańskiego słońca!

– A pan pewnie od koniaku.

Wybucha gromkim śmiechem i przysiada się do pozostałych.

Pomieszczenie stopniowo zapełnia się świadkami. Dawny przyjaciel, major Curé z Siedemdziesiątego Czwartego Pułku Piechoty,

konsekwentnie mnie ignoruje. Wiceprzewodniczący Senatu, Auguste Scheurer-Kestner, podaje mi rękę i mówi cicho: „Dobra robota”. Mathieu Dreyfus wchodzi, trzymając pod rękę szczupłą, milczącą ciemnowłosą kobietę, od stóp do głów ubraną we wdowią czerń. Wygląda tak młodo, że biorę ją za jego córkę, lecz wtedy on dokonuje prezentacji: „To *madame* Lucie Dreyfus, żona Alfreda. Lucie, to jest pułkownik Picquart”. Kobieta uśmiecha się do mnie lekko na znak, że mnie poznała, ale się nie odzywa. Ja zresztą też nie. Czuję się niezręcznie, pamiętam te jej intymne, namiętne listy: *Błagam Cię, najdroższy przyjacielu, żyj dla mnie*. Z drugiej strony pokoju du Paty łypie na nią pożądliwie przez monokl i szepcze coś do Lautha; plotkowano, że kiedy po aresztowaniu Dreyfusa udał się na przeszukanie jej mieszkania, próbował się do niej zalecać – w to akurat jestem skłonny uwierzyć.

Siedzimy więc sobie – wojskowi z jednej strony pokoju, a ja z cywilami z drugiej – słuchając tego, co dzieje się nad naszymi głowami: tupotu stóp ludzi wchodzących po schodach, okrzyków „Prezentuj broń!”, gdy przybywają kolejni sędziowie. Potem zapada długa cisza, w trakcie której czekamy na wieści.

W końcu pojawia się woźny sądowy i oznajmia, że pozwy cywilne wniesione przez rodzinę Dreyfusa zostały odrzucone, w związku z czym nie dojdzie do ponownego rozpatrzenia pierwotnego wyroku sądu wojskowego, który pozostaje w mocy. Poza tym sędziowie większością głosów postanowili, że pracownicy wojska będą zeznawać za zamkniętymi drzwiami. W ten sposób przegraliśmy bitwę, zanim jeszcze się zaczęła. Z wystudiowanym stoicyzmem i kamienną miną Lucie wstaje, ściska Mathieu, po czym wychodzi.

Mija kolejna godzina, w trakcie której zeznania prawdopodobnie składa Esterházy, po czym woźny wraca i woła: „*Monsieur* Mathieu Dreyfus!”. Jako autor skargi wniesionej do ministra wojny przeciwko Esterházyemu ma przywilej zeznawania w pierwszej kolejności. Już nie wraca. Czterdzieści pięć minut później wzywają Scheurera-Kestnera. On również nie wraca. W ten sposób poczekalnia stopniowo się wyludnia – najpierw znikają rozmaici biegli grafolodzy, następnie kadra oficerska, aż w końcu, późnym popołudniem, wzywają *en bloc* Gonse’a oraz pracowników sekcji statystycznej. Wychodząc gęsiego, unikają mojego wzroku, z wyjątkiem Gonse’a, który w ostatniej chwili

zatrzymuje się w progu i spogląda na mnie. Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy. Czy wyraża nienawiść, litość, zdziwienie, żal, czy może wszystko naraz? A może po prostu po raz ostatni chce zachować w pamięci mój obraz, zanim zniknę na zawsze? Gapi się na mnie przez kilka sekund, po czym zawraca na pięcie, drzwi się zamykają i zostaję sam.

* * *

Czekam przez kilka godzin, od czasu do czasu wstając i dla rozgrzewki krążąc po pomieszczeniu. Bardziej niż kiedykolwiek pragnę, żeby był ze mną Louis. Jeśli wcześniej miałem co do tego jakieś wątpliwości, to teraz już ich się pozbyłem – ta rozprawa przed sądem wojskowym to nie proces Esterházyego, tylko mój.

Gdy w końcu przychodzi po mnie woźny sądowy, jest już ciemno. Na górze salę sądu opróżniono z wszelkich cywilów, poza kilkoma prawnikami. Osób postronnych nie ma. W przeciwieństwie do lodowatej poczekalni, tutaj od ścisku męskich ciał panuje ciepła, nieomal klubowa atmosfera; nad głową unosi się dym z papierosów. Gonse, Henry, Lauth

i pozostali oficerowie sekcji statystycznej obserwują mnie, kiedy podchodzę do miejsca dla świadków. Za plecami przewodniczącego składu sędziowskiego, generała Luxera, siedzi – nie do wiary! – Pellieux. Po mojej prawicy Esterházy wygląda mniej więcej tak, jak go zapamiętałem z jedynej okazji, kiedy go widziałem – rozwalony na krześle, z wyciągniętymi przed siebie nogami i rękami zwieszonymi po bokach, jest tak odprężony, jakby wciąż siedział w klubie nocnym w Rouen. Mam czas tylko zerknąć z ukosa, lecz znów jestem pod wrażeniem niezwykłości jego wyglądu. Zadziera łysą, przedziwnie delikatną okrągłą głowę, by móc na mnie spojrzeć; błyszczące sokole oczy spoczywają na mnie przez chwilę, lecz zaraz ucieka wzrokiem. Sprawia wrażenie znudzonego.

– Podajcie swoje nazwisko – odzywa się Luxer.

– Marie-Georges Picquart.

– Miejsce urodzenia?

– Strasburg.

– Wiek?

– Czterdzieści trzy lata.

– Kiedy się dowiedzieliście o oskarżonym?

– Mniej więcej dziewięć miesięcy po tym, jak zostałem mianowany szefem tajnej sekcji

wywiadowczej przy sztabie generalnym…

W sumie zeznaję około czterech godzin – mniej więcej godzinę w ciemności późnego popołudnia w środku stycznia oraz trzy godziny rano następnego dnia. Nie ma sensu opisywać wszystkiego, to powtórka ze śledztwa Pellieux. Nawiasem mówiąc, to Pellieux, z pogwałceniem wszelkich procedur, najwyraźniej kontroluje sąd wojskowy. Nachyla się i szeptem przekazuje rady przewodniczącemu składu sędziowskiego. Zadaje mi napastliwe pytania. A gdy próbuję przywołać takie nazwiska, jak Mercier, Boisdeffre czy Billot, przerywa mi i każe zamilknąć: „Ci wybitni oficerowie nie mają najmniejszego związku ze sprawą majora Esterházyego!”. Jego metody są szyte tak grubymi nićmi, że w połowie porannej sesji wtorkowej jeden z sędziów prosi przewodniczącego o interwencję:

– Jak widzę, prawdziwym oskarżonym jest tu pułkownik Picquart. Domagam się, żeby mógł przedstawić wszelkie wyjaśnienia niezbędne dla swojej obrony.

Pellieux łypie na niego wilkiem i na chwilę się zamyka, lecz natychmiast do ataku przechodzi śliski młody adwokat Esterházyego, Maurice Tézenas:

– Pułkowniku Picquart, od samego początku usiłował pan wybronić Dreyfusa i postawić na jego miejscu mojego klienta.

– To nieprawda.

– Sfałszował pan *petit bleu*.

– Nie.

– Spiskował pan ze swoim adwokatem, *maître* Leblois, żeby oczernić mojego klienta.

– Nie.

– Pokazał mu pan tajne akta dotyczące skazania Dreyfusa, w ramach spisku zmierzającego do zburzenia publicznego zaufania co do pierwotnego werdyktu.

– Nic podobnego.

– Bez żartów, pułkowniku… Wczoraj kilku świadków zeznało przed tym sądem, że widziało, jak pan to robił!

– To niemożliwe. Co to za świadkowie?

– Pułkownik Henry, major Lauth i *monsieur* Gribelin.

Spoglądam na nich – zupełnie beznamiętnie siedzą z boku sali.

– No cóż, wobec tego się mylą.

– Proszę, żeby wymienieni oficerowie wystąpili do konfrontacji z tym świadkiem – mówi Tézenas.

– Panowie pozwolą. – Luxer ruchem ręki zaprasza ich, by podeszli do stołu. Esterházy przygląda się temu śmiertelnie znudzony, jakby obserwował wyjątkowo kiepską sztukę, której zakończenie jest mu z góry znane. Luxer pyta: – Pułkowniku Henry, czy ma pan cień wątpliwości co do tego, że widział pan, jak pułkownik Picquart pokazuje *maître* Leblois dokumenty z tak zwanego tajnego dossier?

– Nie, panie generale. Późnym popołudniem zajrzałem do jego gabinetu w sprawie ministerialnej i zobaczyłem na biurku teczkę. Poznałem ją od razu, ponieważ miała na okładce literę „D”, którą sam tam umieściłem. Pułkownik już wcześniej ją otworzył i akurat pokazywał swojemu przyjacielowi, *monsieur* Leblois, dokument zawierający słowa „tego łotra D.”. Widziałem to równie wyraźnie, jak teraz widzę pana, generale.

Patrzę na niego w osłupieniu – jak można tak bezwstydnie łgać? On zaś patrzy na mnie, zupełnie się nie przejmując.

„Każe mi pan zastrzelić człowieka, to strzelam…”

– A zatem zeznaje pan, pułkowniku Henry, że wyszedł pan i natychmiast opowiedział o tym, co

widział, majorowi Lauthowi i *monsieur* Gribelinowi? – ciągnie Luxer.

– Tak zrobiłem. Byłem głęboko wstrząśnięty tym, co ujrzałem.

– A wy dwaj nadal podtrzymujecie, że taka rozmowa się odbyła?

– Tak jest, panie generale – odpowiada z zapałem Lauth.

– Jak najbardziej, panie generale – potwierdza Gribelin. Rzuca na mnie okiem. – Mogę jeszcze dodać, że ja również widziałem, jak pułkownik Picquart pokazywał te akta swojemu przyjacielowi.

Uświadamiam sobie, że znienawidzili mnie o wiele bardziej, niż kiedyś nienawidzili Dreyfusa. Ale zachowuję spokój.

– Panie przewodniczący, czy mogę prosić o wezwanie *maître* Leblois, żeby przedstawił swoje stanowisko w tej sprawie?

– Niestety, panie przewodniczący, *maître* Leblois przebywa w Strasburgu – wtrąca się Tézenas.

– Nie – mówię. – Wrócił wczoraj w nocy, razem ze zwłokami swojego ojca. Czeka teraz na dole.

Tézenas wzrusza ramionami.

– Doprawdy? Przepraszam, nie wiedziałem.

Ściągają Louisa. Jak na człowieka w żałobie jest niezwykle opanowany. Zapytany o nasze spotkanie i akta, potwierdza, że nie było takiego spotkania ani takiej teczki „z wyjątkiem jakiejś bzdurnej notatki o gołębiach”.

– Czy sąd zechciałby spytać pułkownika Henry’ego, kiedy doszło do tego rzekomego spotkania? – zwraca się do sędziów.

Luxer kiwa ręką na Henry’ego, a ten odpowiada:

– Tak, to było we wrześniu dziewięćdziesiątego szóstego.

– A zatem to wykluczone, ponieważ ojciec po raz pierwszy zachorował w dziewięćdziesiątym szóstym i w związku z tym od sierpnia do listopada tego roku przebywałem bez przerwy w Strasburgu. Jestem tego absolutnie pewny… a nawet mogę to udowodnić, ponieważ warunkiem uzyskania wizy był wymóg, abym podczas mojego pobytu codziennie meldował się u niemieckich władz.

– Czy to możliwe, że pomyliły się panu daty, pułkowniku Henry? – pyta Luxer.

Henry zastanawia się teatralnie, kiwając głową z boku na bok.

– Tak, przypuszczam, że to możliwe. To się mogło wydarzyć wcześniej, niż powiedziałem.

A może raczej później.

– Albo wcale – wtrącam się. – A to dlatego, że teczkę z tajnymi aktami dostałem dopiero w sierpniu, o czym może zaświadczyć *monsieur* Gribelin. To właśnie on wyjął mi tę teczkę z biurka Henry'ego. A w październiku siedzący tu generał Gonse – wskazuję go palcem – znowu zabrał mi te akta. Jak z tego wynika, opisany incydent nie mógł się wydarzyć.

Po raz pierwszy Henry traci głowę, zaczyna się jąkać.

– No cóż, nie jestem pewny… Mogę tylko powtórzyć, co widziałem…

Z odsieczą przychodzi mu Pellieux:

– Jeśli wolno mi zauważyć, panie przewodniczący, po upływie ponad roku trudno jest precyzyjnie ustalić datę…

Luxer przyznaje mu rację. Posiedzenie trwa dalej. Zwalniają mnie z podium dla świadków dopiero w porze obiadu.

* * *

Adwokat Esterházyego wygłasza mowę końcową przez pięć godzin. W pewnym momencie w trakcie tego monologu Esterházy przysypia, z odchyloną do tyłu łysą głową. Gdy

w końcu sędziowie wstają i udają się na naradę, żeby wydać wyrok, Esterházy, wyprowadzany obok mnie, salutuje mi oficjalnie; w tym geście jest coś więcej niż zwykła kpina. „Co za łajdak!” – szepcze Mathieu Dreyfus, który wrócił na ogłoszenie wyroku i siedzi obok mnie. Wstajemy z Louisem, żeby rozprostować nogi. Zakładam, że przyjdzie nam czekać kilka godzin. Tymczasem niecałe pięć minut później rozlega się okrzyk „Prezentuj broń!” i otwierają się drzwi. Sędziowie wracają na salę, a woźny odczytuje wyrok:

– W imieniu narodu francuskiego (…) sędziowie jednomyślnie orzekają (…), że oskarżony jest niewinny (…) i wychodzi z sądu bez plamy na honorze…

Reszta jego słów ginie w salwie oklasków, które w kamiennych murach brzmią niczym ostrzał artyleryjski. Moi towarzysze broni tupią buciorami. Biją brawo. Wiwatują: *Vive l’armée!*, *Vive la France!*; mało tego, nawołują: „Śmierć Żydom!”. Wyrok był z góry ustalony. Nie powinienem się dziwić. Są jednak pewne granice, do jakich wyobraźnia potrafi przygotować nas na klęskę. Kiedy z Mathieu wychodzimy z gmachu sądu, ścigani gwizdami i wrogimi okrzykami – „Śmierć syndykatowi!”, „Picquart na szafot!” –

czuję się tak, jakbym wpadł do szybu kopalni, z którego nie sposób wdrapać się na górę. Wszystko spowija ciemność – w gruncie rzeczy Dreyfus jest w jeszcze gorszej sytuacji niż sześć miesięcy temu, bo teraz został już skazany po raz drugi. A nie sposób sobie wyobrazić, żeby wojsko zgodziło się na trzecią rozprawę.

Na dworze, za kiepsko oświetlonym dziedzińcem, pomimo zimna stoi tłum ponad tysiąca gapiów. Rytmicznie biją brawo, skandując nazwisko swojego bohatera: „Es-ter-há-zy! Es-ter-há-zy!”. Pragnę tylko uciec stamtąd jak najdalej. Ruszam do furtki, lecz Louis i Mathieu mnie zatrzymują.

– Nie możesz tam jeszcze wychodzić, Georges – tłumaczy mi Louis. – W gazetach było twoje zdjęcie. Ten motłoch cię zlinczuje.

W tym momencie z budynku sądu wychodzi Esterházy; towarzyszą mu jego adwokat, Henry oraz du Paty, a za nimi ciągnie świta żołnierzy w czarnych mundurach. Twarz Esterházyego jest odmieniona, promienieje triumfalnie. Z niemal monarszym majestatem zarzuca połę peleryny na ramię, a następnie wychodzi na ulicę. Zrywają się niesamowite owacje. Ludzie wyciągają ręce, by go poklepać po plecach. Ktoś krzyczy: „Czapki

z głów przed męczennikiem żydowskiego syndykatu!”.

Mathieu dotyka mojego ramienia.

– Teraz możemy już wyjść – mówi. Ściąga płaszcz i pomaga mi włożyć go na mój rzucający się w oczy mundur. Ze zwieszoną głową, mając po bokach jego i Louisa, przepycham się na rue Cherche-Midi, skręcam w przeciwnym kierunku niż Esterházy i szybkim krokiem idę mokrym chodnikiem w stronę odległego ruchu ulicznego.

* * *

Następnego dnia jest pogrzeb ojca Louisa, Georges’a-Louisa Leblois. Ten luterański pastor, zwolennik postępu naukowego i radykalny myśliciel zaprzeczający boskości Chrystusa, życzył sobie, by jego zwłoki skremowano. W Strasburgu nie ma jednak stosownego zakładu, dlatego też ceremonia musiała się odbyć w Paryżu, w krematorium na Père-Lachaise. Cisza tego olbrzymiego cmentarza z jego zacienionymi alejkami oraz szare miasto na równinie poniżej, rozciągające się aż po niebieskie wzgórza na horyzoncie, wywierają na mnie głębokie wrażenie. Żałobnicy podchodzą, składają wyrazy współczucia z powodu

wczorajszego wyroku, ściskają mi dłoń i mówią przyciszonym głosem, więc w rezultacie mam wrażenie, że to ja umarłem i uczestniczę we własnym pogrzebie.

Później dowiaduję się, że dokładnie w tym samym czasie generał Billot podpisywał nakaz aresztowania mnie, a po powrocie do mieszkania znajduję zawiadomienie, że nazajutrz zostanę przewieziony do aresztu.

Przychodzą po mnie tuż przed świtem. Jestem już spakowany i ubrany po cywilnemu. Do drzwi puka starszawy pułkownik, któremu towarzyszy szeregowy, i pokazuje mi kopię nakazu generała Billota: *Pułkownik Picquart został uznany za winnego poważnego naruszenia obowiązków zawodowych. W ramach służby popełnił istotne błędy sprzeczne z dyscypliną wojskową. Uznałem więc, że należy go aresztować i zamknąć w twierdzy Mont-Valérien aż do czasu wydania dalszych rozkazów*.

– Przepraszam za najście o tak wczesnej porze, ale pomyślałem, że może uda nam się uniknąć tych upiornych pismaków – mówi pułkownik. – Można prosić o pański służbowy rewolwer?

Przychodzi zarządca budynku, mieszkający nieco dalej przy tej samej ulicy *monsieur*

Reigneau, by sprawdzić, co się dzieje. Wraz z moją eskortą mijam go na schodach. Później przekazuje on „Le Figaro” słowa, którymi się z nim pożegnałem: „Widzi pan, co ze mną wyrabiają. Ale jestem spokojny. W gazetach przeczyta pan na mój temat najgorsze rzeczy. Proszę jednak nadal wierzyć, że jestem przyzwoitym człowiekiem”.

Na zewnątrz czeka wielki wojskowy powóz zaprzężony w dwa białe konie. W nocy był siarczysty mróz. Wciąż jest ciemno. W zamarzniętych kałużach odbija się czerwona lampa z placu budowy naprzeciwko. Szeregowiec bierze moją walizkę i wdrapuje się na kozioł obok woźnicy, a pułkownik uprzejmie otwiera drzwi i przepuszcza mnie, bym wsiadł pierwszy. Pomijając Reigneau, na ulicy nie ma żadnych świadków mojej hańby. Skręcamy w lewo w rue Copernic i jedziemy w stronę Place Victor Hugo. Kilku rannych ptaszków stoi już w kolejce na wylocie ulicy do ronda, by kupić gazety, a jeszcze więcej tłoczy się przy kiosku na Place de l’Étoile. Gdy go mijamy, dostrzegam wielki tytuł na całą szerokość strony: *Oskarżam…!*

– Skoro skazaniec ma prawo do ostatniej prośby, czy moglibyśmy się zatrzymać i kupić gazetę? – zwracam się do pułkownika.

– Gazetę? – Pułkownik spogląda na mnie, jakbym postradał zmysły. – Pewnie tak, skoro pan musi.

Woła do stangreta, żeby się zatrzymał. Wysiadam i idę do kiosku. W dyskretnej odległości za mną podąża szeregowiec; przede mną niebo rozjaśnia się nad avenue du Bois de Boulogne, na jego tle odcinają się gołe korony drzew. Gazetą, po którą wszyscy się tłoczą, jest „L'Aurore" Clemenceau, a nagłówek biegnący nad wszystkimi sześcioma szpaltami brzmi:

OSKARŻAM…!
LIST DO FELIKSA FAURÉGO, PREZYDENTA REPUBLIKI
Emil Zola[6]

Staję w kolejce, by kupić egzemplarz, i nieśpiesznie wracam do powozu. Uliczne latarnie rzucają akurat tyle światła, bym zdołał odczytać tekst. Artykuł zajmuje całą pierwszą stronę, tysiące słów polemiki utrzymanej w formie listu do prezydenta Faurégo (…*przez mój dla Pana szacunek jestem przekonany, że prawdy tej Pan nie zna*). Z narastającym zdumieniem przeglądam tekst.

Proszę to zrozumieć! Od roku już generał Billot, generałowie de Boisdeffre i Gonse wiedzą, że Dreyfus jest niewinny, i zachowują dla siebie tę straszną wiadomość. I pomyśleć tylko, że ludzie ci mogą spokojnie spać, że mają żony i dzieci, które kochają.

Podpułkownik Picquart spełnił obowiązek uczciwego człowieka. Kołatał do swych przełożonych w obronie sprawiedliwości. Błagał ich nawet, mówił, jak szkodliwa politycznie jest ich opieszałość – wobec straszliwej burzy, na którą się zbiera, która wybuchnie, gdy prawda wyjdzie na jaw (…). Nie! Zbrodnia została popełniona, sztab generalny nie chciał przyznać się do swej omyłki. I podpułkownik Picquart został wysłany służbowo, odsuwano go coraz dalej, aż znalazł się w Tunisie; zamierzano nawet pewnego dnia wynagrodzić jego brawurę, powierzając mu do wykonania misję, w której zginąłby z pewnością (…).

Zatrzymuję się na środku chodnika.

Niezwykła sytuacja wydaje piękne owoce, ofiarą jej pada podpułkownik Picquart, człowiek uczciwy – jedyny, który spełnił obowiązek; zostaje wyszydzony i ukarany. O sprawiedliwości, jakaż rozpacz ściska serce! Dochodzi nawet do tego, że podpułkownika Picquarta ogłasza się fałszerzem, który spreparował telegram, aby zgubić Esterházyego (…). Tak! Co za haniebne widowisko: głosi się niewinność ludzi zagubionych, tonących w długach i zbrodniach, a godzi się w honor człowieka bez skazy. Kiedy społeczeństwo dochodzi do takiego stanu, następuje jego rozkład.

Żołnierz za moimi plecami ponagla mnie:

– Naprawdę, pułkowniku, musimy się zbierać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Tak, oczywiście. Tylko to doczytam.

Szybko przebiegam wzrokiem artykuł do końca.

Oskarżam podpułkownika du Paty'ego de Clama. Oskarżam go o to, że (…) był szatańskim sprawcą omyłki sądowej (…).

Oskarżam generała Merciera. Oskarżam go o to, że ze słabości umysłu stał się

współwinnym jednej z największych nikczemności tego stulecia.

Oskarżam generała Billota. Oskarżam go o to, że mając w rękach nieodparte dowody niewinności Dreyfusa – zataił je i stał się współwinny zbrodni obrazy ludzkości i obrazy sprawiedliwości (…).

Oskarżam generała de Boisdeffre'a i generała Gonse'a. Oskarżam ich o to, że stali się wspólnikami tej samej zbrodni (…).

Oskarżam generała de Pellieux i (…). Oskarżam ich o to, że prowadzili śledztwo w sposób łajdacki (…).

Oskarżam trzech ekspertów pisma (…).

Oskarżam Ministerstwo Wojny (…).

Oskarżam Pierwszy Sąd Wojskowy. Oskarżam go o to, że pogwałcił prawo, skazując oskarżonego na podstawie nieujawnionego dokumentu; oskarżam Drugi Sąd Wojskowy – oskarżam go o to, że na rozkaz bezprawnie to osłonił i że z kolei popełnił przestępstwo prawne, świadomie uniewinniając winowajcę.

Wnoszę te oskarżenia w pełni świadomości, wiedząc, że czyn mój podpada pod artykuły (…).

Proszę mieć odwagę oddać mnie pod sąd przysięgłych – a śledztwo niech się toczy na oczach wszystkich.

Czekam.

Raczy Pan przyjąć, Panie Prezydencie, wyrazy szacunku.

Emil Zola

Składam gazetę i gramolę się do powozu.

– Coś ciekawego? – pyta podstarzały pułkownik. I nie czekając na moją odpowiedź, dodaje: – Nie sądzę. Nigdy nie drukują nic ciekawego. – Uderza w dach powozu. – Jedź pan!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Mont-Valérien to olbrzymia twierdza o kwadratowym frontonie na zachodnich obrzeżach miasta – część pierścienia garnizonów obronnych wokół Paryża. Krętymi schodami prowadzą mnie na trzecie piętro skrzydła przeznaczonego wyłącznie dla oficerów. Jestem jedynym więźniem. Zimą – czy to w dzień, czy w nocy – niewiele tu słychać, pomijając wiatr hulający pośród murów obronnych. Moje drzwi są stale zamknięte na klucz, a u stóp schodów stoi na warcie strażnik. Mam nieduży salon, sypialnię oraz łazienkę. Z okratowanych okien rozciąga się panoramiczny widok nad Sekwaną i Laskiem Bulońskim na wieżę Eiffla, położoną osiem kilometrów na wschód.

Jeśli moi wrogowie w sztabie generalnym wyobrażają sobie, że tego typu warunki utrudnią mi życie, to są w błędzie. Mam łóżko i krzesło, pióro i papier, a do tego mnóstwo książek – Goethego, Heinego, Ibsena. Proust uprzejmie przysyła mi swoje dzieła zebrane, *Les Plaisirs et les Jours*, a moja siostra – nowy słownik

francusko-rosyjski. Czego więcej można sobie życzyć? Jestem w więzieniu i jestem wyzwolony. Spadło ze mnie brzemię tajemnicy, które nosiłem samotnie przez te wszystkie miesiące.

Dwa dni po moim osadzeniu w twierdzy rząd musi się zmierzyć z wyzwaniem rzuconym przez Zolę, więc wytacza mu proces o zniesławienie. Tym razem rozprawa nie będzie się toczyć w tajemnicy, w jakiejś klitce będącej pod kontrolą wojska, tylko publicznie, przed sądem przysięgłych w Pałacu Sprawiedliwości. Sprawę przesunięto na sam szczyt wokandy, by mogła się rozpocząć jak najszybciej. Komendant twierdzy nie zgadza się na wizyty ludzi niebędących oficerami w służbie czynnej, ale nawet on nie może odmówić mi widzenia z adwokatem. Louis przynosi mi wezwanie do sądu. Mam zeznawać w piątek, jedenastego lutego.

Czytam dokument.

– A co będzie, jeśli uznają Zolę za winnego?

Siedzimy w sali odwiedzin – kraty w oknach, dwa proste drewniane krzesła i drewniany stół; strażnik przed drzwiami udaje, że nie podsłuchuje.

– Pójdzie na rok do więzienia – odpowiada Louis.

– Zachował się bardzo odważnie.

– Cholernie odważnie – przyznaje Louis. – Chociaż wolałbym, żeby przykrócił tę swoją odwagę roztropnością. Ale poniosło go i nie potrafił się powstrzymać, żeby nie dodać na koniec tego zdania o rozprawie Esterházyego przed sądem wojskowym: *Oskarżam ich o to, że kierując się rozkazami, świadomie uniewinnili winnego*. Właśnie za to władze go teraz ścigają.

– A nie za zarzuty wobec Boisdeffre'a i pozostałych?

– Nie, wszystko inne zignorowali. Zamierzają ograniczyć rozprawę do tej jednej błahostki, co do której są pewni wygranej. Poza tym oznacza to, że wszystko, co dotyczy Dreyfusa, zostanie odrzucone jako niemające związku ze sprawą, chyba że będzie się odnosiło konkretnie do procesu Esterházyego przed sądem wojskowym.

– Czyli że znów przegramy?

– Bywa, że dopóki walka nie jest skończona, przegrana oznacza zwycięstwo.

W Ministerstwie Wojny najwyraźniej denerwują się tym, co mogę zeznać przed sądem. Kilka dni przed rozprawą mój dawny kolega, pułkownik Bailloud, przyjeżdża do Mont-Valérien, żeby „przemówić mi do rozsądku". Z przekazaniem tego, co ma mi do powiedzenia,

czeka, aż znajdziemy się na placu, na którym wolno mi ćwiczyć przez dwie godziny dziennie.

– Najwyższe władze upoważniły mnie do przekazania ci, że jeśli okażesz się dyskretny, twoja kariera nie ucierpi – oświadcza pompatycznie.

– Chcesz powiedzieć, jeśli będę trzymał język za zębami?

– Użyli słowa „dyskretny”.

Moją pierwszą reakcją jest śmiech.

– Zakładam, że to wyszło od Gonse’a?

– Wolałbym nie odpowiadać.

– No więc przekaż mu ode mnie, że nie zapomniałem, że nadal jestem żołnierzem, i że zrobię, co w mojej mocy, żeby pogodzić obowiązek zachowania tajemnicy z obowiązkami świadka. Czy to wystarczy? A teraz bądź taki miły, wracaj do Paryża i daj mi pospacerować w spokoju.

Wyznaczonego dnia, w mundurze strzelców tunezyjskich, jadę wojskowym powozem do Pałacu Sprawiedliwości na Île de la Cité. Dałem słowo, że nie spróbuję opuścić terenu pałacu i że po zakończeniu posiedzenia wrócę z moimi strażnikami do Mont-Valérien. W rewanżu pozwalają mi wejść do budynku swobodnie, bez eskorty. Na boulevard du Palais odbywa się

antysemicka demonstracja. „Śmierć Żydom!”, „Śmierć zdrajcom!”, „Gudłaje do piachu!”. Ktoś rozpoznaje moją twarz, być może ze złośliwych karykatur zamieszczanych w „La Libre Parole” i podobnych szmatławcach, więc kilku zbirów odłącza się od reszty i próbuje mnie gonić na dziedzińcu i pałacowych schodach, ale zatrzymują ich żandarmi. Teraz rozumiem, dlaczego Mathieu Dreyfus ogłosił, że nie pojawi się w sądzie.

W wysoko sklepionym holu pałacu, rozświetlonym w ten pochmurny, jak to w lutym, dzień lampami elektrycznymi, panuje tłok i gwar niczym na peronie niesamowitego dworca kolejowego: urzędnicy i gońcy śpieszą gdzieś z dokumentami prawnymi, adwokaci w czarnych togach plotkują między sobą albo naradzają się z klientami, a do tego grupki niespokojnych powodów oraz pozwanych, świadków, żandarmów, reporterów, oficerów wojska, biedoty szukającej tu schronienia przed mrozem, modnych dam i strojnisiów, którym udało się zdobyć bilet na sensacyjny proces Zoli… Salle des Pas-Perdus oraz bezkresną Galerie des Prisonniers wypełniają wszystkie warstwy społeczne. Biją dzwony. Krzyki i kroki odbijają się echem od marmurów. Pomijając kilka sójek

w bok i nienawistnych spojrzeń, niezauważony docieram do pokoju dla świadków i podaję swoje nazwisko woźnemu sądowemu. Wzywają mnie pół godziny później.

Pierwsze wrażenie sądu przysięgłych: ogrom i przepych, przestronność, ciężka drewniana boazeria i lśniące mosiężne elementy wyposażenia, gęsty tłum, gwar rozmów i wreszcie cisza, jaka zapada, kiedy przechodzę między ławami, stukając obcasami o parkiet, i dalej, przez małą drewnianą bramkę w balustradzie oddzielającej sędziego i przysięgłych od widowni, w kierunku półkolistej poręczy miejsca dla świadków z przodu sali.

– Świadek zechce podać nazwisko.

– Marie-Georges Picquart.

– Miejsce zamieszkania?

– Mont-Valérien.

Odpowiedź wywołuje śmiechy, a ja mam chwilę, żeby się rozejrzeć: z boku ława z dwunastoma przysięgłymi, są to sami zwyczajni handlowcy; wysoko na swojej ławie siedzi wielki pyzaty sędzia Delegorgue w szkarłatnych szatach; poniżej zajmuje miejsce tuzin prawników w przypominających sutanny czarnych togach, wśród nich występujący

w imieniu rządu prokurator generalny Van Cassel; przy stole zasiada Zola, który dodaje mi otuchy skinieniem głowy, podobnie jak jego współoskarżony, Perrenx, redaktor naczelny „L'Aurore"; obok nich siedzą ich adwokaci – Fernand Labori jako obrońca Zoli, Albert Clemenceau broniący Perrenxa oraz Georges Clemenceau, który załatwił sobie jakoś zgodę na zasiadanie obok brata, mimo że nie jest prawnikiem; a za mną, niczym wierni w kościele, siedzą widzowie, w tym zbita grupa oficerów w ciemnych mundurach, w skład której wchodzą Gonse, Pellieux, Henry, Lauth i Gribelin.

Wstaje Labori. Ten młody wielkolud, wysoki i barczysty, jasnowłosy i brodaty, wygląda jak pirat, a że słynie z waleczności, nosi przezwisko Wiking.

– Czy pułkownik Picquart – zagaja – zechce nam opowiedzieć, co mu wiadomo o sprawie Esterházyego, o śledztwie, które wszczął w jego sprawie, a także o okolicznościach towarzyszących jego odejściu z Ministerstwa Wojny i o tym, co zdarzyło się później?

Siada.

Ściskam drewnianą poręcz miejsca dla świadków, żeby powstrzymać drżenie rąk, i biorę głęboki oddech.

– Wiosną tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego roku w moje ręce trafiły fragmenty listu-telegramu…

* * *

Mówię nieprzerwanie przez ponad godzinę, co pewien czas przerywając, żeby się napić wody. Czerpię z doświadczenia wykładowcy w szkole wojskowej. Próbuję sobie wyobrazić, że mam wyjątkowo trudny wykład z topografii. Nie korzystam z notatek. Poza tym uparłem się, żeby zachować spokój… zeznawać uprzejmie, precyzyjnie, beznamiętnie… nie zdradzać żadnych tajemnic ani nie wdawać się w wycieczki osobiste. Ograniczam się do druzgoczących dowodów przeciwko Esterházyemu – a więc do tego, czego dostarczył *petit bleu*, do jego niemoralnego charakteru, konieczności zdobycia pieniędzy, podejrzanego zainteresowania zagadnieniami z dziedziny artylerii, a także do tego, że jego charakter pisma jest taki sam jak ten na *bordereau*. Opisuję, jak poszedłem ze swoimi podejrzeniami do przełożonych, co skończyło się zesłaniem mnie do północnej Afryki oraz machinacjami knutymi przeciwko mnie od tej pory. Publiczność

wypełniająca po brzegi salę sądu słucha mnie w absolutnej ciszy. Czuję, że moje słowa wywierają na obecnych należyte wrażenie. Odwracając się, przypadkowo dostrzegam oficerów ze sztabu generalnego i widzę, że miny rzedną im z minuty na minutę.

Na koniec obrońca Zoli, Labori, zadaje mi serię pytań.

– Czy zdaniem świadka wspomniane machinacje były dziełem wyłącznie majora Esterházyego, czy też świadek uważa, że major Esterházy miał wspólników?

Nie śpieszę się z odpowiedzią.

– Uważam, że miał wspólników.

– Wspólników zatrudnionych w Ministerstwie Wojny?

– Przynajmniej jeden wspólnik musiał dysponować wiedzą o tym, co działo się w Ministerstwie Wojny.

– Co pańskim zdaniem bardziej obciąża winą majora Esterházyego… *bordereau* czy *petit bleu*?

– *Bordereau*.

– Czy mówił pan o tym generałowi Gonse'owi?

– Tak.

– Wobec tego jak to się stało, że generał Gonse nakazał panu oddzielić sprawę Dreyfusa od sprawy Esterházyego?

– Mogę jedynie powtórzyć to, co mi powiedział.

– Ale przecież jeżeli to major Esterházy jest autorem *bordereau*, to oskarżenie Dreyfusa upada?

– Tak… Właśnie dlatego nigdy nie widziałem sensu w rozdzielaniu tych spraw.

Na to interweniuje sędzia:

– Czy pamięta pan, jak posłał po *maître* Leblois, żeby się zgłosił u pana w gabinecie?

– Tak.

– A pamięta pan datę?

– Przyszedł do mnie na wiosnę dziewięćdziesiątego szóstego roku. Chciałem się go poradzić w kwestii gołębi pocztowych.

– *Monsieur* Gribelin, proszę podejść – mówi sędzia. – Jak rozumiem, pan to pamięta zupełnie inaczej?

Odwracam się półbokiem, patrząc, jak Gribelin wstaje ze swego miejsca pośród oficerów sztabu generalnego. Dołącza do mnie z przodu sali. Nie patrzy w moją stronę.

– Rzeczywiście, panie przewodniczący. Wieczorem w październiku roku dziewięćdziesiątego szóstego poszedłem do gabinetu pułkownika Picquarta z prośbą o urlop. Siedział przy biurku z teczką dotyczącą gołębi

pocztowych po prawej ręce i tajnymi aktami po lewej.

Sędzia spogląda na mnie.

– *Monsieur* Gribelin jest w błędzie – mówię uprzejmie. – Albo zawiodła go pamięć, albo pomylił teczki.

Gribelin sztywnieje.

– Wierzcie sobie, w co chcecie. Ja to widziałem.

Uśmiecham się do niego, żeby nie wiem co zdecydowany nie dać się wyprowadzić z równowagi.

– A ja twierdzę, że niczego takiego pan nie widział – oświadczam.

Znów wtrąca się sędzia:

– Pułkowniku Picquart, czy prosiliście kiedyś *monsieur* Gribelina o ostemplowanie listu?

– O ostemplowanie listu?

– O ostemplowanie listu, ale nie datą doręczenia, tylko wcześniejszą?

– Nie.

– Pozwoli pan, pułkowniku, że odświeżę panu pamięć – wtrąca się sarkastycznie Gribelin. – Pewnego dnia wrócił pan do biura o drugiej po południu. Posłał pan po mnie i zdejmując płaszcz, powiedział pan: „Gribelin, czy da pan

radę załatwić z urzędem pocztowym ostemplowanie listu?”.

– Niczego takiego nie pamiętam.

– Ale z pewnością zwracał się pan z tą samą prośbą do majora Lautha? – wtrąca sędzia.

– Nigdy – zaprzeczam, kręcąc głową. – Nigdy, nigdy.

– Majorze Lauth, zechce pan podejść?

Lauth wstaje z miejsca obok Henry’ego i podchodzi do nas. Gapiąc się wprost przed siebie, jak podczas apelu, oświadcza:

– Pułkownik Picquart kazał mi usunąć z *petit bleu* wszelkie ślady darcia. Zapytał: „Sądzi pan, że udałoby się nam podstemplować to na poczcie?”. Poza tym oświadczył, że powinienem zeznać, że rozpoznałem charakter pisma na *petit bleu* jako należący do pewnego cudzoziemca. Na co odparłem: „Ależ ja nigdy nie widziałem jego pisma”.

Spoglądam na nich dwóch – lata prowadzenia szpiegów sprawiły, że obaj potrafią łgać na zawołanie. Zgrzytam zębami.

– Przecież ten dokument został podarty na sześćdziesiąt kawałków i zlepiono go taśmą klejącą po tej samej stronie, na której napisano adres – protestuję. – Jak można by go

opieczętować? Wyglądałoby to co najmniej głupio.

Nikt się nie kwapi z odpowiedzią.

Labori znów wstaje. Poprawia togę, po czym zwraca się do Lautha:

– W złożonym pod przysięgą zeznaniu pisze pan, że pułkownik Picquart mógł bez trudu dodać *petit bleu* do partii materiałów wywiadowczych, które czekały w jego sejfie, aż ktoś je przejrzy… Innymi słowy, że mógł sfabrykować dowody.

– To prawda. Mógł to zrobić.

– Ale nie ma pan na to dowodu?

– Mimo to uważam, że to zrobił.

– Pułkowniku Picquart?

– Z tego, że major Lauth tak uważa, wcale nie wynika, że to prawda.

– Wróćmy do incydentu z tajnymi aktami – przerywa nam sędzia. – Pułkowniku Henry, zechce pan podejść do świadków?

Teraz to Henry dźwiga się z miejsca i występuje na środek sali. Z bliska widzę, że jest mocno wzburzony – zaczerwieniony i zlany potem. Wszyscy trzej sprawiają wrażenie, że żyją w wielkim napięciu. Czym innym jest powtarzanie swoich drobnych kłamstewek na tajnej rozprawie przed sądem wojskowym,

a czym innym robienie tego tutaj. W najgorszych snach nie spodziewali się, że do tego dojdzie.

– To chyba było w październiku – mówi Henry. – Nigdy nie udało mi się dokładnie ustalić daty. Wiem tylko tyle, że w gabinecie była otwarta teczka. Pułkownik właśnie siadał, po jego lewej ręce siedział *monsieur* Leblois, a przed nimi na biurku leżały rozmaite teczki, między innymi tajne akta, które sam oznaczyłem ołówkiem kopiowym. Koperta była otwarta, a dokument, o którym mowa… ten ze słowami „tego łotra D.”… został z niej wyjęty.

– Pułkowniku Picquart, jak pan to skomentuje? – pyta sędzia.

– Powtarzam, że nigdy nie miałem tej teczki na biurku w obecności *maître* Leblois, czy to otwartej, czy zamkniętej. Tak czy owak, nie mogło dojść do tego zdarzenia, jak to opisuje pułkownik Henry, ponieważ *maître* Leblois jest w stanie udowodnić, że wrócił do Paryża dopiero siódmego listopada.

– A ja mówię, że to było w październiku! – wybucha Henry. – Zawsze twierdziłem, że w październiku, i zdania nie zmienię!

– Czy mogę zadać kilka pytań pułkownikowi Henry’emu? – zwracam się do sędziego. A kiedy ten ruchem ręki wyraża zgodę, przystępuję do

przesłuchania: – Proszę powiedzieć, czy wszedł pan do mojego gabinetu drzwiami na wprost biurka, czy przez te małe drzwi z boku?

– Głównymi drzwiami – odpowiada po chwili wahania.

– A jak daleko w głąb gabinetu pan wszedł?

– Niedaleko. Nie powiem dokładnie, czy to było pół kroku, czy cały krok.

– Ale tak czy inaczej musiał pan stać po drugiej stronie mojego biurka… to znaczy naprzeciwko miejsca, przy którym siedziałem. Jak zatem mógł pan zobaczyć ten dokument?

– Widziałem go doskonale.

– Przecież pismo na tym dokumencie jest tak niewyraźne, że nawet z bliska trudno je odczytać. Jakim cudem udało się to panu z tak daleka?

– Proszę posłuchać, pułkowniku. – Henry nadal próbuje się wymigać. – Znam ten dokument lepiej niż ktokolwiek, więc z całą pewnością poznałbym go z odległości dziesięciu kroków. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Więc powiem to bez ogródek, wszem wobec. Chcecie prawdy? Oto ona! – Celuje we mnie palcem i odwraca się do sędziów. – Pułkownik Picquart kłamie!

Wygłasza to zdanie tym samym teatralnym tonem i z tym samym oskarżycielskim gestem,

z jakimi podczas procesu Dreyfusa mówił: „Tym zdrajcą jest ten człowiek!”. Publiczność reaguje okrzykami zdumienia, a ja w jednej chwili zapominam, że poprzysięgłem sobie nie tracić spokoju. Henry dopiero co nazwał mnie kłamcą! Odwracam się i uciszam go, unosząc rękę.

– Nie ma pan prawa tak mówić! Za takie słowa domagam się satysfakcji!

Hałas dobiega już zewsząd – jedni wiwatują, inni gwiżdżą, bo dotarło do nich, że właśnie wyzwałem Henry’ego na pojedynek. On zaś patrzy na mnie ze zdziwieniem. Sędzia wali młotkiem, wzywając do zachowania spokoju, ale nie zwracam na niego uwagi. Nie potrafię się dłużej hamować. Nagromadzona we mnie przez półtora roku frustracja wybucha z całą siłą.

– Szanowni sędziowie, na własne oczy widzieliście, jak ludzie pokroju pułkownika Henry’ego, majora Lautha oraz archiwisty Gribelina wysuwali tu pod moim adresem najbardziej haniebne oskarżenia. Słyszeliście, jak przed chwilą pułkownik Henry nazwał mnie kłamcą. Słyszeliście, jak major Lauth, bez cienia dowodu, sugerował, że *petit bleu* to mój wymysł. No cóż, panowie, jesteście ciekawi, skąd się to wszystko wzięło? Wszyscy architekci sprawy Dreyfusa…

– Pułkowniku! – rzuca ostrzegawczo sędzia.

– …to znaczy pułkownik Henry i *monsieur* Gribelin, którym pomagał pułkownik du Paty de Clam, zgodnie z instrukcjami generała Gonse'a tuszują błędy popełnione przez mojego poprzednika, pułkownika Sandherra. To był człowiek schorowany, cierpiał już na paraliż, który w końcu go zabił, a oni od tej pory go kryją… może z powodu źle pojmowanego poczucia lojalności, może dla dobra wydziału. Tego nie wiem. Ale chcecie, żebym wam powiedział, jakiej zbrodni dopuściłem się w ich pojęciu? Otóż uznałem, że istnieją lepsze metody obrony naszego honoru niż ślepe posłuszeństwo. I tylko dlatego od miesięcy jestem znieważany przez gazety opłacane za rozpowszechnianie oszczerstw i kłamstw.

– To prawda! – krzyczy Zola. Sędzia ucisza mnie, stukając młotkiem w stół, lecz ja peroruję dalej:

– Od miesięcy jestem w koszmarnej sytuacji, która dla każdego oficera byłaby nie do zniesienia… Nie mogę się bronić przed atakami na mój honor. A jutro być może zostanę wydalony z wojska, które kocham i któremu oddałem dwadzieścia pięć lat życia. Trudno, niech będzie! Nadal uważam, że dążenie do

prawdy i sprawiedliwości było moim obowiązkiem. Uważam, że dla żołnierza jest to najlepsza metoda przysłużenia się wojsku, a poza tym uważałem to za swój obowiązek jako człowieka prawego. – Odwracam się do sędziego i kończę spokojnie: – To wszystko, co miałem do powiedzenia.

Za plecami słyszę nieco braw i mnóstwo gwizdów. A jakiś samotny głos woła:

– *Vive Picquart!*

* * *

Wieczorem, by uniknąć tłumów, przemycają mnie bocznymi drzwiami na quai des Orfèvres. Niebo nad pałacem ma barwę krwi usianej strzelającymi w górę iskrami; skręciwszy za róg, widzimy, jak na drugim brzegu Sekwany kilkusetosobowy tłum pali książki… Jak się później dowiaduję, książki Zoli, a także wszelkie gazety sympatyzujące z Dreyfusem, które im wpadły w ręce. W obrazie postaci tańczących wokół płomieni nad ciemną powierzchnią rzeki jest coś pogańskiego. Żandarmi muszą torować drogę dla naszego powozu. Konie się płoszą, woźnicy z trudem udaje się nad nimi zapanować. Przejeżdżamy na drugą stronę rzeki, na

boulevard de Sébastopol, i zaledwie po stu metrach jazdy słyszymy kaskady odgłosów rozpryskiwanego szkła wystawowego, a na środek jezdni wybiega tłuszcza. Jakiś mężczyzna krzyczy: „Żydzi do piachu!”. Po chwili mijamy sklep z powybijanymi witrynami i zamazanym farbą szyldem o treści *Levy & Dreyfus.*

* * *

Kiedy następnego dnia wracam do Pałacu Sprawiedliwości, prowadzą mnie nie do sądu przysięgłych, lecz do innej części budynku, gdzie sędzia pokoju, Paul Bertulus, przesłuchuje mnie w sprawie fałszywych telegramów, które otrzymałem w Tunezji. Jest to potężny, przystojny i uroczy mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat, wyznaczony do tego zadania przez generała Billota. Ma zawinięte w górę wąsy, czerwony goździk w butonierce i sprawia wrażenie, jakby chętniej był teraz na wyścigach konnych w Longchamps niż tutaj. Wiem, że ma opinię konserwatysty, rojalisty i przyjaciela Henry’ego – co zapewne spowodowało, że zlecono mu tę robotę. Dlatego też nie spodziewam się po nim należytej staranności w dochodzeniu do prawdy.

Tymczasem, ku mojemu zaskoczeniu, im dłużej opisuję, co mnie spotkało w północnej Afryce, tym bardziej widać po nim wzburzenie.

– Wyjaśnijmy to sobie, pułkowniku. Jest pan całkowicie pewny, że *mademoiselle* Blanche de Comminges nie wysłała panu tych telegramów?

– Nie ulega wątpliwości, że to pułkownik du Paty wmieszał ją w tę aferę.

– A po co miałby to robić?

Zerkam na stenografa spisującego moje zeznanie.

– Chętnie odpowiem panu na to pytanie, *monsieur* Bertulus, ale tylko w cztery oczy.

– Typowa procedura tego nie przewiduje, pułkowniku.

– Ale to nie jest typowa sprawa.

Sędzia pokoju namyśla się.

– Zgoda – mówi w końcu. – Musi pan jednak zrozumieć, że na skutek tego, co mi pan powie, mogę być zmuszony do poczynienia kroków bez względu na to, czy się to panu spodoba, czy nie.

Instynkt podpowiada mi, że mogę mu zaufać, więc się zgadzam, a po wyjściu stenografa opowiadam mu historię romansu du Paty'ego z Blanche, okraszając ją szczegółami o skradzionym liście, rzekomo zwróconym przez kobietę w woalce.

– Właśnie dlatego twierdzę, że w ten czy inny sposób musi za tym stać du Paty. Jego wyobraźnia jest chora, ale ograniczona. Jestem pewien, że to on podsunął Esterházyemu ten pomysł rodem z romansu z „damą w woalce”, który, nawiasem mówiąc, nie jest mi obcy.

– Trudno w to uwierzyć.

– Nie wątpię. Ale rozumie pan, jak ucierpiałaby pozycja towarzyska *mademoiselle* de Comminges, gdyby te wieści przedostały się do wiadomości publicznej.

– A zatem sugeruje pan, że to pułkownik du Paty jest bezpośrednim łącznikiem między zarzutami majora Esterházyego a wymierzonym w pana, oficjalnie zatwierdzonym spiskiem związanym ze sfałszowanymi telegramami?

– Tak jest.

– Czy fałszerstwa są powszechną metodą stosowaną przez wywiad?

Jego naiwność jest godna politowania, ale powstrzymuję uśmiech.

– Jest taki funkcjonariusz Sûreté… Jean-Alfred Desvernine. Kiedyś przyprowadził mi fałszerza znanego pod pseudonimem Lemercier-Picard. Proponuję, żeby pan porozmawiał z Desvernine’em. Niewykluczone, że będzie w stanie pomóc.

Bertulus zapisuje nazwisko, po czym z powrotem wzywa stenografa.

* * *

Po południu, gdy nadal składam zeznania, ktoś szybko puka do drzwi i Louis zagląda do pokoju. Jest zlany potem, ciężko dyszy.

– Przepraszam, że zakłócam przesłuchanie, ale pułkownik Picquart jest pilnie potrzebny w sądzie – zwraca się do Bertulusa.

– Niestety, w tej chwili składa zeznania przede mną.

– Rozumiem to, a *maître* Labori najmocniej przeprasza, ale naprawdę musi wezwać pułkownika jako świadka w celu obalenia zarzutów.

– No cóż, skoro musi…

Gdy śpieszymy korytarzem, Louis informuje mnie:

– Jako świadek zeznaje właśnie generał Pellieux, próbuje obalić twoje dowody. Twierdzi, jakoby Esterházy nie mógł napisać *bordereau*, ponieważ nie miał dostępu do informacji wywiadowczych tego szczebla.

– Przecież to jakaś bzdura – mówię. – Już wczoraj się z tym wszystkim rozprawiłem.

A zresztą co ma do tego Pellieux? Dlaczego tej części sprawy nie prowadzi Gonse, a w ostateczności Henry?

– Nic nie zauważyłeś? Teraz to Pellieux zajmuje się wszystkim w ich imieniu. Jest jedynym przyzwoitym rzecznikiem, jakiego mają, i nie jest tak ubabrany jak pozostali. – Gdy dochodzimy do drzwi sali sądowej, odwraca się do mnie. – Georges, chyba zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

– Co?

– Że grunt im się pali pod nogami. Po raz pierwszy naprawdę się przerazili, że tym razem przegrają.

W sali rozpraw Pellieux stoi na miejscu dla świadków – najwyraźniej właśnie zaczyna podsumowanie, zwracając się bezpośrednio do sędziów, jakby był adwokatem. Stoimy z Louisem z tyłu i słuchamy.

– Panowie! – krzyczy, uderzając się w pierś. – Moja żołnierska dusza buntuje się przeciwko niegodziwościom, jakimi nas obrzucają! Twierdzę, że próby pozbawienia wojska zaufania do swoich dowódców to zbrodnia. Jak sądzicie, co by się stało z tym wojskiem, gdyby nadeszło niebezpieczeństwo? A ten dzień jest chyba bliższy, niż wam się wydaje. Jak sobie

wyobrażacie zachowanie biednych żołnierzy dowodzonych przez ludzi, o których wygaduje się takie rzeczy? Oni poprowadzą waszych synów na rzeź, panowie przysięgli! Za to *monsieur* Zola wygra nową bitwę, napisze nową *Débâcle*[7], rozprzestrzeni język francuski we wszechświecie i w całej Europie… Tyle że tymczasem Francja zniknie z mapy Europy raz na zawsze!

Część widowni zajęta przez wojskowych wybucha owacjami. Pellieux ucisza wrzawę, podnosząc palec.

– Jeszcze słówko, panowie. Powinniśmy się cieszyć, gdyby trzy lata temu Dreyfus został uniewinniony. Byłby to dowód, że we francuskim wojsku nie ma zdrajcy. Ostatni sąd wojskowy po prostu nie zgodził się, żeby zamiast Dreyfusa uwięzić niewinnego człowieka, nie wnikając w to, czy Dreyfus jest winny, czy nie.

Schodzi z miejsca dla świadków, przy wtórze nowych owacji oficerów ze sztabu generalnego. Przesuwam się na przód sali, mijając Gonse'a i Henry'ego, którzy na stojąco biją brawo. Pellieux maszeruje na swoje miejsce dumnym krokiem zawodowego boksera, który właśnie wygrał walkę. Usuwam się na bok, robiąc mu przejście. Jego oczy błyszczą.

Z początku mnie nie zauważa i dopiero mijając mnie, cedzi kącikiem ust:

– Pańska kolej.

* * *

Ku irytacji Laboriego sędzia postanawia jednak, że pora jest już zbyt późna, by wzywać mnie na świadka, więc złożę zeznania dopiero na kolejnym posiedzeniu. Wracam do Mont-Valérien i spędzam bezsenną noc, nasłuchując porywów wiatru i prawie do świtu wpatrując się w światło na szczycie wieży Eiffla, świecące nad Paryżem niczym czerwona planeta w niebiosach.

Następnego dnia rano, gdy tylko staję z przodu sali rozpraw, Labori od razu przechodzi do rzeczy:

– Wczoraj generał de Pellieux oświadczył, że major Esterházy nie mógł zdobyć dokumentów wymienionych w *bordereau*. Jak pan na to odpowie?

– Część z tego, co powiem, zapewne będzie sprzeczna z tym, co zeznał generał de Pellieux, ale uważam za swój obowiązek przekazać to, co myślę – zaczynam ostrożnie. – Sęk w tym, że dokumenty wymienione w *bordereau* nie są ani

w przybliżeniu tak ważne, jak to wmówiono społeczeństwu.

I znów pilnuję się, żeby mówić tak, jak wypada zeznawać przed sądem. Zwracam uwagę na to, że wraz z *bordereau* podobno przekazano pięć różnych zestawów danych. A jednak cztery z nich to nie były żadne dokumenty, tylko notatki niewymagające wiedzy, jaką dysponował sztab generalny: notatki o hamulcach hydraulicznych do działa sto dwadzieścia milimetrów; o osłonie wojsk; o zmianie formacji artyleryjskich; a także o inwazji na Madagaskar.

– Dlaczego tylko luźne notatki? Przecież ktoś mający poważne informacje, a nie coś, co podsłuchał w rozmowie albo zobaczył gdzieś w przelocie, na pewno by napisał: „Wysyłam wam kopię takiego a takiego dokumentu”. I rzeczywiście, przekazano jedną kopię: piąty dokument, czyli podręcznik strzelania, i nie jest kwestią przypadku, że zgodnie z naszą wiedzą major Esterházy zdobył go, a nawet zlecił jego przepisanie. Tu jednak autor znów wspomina, że dostał ów podręcznik jedynie na chwilę, natomiast oficer ze sztabu generalnego, taki jak Dreyfus, miałby do niego nieograniczony dostęp.

Po mojej prawej ręce stoi wielki ozdobny zegar. Gdy przerywam między kolejnymi

argumentami, w ciszy sali sądowej słyszę jego tykanie – tak wielkie jest skupienie publiczności. Od czasu do czasu widzę też kątem oka, jak na twarzach nie tylko sędziów, ale i części oficerów sztabu generalnego malują się coraz większe wątpliwości. Pellieux, już nie tak pewny siebie, co rusz zrywa się z miejsca, żeby mi przerwać, coraz dalej stąpając po cienkim lodzie, aż w końcu popełnia znaczący błąd. Właśnie dowodzę, że ostatnie zdanie *bordereau – Na razie wyjeżdżam na manewry* – również świadczy o tym, że autor dokumentu nie pracował w Ministerstwie Wojny, ponieważ manewry sztabu generalnego odbywają się jesienią, a *bordereau* został rzekomo napisany w kwietniu, gdy Pellieux znów wychodzi na środek sali.

– Ależ *bordereau* wcale nie został napisany w kwietniu – oświadcza.

Zanim udaje mi się odpowiedzieć, Labori dopada go w mgnieniu oka.

– Owszem, napisano go w kwietniu… a przynajmniej ministerstwo stale tak utrzymywało.

– Wcale nie – upiera się Pellieux, aczkolwiek drżącym z niepewności głosem. – Odwołuję się do generała Gonse’a.

Gonse wychodzi na środek.

– Generał Pellieux ma rację – oznajmia. – *Bordereau* został napisany najprawdopodobniej w sierpniu, ponieważ zawiera wzmiankę o notatce na temat inwazji na Madagaskar.

Teraz Labori rzuca się na Gonse'a.

– A kiedy dokładnie sztab generalny sporządził notatkę na temat Madagaskaru? – pyta.

– W sierpniu.

– Chwileczkę. – Labori przerzuca plik dokumentów i wyciąga jakąś kartkę. – Przecież w pierwotnym akcie oskarżenia kapitana Dreyfusa, który odczytano na jego procesie, sugeruje się, że przepisał on notatkę na temat Madagaskaru już w lutym, kiedy pracował w stosownym wydziale. Cytuję: „Kapitan Dreyfus bez trudu mógł ją wówczas sprokurować". Jak chce pan pogodzić te dwie daty?

Przerażony Gonse rozdziawia usta. Spogląda na Pellieux.

– No cóż, notatkę sporządzono w sierpniu. Nie wiem, czy była jakaś notatka w lutym…

– No proszę, panowie! Czy teraz widzicie, jak ważna jest dokładność w zeznaniach? – rzuca drwiąco Labori.

Mimo że chodzi zaledwie o błahą rozbieżność w datach, na sali wyczuwa się zmianę nastroju, jakby spadło ciśnienie barometryczne. Niektórzy parskają śmiechem, na co twarz Pellieux tężeje i nabiega krwią ze złości. To człowiek dumny i próżny, a właśnie wyszedł na głupca. Co gorsza, cała ta argumentacja rządowa nagle wydaje się słabiutka. Dotychczas jeszcze nigdy jej nie podważał adwokat klasy Laboriego, a teraz, kiedy przycisnął wojskowych, wygląda na to, że jest krucha jak zapałka.

Pellieux prosi o krótką przerwę. Sztywno wraca na swoje miejsce. Oficerowie ze sztabu generalnego, w tym Gonse i Henry, natychmiast zbijają się wokół niego w gromadkę. Widzę, jak dźga palcem w powietrze. Labori też to widzi. Z marsową miną rozkłada ręce i mówi do mnie bezgłośnie: „Co tam się dzieje?”. Ale ja tylko wzruszam ramionami – nie mam pojęcia, o czym dyskutują.

Pięć minut później Pellieux maszeruje z powrotem na środek sali i daje znak, że chce coś powiedzieć.

– Panowie przysięgli, mam pewne spostrzeżenia na temat tego, co tu się przed chwilą wydarzyło. Do tej pory z naszej strony ściśle trzymaliśmy się w granicach prawa. Nie

wspominaliśmy słowem o sprawie Dreyfusa i teraz też nie chcę o niej mówić. Jednakże obrona właśnie odczytała publicznie fragment aktu oskarżenia, którego treść miała pozostać za zamkniętymi drzwiami. Cóż, jak to mówi pułkownik Henry: chcą prawdy, to będą ją mieli! W listopadzie dziewięćdziesiątego szóstego roku Ministerstwo Wojny zyskało niepodważalny dowód winy Dreyfusa. Widziałem ten dowód. Pochodzenia tego dokumentu nie sposób zakwestionować, a zawiera on mniej więcej te słowa: „Jeden z deputowanych wystąpi z pytaniami w sprawie Dreyfusa. Nigdy nie przyznawaj się, że utrzymywaliśmy kontakty z tym Żydem”. Panowie, klnę się na mój honor, że niniejsze oświadczenie jest zgodne z prawdą, i wzywam generała Boisdeffre’a, aby potwierdził moje zeznanie.

Wszyscy zbiorowo wstrzymują oddech, po czym rozlega się pomruk głosów, gdy widzowie dyskutują z sąsiadami o tym, co to wszystko znaczy. I znów Labori, zbity z tropu, zerka na mnie. Mija kilka sekund, zanim orientuję się, że Pellieux niewątpliwie miał na myśli list rzekomo zdobyty w ambasadzie Niemiec – ten, który pojawił się w jakże dogodnej chwili, tuż przed wysłaniem mnie z Paryża, a który Billot podobno

czytał, ale nie chciał mi go pokazać. Energicznie kiwam głową do Laboriego, wykonując rękami taki gest, jakbym coś łapał. Pellieux popełnił kolejny błąd. Adwokat musi go teraz przygwoździć, nie może przegapić szansy.

Gonse, zorientowawszy się w niebezpieczeństwie, zrywa się na równe nogi i śpieszy na środek sali.

– Proszę o głos! – woła do sędziego, ale Labori znów jest dla niego za szybki.

– Przepraszam, generale, ale to ja mam teraz głos – ucina. – Właśnie wydarzyło się coś niezwykłej wagi. Po takim stwierdzeniu niniejsza debata nie może podlegać żadnym ograniczeniom. Uświadamiam generałowi Pellieux, że żaden dokument nie ma mocy dowodowej przed sądem, jeżeli nie omówiono go publicznie. Niech więc generał Pellieux powie bez ogródek, o co chodzi, i przedstawi rzeczony dokument.

– Generale Gonse, co pan ma do powiedzenia? – pyta sędzia.

Głos Gonse'a przypomina piskliwy skrzek. Brzmi, jakby ktoś go dusił.

– Potwierdzam zeznanie generała Pellieux. Przejął inicjatywę i dobrze się spisał. Na jego miejscu zrobiłbym to samo. – Nerwowo pociera

dłońmi o nogawki spodni. Wygląda jak siedem nieszczęść. – Wojsko nie obawia się prawdy. I broniąc swojego honoru, nie zawaha się jej przedstawić. Konieczna jest jednak rozwaga, a nie sądzę, żeby rzeczony dowód, chociaż istnieje i jest niepodważalny, mógł być zaprezentowany tutaj, na oczach publiczności.

– Proszę o posłanie po generała Boisdeffre'a, aby potwierdził moje słowa – wali prosto z mostu Pellieux i nie zważając na sędziego ani na nieszczęsnego Gonse'a, woła do stojącego w przejściu adiutanta: – Majorze Delcassé, niech pan weźmie powóz i natychmiast jedzie po generała de Boisdeffre'a!

* * *

Podczas przerwy podchodzi do mnie Labori.

– O jakim dokumencie on mówi? – pyta szeptem.

– Nie mogę panu powiedzieć… Żadnych szczegółów. Złamałbym słowo, że dochowam tajemnicy.

– Pułkowniku, musi mi pan coś dać… lada chwila wejdzie tu szef sztabu generalnego.

Zerkam w bok, gdzie siedzą Pellieux, Gonse i Henry, zbyt pochłonięci rozmową, by zwracać

na mnie uwagę.

– Mogę panu powiedzieć tyle, że to zgoła desperacka taktyka. Moim zdaniem Gonse i Henry są wściekli, że zostali postawieni w takiej sytuacji.

– Jaką linię przesłuchania Boisdeffre’a powinienem obrać, pańskim zdaniem?

– Niech pan mu każe odczytać dokument w całości. Proszę spytać, czy zgodzą się na badania laboratoryjne. I niech pan go spyta, jak to się stało, że ten „niepodważalny dowód” winy Dreyfusa zdobyli dopiero dwa lata po tym, jak go zesłali na Diabelską Wyspę!

* * *

Przybycie Boisdeffre’a do sądu zapowiadają dochodzące z korytarza owacje i brawa. Drzwi otwierają się z trzaskiem. Przodem śpieszy kilku jego ordynansów, a w końcu wielki człowiek pojawia się we własnej osobie i wolno kroczy z tyłu sali w kierunku ławy sędziowskiej. Widzę go po raz pierwszy od piętnastu miesięcy. Wysoki i dostojny, maszeruje sztywno w zapiętym pod szyję czarnym mundurze, jaskrawo

kontrastującym z bielą jego włosów i wąsów; odnoszę wrażenie, że bardzo się postarzał.

– Dziękujemy za przybycie, generale – wita go sędzia. – Wydarzyło się tu coś nieoczekiwanego. Odczytam panu stenogram zeznania złożonego przez generała Pellieux.

Gdy sędzia kończy czytać, Boisdeffre poważnie kiwa głową.

– Będę się streszczał. Potwierdzam, że zeznanie generała Pellieux jest dokładne i prawdziwe w całej rozciągłości. Nie mam ani słowa do dodania, nie mam do tego prawa. – Odwraca się do przysięgłych. – Pozwólcie, panowie, że na koniec powiem wam jedno. Jesteście sędziami przysięgłymi, jesteście więc narodem. Jeżeli naród nie ma zaufania do dowódców swojego wojska, do tych, którzy odpowiadają za obronność kraju, to oni są gotowi przekazać to trudne zadanie innym, wystarczy jedno wasze słowo. Ja nie powiem nic więcej. Panie przewodniczący, za pańską zgodą chciałbym się oddalić.

– Może pan odejść, generale – odpowiada sędzia. – Proszę wezwać następnego świadka.

Boisdeffre odwraca się i przy wtórze głośnych owacji dobiegających ze wszystkich stron sali, rusza do wyjścia. Kiedy mnie mija, przez

mgnienie oka jego wzrok pada na moją twarz; mięśnie jego policzka drgają lekko. Ściga go wołanie Laboriego:

– Przepraszam, generale, mam do pana szereg pytań!

Sędzia każe mu się uciszyć.

– Nie ma pan głosu, *maître* Labori. Sprawa jest zamknięta.

Zrobiwszy, co do niego należało, Boisdeffre równym krokiem oddala się od miejsca dla świadków. Kilku oficerów ze sztabu generalnego wstaje i rusza za nim, zapinając peleryny.

Labori nie rezygnuje i nadal usiłuje przywołać go z powrotem.

– Przepraszam, generale Boisdeffre…

– Nie ma pan głosu! – Sędzia wali młotkiem w stół. – Wprowadzić majora Esterházyego.

– Ale ja najpierw mam pytania do tego świadka…

– Ten incydent wykraczał poza kompetencje tego sądu. Odbieram panu głos.

– A ja się go domagam!

Ale jest już za późno. Z tyłu sali dobiega odgłos zamykanych drzwi – lekko, bez trzaskania – i na tym kończy się udział Boisdeffre’a w rozprawie.

* * *

Po dramatycznych ostatnich kilku minutach przybycie Esterházyego rozczarowuje. Słychać, jak Labori i obaj bracia Clemenceau naradzają się głośnym szeptem, czy powinni opuścić salę rozpraw w proteście przeciwko niesłychanej interwencji Boisdeffre'a. Przysięgli – ta zbieranina sklepikarzy z tekstyliami, kupców i producentów warzyw – wciąż są oszołomieni tym, że sam szef sztabu generalnego zagroził im, że jeśli zagłosują przeciwko wojsku, to całe naczelne dowództwo potraktuje to jako wotum nieufności i poda się do dymisji. Jeśli chodzi o mnie, wiercę się na ławie, dręczony niepewnością, jak mam się zachować, żeby postąpić zgodnie z własnym sumieniem.

Esterházy – roztrzęsiony, z rozbieganym spojrzeniem nienaturalnie wielkich, wytrzeszczonych oczu – na początek apeluje do przysięgłych:

– Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z tego, w jak paskudnej sytuacji się znalazłem. Ten nędznik, *monsieur* Mathieu Dreyfus, nie mając cienia dowodu, ośmielił się oskarżyć mnie o zbrodnię, za którą skazano jego brata. Dzisiaj, w pogardzie dla wszelkich praw, w pogardzie dla

wszelkich zasad sprawiedliwości, wezwano mnie, bym stanął przed wami nie jako świadek, lecz jako oskarżony. Z całej siły protestuję przeciwko takiemu traktowaniu…

Nie jestem w stanie tego słuchać. Wstaję i ostentacyjnie wychodzę z sali rozpraw.

Ścigają mnie krzyki Esterházyego:

– W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy ukartowano przeciwko mnie najbardziej potworny spisek, jaki kiedykolwiek uknuto przeciwko człowiekowi! W tym czasie wycierpiałem więcej, niż ktokolwiek ze współczesnych wycierpiał przez całe życie…!

Odcinam się od niego, zamykając za sobą drzwi, i przeglądam korytarze w poszukiwaniu Louisa; w końcu znajduję go w holu de Harlaya – siedzi na ławie, wbijając wzrok w podłogę.

Unosi głowę i patrzy na mnie ponuro.

– Zdajesz sobie sprawę, że właśnie byliśmy świadkami *coup d'état*? Bo jak inaczej nazwać sytuację, kiedy sztab generalny dostaje zgodę na posłużenie się dowodem, z którym obrona nie ma prawa się zapoznać, a potem grozi, że jeżeli sąd cywilny tego nie zaakceptuje, to dowództwo *en masse* poda się do dymisji? Taktyką, której użyli w sprawie Dreyfusa, próbują teraz szantażować cały kraj!

– Zgadzam się z tobą. Dlatego chciałem, żeby ponownie wezwano mnie na świadka.

– Jesteś tego pewny?

– Przekażesz to Laboriemu?

– Uważaj, Georges… a mówię to jako twój prawnik. Za naruszenie tajemnicy państwowej mogą cię posadzić na dziesięć lat.

Kiedy wracamy do sądu, dodaję:

– Chciałbym, żebyś zrobił dla mnie coś jeszcze, jeśli możesz. W Sûreté pracuje pewien policjant, Jean-Alfred Desvernine. Spróbuj się z nim dyskretnie skontaktować i przekaż mu, że muszę się z nim spotkać w głębokiej tajemnicy. Powiedz mu, żeby czytał gazety, bo dzień po tym, jak zostanę zwolniony, będę na niego czekał o siódmej wieczorem w tym samym miejscu co zawsze.

– W tym samym miejscu co zawsze… – zapisuje Louis, powstrzymując się od komentarza.

Gdy wracam na salę, sędzia pyta:

– Pułkowniku Picquart, co takiego miałby pan ochotę dodać?

Idąc na miejsce dla świadków, zerkam na Henry’ego – siedzi wciśnięty między Gonse’a i Pellieux. Ma tak szeroką klatkę

piersiową, że założone na niej ręce wyglądają jak kikuty skrzydeł.

Głaszczę wypolerowane drewno balustrady, muskam palcami jego słoje.

– Chcę powiedzieć coś o dokumencie wspomnianym przez generała Pellieux, który rzekomo stanowi niepodważalny dowód winy Dreyfusa. Gdyby nie wywołał tego tematu, ja sam nigdy bym o nim nie mówił, teraz jednak uważam to za swój obowiązek. – Zegar tyka, u moich stóp otwiera się zapadnia i w końcu robię krok w przepaść. – Otóż ten dokument to fałszywka.

* * *

Szybko opowiadam resztę. Gdy cichną wściekłe ryki i wrzaski, Pellieux występuje na środek sali i przypuszcza na mnie gwałtowny atak.

– Wszystko w tej sprawie jest dziwne, najdziwniejsza jest jednak postawa człowieka, który wciąż nosi mundur francuskiego żołnierza, a mimo to przychodzi do sądu, by oskarżyć trzech generałów o dokonanie fałszerstwa…

W dniu ogłoszenia wyroku po raz ostatni do Mont-Valérien zajeżdża po mnie powóz. Na

ulicach otaczających Pałac Sprawiedliwości roi się od zbirów z ciężkimi pałkami w rękach, a kiedy przysięgli udają się na naradę w sprawie werdyktu, nasza grupa „dreyfusistów”, jak zaczęto nas nazywać, stoi na środku sali rozpraw, głównie ze względu na własne bezpieczeństwo: ja, Zola, Perrenx, bracia Clemenceau, Louis i Labori, *madame* Zola, a także olśniewająco piękna, młoda żona Laboriego, Australijka o imieniu Marguerite, która przyprowadziła dwóch synów z poprzedniego małżeństwa. „Dzięki temu wszyscy jesteśmy razem”, wyjaśnia mi po francusku, z silnym akcentem. Przez wysokie okna dobiega nas wrzawa motłochu na zewnątrz.

– Jeśli wygramy, nie opuścimy tego budynku żywi – mówi Clemenceau.

Przysięgli wracają po czterdziestu minutach. Przewodniczący im krzepki kupiec wstaje.

– Przysięgając na mój honor i sumienie, ogłaszam wyniki głosowania ławy przysięgłych: Perrenx został uznany za winnego większością głosów. Zola został uznany za winnego większością głosów.

Wybucha wrzawa. Wojskowi wiwatują. Wszyscy zrywają się na równe nogi. Modnisie z tyłu sali stają na krzesłach, by lepiej widzieć.

– Kanibale – rzuca Zola.

Sędzia informuje Perrenxa, redaktora naczelnego „L'Aurore", że skazuje go na cztery miesiące więzienia oraz trzy tysiące franków grzywny. Zola otrzymuje maksymalną karę roku odsiadki w więzieniu i pięciu tysięcy franków grzywny. Wyroki zostają zawieszone do czasu rozpatrzenia apelacji.

Wychodząc, mijam Henry'ego stojącego w grupie oficerów ze sztabu generalnego. Właśnie opowiada jakiś dowcip.

– Moi sekundanci w ciągu kilku dni skontaktują się z pańskimi, żeby ustalić szczegóły naszego pojedynku – informuję go zimno i z przyjemnością stwierdzam, że przynajmniej na chwilę ta zapowiedź starła uśmieszek z jego świńskiego ryja.

* * *

Trzy dni później, w sobotę, dwudziestego szóstego lutego, komendant Mont-Valérien wzywa mnie do swojego gabinetu i każąc mi stać na baczność, oznajmia, że skład sędziowski złożony z wyższych oficerów skazał mnie za „ciężkie naruszenie etyki żołnierskiej" i niniejszym zostaję wydalony z wojska. Nie

otrzymam emerytury należnej pułkownikowi w stanie spoczynku, lecz tyle, ile przysługuje majorowi: trzydzieści franków tygodniowo. Poza tym został upoważniony, by mi przekazać, że jeśli będę publicznie komentował okres mojej służby w sztabie generalnym, wojsko poczyni wobec mnie „możliwie najsurowsze kroki”.

– Czy ma pan coś do powiedzenia?

– Nie, panie pułkowniku.

– Możecie odejść!

O zmroku eskorta odprowadza mnie do bramy i zostawia na bruku placu przed twierdzą, bym taszcząc walizkę, na własną rękę dotarł do domu. Od kiedy skończyłem osiemnaście lat, nie znałem innego życia niż w wojsku. Teraz jednak mam to już za sobą i jako zwyczajny *monsieur* Picquart schodzę ze wzgórza na stację, by złapać pociąg do Paryża.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Następnego dnia wieczorem zajmuję znany mi stolik w rogu kawiarenki na gare Saint-Lazare. Jak to w niedzielę, panuje spokój i lokal jest wyludniony. Jestem jednym z nielicznych klientów. Po drodze przedsięwziąłem wszelkie środki ostrożności – zaglądałem do kościołów i wychodziłem z nich bocznymi drzwiami, wracałem po własnych śladach, uskakiwałem w wąskie zaułki… i w rezultacie zyskałem pewność, że nikt mnie nie śledzi. Czytam gazetę, wypalam papierosa i udaje mi się sączyć piwo aż do za kwadrans ósma, kiedy to staje się oczywiste, że Desvernine nie przyjdzie. Sprawił mi zawód, jednak nie jestem zdziwiony – trudno mieć mu to za złe, zważywszy na to, jak zmieniła się moja sytuacja od czasu naszego ostatniego spotkania.

Wychodzę i łapię omnibus do domu. Na dolnym poziomie panuje ścisk, więc wchodzę na górny, skąd wpadający przez otwarte boki ziąb wygania moich współpasażerów. Siadam mniej więcej na środku centralnej ławy i ze zwieszoną

głową i rękami w kieszeniach przyglądam się górnym piętrom mijanych sklepów. Nie upływa minuta, gdy dosiada się do mnie mężczyzna w grubym płaszczu i ciepłym szalu. Zostawia trochę wolnego miejsca między nami.

– Dobry wieczór, pułkowniku – odzywa się.

Odwracam się zaskoczony.

– *Monsieur* Desvernine!

On nadal patrzy prosto przed siebie.

– Śledzili pana w drodze od mieszkania – mówi.

– Myślałem, że ich zgubiłem.

– Dwóch z nich. Trzeci siedzi na dolnym poziomie. Na szczęście ten akurat pracuje dla mnie. Nie sądzę, żeby był czwarty, ale na wszelki wypadek proponuję rozmawiać jak najkrócej.

– Tak, oczywiście. Miło, że w ogóle pan się zjawił.

– Czego pana chce?

– Porozmawiać z Lemercierem-Picardem.

– Po co?

– W sprawie Dreyfusa dokonano wielu fałszerstw. Podejrzewam, że przynajmniej w niektórych maczał palce.

– Aha! – Desvernine rzuca to niemal z bólem serca. – To nie będzie takie proste. Czy mógłbym prosić o jakieś konkrety?

– Tak, mam na myśli zwłaszcza dokument, o którym niegdyś napisał Zola. Ten tak zwany niepodważalny dowód, za którego prawdziwość ręczył generał Boisdeffre. Jeśli jest tak, jak przypuszczam, składa się on z pięciu albo sześciu wierszy tekstu. To bardzo dużo do sfałszowania przez amatora, ale i mnóstwo materiału porównawczego. Dlatego podejrzewam, że zatrudnili do tego zawodowca.

– A kim są ci „oni”, pułkowniku, jeśli wolno spytać?

– Sekcja statystyczna. Pułkownik Henry.

– Henry? Został tymczasowym szefem! – Nareszcie spogląda na mnie.

– Na pewno uda mi się zdobyć pieniądze, jeśli na tym zależy pańskiemu człowiekowi – zapewniam.

– Właśnie o to mu chodzi, tyle mogę panu powiedzieć już teraz. I nie zadowoli się byle czym. Kiedy chce się pan z nim zobaczyć?

– Jak najszybciej.

Desvernine szczelniej otula się płaszczem, zastanawiając się. Nie widzę jego twarzy.

– Proszę zostawić to mnie, pułkowniku – mówi w końcu i wstaje. – Ja tu wysiadam.

– Nie jestem już pułkownikiem, *monsieur* Desvernine. Proszę mnie tak nie tytułować. I nie

ma pan obowiązku mi pomagać. Bardzo pan ryzykuje.

– Zapomina pan, ile czasu spędziłem na śledzeniu Esterházyego… Znam tego łotra na wylot, pułkowniku. Niedobrze mi się robi, gdy widzę, jak chodzi na wolności. Pomogę panu już choćby ze względu na niego.

* * *

Do pojedynku z Henrym potrzebuję dwóch sekundantów, którzy ustalą szczegóły i dopilnują, żeby wszystko odbyło się uczciwie. Na jednego z nich chcę prosić Edmonda Gasta, więc jadę do Ville-d'Avray. Po obiedzie siedzimy na tarasie, z kocem na kolanach, i palimy cygara.

– No cóż, skoro nie chcesz od tego odstąpić, to oczywiście czuję się zaszczycony. Ale błagam cię, zastanów się jeszcze.

– Wyzwałem go publicznie, Ed. Nie mogę się teraz wycofać. A poza tym nie chcę.

– Jaką broń wybierzesz?

– Szpady.

– Daj spokój, Georges… Nie uprawiałeś szermierki od lat!

– Sądząc z jego wyglądu, on też nie. Tak czy siak, zachowuję zimną krew i wciąż jestem

całkiem zwinny.

– Ale z pewnością o wiele lepiej strzelasz, niż władasz szpadą! Poza tym pistolety mają tę zaletę, że można celowo spudłować.

– To prawda, tyle że jeśli zdecydujemy się na pistolety, a on wygra losowanie i postanowi strzelać pierwszy, to raczej nie zechce chybić. Na pewno rozwiązałby wszystkie ich problemy, pakując mi kulkę prosto w serce. Nie, to za duże ryzyko.

– A kto będzie twoim drugim sekundantem?

– Zastanawiałem się, czy mógłbyś poprosić o to swojego przyjaciela, senatora Ranca.

– Dlaczego akurat jego?

Przed odpowiedzią pykam z cygara.

– Podczas pobytu w Tunezji prowadziłem śledztwo w sprawie markiza de Morèsa. Zabił w pojedynku żydowskiego oficera, używając cięższej szpady, niż to przewidują przepisy… Przeszył go pod pachą, przecinając mu kręgosłup. Myślę, że mieć senatora pod ręką to dla mnie dobre ubezpieczenie na życie. Prawdopodobnie powstrzymałoby Henry’ego przed uciekaniem się do podobnych sztuczek.

Edmond patrzy na mnie z przerażeniem.

– Przepraszam cię, Georges, ale moim zdaniem to szaleństwo. Nawet nie ze względu na

ciebie… Sprawa uwolnienia Dreyfusa wymaga, żebyś się nie narażał.

– On podczas publicznej rozprawy w sądzie nazwał mnie kłamcą. Mój honor wymaga pojedynku.

– A czyj honor próbujesz pomścić, swój czy Pauline?

Nie odpowiadam.

* * *

Następnego dnia wieczorem Edmond i Ranc wybierają się w moim imieniu do mieszkania Henry'ego przy avenue Duquesne, dokładnie na wprost École Militaire, żeby oficjalnie wręczyć mu wyzwanie na pojedynek. Potem Edmond opowiada mi:

– Niewątpliwie był w domu… Widzieliśmy jego buty w korytarzu, poza tym usłyszałem, jak jego synek wołał „Tata!", a potem męski głos uciszający chłopca. A jednak wysłał żonę, żeby z nami porozmawiała. Wzięła od nas list i obiecała, że jutro mąż udzieli odpowiedzi. Odnoszę wrażenie, że on za wszelką cenę chce uniknąć walki.

Środa mija, a odpowiedź od Henry'ego nie nadchodzi. Około ósmej wieczorem rozlega się

pukanie do drzwi, więc wstaję i idę otworzyć; zakładam, że to jego sekundanci przynoszą mi odpowiedź, a tymczasem na klatce stoi Desvernine. Wchodzi tylko na chwilę, nawet nie ściąga kapelusza ani płaszcza.

– Wszystko jest gotowe – informuje mnie. – Nasz człowiek zatrzymał się w pensjonacie De la Manche przy rue de Sèvres. Używa jednego ze swych pseudonimów… Koberty Dutrieux. Czy ma pan broń, pułkowniku?

Rozchylam kurtkę, pokazuję mu kaburę pod pachą. Skoro odebrano mi służbowy rewolwer, sprawiłem sobie brytyjską broń, webleya.

– Dobrze – mówi. – Wobec tego powinniśmy już iść.

– Teraz?

– On nigdy nie przebywa długo w jednym miejscu.

– A nie będziemy śledzeni?

– Nie. Zamieniłem się na dyżur, żeby być szefem ekipy, która ma pana inwigilować dzisiaj wieczorem. Według najlepszej wiedzy Sûreté, pułkowniku, cały dzisiejszy wieczór i noc spędzi pan w swoim mieszkaniu.

Bierzemy dorożkę, jedziemy na drugi brzeg rzeki i przy południowej stronie École Militaire płacę woźnicy. Resztę drogi odbywamy pieszo.

Odcinek rue de Sèvres, przy którym stoi pensjonat Manche, jest wąski i kiepsko oświetlony; łatwo go przeoczyć. Mieści się w wąskiej, walącej się ruderze wciśniętej między sklep rzeźnika i bar. To miejsce z gatunku tych, gdzie może zatrzymać się na noc komiwojażer i gdzie niewątpliwie wynajmuje się pokoje na godziny. Desvernine wchodzi pierwszy, ja za nim. W recepcji brakuje konsjerża. Przez zasłonę z paciorków widzę ludzi przy kolacji w małej jadalni. Nie ma windy. Wąskie schody trzeszczą przy każdym kroku. Wchodzimy na trzecie piętro, po czym Desvernine puka do jakiegoś pokoju. Bez odpowiedzi. Naciska klamkę – drzwi są zamknięte na klucz. Przykłada palec do ust i stoimy, wytężając słuch. Z sąsiedniego pokoju dobiegają odgłosy przyciszonej rozmowy.

Desvernine sięga do kieszeni i wyjmuje zestaw wytrychów identyczny z tym, który pożyczył mnie. Klęka i bierze się do roboty. Rozpinam płaszcz i marynarkę, czując dodający otuchy ucisk webleya na piersi. Po chwili rozlega się trzask zamka. Desvernine wstaje, spokojnie składa narzędzia i chowa je do kieszeni. Cicho otwiera drzwi, patrząc na mnie. W pokoju jest ciemno. Maca ścianę w poszukiwaniu kontaktu i włącza światło.

W pierwszym odruchu myślę, że to wielka hebanowa lalka… a może manekin krawiecki, wykonany z czarnego gipsu i w pozycji siedzącej oparty pod oknem. Nie odwracając się, bez słowa, Desvernine unosi lewą rękę na znak, żebym się nie ruszał; drugą ręką ściska broń. W kilku krokach dopada okna, spogląda na siedzący przedmiot i szepcze:

– Niech pan zamknie drzwi.

Po wejściu do pokoju mniej więcej poznaję, że jest to Lemercier-Picard, czy jak tam naprawdę się nazywał. Twarz ma fioletowoczarną, głowa opadła mu na pierś. Jego oczy są otwarte, język jest wywalony na wierzch, a cały front koszuli utytłany zaschniętym śluzem. Za jego plecami biegnie głęboko wżarta w fałdy szyi cienka linka, napięta niczym struna harfy i przywiązana do ramy okna. Zbliżywszy się, widzę, że jego stopy i łydki, gołe i posiniaczone, dotykają podłogi, a biodra są nad nią nieco uniesione. Ręce, z zaciśniętymi pięściami, zwisają po bokach.

Desvernine wyciąga rękę i dotyka napuchniętej szyi, szukając pulsu, po czym siada w kucki i szybko przeszukuje zwłoki.

– Kiedy ostatnio pan z nim rozmawiał? – pytam.

– Dziś rano. Stał przy tym samym oknie, równie żywy jak pan teraz.

– Czy miał depresję? Myśli samobójcze?

– Nie, był tylko przerażony.

– Od jak dawna nie żyje?

– Jest zimny, ale stężenie pośmiertne jeszcze się nie zaczęło… Od dwóch, najwyżej trzech godzin.

Prostuje się, podchodzi do łóżka. Leży na nim otwarta walizka. Odwraca ją, wysypuje zawartość na kupę, po czym przegląda żałośnie skromny dobytek i oddziela pióra, stalówki, ołówki, kałamarze z atramentem. Na oparciu krzesła wisi tweedowa marynarka. Z wewnętrznej kieszeni wyjmuje portfel i przegląda zawartość, a potem sprawdza boczne kieszenie – w jednej są drobne, w drugiej klucze do pokoju.

Obserwuję jego poczynania.

– Żadnego listu? – pytam.

– W ogóle ani świstka papieru. W wypadku fałszerza to bardzo dziwne, nie sądzi pan? – Wkłada wszystko z powrotem do walizki. Następnie podnosi materac, klepie sprężyny pod nim, wysuwa szufladę nocnego stolika, zagląda do nędznej szafy, zwija kwadratową matę. W końcu, pokonany, staje, opierając ręce na

biodrach. – Wszystko gruntownie przeszukali. Nie zostawili nic a nic – oznajmia. – Niech pan stąd lepiej idzie, pułkowniku. Tylko tego panu trzeba, żeby zastali pana z trupem w pokoju… Zwłaszcza z tym trupem.

– A co z panem?

– Zamknę drzwi na klucz i zostawię wszystko w takim stanie, w jakim to zastaliśmy. Może pokręcę się na zewnątrz przez godzinkę czy dwie, przekonam się, kto tu zajrzy. – Spogląda na zwłoki. – Zobaczy pan… od razu zakwalifikują to jako samobójstwo i żaden policjant ani rzezimieszek w Paryżu nie powie nic innego. Biedak. – Czule przesuwa ręką po wykrzywionej twarzy, zamykając wytrzeszczone oczy.

* * *

Nazajutrz w moim mieszkaniu zjawiają się dwaj pułkownicy: Parès oraz Boissonnet – znani sportowcy i kompani Henry’ego od kieliszka. Siląc się na wielkopańskie maniery, informują mnie, że pułkownik Henry odmawia walki ze mną, dlatego że jako zdegradowany oficer nie mogę jakoby bronić honoru, bo „straciłem zdolność honorową”. A skoro tak, to nie doszło do obrazy.

Parès obrzuca mnie zimnym, pogardliwym spojrzeniem.

– Pułkownik sugeruje, *monsieur* Picquart, żeby zażądał pan satysfakcji od majora Esterházyego. O ile mu wiadomo, major Esterházy aż się pali, żeby wyzwać pana na pojedynek.

– Nie wątpię. Wobec tego zawiadomcie pułkownika Henry'ego… majora Esterházyego również… że nie zniżę się do rynsztoka, żeby się bić ze zdrajcą i defraudantem. Pułkownik Henry publicznie nazwał mnie kłamcą w czasie, gdy byłem oficerem w służbie czynnej. Wówczas to wyzwałem go na pojedynek, a więc zważywszy na okoliczności, ma obowiązek dać mi satysfakcję. Jeżeli odmówi, świat się o tym dowie i wyciągnie oczywisty wniosek: że jest on nie tylko oszczercą, ale i tchórzem. Miłego dnia, panowie.

Zamknąwszy za nimi drzwi, uświadamiam sobie, że cały się trzęsę, choć nie wiem, czy ze zdenerwowania, czy z wściekłości.

Późnym wieczorem przychodzi Edmond z wiadomością, że ostatecznie Henry postanowił przyjąć moje wyzwanie. Pojedynek odbędzie się pojutrze, o dziesiątej trzydzieści rano, w szkole

jeździeckiej mieszczącej się pod dachem École Militaire. Bronią będą szpady.

– Henry z przydziału dostanie lekarza wojskowego. Musimy wyznaczyć własnego lekarza, który będzie nam towarzyszył. Czy przychodzi ci do głowy ktoś konkretny?

– Nie.

– Wobec tego sam kogoś znajdę. A teraz się pakuj.

– Po co?

– Bo na zewnątrz czeka mój powóz, którym pojedziesz do mnie, gdzie będziemy ćwiczyli szermierkę. Nie zamierzam być świadkiem twojej śmierci.

Zastanawiam się, czy mu powiedzieć o Lemercierze-Picardzie, ale uznaję, że to nie ma sensu – jest już wystarczająco zdenerwowany.

Piątek spędzamy w stodole Edmonda, gdzie godzinami poddaje mnie próbom, na nowo ucząc mnie podstaw ataku złożonego i zasłony okrężnej, przeciwnatarcia i uniku. Następnego dnia opuszczamy Ville-d'Avray zaraz po dziewiątej i jedziemy do Paryża. Jeanne gorączkowo obsypuje pocałunkami całą moją twarz, jakby nie spodziewała się mnie już ujrzeć.

– Rozstajemy się, Georges, najdroższy! Nigdy cię nie zapomnę! Żegnaj!

– Jeanne, kochanie, to źle wpływa na moje morale…

Godzinę później skręcamy w avenue de Lowendal, gdzie przed wejściem do szkoły jeździeckiej czeka już kilkusetosobowy tłum, w tym wielu kadetów z École Militaire – młodzi ludzie, tacy jak ci, których swego czasu uczyłem, a którzy teraz mnie wygwizdują, gdy w cywilnym ubraniu wysiadam z powozu. Drzwi pilnuje szpaler kawalerzystów. Edmond puka, na co odsuwa się rygiel i wchodzimy do znajomej kiepsko oświetlonej, zimnej hali śmierdzącej końskim łajnem, amoniakiem i sianem. Uwięzione ptaki biją skrzydłami o świetliki. Na środku olbrzymiej *manège* ustawiono stół na kozłach, o który opiera swoje wielkie cielsko Arthur Ranc. Podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką. Mimo że bliżej mu do siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki, ma bujną czarną brodę, a jego oczy za szkłami pince-nez lśnią z ciekawości.

– W swoim czasie pojedynkowałem się na potęgę, mój drogi – mówi na powitanie. – Powinieneś pamiętać tylko o tym, że już za dwie godziny będziesz siadał do obiadu z takim apetytem, jak jeszcze nigdy w życiu. Warto walczyć już dla samej rozkoszy z posiłku!

Przedstawiają mi kierownika pojedynku, emerytowanego starszego sierżanta Gwardii Republikańskiej, a także mojego lekarza, pracującego w szpitalu jako chirurg. Czekamy piętnaście minut; w naszej rozmowie wyczuwa się coraz większe napięcie, aż w końcu wybuch owacji na ulicy zapowiada przybycie Henry'ego. Ten wchodzi w asyście dwóch pułkowników i traktując nas jak powietrze, idzie prosto do stołu i ściąga rękawiczki. Potem zdejmuje czapkę, odkłada ją i rozpina mundur, jakby szykował się do badania lekarskiego, które chce jak najszybciej skończyć. Ja także zdejmuję marynarkę i kamizelkę i podaję je Edmondowi. Prowadzący pojedynek rysuje kredą grubą linię na środku kamiennej podłogi, odmierza krokami odległość z obu stron, zaznacza każdą z nich krzyżykiem, po czym wzywa nas do siebie.

– Panowie, proszę rozpiąć koszule – mówi. Na chwilę odsłaniamy piersi, by mu pokazać, że nie mamy żadnej osłony; ciało Henry'ego jest różowe i bez owłosienia, zupełnie jak brzuch świni. W trakcie tej procedury Henry spogląda na swoje dłonie, na podłogę, krokwie… wszędzie, byle nie na mnie.

Odbywa się ważenie i mierzenie naszej broni. Starszy sierżant tłumaczy:

– Panowie, jeśli któryś z was zostanie ranny albo ranę dostrzegą wasi sekundanci, walka zostanie przerwana, chyba że ranny wyrazi życzenie, żeby walczyć dalej. Po zbadaniu rany, jeśli taka będzie wola poszkodowanego, walka może zostać podjęta. – Wręcza nam szpady. – Przygotujcie się.

Zginam kolana, wykonuję kilka ćwiczebnych pchnięć i ripost, po czym odwracam się do Henry'ego, stojącego jakieś sześć kroków dalej; teraz, gdy na mnie patrzy, dostrzegam bijącą z jego oczu nienawiść. Nie mam wątpliwości, że jeśli tylko mu się uda, spróbuje mnie zabić.

– *En garde* – mówi starszy sierżant. Przyjmujemy postawę zasadniczą. Prowadzący pojedynek spogląda na zegarek, unosi laskę i macha nią w dół. – *Allez!*

Henry natychmiast naciera na mnie, wymachując szpadą tak szybko i silnie, że omal nie wytrąca mi oręża z ręki. Z braku wyboru muszę się cofać pod tym gradem pchnięć, parując sztychy raczej instynktownie niż dzięki umiejętnościom. Potykam się o własne nogi, chwieję się lekko, a wtedy Henry zadaje pchnięcie w moją szyję. Zarówno Ranc, jak i Edmond głośno protestują przeciwko tak nielegalnemu cięciu. Zataczam się do tyłu

i uderzam ramieniem o ścianę. Henry zepchnął mnie już o jakieś dwadzieścia kroków. Wciąż muszę robić uniki i uchylać się przed jego ciosami, uskakując i na nowo przyjmując postawę obronną, a tymczasem on naciera bez przerwy.

Słyszę, jak Ranc skarży się kierownikowi pojedynku: „Przecież to jakaś farsa, *monsieur*!”, na co ten upomina: „Pułkowniku Henry, pojedynek to forma rozstrzygania sporu pomiędzy dżentelmenami!”, ale po oczach Henry’ego widzę, że on słyszy wyłącznie dudnienie własnej krwi. Znów rzuca się na mnie i tym razem czuję ostrze jego szpady na ścięgnie szyi, co oznacza, że znalazłem się tak blisko śmierci, jak jeszcze nigdy od urodzenia. Ranc krzyczy: „Dość!”, lecz w tym momencie czubek mojej klingi tnie przedramię Henry’ego. Ten spogląda na rękę i opuszcza broń; ja robię to samo, a lekarze i sekundanci biegną do nas. Starszy sierżant patrzy na zegarek.

– Pierwsze starcie trwało dwie minuty – ogłasza.

Mój lekarz ustawia mnie dokładnie pod świetlikiem i odchyla mi głowę, by obejrzeć szyję.

– Nic panu nie jest, ostrze minęło pana o włos – oznajmia.

Natomiast Henry krwawi – przedramię nie jest mocno skaleczone, to raczej draśnięcie, ale wystarczające, by prowadzący pojedynek poinformował:

– Pułkowniku, może pan zrezygnować z dalszej walki.

Henry kręci głową.

– Walczymy dalej – odpowiada.

Podczas gdy opuszcza rękaw i ściera krew, Edmond zwraca się do mnie cicho:

– Przecież to jakiś obłąkany morderca! W życiu nie widziałem czegoś podobnego.

– Jeśli znowu spróbuje, przerwę pojedynek – dorzuca Ranc.

– Nie, proszę tego nie robić – mówię. – Walczmy do samego końca.

– Panowie, zajmijcie miejsca! – woła prowadzący pojedynek. – *Allez!*

Henry próbuje wznowić starcie w miejscu, w którym je przerwał, z taką samą agresją jak poprzednio, i spycha mnie ku ścianie. Ale jego przedramię spływa krwią. Dłoń ślizga mu się na rękojeści. Wciąż tnie szpadą, lecz już bez wcześniejszego przekonania – siecze coraz wolniej, słabiej. Albo mnie pokona naprawdę szybko, albo przegra. Wkłada wszystkie siły w ostatni sztych w moje serce. Paruję cios,

odwracam jego klingę i pchnięciem trafiam go w łokieć. Henry wydaje ryk bólu i upuszcza szpadę.

– Stać! – wołają jego sekundanci.

– Nie! – krzyczy Henry, krzywiąc się z bólu i ściskając łokieć. – Mogę walczyć dalej! – Schyla się, podnosi szpadę lewą ręką i próbuje ująć rękojeść prawą, ale zakrwawione palce nie zamykają się na niej. Ponawia to kilka razy, lecz każda próba kończy się tym, że szpada ląduje na ziemi. Obserwuję go bez cienia litości. – Dajcie mi chwilę – mamrocze, odwracając się ode mnie, by nie pokazywać swojej słabości.

W końcu dwaj pułkownicy przekonują go, by podszedł do stołu i dał się zbadać lekarzowi. Pięć minut później pułkownik Parès podchodzi do miejsca, gdzie czekam w towarzystwie Edmonda i Ranca, i oznajmia:

– Nerw łokciowy został uszkodzony. Przez kilka dni palce nie będą w stanie niczego chwycić. Pułkownik Henry musi się wycofać.

Salutuje nam i odchodzi.

Wkładam kamizelkę, marynarkę i zerkam na Henry’ego, który wbijając wzrok w podłogę, siedzi skulony na krześle. Pułkownik Parès staje za nim i pomaga mu naciągnąć rękaw kurtki,

a pułkownik Boissonnet klęka u jego stóp i zapina mu guziki.

– Popatrzcie na niego – odzywa się Ranc z pogardą. – Jest jak ten wielki bachor. Skończony raz na zawsze.

– Racja – przytakuję. – Też tak sądzę.

* * *

Nie przestrzegamy zwyczajów tradycyjnie następujących po pojedynku i nie wymieniamy uścisków rąk. Przeciwnie, gdy ludzie na avenue de Lowendal dowiadują się, że ich bohater jest ranny, sekundanci czym prędzej wyganiają mnie tylnym wyjściem, żeby uniknąć wrogiej tłuszczy. Następnego dnia gazety podają na pierwszych stronach, że Henry, z ręką na temblaku, wyszedł witany owacjami swoich zwolenników, po czym zawieziono go otwartym lando do jego mieszkania tuż za rogiem, gdzie czekał na niego generał Boisdeffre we własnej osobie, by w imieniu wojska złożyć mu najlepsze życzenia. Ja idę na obiad z Edmondem i senatorem i przekonuję się, że stary Ranc miał rację – rzadko kiedy miałem taki apetyt i tak mi smakował posiłek.

Ten pogodny nastrój mnie nie opuszcza i przez następne trzy miesiące co rano budzę się z przedziwnie optymistycznym nastawieniem. Chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się, że moja sytuacja nie może być gorsza. Nie mam nic do roboty, nie czeka mnie żadna kariera, rentę mam za małą, a oszczędności nie wystarczy mi na długo. Dopóki trwa sprawa rozwodowa Pauline, nadal nie mogę się z nią spotykać – na wypadek gdyby śledziła nas prasa albo policja. Blanche wyjechała; jej brat musiał nieźle pociągnąć za sznurki i imać się rozmaitych podstępów (włącznie z udawaniem, że to pięćdziesięciopięcioletnia stara panna, chora na serce), żeby udało się uniknąć wezwania jej na świadka w procesie Zoli. Mnie w miejscach publicznych wygwizdują, a na łamach prasy oczerniają – bo Henry donosi gazetom, jakoby na przykład widziano mnie na spotkaniu z pułkownikiem von Schwartzkoppenem w Karlsruhe. Louis traci stanowisko zastępcy mera Siódmej Dzielnicy, a Rada Adwokacka nakłada na niego karę za „niewłaściwe zachowanie”. Reinach i inni wybitni zwolennicy Dreyfusa tracą miejsca w parlamencie, przegrywając w kolejnych wyborach. A śmierć Lemerciera-Picarda, choć wzbudza wielką

sensację, oficjalnie zostaje uznana za samobójstwo i na tym sprawa się kończy.

Wszędzie rządzą siły ciemności.

Nie dotknął mnie jednak całkowity ostracyzm. Paryska socjeta jest podzielona i równie wiele drzwi zatrzaskuje się przede mną, co otwiera. W niedziele zaczynam regularnie bywać na obiadach w domu *madame* Geneviève Straus, wdowy po Bizecie, przy rue de Miromesnil, wraz z takimi nowymi towarzyszami broni, jak Zola, Clemenceau, Labori, Proust i Anatol France. W środy wieczorem często odbywają się kolacje na dwadzieścia osób w salonie kochanki *monsieur* France'a, *madame* Léontine Arman de Caillavet, „Matki Boskiej Zmiennej", przy avenue Hoche – Léontine to ekstrawagancka wielka dama z krwistoczerwonymi policzkami i włosami farbowanymi na pomarańcz, na które nakłada kapelusz z wypchanych różowych gili, bez ronda. W czwartki mogę się przejść kilka ulic na zachód, w kierunku Porte Dauphine, na jeden z muzycznych *soirées madame* Aline Ménard-Dorian, w której jasnoczerwonych salonach ozdobionych pawimi piórami i japońskimi sztychami przewracam nuty takim wirtuozom, jak Cortot, Casals oraz trzy olśniewająco piękne młode siostry z tria Chaigneau.

– Ach, Georges, jakiś ty zawsze wesoły! – witają mnie te wspaniałe panie domu. W świetle świec wachlują się, trzepocząc do mnie rzęsami i pocieszająco dotykając mojego ramienia (bo w wielkim świecie przestępca przy stole zawsze jest mile widziany), po czym wołają do innych gości, by docenili mój spokój. A ich mężowie wykrzykują:

– Jesteś cudowny, Picquart! Albo cudowny, albo szalony. Ja w takich kłopotach na pewno nie potrafiłbym zachować dobrego humoru.

Uśmiecham się.

– No cóż, w towarzystwie zawsze trzeba robić dobrą minę do złej gry…

Tymczasem wcale nie udaję dobrego nastroju – przyszłość rysuje mi się w pogodnych barwach. Czuję przez skórę, że prędzej czy później – choć nie wiem, w jaki sposób się to odbędzie – cały ten wielki gmach wzniesiony przez wojsko, ta ruina zżeranej przez robactwo obronnej twierdzy, runie im na głowy. Ich kłamstwa zaszły za daleko i są tak niespójne, że nie wytrzymają próby czasu i dokładnej kontroli. Biedny Dreyfus, który właśnie rozpoczął swój czwarty rok na Diabelskiej Wyspie, być może tego nie dożyje, niewykluczone zresztą, że ja też nie. Jestem jednak przekonany, że czeka nas rehabilitacja.

* * *

Okazuje się, że miałem rację, i to nawet szybciej, niż się spodziewałem. Latem dochodzi do dwóch wydarzeń, które wszystko zmieniają.

Po pierwsze, w maju Labori przysyła mi wiadomość, bym jak najprędzej stawił się w jego mieszkaniu przy rue de Bourgogne, tuż obok Ministerstwa Wojny. Zjawiam się w ciągu godziny i w salonie zastaję zdenerwowanego dwudziestojednoletniego młodzieńca, wyraźnie z głębokiej prowincji. Labori przedstawia go jako Christiana Esterházyego.

– Cóż – mówię, trochę nieufnie podając mu rękę – to dosyć niesławne nazwisko.

– Ma pan na myśli mojego kuzyna? – odpowiada. – Tak, to on je okrył niesławą. Większego łajdaka świat nigdy nie nosił!

Jego zaciekłość zbija mnie z tropu.

– Niech pan siada, Picquart, i posłucha, co *monsieur* Esterházy ma nam do powiedzenia – mówi Labori. – Nie będzie pan rozczarowany.

Marguerite przynosi herbatę i zostawia nas samych.

– Osiemnaście miesięcy temu mój ojciec całkiem niespodziewanie zmarł w naszym domu w Bordeaux – zaczyna opowieść Christian. –

Tydzień po jego śmierci dostałem list z kondolencjami od kogoś, kogo nigdy wcześniej nie spotkałem: kuzyna mojego ojca, majora Walsina-Esterházyego. Przesyłał mi wyrazy współczucia, a poza tym pytał, czy mógłby nam jakoś pomóc, zwłaszcza w kwestii doradztwa finansowego.

Porozumiewam się wzrokiem z Laborim. Nie uchodzi to uwagi Christiana.

– *Monsieur* Picquart, widzę, że pan już wie, co z tego wynikło! Proszę jednak pamiętać, że nie miałem doświadczenia w takich sprawach, a matka to kobieta kompletnie oderwana od życia i niezwykle religijna… Ba, nawet moje obie siostry zostały zakonnicami. Krótko mówiąc, odpisałem szarmanckiemu krewnemu, wyjaśniając, że dostałem w spadku pięć tysięcy franków, a matka otrzyma sto siedemdziesiąt tysięcy ze sprzedaży posiadłości, dlatego chętnie skorzystamy z rady, w jaki sposób je bezpiecznie zainwestować. W odpowiedzi major napisał, że poleci nas swojemu bliskiemu przyjacielowi, Edmondowi de Rothschildowi. Oczywiście pomyśleliśmy: „Czy można sobie wymarzyć kogoś równie pewnego?”.

Upija łyk herbaty, zbiera myśli, po czym mówi dalej:

– Przez kilka miesięcy wszystko szło dobrze i regularnie dostawaliśmy od majora listy z czekami opiewającymi, jak pisał, na dywidendy od pieniędzy, które Rothschildowie zainwestowali w naszym imieniu. I nagle w listopadzie ubiegłego roku napisał do mnie z prośbą, żebym pilnie przyjechał do Paryża. Twierdził, że ma kłopoty i potrzebuje pomocy. Rzecz jasna, pojechałem bez zwłoki. Zastałem go w stanie koszmarnego rozstroju nerwowego. Powiedział, że wkrótce zostanie publicznie napiętnowany jako zdrajca, ale żebym nigdy nie wierzył w te opowieści. To wszystko jest spiskiem Żydów, którzy chcą zamienić go na Dreyfusa, i może to udowodnić dzięki pomocy oficerów z Ministerstwa Wojny. Wyjaśnił, że spotkania z jego głównym kontaktem stały się dla niego zbyt niebezpieczne, i zapytał, czy zgodziłbym się widywać z tym człowiekiem w jego imieniu i przekazywać między nimi wiadomości.

– A kim był ten kontakt? – spytałem.

– Pułkownik, nazywał się du Paty de Clam.

– Spotkał pan du Paty’ego?

– Tak, widywałem go często. Zwykle po nocy, w miejscach publicznych… W parkach, na mostach, w szaletach.

– W szaletach?

– I owszem, mimo że pułkownik zawsze się przebierał… Nosił ciemne okulary albo sztuczną brodę.

– Jakiego rodzaju wiadomości przekazywał pan między du Patym a swoim kuzynem?

– Najrozmaitsze. Ostrzeżenia przed tym, co się ukaże w prasie. Rady, w jaki sposób reagować. Pamiętam, że raz przekazywałem kopertę z tajnym dokumentem z ministerstwa. A także wiadomości dotyczące pana.

– Mnie?

– Tak, na przykład kiedyś były dwa telegramy. Utkwiły mi w pamięci, bo były bardzo dziwne.

– Czy pamięta pan ich treść?

– Pamiętam, że jeden był podpisany „Blanche”… ten napisany przez du Paty’ego. A drugi jakimś zagranicznym nazwiskiem…

– Speranza?

– Speranza… no właśnie! Napisała go *mademoiselle* Pays, pod dyktando pułkownika, i nadała w urzędzie pocztowym przy rue Lafayette.

– Czy podali jakiś powód, dlaczego to robią?

– Żeby pana skompromitować.

– A pan im pomagał, bo wierzył pan w niewinność swojego kuzyna?

– Bez zastrzeżeń… przynajmniej wtedy.

– A teraz?

Christian zwleka z odpowiedzią. Dopija herbatę, odstawia filiżankę i talerzyk na stół – nieśpieszne, przemyślane gesty, które jednak nie całkiem maskują to, że drży z emocji.

– Kilka tygodni temu, po tym jak kuzyn przestał wypłacać matce jej comiesięczne zyski, sprawdziłem to u Rothschildów. Nie mamy u nich żadnego konta. Nigdy nie mieliśmy. Matka jest zrujnowana. Uważam, że jeśli człowiek jest zdolny w ten sposób zdradzić własną rodzinę, to bez wyrzutów sumienia zdradzi też swój kraj. Dlatego przyjechałem do pana. Trzeba go powstrzymać.

* * *

To jasne, co należy zrobić z tą informacją, kiedy już ją zweryfikujemy – przekazać Bertulusowi, temu eleganckiemu sędziemu pokoju z czerwonym goździkiem w butonierce, którego powolne śledztwo w sprawie sfałszowanych telegramów nadal się toczy. Ponieważ to ja wniosłem pozew, ustaliliśmy, że do niego napiszę i zawiadomię, że pojawił się nowy, niezwykle ważny dla sprawy świadek. Christian zgadza się zeznawać, lecz potem się

rozmyśla, kiedy kuzyn dowiaduje się o jego wizycie u Laboriego. Następnie młody Esterházy znów zmienia zdanie, bo dociera do niego, że sąd tak czy inaczej może go powołać na świadka.

Esterházy, najwyraźniej zdając sobie sprawę z nadciągającej katastrofy, ponawia żądanie, żebym się z nim pojedynkował. Informuje prasę, że chadza po ulicach w pobliżu mojego mieszkania, w nadziei że mnie spotka; ma ze sobą grubą laskę z drewna wiśniowego, pomalowaną na jasnoczerwony kolor, którą zamierza przebić mi mózg. Podaje się za eksperta w sztuce savate, francuskiej odmianie walki zbliżonej do karate. W końcu przysyła mi list, który przekazuje także do gazet:

> *Pańska odmowa pojedynku, podyktowana wyłącznie strachem przed spotkaniem ze mną na serio, zmusiła mnie, jak panu wiadomo, do szukania pana na próżno przez kilka dni, a pan uciekał przede mną jak ostatni tchórz, którym zresztą pan jest. Proszę podać, gdzie i kiedy odważy się pan wreszcie stanąć ze mną twarzą w twarz, by zebrać cięgi, które panu obiecałem. Ja ze swej strony przez trzy kolejne dni, poczynając od jutra o siódmej*

wieczorem, będę chodził ulicami de Lisbonne i Naples.

Nie odpowiadam mu osobiście, nie zamierzam dać się wciągnąć w bezpośrednią korespondencję z taką kreaturą; zamiast tego sam wydaję oświadczenie dla prasy:

Dziwię się, że p. Esterházy mnie nie spotkał, skoro mnie szuka, bo tak się składa, że wcale się nie kryję. Co się zaś tyczy gróźb zawartych w jego liście, to jeśli wpadnę w zasadzkę, jestem zdecydowany w pełni skorzystać z przysługującego każdemu obywatelowi prawa do obrony własnej. Jednakże nie zapomnę, że mam obowiązek szanować życie p. Esterházyego. Człowiek ten winien być osądzony przez wymiar sprawiedliwości, ja nie mam prawa karać go na własną rękę.

Mija kilka tygodni i w końcu przestaję mieć się przed nim na baczności. Aż tu nagle pewnej niedzieli po południu na początku lipca, dzień przed tym, nim mam przekazać Bertulusowi zeznanie Christiana, po obiedzie spaceruję samotnie avenue Bugeaud, gdy naraz słyszę za

plecami tupot biegnącego człowieka. Odwracam się i widzę czerwoną laskę Esterházyego opadającą na moją głowę. Robię unik i zasłaniam twarz ramieniem, tak że cios trafia mnie tylko w bark. Twarz Esterházyego jest sina i wykrzywiona z wściekłości, jego wybałuszone oczy sterczą jak rejestry organowe. Obrzuca mnie obelgami – „Łotr! Tchórz! Zdrajca!" – z tak bliska, że czuję jego przesycony absyntem oddech. Na szczęście ja również mam laskę. Pierwszym ciosem w jego głowę zrzucam mu melonik do rynsztoka. Drugi cios to dźgnięcie w brzuch, które posyła go w ślad za melonikiem. Przeturlawszy się na bok, Esterházy dźwiga się i na czworakach próbuje złapać oddech. Potem, wspierając się o bruk tą cudaczną laską w kolorze wiśni, usiłuje stanąć na nogach. Kilku przechodniów zatrzymało się i nas obserwuje. Zakładam Esterházyemu nelsona, wołając, żeby ktoś wezwał policję. Ale *promeneurs*, nic dziwnego, mają w niedzielne popołudnia ciekawsze rzeczy do roboty, więc nagle wszyscy ruszają w swoją drogę, a ja zostaję, trzymając zdrajcę. Jest żylasty i silny, wierci się i wyrywa; uświadamiam sobie, że albo go puszczę, albo naprawdę będę musiał mu wyrządzić krzywdę,

żeby go uspokoić. Puszczam go więc i ostrożnie odsuwam się o krok.

– Łotr! – powtarza Esterházy. – Tchórz! Zdrajca! – Zatacza się, próbuje podnieść melonik. Jest w sztok pijany.

– Pójdziesz do więzienia – zapowiadam mu. – Jeśli nie za zdradę, to za fałszerstwo i defraudację. Nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj, bo następnym razem naprawdę oberwiesz.

Bark coraz bardziej mnie piecze. Z ulgą zostawiam Esterházy'ego i odchodzę. On nie próbuje mnie ścigać, słyszę tylko jego krzyki – „Łotr! Tchórz! Zdrajca! Żyd!" – aż w końcu ginę mu z widoku.

* * *

Drugie wydarzenie tego lata jest o wiele bardziej doniosłe i następuje cztery dni później.

Jest wczesny czwartkowy wieczór, siódmego lipca, i jak zwykle w ten dzień tygodnia bawię w neogotyckiej rezydencji Aline Ménard-Dorian – a konkretnie stoję w ogrodzie przed wyjściem na koncert, popijam szampana i rozmawiam z Zolą, którego apelację od wyroku rozpatruje teraz sąd w Wersalu. Właśnie utworzono nowy rząd

i zastanawiamy się, jaki będzie to miało wpływ na jego proces, kiedy na patio nagle wyskakuje Clemenceau; po piętach depcze mu Labori.

– Słyszeliście, co się stało?!

– Nie.

– Przyjaciele, to prawdziwa sensacja! Ten świętoszkowaty Cavaignac[8] dopiero co wygłosił swoje pierwsze przemówienie w parlamencie jako minister wojny i twierdzi, że udowodnił wszem wobec, raz na zawsze, że Dreyfus jest zdrajcą!

– A niby jak tego dokonał?

Clemenceau wciska mi gazetę do ręki.

– Odczytując słowo w słowo trzy przechwycone wiadomości z tajnych akt wywiadu.

– To nie może być prawdą…!

To nie może być prawdą, a jednak oto jest, czarno na białym: nowy minister wojny, Godefroy Cavaignac, który raptem przed tygodniem zajął miejsce Billota, twierdzi, że zakończył sprawę Dreyfusa politycznym *coup de théâtre*.

– Pokażę wysokiej izbie trzy dokumenty. Oto pierwszy list. Otrzymano go w marcu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku, gdy trafił do sekcji wywiadu przy Ministerstwie

Wojny… – Opuszczając jedynie nazwiska nadawcy i odbiorcy, odczytuje je po kolei: osławioną notatkę z tajnych akt (*W załączeniu przesyłam dwanaście planów generalnych Nicei, które dostałem dla Ciebie od tego łotra D.*), drugi list, którego nie rozpoznaję (*D. dostarczył mi wiele ciekawych rzeczy*), oraz „niepodważalny dowód”, który zmienił bieg procesu Zoli:

> *Czytałem, że jeden z deputowanych wystąpi z pytaniami w sprawie Dreyfusa. Gdyby w Rzymie ktoś się domagał nowych wyjaśnień, powiem, że nigdy nie utrzymywałem kontaktów z tym Żydem. Ty również odpowiadaj tak samo, gdyby ktoś Cię o to zapytał, bo nikt nigdy nie może się dowiedzieć, co się z nim stało.*

Przekazuję gazetę Zoli.

– Czy on naprawdę wyrecytował te brednie na głos? Chyba oszalał!

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś był wtedy na sali obrad – odpowiada mi Clemenceau. – Cała wysoka izba zgotowała mu owację na stojąco. Uważają, że załatwili kwestię Dreyfusa raz na zawsze. Przyjęli nawet wniosek nakazujący rządowi wydrukowanie dowodu w trzydziestu

sześciu tysiącach egzemplarzy i rozwieszenie ich we wszystkich gminach w całej Francji!

– To dla nas katastrofa, no, chyba że uda nam się przypuścić kontratak – mówi Labori.

– A uda się? – pyta Zola.

Wszyscy trzej spoglądają na mnie.

* * *

Tego samego wieczoru, po koncercie, w którego programie znalazły się dwie wspaniałe sonaty fortepianowe Wagnera, przepraszam Aline, wymawiam się od kolacji i podczas gdy w głowie wciąż rozbrzmiewa mi muzyka, jadę na poszukiwania Pauline. Wiem tylko tyle, że zatrzymała się u starszej od siebie kuzynki, starej panny zamieszkałej stosunkowo niedaleko, w pobliżu Lasku Bulońskiego. W pierwszej chwili kuzynka nie chce jej przywołać do drzwi.

– Chyba wyrządził jej pan już dość krzywdy, *monsieur*? Czy nie pora dać jej spokój?

– Proszę panią, *madame*. Muszę się z nią zobaczyć.

– Jest bardzo późno.

– Nie ma jeszcze dziesiątej, wciąż jest jasno…

– Dobranoc, *monsieur*.

Zamyka mi drzwi przed nosem. Dzwonię ponownie. Słyszę ściszone głosy. Zapada cisza, ale kiedy tym razem drzwi się otwierają, na miejscu kuzynki stoi Pauline. Jest bardzo skromnie ubrana w białą bluzkę i ciemną spódnicę, włosy ma zebrane do tyłu, a na twarzy ani śladu makijażu. Wygląda jak członkini jakiegoś zakonu religijnego; zastanawiam się, czy nadal chodzi do spowiedzi.

– Ustaliliśmy przecież, że nie będziemy się spotykać, dopóki nie załatwię swoich spraw.

– Chyba nie mam już czasu na czekanie.

Wydyma wargi, kiwa głową.

– Wezmę kapelusz – mówi. Gdy znika w swojej sypialni, na stole w małym saloniku zauważam maszynę do pisania: jak zawsze praktyczna, część pieniędzy, które jej wysłałem, zainwestowała w naukę nowej umiejętności i po raz pierwszy w życiu zaczęła zarabiać.

Na dworze, gdy skręciwszy za róg, schodzimy z pola widzenia osób w mieszkaniu, Pauline bierze mnie pod rękę i idziemy do Lasku Bulońskiego. Jest bezwietrzny, pogodny letni wieczór, a temperatura tak idealnie wyważona, jakby klimat nie istniał, jakby nie było bariery między umysłem a przyrodą. Są jedynie gwiazdy oraz suchy zapach trawy i drzew; znad jeziora od

czasu do czasu dobiega rozbryzg wody – to para kochanków dryfuje na łodzi w świetle księżyca. Przy bezwietrznej pogodzie ich głosy niosą się dalej, niż im się zdaje. Ale wystarczy nam przejść kilkaset kroków i skręcić z piaszczystej ścieżki w las, by kochankowie i całe miasto przestali istnieć.

Znajdujemy ustronne miejsce pod olbrzymim starym cedrem. Zdejmuję frak, rozkładam go na ziemi, żebyśmy mieli na czym usiąść, rozwiązuję muszkę i siadam obok Pauline, po czym ją obejmuję.

– Zniszczysz sobie frak – mówi. – Będziesz go musiał dać do pralni.

– Nieważne. Przez jakiś czas nie będzie mi potrzebny.

– Wyjeżdżasz?

– Można tak to ująć.

Wyjaśniam jej, co zamierzam zrobić. Decyzję podjąłem podczas koncertu, słuchając Wagnera, który, prawdę mówiąc, zawsze uderzał mi do głowy.

– Zamierzam publicznie podważyć rządową wersję wydarzeń.

Nie mam złudzeń, co w rezultacie tego kroku mnie czeka – i nie mogę narzekać, że nie zostałem uczciwie ostrzeżony.

– Chyba powinienem traktować miesiąc spędzony w Mont-Valérien jako okres próbny. – Ze względu na Pauline przybieram dziarską minę. Jednak w duchu nie jestem już tak pewny siebie. Co najgorszego może mnie spotkać? Kiedy już zamkną się za mną drzwi więzienia, znajdę się w fizycznej pułapce… i należy to brać pod uwagę. Uwięzienie nie będzie miłe i może trwać tygodniami albo i miesiącami, prawdopodobnie nie krócej niż rok, ale nie wspominam o tym Pauline. W interesie rządu leży jak najdłuższe przeciąganie korowodów prawnych nas obu, chociażby z powodu nadziei, że Dreyfus tymczasem umrze.

Gdy kończę wyjaśnienia, Pauline zauważa:

– Mówisz tak, jakbyś już podjął decyzję.

– Jeśli się teraz wycofam, druga taka szansa może mi się już nie trafić. Musiałbym spędzić resztę życia ze świadomością, że w chwili próby nie zdałem egzaminu. To by mnie zniszczyło… Już nigdy nie potrafiłbym oglądać obrazu, czytać książki ani słuchać muzyki bez dręczącego mnie poczucia wstydu. Tak bardzo mi tylko przykro, że cię w to wszystko wmieszałem.

– Przestań mnie ciągle przepraszać. Nie jestem dzieckiem. Sama się w to wmieszałam, zakochując się w tobie.

– A jak to jest być samemu?

– Odkryłam, że potrafię przeżyć. Przedziwne, ale ma to nawet swój urok.

Leżymy w milczeniu, ze splecionymi dłońmi, patrząc między konarami drzew na gwiazdy. Mam wrażenie, że czuję, jak ziemia pod nami się obraca. W tropikach Ameryki Południowej akurat teraz zaczyna się ściemniać. Myślę o Dreyfusie, próbuję sobie wyobrazić, co robi i czy nadal przykuwają go do łóżka na noc. Nasze losy splatają się już całkowicie. Mój zależy od tego, czy Dreyfus przeżyje, a jego – od tego, czy ja nie zginę. Jeżeli on wytrzyma, wytrzymam i ja; jeżeli mnie uwolnią, on też wyjdzie na wolność.

Długo leżymy tak z Pauline, napawając się ostatnimi spędzonymi razem godzinami, aż gwiazdy bledną, przechodząc w świt. Wtedy podnoszę frak, zarzucam go na jej ramiona i pod rękę wracamy do śpiącego miasta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nazajutrz, z pomocą Laboriego, piszę list otwarty do rządu. Za radą prawnika nie wysyłam go do tego nieugiętego dewota, ministra wojny, naszego ołowianego Brutusa, tylko do antyklerykalnego nowego premiera, Henriego Brissona:

Panie premierze

Aż do teraz nie miałem możliwości swobodnego wypowiedzenia się na temat tajnych dokumentów, które – jak się sugeruje – rzekomo dowodzą winy Dreyfusa. Skoro jednak minister wojny z mównicy Izby Deputowanych zacytował wszystkie trzy dokumenty, uważam za swój obowiązek powiadomić Pana, że jestem w stanie wykazać przed każdym kompetentnym trybunałem, iż dwa z tych dokumentów, datowane na rok 1894, nie mogą dotyczyć Dreyfusa, a dokument datowany w roku 1896 nosi wszelkie ślady fałszerstwa. Jest więc oczywiste, że

nadużyto dobrej wiary Ministerstwa Wojny; to samo tyczy się wszystkich, którzy uwierzyli w to, że pierwsze dwa dokumenty mają znaczenie dla sprawy, a trzeci jest autentyczny.

Panie ministrze, proszę przyjąć najgłębsze wyrazy szacunku,

G. Picquart

List dociera do premiera w poniedziałek. We wtorek rząd wytacza mi sprawę karną, opartą na dochodzeniu Pellieux, oskarżając mnie o nielegalne ujawnienie „pism i dokumentów mających znaczenie dla bezpieczeństwa i obronności kraju”. Powołują sędziego śledczego. Po południu tego samego dnia dokonują nalotu na moje mieszkanie, na oczach tłumu kilkuset gapiów, wznoszących szydercze okrzyki „Zdrajca!”. Mnie jednak przy tym nie ma, czytam o tym nazajutrz w gazetach. W środę dostaję wezwanie na spotkanie z powołanym przez rząd sędzią, Albertem Fabre’em, w jego gabinecie na trzecim piętrze Pałacu Sprawiedliwości. W poczekalni czekają dwaj śledczy, którzy aresztują mnie, podobnie zresztą jak biednego Louisa Leblois.

– Ostrzegałem, żebyś się dobrze zastanowił, zanim się w to wpakujesz – mówię mu. – Zbyt wielu ludziom zmarnowałem życie.

– Georges, mój drogi, w ogóle się tym nie przejmuj! Dla odmiany ciekawie będzie poznać działanie wymiaru sprawiedliwości z drugiej strony.

Sędzia Fabre, który – trzeba mu to oddać – wydaje się ciut zawstydzony całą tą procedurą, informuje mnie, że na czas dochodzenia będę zatrzymany w więzieniu La Santé, natomiast Louis wyjdzie za kaucją i będzie odpowiadał z wolnej stopy. Na zewnątrz, na dziedzińcu, gdy na oczach dziesiątek reporterów pakują mnie do furgonu więziennego, zachowuję dość przytomności umysłu, by nie zapomnieć oddać Louisowi mojej laski. Potem mnie wywożą. Po przybyciu do więzienia muszę wypełnić formularz rejestracyjny. W kratce „wyznanie” wpisuję „żadne”.

Okazuje się, że La Santé w niczym nie przypomina Mont-Valérien: nie ma tu oddzielnych sypialni i ubikacji, na ma widoku na wieżę Eiffla. Pakują mnie do maleńkiej celi o wymiarach cztery na dwa i pół metra, z małym zakratowanym oknem wychodzącym na plac ćwiczeń. Stoją w niej łóżko, nocnik i nic więcej.

Jest środek lata, temperatura sięga trzydziestu pięciu stopni; tylko czasami burze przynoszą nieco ulgi. W skwarze i zaduchu bije smród tysiąca męskich ciał, naszego jedzenia, odchodów i potu – co poniekąd przypomina koszary. Karmią mnie w celi, gdzie przebywam zamknięty przez dwadzieścia trzy godziny na dobę, żebym nie mógł się kontaktować z innymi więźniami. Słyszę ich jednak, zwłaszcza nocami, kiedy po zgaszeniu świateł nie ma do roboty nic poza leżeniem i nasłuchiwaniem. Ich wrzaski przypominają wycie zwierząt w dżungli – są nieludzkie, tajemnicze, budzą niepokój. Często słysząc takie ryki i wrzaski, te nieartykułowane błagania o litość, zakładam, że nazajutrz rano strażnicy opowiedzą mi o popełnionej nocą potwornej zbrodni. Ale nastaje dzień i życie toczy się utartym trybem, jak poprzednio.

W ten sposób wojsko próbuje mnie złamać.

* * *

W tej rutynie czasami następuje jakaś odmiana. Dwa razy w tygodniu wywożą mnie furgonem więziennym z La Santé, pod obstawą dwóch śledczych, do Pałacu Sprawiedliwości, gdzie sędzia Fabre ślamazarnie na nowo omawia

ze mną dowody, o których opowiadałem już wielokrotnie.

„Kiedy po raz pierwszy usłyszeliście o majorze Esterházym?”

Gdy Fabre kończy na dany dzień, często pozwalają mi się zobaczyć w pobliskim gabinecie z Laborim. Wielki Wiking paryskiej palestry jest teraz oficjalnie moim adwokatem, więc za jego pośrednictwem dowiaduję się o postępach naszych innych bitew. Wiadomości są dobre i złe. Zola, przegrawszy apelację, uciekł na emigrację do Londynu. Z drugiej strony sędzia pokoju Bertulus aresztował Esterházyego oraz Czteropalcą Marguerite pod zarzutem fałszerstwa. Składamy formalny wniosek do oskarżyciela publicznego, żeby pod tym samym zarzutem aresztował również du Paty’ego. Oskarżyciel uznaje jednak, że ta sprawa „wykracza poza zakres dochodzenia p. Bertulusa”.

„Opowiedzcie nam jeszcze raz, z łaski swojej, w jakich okolicznościach weszliście w posiadanie *petit bleu*…”

Mniej więcej miesiąc od aresztowania mnie Fabre, sędzia śledczy, wchodzi w ten etap prac, tak ukochany przez sfrustrowanych dramaturgów francuskiego systemu prawnego,

kiedy to organizuje konfrontacje świadków. Obowiązuje zawsze ten sam rytuał. Najpierw pytają mnie, po raz dwudziesty, o jakieś konkretne wydarzenie – rekonstrukcję *petit bleu*, pokazanie Louisowi akt z gołębiami, przecieki do prasy. Następnie sędzia naciska elektryczny dzwonek i wchodzi któryś z moich wrogów, żeby opowiedzieć własną wersję tej samej sytuacji. Na koniec proszą mnie o odpowiedź. W trakcie tych czynności sędzia nieustannie obserwuje nas bacznie, jakby potrafił prześwietlać nasze dusze i stwierdzać, kto tu kłamie. W ten sposób znów staję twarzą w twarz z ludźmi takimi jak Gonse, Lauth, Gribelin, Valdant, Junck, a nawet konsjerż Capiaux. Muszę powiedzieć, że jak na ludzi przebywających na wolności i podobno triumfujących, są zbyt bladzi, wręcz wymizerowani, zwłaszcza Gonse, który nabawił się nerwowego tiku lewego oka.

O największy szok przyprawia mnie jednak Henry. Wchodzi, nie patrząc na mnie, i monotonnie opowiada swoją bajeczkę, jak to widział mnie i Louisa z tajnymi aktami. Jego głos stracił dawną siłę; poza tym zwracam uwagę, jak bardzo schudł – gdy zaczyna się pocić, jest w stanie wsunąć całą dłoń między szyję a kołnierz munduru. Właśnie skończył swoją

relację, gdy rozlega się pukanie do drzwi i wchodzi urzędnik, by poinformować sędziego, że ma do odebrania telefon w poczekalni.

– To pilne, dzwoni minister sprawiedliwości – podkreśla.

– Przepraszam panów na chwilę – mówi Fabre.

Kiedy wychodzi, Henry odprowadza go niespokojnym spojrzeniem. Drzwi się zamykają i zostajemy tylko we dwóch. Natychmiast podejrzewam w tym pułapkę i rozglądam się za miejscem, w którym mógł się ukryć ktoś, kto nas podsłuchuje. Nie dostrzegam jednak żadnej oczywistej kryjówki, więc po jakimś czasie moja ciekawość bierze górę.

– I jak tam pańska ręka, pułkowniku? – pytam.

– Co, ta? – Spogląda na dłoń i zgina palce, jakby sprawdzając, czy wciąż działa. – Jest w porządku. – Odwraca się i spogląda na mnie. Mam wrażenie, że zrzucenie nadwagi z twarzy i obwisłych teraz policzków jakby pozbawiło go również zdolności obronnych, za to przydało mu wieku; jego ciemne włosy są przyprószone siwizną. – A co u pana?

– U mnie jest całkiem nieźle, dziękuję.

– Dobrze pan sypia?

Zaskakuje mnie tym pytaniem.

– Owszem. A pan?

Musi odkaszlnąć, by odzyskać głos.

– Niezbyt dobrze, pułkowniku… powinienem powiedzieć: *monsieur*. Prawie nie sypiam. Przyznam się panu, że mam powyżej uszu tej cholernej sprawy, jestem już nią zmęczony.

– Przynajmniej w tym się zgadzamy!

– Czy w więzieniu jest ciężko?

– Powiedzmy, że zapaszek jest jeszcze gorszy niż w naszych dawnych biurach.

– Ha! – Nachyla się do mnie i zwierza się: – Szczerze mówiąc, złożyłem podanie o zwolnienie ze służby w wywiadzie. Chciałbym wrócić do zdrowszego trybu życia w moim pułku.

– Tak, potrafię to zrozumieć. A pańska żona i synek… jak oni się mają?

Już otwiera usta, by mi odpowiedzieć, lecz naraz przełyka głośno ślinę i ku mojemu zdumieniu jego oczy zachodzą łzami, tak że odwraca się ode mnie w chwili, gdy do pokoju wraca Fabre.

– A więc, panowie, wracając do tajnych akt…

* * *

Jest cisza nocna, jakieś dwa tygodnie później. Leżę na cienkim więziennym materacu i nie mogąc czytać, czekam, aż zacznie się nocna kakofonia – zgrzytanie odsuwanych rygli i przekręcanych w zamkach kluczy. Ktoś świeci mi ostrym światłem w twarz.

– Więzień, za mną.

La Santé zbudowano zgodnie z najnowszymi naukowymi zasadami modelu „piasty i szprych” – szprychami są cele więźniów, natomiast piastę zajmuje naczelnik więzienia i jego personel. Idę za strażnikiem kawał drogi, długim korytarzem prowadzącym do budynku administracji w środku. Otwiera drzwi i prowadzi mnie kolistym przejściem do małego, pozbawionego okna pokoju odwiedzin, z wpuszczoną w ścianę stalową kratką. Nie wchodzi do środka, ale drzwi zostawia otwarte.

Zza kratki odzywa się czyjś głos:

– Picquart?

W kiepskim świetle nie od razu rozpoznaję rozmówcę.

– Labori? Co się stało?

– Henry został aresztowany.

– Boże jedyny. Za co?

– Władze właśnie wydały oświadczenie. Posłuchaj: *Dzisiaj w gabinecie ministra wojny*

pułkownik Henry przyznał, że był autorem dokumentu z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego roku, w którym wymieniono Dreyfusa. Minister wojny natychmiast kazał go aresztować i zamknąć w twierdzy Mont-Valérien. – Przerywa i czeka na moją reakcję. – Picquart? Słyszał mnie pan?

Przyswojenie tego zajmuje mi dłuższą chwilę.

– Co go skłoniło, żeby się przyznać?

– Na razie nie wiadomo. To się stało zaledwie kilka godzin temu. Mamy jedynie to oświadczenie.

– A co z pozostałymi? Boisdeffre, Gonse… Czy o nich coś wiadomo?

– Nie, ale wszyscy są skończeni. Postawili na ten list całe swoje kariery. – Labori przysuwa się do samej kratki. Przez gęste oczka widzę jego błyszczące z emocji niebieskie oczy. – Henry nigdy nie dopuściłby się tego fałszerstwa z własnej inicjatywy, prawda?

– Trudno to sobie wyobrazić. Jeżeli nie wydali mu rozkazu wprost, to przynajmniej wiedzieli, co kombinuje.

– Otóż to! Zdaje pan sobie sprawę, że teraz będziemy mogli go powołać na świadka? Niech no tylko dopadnę go w sądzie! Cóż za perspektywa! Zmuszę go, żeby wyśpiewał

wszystko, co wie… poczynając od pierwszej rozprawy przed sądem wojskowym.

– Dużo bym dał za to, żeby wiedzieć, co go skłoniło do takiego wyznania po upływie tylu lat.

– Niewątpliwie dowiemy się rano. Tak czy siak, to dla pana wspaniałe wieści na dobry sen. Wrócę tu jutro. Dobranoc, Picquart.

– Dziękuję panu. Dobranoc.

Odprowadzają mnie z powrotem do celi.

Ten nocy zwierzęce krzyki są szczególnie głośne, ale nie one sprawiają, że nie mogę spać, tylko myśl o Henrym w Mont-Valérien.

Następny dzień jest najgorszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek spędziłem w więzieniu. Po raz pierwszy nie mogę się nawet skupić na czytaniu. Zirytowany krążę tam i z powrotem po maleńkiej celi, tworząc i odrzucając kolejne scenariusze tego, co mogło się stać, co właśnie się dzieje i co dopiero się stanie.

Godziny wloką się niemiłosiernie. Podają kolację. Światło dzienne stopniowo gaśnie. Koło dziewiątej wieczorem strażnik znów otwiera moją celę i każe mi iść za sobą. Jak długa jest ta droga! A najdziwniejsze, że na samym jej końcu, kiedy już jestem w pokoju odwiedzin, a Labori przysuwa twarz do kratki, dokładnie wiem, co

zamierza mi powiedzieć, zanim jeszcze dostrzegam wyraz jego twarzy.

– Henry nie żyje – mówi.

Gapię się na niego, przetrawiając wiadomość.

– Jak to się stało?

– Dziś po południu znaleźli go w celi w Mont-Valérien z poderżniętym gardłem. Rzecz jasna, twierdzą, że popełnił samobójstwo. Dziwne, jak stale się to powtarza. – I nagle pyta z niepokojem: – Picquart, a pan dobrze się czuje?

Muszę się od niego odwrócić. Sam nie jestem pewien, dlaczego płaczę – może ze zmęczenia albo z nadmiaru stresu. A może z powodu Henry'ego, bo pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, nie potrafiłem znienawidzić go do szpiku kości – za dobrze go poznałem.

* * *

Często myślę o Henrym. Poza tym niewiele mam do roboty.

Siedząc w celi, zastanawiam się nad szczegółami jego śmierci, które z tygodnia na tydzień stopniowo wychodzą na jaw. Uważam, że jeśli rozwiążę tę zagadkę, to może dam radę wyjaśnić wszystko. Ale ponieważ mogę się opierać wyłącznie na doniesieniach prasowych

oraz plotkach, które Labori zbiera w kręgach prawniczych, w końcu zmuszony jestem przyznać, że prawdopodobnie nigdy nie poznam całej prawdy.

Wiem na pewno, że Henry'ego zmuszono do przyznania, iż dokument stanowiący „niepodważalny dowód" został sfałszowany, podczas koszmarnego spotkania w gabinecie ministra wojny, trzydziestego sierpnia. Nie miał innego wyjścia, dowody były niezbite. Wygląda na to, że w odpowiedzi na mój zarzut o fałszerstwo Cavaignac, nowy minister wojny, absolutnie przekonany o swojej nieomylności w każdej sprawie, nakazał jednemu ze swoich oficerów sprawdzenie całości akt Dreyfusa pod kątem ich autentyczności. Zajęło to dużo czasu – do tej pory akta urosły do trzystu sześćdziesięciu pozycji – i właśnie w trakcie tych badań po raz ostatni spotkałem się z Henrym w gabinecie sędziego Fabre'a. Teraz rozumiem, dlaczego wydawał się taki załamany – chyba domyślał się, co go czeka. Pracownik Cavaignaca zrobił coś, co przez blisko dwa lata nikomu ze sztabu generalnego nie przyszło do głowy: obejrzał „niepodważalny dowód" w świetle silnej lampy elektrycznej. Od razu zauważył, że nagłówek listu (*Drogi przyjacielu*) oraz podpis (*Alexandrine*)

napisano na papierze w szaroniebieską kratkę, a główną treść (*Czytałem, że jeden z deputowanych wystąpi z pytaniami w sprawie Dreyfusa…*) na papierze w fioletoworóżową linię. Stało się oczywiste, że prawdziwy list, który złożono wcześniej – zrobiono to w czerwcu 1894 roku – został rozebrany na części i sklejony na nowo, ze sfałszowaną częścią środkową.

Jeśli wierzyć ujawnionemu przez rząd stenogramowi z przesłuchania prowadzonego przez Cavaignaca, Henry, wezwany do wytłumaczenia się w obecności Boisdeffre'a i Gonse'a, początkowo próbował się stawiać:

HENRY: Skleiłem list z tych części, które dostałem.
CAVAIGNAC: Przypominam panu, że w pańskiej sytuacji najgorszy jest brak wyjaśnienia. Proszę opowiedzieć, co pan zrobił.
HENRY: Co chce pan ode mnie usłyszeć?
CAVAIGNAC: Wyjaśnienie, dlaczego jedna część dokumentu jest w linię o barwie jasnofioletowej, a druga w szaroniebieską kratkę.
HENRY: Nie potrafię tego wytłumaczyć.

CAVAIGNAC: Stwierdzono to ponad wszelką wątpliwość. Proszę się zastanowić nad odpowiedzią na moje pytanie.
HENRY: Co mam panu powiedzieć?
CAVAIGNAC: To, co pan uczynił.
HENRY: Nie fałszowałem żadnych dokumentów.
CAVAIGNAC: A to ci dopiero! Wkleił pan fragmenty jednego listu do drugiego.
HENRY: [po chwili wahania] No cóż, owszem. Skłonił mnie do tego fakt, że te części tak doskonale do siebie pasowały.

Czy ten zapis to wierny stenogram? Labori w to nie wierzy, ja jednak nie mam wątpliwości. Z tego, że rząd kłamie w pewnych sprawach, nie wynika, że łże we wszystkim. Słyszę unoszący się z tej kartki głos Henry'ego lepiej, niżby go potrafił naśladować znakomity aktor – pompatyczny, nadąsany, lizusowski, przebiegły, głupi.

CAVAIGNAC: Co panu podsunęło ten pomysł?
HENRY: Moi przełożeni byli bardzo zaniepokojeni. Pragnąłem ich uspokoić. Chciałem przywrócić żołnierzom spokój

duszy. Powiedziałem sobie „Dodajmy jakiś zwrot. Załóżmy, że w obecnej sytuacji toczylibyśmy wojnę”.

CAVAIGNAC: Tylko pan się tym zajmował?

HENRY: Tak, Gribelin nic o tym nie wiedział.

CAVAIGNAC: Nikt o tym nie wiedział? Absolutnie nikt?

HENRY: Zrobiłem to dla dobra kraju. Myliłem się.

CAVAIGNAC: A koperty?

HENRY: Przysięgam, że nie sfabrykowałem kopert. Jak mógłbym to zrobić?

CAVAIGNAC: A zatem sprawa miała się następująco: W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym dostał pan kopertę zawierającą list, list zupełnie bez znaczenia. Ukrył go pan, a na jego miejsce podrzucił inny list, sfabrykowany?

HENRY: Tak.

W ciemności mojej celi na okrągło odgrywam tę scenę w głowie. Widzę siedzącego za biurkiem Cavaignaca – tego młodego ministra zżeranego przez nadmiar ambicji; fanatyka, który miał czelność wierzyć, że zakończy tę sprawę raz na

zawsze, a teraz stwierdza, że nieposkromiona pycha go zgubiła. Widzę, jak drży trzymająca papierosa ręka Gonse'a, który przygląda się przesłuchaniu. Widzę, jak Boisdeffre stoi przy oknie i wygląda w siną dal, tak niewzruszony jak kamienne lwy, które niewątpliwie strzegą bramy jego rodzinnego *château*. I widzę, jak Henry, zasypywany gradem pytań, co jakiś czas ogląda się na przełożonych, bezgłośnie błagając: „Pomóżcie mi!". Ale oni, rzecz jasna, milczą.

Wyobrażam go sobie rozwalonego na łóżku w południe, pijącego rum prosto z butelki – właśnie wtedy po raz ostatni widziano go żywego – i sześć godzin później, kiedy do celi wchodzą porucznik z ordynansem i zastają go na tym samym łóżku, w kałuży krwi; jego ciało jest już sztywne i zimne, gardło ma dwukrotnie podcięte brzytwą, którą (to dopiero dziwne!) trzyma w lewej ręce, mimo że jest praworęczny.

Ale pomiędzy tymi dwiema scenami, między południem a osiemnastą – między Henrym żywym i Henrym umarłym – wyobraźnia mnie zawodzi. Labori uważa, że, podobnie jak Lemercier-Picard, został zamordowany, żeby się nie wygadał, a morderstwo upozorowano na samobójstwo. Cytuje swoich znajomych lekarzy, według których jest fizycznie niemożliwe, żeby

człowiek podciął sobie tętnicę szyjną z obu stron. Ja jednak nie jestem przekonany, czy w tym przypadku morderstwo było konieczne – Henry na pewno wiedział, czego od niego oczekują, skoro ani Boisdeffre, ani Gonse nie zabrali głosu w jego obronie.

„Każe mi pan zastrzelić człowieka, to strzelam”.

* * *

Tego samego dnia po południu, kiedy Henry wykrwawia się na śmierć, Boisdeffre pisze do ministra wojny:

Panie Ministrze

Właśnie otrzymałem dowód, że zaufanie, jakim darzyłem pułkownika Henry’ego, szefa służby wywiadowczej, było nieuzasadnione. Zaufanie to, a było ono bezgraniczne, spowodowało, że dałem się wyprowadzić w pole, poświadczyłem autentyczność sfałszowanego dokumentu i przedstawiłem go Panu jako prawdziwy.

W zaistniałych okolicznościach mam zaszczyt prosić Pana Ministra o zwolnienie mnie z pełnienia obowiązków.

Boisdeffre

Natychmiast wyjeżdża do Normandii.

Trzy dni później Cavaignac również podaje się do dymisji, aczkolwiek w bezczelnej formie (*Nadal jestem przekonany o winie Dreyfusa i zdecydowany jak nigdy dotąd walczyć przeciwko powtórzeniu procesu*); Pellieux składa rezygnację; Gonse zostaje przeniesiony z Ministerstwa Wojny do swojego dawnego pułku i pozbawiony połowy żołdu.

Jak większość ludzi zakładam, że to już koniec – bo skoro Henry zdołał sfałszować jeden dokument, to należy przyjąć, że dopuścił się tego kilkakrotnie i wobec tego oskarżenie Dreyfusa upada.

Tymczasem mija dzień za dniem, Dreyfus jak przebywał na Diabelskiej Wyspie, tak na niej przebywa, a ja nadal siedzę w La Santé. Stopniowo staje się jasne, że nawet teraz wojsko nie przyzna się do błędu. Odrzucają moją prośbę o zwolnienie warunkowe, za to zawiadamiają mnie, że za trzy tygodnie wraz z Louisem stanę przed zwykłym sądem karnym pod zarzutem nielegalnego rozpowszechniania tajnych dokumentów.

W przeddzień rozprawy odwiedza mnie w więzieniu Labori. Zazwyczaj tryska energią, jest wręcz agresywny, lecz dzisiaj wydaje się zmartwiony.

– Niestety, przynoszę złe wieści. Wojsko szykuje przeciwko tobie nowe oskarżenie.

– O co tym razem?

– O fałszerstwo.

– Oskarżają o fałszerstwo? Mnie?!

– Tak, o sfabrykowanie *petit bleu*.

Zbywam to śmiechem.

– Trzeba im przyznać, że mają poczucie humoru – kwituję.

Ale Laboriemu nie jest do śmiechu.

– Będą dowodzić, że śledztwo wojskowe w sprawie fałszerstwa ma pierwszeństwo przed postępowaniem cywilnym. To taktyka obliczona na to, żebyś trafił do więzienia wojskowego. Obstawiam, że sędzia się przychyli do ich wniosku.

– No cóż. – Wzruszam ramionami. – Przypuszczam, że wszystkie więzienia są do siebie podobne.

– I właśnie tu się mylisz, przyjacielu. W Cherche-Midi panuje o wiele surowszy reżim niż tutaj. I nie podoba mi się, że trafiłbyś w łapy

wojska… Kto wie, jaki wypadek mógłby ci się przydarzyć?

Nazajutrz, gdy dowożą mnie do sądu karnego Sekwany, proszę sędziego o zgodę na złożenie oświadczenia. Sala rozpraw jest mała, pełna reporterów – nie tylko francuskich, ale i z prasy międzynarodowej. Widzę nawet łysą czaszkę oraz potężne bokobrody najsłynniejszego korespondenta zagranicznego na świecie, *monsieur* de Blowitza z londyńskiego „Timesa”. Właśnie do tych dziennikarzy kieruję swoje uwagi.

– Możliwe, że dziś wieczorem zostanę przewieziony do Cherche-Midi, dlatego chyba po raz ostatni mam okazję przemówić publicznie przed tajnym procesem. Chcę powiedzieć jasno, że gdyby kiedykolwiek znaleziono w mojej celi sznurówki Lemerciera-Picarda albo brzytwę Henry’ego, to będzie oznaczać morderstwo, ponieważ ktoś taki jak ja ani przez chwilę nie zastanawiałby się nad popełnieniem samobójstwa. Wysłucham zarzutów z podniesioną głową i z tym samym spokojem, jaki zawsze prezentowałem wobec moich oskarżycieli.

Ku mojemu zaskoczeniu dziennikarze nagradzają mnie głośnymi brawami, a kiedy

wyprowadzają mnie z sali, słyszę za sobą okrzyki: *Vive Picquart!*, *Vive la verité!*, *Vive la justice!*

Przewidywania Laboriego się sprawdzają: wojsko wygrywa i będzie mnie sądzić pierwsze, więc następnego dnia przewożą mnie do Cherche-Midi, gdzie – o czym informują mnie z nieskrywaną przyjemnością – zostanę zamknięty w tej samej celi, w której Dreyfus tłukł głową o ścianę dokładnie cztery lata wcześniej.

* * *

Trzymają mnie w więziennej izolatce, odprawiają większość moich gości, a na dwór pozwalają mi wychodzić jedynie raz dziennie – na maleńki placyk o wymiarach sześć na sześć kroków, otoczony wysokim murem. Przemierzam go po przekątnej, tam i z powrotem, od rogu do rogu, i obchodzę wzdłuż ścian niczym mysz uwięziona na dnie studni.

Akt oskarżenia zarzuca mi, że zdrapałem oryginalny adres z blankietu telegraficznego i osobiście wpisałem nazwisko Esterházyego. Przestępstwo to jest zagrożone karą pięciu lat więzienia. Przesłuchania ciągną się tygodniami.

„Opowiedzcie nam, w jakich okolicznościach weszliście w posiadanie *petit bleu*…”

Na szczęście nie zapomniałem, że poprosiłem Lautha o sfotografowanie *petit bleu* zaraz po złożeniu go w całość; w końcu ściągają te zdjęcia, które jasno dowodzą, że nikt wówczas nie majstrował przy adresie; dopiero później zmieniono go w ramach spisku mającego mnie wrobić. Mimo to nadal siedzę w Cherche-Midi. Pauline pisze do mnie z prośbą, by mogła mnie odwiedzić. Ja jej to odradzam – sprawa mogłaby trafić do gazet, a poza tym nie chcę, żeby widziała mnie w takim stanie. Łatwiej mi tu jest wytrzymać w samotności. Nudę od czasu do czasu rozpraszają wyprawy do sądu. W listopadzie po raz kolejny przedstawiam całość mojego materiału dowodowego, tym razem dwunastu starszym sędziom Izby Karnej, którzy rozpoczynają proces cywilny mający ustalić, czy wyrok w sprawie Dreyfusa jest zasadny.

Nieustanne przetrzymywanie mnie w więzieniu bez procesu zyskuje rozgłos. Clemenceau, który ma prawo mnie odwiedzać, proponuje na łamach „L’Aurore” „nominację Picquarta na stanowisko Wielkiego Więźnia Państwa, nieobsadzone od czasu Człowieka

w Żelaznej Masce”. W nocy, gdy gaszą mi światło i nie mogę już czytać, słucham demonstrantów opowiadających się za mną bądź przeciwko mnie na rue Cherche-Midi. Więzienia musi pilnować aż siedmiuset kawalerzystów; końskie kopyta stukają o bruk okolicznych ulic. Dostaję tysiące listów z wyrazami poparcia, w tym jeden od starej cesarzowej Eugenii[9]. Dla rządu staje się to tak krępujące, że urzędnicy Ministerstwa Sprawiedliwości każą Laboriemu poprosić o interwencję sądy cywilne i mnie uwolnić. Nie pozwalam mu na to – jestem bardziej przydatny jako zakładnik. Każdego dnia, kiedy siedzę w celi, wojsko wychodzi na bardziej zdesperowane i mściwe.

Mijają miesiące, aż w sobotę, trzeciego czerwca 1899 roku, po południu odwiedza mnie Labori. Na dworze świeci ostre słońce, przebija się nawet przez brud i kraty małego okienka; słyszę śpiew ptaka. Labori przykłada do kraty wielką, ubrudzoną atramentem dłoń i oznajmia:

– Picquart, chcę panu uścisnąć dłoń.

– Dlaczego?

– Czy musi pan zawsze stawać okoniem? – Długimi, grubymi paluchami trzęsie stalową kratką. – Niechże choć raz zrobi pan to, o co

proszę. – A kiedy przykładam dłoń do jego dłoni, mówi: – Gratulacje, Georges.

– Z powodu?

– Najwyższy Sąd Apelacyjny nakazał wojsku sprowadzić Dreyfusa na powtórny proces.

Od tak dawna czekałem na tę wiadomość, a kiedy wreszcie nadchodzi, nic nie czuję. Pytam tylko:

– Jaki powód podali?

– Dwa, oba wzięte z pańskiego materiału dowodowego. Po pierwsze, że list z „łotrem D.” w żadnym wypadku nie odnosi się do Dreyfusa i nie powinien być pokazywany sędziom bez poinformowania obrony, a po drugie… Jak oni to ujęli? A, tak, już mam: „Fakty nieznane Pierwszemu Sądowi Wojskowemu zdają się świadczyć o tym, że *bordereau* nie został napisany przez Dreyfusa”.

– Ech, ten wasz prawniczy bełkot! – Smakuję na języku ten prawniczy żargon niczym jakiś delikates: – „Fakty nieznane Pierwszemu Sądowi Wojskowemu zdają się świadczyć o tym, że…” I wojsko nie może się od tego odwołać?

– Nie, wyrok jest ostateczny. Właśnie teraz okręt wojenny płynie po Dreyfusa, żeby go przywieźć na nowy sąd wojskowy. Ale tym

razem rozprawy nie będą tajne… Tym razem będą się odbywać na oczach całego świata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W następny piątek zwalniają mnie z więzienia – tego samego dnia, gdy Dreyfus opuszcza Diabelską Wyspę i na pokładzie okrętu wojennego *Sfax* wypływa w długi rejs powrotny do Francji. W świetle orzeczenia Sądu Najwyższego wszelkie zarzuty wobec mnie zostają oddalone. Edmond czeka na mnie ze swoją nową zabawką – automobilem, zaparkowanym tuż przed bramą więzienia – by odwieźć mnie z powrotem do Ville-d'Avray. Nie rozmawiam z dziennikarzami, którzy opadają mnie na chodniku.

Jestem zdezorientowany tą nagłą zmianą mojego losu. Kolory i odgłosy Paryża na początku lata, bijąca z nich radość życia, a poza tym uśmiechnięte twarze przyjaciół oraz obiady, kolacje i przyjęcia wydawane na moją cześć – po samotnym pobycie w mrocznej, śmierdzącej stęchlizną celi wszystko to mnie przerasta. Dopiero przebywając w towarzystwie innych ludzi, uświadamiam sobie, jak bardzo dotknęły mnie niedawne przejścia. Stwierdzam, że

rozmowa z więcej niż jedną osobą mnie oszałamia; mój głos wydaje mi się piskliwy; nie mogę złapać tchu. Kiedy Edmond prowadzi mnie do mojego pokoju, wchodząc po schodach, muszę przystawać co trzy, cztery stopnie i przytrzymywać się balustrady – to rezultat zaniku mięśni odpowiadających za ruchy moich kolan i kostek. W lustrze wydaję się sobie blady i gruby. Goląc się, zauważam, że posiwiały mi wąsy.

Edmond i Jeanne zapraszają do siebie Pauline i taktownie dają jej pokój sąsiadujący z moim. Podczas kolacji trzyma mnie pod stołem za rękę, a potem, kiedy domownicy już śpią, przychodzi do mnie do łóżka. Miękkość jej ciała jest jednocześnie znajoma i obca, niczym wspomnienie czegoś, co niegdyś żyło i co straciliśmy. W końcu uzyskała rozwód; Philippe'a na własną prośbę wysłano na placówkę zagraniczną; Pauline ma swoje mieszkanie; dziewczęta mieszkają razem z nią.

Leżymy w świetle świec, zwróceni twarzami do siebie.

Strząsam włosy z jej twarzy. Wokół jej oczu i ust są zmarszczki, których tam wcześniej nie było. Uświadamiam sobie, że znam ją, odkąd była niedużą dziewczynką. Razem się zestarzeliśmy.

Nagle ogrania mnie przemożna czułość wobec niej.

– A więc jesteś teraz wolną kobietą?

– Jestem.

– Chciałabyś, żebym ci się oświadczył?

Chwila milczenia.

– Niespecjalnie.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, kochany, że to raczej nie ma sensu, skoro wybrałeś akurat taki sposób postawienia pytania. Nie sądzisz?

– Wybacz. Nie mam wprawy w prowadzeniu rozmów, zwłaszcza takich. Pozwól, że spróbuję jeszcze raz. Wyjdziesz za mnie?

– Nie.

– Naprawdę mi odmawiasz?

Nie śpieszy się z odpowiedzią.

– Ty się nie nadajesz do małżeństwa, Georges. A teraz, kiedy wreszcie się rozwiodłam, stwierdziłam, że ja też nie. – Całuje moją dłoń. – Widzisz? Nauczyłeś mnie, jak być samą. Dziękuję.

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

– Skoro tak sobie życzysz…

– O, tak. Nasze obecne stosunki całkowicie mi odpowiadają.

I w ten sposób odmówiono mi czegoś, czego tak naprawdę nigdy nie pragnąłem. Wobec tego dlaczego czuję się, jakbym w niezrozumiały sposób został okradziony? Leżymy w milczeniu, aż w końcu Pauline pyta:

– I co teraz zamierzasz?

– Mam nadzieję wrócić do dawnej formy. Oglądać obrazy. Słuchać muzyki.

– A potem?

– Chciałbym zmusić wojsko, żeby mnie przyjęło z powrotem.

– Pomimo tego, jak cię potraktowali?

– Jeśli tego nie zrobię, pozwolę, żeby im uszło na sucho. A dlaczego miałbym im to puścić płazem?

– Czyli że ludzie muszą płacić za swoje czyny?

– To oczywiste. Jeśli uwalniają Dreyfusa, oznacza to, że całe dowództwo wojska jest zamieszane w tę aferę. Nie zdziwiłbym się, gdyby kilka osób trafiło do aresztu. A to dopiero początek wojny, która może potrwać. Co? Uważasz, że nie mam racji?

– Nie, obawiam się tylko, czy nie grozi ci, że wpadniesz w obsesję.

– Gdyby nie moja obsesja, Dreyfus wciąż by siedział na Diabelskiej Wyspie.

Patrzy na mnie z nieodgadnioną miną.

– Kochanie, mógłbyś zgasić świecę? – prosi. – Nagle poczułam się bardzo zmęczona.

Leżymy w ciemności, rozbudzeni. Udaję, że zasypiam. Kilka minut później Pauline wstaje z łóżka. Słyszę, jak wkłada peniuar. Otwierają się drzwi i przez chwilę widzę jej sylwetkę odcinającą się na tle słabego światła z korytarza, po czym Pauline znika w ciemności. Podobnie jak ja, przywykła sypiać samotnie.

* * *

Dreyfusa wysadzają na ląd w środku nocy, u wybrzeży Bretanii. Nie można sprowadzić go na powtórkę procesu do Paryża, uznano, że to zbyt niebezpieczne. Pod osłoną ciemności przewożą go więc do bretońskiego miasta Rennes, gdzie – zgodnie z zapowiedzią rządu – odbędzie się jego nowy proces przed sądem wojskowym, bezpieczne trzysta kilometrów na zachód od Paryża. Termin pierwszej rozprawy wyznaczono na poniedziałek, siódmego sierpnia.

Edmond nalega, że podjedzie ze mną do Rennes, na wypadek gdybym wymagał obrony, chociaż zapewniam go, że nie ma takiej potrzeby.

– Rząd zapowiedział już, że zapewni mi osobistego ochroniarza.

– Tym bardziej więc powinieneś mieć obok siebie kogoś, komu możesz zaufać.

Nie protestuję. Atmosfera jest groźna, mnożą się akty przemocy. Prezydenta na wyścigach zaatakował laską jakiś arystokrata antysemita. Palą kukły Zoli i Dreyfusa. „La Libre Parole" proponuje promocyjne ceny czytelnikom, którzy wybiorą się do Rennes i rozbiją głowy kilku dreyfusistów. Gdy w sobotę rano wyjeżdżamy z Edmondem na dworzec kolejowy w Wersalu, obaj jesteśmy uzbrojeni, a ja czuję się tak, jakby wysłano mnie z misją na terytorium wroga.

W Wersalu czeka na nas czteroosobowa obstawa: dwaj inspektorzy policji i dwaj żandarmi. Krótko po dziewiątej na peron wjeżdża pociąg z Paryża – wszystkie miejsca są zajęte przez dziennikarzy i widzów udających się na proces. Policjanci zarezerwowali dla nas tylny przedział w wagonie pierwszej klasy i upierają się, że muszą siedzieć między mną a drzwiami. Mam wrażenie, jakbym wrócił do więzienia. Ludzie przychodzą pogapić się na mnie przez szklane przepierzenie. Jest potwornie gorąco i duszno. Coś błyska – to ktoś próbuje mi zrobić zdjęcie. Sztywnieję. Edmond kładzie rękę na mojej dłoni.

– Spokojnie, Georges – mówi cicho.

Podróż wlecze się w nieskończoność. Późnym popołudniem dojeżdżamy do Rennes – siedemdziesięciotysięcznego miasta, które najwyraźniej nie ma przedmieść. W jednej chwili za oknem widać lasy, łęgi oraz barkę ciągniętą po szerokiej rzece przez konia, po czym znienacka zamiast nich pojawiają się kominy fabryczne oraz kryte niebieskimi dachówkami rezydencje z szarego i żółtego kamienia, migoczące w upalnej mgiełce. Dwaj inspektorzy wyskakują przed nami, by sprawdzić peron, następnie schodzimy ja z Edmondem, a na końcu żandarmi. Szybko przeprowadzają nas przez dworzec do czekających dwóch automobili. Jak przez mgłę docierają do mnie reakcje ludzi w zatłoczonej hali biletowej, którzy mnie poznali – okrzyki *Vive Picquart!* zmieszane z kilkoma gwizdami – lecz już po chwili siedzimy w automobilach i jedziemy szeroką, wysadzaną drzewami aleją, na której mieszczą się głównie hotele i kawiarnie.

Nie ujechaliśmy nawet trzystu metrów, gdy jeden z inspektorów, ten siedzący obok kierowcy, odwraca się do nas i oznajmia:

– To tutaj odbędzie się proces.

Choć poinformowano mnie, że miejsce rozprawy przeniesiono do budynku szkoły, by

móc pomieścić dziennikarzy i publiczność, nie wiem, dlaczego wyobrażałem sobie, że będzie to jakiś ponury komunalny gmach liceum. Tymczasem jest to piękny budynek, symbol prowincjonalnej dumy, nieomal *château* – cztery piętra wysokich okien, różowej cegły i jasnego kamienia, zwieńczone wysokim dachem. Teren obstawiony jest przez żandarmów, a robotnicy rozładowują wóz pełen drewna.

Skręcamy za róg.

– A to jest wojskowe więzienie, w którym trzymają Dreyfusa – dodaje po chwili inspektor.

Więzienie mieści się naprzeciw bocznego wejścia do szkoły, po drugiej stronie ulicy. Kierowca zwalnia, dzięki czemu miga mi wielka brama osadzona w wysokim, najeżonym kolcami murze, za którym ledwie widać zakratowane okna twierdzy; na drodze kawalerzyści na koniach oraz piechurzy stoją twarzą w twarz z tłumem gapiów. Jako koneser więzień mogę powiedzieć, że to tutaj wygląda ponuro; Dreyfus siedzi w nim już od miesiąca.

– Dziwnie mi się robi na myśl, że jest tak blisko nas, biedak – mówi Edmond. – Ciekawe, w jakiej jest formie.

* * *

To pytanie nurtuje wszystkich. Właśnie ono ściągnęło w ten senny zakątek Francji trzystu dziennikarzy z całego świata; spowodowało, że trzeba było zatrudnić specjalnych operatorów telegrafu, by obsłużyć przekaz, jak się spodziewano, ponad sześciuset tysięcy słów dziennie; zobowiązało władze do wyposażenia Bourse de Commerce w sto pięćdziesiąt biurek dla dziennikarzy; zwabiło filmowców, by rozstawili swój sprzęt przed wojskowym więzieniem w nadziei, że uda się zarejestrować kilka rozedrganych klatek z więźniem idącym przez dziedziniec. To dlatego królowa Wiktoria wysłała angielskiego prezesa Sądu Najwyższego w charakterze obserwatora otwarcia procesu.

Do tej pory tylko cztery osoby cywilne dostały zgodę na widzenie się z Dreyfusem od jego powrotu do Francji: Lucie, Mathieu oraz jego dwaj obrońcy – wierny Edgar Demange, adwokat reprezentujący go w pierwszym procesie przed sądem wojskowym, i Labori, którego ściągnął Mathieu, by przypuścił na wojsko jeszcze ostrzejszy atak. Nie rozmawiałem z nimi. O stanie więźnia wiem tylko tyle, ile wyczytałem w prasie:

Po przybyciu Dreyfusa do Rennes prefekt zawiadomił panią Dreyfus, że z rana może zobaczyć się z mężem. W rezultacie o ósmej trzydzieści ojciec, matka oraz brat poszli z nią do więzienia, ale wyłącznie ją wpuszczono do celi na pierwszym piętrze, gdzie przebywała do dziesiątej piętnaście. Obecny był przy tym kapitan żandarmerii, który jednak trzymał się w dyskretnej odległości. Podobno pani Dreyfus zastała męża w lepszym stanie, niż się spodziewała, aczkolwiek opuszczając więzienie, była wyraźnie przybita.

Edmond wynajął nam pokoje na cichej willowej ulicy, rue de Fougères, w ładnym, porośniętym glicynią domku z białymi okiennicami, należącym do wdowy, *madame* Aubry. Niski murek oddziela maleńki ogródek od ulicy. Na zewnątrz stoi na straży żandarm. Dom położony jest na wzgórzu, zaledwie kilometr od sali rozpraw. Z powodu letnich upałów posiedzenia mają się zaczynać o siódmej i kończyć w porze obiadowej. My zamierzamy co dzień zjawiać się wcześniej.

W poniedziałek wstaję o piątej. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale jest już dość jasno, bym zdołał się

ogolić. Starannie wkładam czarny surdut ze wstęgą Legii Honorowej w klapie; wybrzuszenia webleya w kaburze pod pachą prawie nie widać. Biorę laskę i wysoki jedwabny cylinder, pukam do pokoju Edmonda i razem ruszamy w dół wzgórza w kierunku rzeki; za nami idą dwaj policjanci.

Mijane domy to solidne wille zamożnych mieszczan, z pozamykanymi okiennicami; tutaj nikt nie wstaje o tej porze. U stóp wzgórza, na ceglanym nabrzeżu rzeki, praczki w koronkowych czepcach wysypują już ze schodków kosze pełne brudnego prania, a trzej mężczyźni w uprzęży z wysiłkiem ciągną barkę wyładowaną elementami rusztowania i drabinami. Oglądają się za nami – na dwóch dżentelmenów w cylindrach, śledzonych przez dwóch żandarmów – ale bez ciekawości, jakby taki widok o tak wczesnej porze był tu na porządku dziennym.

Słońce wstało, już teraz jest gorąco; mętna rzeka jest zielona od glonów. Przechodzimy przez most, skręcamy w kierunku liceum i trafiamy na stojących w dwuszeregu żandarmów na koniach, rozstawionych na pustej ulicy. Musimy się wylegitymować, po czym kierują nas tam, gdzie tłumek ludzi stoi w kolejce

do wąskich drzwi. Po kilku kamiennych stopniach dochodzimy do następnych drzwi, mijamy kordon piechoty z nastawionymi bagnetami i nagle znajdujemy się w sali rozpraw.

Pomieszczenie, długie na jakieś dwadzieścia metrów i szerokie na piętnaście, o wysokości dwóch pięter, jest rozjaśnione porannym bretońskim światłem, wpadającym z dwóch stron przez podwójny rząd okien. Przestronną salę wypełnia już kilkaset osób. Naprzeciwko wejścia stoi podwyższenie ze stołem i siedmioma krzesłami o jasnoczerwonych oparciach; na ścianie za nimi wisi Chrystus z białego gipsu, przybity gwoździami do krzyża z czarnego drewna. Niżej, przed nimi, stoją frontem do siebie biurka oskarżenia i obrony; po bokach, na całej długości sali, upchnięto wąskie stoły i ławy dla reporterów, którzy liczebnie dominują nad pozostałymi, a z tyłu, za kolejnym kordonem piechoty, tłoczy się publiczność. Centralną część zarezerwowano dla świadków i znów jesteśmy wszyscy razem – Boisdeffre, Gonse, Billot, Pellieux, Lauth, Gribelin. Starannie unikamy swojego wzroku.

– Przepraszam! – słyszę za sobą ochrypły głos, na dźwięk którego włosy mi się jeżą na karku. Odsuwam się, a wtedy obok przepycha się

Mercier, nie zaszczycając mnie spojrzeniem. Zajmuje miejsce między Gonse'em a Billotem i generałowie natychmiast szeptem zaczynają tajne narady. Boisdeffre sprawia wrażenie zdruzgotanego i nieobecnego – podobno stał się odludkiem; Billot, wyraźnie speszony, gładzi wąsa; Gonse służalczo potakuje głową; a Pellieux siedzi na wpół odwrócony do nich plecami. Teraz to Mercier, choć jest w stanie spoczynku, nagle gra pierwsze skrzypce, gestykulując pięścią; objął dowództwo w bitwie o honor wojska. *W tej sprawie ktoś musi być winny* – oświadczył prasie. – *Tym kimś może być albo Dreyfus, albo mogę być ja. Ale skoro to nie ja, to znaczy, że winny jest Dreyfus. To Dreyfus jest zdrajcą. Udowodnię to*. Przypominająca maskę z wyprawionej skóry twarz na chwilę odwraca się w moją stronę; przelotnie świdrują mnie wąskie jak szparki oczy.

Dochodzi siódma. Siadam za plecami Mathieu Dreyfusa, który odwraca się i podaje mi rękę. Lucie pozdrawia mnie skinieniem głowy; przez bladą jak księżyc w biały dzień twarz przemyka wymuszony uśmiech. Adwokaci wchodzą w swoich czarnych togach i dziwacznych stożkowatych czarnych kapeluszach; olbrzym Labori z wyszukaną uprzejmością przepuszcza

starszego Demange'a przodem. Potem z tyłu sali dobiega okrzyk – „Prezentuj broń!" – pięćdziesiąt butów stających na baczność żołnierzy stuka o siebie i na salę wchodzą gęsiego sędziowie. Prowadzi ich drobniutki pułkownik Jouaust. Jego krzaczaste białe wąsy są nawet większe niż wąsy Billota, tak olbrzymie, że widać zza nich tylko kości policzkowe. Wchodzi na podium i zajmuje środkowe krzesło.

– Wprowadzić oskarżonego – poleca suchym, ostrym tonem.

Woźny sądowy w stopniu sierżanta podchodzi do drzwi z przodu sali; w nagłej ciszy jego kroki są nienaturalnie głośne. Otwiera drzwi i wchodzą dwaj mężczyźni. Jednym jest eskortujący więźnia oficer, drugim Dreyfus. Ludzie na sali, nie wyłączając mnie, gwałtownie wciągają powietrze – bo zrobił się z niego starzec. Mały staruszek, chodzący na sztywnych nogach i w workowatym mundurze, którego jego skurczone ciało nie jest w stanie wypełnić. Nogawki spodni trzepoczą mu wokół kostek. Chwiejnie wychodzi na środek sali rozpraw i jak gdyby zbierając siły, przystaje przed dwoma schodkami prowadzącymi na podium, gdzie siedzą jego obrońcy, aż w końcu wchodzi po nich z trudnością, salutuje sędziom dłonią w białej rękawiczce i zdejmuje czapkę,

ukazując niemal całkiem łysą czaszkę, jeśli nie liczyć siwych kosmyków na karku, opadających mu na kołnierzyk. Sędzia każe mu usiąść, podczas gdy urzędnik odczytuje zarządzenia, na podstawie których powołano ten sąd, a następnie Jouaust poleca:

– Oskarżony, wstać.

Dreyfus gramoli się na nogi.

– Jak się nazywacie?

Mimo panującej na sali ciszy odpowiedź jest ledwo słyszalna:

– Alfred Dreyfus.

– Lat?

– Trzydzieści dziewięć. – Odpowiedź wywołuje kolejny zbiorowy jęk publiczności.

– Miejsce urodzenia?

– Miluza.

– Stopień?

– Kapitan, przydzielony do sztabu generalnego. – Wszyscy pochylają się, nastawiają uszy. Trudno go zrozumieć, sprawia wrażenie, że zapomniał, w jaki sposób formułować myśli, a poza tym świszczy przez szparę w przednich zębach.

Uporawszy się z kwestiami proceduralnymi, Jouaust oznajmia:

– Jesteście oskarżeni o zdradę stanu, o przekazanie agentowi obcego mocarstwa dokumentów wymienionych w liście przewodnim, tak zwanym *bordereau*. Prawo daje wam możliwość wypowiedzi we własnej obronie. Oto jest *bordereau*.

Ruchem głowy daje znak woźnemu sądowemu, a ten podaje dokument więźniowi. Dreyfus ogląda go uważnie. Trzęsie się, jest na skraju załamania. W końcu, tym swoim dziwnym głosem – bezbarwnym, nawet kiedy jest pełen emocji – oświadcza:

– Jestem niewinny. Przysięgam, pułkowniku, tak jak to zeznałem w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym. – Przerywa; patrzenie na to, jak usiłuje wziąć się w garść, to istna udręka. – Zniosę wszystko, pułkowniku, ale po raz kolejny, na honor swój oraz moich dzieci, powtarzam: jestem niewinny.

* * *

Przez cały poranek Jouaust omawia z Dreyfusem zawartość *bordereau*, pozycja po pozycji. Jego pytania są ostre, oskarżające. Dreyfus odpowiada na nie sucho, w sposób techniczny, jakby był biegłym powołanym na

świadka w procesie kogoś innego: nie, nie miał żadnej wiedzy o hamulcu hydraulicznym do działa sto dwadzieścia milimetrów; tak, mógł posiąść informację o osłonie wojsk, ale nigdy o nią nie prosił; to samo odnosi się do planów inwazji na Madagaskar – mógł o nie poprosić, ale tego nie zrobił; nie, pan pułkownik się myli, nie służył w Wydziale Trzecim w okresie, gdy wprowadzano zmiany formacji artyleryjskich; nie, oficer, który twierdzi, że mu pożyczył egzemplarz podręcznika strzelania, również jest w błędzie – on nigdy nie miał w rękach tego podręcznika; nie, nigdy nie twierdził, że Francji byłoby lepiej pod panowaniem Niemiec, w żadnym wypadku.

Podwójne rzędy okien nagrzewają salę rozpraw niczym cieplarnię. Wszyscy spływają potem, z wyjątkiem Dreyfusa, który zapewne przyzwyczaił się do tropików. Jeszcze tylko raz przejawia emocje – gdy Jouaust przywołuje starą kaczkę dziennikarską, jakoby Dreyfus w dniu degradacji przyznał się do wszystkiego kapitanowi Lebrunowi-Renault.

– Nie przyznałem się.

– Przecież istnieją na to świadkowie.

– Żadnych sobie nie przypominam.

– A zatem o czym rozmawialiście z kapitanem?

– To nie była rozmowa, pułkowniku, tylko monolog. Kiedy miałem zostać wyprowadzony przed olbrzymi tłum przepojony patriotyzmem, powiedziałem do kapitana Lebruna-Renault, że chciałbym wykrzyczeć swoją niewinność w twarz każdemu z nich z osobna. Pragnąłem powiedzieć, że jestem niewinny. Nie było żadnego przyznania się.

O jedenastej posiedzenie się kończy. Jouaust zapowiada, że kolejne cztery dni rozprawy będą się odbywały przy drzwiach zamkniętych, by można było pokazać przysięgłym tajne akta. Widownia ani prasa nie zostanie wpuszczona, ja zresztą też nie. Minie co najmniej tydzień, zanim dostanę wezwanie do złożenia zeznań.

Dreyfus, wyprowadzany tą samą drogą, którą wszedł, ani razu nie zerka w moją stronę, a potem my wszyscy wychodzimy gęsiego w piękny sierpniowy skwar; dziennikarze natychmiast pędzą ulicą do specjalnych operatorów telegrafów – każdy z nich chce jako pierwszy podać opis Więźnia z Diabelskiej Wyspy.

* * *

Edmond, z typową dla siebie atencją dla życiowych przyjemności, znalazł w pobliżu naszego miejsca zamieszkania restaurację – „prawdziwy skarb, Georges, prawie jak alzacka” – Les Trois Marches przy rue d’Antrain: wiejską oberżę na skraju otwartej przestrzeni. Idziemy tam na obiad, mozolnie wspinając się na wzgórze w palącym słońcu, śledzeni przez moich ochroniarzy. Oberża mieści się na prowadzonej przez małżeństwo Jarlet farmie, z ogrodem, sadem, stajniami, oborą i chlewem. Siadamy na dworze, na ławach pod drzewem; wokół nas krążą osy, a my, popijając cydr, rozmawiamy o porannych wydarzeniach. Edmond, który dotychczas nie widział Dreyfusa, zwraca uwagę na jego dziwną zdolność wzbudzania współczucia – „Jak to jest, że za każdym razem, kiedy mówi »Jestem niewinny«, to chociaż wiemy, że kłamie, jakoś trudno nam uwierzyć w oskarżenie?” – gdy po drugiej stronie ulicy dostrzegam grupkę rozmawiających żandarmów.

Jarlet właśnie podaje nam talerz *pâté de campagne*. Pokazuję mu żandarmów.

– Dwaj z tych panów są z nami, ale kim są pozostali? – pytam.

– Trzymają wartę przed domem generała de Saint-Germaina, *monsieur*. To dowódca wojska

w tej okolicy.

– Czy naprawdę potrzebna mu jest ochrona policyjna?

– Nie, *monsieur*, to nie jego pilnują. Są tu ze względu na człowieka, który się u niego zatrzymał… generała Merciera.

– Edmondzie, słyszałeś? Po drugiej stronie drogi mieszka Mercier.

Edmond grucha donośnym śmiechem.

– A to cudownie! Musimy ustanowić stały przyczółek w pobliżu wroga. – Odwraca się do oberżysty. – Jarlet, od tej pory płacę za rezerwację stołu na dziesięć osób, codziennie w porze obiadu i kolacji, aż do zakończenia procesu. Czy to panu odpowiada?

Panu Jarletowi to odpowiada, jeszcze jak, i od tej pory zaczyna się „Spisek z Les Trois Marches”, jak nazywają to prawicowe gazety: czołowi dreyfusiści zbierają się tu codziennie w południe i o siódmej wieczorem, by zajadać prostą, niewyszukaną mieszczańską strawę Jarletów. Do stałych bywalców należą bracia Clemenceau, socjaliści Jean Jaurès oraz René Viviani, dziennikarze Lacroix i Séverine, „intelektualiści”: Octave Mirabeau, Gabriel Monod i Victor Basch. Nie jest jasne, po co Mercierowi ochroniarze – żeby go bronić przed takim szemranym

towarzystwem? Czyżby wyobrażał sobie, że profesor Monod zaatakuje go zwiniętym egzemplarzem „Revue Historique”? W środę proszę, żeby wycofano moją prywatną ochronę. Nie chodzi mi tylko o to, że moim zdaniem ochroniarze są zbędni – podejrzewam, że donoszą o mnie władzom.

Ludzie przychodzą do Les Trois Marches przez cały tydzień. Mathieu Dreyfus bywa tu od czasu do czasu, ale Lucie nigdy nie wpada, zostaje z wdową w mieście. Z kolei Labori, mieszkający niedaleko nas, prawie co wieczór chodzi pod górę ze swoją żoną Marguerite, kiedy już skończy się naradzać z klientem w więzieniu wojskowym.

– Jak on się trzyma? – pytam go któregoś wieczoru.

– Zdumiewająco dobrze, zważywszy na okoliczności. Boże, ależ z niego dziwak, nie sądzi pan? Od miesiąca widuję go prawie codziennie, a nie znam go ani trochę lepiej, niż poznałem go w ciągu pierwszych dziesięciu minut. On do wszystkiego podchodzi z dystansem. Przypuszczam, że tylko dzięki temu zdołał przeżyć.

– A jak przebiegają te tajne rozprawy? Co sąd uważa o aktach wywiadu?

– Ha! Wojskowi uwielbiają takie rzeczy! Setki, całe setki stron… listy miłosne, czułe wyznania pederastów, plotki, pogłoski, fałszywki i ślepe tropy prowadzące donikąd. Zupełnie jak Księgi sybilińskie: możemy układać kartki w dowolnej kolejności i wyczytywać z nich, co tylko chcemy. Ale wątpię, czy do Dreyfusa bezpośrednio odnosi się więcej niż dwadzieścia linijek tekstu.

Stoimy, paląc papierosy, w pewnej odległości od pozostałych. Zapada zmierzch. Za nami rozlega się śmiech. Głos Jaurèsa, który natura stworzyła do tego, by przemawiał do dziesięciotysięcznych tłumów, a nie do dziesięciu osób przy stole, grzmi na cały ogród.

– Widzę, że jesteśmy śledzeni – oznajmia znienacka Labori.

Po drugiej stronie drogi, w jednym z okien na piętrze, wyraźnie widać Merciera, który się na nas gapi.

– Właśnie podejmował swoich dawnych towarzyszy kolacją – mówię. – Boisdeffre, Gonse, Pellieux i Billot nieustannie wchodzą do niego i wychodzą.

– Słyszałem, że zamierza kandydować do Senatu. Ten proces może mu pomóc się wybić. Gdyby nie jego ambicje polityczne, ich strona pozbawiona byłaby kierownictwa.

– Gdyby nie jego ambicje polityczne, do tego wszystkiego w ogóle by nie doszło – odpowiadam. – Ale uważał, że Dreyfus okaże się jego biletem do prezydentury.

– Wciąż tak uważa.

* * *

Mercier ma zeznawać w sobotę – pierwszego dnia, gdy po rozprawie wstępnej dziennikarze i publiczność zostaną znów wpuszczeni na salę. Jego pojawienie się jest wyczekiwane niewiele mniej niż wcześniej Dreyfusa. Stawia się w sądzie w pełnym galowym mundurze generalskim – czerwonej kurtce, czarnych spodniach, z kepi o barwie czerwono-złotej. Na jego piersi błyszczy medal Wielkiego Oficera Legii Honorowej. Wywołany, wstaje z miejsca pośród wezwanych na świadków żołnierzy i przechodzi na przód sali, niosąc aktówkę z czarnej skóry. Staje najwyżej dwa kroki od miejsca, gdzie siedzi Dreyfus, ale ani razu nie zerka w jego stronę.

– Moje zeznanie z konieczności będzie trochę długie – oświadcza tym swoim cichym, zachrypniętym głosem.

– Woźny, proszę przynieść krzesło dla generała – mówi nadskakująco Jouaust.

Mercier przemawia przez trzy godziny, wyciągając coraz to kolejne dokumenty z czarnej skórzanej aktówki – wśród nich list z „tym łotrem D.”, co do którego nadal upiera się, że dotyczy Dreyfusa, a nawet sfabrykowane raporty Guénéego o szpiegu w naszym wywiadzie, tyle że pomija nazwisko Val Carlosa jako źródła. Podaje je Jouaustowi, a ten przekazuje je dalej kolejnym sędziom. Po chwili Labori odchyla się na krześle, przekrzywia głowę i spogląda na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: „Co ten idiota wyrabia?”. Pilnuję się, by zachować obojętną minę, lecz sądzę, że ma rację – pokazując dowody z tajnych akt podczas jawnego posiedzenia, Mercier otwiera Laboriemu drogę do ataku podczas pytań strony przeciwnej.

Mercier, niczym paranoik, monotonnie cytuje nieudolny wstępniak z „La Libre Parole”, doszukujący się wszędzie żydowskich spisków. Twierdzi, jakoby w Niemczech i w Anglii na uwolnienie Dreyfusa zebrano trzydzieści pięć milionów franków. Cytuje, jakby to była prawda, to, co Dreyfus podobno powiedział na temat okupacji Alzacji i Lotaryngii, a czemu zawsze zaprzeczał: „Dla nas, Żydów, to co innego; Bóg jest tam, gdzie jesteśmy my”. Przywołuje starą legendę o „przyznaniu się” przed degradacją.

Opowiada niestworzoną historię o tym, dlaczego pokazał tajne akta sędziom w sądzie wojskowym – otóż ponieważ na skutek afery Dreyfusa kraj znalazł się „o włos” od wojny z Niemcami, a zagrożenie było niezwykle realne, nakazał generałowi Boisdeffre’owi, by był gotowy rozesłać telegramy wzywające do pełnej mobilizacji wojsk, a on, Mercier, siedział tymczasem z prezydentem Casimirem-Perierem w Pałacu Elizejskim aż do wpół do pierwszej w nocy, czekając, czy cesarz Niemiec ustąpi i się wycofa.

Casimir-Perier, siedzący wśród świadków, wstaje, by zaprzeczyć temu jawnemu kłamstwu, a kiedy Jouaust nie udziela mu głosu, prezydent kwituje tę bzdurę, kręcąc głową, co wywołuje na sali rozpraw sensację.

Mercier tego nie zauważa. Zadziałała jego dawna paranoja w kwestii Niemiec, ciągle żywy smrodek defetyzmu po klęsce wojny z roku 1870.

– No więc, czy w tamtym momencie powinniśmy dążyć do wojny? – ględzi dalej. – Czy ja, jako minister wojny, powinienem wciągnąć ojczyznę w wojnę toczoną w takich warunkach? Nie zawahałem się powiedzieć „nie”. Z drugiej strony, czy miałem utrzymywać sąd wojskowy w nieświadomości zarzutów wysuniętych

przeciwko Dreyfusowi? Te dokumenty – klepie aktówkę leżącą przed nim na pulpicie – złożyły się na tak zwane wówczas tajne dossier i uznałem za nieodzowne, by sędziowie się z nimi zapoznali. Czy miałem polegać na wątpliwej tajności obrad za zamkniętymi drzwiami? Otóż nie, ja nie wierzę w zamknięte drzwi! Wcześniej czy później prasa i tak dostaje i publikuje to, co chce, nie zważając na wszelkie groźby rządu. W tych okolicznościach włożyłem tajne dokumenty do koperty, zakleiłem ją i wysłałem przewodniczącemu sądu wojskowego.

Dreyfus siedzi teraz na krześle wyprostowany i patrzy na Merciera ze skupieniem, zdziwieniem i czymś jeszcze, co wykracza poza zwykłe zdumienie – po raz pierwszy ze ślepym gniewem.

Mercier tego nie widzi, ponieważ starannie wystrzega się patrzenia w jego stronę.

– I jeszcze słówko na koniec – dorzuca. – Aby dożyć swojego wieku, musiałem przekonać się na własnej skórze, że mylić się jest rzeczą ludzką. Ale nawet przy słabości umysłu, którą mi wmawia *monsieur* Zola, jestem przynajmniej uczciwym człowiekiem i synem uczciwego człowieka. Gdybym kiedykolwiek miał cień wątpliwości, byłbym pierwszy, który oświadczy wszem wobec oraz kapitanowi Dreyfusowi –

odwraca się w końcu na krześle i patrzy na Dreyfusa – „zbłądziłem w dobrej wierze”.

Dla więźnia ta tandetna teatralność to już za dużo. Znienacka, i o dziwo bez śladu sztywności kolan, Dreyfus zrywa się na równe nogi, odwraca na pięcie do Merciera, jakby go chciał uderzyć, i ryczy straszliwym głosem, ni to wrzeszcząc, ni płacząc:

– Właśnie tak powinieneś powiedzieć!

Wszyscy na sali rozpraw wstrzymują dech. Urzędnicy nie reagują, są zbyt zaskoczeni. Tylko Mercier wydaje się niewzruszony. Zupełnie nie zwraca uwagi na górującą nad nim postać.

– Powiedziałbym kapitanowi Dreyfusowi: „Naprawdę byłem w błędzie. Przyznaję się do tego w dobrej wierze i uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby naprawić tę straszliwą pomyłkę” – powtarza cierpliwie.

Dreyfus wciąż stoi i patrzy na niego z góry, z uniesioną ręką.

– Bo to twój obowiązek! – drze się.

Nagradzają go brawa, głównie ze strony dziennikarzy, ale i ja się do nich przyłączam.

Mercier uśmiecha się blado, jakby miał do czynienia z nadmiernie pobudliwym dzieckiem, i kręcąc głową, czeka, aż ta manifestacja ucichnie.

– Nie, wcale nie – zaprzecza. – Od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku nie zmieniłem zdania ani na jotę. Przeciwnie, umocniłem się w swoim przekonaniu, i to nie tylko dzięki gruntownym badaniom tajnych akt, lecz także z powodu żałosnych starań mających wykazać niewinność Dreyfusa podejmowanych przez jego zwolenników, które pomimo ich rozpaczliwych wysiłków i wydanych na nie milionów spaliły na panewce. To już wszystko. Skończyłem.

Co rzekłszy, Mercier zamyka skórzaną aktówkę, wstaje, kłania się sędziom, bierze z półki przed sobą kepi i z dokumentami pod pachą odwraca się, by wyjść z sądu. Towarzyszą temu głośne gwizdy. Kiedy mija ławy dla prasy, jeden z reporterów – Georges Bourdon z „Le Figaro” – syczy za nim: „Morderca!”.

Mercier zatrzymuje się i wskazuje go palcem.

– Ten człowiek właśnie nazwał mnie mordercą!

Oskarżyciel wojskowy wstaje.

– Panie przewodniczący, domagam się aresztowania tego człowieka za obrazę.

– Zabrać go do aresztu! – woła Jouaust do sierżanta mającego pilnować porządku na sali.

Gdy żołnierz podchodzi do Bourdona, Labori wstaje.

– Przepraszam, panie przewodniczący, ale chciałbym przesłuchać tego świadka – protestuje.

– Oczywiście, *maître* Labori – odpowiada Jouaust, jak gdyby nigdy nic zerkając na zegarek. – Niestety, jest już po dwunastej, a jutro mamy niedzielę. Będzie pan miał okazję o szóstej trzydzieści w poniedziałek rano. A do tej pory rozprawa jest odroczona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Zeznanie Merciera uznawane jest za katastrofę i głębokie rozczarowanie dla jego stronników – bo nie przedstawił obiecanego dowodu „winy” Dreyfusa – i szansę dla nas, ponieważ Labori, powszechnie uchodzący w paryskiej palestrze za najostrzejszego speca od krzyżowego ognia pytań, będzie miał teraz okazję wziąć Merciera w obroty na miejscu dla świadków i przemaglować na okoliczność tajnych akt. Musi jedynie dostać dostatecznie dużo amunicji, więc w niedzielę rano idę do jego mieszkania, by pomóc mu się przygotować.

Nie mam najmniejszych skrupułów w sprawie złamania resztek mojej przysięgi dochowania tajemnicy – skoro Mercier może rozprawiać o kwestiach dotyczących bezpieczeństwa narodowego, to ja również.

– Mercier ma to do siebie, że bez niego nigdy nie doszłoby do sprawy Dreyfusa – mówię, kiedy usadowiliśmy się z Laborim w jego prowizorycznym gabinecie. – To on nakazał, żeby poszukiwania szpiega ograniczyć wyłącznie do

sztabu generalnego… Był to pierwszy i absolutnie podstawowy błąd. To on nakazał trzymać Dreyfusa tygodniami w odosobnieniu, żeby go złamać. I to on nakazał sporządzić tajne dossier.

– Przepytam go na okoliczność tych trzech rzeczy – obiecuje Labori, szybko coś notując. – Ale nie twierdzimy, że od samego początku wiedział, że Dreyfus jest niewinny?

– Od samego początku nie. Ale kiedy Dreyfus odmówił przyznania się do winy, a oni zdali sobie sprawę, że mają przeciwko niemu wyłącznie charakter pisma na *bordereau*, wtedy, moim zdaniem, wpadli w panikę i zaczęli fabrykować lipne dowody.

– I sądzisz, że Mercier o tym wiedział?

– Bez dwóch zdań.

– Skąd?

– Stąd, że na początku listopada Ministerstwo Spraw Zagranicznych rozszyfrowało włoski telegram, z którego jasno wynikało, że Panizzardi nigdy nie słyszał o Dreyfusie.

Nie przestając pisać, Labori unosi brwi.

– I pokazano go Mercierowi?

– Tak. Rozszyfrowany tekst zaniesiono mu osobiście.

Labori przestaje pisać, opiera się na krześle i bębni ołówkiem w notes.

– A zatem już ponad miesiąc przed sądem wojskowym wiedział, że list z „łotrem D.” nie może dotyczyć Dreyfusa? – upewnia się. Przytakuję ruchem głowy. – Mimo to poszedł na całość i pokazał go sędziom, wraz z komentarzem podkreślającym wagę tego listu w udowodnieniu winy Dreyfusa?

– I wczoraj nadal podtrzymywał to stanowisko. Ten człowiek nie ma wstydu.

– A co sekcja statystyczna zrobiła z tym włoskim telegramem? Pewnie po prostu go zignorowali?

– Nie, gorzej: zniszczyli oryginalny egzemplarz Ministerstwa Wojny i w jego miejsce podłożyli fałszywą wersję sugerującą coś wręcz przeciwnego… że Panizzardi wiedział o Dreyfusie wszystko.

– I to Mercier ponosi za to ostateczną odpowiedzialność?

– Tak uważam, po miesiącach zastanawiania się nad tym. Wielu innych też ma brudne ręce… Sandherr, Gonse, Henry… ale siłą napędową był Mercier. To on powinien zatrzymać wszelkie działania przeciwko Dreyfusowi z chwilą, gdy ujrzał ten telegram. Wiedział jednak, że pociągnęłoby to za sobą straszliwe szkody polityczne, natomiast gdyby doprowadził do

skutecznego skazania, to mógłby na tym wjechać aż do Pałacu Elizejskiego. To oczywiście tylko durne złudzenia, ale w końcu mamy do czynienia z urodzonym głupkiem.

Labori wraca do pisania.

– A co z tym drugim dokumentem z tajnych akt, który cytował wczoraj… raportem Guénéego, tego oficera Sûreté? Czy mogę go o to zahaczyć?

– Został sfałszowany, bez dwóch zdań. Guénée twierdził, jakoby attaché wojskowy Hiszpanii, markiz Val Carlos, doniósł mu, że Niemcy mają szpiega w naszym wywiadzie. Henry przysięgał, że Val Carlos opowiedział mu tę samą historię trzy miesiące później, i posłużył się nią przeciwko Dreyfusowi podczas pierwszego procesu przed sądem wojskowym. Ale spójrz tylko na język… nic się nie zgadza. Poruszyłem tę kwestię z Guénéem, krótko po tym, jak odkryłem ten raport. W życiu nie widziałem równie paskudnego krętacza.

– Czy powinniśmy wezwać Val Carlosa na świadka? Zapytać, czy zechce potwierdzić, że to powiedział?

– Może pan spróbować, choć jestem pewien, że się powoła na immunitet dyplomatyczny. Dlaczego nie wezwie pan Guénéego?

– Bo zmarł pięć tygodni temu.

Patrzę na niego, zaskoczony.

– Na co umarł? – pytam.

– Jeśli wierzyć zaświadczeniu lekarskiemu, na „przekrwienie mózgu”, cokolwiek to znaczy. – Labori kręci wielką głową. – Sandherr, Lemercier-Picard, Henry, a teraz Guénée… Okazuje się, że te tajne akta to jakiś pakt krwi.

* * *

W poniedziałek rano wstaję o piątej, golę się i ubieram starannie. Na nocnym stoliku, obok łóżka, leży mój rewolwer. Podnoszę go, ważę w ręku i po zastanowieniu chowam do komody.

Dobiega lekkie pukanie do drzwi i głos Edmonda:

– Georges, jesteś gotowy?

Obaj zaczęliśmy jadać w Les Trois Marches nie tylko obiady i kolacje, lecz również śniadania. W małym saloniku bierzemy omlety i bagietki. Po drugiej stronie drogi okiennice domu Merciera są zamknięte na cztery spusty. Przed bramą chodzi tam i z powrotem ziewający wartownik.

Za kwadrans szósta zaczynamy schodzić ze wzgórza. Po raz pierwszy na niebie wiszą deszczowe chmury; ich szarość pasuje do

kamiennych budynków tego cichego miasta; powietrze jest zimniejsze, wręcz lodowate. Gdy jesteśmy już prawie nad kanałem, słyszymy za sobą okrzyk: „Dzień dobry, panowie!”. Odwracam się i widzę, jak Labori śpieszy się, żeby nas dogonić. Ma na sobie ciemny garnitur, słomkowy kapelusz i wymachuje wielką czarną teczką.

– Wygląda na to, że czeka nas dzisiaj niezła zabawa.

Wydaje się, że jest w znakomitym humorze, niczym sportowiec, który nie może się doczekać wyjścia na arenę. Dogania nas i idzie szeroką bitą drogą biegnącą wzdłuż kanału, mając mnie po prawej, a Edmonda po lewej. Pyta mnie o ostatni szczegół dotyczący Merciera – „Czy Boisdeffre był obecny w pokoju, kiedy minister kazał Sandherrowi rozparcelować tajne akta?” – a ja już mam mu odpowiedzieć, gdy naraz słyszę za plecami jakiś hałas. Odwracam się, podejrzewając, że ktoś nas podsłuchuje.

Rzeczywiście, ktoś za nami idzie – potężny młodzian o rudych włosach, w czarnej kurtce, białej czapce i z rewolwerem w ręku. Ogłuszający huk płoszy kaczki, które rozbiegają się po wodzie, krzycząc ze strachu. Labori bąka ze zdumieniem: „Och, och, och…” i osuwa się na

jedno kolano, jakby zabrakło mu tchu. Wyciągam rękę, gdy nie wypuszczając teczki z ręki, przewraca się do przodu, na twarz.

Instynktownie mam ochotę przyklęknąć i go podtrzymać. To „Och, och” wyraża bardziej zdumienie niż ból. W jego marynarce, niemal dokładnie na środku pleców, widnieje dziura. Rozglądam się i widzę, że zabójca jest już sto metrów dalej, pędzi nad brzegiem kanału. Górę bierze więc inny instynkt – instynkt żołnierza.

– Zostań tu – rzucam do Edmonda.

Ruszam w pogoń za uzbrojonym bandytą. Po kilku sekundach orientuję się, że Edmond biegnie obok mnie.

– Georges, bądź ostrożny! – krzyczy.

– Wracaj do Laboriego! – wołam przez ramię i mocniej pracując rękami, wydłużam krok.

Edmond biegnie jeszcze kawałek, po czym rezygnuje z pościgu. Schylam głowę, zmuszam się, żeby biec szybciej. Nadrabiam dystans. Nie bardzo wiem, co zrobię, kiedy dopadnę bandytę, zwłaszcza że jemu zostało pewnie pięć kul, a ja jestem nieuzbrojony; zajmę się tym, jeśli dojdzie do tej sytuacji. A tymczasem przed sobą mam ludzi holujących barki, więc krzyczę do nich, żeby łapali mordercę. Widząc, co się dzieje, rzucają liny i blokują mu drogę.

Jestem już blisko, jakieś dwadzieścia metrów za nim. Wystarczająco blisko, by zobaczyć, jak celuje w tamtych z rewolweru i krzyczy:

– Z drogi! Właśnie zabiłem Dreyfusa!

Może to zasługa broni, a może przechwałki, w każdym razie to działa. Mężczyźni rozstępują się, tamten pędzi dalej, a gdy ich mijam, muszę przeskoczyć nad podstawioną mi nogą.

Domy oraz fabryki nagle się kończą, wypadamy na otwarty bretoński krajobraz. Za kanałem po mojej prawej widzę tory kolejowe i lokomotywę wjeżdżającą na stację; po lewej mam pasące się na polach krowy, a daleko na horyzoncie las. Bandyta nagle skręca ze ścieżki holowniczej, uskakuje w lewo i pędzi w kierunku drzew. Rok wcześniej bym go dogonił. Ale miesiące spędzone w więzieniu odbiły się na mojej formie. Jestem zdyszany, chwytają mnie skurcze, serce zachowuje się jakoś dziwnie. Przeskakuję rów, źle ląduję i w rezultacie zanim dopadam drzew, tamten miał mnóstwo czasu, żeby się ukryć. Znajduję grubą gałąź i przez pół godziny tratuję poszycie lasu, siekąc paprocie, płosząc bażanty – a wszystko to ze świadomością, że bandyta może mnie trzymać na muszce. W końcu cisza lasu wygrywa i kulejąc, wracam nad kanał.

* * *

Muszę wracać pieszo ponad trzy kilometry, więc nie widzę tego, co działo się zaraz po strzale. Edmond opisuje mi to później – jak wróciwszy do Laboriego, zobaczył, że wielki adwokat zdołał jakoś zakryć ciałem teczkę, by powstrzymać rozmaitych osobników, którzy poznali go i próbowali mu ukraść notatki; jak Marguerite Labori przybiegła na miejsce zbrodni w biało-czarnej letniej sukience i trzymała na kolanach głowę męża, próbując wachlować go małym japońskim wachlarzem; jak prawnik położył się na boku, obejmując żonę, i mówił do niej spokojnie; jak prawie wcale nie krwawił, co zwykle jest złowróżbną oznaką, bo często świadczy o krwotoku wewnętrznym; jak znaleźli okiennicę, czterej żołnierze ułożyli na niej Laboriego i z trudem zataszczyli olbrzyma do jego mieszkania; jak lekarz, zbadawszy go, oświadczył, że kula utkwiła między piątym a szóstym żebrem, o kilka milimetrów od kręgosłupa, więc sytuacja jest poważna – pacjent nie mógł poruszać nogą; jak kolega po fachu Laboriego, adwokat Demange, przyjechał czym prędzej z sądu wraz ze swoimi asystentami, by zobaczyć, co się dzieje; jak Labori chwycił kolegę

za rękę i powiedział: „Stary byku, ja zapewne umrę, ale Dreyfus jest bezpieczny”; i jak wszyscy stwierdzali mimochodem, że kiedy Dreyfus dowiedział się na sali sądowej o strzelaniu do swojego obrońcy, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Zanim wróciłem, minęła niemal godzina od ataku i miejsce napaści jest dziwnie wyludnione, jakby nic się nie stało. Gospodyni mieszkania, w którym zatrzymał się Labori, informuje nas, że zabrano go do domu Victora Bascha, profesora miejscowego uniwersytetu i dreyfusisty, zamieszkałego przy rue d’Antrain – tej samej, przy której się mieści Les Trois Marches. Wchodzę na wzgórze i na drodze przed domem zastaję grupkę dziennikarzy; dwaj żandarmi pilnują drzwi. W środku Labori, teraz już nieprzytomny, leży na materacach w pokoju na parterze, a Marguerite siedzi obok, trzymając go za rękę. Twarz ma śmiertelnie bladą. Lekarz posłał po chirurga, ale ten jeszcze nie przybył; jego doraźna opinia jest taka, że operacja byłaby zbyt niebezpieczna i kulę najlepiej zostawić tam, gdzie jest – najbliższe dwadzieścia cztery godziny okażą się decydujące i pokażą rozmiar szkód.

W salonie od frontu inspektor policji przesłuchuje Edmonda. Podaję mu rysopis

napastnika, opisuję pościg oraz miejsce, w którym skrył się w lesie.

– Las Cesson. Każę go przeszukać – mówi na to inspektor i wychodzi na korytarz, żeby porozmawiać z jednym ze swoich ludzi.

Korzystając z jego nieobecności w pokoju, Edmond pyta mnie:

– Dobrze się czujesz?

– Świetnie, poza tym, że jestem zdegustowany moim brakiem formy. – Z irytacją walę pięścią w oparcie krzesła. – Że też nie wziąłem rewolweru… zastrzeliłbym go bez problemu.

– Kto był jego celem: Labori czy ty?

Dotychczas nie przyszło mi to do głowy.

– Labori… jestem pewny. Za wszelką cenę chcieli uniemożliwić mu wzięcie Merciera w krzyżowy ogień pytań. Musimy znaleźć jego zastępcę, zanim proces zostanie wznowiony.

– Mój Boże, nie słyszałeś? – odpowiada Edmond ze zbolałą miną. – Jouaust zgodził się na odroczenie rozprawy zaledwie o czterdzieści pięć minut. Demange musi wracać i przesłuchać Merciera.

– Ależ Demange nie jest przygotowany! Nie wie, jakie pytania zadawać!

To katastrofa. Wybiegam z domu, mijam dziennikarzy, pędzę po stoku w kierunku liceum.

Zaczyna padać. Olbrzymie ciepłe krople rozbijają się o kamienny bruk ulicy, napełniając powietrze zapachem mokrego kurzu. Kilku reporterów rusza za mną. Biegną truchtem obok mnie, zadają pytania i jakimś cudem udaje im się nawet zapisywać moje odpowiedzi.

– Czyli że zabójca jest wciąż na wolności?

– O ile wiem, tak.

– Sądzi pan, że go złapią?

– Mogą go złapać… A czy to zrobią, to już inna kwestia.

– Myśli pan, że stoi za tym wojsko?

– Mam nadzieję, że nie.

– Ale pan tego nie wklucza?

– Ujmę to w ten sposób: to dziwne, że w mieście pilnowanym przez pięć tysięcy policjantów i żołnierzy zabójcy udaje się zastrzelić adwokata Dreyfusa i uciec bez specjalnych trudności.

Właśnie to chcieli usłyszeć. Przed wejściem do liceum rozpraszają się i biegną w kierunku Bourse de Commerce, by nadać telegraficznie swoje teksty.

W środku Mercier stoi na miejscu dla świadków; usiadłszy, w jednej chwili orientuję się, że Demange strasznie się męczy z przesłuchaniem. Jest porządnym, kulturalnym

mężczyzną pod sześćdziesiątkę, o przekrwionych oczach, który uczciwie reprezentował swojego klienta przez blisko pół dekady. Nie jest jednak przygotowany do tej rozprawy, a nawet gdyby był, brakuje mu oratorskiej swady Laboriego. Mówiąc bez ogródek, to gaduła. Ma w zwyczaju poprzedzać każde pytanie przemową, co daje przesłuchiwanemu mnóstwo czasu na przemyślenie odpowiedzi. Mercier bez trudu odpiera więc jego ataki. Zapytany o sfałszowany telegram od Panizzardiego, wypiera się wszelkiej wiedzy na ten temat; na pytanie, dlaczego nie dołączył telegramu do tajnego dossier i nie pokazał go sędziom, wyjaśnia, że to by się nie spodobało ministrowi spraw zagranicznych. Jeszcze kilka minut i sędzia go zwalnia. Gdy wraca przejściem na swoje miejsce, strzela oczami w moim kierunku. Staje, nachyla się do mnie i wyciąga rękę. Wie, że wszyscy na sali nas obserwują. Po czym odzywa się natrętnie, na tyle głośno, żeby każdy mógł usłyszeć:

– To straszna nowina, *monsieur* Picquart. W jakim stanie jest *maître* Labori?

– Kula wciąż tkwi w ciele, generale. Jutro będziemy wiedzieli coś więcej.

– Jestem głęboko wstrząśnięty tym zajściem. Czy przekaże pan *madame* Labori moje

najszczersze życzenia, żeby mąż jak najszybciej wyzdrowiał?

– Oczywiście, generale.

Jego dziwne oczy w kolorze morskiej zieleni świdrują moje; a ja przez ułamek sekundy dostrzegam cień jego wrogości, niczym płetwę w wodzie. A potem Mercier żegna mnie skinieniem głowy i odchodzi.

* * *

Następnego dnia wypada Wniebowzięcie – dzień wolny od pracy, więc sąd nie obraduje. Laboriemu udaje się przeżyć noc. Gorączka mu spada. Pojawia się nadzieja, że wyzdrowieje. W środę Demange zabiera w sądzie głos i prosi o odroczenie procesu o dwa tygodnie – bo wtedy albo Labori będzie na tyle zdrowy, by wrócić do pracy, albo nowy adwokat zostanie wprowadzony w istotę sprawy; obrony Dreyfusa podjął się Albert Clemenceau. Jouaust od razu odrzuca prośbę – okoliczności są niefortunne, lecz obrona musi sobie radzić w tych warunkach najlepiej, jak się da.

Pierwsza część porannej sesji poświęcona jest szczegółom uwięzienia Dreyfusa na Diabelskiej Wyspie. Opis koszmarnych warunków tego

reżimu sprawia, że nawet świadkowie oskarżenia – nawet Boisdeffre, nawet Gonse – mają dość przyzwoitości, by ze wstydem wysłuchiwać katalogu męczarni, które służyły do znęcania się w imię sprawiedliwości. Ale kiedy na koniec Jouaust pyta, czy oskarżony ma coś do dodania od siebie, Dreyfus odpowiada sztywno:

– Jestem tu, żeby bronić honoru swojego i swoich dzieci. Nie będę się wypowiadał na temat tortur, jakim mnie poddawano.

Woli nienawiść wojska od jego litości. Uświadamiam sobie, że to, co brałem za oziębłość, po części wynika z determinacji, by nie stać się ofiarą; szanuję go za to.

W czwartek wzywają mnie do złożenia zeznań.

Idę na środek sali i wchodzę po dwóch stopniach na podest, świadomy ciszy, jaka zapadła w tłoku za moimi plecami. Nie denerwuję się, chcę jedynie mieć to już za sobą. Przed sobą mam balustradę z półką, na której świadek może położyć swoje notatki albo wojskową czapkę. Za nią jest podium i szereg sędziów – dwóch pułkowników, trzech majorów i dwóch kapitanów – a po mojej lewej, zaledwie dwa metry ode mnie, siedzi Dreyfus. Jak dziwnie jest stać tak blisko niego, by móc mu uścisnąć

rękę, a zarazem nie móc się do niego odezwać! Próbuję zapomnieć o jego obecności, gdy patrząc prosto przed siebie, przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

– Czy znał pan oskarżonego, zanim popełnił zarzucane mu czyny? – pyta na wstępie Jouaust.

– Tak, pułkowniku.

– Jak pan go poznał?

– Wykładałem w École Supérieure de Guerre, a Dreyfus był moim uczniem.

– Wasze relacje nie wykraczały dalej?

– Zgadza się.

– Nie był pan jego mentorem ani sojusznikiem?

– Nie, pułkowniku.

– Nie pozostawał pan w jego służbie ani on w pańskiej?

– Nie, pułkowniku.

Jouaust coś sobie zapisuje.

Dopiero teraz ryzykuję i szybko zerkam z ukosa na Dreyfusa. Od tak dawna był w centrum mojej egzystencji, tak radykalnie zmienił mój los, tak bardzo urósł w mojej wyobraźni, że uważam za niemożliwe, by ten człowiek dorównywał wszystkiemu, co sobą reprezentuje. Mimo to dziwnie jest patrzeć na tego cichego nieznajomego, którego – gdybym

miał się domyślać – wziąłbym za emerytowanego urzędnika niższego szczebla pracującego w służbie kolonialnej i który mruga, patrząc na mnie przez pince-nez, jakbyśmy przypadkiem mieli odbyć bardzo długą podróż w tym samym przedziale kolejowym.

Oschły głos Jouausta przywołuje mnie do teraźniejszości.

– Opiszcie te wydarzenia, tak jak je znacie…

Odwracam wzrok od więźnia.

* * *

Moje zeznanie zajmuje całe posiedzenie tego dnia i większą część dnia następnego. Nie ma sensu opisywać go ponownie… *petit bleu*, Esterházyego, *bordereau*. Po raz kolejny wygłaszam je niczym wykład, którym w pewnym sensie jest. Jestem założycielem szkoły studiów nad Dreyfusem, jej czołowym naukowcem, jej gwiazdą wśród wykładowców; nie istnieje pytanie związane z moją specjalnością, na które nie znam odpowiedzi – znam każdy list i telegram, każdą osobę dramatu, każde fałszerstwo i kłamstwo. Co jakiś czas oficerowie sztabu generalnego wstają niczym spoceni studenci, by zagiąć mnie w jakiejś konkretnej

sprawie, ale bez trudu ucieram im nosa. Przemawiając, czasami obserwuję marsowe miny sędziów, tak samo jak kiedyś oceniałem miny swoich uczniów, zastanawiając się, ile z tego, co mówię, do nich dociera.

Kiedy Jouaust wreszcie mnie zwalnia, a ja odwracam się i maszeruję z powrotem na miejsce, odnoszę wrażenie – choć może jestem w błędzie – że Dreyfus dziękuje mi ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy i półuśmiechem.

* * *

Labori wraca do zdrowia i w środku następnego tygodnia, z kulą wciąż tkwiącą między piątym a szóstym żebrem, pojawia się w sądzie. W towarzystwie Marguerite wchodzi na salę przy wtórze głośnych braw. Ruchem ręki dziękuje za takie powitanie i udaje się na swoje miejsce, gdzie wstawiono mu obszerny wygodny fotel. Pomijając spoconą, kredowobiałą twarz, jedynym widocznym śladem jego obrażeń jest sztywność lewego ramienia, którym prawie nie może ruszać. Gdy mija swojego klienta, Dreyfus wstaje i gorąco ściska jego zdrową rękę.

Nie jestem przekonany, że jest już zdolny wrócić do swoich obowiązków, jak mi to wmawia. Wiem co nieco o ranach postrzałowych. Goją się dłużej, niż to sobie wyobrażamy. Moim zdaniem Labori powinien poddać się operacji usunięcia kuli – to jednak na dobre wyłączyłoby go z procesu. Z powodu potwornego bólu prawie nie sypia. Do tego dochodzi uraz psychiczny, do którego się nie przyznaje. Dostrzegam jego oznaki, kiedy Labori wychodzi na ulicę – w sposobie, jaki lekko się cofa, gdy ktoś nieznajomy podchodzi do niego z wyciągniętą ręką, albo się wzdryga, słysząc za sobą tupot nóg. W sensie zawodowym objawia się to nadmierną irytacją i porywczością, zwłaszcza w stosunku do przewodniczącego składu sędziowskiego, którego Labori uwielbia podpuszczać.

JOUAUST: Zalecam, żeby wysławiał się pan z umiarem.
LABORI: Nie wypowiedziałem ani jednego nieumiarkowanego słowa.
JOUAUST: Ale pański ton nie jest umiarkowany.
LABORI: Ja nie kontroluję swojego tonu.
JOUAUST: Więc niech pan zacznie… Każdy człowiek powinien nad sobą panować.

LABORI: Panuję nad sobą, ale nie nad swoim tonem.
JOUAUST: Za chwilę odbiorę panu głos.
LABORI: Proszę bardzo, niech pan odbiera.
JOUAUST: Niech pan siada!
LABORI: Usiądę… ale nie dlatego, że pan mi tak każe!

Pewnego dnia, podczas spotkania w sprawie strategii prawnej, na które idę z Mathieu Dreyfusem, Demange oświadcza na swój napuszony sposób:

– Mój drogi Labori, nie wolno nam tracić z oczu podstawowego celu, jakim, z całym szacunkiem, nie jest objeżdżanie wojska za popełnione błędy, lecz dopilnowanie, żeby nasz klient wyszedł na wolność. A skoro proces toczy się przed sądem wojskowym i ostatecznie to żołnierze zadecydują, jaki wyrok zapadnie, musimy postępować dyplomatycznie.

– „Dyplomatycznie”, jakżeby inaczej! – odpala Labori. – Domyślam się, że ma to być ta sama dyplomacja, dzięki której pański klient spędził cztery lata na Diabelskiej Wyspie?

Demange, czerwony z wściekłości, zbiera swoje papiery i wychodzi z pokoju.

Mathieu podnosi się, znużony, i rusza za nim. Od progu mówi:

– Rozumiem pańską irytację, Labori, ale Edgar od pięciu lat lojalnie trzyma stronę mojej rodziny. Zasłużył sobie na to, żeby ustalać kierunek naszej strategii.

Co do meritum, zgadzam się z Laborim. Znam wojsko. Ono nie reaguje na dyplomację. Odpowiada na siłę. Ale nawet jak dla mnie Labori posunął się za daleko, kiedy postanawia wysłać telegramy – bez konsultacji z Demange'em – do cesarza Niemiec oraz króla Włoch z prośbą o zgodę na to, by von Schwartzkoppen i Panizzardi (którzy wrócili tymczasem na swoich ojczyzn łono) przyjechali do Rennes w celu złożenia zeznań. Niemiecki kanclerz, hrabia von Bülow, odpowiada mu jak szaleńcowi:

> *Jego Cesarska i Królewska Wysokość, nasz łaskawy pan, co oczywiste, uważa za niemożliwe przychylenie się dziwnej sugestii maître Laboriego.*

Po tej historii stosunki Laboriego i Demange'a pogarszają się do tego stopnia, że

Labori, aczkolwiek z bólem, oświadcza, że rezygnuje z wygłoszenia mowy końcowej:

– Nie mogę brać udziału w strategii, w którą nie wierzę. Jeśli ten stary dureń sądzi, że wygra uprzejmością wobec tych morderców i drani, niech sam się w to bawi.

* * *

Gdy wreszcie zbliża się koniec procesu, prefekt policji miejskiej Rennes, Dureault, zaczepia mnie na zatłoczonym dziedzińcu liceum podczas przerwy w rozprawie, kiedy wszyscy wychodzą na dwór rozprostować nogi. Ruchem ręki ściąga mnie na stronę i oznajmia ściszonym głosem:

– *Monsieur* Picquart, nasze sprawdzone źródła wywiadowcze donoszą, że nacjonaliści zamierzają masowo przybyć na ogłoszenie wyroku i że gdyby Dreyfus został uniewinniony, może dojść do poważnych rozruchów. Obawiam się, że w tych okolicznościach nie możemy zapewnić panu bezpieczeństwa, i dlatego nalegam, żeby wyjechał pan wcześniej z miasta. Mam nadzieję, że pan mnie rozumie.

– Dziękuję, *monsieur* Dureault. Doceniam pańską szczerość.

– Jeszcze jedna rada, jeśli wolno. Sugeruję, żeby wyjechał pan nocnym pociągiem, wtedy nikt pana nie zauważy.

Odchodzi. Opieram się w słońcu o ścianę i palę papierosa. Wyjadę stąd bez przykrości. Spędziłem tu niemal miesiąc. Jak wszyscy. Gonse i Boisdeffre przechadzają się ramię w ramię tam i z powrotem, jak gdyby wspierali się w tej trudnej chwili. Mercier i Billot siedzą na murze, wymachując nogami jak para uczniaków. Jest *madame* Henry, narodowa wdowa – od stóp do głów okryta w czerń, płynie przez dziedziniec niczym Anioł Śmierci, uwieszona ramienia majora Lautha, z którym podobno utrzymuje intymne stosunki. Przysadzisty, włochaty Bertillon, z walizką pełną wykresów, nadal upiera się, że Dreyfus sam podrobił własny charakter pisma, by stworzyć *bordereau*. Jest Gribelin, który znalazł sobie miejsce w cieniu. Ale niektórych brakuje. Cokolwiek upiorna jest zwłaszcza nieobecność takich postaci, jak Sandherr, Henry, Lemercier-Picard, Guénée… ale jest też kilku mniej upiornych nieobecnych: du Paty, który wyłgał się od składania zeznań rzekomą chorobą; Scheurer-Kestner, który naprawdę choruje – na raka – i jak wieść niesie, jest umierający; oraz Esterházy, który zapadł się

pod ziemię w angielskiej wiosce Harpenden. Ale poza tym jesteśmy tutaj w komplecie, niczym pensjonariusze zakładu dla obłąkanych albo pasażerowie jakiegoś prawniczego *Latającego Holendra*, skazani na krążenie wokół siebie i dookoła świata na wieki wieków.

Rozlega się dzwonek wzywający nas z powrotem do sali rozpraw.

* * *

W czwartek wieczorem, siódmego września, Edmond i ja umawiamy się na pożegnalną kolację w Les Trois Marches. Są tam Labori i Marguerite, ale Mathieu i Demange nie przychodzą. Wznosimy ostatni toast za zwycięstwo, unosząc szklanki w kierunku domu Merciera, a potem jedziemy dorożką na pusty dworzec kolejowy i łapiemy wieczorny pociąg do Paryża. Nikt nie widzi, jak odjeżdżamy. Miasto tonie za nami w ciemności.

Ogłoszenie werdyktu zapowiedziano na sobotnie popołudnie, więc Aline Ménard-Dorian dochodzi do wniosku, że jest to cudowna okazja na proszony obiad. Załatwia z zaprzyjaźnionym podsekretarzem stanu do spraw urzędów pocztowych i telegrafu, by założyli bezpośrednią

linię telefoniczną z jej salonu do Bourse de Commerce w Rennes – dzięki temu poznamy wyrok zaraz po ogłoszeniu – i zaprasza wszystkich stałych bywalców salonu plus kilka innych osób na przyjęcie na stojąco o pierwszej przy rue de la Faisanderie.

Nie mam ochoty tam iść, lecz jej zaproszenie jest utrzymane w tak natarczywym tonie – *Najdroższy Georges, cudownie byłoby Cię mieć wśród nas i móc wspólnie świętować Twoją chwilę chwały* – że odmowa byłaby, moim zdaniem, chamska; a zresztą i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Przychodzi Zola, który wrócił z emigracji, a oprócz niego Georges i Albert Clemenceau, Jean Jaurès oraz de Blowitz z londyńskiego „Timesa”; w sumie jest nas jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób, wliczając w to Blanche de Comminges w asyście młodego człowieka nazwiskiem d’Espic de Ginestet, którego przedstawia nam jako swojego narzeczonego. Lokaj w liberii klęczy w kącie obok telefonu, co jakiś czas sprawdzając z telefonistką, czy linia działa. O trzeciej piętnaście, gdy skończyliśmy posiłek – albo wcale nie jedliśmy, tak jak ja – daje znak naszemu gospodarzowi i podaje mu aparat. Paul Ménard, mąż Aline, jest przemysłowcem o radykalnych

zapatrywaniach. Przez chwilę słucha z poważną miną, po czym oznajmia:

– Sędziowie udali się na naradę, żeby ustalić wyrok. – Wciska słuchawkę telefonu w dłoń lokaja w białej rękawiczce.

Wychodzę na taras, chcąc pobyć samemu, lecz kilku innych gości rusza za mną. De Blowitz, którego okrągłe kształty, nos jak kartofel i rumiana cera przywodzą na myśl postać z Dickensa – choćby pana Bumble'a albo Pickwicka – pyta mnie, czy pamiętam, ile czasu sędziowie deliberowali nad wyrokiem w pierwszym procesie przed sądem wojskowym.

– Pół godziny.

– A czy pańskim zdaniem, *monsieur*, im dłużej się zastanawiają, tym większe jest prawdopodobieństwo, że wyrok będzie korzystny dla oskarżonego, czy wręcz odwrotnie?

– Pan wybaczy, ale nie potrafię na to odpowiedzieć.

Upływające minuty to dla nas istna męczarnia. Pobliski kościół wybija na pół godziny, a potem na czwartą. Szwendamy się po trawniku.

– Najwyraźniej starannie rozważają dowody za i przeciw – mówi Zola – a skoro tak, musi

wyjść na nasze. To dobry znak.

– Nie – zaprzecza Georges Clemenceau. – Nakłaniają ludzi do zmiany zdania, a to nie może być korzystne dla Dreyfusa.

Wracam do salonu i staję przy oknie. Na ulicy przed domem zebrał się tłum ludzi. Ktoś woła, czy są jakieś wieści. Zaprzeczam ruchem głowy. Za kwadrans piąta lokaj daje znak Ménardowi, a ten podchodzi do telefonu.

Słucha przez chwilę i obwieszcza:

– Sędziowie wracają na salę rozpraw.

A zatem debatowali przez półtorej godziny. Czy to długo, czy krótko? Dobrze czy źle? Sam nie wiem, co o tym sądzić.

Mija pięć minut. Dziesięć. Żeby zmniejszyć napięcie, ktoś opowiada dowcip, rozlegają się śmiechy. Nagle Ménard unosi rękę, nakazując ciszę. Po drugiej stronie linii coś się dzieje. Ménard marszczy czoło. Jego ramię opada powolnym, druzgoczącym ruchem.

– Winny, stosunkiem głosów pięć do dwóch – oznajmia cicho. – Wyrok zmniejszony do dziesięciu lat więzienia.

* * *

Nieco ponad tydzień później, przed wieczorem, przychodzi do mnie Mathieu Dreyfus. Dziwię się, widząc go na swoich schodach. Dotychczas nigdy do mnie nie zaglądał. Po raz pierwszy jest bezbarwny i wymięty; nawet kwiat w jego butonierce zdążył zwiędnąć. Przysiada na skraju małej kanapy, nerwowo miętosząc w rękach melonik. Ruchem głowy wskazuje biurko, zarzucone papierami, i zapaloną lampę.

– Widzę, że odrywam pana od pracy. Pan wybaczy.

– To nic takiego… Pomyślałem, że dopóki wszystko mam świeżo w pamięci, spróbuję napisać coś w rodzaju pamiętnika. Ale nie do wydania… W każdym razie nie za mojego życia. Napije się pan?

– Nie, dziękuję. Nie zabawię tu długo. Muszę złapać wieczorny pociąg do Rennes.

– Aha. Jak on się trzyma?

– Szczerze, Picquart, obawiam się, że się szykuje na śmierć.

– Niech pan nie przesadza, Dreyfus! – bagatelizuję, siadając naprzeciw niego. – Jeśli pański brat zdołał przeżyć cztery lata na Diabelskiej Wyspie, to wytrzyma jeszcze kilka miesięcy w więzieniu! A jestem pewien, że nie

posiedzi dłużej. Władze będą go musiały wypuścić przed Wystawą Światową, inaczej ludzie ją zbojkotują. A nie mogą sobie pozwolić na to, żeby umarł w więzieniu.

– Po raz pierwszy, odkąd go aresztowano, poprosił o widzenie z dziećmi. Wyobraża pan sobie, jak to na nie wpłynie… Widok ojca w takim stanie? Nie narażałby ich na coś takiego, gdyby nie chciał pożegnać się z nimi na zawsze.

– Jest pan pewien, że tak niedomaga na zdrowiu? Czy badał go lekarz?

– Władze wysłały do Rennes specjalistę. Według niego Alfred Dreyfus jest niedożywiony, choruje na malarię oraz prawdopodobnie gruźlicę szpiku kostnego. Jego zdaniem w niewoli długo nie pożyje. – Spogląda na mnie żałośnie. – Właśnie dlatego… Przyjechałem, żeby pana poinformować… A mówię to z ogromną przykrością… Że postanowiliśmy przyjąć propozycję ułaskawienia.

Zapada cisza. Żałuję, że nie potrafię się zdobyć na mniej lodowaty ton.

– Rozumiem. A zatem złożyli wam propozycję?

– Premier się martwi, że naród na zawsze się podzieli.

– Już się podzielił.

– Wiem, że to dla pana cios, Picquart. Rozumiem, że stawia to pana w niezręcznej sytuacji…

– Trudno, żeby było inaczej! – wybucham. – Zgoda na ułaskawienie to przyznanie się do winy!

– Formalnie rzecz biorąc, tak. Ale Jaurès przygotował Alfredowi tekst oświadczenia, które ma wygłosić w chwili, gdy tylko opuści więzienie. – Z wewnętrznej kieszeni wyjmuje zmiętą kartkę i podaje mi ją.

> *Rząd Republiki przyznał mi wolność. Dla mnie wolność bez honoru nic nie znaczy. Poczynając od dzisiaj, nie ustanę w wysiłkach na rzecz zmiany tej potwornej pomyłki sądowej, której ofiarą wciąż jestem…*

Jest tego więcej, ale tyle mi wystarcza. Oddaję kartkę.

– Tak, to bardzo szlachetne słowa – mówię z goryczą. – Niczego innego bym się nie spodziewał… Jaurès zawsze ma jakieś szlachetne słowa pod ręką. Realia są jednak takie, że wojskowi wygrali. W zamian za to będą się domagali co najmniej amnestii dla wszystkich,

którzy zorganizowali spisek przeciwko pańskiemu bratu. – Korci mnie, żeby dodać: „I przeciwko mnie”. – To mi uniemożliwi wytoczenie procesu sztabowi generalnemu.

– Na krótką metę, być może. Ale w dłuższej perspektywie, w innym klimacie politycznym, nie wątpię, że uzyskamy w sądach pełne oczyszczenie z zarzutów.

– Chciałbym podzielać pańską wiarę w nasz system prawny.

Mathieu wpycha tekst oświadczenia do kieszeni i wstaje. W sposobie, w jaki rozstawia szeroko nogi, jest coś wyzywającego.

– Przykro mi, Picquart, że czuje się pan tak, a nie inaczej. Domyślam się, że dla dobra własnej sprawy wolałby pan, żeby mój brat zmarł jako męczennik, gdyby to było konieczne. Ale rodzina chce go odzyskać żywego. Jeśli mam być całkiem szczery, on również nie pogodził się z tą decyzją. Myślę, że sytuacja by się zmieniła, gdybym mógł mu powiedzieć, że mam pańską zgodę.

– Moją zgodę? Dlaczego miałby się tym przejmować?

– Nie wiem, ale go to obchodzi. Co mam mu przekazać od pana?

Stoi przede mną, nieustępliwy.

– A co mówią pozostali?

– Zola, Clemenceau i Labori są przeciwni. Reinach, Lazare, Basch i cała reszta mówią „tak”, z mniejszym lub większym entuzjazmem.

– Proszę mu powiedzieć, że ja również jestem przeciwny.

Mathieu szybko kiwa głową, jakby niczego innego się nie spodziewał, i odwraca się do wyjścia.

– Ale niech mu pan też powie, że rozumiem – dodaję.

* * *

Dreyfus wychodzi na wolność w środę, dwudziestego września 1899 roku, aczkolwiek do publicznej wiadomości podają to dopiero nazajutrz, żeby mógł odbyć podróż nienapastowany przez członków społeczeństwa. Ja także dowiaduję się o tym z gazet, jak wszyscy inni. O zmierzchu funkcjonariusze Sûreté wywożą go automobilem z więzienia w Rennes, dla niepoznaki przebranego w granatowy garnitur i czarny miękki kapelusz, i wysadzają na dworcu kolejowym w Nantes, gdzie czeka na niego Mathieu; stamtąd bracia odjeżdżają zmierzającym na południe pociągiem z wagonami sypialnymi. W domu rodzinnym

w Prowansji Dreyfus spotyka się z żoną i dziećmi. Następnie wyjeżdża do Szwajcarii. Do Paryża nie wraca. Boi się zamachu na swoje życie.

Co do mnie, jakoś wiążę koniec z końcem i przy pomocy Laboriego pozywam kilka gazet o zniesławienie. W grudniu odrzucam rządową ofertę objęcia powszechną amnestią dla wszystkich zamieszanych w tę aferę, i to mimo obietnicy, że przywrócą mi dawny stopień wojskowy i zostanę dowódcą. Po co miałbym nosić taki sam mundur jak Mercier, du Paty, Gonse, Lauth i cała ta banda przestępców?

W styczniu Mercier zostaje wybrany na senatora z okręgu dolnej Loary, z ramienia nacjonalistów.

Nie mam żadnych wieści od Dreyfusa. Aż tu nagle, ponad rok od jego uwolnienia, w ponury zimowy dzień 1900 roku, schodzę na parter odebrać pocztę i widzę list nadany w Paryżu. Adres wypisano charakterem pisma znanym mi jedynie z tajnych akt oraz dowodów przedstawianych w sądzie.

Panie pułkowniku

Mam zaszczyt prosić o wyznaczenie dnia i godziny, kiedy pozwoli mi Pan osobiście złożyć sobie wyrazy mojej wdzięczności.

Łączę wyrazy szacunku,
A. Dreyfus

Jako adres nadawcy widnieje rue de Châteaudun.

Wracam z listem na górę. Pauline została u mnie na noc – robi to coraz częściej, w miarę jak dziewczęta dorastają. Obecnie każe się nazywać *madame* Romazzotti, bo wróciła do panieńskiego nazwiska, a ludzie biorą ją za wdowę. Podkpiwam sobie z niej, że to brzmi jak przydomek wróżki z boulevard Saint-Germain.

– Coś ciekawego?! – woła z sypialni.

Ponownie czytam liścik.

– Nie – odpowiadam. – Nic.

Nieco później biorę jedną z moich kart wizytowych i piszę na odwrocie: *Szanowny Panie, dam znać, kiedy będę mógł Pana przyjąć. G. Picquart.*

Potem jednak nic w tej sprawie nie robię. On nie jest z tych, którym łatwo przychodzi dziękować; no i dobrze, ja z kolei nie należę do ludzi, którzy łatwo przyjmują podziękowania; lepiej więc oszczędźmy sobie tego tak niezręcznego spotkania. Potem gazety zarzucają mi, że kategorycznie odmówiłem spotkania z Dreyfusem. Pewien anonimowy przyjaciel

rodziny – jak się okazało się, był to syjonistyczny pamflecista Bernard Lazare – mówi prawicowej gazecie „L'Echo de Paris": *Nie rozumiemy Picquarta i jego postawy* (…). *Prawdopodobnie, jak większość ludzi, nie wiecie, że Picquart jest zagorzałym antysemitą.*

Jak mam na to zareagować? Jeśli, jak twierdzi Arystoteles, to, co wciąż robimy, stanowi o nas, to moje działania nijak nie wskazywały na zagorzałego antysemitę. Z drugiej strony oskarżenie o antysemityzm jest najlepszą metodą wywołania starych uprzedzeń, więc w liście do przyjaciela zawieram gorzką uwagę: *Wiedziałem, że pewnego dnia zaatakują mnie Żydzi, a zwłaszcza Dreyfusowie…*

I w ten oto sposób nasza piękna sprawa zniża się do ataków wściekłości, rozczarowania, wyrzutów i uszczypliwości.

* * *

Na placu apelowym École Militaire kompanie kadetów ćwiczą zwroty i maszerują po ubitej brązowej ziemi. Stoję za barierkami na Place de Fontenoy i jak często mi się to zdarza, obserwuję musztrę. W tym miejscu zawiera się tak duża część mojego życia. To tutaj szkolono mnie jako

młodszego oficera, to tu następnie uczyłem. Tutaj byłem świadkiem degradacji Dreyfusa. A tam dalej mieści się szkoła jeździecka, w której pojedynkowałem się z Henrym.

– Kompanie… Baaaczność!

– Kompanie… Prezentuj broń!

Młodzi ludzie maszerują obok mnie, z oczami zwróconymi na prawo, idealnie zgrani, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że nawet mnie nie widzą. A jeśli nawet widzą, to nie zwracają na mnie uwagi – ot, kolejny cywil w średnim wieku w czarnym garniturze i meloniku, obserwujący ich smutno zza placu.

* * *

A jednak ostatecznie wygrywamy – nie w blasku chwały, jak zawsze na to liczyliśmy; nie w przełomowym momencie jakiegoś głośnego procesu, w którym oskarżony, nareszcie oczyszczony z zarzutów, zostaje wyniesiony na rękach przez publiczność. Zwyciężamy po cichu, za zamkniętymi drzwiami, kiedy w komisjach i archiwach opadły emocje i wszystkie fakty ponownie są przesiewane przez uważnych jurystów.

Najpierw Jaurès, przywódca socjalistów, wygłasza oratorską mowę w Izbie Deputowanych. W trakcie trwającego półtora dnia przemówienia tak jasno przedstawia przebieg całej sprawy, że nowy minister wojny, generał André, zgadza się na ponowne przyjrzenie się dowodom – to dzieje się w roku 1903. Potem rezultaty dochodzenia André skłaniają do zajęcia się tą sprawą samą Izbę Kryminalną Sądu Kasacyjnego, która orzeka, że powinien się jej przyjrzeć Najwyższy Sąd Apelacyjny – to trwa przez cały rok 1904. Następny rok jest stracony z powodu politycznej burzy związanej z rozdziałem Kościoła od państwa – żegnaj, roku 1905. Ostatecznie jednak Najwyższy Sąd Apelacyjny uchyla wyrok sądu w Rennes i całkowicie oczyszcza Dreyfusa z wszelkich zarzutów – dochodzi do tego dwunastego lipca 1906 roku.

Trzynastego do Izby Deputowanych wpływa wniosek o przywrócenie Dreyfusa do wojska w stopniu majora i nagrodzenie go najwyższym możliwym wyróżnieniem – krzyżem Legii Honorowej; wniosek przechodzi stosunkiem głosów 432 do 32, a gdy Mercier próbuje wystąpić przeciwko temu w Senacie, zostaje zakrzyczany. Tego samego dnia odbywa się

debata nad jeszcze jednym wnioskiem – o przywrócenie mnie do wojska w stopniu, którego miałem nadzieję się dosłużyć, gdybym nie został karnie zwolniony w roku 1898; ten wniosek przechodzi jeszcze większą różnicą głosów: 449 do 26. Ku swojemu zdziwieniu wracam na plac apelowy École Militaire na uroczystość dekoracji Dreyfusa, nosząc mundur generała brygady.

Dwudziestego piątego października mój przyjaciel Georges Clemenceau zostaje premierem; ja akurat przebywam wówczas w Wiedniu. Tego wieczoru, wystrojony we frak, z Pauline u boku, zajmuję miejsce w Wiedeńskiej Operze Państwowej, by zobaczyć, jak Gustav Mahler dyryguje *Tristanem i Izoldą*. Od tygodni nie mogłem się doczekać tego przedstawienia. Ale gdy światła powoli gasną, dostrzegam urzędnika z francuskiej ambasady kręcącego się w przejściu i naraz ludzie przekazują telegram z jednej dłoni w rękawiczce do drugiej, całej upierścienionej. W końcu dociera do Pauline, a ona podaje go mnie.

Niniejszym informuję, że mianowałem Pana dzisiaj ministrem wojny. Natychmiast wracać do Paryża. Clemenceau.

EPILOG

Czwartek, 29 listopada 1906 roku

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Major Dreyfus do ministra wojny…

Słyszę, jak u stóp marmurowych schodów zapowiada się mojemu ordynansowi tym swoim znajomym głosem ze śladami niemieckiego akcentu. Słucham stukania jego butów, gdy wchodzi po stopniach, aż w końcu wolno pojawia się na widoku – czapka, epolety, złote guziki, galon, szpada, lampasy na spodniach… wszystko dokładnie takie samo jak przed degradacją, z dodatkiem czerwonej wstęgi Legii Honorowej na czarnym mundurze artylerzysty.

Staje na klatce schodowej i salutuje.

– Generale Picquart.

– Majorze Dreyfus – odpowiadam z uśmiechem, wyciągając rękę. – Czekałem na pana. Zapraszam.

Od czasów Merciera i Billota w ministerialnym gabinecie nic się nie zmieniło – ściany zdobi ta sama bladoniebieska tkanina, aczkolwiek Pauline, która pełni tu honory pani domu, lubi codziennie ustawiać świeże kwiaty na

stole między wielkimi, wychodzącymi na ogród oknami. Tego dnia gałęzie drzew są gołe; listopadowy mrok przebijają jaskrawe światła ministerstwa.

– Proszę usiąść, majorze – zapraszam go. – Niech pan się czuje jak u siebie. Czy kiedyś już pan tu był?

– Nie, panie ministrze. – Zajmuje miejsce na pozłacanym krześle i siedzi bardzo oficjalnie, sztywno wyprostowany.

Siadam naprzeciwko niego. Przybrał na wadze, wygląda bardzo dobrze, w doskonale skrojonym mundurze prezentuje się niemal galowo. Jasnoniebieskie oczy za pince-nez mają czujny wyraz.

– A zatem – mówię, złączając czubki palców i przyglądając mu się długo twardym wzrokiem – o czym chciał pan porozmawiać?

– O kwestii mojego stopnia – odpowiada. – Awansując mnie z kapitana na majora, nie wzięto pod uwagę lat, które niesłusznie spędziłem uwięziony na Diabelskiej Wyspie. Natomiast, niech mi będzie wolno zauważyć, pański awans z pułkownika na generała brygady oznacza, że osiem lat poza wojskiem potraktowano tak, jakby spędził je pan w czynnej

służbie. Uważam, że to jest niesprawiedliwe… wręcz stronnicze.

– Rozumiem. – Czuję, że mój uśmiech twardnieje. – I w związku z tym czego pan ode mnie oczekuje?

– Że pan to naprawi. I awansuje mnie do stopnia, który mi się należy.

– Czyli jakiego, pańskim zdaniem?

– Podpułkownika.

Przez chwilę milczę.

– Ależ to by wymagało ustanowienia specjalnego prawa. Rząd musiałby przedstawić Izbie Deputowanych nowy wniosek.

– Powinno się to zrobić. Tak należy.

– Nie. To niemożliwe.

– Czy wolno mi zapytać dlaczego?

– Dlatego że to politycznie niewykonalne – tłumaczę ze złością. – Tamten wniosek przeszedł w lipcu, kiedy uczucia przeważającej większości posłów działały na pańską korzyść, bo było to zaledwie dzień po oczyszczeniu pana z zarzutów. Teraz mamy listopad i nastroje krańcowo się zmieniły. Poza tym i tak mam niełatwe zadanie… mam nadzieję, że pan to rozumie… wracając do tego gmachu jako minister wojny i pracując z wieloma oficerami, którzy przez tyle lat należeli do naszych zagorzałych wrogów.

Codziennie muszę przełykać złość i zostawiać za sobą dawne zwady. Czy mam teraz znów się od nich odwrócić i otworzyć tę kontrowersyjną sprawę na nowo?

– Tak, ponieważ tak należy.

– Pan wybaczy, Dreyfus. To jest po prostu nie do zrobienia.

Siedzimy w milczeniu. Nagle dzieli nas coś więcej niż tylko kawałek dywanu: wyrosła między nami przepaść, te kilka sekund należy do najgorszych chwil w moim życiu. W końcu, nie mogąc tego dłużej wytrzymać, wstaję.

– Jeśli to już wszystko…

Dreyfus również natychmiast wstaje.

– Tak, to wszystko.

Odprowadzam go do drzwi. Takie zakończenie spotkania wydaje mi się okropne.

– Trochę żałuję, majorze, że aż do tej pory nie spotkaliśmy się w cztery oczy – mówię ostrożnie.

– Owszem. Nie spotkaliśmy się od tego ranka, kiedy mnie aresztowano, a pan zabrał mnie do swojego gabinetu przed odstawieniem na spotkanie z pułkownikiem du Patym.

Czuję, jak krew napływa mi do twarzy.

– Tak, przepraszam za swój udział w tej ponurej farsie.

– No cóż, chyba się pan zrehabilitował! – Dreyfus rozgląda się po gabinecie i z uznaniem kiwa głową. – To wielka sprawa zrobić tyle co pan, a na końcu zostać wybranym do rządu Republiki Francuskiej.

– Widzi pan, to dziwne, ale prawdziwe, że nigdy bym tego nie osiągnął bez pana.

– Nie, panie generale – odpowiada Dreyfus. – Osiągnął pan to dlatego, że wykonał pan swój obowiązek.

PODZIĘKOWANIA

Powieść taka jak ta w dużej mierze opiera się na pracach innych autorów, dlatego chciałbym wyrazić wdzięczność wszystkim tym, których książki dały mi pojęcie o tym temacie. Najpierw przeczytałem *The Affair: The Case of Alfred Dreyfus* Jeana-Denisa Bredina – wciąż jest to wybitna pozycja dla masowego czytelnika. Niezwykle przydała mi się *The Man on Devil's Island: Alfred Dreyfus and the Affair that Divided France*, ale jej autorce, doktor Ruth Harris z New College w Oksfordzie, dziękuję również za dodatkowe informacje oraz rady. Czerpałem także z *Dreyfus: A Family Affair 1789–1945* Michaela Burnsa, *Why the Dreyfus Affair Matters* Louisa Begleya, *France and the Dreyfus Affair* Douglasa Johnsona, *The Dreyfus Affair* Piersa Paula Reada oraz z monumentalnej *Histoire de l'affaire Dreyfus* Josepha Reinacha – pozycji obowiązkowej, mimo że wydanej w roku 1908. Przydały się również *Zola: A Life* Fredericka Browna i dwutomowa biografia Prousta pióra George'a Paintera.

Spośród pozycji bardziej specjalistycznych mam niezwykły dług wobec George'a R. Whyte'a, którego *The Dreyfus Affair: A Chronological History* rzadko mnie odstępowała w ciągu ostatniego roku. Kolejnym niezwykle cennym źródłem była *Georges Picquart: dreyfusard, proscrit, minister: La justice par l'exactitude* Christiana Vigouroux, pierwszego, po ponad stu latach, biografa Picquarta, zawierająca listy rodzinne oraz informacje pozyskane z akt policyjnych. Miałem to szczęście, że mogłem skorzystać z najnowszych badań naukowych na ten temat, zawartych w *Le Dossier Secret de l'affaire Dreyfus* Pierre'a Gervais'go, Pauline Peretz i Pierre'a Stutina. Witryna internetowa na ten temat (www.affairedreyfus.com), która pojawiła się w czasie, kiedy pisałem tę książkę, zawiera bogactwo informacji, w tym linki do zdjęć oraz spisanych kopii wszystkich dokumentów z tajnych akt, ostatnio ujawnionych przez francuskie Ministerstwo Obrony.

Na początku zbierania informacji przeczytałem zapisy procesu Zoli o zniesławienie, procesu przed sądem wojskowym w Rennes oraz rozmaitych przesłuchań i zeznań z lat 1898, 1904, 1905 i 1906; dziś już wszystkie można znaleźć

w internecie. Większość głównych francuskich gazet z opisywanego okresu jest dostępna bezpłatnie na stronie internetowej Bibliothèque nationale de France (www.gallica.bnf.fr). Nieocenione okazało się też cyfrowe archiwum londyńskiego „Timesa”, do którego uzyskałem dostęp za pośrednictwem London Library.

Szeroko cytowałem teksty autorstwa samego Dreyfusa, wydane a to w *Five Years of My Life*, *The Dreyfus Case* (napisanej przez jego syna, Pierre’a), a to w *Carnets, 1899–1907*. Inne przydatne źródła współczesne to *My Secret Diary of the Dreyfus Case* Maurice’a Paléologue’a oraz *L’Affaire Dreyfus: L’Iniquité, la Réparation* Louisa Leblois. I wreszcie *The Tragedy of Dreyfus* G.W. Steevensa, naocznego świadka procesu w Rennes, która wbrew tytułowi jest przezabawna – zupełnie jakby napisał ją Jerome K. Jerome – i wziąłem z niej niemal dosłownie jego wersję szalonego zeznania Bertillona.

Pomysł opowiedzenia na nowo historii Dreyfusa po raz pierwszy padł podczas lunchu z Romanem Polańskim w Paryżu na początku 2012 roku; będę mu dozgonnie wdzięczny za jego wielkoduszność i zachętę. Chciałbym również podziękować moim angielskojęzycznym wydawcom, Jocaście Hamilton z Hutchinsona

w Londynie oraz Sonny’emu Mehcie z nowojorskiego Knopfa, za ich mądre rady i sugestie; dziękuję także mojemu agentowi literackiemu, Michaelowi Carlisle’owi. Mój niemiecki tłumacz, Wolfgang Müller, który od wielu lat pracuje nad moimi maszynopisami jeszcze przed ukończeniem książki, jak zwykle podsunął mi wiele sugestii oraz skorygował liczne błędy. Wielkiego wsparcia dostarczył mi również mój francuski wydawca, Ivan Nabokov.

I wreszcie powinienem wspomnieć jeszcze jedno nazwisko. W ciągu dwudziestu pięciu lat małżeństwa – bo tyle minęło z chwilą ukończenia tej książki – moja żona, Gill Hornby, musiała obcować w naszym domu z kolejnymi falami nazistów, łamaczy szyfrów, agentów KGB, kierownikami funduszy hedgingowych, murzynami literackimi oraz mnóstwem starożytnych Rzymian. Tym razem trafiło na oficerów francuskiego sztabu generalnego. Dziękuję jej za miłość, tolerancję i celny literacki osąd na przestrzeni ponad ćwierć wieku.

Wszystkie błędy, czy to dotyczące faktów, czy stylistyczne, a także różne sztuczki związane z narracją i charakterystyką postaci, niezbędne, by przerobić fakty w fikcję, to wyłącznie moja sprawka.

PRZYPISY

[1] Wojna francusko-pruska z lat 1870–1871 zakończyła się druzgocząca klęską Francji, która straciła ponad sto czterdzieści tysięcy żołnierzy. Na mocy rozejmu wschodnie terytoria Alzacji i Lotaryngii stały się częścią Niemiec.

[2] We Francji rozdział państwa od Kościoła nastąpił dopiero w roku 1905. Był to jeden ze skutków ubocznych afery Dreyfusa, która wzbudziła w społeczeństwie silny antyklerykalizm.

[3] Feldmarszałek hrabia Alfred von Schlieffen (1833–1913) dowodził sztabem generalnym Armii Cesarstwa Niemieckiego.

[4] Przekład Józefa Paszkowskiego.

[5] Charles du Paty de Clam (1895–1948) został z czasem komisarzem do spraw żydowskich we Francji Vichy.

[6] Fragmenty Oskarżam! Emila Zoli w przekładzie Zbigniewa Bieńkowskiego, PIW, Warszawa 1953.

[7] Débâcle (Klęska) – powieść Zoli o wojnie francusko-pruskiej z 1870 r., z cyklu Rougon-Macquartowie.

[8] Godefroy Cavaignac (1853–1905), żarliwy katolik, 28 czerwca 1898 roku mianowany ministrem wojny.

[9] Cesarzowa Eugenia (1826–1920) – ostatnia monarchini francuska, żona Napoleona III.